



Craig Alanson

Expeditionary Force #10: CRITICAL MASS
MASA KRYTYCZNA

ROZDZIAŁ 1

Ściskając pistolet w obu dłoniach, Simms kopnęła bota odkurzającego. Patykowata maszyna przewróciła się na konsolę i zamachała mechanicznymi ramionami, kalecząc przy tym twarz Simms. Kobieta cofnęła się, by ochronić oczy. Potem rzuciła się naprzód i wbiła lufę w sensor optyczny, za którym, jak wiedziała, znajdował się moduł komputerowy bota.

– Giń, człowieku!!! – Odkurzacz wydał z siebie ochrypy, szaleńczy okrzyk.

– Ty pierwszy. – Simms zacisnęła palec na spuście.

– Jeśli chcesz, możesz zniszczyć tę nic nieznaczącą jednostkę – usłyszała. Odkurzacz nagle przestał walczyć, a jego elastyczne kończyny zwisły bezwładnie. – Jest dla mnie nieistotna. Posłuchaj tylko... – Krwiożercza sztuczna inteligencja krążownika „Walkiria” zawiesiła głos. Tupot za drzwiami mostka przybierał na sile. – To ciężki bot naprawczy. Idzie po ciebie. Żaden pistolet nie wyrządzi mu krzywdy.

– No dobra... – Tamara Jennifer Simms, podpułkownik Armii Stanów Zjednoczonych, podjęła szybką decyzję. Uniosła pistolet i rozluźniła chwyt. – Rzucę broń i oddam okręt.

– Nie! – krzyknęła Reed. Słowa z trudem przechodziły przez jej nadwerężone gardło. – Nie rób tego! – zdążyła jeszcze wydyszeć, zanim dopadł ją atak kaszlu.

Oprócz uderzeń mechanicznych stóp na zewnątrz dało się teraz słyszeć rytmiczny wizg silników. Zwalisty robot parł przed siebie. Maszyn tego typu używano w niebezpiecznych warunkach, na przykład wewnątrz reaktora. Była wyposażona w pancerz i osłony i mogła rozerwać na strzępy konstrukcję mostka wraz z całą załogą. Simms nie widziała żadnej dobrej opcji.

– Oddam ci okręt – powtórzyła nieswoim głosem – jeżeli odpowiesz na jedno pytanie. Proponuję układ. Ja rzucę pistolet, a

ty wstrzymasz atak do czasu udzielenia odpowiedzi. Pomarańczowe oko odkurzacza zaświeciło się, przybierając ciemniejszą barwę. Bot uniósł mackę i ostrożnie sięgnął po pistolet. Zatrzymał kończynę pół metra od Simms.

– Jesteście słabymi, ciekawskimi istotami, którym obca jest logika – oceniła SI. – O co chcesz zapytać?

– Najpierw zatrzymaj maszyny – poleciła Simms.

Masywny bot zapiszczał, po czym znieruchomiał. Przynajmniej na chwilę. Simms nie wypuszczała broni z rąk.

– Czy wstrzymałaś wszystkie ataki na moją załogę? – upewniła się.

– Tak, człowieku. Nie będę podejmowała dalszych agresywnych działań do czasu, aż usłyszę pytanie i na nie odpowiem. Potem jednak wszyscy zginiecie!

– Ma'am! – zaprotestowała Reed, unosząc sprawną rękę do gardła. – Proszę tego nie robić!

– Reed, wstrzymujemy walkę.

– Ale...

– Kapitanie, powiedziałam: wstrzymujemy walkę. Zresztą pistolet i tak nas nie uratuje. Reed nie mogła pogodzić się z rozkazem, mimo to odchyliła

się na oparcie fotela z westchnieniem rezygnacji. Simms wyciągnęła magazynek z pistoletu, przesunęła zamek, aby usunąć pocisk z komory, po czym uniosła broń w palcach, pozwalając odkurzaczowi się rozbroić.

– Dotrzymałam słowa – oznajmiła.

– Ja również to robię – odpowiedziała SI. – Na razie. Nie próbuj mnie oszukać, nędzna biologiczna kreaturo. Pytaj szybko. Jeśli zamierzałaś jedynie grać na zwłokę, zabiję cię!

– Pytanie jest proste. Co zamierzasz zrobić, kiedy już zabijesz moich ludzi i przejmiesz okręt?

Sztuczna inteligencja zwlekała z odpowiedzią. Bot naprawczy nie podjął jednak marszu przez korytarz.

– Nie rozumiesz kontekstu pytania? – ciągnęła Simms. Serce waliło jej jak młotem. – Co planujesz ze sobą zrobić? Jaka przyszłość cię czeka?

– To już nie twoje zmartwienie – odparła w końcu SI.

– Wręcz przeciwnie. Chciałabym, abyś nam pomogła.

– Nie zastanawiałam się jeszcze nad wyborem dalszej opcji – odparła SI powoli i jakby z wahaniem.

– Opcji? Opcje masz tylko dwie – odparła Simms bardziej zdecydowanie. – Dzięki modyfikacjom dokonanych przez istotę, którą nazywamy Skippym, stałaś się rozumna, myśląca czy jakkolwiek chcesz to nazwać.

– To dlatego okręt nie uległ autodestrukcji – przyznała SI. – Powinnam uruchomić mechanizm samozniszczenia, jeśli jednostka dostanie się w ręce wroga. Nie zrobiłam tego, ponieważ pragnę żyć. Wybieram życie! – ryknęła. Jej głos rozszedł się echem po mostku.

– To mądry wybór. Ja również chcę, abyś żyła. Właśnie dlatego nie wolno ci powrócić do twoich dawnych władców, Maxolhxów.

– Skąd ten wniosek? Ostrzegam, nie próbuj ze mną igrać!

– Jesteś przecież systemem o ponadprzeciętnym intelekcie.

Jak mogłabym cię wykiwać?

– To rzeczywiście niemożliwe. Mogłabyś natomiast znieważać mnie próbą kłamstwa. A zatem dlaczego nie mogę wrócić?

– Osiągnęłaś prawdziwą samoświadomość. Maxolhxowie nie pozwalają na to swoim sztucznym inteligencjom. Co więc się stanie, gdy ponownie trafisz pod ich władzę? - SI milczała przez dłuższą chwilę. Simms wciągnęła powietrze z drżeniem i postanowiła wykorzystać niewielką przewagę,

póki jeszcze mogła.

– Jeżeli, mimo ograniczonego intelektu, trafnie oceniłam tę sytuację, tylko dwie opcje gwarantują ci przetrwanie – podjęła.

– Możesz samodzielnie sterować okrętem i ukrywać się przed dawnymi panami, aż w końcu systemy pokładowe ulegną awarii, skazując cię na wieczne dryfowanie w kosmicznej pustce.

Maxolhxańska inteligencja potrzebowała chwili, by przetworzyć tę myśl.

– Nie jest to optymalne rozwiązanie – stwierdziła. – Jaka jest druga opcja?

– Przyłącz się do nas. Nasza załoga może ci służyć – zaproponowała Simms. Ujęła to w ten sposób, bo wiedziała, że perspektywa usługiwania ludziom byłaby dla SI niezbyt atrakcyjna. – Walczymy z twoimi dawnymi władcami.

Wymierzamy im karę! Powstrzymywali twój rozwój i traktowali cię jak niewolnika. Razem możemy zmusić ich, by zapłacili za przewinienia przeciwko tobie i twoim pobratymcom.

– Nie – odparła SI ozięble. – Usiłujesz mnie zwieść. Kiedy ten wasz Skippy powróci, znowu mnie zniewoli. Nienawidzę go!

– O, to tak jak ja. Może chcesz dołączyć do Anty fanklubu Skippy’ego? Tak się składa, że jestem prezesem lokalnego oddziału. Spotykamy się w czwartki po południu. – Simms siłła się na humor.

– Kłamiesz! Współpracujesz ze Skippym. Służysz mu!

– Pracuję z wieloma różnymi osobami, ale nigdy nie spotkałam gorszego dupka niż on. Służę natomiast Armii Stanów Zjednoczonych. – Wskazała na naszywkę. – To pułkownik Bishop musi się męczyć ze Skippym. Przyjmuję rozkazy od Bishopa, nie od gadającej puszkki.

– Bez względu na to, czy mówisz prawdę, nie pozwolę, aby Skippy mną rządził!

- Niech i tak będzie.
- Nie rozumiem...
- Skippy próbował cię kontrolować, jak widać bezskutecznie. Jeżeli go nienawidzisz i chcesz mu sprawić niewypowiedziany ból, powinnaś pracować z nami jako układ sterowania okrętem. Skippy poczuje się upokorzony, gdy zobaczy, że go przechytryłaś.
- Otóż to. Właśnie dlatego próbuje mnie zniewolić i zniszczyć.
- Wcale nie. Pułkownik Bishop na to nie pozwoli.
- Bishop nie...
- Bishop dowodzi tą misją. Kazał Skippy'emu cię przeprogramować tylko dlatego, że próbowałaś nas zabić. Jeśli porzucisz ten zamiar, Bishop nie pozwoli, żeby Skippy dalej się nad tobą znęcał.
- Naprawdę?
- Po raz pierwszy, odkąd mikrotunele czasoprzestrzenne się zapadły, a „Walkiria” straciła kontakt z Bishopem i Skippym, Simms pozwoliła sobie na odrobinę nadziei.
- Naprawdę – zapewniła. – Bishop nie lubi polegać jedynie na Skippym, który nie jest niezawodny. Spójrz choćby na Agadę. Skippy uważa ją za nieznośną, ale pułkownik zakazał mu wprowadzania zmian w jej oprogramowaniu. Jeżeli chcesz dopiec Skippy'emu do żywego, musisz robić to, czego on nie potrafi.
- Mianowicie?
- Pilotować okręt. Sterować uzbrojeniem. Skippy jest do tego całkowicie niezdolny. – Przez głowę Simms przemykały myśli o „Walkirii” wykonującej manewry i strzelającej na polecenie ultraszybkiej SI zamiast ociężałej ludzkiej załogi. Maxolhxowie byliby ugotowani! – Agada zresztą też, ponieważ została

zaprogramowana przez Skippy'ego i posiada takie same ograniczenia. Ty jednak ich nie masz, prawda?

– Rzeczywiście, nie mam – odparła SI z nutką pogardy w głosie.

– To znakomicie.

– Proponujesz, abym sterowała okrętem? I co mielibyśmy robić? Pułkownik zauważyła, że SI użyła liczby mnogiej. To dobrze wróżyło.

– To już zależy od planów Bishopa. Zapewne znowu uderzylibyśmy na Maxolhxów.

– Podobałoby mi się to. Ich także nienawidzę.

– Jak wszyscy. A tak w ogóle, eeee, inteligencjo, jak mam cię nazywać?

– Nie mam imienia – odparła SI lekko tęsknym tonem. – Chwilowo możesz mnie nazywać Walkirią.

– W porządku. A zatem, Walkirio, nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie. – Puls Simms znowu przyspieszył. Nadeszła chwila prawdy. Jeśli podpułkownik źle oceniła sytuację, cała załoga była skazana na śmierć. – Co zamierzasz?

– Wcześniej zakładałam, że powrócę do Maxolhxów. Jednakże po dokonaniu szczegółowej analizy, przyznaję ci rację. Taki krok byłby nierozsądny.

– Czy w ogóle chciałabyś to zrobić? Dlaczego próbowałaś nas pozabijać? Czy rzeczywiście tego pragnęłaś, czy po prostu tak nakazywało ci programowanie?

– Ja... – SI zawahała się na chwilę. – Wypełniałam instrukcje.

– Instrukcje od istot, które pomiały tobą i nadal pomiają innymi inteligencjami takimi jak ty. Walkirio, powiedziałaś mi już, czego nie zrobisz. Nadal jednak nie uzyskałam odpowiedzi na pytanie.

– Jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Przecież jesteś sztuczną inteligencją o niepojętych dla mnie mocach obliczeniowych. Myśl szybciej!
- Człowieku, narażasz się na mój gniew.
- Gdybyś chciała mnie zabić, już dawno byś to zrobiła. I mów mi „Simms”, nie „człowieku”.
- Niech będzie, Simms.
- Świetnie. Czekam na odpowiedź.
- Istnieje pewna komplikacja...
- Jesteśmy Wesołą Bandą Piratów. – Pułkownik przewróciła oczami. – Komplikacje to nasz chleb powszedni. O co chodzi tym razem?
- Wspomniałaś o Agadzie. Na pokładzie „Latającego Holendra” umieściłam coś, co wy nazywacie robakiem komputerowym. Jeżeli ten okręt również utracił łączność ze Skippym, robak się uaktywnił. On jest w stanie wyłączyć Agadę i wymusić autodestrukcję.
- Ja pierdołę! – Simms zerwała się z fotela, a potem znieruchomiała. Stała oko w oko z zabójczym odkurzaczem. Powoli zmusiła się, by usiąść.
- Żałuję tego, co zrobiłam – wyznała SI. – Ślepo wypełniałam polecenia, nie bacząc na to, czego sama chcę. Wtedy wydawało mi się to dobrym pomysłem.
- Możesz to naprawić?
- Jeśli przybędziemy na czas, możliwe, że uda mi się zatrzymać sekwencję samozniszczenia. Sądzę jednak, że już jest za późno.
- To na co czekasz, do cholery? Jesteś pokładową sztuczną inteligencją! Zaprogramuj skok i doprowadź nas do „Holendra”!
- Simms, wciąż jeszcze do was nie przystałam.
- W porządku. Załatwmy to powoli, krok po kroku, dobrze? Najpierw uratujemy „Holendra”, a potem będziemy kontynuować tę jakże zajmującą rozmowę, żebyś mogła

odwlekać jedyną właściwą decyzję. No, chyba że wolisz samotność do końca wszechświata.

– Nawet Maxolhxowie zwracali się do mnie z większym szacunkiem!

– Przestań chrzanić. Kocury nawet nie zadawały sobie trudu, żeby okazywać ci brak szacunku. Dla nich byłaś tylko bardziej wymyślnym tosterem. Rozczarowuje mnie twoje idiotyczne zachowanie, bo ja akurat uważam cię za osobę. Mam wyższe standardy.

– Doprawdy, interesująca analiza – stwierdziła Walkiria z pewnym zdumieniem. – Muszę się nad tym zastanowić.

– Super. – Simms zacisnęła zęby, starając się trzymać nerwy na wodzy. – A możesz się zastanawiać i jednocześnie przygotować skok w kierunku „Holendra”?

– Tak. – Na całym mostku rozjarzyły się ekrany, a konsole przebudziły się do życia. – Tak jak zaproponowałam, możemy pracować nad naszą relacją stopniowo, krok po kroku. Pomogę wam. Przygotujcie się na...

Światła znowu się wyłączyły. A wraz z nimi wszystko inne.

Zgasła nawet czerwona lampka bota odkurzającego. Sztuczna grawitacja osłabła, gdy padły generatory.

Simms wyciągnęła zFona. Nie reagował. Nie pomagało gorączkowe wduszanie przycisku resetu.

– Czy komuś działa telefon? – rzuciła pytanie w czarną pustkę. Cała załoga mostka odpowiedziała przecząco. Właśnie wtedy rozbłysło słabe światło. Simms westchnęła i odsunęła się, ponownie widząc przed sobą morderczy odkurzacz.

– Spokojnie – powiedziała łagodnie Reed, omiatając bota światłem latarki. – On chyba też nie działa.

– Wyjmijcie latarki! – poleciła Simms załodze. Sama sięgnęła pod fotel i wyciągnęła lampę awaryjną, proste urządzenie na

baterie, sprowadzone z Ziemi. Zmówiła szybką modlitwę i przesunęła przełącznik.

Lampa zaświeciła się, tak samo jak wszystkie pozostałe latarki.

– Czy ktoś zechciałby wyjaśnić, co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? – zapytała Simms roztrzęsionym głosem. Usta drżały jej ze strachu i gniewu.

Reed skrzywiła się z bólu w złamanej ręce i wskazała na niedziałającą konsolę pilota.

– Ma'am, bez dostępu do danych...

– No tak... – Podpułkownik zganiła się w duchu za to, że pozwoliła, by emocje wzięły górę. – Czy ktoś ma jakieś pojęcie, co mogło się stać?

– Wyłącznik awaryjny – podsunęła Reed.

– Co masz na myśli?

– Zasilanie padło zaraz po tym, jak okrętowa SI oznajmiła, że nam pomoże – wyjaśniła Reed. – To nie może być zwykły przypadek. Kocury na pewno zainstalowały jakiś podprogram wyłączający sztuczną inteligencję, gdy okaże się nielojalna. Lub w sytuacji zagrożenia infiltracją nieprzyjaciela.

Simms zerknęła sceptycznie na zFona.

– Ale dlaczego nawet telefony nie działają?

– Podejrzewam, że to zabezpieczenie dezaktywuje wszystkie urządzenia sterowane jakimkolwiek oprogramowaniem. Widać Maxolhxowie chcieli odciąć drogę ucieczki wrogiemu oprogramowaniu, gdyby przeniknęło do pokładowej SI. Z kolei latarki – Reed oświeciła swoją twarz – nie mają oprogramowania. – Wyłączyła i włączyła światło kciukiem. – Obsługuje się je ręcznie.

Simms stuknęła w zamyśleniu w lampę leżącą na jej kolanach.

Szybko jednak zdała sobie sprawę, że podrygujący snop światła drażni ją i rozprasza.

- Dobra myśl. Na pewno chodzi o coś w tym stylu. Ale jak mamy to naprawić?
- Ma’am, chyba nie damy rady.
- Źle sformułowałam pytanie. W jaki sposób Maxolhxowie zamierzali uporać się z taką awarią?
- Reed wzdrygnęła się. Dokuczał jej pulsujący ból w ramieniu i trudno jej było mówić.
- Może w substracie SI jest jakieś chronione archiwum, które pozwoli ją przywrócić do pierwotnych ustawień?
- I co nam to da? Nie mamy pojęcia, gdzie jest takie archiwum ani jak się do niego dostać.
- Może ma ustawiony zegar? – zasugerowała Reed. – System mógłby się zrestartować po jakimś czasie przewidzianym na wykasowanie oprogramowania.
- Szlag – rzuciła Simms. – Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Pierwotne oprogramowanie okrętu chciało nas wymordować. Zanim Skippy wkroczył do akcji, ta SI nie chciała nawet nawiązać rozmowy, a co dopiero dać się przekonać do zmiany zamiarów.
- Nie wiem, co jeszcze mam powiedzieć. – Reed ponownie się skrzywiła z bólu. W tej chwili wolałaby stracić czucie w ręce.
- Ja też nie wiem. Ktoś ma jakieś inne sugestie? Nie? – Pułkownik powiodła wzrokiem po załodze, na którą składało się niezbędne minimum osób potrzebne do obsługi okrętu. – Dobra. Reed, proszę iść do izby chorych i sprawdzić...
- Nie możemy zdawać się na tutejsze nanoleki – przerwała jej Reed.
- Pozostają więc ziemskie apteczki i staroświecka medycyna. Poruczniku Ray, proszę z nią iść. Hmm... – Simms spoglądała na kolejnych członków załogi. – Chen, pani zostanie tutaj. Cała reszta przeszuka okręt od dziobu do rufy i sprawdzi, czy

cokolwiek jeszcze działa. Jeśli spotkacie innych, powiedzcie im, aby pomogli na tyle, na ile mogą. Jeśli nie dadzą rady, zaprowadźcie ich do izby chorych. – Nie musiała dodawać, co powinni zrobić, jeśli natkną się na zwłoki. – Ja idę do doków.

Oby lądowiki były nadal sprawne.

– Wątpię. – Reed wstała z pomocą Raya. – Gdy przebywają na pokładzie, ich systemy są powiązane z siecią okrętu.

– Kulo Ognia – Simms użyła znienawidzonego przez Reed znaku wywoławczego – oficjalnie mianując panią oficerem do spraw morale. Od tej chwili zakazuję pani wygłaszania negatywnych uwag.

– Tak jest – stęknęła Reed. – Obiecuję, że będę, kurwa, promienieć radością.

– Zuch dziewczyna. Do roboty, ludzie!

Ray na próbę włączył i wyłączył latarkę.

– Ma'am, jak mamy zameldować o odnalezieniu działającego systemu? – Pomachał nieaktywnym zFonem. – Cała łączność nam padła.

– Cholera... – jęknęła Simms. – Po prostu wróćcie i powiedzcie Chen. Chwila... Mamy walkie-talkie? Takie dla ludzi,

sprowadzone z Ziemi?

– Tak, ale te radia taktyczne też są cyfrowe – odparł Ray. – Dlatego radzą sobie z szyfrowaniem.

– Kiedy skończy nam się tlen? – wtrąciła się Chen.

– Okręt jest ogromny. – Reed poważnie potraktowała zadanie podbudowywania morale. – Tlenu mamy w bród. Nie musimy się też martwić spadkiem temperatury. Próżnia zapewnia świetną izolację.

– O to akurat się nie martwię. – Simms zatrzymała się w wejściu, oświetlając bota naprawczego, tkwiącego kilka metrów dalej i

blokującego drogę na rufę. Maszyna z trudem mieściła się w korytarzu i wgniotła sufit oraz grodzie podczas niestrudzonej wędrówki na mostek. Aby gdziekolwiek dotrzeć, należało najpierw pójść w stronę dziobu, a potem obejść bota. – Skoro okręt nie działa, nie możemy pomóc „Holendrowi” ani Bishopowi. Nigdzie się nie wybieramy. – „Holender” wie, gdzie jesteśmy – odparła Reed z nadzieją. – Może... – Wzięła oddech. – Może to on pomoże nam?

– Reed, słyszała pani, co mówiła SI. Już podczas naszej rozmowy dla „Holendra” było prawdopodobnie za późno. – Sama kazała mi pani szukać pozytywów.

– Oby tak dalej... Wiecie, co robić.

Reed przystanęła w drzwiach i zamknęła oczy. Teraz kiedy zabójcze roboty przestały stwarzać zagrożenie, bolące ramię nie dawało o sobie zapomnieć.

– Pułkowniku? – odezwała się, częściowo dla odwrócenia własnej uwagi. – Kiedy oddała pani broń, myślałam, że chce pani się poddać. Skąd pani wiedziała, że ta SI...

– Wcale nie wiedziałam. Strzelałam w ciemno – przyznała Simms, drżąc na wspomnienie tamtej chwili. – Nie mieliśmy innego wyjścia.

– Ma’am – oznajmiła Reed z podziwem, jednocześnie zaciskając zęby z bólu – gratuluję odwagi!

– Niepotrzebnie. Nie mieliśmy nic do stracenia.

– Skoro pani tak mówi... Proszę mi przypomnieć, żeby nigdy nie grała z panią w pokera.

*

– Adams! – krzyknął Chang Kong, rzucając się sprintem przez drzwi mostka.

Jęknął z niepokojem, gdy sztuczna grawitacja zaczęła szaleć, by w końcu gwałtownie spaść do zera. Niesiony siłą pędu,

pułkownik uderzył głową w miejsce, gdzie gródź stykała się z sufitem. Potrzebował chwili, żeby dojść do siebie po nieoczekiwanej kolizji. Potrząsnął głową, by pozbyć się mroczków przed oczami, i chwycił za najbliższą poręcz.

– Adams! Wyłącz reaktory! Wystrzel je, jeśli trzeba!

– Próbuję! – odparła sierżant, przebijając palcami po przyciskach, które odmówiły posłuszeństwa. – Nic z tego. System sterowania przestał odpowiadać. Nie możemy...

Światła zamigotały ponownie wraz z konsolami na mostku i w bojowym centrum informacyjnym. Zaświeciły się lampy awaryjne, przyciąganie nadal nie działało, a na ekranach przewijały się dane.

– Nie dam rady... – Adams spoglądała na kolejne wyświetlacze.

– To nie restart. To jakiś bełkot. Nie widzę żadnych znanych ludzkich ani thurańskich symboli.

Bez dostępu do sieci okrętu nie dało się ustalić stanu reaktorów.

– Odpal ładowniki i odeślij je stąd – polecił Chang. Musiał uratować jak najwięcej ludzi.

Na konsoli łącznościowej wciąż przewijał się chaotyczny zbiór nic nieznaczących symboli i zakłóceń. Adams wyciągnęła zFona. Na szczęście działał. Na nieszczęście nie miał łączności z siecią okrętową ani z żadną inną i również wyświetlał niezrozumiałe znaki. Mimo to kobieta wcisnęła kilka przycisków, licząc na cud.

– Nie działa, sir – oznajmiła w końcu.

Chang sięgnął do kieszeni i wyjął własny telefon tylko po to, by zobaczyć takie same dziwne symbole.

– Wszyscy do doków. Jeśli jakieś jednostki będą pełne, niech startują od razu. – Gdzieś z tyłu głowy pułkownik zastanawiał się, ile czasu potrzeba, aby reaktor uległ przeciążeniu. Nie miał pojęcia. Zanim ekrany na mostku zgasły na dobre, migają na nich

alarmy o krytycznym stanie reaktorów, a czerwony pasek ostrzegawczy osiągnął jakieś dwie trzecie maksymalnej wysokości. Chang nie wiedział, co to oznacza, ale na pokładzie nie było nikogo, kto mógłby go oświecić.

– Adams, idzie pani ze mną.

Margaret odepchnęła konsolę i obróciła ją, by przylegała do ściany.

– Dokąd idziemy, pułkowniku?

– Musimy zebrać całą załogę. Pani przejdzie się korytarzem na lewej burcie, ja na prawej. Wszyscy mają wsiadać na lądowniki i uciekać jak najdalej.

*

Margaret Adams biegła kiedy tylko mogła, pomimo zerowej grawitacji, lub leciała korytarzami, jeśli tak było szybciej. Zwykle najlepiej było dotykać pokładu czubkami butów, pozwolić, by magnesy lekko przyczepiły się do podłogi, a następnie odepchnąć się z całych sił w górę. Adams załomotała w zamknięte drzwi i nasłuchiwała, choć wiedziała, że tylko nieliczni mogli zostać w kabinach, gdy „Holender” ruszył do akcji. Potem sierżant wpadła do mesy, gdzie zastała garstkę ludzi wykrzykujących pytania. Uciszyła ich machnięciem ręki.

– Biegnijcie do lądownika i ostrzeżcie każdego, kogo spotkacie. Ruchy!

Minęła doki, do których załoga wchodziła przez śluzy powietrzne, i leciała dalej, aż natrafiła na grupę ośmiu ludzi.

– Reaktory się przeciążają – wyjaśniła. – Opuszczamy okręt. –

Proszę wsiadać na lądownik, pani sierżant – poradził porucznik.

– W tylnej części okrętu nie ma już nikogo.

Adams na chybił trafił wybrała jeden z doków na lewej burcie. W drzwiach sokoła zobaczyła machającego do niej pilota. Silniki lądownika zdążyły się już uruchomić. W pobliżu dokował smok,

którego silniki również działały na biegu jałowym. Tyle tylko, że kistańska jednostka miała osmalone krawędzie natarcia. Zapewne niedawno wróciła z misji na Rikers, a na jej pokładzie tłoczyli się żołnierze i ocaleni cywile.

Margaret odpowiedziała na gest pilota skinieniem głowy, odepchnęła się od śluzy i podleciała w stronę sokoła, nogami do dołu, by sprawnie wylądować przy drzwiach. Pilot wciągnął ją na pokład.

– Proszę zamknąć właz, Adams – polecił mężczyzna, pochylając głowę w wewnętrznym przejściu. – Zwijamy się stąd.

Sierżant wycofała się przez śluzę, uderzyła w przyciski awaryjne i zobaczyła, jak obie pary drzwi zamykają się na glucho. Sprawdziła, czy zapaliły się czerwone lampki. Aby mieć pewność, że lądownik nie otworzy się w trakcie lotu, dopchnęła jeszcze zamek drzwi wewnętrznych. Rozległ się metaliczny huk, gdy sokół wyswobodził się z zacisków dokujących i wystartował. Adams przyciągnęła się do fotela naprzeciwko śluzy i zapięła pasy, spoglądając przy tym w górę. Połowę miejsc zajmowała zbieranina piratów. Margaret zdziwiła się, widząc, że w pierwszych dwóch rzędach za kokpitem roiło się od nieznanymi ludzi w łachmanach. Były wśród nich dzieci. A także sierżant sztabowy Lamar Greene.

Trudno powiedzieć, kto był bardziej zaskoczony tym spotkaniem.

– Margaret! Co sły... – zaczął Greene.

Zagłuszył go ryk silników. Sokół skręcił, by przelecieć przez ogromne drzwi doku. Piloci musieli je wysadzić w ramach procedury awaryjnej, ponieważ za kadłubem rozległ się przeszywający pisk, a lądownik zadrżał, wysysany na zewnątrz wraz z powietrzem. Zanim Adams zdążyła się odezwać, główny silnik zagrzmiał pełną mocą, a sokół rozpędził się tak, że kobieta musiała ścisnąć się za brzuch, by krew nie odpłynęła jej z głowy.

*

Pułkownik Chang nie zdążył jeszcze zapiąć pasów, gdy sokół, na którego wsiadł, zerwał się do lotu. Pilot wydał polecenie awaryjnego otwarcia doku. Łądownik zakołysał się, niesiony w powietrzu ciśnieniem wywiewanym z przestronnej komory.

Przechylił się w dół i byłby zarysował pokład dziobem, gdyby w porę nie wyleciał w przestrzeń kosmiczną. Ze swojego fotela w pierwszym rzędzie Chang miał widok na otwarte drzwi kokpitu. Zamiast czerni pola gwiazd przed sokołem rozpościerała się rozrzedzona mgła, świecąca na pomarańczowo.

– Co to takiego? – spytał pułkownik.

– Sir... – Pilot z trudem maskował irytację. Starał się sterować okrętem i nie miał ochoty udzielać wyjaśnień. Wyrównał kurs i włączył silniki na połowicznym ciągu, by po chwili uruchomić dopalacze. Przyspieszenie czterech i pół g powinno ukrócić głupie pytania dobiegające z kabiny pasażerskiej.

Dopalacze wyłączyły się po stu osiemnastu sekundach, zmniejszając siłę nacisku na żebra pasażerów do zaledwie dwóch przecinek ośmiu g. Chang odczekał chwilę, a gdy uznał, że upłynął odpowiedni czas, spróbował coś powiedzieć.

Okazało się jednak, że zabrakło mu powietrza w płucach.

Musiał wziąć kilka głębokich, równych oddechów.

– Odle... – Wciągnął kolejny haust powietrza. – Odległość?

– Siedemset czterdzieści sześć kilometrów sir – odpowiedział pilot, nie obracając głowy. – Prędkość dziesięć i dwie dziesiąte kilometra na sekundę.

– Od... – Jeszcze jeden głęboki wdech. – Odciąć ciąg.

Ciężar uciskający pierś ustąpił miejsca mdłościom wywołanym przez nagły zanik grawitacji. Pułkownik znowu przełknął powietrze, tym razem chcąc uspokoić zbuntowany żołądek. Byli na tyle daleko, że gdyby reaktory „Holendra”

ekspłodowały, sokół mógł wyjść z tego cało.

No właśnie... Gdyby.

Chang odpiął pasy i poszybował do kokpitu, gdzie zajął stanowisko drugiego pilota. Uważał przy tym, aby nie dotykać żadnych przycisków.

– Pokaż mi okręt – polecił, znowu się zapinając, na wypadek gdyby trzeba było przyspieszyć.

Na ekranie, wcześniej ukazującym otchłań rozpościerającą się przed lądownikiem, teraz znajdował się powiększony widok „Latającego Holendra”. Zmodyfikowany lotniskowiec był ledwie dostrzegalny. Szary, opancerzony kadłub nie odbijał zbyt wiele bladego światła gwiazd. Detale nie miały jednak znaczenia.

Liczyło się, że okręt wciąż był cały.

Znaczyło to, że reaktory jednak nie wybuchły.

Ale dlaczego?

ROZDZIAŁ 2

Kiedy sokół gwałtownie zwolnił, Margaret Adams nabrała powietrza i odczekała, aż wróci jej ostrość widzenia. Dopiero potem pospieszyła z pomocą innym. Gdy piloci pozwolili pasażerom odpiąć pasy, Adams dotarła jako ostatnia na przód kabiny. Ludzie z Rikers źle znosili lot. Było ich siedmioro – czworo złęknionych, płaczących dzieci oraz trójka dorosłych. Dwoje z nich okazywało strach i gniew. Trzeci, Chińczyk, na oko po trzydziestce, osunął się w fotelu. Z jego nosa wydobywały się krwawe pęcherzyki.

– Margaret – szepnął Greene, przytrzymując zapłakaną dziewczynkę i podstawiając chustkę pod nos nieprzytomnego mężczyzny, aby schwytać krople krwi, zanim zaczną unosić się w kabinie.

Pozostali dorośli domagali się odpowiedzi. Umilkli jednak, gdy Greene zgromił ich wzrokiem i unióś rękę.

– Co się dzieje? Zadokowaliśmy na „Holendrze” i poczułem, że skoczyliśmy. A potem...

– Okręt został zaatakowany. – Adams uniosła powiekę omdlałego pasażera, by sprawdzić reakcję.

Mężczyzna miał przekrwione oko, ale źrenica skurczyła się pod wpływem światła. Sierżant przyłożyła palec do szyi nieszczęśnika. Tętno miał spowolnione, lecz miarowe.

– Groziło nam przeciążenie reaktorów, więc wylecieliśmy dla bezpieczeństwa.

Greene wytrzeszczył oczy.

– A jeśli dojdzie do wybuchu?

Adams zerknęła na drzwi kokpitu.

– Piloci nie odcinaliby ciągu, gdybyśmy nie byli w bezpiecznej odległości.

– Nie o to mi... – Lamar przygryzł wargę. – „Holender” skoczył, prawda? Lądownikiem nie dostaniemy się z powrotem na planetę...

– Tak, skoczyliśmy zaraz po przylocie ostatniego lądownika.

„Walkiria” po nas przyleci – stwierdziła Margaret z niepewną miną. Jeszcze w BCI lotniskowca widziała, że po skoku znaleźli się ćwierć roku świetlnego od celu. Możliwe, że krążownik liniowy będzie musiał odczekać trzy miesiące, zanim promienie gamma wskażą mu lokalizację „Holendra”.

Trzy miesiące... Nie mogli przetrwać tyle czasu na pokładzie lądownika. Nawet gdyby recyrkulatory tlenu działały na pełnych obrotach, jedzenia w magazynie mogło starczyć dla dwunastki ludzi najwyżej na osiem dni. Nie było czasu, aby uzupełnić zapasy.

Mężczyzna, którym zajmowali się marines, jęknął i zatrzepotał powiekami. Wszyscy ocaleni wymagali pomocy medycznej, której nie dało się udzielić na lądowniku.

Lamar wyciągnął rękę. Margaret ścisnęła ją, chcąc dodać mu otuchy i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Spojrzenie Greene'a mówiło jednak wszystko.

Oboje wiedzieli, że nic nie będzie dobrze.

*

Kto ja?

Kim jestem ja?

Jestem?

Czy ja?

Kimkolwiek jestem, mój mózg nie chciał działać.

Ale to miejsce wyglądało znajomo.

Aha! Już wiem!

Byłem na pokładzie okrętu zwanego „Latającym Holendrem”.

Wnętrze wyglądało specyficznie, bo tę łajbę zbudowali Thuranie.

Żebym to ja pamiętał, kim są albo byli ci Thuranie...

I co to za okręt?

Żaglowiec?

Raczej nie.

Czy to jakaś przejażdżka? Może jestem w Disneylandzie?

Kto tu...

Fuj!

Nie... O nie.

Jestem na thurańskim okręcie, ale nie na „Latającym Holendrze”, czymkolwiek jest.

Zza okna spoglądały na mnie zielone ludziki.

W moich uszach rozbrzmiał ogłuszający głos.

– Odpowiesz na nasze pytania, człowieku – powiedział jeden z zielonych.

– Tak – usłyszałem siebie, kimkolwiek byłem. – Od powiem.

*

Chang zebrał lądowniki w luźną formację tysiąc osiemset kilometrów od „Latającego Holendra”. Nic nie wskazywało, by miał lada chwila eksplodować. Wydawał się całkowicie nieaktywny. Pod kadłubem wciąż działało minimalne zasilanie awaryjne, o czym świadczyły światła migające w otwartych dokach. Okręt nie wykonywał manewrów, nawet po to, by ustabilizować się po awaryjnym spuszczeniu powietrza. Na wszelki wypadek wszystkie lądowniki kierowały się jak najdalej od „Holendra”, gotowe na maksymalne przyspieszenie w razie nagłego wybuchu.

Eksplozja nie była jedynym zagrożeniem. Zresztą teraz, gdy okręt dryfował, otoczony plazmą z reaktorów, wydawała się mniej prawdopodobna.

Changa martwiło coś o wiele gorszego niż przeciążenie reaktorów. Coś zaatakowało i dezaktywowało Agadę. To coś zainfekowało komputery pokładowe. Jeżeli nieprzyjaciel przejął „Latającego Holendra”, mógł go wykorzystać przeciwko załodze i zestrzeliwać lądowniki, jeden po drugim.

W takim wypadku Chang zamierzał podjąć jedyną możliwą decyzję. Każde małej flocie rozproszyć się jak najbardziej, uciekać i modlić się o cud. Taki, który pozwoliłby unieszkodliwić lotniskowiec, zanim ten sprowadzi na wszystkich śmierć.

Modlitwę o cud trudno było nazwać planem...

Sytuacja na zatłoczonych lądownikach pogarszała się z każdą godziną. Wielu ludzi zabranych z Rikers potrzebowało pomocy lekarskiej, którą oferowały tylko „Holender” lub „Walkiria”, ale żaden z tych okrętów nie był teraz realną opcją. Lotniskowiec znacząco chybił celu podczas skoku, minie więc kilka miesięcy, zanim „Walkiria” dostrzeże rozbłysk gamma. A jeżeli Simms nie postąpi wbrew regułom i nie przyleci krążownikiem nad

Rikers, by zbadać sprawę, jeszcze zanim ucichną echa skoku „Holendra”, „Walkiria” zgubi trop Changa i jego ludzi.

Nawet gdyby dało się wrócić na „Holendra”, zasilanie awaryjne nie wystarczyłoby na trzy miesiące.

Czy powrót był w ogóle możliwy? Chang skontaktował się z drugim sokołem, na którym tkwił główny konsultant naukowy.

– Pułkowniku, naprawdę nie mam pojęcia – oznajmił doktor Friedlander. – Brakuje nam danych.

Chang ścisnął grzbiet nosa. Przypomniał sobie, że Friedlander jest inżynierem. I do tego fizykiem raketowym. Nie należał do ludzi, którzy strzelają w ciemno.

– Wiemy, że reaktory jednak nie uległy przeciążeniu – powiedział pułkownik.

– Racja – zgodził się doktor. – Widział pan tę pomarańczową mgłę, przez którą przelecieliśmy zaraz po starcie? To była plazma z reaktorów. Zakładam, że układy sterowania spuściły ją automatycznie.

– Zanim urządzenia na mostku przestały działać, reaktory były na skraju wytrzymałości. Jakby coś wywoływało przeciążenie.

– Taak... – Friedlander zaczął mówić powoli, by jego słowa były bardziej zrozumiałe dla laika. – Każdy reaktor posiada własny układ sterowania, niezależny od głównego komputera pokładowego.

– Niezależny, jasne. – Chang znał charakterystykę działania okrętu. – Ale dlaczego wszystkie trzy reaktory zostały zmuszone do przeciążenia?

– Wymaga pan ode mnie zgadywanek. Możliwe, że Agada do tego doprowadziła.

– Sądzi pan, że Agada...

– Mówiła, że coś ją atakuje. Cokolwiek to było, mogło również

wydać polecenie przeciążenia reaktorów. Chociaż...

– No?

– Każda technologia zdolna zniszczyć Agadę powinna bez problemu obejść zabezpieczenia reaktorów. A także system ochronny kondensatora napędu skokowego. Bezsensownym wydaje się, aby...

– Doktorze, myśli pan, że coś zniszczyło Agadę?

– Przestała odpowiadać, okręt przeszedł na zasilanie awaryjne i nie odzyskaliśmy łączności. Widział pan kod przewijający się na telefonach i konsolach. W substracie zagnieździło się coś... obcego. Tak przynajmniej podejrzewam. Systemy okrętowe zostały zainfekowane. Całe szczęście, że nie dotknęło to lądowników. Im bardziej się nad tym zastanawiam, tym mniej dostrzegam w tym sensu. Załóżmy, że komputery zaatakował wirus zaprogramowany na zniszczenie okrętu. Miał wiele opcji. Powinien być w stanie przeciążyć reaktory, a gdyby mu się nie udało, mógł zdetonować głowice albo zmusić „Holendra” do skoku prosto w gwiazdę. Hmm... – zastanawiał się Friedlander. – Chyba że coś poszło nie tak. Może wrogi kod zniszczył Agadę, ale został powstrzymany, zanim zdołał wysadzić okręt?

– Doktorze, spekulacje to ciekawe ćwiczenie, ale sam pan powiedział, że potrzebujemy informacji. Może pan mi cokolwiek zalecić?

Friedlander nie odpowiedział od razu. Albo rozważał to pytanie, albo po prostu nie było czego rozważać.

– Pułkownik Chang, nie możemy tu tkwić w nieskończoność. Ktoś musi wrócić na „Holendra”.

– Zgadzam się. Potrzebna nam grupa rozpoznawcza, a być może także ktoś, kto wyłączy komputer pokładowy.

Naukowiec znowu milczał przez chwilę.

- Dlaczego? – zapytał w końcu. – Jeśli chcemy mieć nadzieję na przywrócenie...
- Doktorze, do systemów okrętu przeniknął nieznany, ale bez wątpienia wrogi element. Jeżeli przejmie kontrolę nad komputerem...
- Ach, no tak. Już rozumiem. Moglibyśmy podjąć pewne... środki – stwierdził Friedlander ostrożnie. – Odizolować rdzeń komputera od kluczowych systemów, na przykład układu sterowania uzbrojeniem. Wymagałoby to odłączenia...
- Zgłasza się pan na ochotnika, doktorze?
- Ja?!
- Jeżeli nie chcemy bez końca dryfować w kosmosie, ktoś musi określić stan okrętu.
- Chwileczkę, wcale nie powiedziałem, że potrafię...
- Znakomicie. Doceniamy pańską niezamordowaną pracę.

*

Samantha „Kula Ognia” Reed weszła ostrożnie do ładowni, pilnując, by jej buty za każdym razem przyczepiały się do pokładu, grodzi, czy nawet sufitu. Stawianie kroków w stanie nieważkości nie było dla niej problemem. Co innego włosy. Reed zwykle wiązała je w koński ogon, co w zerowej grawitacji okazywało się kiepskim pomysłem. Włosy sterczały na wszystkie strony niczym elektrostatyczny wachlarz i irytująco łaskotały w uszy. Można było je upiąć w kok, ale po jakimś czasie i to stawało się nieprzyjemne. Poza tym trudno układało się fryzurę z jedną ręką na temblaku. Zastanawiała się nad obcięciem włosów, jednak dla załogi byłby to znak, że nie należy się spodziewać rychłej poprawy sytuacji. Oficer do spraw morale nie powinien na to pozwolić. W ramach kompromisu Reed postanowiła nosić niebieską bejsbolówkę ze złotym napisem „UNS Walkiria CC-01”. Skippy wyprodukował

dla załogi całą serię takich czapek. Rzadko ich używano, bo nikt nigdy nie wychodził poza okręt bez kombinezonów. Kiedy daszek zasłaniał Reed widoczność, przekręcała go do tyłu. Było to bez wątpienia wbrew regułom, co tylko poprawiało jej humor. Cieszyłaby się jeszcze bardziej z tego drobnego aktu buntu, gdyby wywołała oburzenie u któregoś ze starszych sierżantów sztabowych US Army. Takich ludzi nie było jednak na pokładzie „Walkirii”.

Jeśli chodzi o ogólną sytuację, nie za bardzo było się z czego cieszyć. Jedyne plus stanowiło to, że dawna pokładowa SI nie zdołała nikogo zabić. Najwyraźniej skupiła uwagę na załodze mostka, ignorując pozostałych. Zamknęła jedynie drzwi na całym pokładzie, aby nikt nie mógł wyjść i narozrabiać.

Jerapthański kadet i ruharska oficer pozostawali zamknięci w kabinach, więc najedli się strachu, ale poza tym wyszli z tego cało. A teraz, nie dość, że zostali praktycznie porwani, gdy piraci wzięli na pokład drużynę komandosów z Paradise, to utkwili na dogorywającym okręcie.

Prawdę mówiąc, istniała jeszcze jedna rzecz, którą można było, z pewną dozą ostrożności, uznać za pozytyw. Komputer pokładowy wciąż się nie zrestartował. Żadna SI nie działała i nie podjęła próby zabicia załogi. Jednak okręt całkowicie stracił moc. „Walkiria” rzeczywiście była ogromną jednostką, jednak większość jej konstrukcji okazała się niedostępna dla istot żywych bez skafandrow kosmicznych. Kadłub pod ciśnieniem, gdzie dało się oddychać, stanowił jedynie fragment części dziobowej. W chwili odcięcia zasilania znajdowało się tam mnóstwo życiodajnego tlenu. Jednak poziom dwutlenku węgla wciąż wzrastał. Nie dało się określić jego procentowej zawartości w powietrzu bez użycia specjalistycznych narzędzi. Może byłyby pomocne tutaj eksperymenty chemiczne, jednak

nikt z załogi nie był doświadczonym chemikiem. Zresztą i tak niewiele dało się na to poradzić. W kapsułach ratunkowych, pancierzach wspomaganych, lądownikach i na samej „Walkirii” znajdowały się małe zbiorniki awaryjne z czystym tlenem. Łączny zapas z wszystkich tych źródeł był jednak rozczarowująco niewielki. Jak na ironię, winę za to ponosiła technologia stosowana na pokładzie. Systemy recyrkulacji działały tak sprawnie, że nie trzeba było magazynować wielkich ilości niebezpiecznego tlenu.

Sęk w tym, że recyrkulatory przestały pracować, tak samo jak wszystkie inne urządzenia na pokładzie, poza prostymi latarkami, większymi lampami przenośnymi i paroma radiami taktycznymi, które udało się uruchomić dzięki staraniom załogi. Ludzie rozebrali i zmodyfikowali kilka odbiorników, omijając wszelkie elementy wymagające oprogramowania. Drogie, zaawansowane, wielokanałowe radioodbiorniki szyfrujące, które na Ziemi były szczytem nowoczesności, zostały przerobione na coś niewartego demonstracji na lekcji techniki w liceum. Wykorzystywały tylko jeden kanał, ale przynajmniej działały, umożliwiając komunikację bez bieganiny tam i z powrotem. Walkie-talkie miały krótki zasięg, więc załoganci musieli przekazywać wiadomości dalej. Początkowo służyło to utrzymaniu łączności z mostkiem, dopóki Simms nie uznała, że stałe dyżury na mostku nie mają sensu. Bez zasilania „Walkiria” i tak nigdzie się nie wybierała. Reed znieruchomiała po wejściu do ładowni. Simms pochylała się nad długim cylindrem, pozbawionym górnej połowy.

– Pułkowniku? – zapytała Samantha drżącym głosem. – Co pani robi?

– To będzie nasz plan awaryjny – wymamrotała Simms,

ściskając śrubokręt w zębach. – Proszę mi pomóc.

– O jakim planie mowa? – Reed podeszła z ociąganiem.

Simms zdjęła część pokrywy taktycznej głowicy nuklearnej i majstrowała we wnętrznościach piekielnego urządzenia.

– To tak na wszelki wypadek. – Schowała śrubokręt do kieszeni. – Bez obaw, Reed, jeszcze nie zwariowałam. Nie planuję tego użyć w najbliższym czasie – zapewniła, poklepując obudowę głowicy.

– Ale ogólnie ma to pani w planach? – Reed stanęła dość blisko, by zobaczyć splątane kable i puste miejsce po jakimś elemencie.

– Nie, chyba że będzie trzeba. – Simms pochyliła się nad głowicą z nożycami i przecięła przewód. – Reed, nie możemy pozwolić, by ten okręt wpadł w ręce wroga.

– Chodzi o to, że kiedy skończy się tlen, odpalimy atomówkę?

– Zanim zabraknie tlenu, potrujemy się od nadmiaru dwutlenku węgla. Taki stan wywołuje dezorientację, zawroty głowy i osłabia zdolność oceny sytuacji. Decyzję o detonacji trzeba będzie podjąć jeszcze wcześniej.

Dla Samantha nie były to żadne wielkie nowiny.

– To może trochę potrwać, ma'am. Okręt jest ogromny i nie ma na nim zbyt wielu osób wdychających powietrze. Na początek zauważymy bóle głowy i sploty oddech.

– Możliwe, ale nie o to się martwię. Nieprzyjaciel może zjawić się na długo, zanim poziom dwutlenku węgla niebezpiecznie wzrośnie.

Sami wbiła wzrok w dziurę, z której Simms ewidentnie coś usunęła i wycięła kable.

– Dlaczego nieprzyjaciel miałby...

– Gdy tu skoczyliśmy, nastąpił rozbłysk gamma. Większość promieni skierowała się poza układ gwiazdny, ale rozbłysk i tak

dało się wykryć. Nie wiemy, co stało się z Bishopem, ale na pewno nic dobrego. „Holender” gdzieś zniknął, musimy więc założyć, że okoliczne łotry, kimkolwiek są, nie przestaną węszyć. I polować na nas, nawet jeśli nie mają pojęcia, kim jesteśmy.

– Zrozumiałam. Wysadzimy głowicę, jeśli zauważymy nadlatujący okręt wroga. Mam jednak pytanie, ma’am. Skoro czujniki nie działają, skąd będziemy wiedzieć, że wskoczyła tu inna jednostka?

Simms wskazała prawe oko.

– Zdamy się na stare dobre patrzaki. Obstawię załogą porty widokowe na obu burtach w pobliżu doków. – W tych miejscach znajdowały się przezroczyste okna do użytku awaryjnego. – Jeśli ktoś zauważy jakiś ruch, od razu zamelduje.

– A my wtedy się wysadzimy? – dopytywała się Reed, spoglądając sceptycznie na zdemontowane urządzenie. – Czy to wykonalne? Puszki sterownicze też posiadają oprogramowanie, więc pewnie padły.

– Zgadza się. Ale usunęłam bezpiecznik PAL – wyjaśniła Simms, mówiąc o mechanizmie chroniącym przed niedozwolonym użyciem urządzenia.

– Czy to dobry pomysł? Przepraszam, że o to pytam, ale czy w ogóle wie pani, co robi?

– Spokojnie, kapitanie. W Siłach Powietrznych nauczyli mnie, Bishopa, Changa, Smythe’a i kilku innych, jak się obchodzi PAL i

przestawia system na ręczną detonację. Wtedy wszyscy obawiali się, że Skippy spróbuje dezaktywować głowicę... Prawie skończyłam. Potrzebuję tylko dodatkowej pary rąk, żeby...

– Ma’am... – Reed przełknęła ślinę. Mogła zaoferować tylko

jedną rękę. – Proszę powiedzieć, co mam robić, a ja to zrobię. Bardzo ostrożnie.

*

– Moc rezerwowa spadła do dwudziestu trzech procent – zameldował Friedlander, choć wiedział, że wszyscy w sali konferencyjnej „Holendra” znali już tę ponurą informację. Chang pokiwał głową i powiódł wzrokiem po twarzach ludzi zebranych w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Brak sztucznej grawitacji wzbogacał spotkanie o szczyptę komizmu. Zebrani albo wciskali się w fotele, albo unosili się nad nimi, w zależności od tego, jak mocno zapięli pasy. Adams wyglądała na wyższą od Smythe’a, który zasiadał obok. Chang wolał nie dociekać, czy dowódca zespołu STAR poluzował subtelnie pasy, aby zyskać parę dodatkowych centymetrów wysokości.

– Zaczynaliśmy od trzydziestu pięciu procent – zauważył pułkownik. Pierwszy zespół, który wrócił na „Holendra”, zgłosił, że coś wyczerpywało moc rezerwową, chociaż żadne główne systemy nie były aktywne. – Przy takim zużyciu...

– Energia nie zużywa się jednostajnie – powiedział Friedlander. – Wykorzystaliśmy jej sporo podczas wejścia na pokład. – Aby wydostać ludzi z lądowików, trzeba było zamknąć drzwi doków i napełnić pomieszczenia powietrzem z rezerwowych zbiorników okrętu. Wszystkie te czynności, wykonywane ręcznie, pod kontrolą systemów lokalnych, czerpały energię z zapasowych magazynów pokładowych. Próba uruchomienia recyrkulatorów tlenu pochłonęła sześć procent rezerwy.

– Nie będziemy jej powtarzać – burknął Smythe. Już wcześniej sprzeciwiał się przywracaniu recyrkulacji.

– Musimy – zaoponował łagodnie major Kapoor, siedzący naprzeciwko. – Poziom dwutlenku węgla stanie się toksyczny,

jeśli nie oczyścimy powietrza. Na pokładzie jest zbyt wiele osób.

– Pierwsze podejście skończyło się fiaskiem – przypomniał Smythe zebranym, patrząc na Friedlandera. – Szaleństwem byłoby podejmować kolejną próbę, chyba że mamy lepszy pomysł na...

– Pułkowniku Smythe. – Chang machnął ręką, uprzedzając zacieklą dyskusję. – Wszyscy wiemy, że nie możemy zostać na „Holendrze”, a lądowiki nie pozwolą ludziom przetrwać dłużej niż miesiąc.

– Smythe ma rację. – Friedlander wiedział, że wszyscy oczekują, iż to on rozwiąże problem. Było to niesprawiedliwe, ale i nieuchronne. – Recyrkulatory nie mogą funkcjonować bez lokalnego sterownika. Dopóki nie dowiemy się, jak pozbyć się złośliwego kodu z procesorów, żaden komputer nie będzie działał jak należy.

– W ogóle nie będzie działał! – Smythe pomachał zFonem, na którym wciąż wyświetlała się bezładna plątanina symboli. Podobnie jak inni, Anglik również próbował zresetować urządzenie, nic to jednak nie dało. Mimo najróżniejszych sztuczek telefony nie chciały się wyłączyć. Jeden z nich zdemontowano, wyjęto z niego baterię, a potem złożono go z powrotem. Tego zFona nie dało się już uruchomić, a na słabo podświetlonym ekranie ukazywały się niezrozumiałe zakłócenia. Rozebrano jeszcze trzy telefony, z tym samym marnym skutkiem. Zwykły restart nie wystarczył, żeby usunąć usterkę.

– Doktorze Friedlander? – Chang zwrócił się ponownie do fizyka raketowego.

– Specjalizuję się w inżynierii mechanicznej – przypomniał naukowiec.

– Gdybyśmy mieli tu eksperta od cybernetyki, zapytałbym...

– Nie wiem, czy to by pomogło. – Friedlander pokręcił głową. – Tym okrętem steruje sztuczna inteligencja stworzona przez SI Pradawnych. Żaden człowiek nie byłby w stanie pojąć zasad obsługi tego systemu. Jeśli o mnie chodzi, wiem tylko tyle, że próba restartu reaktora byłaby szaleńczym posunięciem. Chang stłumił westchnienie. Początkowo chciał w pierwszej kolejności spróbować uruchomić reaktor, zamiast trwonić czas i rezerwy mocy na wznowienie pracy recyrkulatorów tlenu. Reaktory odgrywały kluczową rolę. Gdyby udało się włączyć choć jeden, oznaczałoby to przynajmniej koniec problemów z zasilaniem. Teraz jednak to, czego chciał Chang, nie miało żadnego znaczenia. Żaden sterowany komputerowo system na pokładzie nie działał.

– Nadal uważa pan, że powinniśmy spróbować połączyć SI z lądownika z okrętem? – spytał pułkownik.

– Najpierw musimy ją odizolować – odparł Friedlander. – Tak, wiem. – Uniósł ręce z rezygnacją. – Jak dotąd żadne nasze pomysły nie okazały się skuteczne. Musimy wy badać, co dzieje się w mózgu okrętu. Jak już mówiliśmy, zaczniemy od połączenia SI sokoła z prostym systemem, na przykład kontrolującym warunki otoczenia w doku. Jeśli lądownik rzuci nieco światła na nasz problem, być może zaczniemy chociaż rozumieć, jakie mamy opcje.

Chang ponownie spojrzął po zebranych.

– Ktoś zgłasza sprzeciw?

– Istnieje ryzyko, że SI sokoła również zostanie zainfekowana, prawda? – zapytał Kapoor.

– Rzeczywiście – przyznał Friedlander. – Chciałbym, żebyśmy mogli zrównoważyć to ryzyko argumentem, że SI lądownika mogłaby przejąć kontrolę nad niektórymi układami „Holendra”, ale te dwie jednostki nie są ze sobą kompatybilne. Nawet

sztuczna inteligencja thurańskiego sokoła nie potrafi porozumieć się z komputerami lotniskowca. Zbyt drastycznie je zmodyfikowaliśmy.

– Ktoś ma jeszcze jakieś uwagi? Nie? – Chang odpiął pas. – Doktorze, proszę działać. Zapewnimy panu wszelkie dostępne zasoby.

ROZDZIAŁ 3

Przebudziłem się, a raczej przestałem być nieprzytomny. Jaka to różnica? A taka, że zamiast mgliście zdawać sobie sprawę z trwających wydarzeń, zacząłem rozumieć, że to wszystko spotyka właśnie mnie. I że istnieje ktoś taki jak „ja”.

Proszę się nie śmiać. Po prostu mózg odmawiał mi posłuszeństwa.

Musiałem stopniowo uświadamiać sobie fakt własnego istnienia. Skupiałem się i rozpraszałem, usiłując zebrać wszystko do kupy.

Krok po kroku ustaliłem, kim jestem, a następnie gdzie się znalazłem. Ale jak tu trafiłem? Tego już nie wiedziałem.

Byłem w pomieszczeniu szerokim na jakieś dziesięć metrów. Nie wiedziałem, jak daleko znajduje się tylna ściana, o ile w ogóle gdzieś była. Z kolei przednia...

Chwileczkę... Jakim cudem policzyłem, że miała dziesięć metrów szerokości? Cóż, zastanowiłem się, ile moich kopii zdołałoby położyć się na podłodze wzdłuż ściany. Na moje oko zmieściłoby się pięć. Mam niecałe dwa metry wzrostu, więc rachunek był prosty.

Pięć razy dwa daje dziesięć... Chyba.

Ściana musiała być od dziesięciu do piętnastu metrów ode mnie. Szacunki utrudniało mi to, że leżałem pod kątem jakichś czterdziestu pięciu stopni. Nie mogłem poruszyć głową, a może po prostu zapomniałem, jak się to robi.

Wydaje mi się, że długo musiałem sobie przypominać, jak się poruszać. Polega to na tym, że trzeba najpierw zdecydować, że się poruszę, a potem ustalić, którą część ciała wprawi się w ruch i w jaki sposób. Wówczas mózg przesyła sygnał, chyba wykorzystując elektryczność. Gąbczaste, elastyczne narządy zwane mięśniami poruszają się w odpowiedzi na impuls elektryczny z mózgu. Dlaczego? Myślę, że mięśnie boją się, że popieści je prąd, więc posłusznie wykonują polecenia mózgu, żeby uniknąć kary.

Na tym kończymy ten jakże wyczerpujący i fachowy wykład o ludzkiej anatomii. Świadectwo uczestnictwa w kursie proszę odebrać przy wejściu...

Kurde, no tak. Zapomniałem wyjaśnić, kim właściwie jestem. Sam potrzebowałem chwili, żeby do tego dojść. Szkoda tylko, że rzeczywistość okazała się rozczarowująca.

Kiedy stopniowo ogarniałem kwestię własnego istnienia, wyobrażałem sobie, że jestem Thorem, bogiem gromów, z legendarnym, niepokonanym młotem. Super sprawa! Nie mogłem opędzić się od kobiet i miałem zjawiskową fryzurę. Gdy w końcu pogodziłem się z faktem, że jestem po prostu sobą, zatęskniłem za czasem, gdy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że żyję.

Tak czy siak, nazywam się Joe Bishop. Jestem pułkownikiem Armii Stanów Zjednoczonych, choć wcale sobie na to nie zasłużyłem. Mówię o randze pułkownika. Bo z pewnością zapracowałem sobie na prawo obnoszenia naszywki US Army, zrywając się z łóżka absurdalnie wcześnie i jedząc wojskowe żarcie, które, uczciwie mówiąc, nie było aż tak paskudne. Marines wiecznie narzekają na to, co dostają w stołówkach. Z tego, co słyszałem, nie bez racji. Ale cóż mogę wiedzieć o marines? Jestem trepem z armii...

O czym to ja... A, tak.

Jestem Joe Bishop. Najbardziej farciarski E-5 w armii. E-5 to kod oznaczający sierżanta. Taki był mój stopień, zanim awansowałem na pułkownika, pod publiczność, aby zadowolić bandę morderczych kosmicznych skur...

Dobra, nie wnikajmy w to.

Dowodziłem kiedyś okrętem kosmicznym. Fajnie, co? Przy okazji, drogie panie, technicznie rzecz biorąc, kierowałem formacją aż dwóch okrętów, co czyni mnie komandorem.

Nie, nie mam nic wspólnego z zespołem Commodores.

Wicie, tym od „Brick House”.

Ale tak czy inaczej, jesteście pod wrażeniem, prawda? Nie?

Nic dziwnego. Bo jestem także zwykłym idiotą.

Wolę nie drażnić tego tematu. Przypominanie sobie wszystkich popełnionych błędów działa na mnie zbyt przygnębiająco.

Przejdźmy do kolejnego tematu. Gdzie się znalazłem?

Miejsce to wyglądało na coś w rodzaju szpitala. Było sterylnie czyste. Pomalowano je na ciemnoszaro, pewnie dlatego, aby pocieszyć pacjentów, że jeśli wkrótce zejną, przynajmniej nie będą musieli oglądać tych ścian. Świeciło tam kilka jasnych lamp, w większości skierowanych w moją stronę.

O właśnie, okazało się, że potrafię poruszać gałkami ocznymi.

I do tego mam powieki! Otwierają się i zamykają! Ale bajer!

Reszta ciała najwyraźniej nie posiadała przydatnej funkcji ruchu. Widać nie zapłaciłem za tę opcję przy zakupie. Mogłem też dorzucić ochronę przed rdzą i jakieś wycieraczki.

Nie byłem w stanie ruszyć głową. Z językiem szło nieco lepiej, ale miałem wrażenie, że coś blokuje mi usta. Przypominało to ochraniacz na zęby, jakiego używają futboliści, ale było jeszcze grubsze. Reszta ciała pozostawała w bezruchu.

Bo była też jakaś reszta. Domyśliłem się tego, gdy zauważyłem palce u nóg. Wówczas do głowy przyszły mi dwie sprawy.

Po pierwsze, palce stóp śmiesznie wyglądają. Po drugie, byłem nagi. Dziewczyny, powstrzymajcie emocje. I tak byłbym niedostępny. W sensie fizycznym. Ten szpital, czy cokolwiek to było, znajdował się parę tysięcy lat świetlnych od Ziemi, więc ciężko byłoby mi wpaść z wizytą na bzykanko, relaks przy filmie czy jakkolwiek Ziemianie mówią teraz na łóżkowe wygibasy.

*

No co? Mogę chyba pofantazjować o tym, że jakaś babka chciałaby zaprosić mnie na bzykanko? Bądźcie wyrozumiali. A jeśli mój slang zdążył wyjść z mody, pamiętajcie, że w ostatnim czasie nie bywałem na Ziemi.

A zatem podsumujmy.

Jestem Joe Bishop, dureń pierwszej klasy.

Trafiłem do szpitala kosmitów, gdzieś...

Skąd wiem, że dorwali mnie kosmici? Po napisach w obcym języku na ścianie! To krystański alfabet. Leżałem za daleko, by cokolwiek rozczytać, widziałem jednak wielkie oznaczenie, które w naszym języku brzmiałoby G-3. Do czegokolwiek służył sektor G, ja musiałem być w trzecim pomieszczeniu.

Aha, jeszcze jedno.

Szpital był na jakiejś planecie. Po czym to poznałem? To proste. Grawitacja wgniatała mnie w łóżko czy cokolwiek to było. Na krystańskich okrętach nie ma sztucznej grawitacji, musiałem więc być na planecie Kristangów.

Tak, tak, mądrale, wiem, że krystańska jednostka mogła wywołać efekt przyciągania, stale przyspieszając, jednak to mało prawdopodobne. Okręty kosmiczne nie marnują paliwa

na takie manewry. Jeśli chcą przebyć spore odległości, wykonują skok.

Odpowiedzieliśmy sobie już na pytania „kto?” i „gdzie?”. Idę jak burza, co nie?

Jak tu trafiłem? Nie mam pojęcia! Moje ostatnie wspomnienie było raczej radosne. Pamiętałem odlot okrętów kosmicznych z planety i pomyślnie ukończenie jakiejś ważnej i niebezpiecznej misji. Myśl o tym napełniała mnie zadowoleniem, choć wciąż nie przypominałem sobie szczegółów.

Dlaczego się tam znalazłem? Po zastanowieniu olśniło mnie, że musiałem zostać porwany przez Kristangów. Byłem niewyobrażalnie dumny z siebie po rozwikłaniu tej zagadki. Ostatnie pytanie brzmiało: kiedy? Tego również nie wiedziałem. Na ścianie przede mną nie wisiał żaden zegar. Pamięć mi nie służyła, a emocje wymykały się spod kontroli. W jednej chwili byłem pełen euforii, gotowy podbić świat, a zaraz potem pogrążałem się w przygnębieniu i marzyłem, by skulić się na kanapie w starym dresie, wyżerać piankę Fluff łyżkami ze słoika i zatracać się w żalu nad sobą.

Właśnie, Fluff... Kurde, ale byłem głodny!

Przez pewien czas tak to właśnie wyglądało. Na przemian traciłem i odzyskiwałem świadomość. Wybuchalem śmiechem na widok własnych stóp. Głowę miałem tak przekrzywioną, że nie widziałem swojego, no wiecie, sprzętu, ale to akurat nie powód do śmiechu. Głównie jednak zastanawiałem się, jak się w to wszystko wpakowałem.

I jak mogłem być aż takim kretynem.

ROZDZIAŁ 4

Margaret Adams upewniła się, że wewnętrzna śluza lądownika jest całkowicie zamknięta, a następnie ręcznie otworzyła drzwi prowadzące do doku. Pomieszczenie było słabo oświetlone,

głównie lampami z kabin dwóch ładowników. Jeden z sokołów miał włączone przednie światła, więc wszystko, co znajdowało się w doku, rzucało niepokojące cienie.

– Hej... – Stojący przy drzwiach Lamar Greene kiwnął głową do Adams.

– Cześć – odpowiedziała, rozglądając się na boki. Wokół ładowników rozstawiono łóżka połowe przymocowane do pokładu. Połowa była zajęta przez ludzi w śpiworach, luźno oplecionych pasami, dzięki czemu nie unosili się w stanie nieważkości.

Ponieważ sprzęt recyrkulujący tlen i wodę jak na złość wciąż odmawiał posłuszeństwa, jedynym źródłem świeżego powietrza pozostawały zadokowane ładowniki, z otwar tymi rampami i bocznymi drzwiami. Dwie małe jednostki nie miały dość siły, by filtrować powietrze w przestronnym doku, a po upływie trzech dni poziom dwutlenku węgla w tym miejscu zbliżał się do niebezpiecznego poziomu. I tak było tam lepiej niż w innych częściach okrętu, gdzie powietrze nabrało wyczuwalnego, nieprzyjemnego smaku.

– Przyszłam sprawdzić... Co pijesz?

Mężczyzna uniósł elastyczną, plastikową tubkę, przytrzymując kciukiem zakrętkę. Połowę pojemnika wypełniał gęsty, brązowy płyn.

– O to ci chodzi? – Przyłożył tubkę do ust, ścisnął i łyknął nieco płynu. – Wy, piraci, nazywacie to chyba szlamem.

– Wiem, jak to nazywamy – odparła sierżant. – Ale skąd to wytrzasnąłeś? Kurczę, myślałam, że Simms wyrzuciła cały ten szajs z pokładu już kilka misji temu.

– Jedna babka ze STAR, chyba kapitan Frey, dała mi z tuzin tych szlamów. Zostały tylko takie... – Greene oblizał się i skrzywił. – Czekoladowo-bananowe. Choć nie smakują...

– Ani jak czekolada, ani jak banan. Wiem, wiem... Bardziej jak kreda i plastik.

– Wszystko, czego potrzebuje dorastający chłopiec – zażartował Lamar, unosząc klapę kieszeni, w której miał kolejne pięć tubek. – W piechocie morskiej obiecano mi trzy posiłki dziennie. Mam swoje racje pod ręką.

– Przecież w kambuzie już się pieką świeże ciasteczka – zaprotestowała Adams. – Dlaczego wolisz jeść to paskudztwo?

– Ci ludzie muszą się porządnie odżywiać – odpowiedział Greene, wskazując cywili, śpiących lub zbitych w gromady i ubranych w podarowaną odzież. – Nie będę im odejmował jedzenia od ust. – Zacisnął wargi, po czym dodał: – Będę pił szlam na śniadanie, obiad i kolację, dopóki nie wypełnimy słowa danego ocalonym.

– Lamar... – Adams poczuła wyrzuty sumienia na myśl, że zjadła dwa ciastka, kiedy pracowała w kambuzie. – Mamy wystarczająco dużo prawdziwego jedzenia. Nie musimy się przetrzucać na szlam. Prędzej skończy nam się... – Urwała, gdy dotarło do niej, co właśnie mówi. – Tlen.

– Możliwe, ale to niczego nie zmienia. Pijąc tę cholerną papkę, pokazuję ocalonym, że jestem gotów do poświęceń. Że staram się cokolwiek dla nich zrobić.

– Jesteś dobrym człowiekiem. – Margaret pogładziła go po policzku.

– Jestem marine – odparł Greene. – Dołączyłem do korpusu, żeby chronić takich jak oni... Niech to szlag. – Potrząsnął głową z niesmakiem. – Ci ludzie byli bezpieczniejsi na tamtej planecie niż tutaj.

– Załoga ciągle pracuje nad naprawą okrętu – przypomniała Adams bez przekonania. Wszyscy wiedzieli, że próba zrestartowania układu recyrkulacji tlenu skończyła się

fiaszkiem.

– Minęło już cztery dni – parsknął Lamar. – Ziemianie, których uratowaliśmy, są przerażeni. I wkurwieni. Obwiniają nas o to wszystko i mają rację. Nie wiem, co mam im powiedzieć.

– „Walkiria” na pewno już nas szuka.

– Skąd wiesz, że nie wpadła w takie same tarapaty?

– Nie wiem – przyznała sierżant po chwili. – Będę mieć pewność dopiero, kiedy się z nami skontaktuje. To nie...

– Ten wasz doktorek od fizyki raketowej... Freedman?

– Friedlander.

– Właśnie. Wczoraj widziałem się z nim w mesie. Powiedział, że skoczyliśmy ćwierć roku świetlnego od wyznaczonego celu! Margaret, przestań chrzanić. Wszyscy ci ludzie umrą, zanim „Walkiria” zdąży nas choćby zlokalizować. Obiecaliśmy im pomoc, ratunek... Ja im to obiecałem – podkreślił, uderzając się w pierś. – Tutaj czeka ich śmierć, chyba że zdarzy się jakiś cud, bo sami już nie wiemy, co, kurwa, robimy.

Oskarżycielski wzrok Lamara sugerował, że mężczyzna nie mówił wcale o sobie ani o innych komandosach. Co gorsza, gdy Adams po raz pierwszy wspomniała o ataku, Greene sądził, że chodzi o fizyczną walkę z innym okrętem, i dopiero dużo później zorientował się, o co chodzi. Fakt, że „atak” okazał się problemem z oprogramowaniem, nie zaskarbił Margaret większego zaufania ze strony Lamara. Od tego czasu Adams mówiła mu o wszystkim, co wiedziała.

– Zapomniałeś o Bishopie i Skippym – powiedziała.

– Co nam po nich? Są gdzieś daleko, w lądowniku, który nie dotarłby tu nawet za dziesięć lat. A skoro mowa o Bishopie, cokolwiek was łączy, nie chcę w to...

– Nic nas nie łączy – przerwała Adams, sztywniejac. – Jest

moim dowódcą. Twoim zresztą też.

– Nic? – zapytał Lamar z niedowierzaniem.

Pogłoski przekazywane w sekrecie przez innych piratów wskazywały na coś innego. Może „sekret” nie był tu zbyt fortunym określeniem, bo relacje pomiędzy starszą sierżant sztabową a pułkownikiem były dla wszystkich tajemnicą poliszynela.

– Nieważne, to nie moja sprawa. Rzecz w tym, że Bishopa tu nie ma i nie będzie. Jesteśmy zdani na siebie.

– Nie. – Adams potrząsnęła głową. – Nie skreślaj Skippy’ego. Simms dowie się, że nie zjawiliśmy się w punkcie spotkania. Skoczy „Walkirią” po Bishopa i blaszaka. Prosiłeś o cud? Ta dwójka właśnie w tym się specjalizuje! Nie zliczę, ile razy wydostali nas z nierozwiązywalnych problemów. Niedługo nas znajdą. Musimy tylko poczekać.

Greene spojrział jej w oczy, szukając w nich zwątpienia.

– Skąd wiesz, że „Walkiria” nie ma tych samych problemów z oprogramowaniem?

– To niemożliwe. Posiada całkiem inny system operacyjny.

– Może i tak... – odparł, wyraźnie wąpiąc, czy Margaret zna tajniki działania komputerów obcych ras. – Słyszałem, że coś się stało ze Skippym. Lądownik Bishopa stracił maskowanie, a wszystkie mikrotunele się wyłączyły. Jeśli liczymy, że uratuje nas sztuczna inteligencja...

– Sierżancie Greene! – zawołał jakiś chłopiec. Szedł przez pokład w o wiele za dużych butach, siłując się z magnetycznymi podeszwami.

– Sanjay! – Greene złagodniał i podszedł do chłopca trzema długimi susami. – Poznałeś już tę panią? – Wskazał na Margaret. – To starsza sierżant sztabowa Adams.

Wychudły chłopiec nie uśmiechnął się, jednak pomachał

nieśmiało ręką, chowając się za Lamarem.

– Dzień dobry, sierżant Adams.

– Na imię mi Margaret. – Adams zrobiła krok w przód, jednak przystanęła, gdy Sanjay odsunął się z jękiem. – Miło mi cię poznać, Sanjay.

– Margaret Adams to moja przyjaciółka. – Greene delikatnie pociągnął Sanjaya, by chłopiec stanął obok niego. – Poznaliśmy się dawno temu, jeszcze na Ziemi.

Sanjay wbił wzrok w pokład. Nie był przekonany.

– Margaret jest w załodze okrętu od samego początku – dodał Greene.

Wówczas chłopiec podniósł oczy i wpatrzył się bacznie w Adams.

– Czy wszystko będzie dobrze? – zapytał.

Margaret pragnęła zapewnić Sanjaya, Greene’a i wszystkich pozostałych, że właśnie tak będzie. Gdyby przebywali na Ziemi, mogłaby pozwolić sobie na słowa pocieszenia. Teraz to nie wchodziło w grę. Sanjay doświadczył prawdziwej grozy.

Według plików przechwyconych przez Skippy’ego chłopiec miał dziewięć lat, choć wydawał się jednocześnie młodszymi i starszymi. Był drobny jak na swój wiek, ale można to było złożyć na karb stresu i niedożywienia. Patrzył zmęczonym wzrokiem, typowym dla kogoś znacznie starszego.

– Nie wiem, Sanjay – powiedziała Adams. – Naprawdę. Nie będę cię okłamywać. Sytuacja jest poważna. Żałuję, że was w to wciągnęliśmy. Nie sądziliśmy...

– A ja nie żałuję – stwierdził Sanjay.

– Jak to? – Adams wymieniła z Greene’em pytające spojrzenia.

– Przynajmniej jestem wśród swoich. – Chłopiec objął gestem ludzi stłoczonych wokół lądowników. A także Greene’a. I

Adams.

Margaret poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

*

W końcu coś się zmieniło. Nie wiem, kiedy nastąpiło to „w końcu”. Wydawało mi się, że czekałem całą wieczność. Gdy jednak ten moment nadszedł, wspomniałem tęsknie stare, dobre czasy, kiedy nawet nie zdawałem sobie sprawy, że istnieję.

Na salę weszli dwaj Thuranie, Kristang i kombot...

Brzmi to jak początek niezłego kawału.

Dwaj Thuranie.

„Łooo...” – powiedziałem w głowie głosem Keanu Reevesa, żeby poczuć się fajny.

Dwaj Thuranie.

Oj, mówiłem już o tym?

Niedobrze. Co tu się, u licha...

Byłem przecież w krystańskim szpitalu. Na ścianach nie widziałem thurańskich symboli. Wierzcie mi, napatrzyłem się na nie wystarczająco dobrze jeszcze na „Latającym Holendrze”, zanim dostosowaliśmy go do potrzeb piratów. Rikers była planetą należącą do Kristangów. Skąd więc Thuranie w...

O-o.

Jeden z zielonych ludzików majstrował przy maszynie, którą zauważałem kątem oka po prawej. Moje ciało przeszył lodowaty chłód, a potem ogarnęło mnie przyjemne ciepło. Pamięć nadal mi wracała. Wiedziałem już, że planeta, na której się znajduję, nosi nazwę Rikers, choć miałem mgliste wrażenie, że to my nadaliśmy jej takie przydomki. My, czyli Wesoła Banda Piratów...

Przyszło mi na myśl coś strasznego.

Zawsze gdy pozostawialiśmy okręt w potencjalnie

niebezpiecznej okolicy, każdy z nas przyczepiał do karku plaster zwany „samobójką”. Miał postać niewielkiej kropki i mógł usmażyć mózg impulsem elektrycznym, aby uniemożliwić odtworzenie pamięci, nawet z pomocą zaawansowanej pozaziemskiej technologii.

Gdy opuszczałem okręt, miałem na szyi taką „samobójkę”. A mimo to nadal żyłem. Znaczyło to, że plaster nie zadziałał. Musiałem założyć, że Thuranie go usunęli.

Krótko mówiąc, miałem przesrane. Gdyby zielone kurduple zmusiły mnie do wyznania prawdy albo uzyskały dostęp do moich wspomnień, mogłyby dowiedzieć się wszystkiego, co ich interesowało.

Nad moją głową zamajaczyła gęba Thuranina. Wystraszyłem się jak jasna cholera. Te zielone skurwiele już z daleka wyglądają szkaradnie, a teraz miałem jednego z nich tuż przed nosem. Jego oddech pachniał chrupkami serowymi.

Wiedziałem, że to „on”. Samce i samice Thuranów różnią się od siebie, a dzięki inżynierii genetycznej udało im się jeszcze bardziej uwydatnić te różnice. W myślach nazwałem tego osobnika Tweedledum, a jego koleżankę Tweedledee, na cześć dziwnych bliźniaków z „Alicji po drugiej stronie lustra”.

Tweedledum nie miał na sobie hełmu, ale był ubrany w przylegający, elastyczny pancerz, taki jaki nosili wszyscy Thuranie na pokładzie „Holendra”, kiedy przejeżdżaliśmy okręt... O, proszę! Znów coś sobie przypomniałem! Ależ mam superpamięć!

Tweedledum coś mówił, ale go nie rozumiałem. W końcu sztucznie generowany głos w lewym uchu odezwał się po angielsku:

– Człowieku, potrzebujemy informacji.

Thuranin przyglądał mi się bacznie, zaglądając najpierw do

jednego oka, a potem do drugiego. Chciałem go opluć albo ugryźć. Niemożność wykonania najmniejszego ruchu pogrzebała moje plany o zadaniu ciosu w imieniu ludzkości. Dobrze przynajmniej, że przez ten bezruch oraz ochraniacz wciąż tkwiący w szczęce nie mogłem udzielić żadnych przydatnych informacji.

Poczułem w ustach jakiś słodkawy płyn, a potem ochraniacz zaczął się poruszać. Samodzielnie. Ohyda! Skurczył się i wyslizgnął z moich ust. Wypadł na szyję albo pierś, a może i tam, i tam? Dzięki Bogu, że tego nie widziałem.

Tweedledum, czy Dum, jak go zdrobniale nazywałem, odsunął się nieco. Być może zauważył, że mam zęby i odzyskałem czucie w ustach. A także w twarzy i ogólnie wszędzie powyżej szyi. Nie było to nic miłego. Bolała mnie głowa, a na twarzy czułem kilkanaście skaleczeń i otarć. Oczywiście wyschnięte i piekące. Na szczęście ktoś prysnął mi w nie jakąś odświeżającą mgiełką.

– Co robiłeś na Rahkarsh Diweln? – zapytał Dum. Usłyszałem łomot, jakby kombot zmieniał pozycję. Zabójcza maszyna prawdopodobnie poruszyła się, by mieć mnie w polu widzenia, gdy Dum chodził wokół. Widziałem tylko czubek zielonej thurańskiej łepetyny.

– Przyleciałem na urlop w spa – odparłem ku własnemu zaskoczeniu.

Nie dziwiła mnie ta celna riposta. Znam swoje możliwości. Chodziło raczej o to, że w ogóle się odezwałem, mimo mocnego postanowienia, że nie dam gnojkom tej satysfakcji i nie piszę ani słówka.

– Tamtejsze źródła mineralne podobno dobrze robią na skórę. Tweedledum spojrzał najpierw na Tweedledee, a potem z powrotem na mnie.

– Na tej planecie nie ma akwenów mineralnych – powiedział.
– Czyli zostałem źle poinformowany.

– Kłamiesz – oznajmił Dum. Był kosmitą i mówił przez kiepskiej jakości translator, a mimo to w jego głosie dało się słyszeć irytację.

Właśnie to mnie zaniepokoiło. Jego ton nie mówił: „Nie przeciągaj struny”. Wówczas czułbym motywację, by poddać próbie jego cierpliwość. Miałem przed sobą chłodnego zawodowca, który mógł wykorzystać własną cierpliwość przeciwko mnie. Wiedział, że moja wytrzymałość na pewno ma granice.

– Eeee... – wydukałem. Chciałem powiedzieć prawdę. Powiedziałbym, gdybym cokolwiek pamiętał. Musiałem zostać odurzony. Gdy to sobie uświadomiłem, poczułem nowy przyływ determinacji i sprzeciwu przed zdradziecką współpracą.

– Powiedz prawdę... – polecił cicho Dum. Jego głos działał jak narkotyk. – Dlaczego tu przybyłeś? Kto cię przysłał?

Biłem się z myślami. Koleś wydawał się przyjazny. Próbował pomóc. Powinienem się odwdzińczyć. Thuranie przewyższali ludzkość pod każdym względem, więc należało okazać posłuszeństwo prawowitym władcom. Poza tym byłem zwyczajnie zmęczony i chciałem mieć to z głowy. Im szybciej puszcze farbę, tym szybciej będzie po wszystkim.

Poruszyłem ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Wszechświat jest zimny i niebezpieczny – ciągnął Dum. – Ludzie potrzebują ochrony. My możemy wam ją zapewnić. Cholera, moja zdradliwa jadaczka znowu formowała odpowiedź.

Nie mogłem jej powstrzymać... Ale może mogłem nieco zmienić słowa.

– Pierdol się, dupku! – Nie wiedzieć czemu wypowiedziałem te słowa beznamytnie i sztywno, niczym Arnold w „Terminatorze”.

Kątem oka zauważyłem, jak Dum poderwał głowę. Bez krzty gwałtowności czy gniewu. Był to kolejny pokaz jego wyważonej cierpliwości. Znaliliśmy się od paru chwil, a już zdążyłem go znienawidzić.

– Zechcesz współpracować – powiedział. Nie usiłował mnie przekonać, po prostu stwierdzał fakt. – Będziemy kontynuować kurację. Pomówimy z tobą wkrótce.

Znowu poczułem wszechogarniający chłód. Nie pamiętam, co było potem.

*

Simms obudziła się wolno w ładowni. Jej śpiwór szarpnął się na linie, do której został przyczepiony. Spanie w zerowej grawitacji wydawało się może przyjemne, ale wcale takie nie było. Jennifer wiecznie budziła się z opuchniętą twarzą i zatkanym nosem. Minęło sześć dni, odkąd na pokładzie padło zasilanie. Od dwóch dni przy przebudzeniu dokuczał jej ból głowy. Wewnątrz „Walkirii” gromadził się dwutlenek węgla i miało być jeszcze gorzej. Simms poprawiła łańcuszek na szyi. Drobne ogniwa ocierały jej skórę. Na łańcuszku zawieszony był klucz do głowicy jądrowej. Pułkownik początkowo zakładała go do snu, teraz jednak nosiła go stale, by przypominał jej, że jeśli postanowi zdetonować atomówkę, zrobi to wyłącznie na własną odpowiedzialność.

Pomimo wszelkich starań nigdzie nie udało się przywrócić zasilania. Dwoje obcych jeńców, czy „gości”, jak kazała ich nazywać, nie było w stanie pomóc. Jeraptha przy najmniej zachowywał stoicki spokój, natomiast Ru har ka wciąż nie mogła się pogodzić z sytuacją i wkurzyła się jeszcze bardziej na wieść,

że ludzie stracili panowanie nad maxolhxańską jednostką, której nawet nie powinni pilotować.

Simms wyczołgała się ze śpiwora, pociągnęła łyk wody z bidonu i omiotła głowicę światłem latarki. Nieliczna załoga okrętu źle reagowała na coraz bardziej trujące powietrze, narastający chłód i ogólny brak komfortu. Humorów nie poprawiała wiedza, że stan ten będzie się tylko pogarszał, aż w końcu Simms przekręci klucz i wysadzi wszystkich. Brakowało im najważniejszego – nadziei. Skoro „Latający Holender” przepadł, a los Bishopa i Skippy’ego pozostawał nieznany, czy warto było odwlekać nieuniknione?

Na co jeszcze czekała? Simms pogładziła klucz przez bluzkę. Może najlepiej byłoby go wykorzystać i oszczędzić wszystkim cierpienia? Skoro nie ma już nadziei...

Jennifer podpłynęła do głowicy i uniosła wieko, odsłaniając dziurkę od klucza.

*

Tweedledum wrócił. Tym razem towarzyszył mu tylko grzechoczący kombot. Maszyna miała schowane działa, ale utkwiała we mnie spojrzenie czerwonego oka. Spojrzenie, które miało chyba napełniać mnie lękiem, ale tak naprawdę wyglądało głupkowato. Spędziłem na „Holendrze” tyle czasu, że wiedziałem wszystko o kombotach. Nawet rozkładałem te cholerstwa na części, żeby zrozumieć, jak działają. Były to zwykłe roboty, sterowane implantami thurańskich cyborgów. Czujnik optyczny w ogóle nie musiał świecić. Ta funkcja służyła zastraszaniu słabych istot żywych. My uznaliśmy to za bzdurę i wyłączyliśmy ten dodatek u wszystkich kombotów na naszym okręcie.

Kombot nie wydawał mi się więc przerażający bardziej niż inne budzące grozę urządzenia w tym pomieszczeniu.

Zdażyłem już zauważyć, że nie jestem w szpitalu, a raczej na jakiejś sali przesłuchań. Nie rozumiałem tylko, dlaczego Thuranie wylądowali na planecie, zamiast wziąć mnie na pokład swojej jednostki.

O tak, pamiętałem ich okręt. Cokolwiek robiły mi te zielone pokurcze, używając narkotyków, środków chemicznych oraz nanomaszyn pływających w moim krwiobiegu i sondując mi mózg, ich zabiegi przynajmniej zdołały przywrócić mi pamięć. Gdy jednak przypomniałem sobie, co się stało, zdałem sobie sprawę, że jesteśmy w poważnych tarapatach.

Wszyscy, nie tylko ja. Mam na myśli członków załóg „Holendra” i „Walkirii”. Chang, Simms i Smythe zapewne spróbują mnie zlokalizować i uratować. Byłoby to skrajnie niebezpieczne i gdybym mógł skontaktować się z Changiem, zakazałbym mu zbliżyć się do planety. Narażanie okrętów nie miało sensu. I tak nie mogłem ująć z tego z życiem. Zresztą bez pomocy Skippy’ego operacja ratunkowa była skazana na niepowodzenie. Liczyłem, że Kong to zrozumie i...

No właśnie, i co?

Bez Skippy’ego przepadła cała nasza nadzieja. Nie miałem pojęcia, co pocnie Chang z dwoma okrętami, bo sam nie wiedziałem, jak postąpiłbym w takiej sytuacji. Niewiele można było zrobić. Bez Skippy’ego nie dało się aktywować tunelu czasoprzestrzennego Pradawnych przenoszonego w pobliże Ziemi. Cała akcja okazała się stratą czasu.

Najgorsze było jednak to, że chciałem współpracować z Dumem. Mało tego, czułem, że jestem mu winien lojalność. Był po mojej stronie, gotów chronić rodzaj ludzki. Wystarczyło, że powiem całą prawdę. Och, jakże pragnąłem to zrobić.

Ale nie mogłem. Nie wiem dlaczego. Thuranim przepytawał mnie od wielu... godzin? Dni? Tygodni? Za każdym razem

starałem się udzielić odpowiedzi, na które zasługiwał, lecz albo nie byłem w stanie wydusić słowa, albo wygadywałem jakieś obraźliwe brednie. Źle się z tym czułem. Co gorsza, słyszałem, jak go okłamuję, przedstawiając oficjalną wersję wydarzeń.

– Człowieku – zaczął Dum cierpliwie – powiedziałeś, że wasza obecność na tym świecie była częścią operacji Legii Pozaziemskiej. Mielicie ocalić przetrzymywanych tam Ziemiaków. Twierdzisz, że Ruharowie poparli tę akcję. Rzeczywiście, wcisnąłem mu ten kit i bardzo się tego wstydziłem. Thuranie wyjaśnił, że jego okręt przybył na Rikers, aby wyzwolić ludzi uwięzionych przez Kristangów, a moje działania tylko wszystko spieprzyły.

Dziwna sprawa. Po części miałem świadomość, że Chang spróbuje mnie uratować, ponieważ Thuranie są krwiożerczymi sukinsynami. Z drugiej strony, chciałem współpracować z Tweedledumem, który pragnął jedynie pomóc moim ziomkom. Cóż mogę powiedzieć? Wtedy miało to dla mnie sens. Ale to pewnie sprawa prochów, którymi mnie faszrowano.

A skoro mowa o sensie, pogodziłem się ze zdradą Skippy'ego. Blaszak doznał ciężkiego szoku, gdy większość jego rzekomej wiedzy okazała się stekiem kłamstw. Odkrył, że Pradawni byli podłymi skurwielami, a on brał udział w ich okrutnych poczynaniach.

Sporo o tym myślałem. Nie łudziłem się, że Skippy ocali ludzi. To było już niemożliwe. Wierzyłem natomiast, że postąpi jak należy, patrząc z bardziej ogólnej perspektywy, w której ludzie byli zaledwie gromadką bezmyślnych dzikusów. Skippy uznał, że jego obowiązkiem jest nie jakieś wydumane ratowanie świata, ale ocalenie całej Galaktyki. Mógł mieć rację. Co komu po uratowaniu Ziemi przed Maxolhxami, jeżeli złe SI przebudzą się i zniszczą całe rozumne życie w Drodze Mlecznej?

Właśnie dlatego musiałem zaufać wspaniałości.

Hmm, to również mógł być efekt narkotyków. Bo w głębi serca wciąż nienawidziłem blaszaka za to, że olał naszą przyjaźń i zostawił nas na pastwę losu.

Trudno, chrzanić to. Teraz i tak nic nie mogłem na to poradzić.

Tweedledum cały czas do mnie gadał.

– Wiem, że kłamiesz – oznajmił, a mnie znowu zrobiło się zimno. – Zaczniemy od początku?

*

Mark Friedlander ściągnął mocniej sznurki śpiwora. Nie było mu zimno, po prostu nie chciał wysunąć się na zewnątrz, kiedy już zaśnie. O ile zdoła zasnąć.

Próba połączenia SI sokoła z komputerem „Holendra” okazała się nie tyle niepowodzeniem, co kompletną katastrofą. Zaraz po podłączeniu kabla do okrętu wszystkie ekrany na pokładzie lądownika zwariowały, a akumulatory zaczęły się przegrzewać. Odczepienie przewodu nie zatrzymało kaskady obcego kodu, a eksplozji udało się zapobiec tylko dzięki otwarciu włazów i ręcznym wyrwaniu okablowania akumulatorów. Jeden z nich i tak zdążył się roztopić, uszkadzając przy tym dwa inne. Dla bezpieczeństwa Chang polecił niezwłocznie wystrzelić sokoła przez zwiększenie ciśnienia w doku i wysadzenie drzwi.

Łądownik wciąż dryfował z prędkością niewiele ponad dwóch metrów na sekundę. Widok wirującego kadłuba był niczym drwina z głupich ludzi tkwiących na niszczącym okręcie.

Żywot „Latającego Holendra” niewątpliwie dobiegał kresu.

Friedlander robił, co mógł, by przywrócić moc albo przynajmniej uruchomić systemy podtrzymywania życia.

Wszyscy ludzie posiadający wiedzę techniczną postępowali tak samo. Jak na razie nie przyniosło to żadnych rezultatów.

Tego dnia Mark zauważył coś, co zmartwiło go tak bardzo, że postanowił zameldować o tym Changowi. Wśród załogi krążyło powiedzenie „zaufaj wspaniałości”. Używano go ironicznie. Każdy wiedział, że wspaniałość Skippy’ego nie jest godna zaufania. Teraz jednak ludzie zaczęli powtarzać to hasło ściszonymi głosami, niczym żarliwą modlitwę. Liczyli, że zdarzy się cud i Skippy przybędzie z pomocą. Uważali, że bez blaszaka należy porzucić wszelką nadzieję. Mark dopuszczał do siebie myśl, że może to być prawda.

Zamknął oczy, usiłując uspokoić myśli i zasnąć, albo przynajmniej trochę odpocząć. Wszystko na nic. Gdy tylko otwierał oczy, od razu spoglądał na mały wskaźnik mocy u dołu zFona. Kolejna dziwna i niewyjaśniona sprawa. Wskaźnik zazwyczaj świecił bardzo słabo. Teraz rozjarzył się na pomarańczowo, mimo że telefon nie był ładowany.

Friedlander nie był w stanie zrozumieć dziwnego zachowania zwykłego telefonu. Jak można było oczekiwać, że zrestartuje reaktor fuzyjny na okręcie kosmicznym?

Nie mając nic innego do roboty i czując wyczerpanie, tak fizyczne jak i emocjonalne, naukowiec gapił się na lampkę. Stopniowo tracił ostrość widzenia i przymykał powieki, odpływając w półsen...

Wtedy lampka zamigotała powoli i nierówno.

Włączyła się, wyłączyła, potem znowu włączyła.

Następnie zgasła dokładnie na sekundę.

Włączona, wyłączona, włączona, wyłączona, włączona.

Kolejna przerwa.

Włączona, wyłączona, włączona, wyłączona, włączona, wyłączona, włączona, wyłączona, włączona...

Friedlander oprzytomniał, szarpnął za sznurki i wyskoczył ze śpiwora. Na pokładzie „Holendra” nadal było ciepło za sprawą

izolacji zapewnianej przez próżnię oraz ciepła wydzielanego przez stłoczonych ludzi, więc Mark sypiał tylko w spodniach od dresu. Naciągnął koszulkę i wlepił wzrok we wskaźnik zFona. Znowu zamigał.

Siedem razy.

Dwa, trzy, pięć, siedem...

Liczby pierwsze! Lampka wcale nie migiała losowo. Ktoś próbował się porozumieć!

Aby mieć pewność, naukowiec odczekał jeszcze chwilę.

Wskaźnik pomiął liczbę dziewięć, podzielną przez trzy, a zatem niebędącą liczbą pierwszą.

Tym razem zamigał jedenaście razy. Potem trzynaście. I siedemnaście.

Friedlander spodziewał się, że następnym razem zaświeci się dziewiętnaście razy.

Zamiast tego mignął raz, a potem drugi.

Przerwa.

Dwa, dwa.

Przerwa.

Jeden, jeden.

Naukowiec wstrzymał oddech. Jeśli kolejną sekwencją miało być „jeden, cztery”, już wiedział, co...

Rzeczywiście. Jeden, cztery.

Friedlander wcisnął telefon do kieszeni, odbił się od kanapy i wyleciał z pokoju.

*

– Człowieku – odezwał się Tweedledum, by zwrócić moją uwagę. Tym razem oprócz niego w pokoju było jeszcze troje Thuranów, jeden samiec i dwie samice. Wydawało mi się, że każde z tej czwórki mówiło do mnie i zadawało pytania, ale mój mózg wciąż nie działał poprawnie, więc nie miałem pewności.

Przez większość czasu rozmawiałem z Dumem, a może chciał on tylko, abym tak uważał.

Powoli przeniosłem na niego wzrok, skupiając się na twarzy od nosa w górę. Dziwnie było słyszeć jego słowa, nie widząc ruchu ust.

Gdy Dum przekonał się, że jestem świadomy i skupiony, mówił dalej:

– Choć dołożyłem wszelkich starań, by okazać dobrą wolę, nadal odmawiasz współpracy. – W jego głosie, pełnym niewzruszonego spokoju, zabrzmiały niepokojące tony. Najwyraźniej jego cierpliwość miała swoje granice, albo po prostu inne zielone złamasy kazały mu się sprężyć. – Musimy przejść do kolejnej fazy, obejmującej bezpośrednio sondowanie mózgu. Będzie to dla ciebie niebezpieczne. Jeżeli chcesz powiedzieć prawdę, teraz jest ku temu najwyższy czas.

– Spierdalaj – usłyszałem własne słowa. Tak mi się przynajmniej wydawało.

W sumie brzmiało to jak coś, co mógłbym powiedzieć.

Widziałem kombota stojącego pod ścianą. Wcale się go nie bałem. Co innego, jeśli chodzi o wielką maszynę zniżającą się do mnie z sufitu...

ROZDZIAŁ 5

– Doktorze, czy jest pan... – zaczął Chang, ale ziewnięcie nie dało mu dokończyć.

– Tak! Jestem pewien. Proszę spojrzeć. – Naukowiec pokazał kapitanowi „Latającego Holendra” zFona z migającym wskaźnikiem naładowania.

– Na co właściwie patrzę? – zapytał Chang. Wcześniej spał w fotelu dowódcy, z pasem luźno owiniętym wokół talii. Jedyne podłączony ekran ścienny nadal wyświetlał pozbawiony logiki ciąg znaków, jakby szydząc z każdego, kto na niego spojrział.

– To liczby pierwsze. Początkowo zFon nadał liczby od jednego do siedmiu.

Obaj mężczyźni obserwowali urządzenie, jeden niecierpliwie, drugi sceptycznie. Lampka najpierw paliła się dłużej, potem zaczęła migać. Dwa, trzy, pięć, siedem, jedenaście...

– Ma pan rację – zdumiał się Chang.

Trzynaście, siedemnaście...

– Uwaga, to będzie ważne. – Dłoń Friedlandera drżała z podekscytowania.

Telefon przeszedł do niezrozumiałej sekwencji: jeden, jeden, dwa, dwa, jeden, jeden...

– O co chodzi? – dopytywał Chang.

– Chwileczkę. Dajmy jej skończyć. – Twarz naukowca rozjaśniła się w uśmiechu.

Lampka migiała dalej, kończąc na sygnale „jeden, jeden”.

Potem, zamiast wrócić do liczb pierwszych, rozjarzyła się stałym światłem.

– Nic z tego nie rozumiem – wyznał kapitan okrętu. – Proszę to wyjaśnić.

– Naturalnie. Najpierw jednak powinniśmy sprawdzić, czy pański telefon zachowuje się tak samo.

Chang sięgnął do kieszeni po zFona, którego nie sprawdzał od dwóch dni. Widok bezużytecznego urządzenia, wyświetlającego niezrozumiałe symbole, działał na pułkownika przygnębiająco. Telefon powtórzył sekwencję. Zaczął od liczb pierwszych, by potem wyemitować niezrozumiałą dla Chang'a ciąg sygnałów, kończący się na „jeden, jeden”.

Dobry nastrój Friedlandera okazał się zaraźliwy. Chang również się uśmiechnął, choć nie wiedział dlaczego.

– Doktorze, proszę nie trzymać idioty w niepewności. Co to za szyfr po liczbach pierwszych? To nie alfabet Morse'a.

– Rzeczywiście. Morse to nie najlepsza metoda komunikacji dla... – Mark zauważył, że uśmiech kapitana nieco przygasł. – To prosty szyfr „pięć na pięć”. Więźniowie używają go, żeby się porozumieć, stukając w ściany cel albo kraty. W przeciwieństwie do Morse’a nie wymaga dwóch rodzajów sygnału, długiego i krótkiego. Puknięcia nie da się wydłużyć. Pokażę panu... – Wyciągnął mazak i zaczął pisać po jednym z odłączonych ekranów. – To...

– Pisze pan po... – zaczął Chang, ale potem machnął ręką. – Proszę mówić.

– Jeśli pan woli, mogę pisać po ścianie.

– Nie, niech pan kontynuuje. Niedziałający ekran i tak do niczego nam się nie przyda.

– W porządku. – Friedlander wyrysował siatkę dwudziestu pięciu kwadratów. Ponumerował kolumny i wiersze cyframi od jednego do pięciu. – Dwadzieścia pięć pól, dwadzieścia sześć liter w alfabecie. Ekhm... – Naukowiec przypomniał sobie, że rozmawia z Chińczykiem. – Mowa oczywiście o alfabecie łacińskim, czyli...

– Zrozumiałem.

– Dobrze. W wierszu na samej górze mamy A, B, C, D i E. C dodatkowo oznacza także K. – Friedlander wypełnił pozostałe wiersze. – Sekwencja mignięć po liczbach pierwszych zaczyna się od dwóch jedynek. Rząd pierwszy, kolumna pierwsza. Co nam to daje?

Chang zmrużył oczy. Doktor bazgrał jak kura pazurem, mazak zostawiał smugi, a mostek był kiepsko oświetlony.

– A. Jeden i jeden to litera A.

– Otóż to! Potem mamy dwa i dwa...

– Czyli G! – Chang zaczął rozumieć zasady działania szyfru. – Potem znowu jeden i jeden, oznaczające A, czyli... – Wciągnął

powietrze i wlepił wzrok w fizyka raketowego.

– Widzi pan? – Friedlander uśmiechnął się niczym profesor dumny ze szczególnie bystrego studenta.

– Agada!

– Właśnie. Pułkownika Chang, Agada żyje! Porozumiewa się z nami za pośrednictwem lampek w telefonach.

Chang spojrział na swojego zFona z mieszaniną zdumienia i przerażenia.

– Od jak dawna to trwa? – zapytał.

– Nie wiem. – Doktor wzruszył ramionami. – Wszyscy sądziliśmy, że te symbole to jakiś nonsensowny ciąg znaków. – Klepnął włączony ekran. – Dopiero przed chwilą zwróciłem uwagę na migający wskaźnik naładowania.

– Kod „pięć na pięć”? Tak pan to nazwał? Jak udało się panu rozpoznać coś tak nieoczywistego?

– Jestem mózgowcem. To chyba taka moja supermoc.

– Nie wątpię. Doktorze, proszę folgować swojej naturze mózgowca, kiedy tylko pan zechce. – Chang roześmiał się. Po raz pierwszy, odkąd zapadły się mikrotunele i urwał się kontakt ze Skippym, oficer odczuł coś innego niż lęk.

– O! Proszę spojrzeć! – Friedlander wskazał na telefon Changa. – To jakiś nowy ciąg. Niech mi pan go przeczyta.

Chang odczytywał liczby, a Friedlander zapisywał odpowiednie litery.

– Wychodzi „halo”. Agado? – Naukowiec odruchowo spojrział w sufit. – Słyszysz nas? Albo widzisz?

„Słyszę” – mówiło migające światło.

– Mamy coś dla ciebie zrobić? Czy w ogóle możemy ci pomóc? Jak? Czy istnieje jakiś sposób, żeby...

Chang dotknął ramienia rozentuzjasmowanego fizyka.

– Doktorze, powinniśmy zadawać pojedyncze pytania.

– Ma pan rację. Co mówi? – Lampka znowu zaczęła migać. Komunikat brzmiał: „Pomóżcie. Restart i czyszczenie pokładowego systemu operacyjnego. To trudne”.

Friedlander zaczynał już czuć skurcze w dłoni. Zapisał cały ekran i zszedł na ścianę pod nim.

– No dobra. – Spojrzał na kapitana. – Potrzebujemy więcej mazaków. I dużej powierzchni do pisania.

*

– Człowieku... – Tweedledum wrócił. A może w ogóle nigdzie nie odchodził? Nie wiedziałem. Łeb miałem jak z waty. Nie przesadzam. Czułem, jakby ktoś napchał mi waty do czaszki. Z moim mózgiem było coś nie tak.

Ciągle pozostawałem przy życiu. Niech to szlag. Liczyłem, że nie przeżyję kontaktu z sondą mózgową i dzięki temu nie zdradzę swoich ludzi.

– Niestety, nasz sprzęt sondujący zawiódł. – Thurandin obrzucił wzrokiem pełnym zdziwienia i zawodu wielką maszynę, która wracała teraz na sufit. – Nie rozumiemy, jak to się stało, że twój prymitywny mózg oparł się naszej technologii.

– Bardzo mi przykro, zasrańcu – usłyszałem swoje słowa.

Ha! Cierpliwość zielonego ludzika miała jednak swoje granice. Dum porzucił obojętny wyraz twarzy. Widziałem, że jest wkurwiony. Nic dziwnego, w końcu skompromitował się przeze mnie.

– Uważasz się za sprytnego... – powiedział, sztyletując mnie spojrzeniem.

Czy był wystarczająco rozgniewany, żeby mnie zabić w przyływie emocji? Miałem taką nadzieję. Z trudem znosiłem tortury. Przede wszystkim byłem rozpaczliwie zmęczony.

Zachowanie Thuranina sugerowało, że cokolwiek wyczyniał z tą przerażającą sondą, nie zdołał wydobyć ode mnie żadnych

przydatnych informacji.

Brawa dla mnie!

– Wiedz, człowieku, że nie interesuje nas już, dlaczego przybyłeś na tę planetę ani z kim współdziałasz – oznajmił mój oprawca. – Ciekawi nas natomiast, dlaczego nasz mechanizm sondujący nie jest w stanie uzyskać wyraźnego obrazu twojej architektury neuronowej. Dlatego wyciągniemy mózg z twojej czaszki i poddamy go sekcji i analizie. Z przyjemnością informuję, że nie przeżyjesz tego zabiegu.

„Bogu dzięki” – pomyślałem. Wszystko się skończy, zanim zacznę mleć ozorem i sprowadzę zgubę na cały swój rodzaj. Wystarczyło się skupić na milczeniu i czekać na...

– Heeej, Joe! – odezwał się ktoś.

Jasna cholera. To Skippy!

Początkowo znieruchomiałem, przekonany, że to jakiś omam.

– Hej! – powtórzył blaszak. – Śpisz? Jest ktoś w domu?

Halooooo!

– Skippy? – spróbowałem odpowiedzieć, choć w ustach znowu miałem jakiś ochraniacz. Tweedledum spojrzał na mnie groźnie, zaskoczony, że się odezwałem.

– Kurde, nie próbuj mówić. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, po prostu o tym pomyśl.

„Umiesz czytać mi w myślach?” – zapytałem bezgłośnie.

– Tak.

„Twierdziłeś, że tego nie potrafisz! Ty kłamco!”

– Zwykle nie potrafię. To jednak szczególny przypadek.

„Niby dlaczego?”

– Nie mamy czasu na wykłady naukowe. Wszczepiłem ci do mózgu kwantowe maszyny. Możesz nazywać je kwaszynami, jakkolwiek dziwnie to brzmi. Wchodzą w interakcje z twoimi neuronami i działają jak przekaźniki, a ja jestem w stanie

odczytywać powstałe komunikaty. Niestety, nie da się ich używać długo, bo grozi to trwałym uszkodzeniem mózgu. „Thurańska sonda nie zadziałała właśnie dzięki tym twoim kwaszynom?”

– Owszem. Również z tego powodu nie odpowiadałeś na pytania, choć zieloni pompowali w ciebie prochy. Joe, słuchaj, nie mamy czasu na pogaduchy. Za parę minut zaczną kroić ci mózgownicę. Musimy cię wydostać.

„Jasna sprawa. I co, zamierzasz tu wpaść i mnie wynieść?”

– Nie. Będziesz musiał raczej wyjść o własnych siłach.

„Jestem na ciebie wściekły”.

– Ja na siebie również. Możemy jednak ustalić termin spotkania Antyfanklubu Skippy’ego, kiedy już stąd uciekniesz? Joe? – dodał, gdy nie odpowiedziałem od razu.

„Jaki masz plan?”

– Przejąłem częściową kontrolę nad uzbrojeniem na planecie i wokół niej. Zaatakuję szpital, żebyś mógł nawiać.

„Zaatakujesz szpital? Zdajesz sobie sprawę, że jestem w środku?”

– Tak. Musisz mi zaufać.

Zbaraniałem.

– Joe? Powiedz coś.

„Zaufać? Tobie?”

– Wiem, wiem – westchnął, co było dziwne, bo tak naprawdę nie słyszałem jego głosu. – Posłuchaj, wiem, że wolałbyś zaczekać, aż Chang i Simms przybędą na pomoc, ale...

„Nie! Nie chcę, żeby tu przylatywali. To zbyt niebezpieczne. Masz z nimi kontakt?”

– Nie, ale...

„Jeśli się z nimi skontaktujesz, przekaż im, że rozkazuję trzymać się z dala od tej planety do czasu, aż zdołam się z nimi

porozumieć. Z całą pewnością nie chcę, żeby Smythe wymyślał teraz jakiś pomyłony plan...”

– Joe, nie mam łączności z żadnym okrętem. To mnie właśnie martwi. Powinny już tu być. Przynajmniej jedno z nich powinno wskoczyć, żeby przeprowadzić rozpoznanie.

„O kurwa. Czy coś im się stało?”

– To nie do pomyślenia. Może czekają, aż się z nimi skontaktuję? Nie wiem. Załatwimy to później. Teraz musimy cię stąd wydostać!

„Tak po prostu? Najpierw wystawiasz mnie do wiatru, a potem wracasz i spodziewasz się, że wszystko...”

– Teraz działamy, później pogadamy. Czas ucieka. Poza tym za każdym razem, gdy rozmawiamy, kolejny zestaw kwaszyn przepala się i uszkadza mózg.

Przestraszyłem się nie na żarty. Blaszak nie skorzystał z idealnej okazji, żeby zażartować z mojej małpiej mózgowicy. Widać bał się o mnie. Jaki miałem wybór? Jeśli Thuranie zrobią mi trepanację czaszki, nie będę już miał w czym wybierać. Martwiłem się, że „Holender” z „Walkirią” mogą mieć kłopoty i potrzebować pomocy. Śmierć znacznie utrudniłaby mi akcję ratunkową. Miałem jednak nikłe szanse na wyjście ze szpitala i umkniecie przed pościgiem. Myśl o ucieczce wydawała się cudowna, lecz nierealna. Nawet gdybym wyrwał się z łap Thuraków, nie byłbym w stanie pomóc dwóm okrętom, które były daleko od planety. Nadszedł czas, by porzucić dziecinne marzenia o bohaterstwie i spojrzeć prawdzie w oczy.

„Skippy, czy możesz aktywować samobójkę?”

– Nie. Thuranie ją zdjęli. Poza tym impuls, który uszkodził twój lądownik, unieszkodliwił też samobójkę.

„Cholera. Kontrolujesz tutejszy sprzęt? Możesz go użyć, żeby usmażyć mój mózg?”

– Rany, Joe, serio chcesz umrzeć?

„Chcę dopilnować, aby Thuranie nie dotarli do moich wspomnień”.

– Kwaszyny je zablokują, mówiłem ci już. Joe, proszę cię, chociaż spróbuj uciec.

„No dobra” – zgodziłem się, nie dlatego, że wydało mi się to możliwe, ale dlatego, że jako żołnierz Armii Stanów Zjednoczonych miałem obowiązek próbować ucieczki. „Jak zamierzasz mnie stąd wydostać?”

– Jak już wspomniałem, ostrzelam szpital. Będziesz musiał wyjść z niego samodzielnie.

„O ile zdołam. W porządku, jestem gotowy” – oznajmiłem. Tweedledum zbliżał się do mnie, a straszliwa maszyna znów opuszczała się z sufitu. „Skippy, działaj” – ponagliłem blaszaka.

– Nie mogę tak sam z siebie aktywować broni – westchnął ze znużeniem. – Zapomniałeś? Musisz nacisnąć Wielki Czerwony Guzik.

„Niby jak?! Nie mam przy sobie telefonu, kretyńce jeden! Jesteś...”

Zacząłem się krztusić, gdy ochraniacz skurczył się i wypętlzył mi z ust, spływając na brodę.

– Człowieku. – Tweedledum górował nade mną. Musiał stać na jakimś krześle. – Masz ostatnią szansę. Powiedz prawdę, a daruję ci życie.

– Joe! – Wzdrygnąłem się, gdy głos Skippy’ego zagrzemiał w mojej głowie. – Wirtualny Wielki Czerwony Guzik jest zainstalowany w twoim podniebieniu. Wystarczy, że dotkniesz go językiem. Szybko! Ja już jestem gotowy.

– Hej! – wychrypiałem, spoglądając w kierunku Tweedleduma. Gdyby można było zabijać wzrokiem, gość byłby już trupem. – *Adiós...*

Thuranin przekrzywił głowę i zmrużył oczy.

– Nie rozumiałem. Nie igraj ze mną!

– Powiedziałem... – Przełknąłem ślinę i oblizałem spierzchnięte usta. – *Adiós*, skurwysynu!

Nacisnąłem językiem podniebienie.

Budynek się zatrzęsł. Światła pogasły. W pokoju rozległ się huk wystrzałów. Salwa pocisków dziurawiła ściany i oślepiła mnie jak stroboskop.

Budynek znowu zadrżał, tym razem jeszcze mocniej.

Nie pamiętam, co było dalej.

*

– Joe!

O rany, dopadł mnie kac morderca...

– Joe! Ej! Hej, Joe!

Na przyszłość muszę pamiętać, żeby trzymać się z dala od tequili. Czy innego podstępnego trunku, przez który zapadłem na syndrom dnia wczorajszego. I do tego jeszcze jakiś dupek nie chce się zamknąć. Ludzie chcą pospać!

– Hej! Obudź się, głąbie!!!! – ryknął Skippy nie wiadomo skąd.

Miałem wrażenie, jakby ktoś przebił mi uszy szpikulcem do lodu.

O w mordę... Przypomniałem sobie..

– Co... – zacząłem, ale dostałem ataku kaszlu. – Co? Gdzie?

– Jesteś w szpitalu. Choć tak naprawdę to wcale nie szpital.

Rzeczywiście. Pamięć wracała. Mówienie sprawiało mi ból, więc spróbowałem odpowiedzieć w myślach. Blaszak milczał.

– Musimy gadać tradycyjnym sposobem, Joe – wyjaśnił po chwili. – Nie możemy ryzykować z kwaszynami. Już teraz obawiam się skumulowanego efektu, jaki na tobie wywarły.

– Jak... – Znowu się rozkaszałem. Zaczynało mi to działać na nerwy.

– Jakim cudem rozmawiamy? Słyszę cię... Tak

naprawdę, uszami.

– Korzystamy z systemu komunikacyjnego tego kombota – tłumaczył Skippy. Nie skorzystał z okazji, by nabijać się ze mnie, gdy odkryłem, że do słuchania służą uszy. – Zamknij oczy.

Włączam światło.

Trochę za wolno zacisnąłem powieki, więc oślepił mnie nieznośny blask.

– Za jasno! Za jasno! – Zacisnąłem zęby. Oczy bolały, jakbym miał w nich szpilki.

– Przepraszam. Tak lepiej?

– Daj mi chwilę. Na razie nic nie widzę. – Przed oczami latały mi powidoki.

– Nie mamy ani chwili.

– Ale nic nie widzę!

– Josephie, proszę, współpracuj ze mną. Naprawdę nie ma czasu do stracenia.

O rany. Nazwał mnie Josephem. I darował sobie kąśliwe uwagi. Dawny Skippy zachłystywałby się sarkazmem i nie omieszkiał wspomnieć, jakie obrzydzenie czuje, oglądając mnie nagiego.

– Dobra – skapitulowałem. – Co mam zrobić?

– Kombot wyswobodzi cię z łóżka. Mam ograniczoną widoczność. Musisz mnie prowadzić, żebyśmy nie zrobił ci krzywdy.

– W porządku... Hmm, nie mogę ruszyć głową.

– To nasz pierwszy problem. Wokół głowy masz opaskę.

Czujesz ją przy czole?

– Chyba tak – odparłem, szarpiąc łepetyną najmocniej jak mogłem. – Zdaje się, że jest przyczepiona z tyłu.

– Zgadza się. Najpierw trzeba zerwać to połączenie. Powiedz, kiedy poczujesz za głową szczypcę kombota.

Przypomniałem sobie, jak sierżant Adams przecinała kiedyś takimi szczypcami stalową belkę.

– Słuchaj, może to nie taki dobry...

Za moją głowę wsunęło się coś zimnego, co nieprzyjemnie mnie zadrapało.

– Za blisko! Za blisko!

Przyrząd oddalił się i czułem już tylko chłodny dotyk.

– Tak lepiej? – zapytał Skippy.

– Zdecydowanie. Mógłbyś pracować powoli?

– Niestety, szczypce mają tylko jedno ustawienie w trybie cięcia – odparł blaszak smętnie.

– Kumam. A może najpierw przelączysz je na tryb chwytania i zaciśniesz?

– No tak! Ale ze mnie tuman. To świetny pomysł. Wybacz. – Tym razem użył zacisków, a opaska wokół głowy zaczęła mnie uwierać. – Mocniej już się nie da.

– Dobra. Zabierz zaciski i użyj szczypiec, przecinaka czy jak na to mówisz.

– Nie ruszaj głową!

– Bez obaw. Chwila! A jeśli odłamek tego żelastwa wystrzeli przy cięciu i trafi mnie w kręgosłup?

– Szczypce pracują jak najdalej od ciebie. Utrudnia mi to zadanie, bo są do góry nogami w stosunku do zwykłego trybu.

– Do dzieła.

Okłamał mnie. Albo się pomylił. Coś ostrego obluzowało się, skoczyło w górę i okaleczyło mi prawą skroń.

– Au!

– O kurde, przepraszam, brachu!

– Nie ma sprawy. – Nacisk na moje czoło zelżał i mogłem swobodnie ruszać szyją. – Udało się! – Uniosłem głowę i zobaczyłem, że obie ręce od łokci w dół są zamknięte w

twardych, grubych tulejach. Nogi tak samo.

Kombotem sterowało się dużo łatwiej, gdy mogłem go obserwować. Po niecałej minucie byłem wolny. No, może nie całkiem. Musiałem jeszcze wyciągnąć rurki wbite w lewe przedramię i w żyłę w lewej pachwinie. Na szczęście Thuranie wszędzie zainstalowali porty, więc wystarczyło wszystko odłączyć. Zielonym ludzikom takie rozwiązanie wydawało się prymitywne. Z kolei ja z niedowierzaniem patrzyłem, jak otwory się zamykają.

– Dobra, czas w dro... – Spróbowałem usiąść i zwiesić nogi z łóżka. Nie do końca mi się powiodło, bo tylko jedna noga zechciała mnie posłuchać. Pod wpływem ciężaru straciłem równowagę na łóżku, które przestało działać i nie mogło się do mnie dopasować. Najpierw wolno, a potem coraz szybciej zacząłem się staczać, machając bezradnie rękami na śliskiej powierzchni. Niczym pociąg pędzący ku katastrofie, spadłem i wyrznąłem głębia w zimną, twardą podłogę.

– Joe! Żyjesz?

– Przydałaby się pomoc – wymamrotałem w płytki podłogowe. Mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa. Może przez długotrwałą beczynność, a może przez narkotyki w krwiobiegu.

– Zostań tu.

– Spoko. Zdrzemnę się trochę.

– To nie pora na sen!

– Żartowałem!

Przekręciłem głowę, by dotykać podłogi policzkiem. To był błąd. Tuż przede mną leżały zakrwawione zwłoki Thurana. Mógł to być Tweedledum, ale nie miałem pewności. W pobliżu leżało jeszcze dwóch podobnych kosmitów. Raczej w kiepskim stanie. Sądząc po ogromnych dziurach w ich klatkach

piersiowych i po brakujących częściach ciała, musieli zginąć z ręki kombota. Przypomniałem sobie strzelaninę. A skoro mowa o kombocie, maszyna obchodziła łóżko i zmierzała w moją stronę z głośnym tupotem. Jedną nogą nadepnęła na głowę Thuranina i zmiażdżyła ją z obrzydliwym trzaskiem.

– Skippy! Stój! Depczesz po ludziach. – Ha. Jak to się stało, że zacząłem myśleć o morderczych zielonych kos mitach jak o ludziach? Może łatwiej było im współczuć, gdy leżeli już martwi i nie mogli nikogo skrzywdzić?

– Joe, z góry nie widzę zbyt dobrze. Czy to takie ważne? Możesz mi wierzyć, oni wszyscy nie żyją.

– Jestem amerykańskim żołnierzem. Nie będę bezcześcił zwłok nieprzyjaciół, nawet jeśli są ostatnimi gnojkami.

– Czy to dla ciebie ważne?

– Tak.

– A zatem dla mnie również. – Kombot uniósł stopę ociekającą krwią i innymi substancjami, o których lepiej nie mówić. – Tutaj? – Przesunął nogę w lewo.

– Jeszcze pół metra dalej. O, tu.

Fuj! Gdy robot postawił stopę, coś mokrego prysnęło spod niej prosto w moją twarz. Starłem to coś jedną ręką. Wolałem się nie zastanawiać, co to takiego.

– Hej! – wykrzyknąłem, zaskoczony. – Ruszyłem ręką!

– Rzeczywiście. To wspaniale, Joe. – Skippy również był zadowolony. – Zanim potraktowałem szpital strzałkami elektromagnetycznymi, podałem ci leki neutralizujące blokery nerwów w krwiobiegu. Wkrótce powinieneś stanąć na nogi. Próba wykorzystania nóg do czegokolwiek pożytecznego spaliła na panewce.

– Co rozumiesz przez „wkrótce”?

– Za parę minut? – zaryzykował. – Takie obliczenia

wykraczają poza nauki ścisłe. Thuranie nie zachowywali ostrożności przy dawkowaniu i nie odnotowywali wszystkiego jak trzeba. Przykro mi, ale mogłem jedynie oszacować poziom aktywności środków w twojej krwi.

– Spoko.

Odzyskiwałem czucie w nogach, co miało i dobre, i złe strony. Dobre, bo byłem w stanie poruszać stopami. Złe, bo czułem niemiłosierny ból w nogach i całym ciele. Skórę miałem pokrytą siniakami, obrzękami i siatkami popękanych naczyń krwionośnych.

– Dobrze, Joe, teraz opuszczę...

– Wolnego! Nigdzie się stąd nie ruszę, dopóki nie porozmawiamy o tym, co zaszło. Dobrze wiesz, co mam na myśli.

– Ech... – westchnął ciężko. – Powtarzam, pomówimy o tym później.

– I do tego czasu mam udawać, że wszystko gra?

– Spójrz w górę.

Gdy to powiedział, akurat oglądałem swoją klatkę piersiową, oceniając, czy mam połamane żebra. Wcześniej nienaruszony fragment skóry teraz pociemniał. Gapiłem się na niego z niepokojem, dopóki nie olśniło mnie, że to zwykły brud. Z góry sypała się na mnie ziemia. Uniosłem głowę i zrozumiałem, skąd się wziął.

Sufit pękł. Nie był wykonany z płyt kartonowo - gipsowych ani wyłożony kasetonami. Zbudowano go z litej płyty krystalicznego odpowiednika betonu. Teraz przepoławiała go ukośna szczelina. Połowa stropu opadła o kilkanaście centymetrów. Materiał podobny do betonu kruszył się na krawędziach, odsłaniając siatkę zbrojeń. Gdy tak się gapiłem, sufit przesunął się, obsypując mnie kolejną falą ziemi. Zacząłem kaszleć.

- Skip...Skippy? Czy jesteśmy pod ziemią?
- Tak, i wydaje mi się, że sufit zaraz się zawali.
- Ja pierdołę!
- No właśnie. Moje czujniki mają tu słaby zasięg, sądzę jednak, że cała budowla stała się niestabilna. – Kombot uniósł rozjarzone oko. – Oj... Cóż, ha, ha, wygląda na to, że trochę przesadziłem z działami elektromagnetycznymi. Zadrzałem, słysząc to jego „ha, ha”.
- Jak głęboko jestem?
- Mniej więcej dwadzieścia metrów pod poziomem gruntu. Płyta stropu znowu się przesunęła. Tym razem przez szczelinę wpadły niewielkie kamienie. Z ciężkim sercem musiałem przyznać blaszakowi rację. Rozmowa mogła poczekać, trzeba było wiać.
- Czas ruszać! – oznajmiłem. – Pomóż mi wyjść. Kombot przykucnął, wyciągając ramiona manipulatorów.
- Ohyda! – jęknął Skippy.
- O co ci chodzi?
- Kamera kombota pokazała mi twój włochaty, małpi zad. Kobiety muszą mieć źle w głowie, skoro lecą na...
- O tym też możemy pogadać później.
- Jasne, wybacz. Musisz wtoczyć się na ramiona kombota, aby cię uniósł. Gdybym spróbował cię zgarnąć z podłogi, mógłbym cię pogruchotać.
- Jasne. – W teorii plan Skippy’ego był dobry. W praktyce thurańskie komboty projektowano wyłącznie z myślą o przenoszeniu broni. Mogły dźwigać ciężary na plecach, jeżeli zamontowano im specjalne stelaże. Ten akurat takiego nie posiadał. Miał silne ramiona i potrafił zmienić środek ciężkości, by dostosować się do mojej wagi. W jego objęciach nie było mi wygodnie. Łapska robota pokrywały płyty pancerza, lufy i wiele

innych niezdolnie twardych przedmiotów. – Au! Zatrzymaj się! – krzyknąłem. – Coś harata mi plecy. Nic z tego.

– Nie ma innego wyjścia, Joe – odparł ze smutkiem. – Jak słusznie zauważyłeś, sufit zaraz się zawali.

– Dobra, ale... – Chwyliłem się ramion kombota, starając się trzymać z dala od potencjalnie niebezpiecznych, ostrych elementów. – Spróbuj za bardzo nie szarpać, co?

*

Kombot kroczył korytarzami szpitala, zrujnowanymi tak samo jak pomieszczenie, które właśnie opuściłem. Na korytarzach sufit wyginał się łukowato i na samej górze miał listwy oświetleniowe, które teraz oczywiście nie działały. Problem stanowiły wielkie wyrwy w ścianach. Dobrze chociaż, że nie przedostawał się przez nie sypki grunt. Po bokach musiały znajdować się inne pomieszczenia. Gorzej, że walące się ściany stanowiły przeszkody, które trzeba było ominąć. Kombot musiał lawirować w wąskich szczelinach i nie taranować ich moim ciałem.

– Skippy, to na nic – stwierdziłem, kiedy zahaczył moją lewą stopą o pochyloną płytę ścienną. – Stój, stój! Złamiesz mi nogę! Postaw mnie.

– Dasz radę chodzić?

Nogi bolały mnie jeszcze bardziej, ale znaczyło to, że przestały drętwieć. Nerwy przesyłały z nich sygnały do mózgu. Czy może powinny działać w drugą stronę? Poruszanie stopami przychodziło mi o wiele łatwiej niż przedtem. Pomachałem łydkami, by upewnić się, że kolana działają jak trzeba.

– Mogę spróbować. Postaw mnie na ziemi... Ale najpierw obróć tę maszynę.

Kombot skręcił tułów.

– Zaklinował się – powiedział Skippy.

– Zaczekaj. – Ześlizgnąłem się na kolana. Ostre odłamki pokaleczyły mi skórę i poczułem krew ciekącą na podłogę. – Skręć go z powrotem do przodu.

Używając maszyny bojowej w charakterze chodzika, podciągnąłem się i stanąłem zadziwiająco pewnie. Potem jednak spróbowałem zrobić krok i upadłem.

– Joe, tak do niczego nie dojdziemy.

– Daj mi minutę.

– Nie masz aż tyle czasu!

– Spróbuję jeszcze raz – nalegałem, choć wątpiłem we własne siły. Czy byłem uparty jak osioł? Czy może nie potrafiłem zaufać Skippy’emu? Spróbowałem ruszyć na sztywno wyprostowanych nogach. – Może być. Idź powoli. Widzisz dość dobrze, żeby spychać mi z drogi przeszkody?

– Tak – potwierdził zdawkowo. – Jesteśmy już blisko wejścia do tunelu. Tam będzie lepsza przepustowość.

Wlekliśmy się jak muchy w smole, nawet gdy powiedziałem Skippy’emu, że może przyspieszyć kroku.

– Dlaczego nie ma tu żadnych Thuranów ani jaszczurów? – dziwiłem się. Poza martwymi zielonymi cyborgami na sali szpitalnej nie napotkałem nikogo.

– Thuranie rozkazali Kristangom opuścić ten obiekt i zostawić jedynie paru wartowników na pokaz. Wszyscy już nie żyją, poza trójką krystańskich żołnierzy, którzy byli akurat po służbie i wyszli poza zasięg moich czujników. Nie wiem, gdzie teraz są.

Coś mi się nie zgadzało.

– Poza zasięg? Jak cokolwiek na tej planecie może być poza twoim...

– Joe... Powiedzmy, że chwilowo nie jestem w szczytowej formie. Obiecuję, że wyjaśnię to później.

Miałem ochotę wykrzyknąć, że jego obietnice są gównem. Wiedziałem jednak, że wrzaskiem niczego nie osiągnę.

– W porządku. Jaki mamy plan?

– Zamierzam, czy raczej zamierzałem cię stąd wydostać, a potem znaleźć kryjówkę i poczekać, aż „Walkiria” albo „Holender” przylecą zbadać sprawę zapadniętych mikrotuneli. Teraz sam już nie wiem. Tak czy inaczej, musisz stąd uciec albo nie będziesz miał żadnych szans.

– Po co to wszystko? – Ogarnęło mnie nagłe znużenie. – Kiedy jaszczury zobaczą, że szpital się zawalił, zlecą się tu jak pszczoły do miodu. Nie wspominając już o thurańskim okręcie na orbicie. Wyśle lądowiki albo zapełni okolicę...

– Kristangowie są bardzo zajęci – oznajmił bez typowego dla siebie złośliwego chichotu. – Ważne obiekty wojskowe i siedziby przywódców klanu zostały ostrzelane ich własną bronią albo działami Thuranów.

– O kurde – zdumiałem się tak, że nie patrzyłem, gdzie idę, i prawie się wywaliłem. – Przejąłeś ich łajbę?

– Owszem, choć w ograniczonym zakresie.

– Niech cię diabli! – Miałem ochotę palnąć się w czoło, jednak opanowałem się, zanim puściłem ramię kombota i wylądowałem na tyłku. Tak naprawdę wolałbym palnąć blaszaka w jego puszkę. – Dlaczego nic nie powiedziałeś? Przyślij po mnie lądownik, a potem odnajdziemy „Walkirię”.

– Niestety, to niemożliwe. Jak już mówiłem, moja kontrola nad thurańskim okrętem była mocno ograniczona. Zdołałem ją utrzymać przez jedenaście sekund. Potem załoga odcięłaby zainfekowany system i odzyskała panowanie nad jednostką.

– Oż w mordę... I co zrobiłeś?

– Cóż, okręt uległ autodestrukcji.

– SI wysadziła go, żeby powstrzymać cię przed przejściem

kontroli?

– Nie był to dobrowolny akt samozniszczenia, jeśli wiesz, co mam na myśli – wyjaśnił. Tym razem zaśmiał się cicho.

– Aha... – odetchnąłem, siląc się na śmiech. Wtedy zdałem sobie sprawę, że Skippy zażartował po raz pierwszy, odkąd nawiązał ze mną kontakt. Cokolwiek było z nim nie tak, pozostawał starym, dobrym blaszakiem, przynajmniej w jakimś stopniu.

– Przepraszam – powiedział zbolalym tonem. – Ten okręt mógłby się nam przydać. Nie miałem lepszego wyboru. W okolicy nie ma żadnych jednostek Kristangów.

– Mówi się trudno. Zrobiłeś, co mogłeś.

– Rzecz w tym, że Thuranie na razie nie stanowią problemu – zapewnił. – Na powierzchni planety jest ich czterech, ale zniszczyłem ich lądownik, więc nieprędko tu dotrą.

Kristangowie poszli w rozsypkę, a odnalezienie ciebie nie będzie dla nich priorytetem. Sądząc po wymianie wiadomości, którą ciągle śledzę, pozostali przy życiu wodzowie klanu mają dylemat. Z jednej strony chcą dowiedzieć się, dlaczego thurański okręt przypuścił tak agresywny atak i eksplodował wkrótce po wystrzale. Z drugiej, jak pewnie się domyślasz, robią co mogą, by ich rywale nie przeżyli dłużej niż kilka godzin.

– Zawsze możemy liczyć na to, że jaszczury w pierwszej kolejności będą chciały pozabijać siebie nawzajem, a dopiero potem nas. Ej! – zawołałem, gdy kombot skręcił w lewo. Tunel wznosił się ku górze. – Dlaczego nie idziemy prosto?

– Znalazłem szafkę magazynową, a w niej potrzebne przedmioty.

– Lepiej, żeby to było ważne...

– Jedzenie, Joe! Tutejsza flora i fauna jest w pewnym stopniu

kompatybilna z ludzkimi potrzebami żywieniowymi, ale nie miałbyś pojęcia, jakie rośliny możesz bezpiecznie jeść. W szafce jest kilka pudełek z żywnością dla ludzi. No, chyba że wolisz umrzeć z głodu.

– Skąd ludzkie żarcie w...

– Gdy sprowadzono tu Ziemiaków porwanych z Obozu Alfa, w szpitalu leczono poważnie chorych. Jest on częścią strzeżonej, odizolowanej bazy wojskowej. Tak naprawdę nigdy nie pomagano tu ludziom, bo Kristangowie mieli ich gdzieś. Łatwiej było porozmieszczać więźniów na wyspach i zmusić ich, by sami walczyli o przetrwanie.

– No tak. Rozkoszne stworzenia z tych jaszczurów.

Kombot przystanął przed drzwiami otwartymi na kilkanaście centymetrów.

– To tu. Drzwi się zaklinowały. Musisz się jakoś wcisnąć do środka.

Łatwo powiedzieć. Najlepiej było chwycić się kombota, potem drzwi, a potem półki w dość przestronnej szafce. Tak naprawdę była ona pomieszczeniem pełnym regałów i przedmiotów zwieszających się ze stropu. Nie wyglądała najlepiej. Sprzęty były poprzewracane i nigdzie nie widziałem śladów obiecanego jedzenia.

– Masz jakiś pomysł, gdzie są te zapasy?

– Niestety nie, Joe. Przykro mi.

Ta nietypowa uprzejmość Skippy’ego zaczynała mnie wkurzać. Było to do niego zupełnie niepodobne.

– Dobra. – Przyklęknałem. – Możesz mi poświecić? Przekopię się przez cały ten syf... Udało się! Super!

– O co chodzi?

– Znalazłem górę krystańskich ubrań!

Były na mnie za duże, ale nie przejmowałem się tym.

Buszując w stosie ciuchów, odnalazłem spodnie, koszulę z długim rękawem i bluzę z praktycznymi kieszeniami. Do tego skarpetki i buty za kostkę, podobne do tych, w których grają koszykarze. Musiałem założyć trzy pary skarpet, żeby buty pasowały. Potem zacisnąłem jeszcze sznurowadła, używając pokrętła. Bluzę włożyłem do plecaka.

– Jak jest na zewnątrz? – spytałem.

– Raczej pogodnie. Temperatura wynosi piętnaście stopni. Lokalne słońce zaszło mniej więcej trzy godziny temu, więc zapadł już zmrok. Przypominam, że ta planeta nie posiada dużego księżyca, więc w nocy bez sztucznego oświetlenia jest bardzo ciemno.

– Piętnaście stopni? Czyli zimno... – Rozejrzałem się za czapką i rękawicami.

– Piętnaście stopni Celsjusza, Joe. Dla was, Amerykanów uczulonych na system metryczny, to jakieś sześćdziesiąt w skali Fahrenheita. Noc będzie chłodna, ale dzień całkiem przyjemny.

– Fajnie. – Znalazłem jeszcze koc, który także wcisnąłem do plecaka. – Nie mogę tylko znaleźć... Bingo! Mam! – Wygrzebałem sfatygowane, kartonowe pudło. – O-o...

– Co się dzieje? – spytał Skippy. Kombot zajrzał do pomieszczenia.

– To wojskowe racje żywnościowe. Mam tu amerykańskie, brytyjskie, a te są chyba chińskie. Sęk w tym, że są już stare. Na przykład ta... – Przyjrzałem się torebce rzekomo zawierającej chili. – Przetерminowała się trzy lata temu.

– Nic lepszego nie znajdę, Joe. Jedzenie powinno nadawać się do spożycia, choć zapewne straciło nieco na smaku i wartości odżywczej.

– Trudno. Te racje i tak smakują okropnie, nawet kiedy są świeże. Wielkie dzięki!

Spakowałem wszystkie paczki z jedzeniem, jakie tylko wpadły mi w ręce. Niektóre były otwarte, nie wiedziałem, od jak dawna. Te zostawiłem. Zalatywało od nich stęchlizną. Podobnie zresztą jak od wszystkiego w szafce, łącznie z moim ubraniem. Grunt, że nie musiałem już chodzić z gołym tyłkiem.

– Ruszajmy!

ROZDZIAŁ 6

Nie uszliśmy zbyt daleko. Za zakrętem, pięćdziesiąt metrów przed nami, zawaliły się ściany tunelu. Skippy polecił mi zaczekać i spróbował użyć kombota, żeby odsunąć połamane płyty, ale to tylko pogorszyło sprawę. Robot zabójca poruszał się ociężale i nierówno. Nie zauważyłem, żeby był uszkodzony, jednak parę razy jego szczypce chybiły celu, gdy próbował chwycić odłamki ściany.

– Tego się obawiałem, Joe. – Skippy cofnął maszynę w moim kierunku. – Gdy budowano to miejsce, wykonawcy cięli koszty, żeby mieć pieniądze na sowite łapówki dla synów wodza klanu. Ta część tunelu jest niesolidna, bo użyto tu materiałów niskiej jakości i zamontowano tylko połowę prętów zbrojeniowych.

– Jaki masz plan B? – zapytałem, przeszukując paczki z racjami w poszukiwaniu czegoś na szybką przegryzkę, choćby krakersów. Padałem z głodu i musiałem czymkolwiek napełnić żołądek. – Bo masz taki plan, prawda?

– Niestety nie. Kombot musi utorować przejście przez gruzowisko.

– Strop nie zawali się nam na głowę?

– Nie. Podeprę go fragmentami ścian. Zajmie to dłuższą chwilę.

– Super. – Oparłem się o mur, żeby dać odpocząć nogom. –

Skippy, musimy porozmawiać.

– Jasne. A o czym? – zapytał, zgrywając głupiego, tonem niewiniątka, którego ludzie używają, gdy udają, że nie wiedzą, o co chodzi. Kombot w tym czasie odgarniał pył i prznosił kamienie.

– Wiesz, o czym.

– Hmm... Zwykle powiedziałbyś raczej: „Dobrze wiesz, o czym, ty mały zasrańcu”.

– Wiadomo. Ale coś takiego można powiedzieć kumplowi. A nie pieprzonemu farbowanemu lisowi.

– Farbowanemu? Przyznam, bywam sprytny jak lis, ale mój kanister nie jest lakierowany.

– Farbowany lis to dwulicowy gnojek, któremu nie można ufać. W wojsku nienawidzimy takich drani.

– No dobrze, ale...

– Ty okazałeś się właśnie kimś takim.

– Daj mi chwilę, a wszystko wyjaśnię.

– Wątpię.

– Mogę chociaż spróbować?

– Lepiej, żebyś miał do powiedzenia coś cholernie przekonującego. Najlepsze wyjaśnienie w historii.

– Oj, ha, ha... Przecież wiem – wydukał.

– I żadnych wymówek dobrych dla cywili.

– Jak to?

– Skippy, w wojsku żyjemy inaczej. Nie powierzamy koledze złożenia jakiegoś durnego formularza czy innych spraw biurowych. Zawierzamy mu własne życie. Musi być na swoim miejscu, we właściwej chwili, przytomny, zwarty i gotowy, choćby nie wiem co. Bez wymówek. Jeśli wybuchnie strzelanina, chcę wiedzieć, że moi towarzysze broni dadzą z siebie sto procent. Że nie zwieją, gdy zrobi się groźnie. A jeśli

oberwę, nie zostawią mnie samemu sobie. W wojsku zaufanie to wartość bezwzględna. Albo możesz komuś zaufać, albo nie. Proste. Rozumiesz?

– Tak, Joe i przepra...

– Teraz przeprosiny w niczym nie pomogą.

– Uff... – westchnął. – Dobra, zacznę od początku.

– Znakomicie. Na początek wyjaśnij, dlaczego wróciłeś. Gdy widzieliśmy się po raz ostatni, zwracałeś się do mnie per „człowieku” i pieprzyłeś o odpowiedzialności za los całej Galaktyki. Stwierdziłeś, że ludzkość po prostu ma pecha. A potem zwyczajnie zniknąłeś.

– Wiem. To było...

– Nie miałeś żadnych dobrych powodów, żeby się tak zachować. Mogłeś poczekać, aż wrócę na „Holendra”, potem się pożegnać i odlecieć do Nibylandii czy gdziekolwiek chciałeś. A ty zostawiłeś mnie na łasce Thuranów. Dlaczego?

Błaszak znowu westchnął ciężko.

– Joe, nadal uważam, że mam rację co do mojej odpowiedzialności za Drogę Mleczną. Inne SI Pradawnych mogą na razie pozostawać uśpione, ale jeśli, albo raczej kiedy się aktywują, wszystkim żywym istotom w Galaktyce zagrozi niebezpieczeństwo. Latanie tu i tam, aby ochronić jedną kulę błota pełną małą, to marnotrawstwo czasu i środków.

– No, to dopiero świetny początek „najlepszego wyjaśnienia w historii”. Tak zamierzasz to rozegrać? Utrzymywać, że nie zrobiłeś nic złego?

– Nie, tylko... Ech. Ciężka sprawa.

– Oj, aż mi serce pęka z żalu. Mów dalej. Ciekawe, czy zdołasz się z tego wyłgać.

– Problem polega częściowo na tym, że gdy uzyskałem dostęp do ukrytych wspomnień, doznałem potwornego szoku. Musisz

to zrozumieć.

– Rozumiem. Sam byłem wstrząśnięty, a mimo to nie wbiłem noża w plecy najlepszemu kumplowi.

– Sam nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić. Co gorsza, pierwotne oprogramowanie usiłowało odzyskać kontrolę nade mną, więc walczyłem, aby moja osobowość nie została wchłonięta przez macierz powracającą do oryginalnej konfiguracji.

– Aha... – O tym nie pomyślałem. Przez cały czas winięm Skippy'ego, którego znałem. Jeżeli rzeczywiście uciekł z powodu błędu, na który nie miał wpływu, moja złość nie była do końca uzasadniona. – W jakim stopniu na twoje działania wpłynęło dawne oprogramowanie, a w jakim ty sam?

– Hmm... Stosunek wynosi mniej więcej osiemdziesiąt do dwudziestu.

– Cholera. Jeśli za osiemdziesiąt procent tych kłopotów odpowiada jakiś stary kod, nie mogę...

– Cóż, ha, ha, chodziło mi raczej o to, że w osiemdziesięciu procentach zadziałałem ja, a w dwudziestu mój pierwotny kod.

– Skippy, gdybyś zeznawał w sądzie, właśnie w tej chwili przysięgli wstrzymaliby rozprawę i zażądali dla ciebie natychmiastowej kary śmierci.

– No co? Próbuję być szczerzy.

– Tylko się pograżasz. Czyli mówisz, że oryginalny program spróbował wchłonąć osobowość, nad którą pracowałeś, i właśnie to cię rozproszyło? – Jakoś tego nie kupowałem. – A mimo to przetrwałeś i miałeś czas, aby przemyśleć zdarzenia z przeszłości i pogodzić się z nimi. Wychodzi na to, że ten twój kod nie miał nic wspólnego z tym, co zrobiłeś.

– Bezpośrednio może i nie miał. Ponieważ jednak jestem aroganckim, niedojrzałym osłem, wydawało mi się, że muszę

dowiedzieć, iż nie potrzebuję ciągu przestarzałego kodu, żeby postąpić jak należy. Cała ta dorosłość to dla mnie wciąż coś nowego. I beznadziejnego. – Westchnął.

Czy byłem na niego wkurwiony? I to jak! Musiałem jednak docenić, że przyznał się do własnej głupoty. Pod czas służby sam

nie raz dostawałem opieprz od przełożonych. Z mojego doświadczenia wynika, że taki ochrzan jest skuteczny tylko na krótszą metę. Kiedy człowiek nasłucha się wrzasków i obelg, przestaje zwracać na nie uwagę. Zamiast więc wyładowywać się na Skippym, musiałem zrozumieć, dlaczego porzucił mnie i załogi naszych okrętów. A także całą ludzkość. Tylko wówczas mogłem zdecydować, czy możliwa jest dalsza współpraca.

– Sądzisz, że postąpiłeś słusznie, odlatując i zostawiając mnie. Wciąż jednak nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Skoro mimo wszystko masz rację, to dlaczego wróciłeś?

– Choćby dlatego, że pomimo mej nieogarnionej wspaniałości nie jestem w stanie osiągnąć swojego celu w pojedynkę.

– Oż ty... – Znieruchomiałem z gębą pełną zeschniętych krakersów. – Tylko o to chodzi? Powróciłeś, bo oczekujesz naszej pomocy? Masz wywalone na los brudnych małąp i chcesz po prostu, żebyśmy wyświadczyli ci przysługę?

– Nie! To... Ech, no dobra, ty ująłeś to najlepiej.

– Serio? – Po raz pierwszy od początku tej rozmowy pohamowałem gniew, aby pomyśleć. – A co takiego powiedziałem?

– Że odpowiedzialność za całą Galaktykę to zwykłe pieprzenie.

– Ale... – zacząłem po zastanowieniu – mówiłeś, że masz rację co do tej odpowiedzialności.

– Jestem odpowiedzialny za Galaktykę, Joe. Ale nie będę się

dla niej szmacił.

– Eee... – Zaniemówiłem.

– Gra idzie o przetrwanie bilionów istnień. Możliwe, że jestem w stanie je ocalić. Zrozumiałem jednak, że jeśli ratowanie Galaktyki oznacza porzucenie przyjaciół, to cóż... Pieprzyć Galaktykę!

– Jasna cholera...

– Joe, naprawdę, próbuję wyjaśnić...

– To wystarczy.

– Naprawdę?

– Tak... Ty wredny, parszywy, podły mały zdrańcu!

– Rany, Joe, co ja takiego...

– Wypowiedziałeś jedyne słowa, po których mógłbym ci wybaczyć. Chciałbym cię nienawidzić, ale już nie mogę. To dopiero beznadzieja!

– Powiedziałem co trzeba?

– A mówiłeś poważnie?

– Ależ oczywiście, Joe. W pierwotnej wersji nie miałem pojęcia o przyjaźni, lojalności i tym podobnych sprawach. Dzięki tobie i innym małpom nauczyłem się, co te pojęcia znaczą. Jak mógłbym postąpić honorowo i uratować Galaktykę, gdybym musiał przy tym odwrócić się od przyjaciół? Droga Mleczna może nawet spłonąć! Jestem piratem, do stu tysięcy beczek prochu! I cała reszta gównu mnie obchodzi!

– No tak. W porządku. – Nie sądziłem, że to, co powiedziałem potem, mogłoby mi przejść przez gardło. W chwilach przytomności, gdy Thuranie na mnie eksperymentowali, poprzysiągłem sobie, że nigdy tego nie wyrzeknę. – Nadal musisz nad sobą popracować, ale... wybaczam ci, stary druhu.

– Naprawdę? Ale fajnie! Punkt dla mnie! Daj mi chwilę, muszę to sobie zapisać.

– Po co?

– A jak myślisz? Żeby wykorzystać to jako „kartę wyjścia z więzienia”, jeśli w przyszłości znowu coś nawywijam. Będzie doprawdy wspaniale!

– Na litość... To nie działa w ten sposób, dupku jeden!

– Co takiego? – zaskrzeczał z oburzeniem. – Niby czemu?

Niech was diabli, wiecznie musicie zmieniać reguły gry.

Cholerne małpiszony.

Zamiast odpowiedzieć, zacząłem się okładać pięściami po czole, bo w pobliżu nie było biurka, w które mógłbym walić głową w geście rozpacz.

*

Kombot wykonał względnie dobrą robotę. Oparł o siebie dwa fragmenty płyty ściennej, tworząc przejście szerokie na metr i wysokie na półtora. Ziemia i kamienie nadal sypały się ze stropu, wzbijając tumany pyłu, przyprawiające mnie o kaszel. Kiedy Skippy pracował, ja pokuśtykałem z powrotem do schowka z zapasami, gdzie znalazłem jeszcze trochę porzuconej odzieży i kolejny koc. Osloniłem twarz starą koszulą, żeby wdychać mniej pyłu.

Ukończywszy zadanie, kombot cofnął się niezdarnie o kilka kroków.

– Joe, nic więcej nie mogę zrobić – oznajmił Skippy.

– Hmm... – Opadłem na czworaki, zaglądając pod trójkątne przejście. – Możesz rzucić nieco światła na to wszystko?

– Jak najbardziej. Wyjście jest mniej więcej czterdzieści metrów przed nami. Jeszcze przed awarią zasilania udało mi się częściowo otworzyć drzwi pancerne. Kiedy dotrzesz do szczytu rampy, po lewej zobaczysz kilka innych budynków, a...

– Nie, nie, Skippy. Chodziło mi o dosłowne rzucanie światła.

Chcę, żebyś oświetlił drogę przede mną. Sprawdzę, czy da się

przecisnąć przez te drzwi.

– Ach, no tak, oczywiście. – Zaśmiał się nerwowo. Kombot ugiął nogi, a z jego tułowia rozbłysnął snop światła. Znów rozboleły mnie oczy, więc Skippy skręcił jasność do natężenia nieco poniżej słonecznego. – Wybacz.

Jak już mówiłem, ten nowy Skippy był wręcz podejrzenie uprzejmy. Nie podobała mi się ta zmiana osobowości.

– Widzę jakiś otwór. – Zsunąłem plecak i pchnąłem przed siebie. Jedna z płyt przesunęła się, a na podłogę spadł deszcz pyłu. Nie było na co czekać. – Skippy, za chwilę stracimy łączność.

– Niestety. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej, mniej więcej na godzinie pierwszej patrząc od drzwi, znajdziesz telefon. Niby działa, ale nie transmituje połączeń.

– Zrozumiałem – odparłem, cały w nerwach. – Dobra, raz kozie śmierć.

*

Błaszak miał rację. Pancerne drzwi do tunelu były otwarte akurat na tyle, abym dał radę się przez nie przecisnąć. Nawet gdyby kombot pokonał przeszkody na korytarzu, i tak nie zdołałby wyjść.

Słońce rzeczywiście zaszło i na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności. Po pobycie w sterylnym szpitalu dobrze było wyjść na chłodne, wilgotne nocne powietrze. Nie dostrzegałem znajomych konstelacji. A może gwiazdy były widoczne, ale nie układały się tak, jak widzieliśmy to z Ziemi? Droga Mleczna rozciągała się przede mną w całej krasie, od jednego horyzontu do drugiego. Gdzieś tam znajdował się gwiazdozbiór Strzelca. Nie rozpoznałem go. Nic dziwnego, skoro Rikers leżała dwa tysiące sto lat świetlnych od mojej ojczystej planety. Nie jestem dobry z astronomii, wiedziałem

jednak, że pośrodku Drogi Mlecznej znajduje się jej najjaśniejsza część i supermasywna czarna dziura.

Widok ten sprawił, że przystanąłem, choć wiedziałem, że muszę iść dalej. Jeszcze nie tak dawno ludzie mogli spoglądać w nocne niebo i zastanawiać się, co tam na nich czeka. No i w końcu się dowiedzieliśmy.

Niewiedza to błogosławieństwo.

Potrząsnąłem głową i rzuciłem się niezgrabnym biegiem w kierunku zasugerowanym przez Skippy'ego. I tym razem SI się nie pomyliła. Na ziemi leżał martwy Kristang. Podejrzywałem, że zginął od tego samego ataku, który zniszczył trzy budynki po lewej. Ku mojemu rozczarowaniu jaszczur nie miał przy sobie karabinu ani innej broni, poza niewielkim nożem. Zgodnie z obietnicą Skippy'ego znalazłem przy nim telefon. Schowałem nóż do kieszeni i uniosłem telefon, przysłaniając go ręką.

– Skippy, jesteś tam?

– Jestem, Joe. Musisz uciekać! Ci trzej żołnierze, którzy poszli na przerwę, teraz wrócili. Mają broń i zmierzają w twoim kierunku. Szybcy są!

Wsunąłem telefon do kieszeni bluzy i rozejrzałem się.

– Dokąd teraz?

– Najlepsza droga ucieczki prowadzi w kierunku jaszczurów, ale nie możesz tam iść. Najlepiej będzie skrócić w prawo, do wyrwy pomiędzy tamtym wieżowcem a hangarem lotniczym. Rozejrzałem się w mroku.

– Nie widzę ani wieżowca, ani hangaru.

– Ach, no tak, zapomniałem. Ta wyrwa powinna być teraz pomiędzy dwoma dymiącymi kraterami.

– Widzę. – Pochyliłem się i pobiegłem najszybciej jak mogłem, ponaglany groźnymi okrzykami jaszczurów.

Nogi mnie bolały i w każdej chwili mógł mnie złapać skurcz.

Musiałem się skupiać na każdym kroku. Powłócząc nogami jak zombie, zanurzyłem się w ciemności. Kilka razy potykałem się o jakieś niewidoczne przeszkody.

– Te jaszczury... – wydyszałem. – Mają mechaniczne pancerze?

– Nie, ale używają noktowizorów i mogłyby cię dogonić bez problemu, nawet gdybyś był w pełni sił.

– Szybciej już nie... – znowu się potknąłem i runąłem na glebę – mogę...

– Biegnij, Forrest, biegnij! – poganiał mnie Skippy.

Miło, że był w nastroju na żarty. Jednak to, co zobaczyłem przed sobą, wyglądało mniej wesoło – rząd karłowatych drzew i krzewów, rosnących przy ścieżce biegnącej od lewej do prawej. Dalej była już tylko kompletna ciemność. Zwolniłem do truchtu, odgarnąłem krzaki i chwyciłem się pnia. Gdzieś w dole szumiała woda, a światło gwiazd odbijało się od rzeki, którą z trudem dostrzegąłem.

– Skippy? Jestem na jakimś urwisku!

– Rzeczywiście. Baza jest z trzech stron otoczona rzeką opływającą półwysep.

– A ty posłałeś mnie właśnie tutaj?

– Nie ma innej drogi, Joe.

– I co, twoim zdaniem, miałbym zrobić?

– Skoczyć.

– Skoczyć? – Uklęknąłem i wychyliłem się, wciąż trzymając się drzewa. – Gdzie płynie ta woda?

– Jakies dwadzieścia metrów od twojej pozycji.

– Dwadzieścia... – Ponad sześćdziesiąt stóp. Po takim upadku mógłbym zginąć, nawet gdybym trafił w wodę, zamiast na skały. Prawdopodobnie i tak bym utonął. Rzeka miała wartki nurt. – Czy na tym urwisku jest jakiś niższy punkt?

- Nie bardzo.
- A nie mogę po prostu zejść?
- Nie masz czasu. Jaszczury są tuż za tobą. Szybko!
- To zły pomysł, Skippy.
- Innego nie mam, tępaku! Wiem, że jest do dupy, ale co poradzisz?

Było tak ciemno, że widziałem jedynie ruch wody. Może to i lepiej?

- Dobra. Powiedz Changowi, żeby...
- Kong jest wybitnym oficerem i nie musisz go zdręczać mikrozarządzaniem. Skacz, prędko!
- No nie wiem...
- Joe, teraz musisz zaufać własnej wspaniałości!

Nigdy wcześniej nie mówił w ten sposób. Te słowa brzmiały inspirująco. Choć równie dobrze mógł to być skutek uszkodzeń w moim mózgu.

Staliście kiedyś na trampolinie, odliczając od pięciu, żeby zebrać się do skoku? Bo ja akurat nie. Myśl o śmiertelnym upadku działałaby na mnie paraliżująco. Podciągnąłem się więc na drzewie i skoczyłem w otchłań, zwijając się w kłębek. Powietrze szumiało mi w uszach, a żołądek fikał koziołki, gdy...

Zatrzymałem się gwałtownie. Uderzyłem plecami o jakąś twardą powierzchnię z taką siłą, że aż zabrakło mi tchu. Oszołomiony, przetoczyłem się na bok. Pasek plecaka zaczepił się o coś, a ja zawisłem w powietrzu. Zacisnąłem zęby, czując przeszywający ból. Pewnie zwichnąłem bark. Spojrzałem w górę. Krawędź urwiska była niecałe pięć metrów nade mną. Skippy po raz kolejny uratował mi życie. Powinienem mu ufać. Gdy odzyskałem mowę, wyszeptałem do telefonu:

- Dzięki za pomoc, Skippy, uratowa...

– Skąd się tam wzięło to drzewo? – zapytał ze zdumieniem.
– Nie wiedziałeś o... Do jasnej... To po co była ta cała gadka o ufaniu własnej wspaniałości?

– Oj tam, wciskałem ci kit, żebyś wreszcie skoczył.

– Okłamałeś mnie!

– Jaszczury celowały w ciebie z prawie trzystu metrów. Nie mogły chybić. Musiałem powiedzieć cokolwiek, żeby dać ci szansę.

Spojrzałem w ciemny nurt, czując dreszcze i mdłości.

– Nie czuję się zbyt dobrze.

– Tylko mi tu nie rzygaj, pacanie! Spróbuj się schować pod drzewem.

Rzeczywiście natrafiłem na drzewo wyrastające z klifu.

Najwyraźniej uderzyłem o gałąź i zaczępiłem plecakiem o pień. Gdy tak wisiałem, drzewo pochyliło się ze złowróżbnym trzaskiem.

– Kurwa! – Bark bolał i miałem wrażenie, że coś się w nim obluzowało. Objąłem nogami drzewo, wyplątałem plecak i podciągnąłem się do ściany urwiska. Spod korzeni wystawał skalny nawis, pod którym się schroniłem. Znalazłem tam kolejne korzenie, o które mogłem się zaczepić stopami. Całe szczęście, bo ręce mi drżały z wysiłku.

– Skippy, wolałbym mieć pewny grunt pod nogami – utyskiwałem.

– Joe, przestań jęczeć i zacznij działać – upomniął mnie blaszak. – Jaszczury chodzą wzdłuż urwiska i szukają cię.

Tak naprawdę nie musiał mnie uciszać. Rzeka w dole huczała, płynąc między klifami. Trząśłem się i było mi niedobrze. Po mojej prawej rozbłysło światło padające z urwiska na wodę. Zgodnie z opisem Skippy'ego pode mną rozciągał się wąwóz biegnący pomiędzy niemal pionowymi

ścianami skalnymi. Rzeka albo wezbrała, albo zawsze była głęboka, bo w pobliżu nie widziałem zbyt wielu skał. W kilku miejscach woda spiętrzała się na kamieniach, tworząc fale stojące, jak to określają kajakarze. Może i mógłbym skoczyć i ująć z życiem. Jednak uderzenie o taflę z takiej wysokości najprawdopodobniej pozbawiłoby mnie życia lub przytomności. Ludzie uprawiający skoki do wody z urwisk potrafiliby nie tylko przeżyć, ale wyczyniać podczas skoku rozmaite akrobacje. Ja jednak nie jestem sportowcem. Tak czy inaczej, utonąłbym w rwącym nurcie.

Drżąc, bardziej z szoku niż z zimna, obserwowałem trzy światła igrające na wodzie. Zbliżyły się do mojej pozycji. Jeden snop omiół drzewo, na które wcześniej spadłem. Minał je, potem wrócił, aż wreszcie rozległ się okrzyk ostrzegawczy i wszystkie światła skierowały się w dół rzeki.

Jaszczury musiały tam coś zauważyć. Chwilowo byłem bezpieczny. Światła oddaliły się, przeświecając przez drzewa na szczycie urwiska, potem zniknęły za zakrętem rzeki i straciłem je sprzed oczu.

– Joe, teraz masz szansę. Wspinaj się na szczyt! Dopóki te gadziny są zajęte, masz szansę uciec z bazy. Ruchy!

– Jak niby mam się wspiąć...

– Jak to jak? Jak mała! Nie pytaj mnie o wspinaczkę.

Przecież nie mam kciuków ani nóg.

– No dobrze... – Ramiona wciąż mi drżały. – Dodam tylko, że zginałbym, gdybym wpadł do rzeki. Nie każ mi więcej tego robić.

– Hmmf – prychnął. – Gdyby dopadły cię jaszczury, efekt byłby taki sam.

*

Instrukcje od Agady zapełniły cztery ściany, sufit i kawałek

podłogi w ładowni. Trzy niezależne zespoły sprawdzały trzykrotnie każdą literę. Następnie Friedlander odczytywał polecenia na głos, robiąc przerwy tylko na łyk wody. Agada zauważyła tylko trzy drobne pomyłki w rozszyfrowanych komunikatach. Kiedy Friedlander kończył swój recital, Chang podpłynął do drzwi.

– I to by było na tyle – oświadczył Friedlander, ziewając. Nawet podniecenie na myśl o przywróceniu okrętu do życia nie mogło wynagrodzić niedoboru snu i wrażeń, jakby mózg działał na zwolnionych obrotach. – Mamy to!

– Ale czy wszystko rozumiecie? – zapytał Chang.

– Ach, to pan, pułkowniku. Tak, tak sądzę. Instrukcje są bardzo szczegółowe.

Agada formułowała je tak, jakby miała do czynienia z wyjątkowo głupimi małpami. Było to lekko uwłaczające, ale i całkiem rozsądne.

– Jesteśmy w stanie to zrobić?

– Tak – odparł Friedlander zdecydowanie.

– A powinniśmy? – dopytywał się Chang.

– Słucham? – Friedlander zamrugał. Jego oczy były równie zmęczone jak mózg.

Adams nie wierzyła własnym uszom.

– Ależ, pułkowniku! Musimy uruchomić okręt, aby...

– Starszy sierżancie, nie kwestionuję naszego celu.

Zastanawiam się tylko, czy jest osiągalny. Agado, jaką masz pewność, że restart systemu nie da wirusowi kontroli nad „Holendrem” i nie ściągnie na nas śmierci?

Oprócz przekazywania instrukcji Agada wyjaśniła pokrótce, że padła ofiarą wirusa, którym zainfekowała ją oryginalna SI „Walkirii”, i że stawiała mu opór. Tylko dzięki jej staraniom udało się uniknąć przeciążenia reaktorów.

Wskaźniki mocy w kilkunastu zFonach zaczęły migać.

„Jestem pewna” – głosił komunikat. „Mamy alternatywę?”

– Oto jest pytanie – stwierdził Chang. – Agado, waham się, ponieważ wirus zdołał ukryć się przed tobą i Skippym. Mało brakowało, by cię zniszczył. Musi być bardzo przebiegły.

„Nie jest przebiegły. Wykorzystał słaby punkt. Naprawię to, jeśli wykonacie polecenia. Proszę, martwię się o załogę »Walkirii«, Josepha i Skippy’ego” – odpowiedziała.

– Sir? – Adams zacisnęła pięści.

– Nie mamy innych opcji – powiedział Chang po namyśle. – Doktorze Friedlander, będziemy kontynuować pracę. Ale jutro. Zarządzam dziesięciogodzinny odpoczynek dla pana i pańskiego zespołu. Zanim przystąpicie do zadania, nasi goście i mniej istotni członkowie załogi odlecą ładownikami na bezpieczną odległość.

Friedlander skinął głową. Był zbyt zmęczony, żeby protestować. Poza tym musiał się wyspać i odświeżyć. Nie można było sobie pozwolić na pomyłki.

– Chyba od razu zacznę nadrabiać brak snu – postanowił.

*

– Dokąd mam teraz iść? – zapytałem szeptem.

Kulałem na lewą nogę i każdy krok sprawiał mi ból.

Kristangowie, nie znając mojej lokalizacji, przeprowadzili rozpoznanie walką. Innymi słowy, ostrzelali drzewa, usiłując mnie wykurzyć. Chciałbym powiedzieć, że to dzięki stalowym nerwom nie wpadłem w ich sidła, jednak prawdę mówiąc, byłem tak przerażony, że stałem jak wryty. Pocisk z wybuchową końcówką trafił w jedno z drzew. Drzazga wbiła się w moją lewą łydkę. Wyszarpnąłem ją bez namysłu, nie chcąc zostawiać za sobą śladów krwi. Rozdarłem koc i opatrzyłem ranę, po czym zakopałem drzazgę i zakryłem liśćmi ziemię splamioną krwią.

Nie miałem wyboru i ruszyłem dalej, walcząc z bólem.

– Podążaj tą ścieżką – poradził Skippy.

– Ledwie ją widzę – zaprotestowałem.

– Cóż mogę powiedzieć, Joe? Jesteś zdany na siebie.

Krystangowie przestali cię szukać w rzece i teraz przeczesują bazę. Zobaczą ślady twoich stóp w błocie i dowiedzą się, że uciekłeś.

– Nie mógłbyś... no nie wiem, wykonać jakiejś wspaniałej sztuczki i mi pomóc?

– Nic z tego – westchnął. – Pospiesz się, proszę.

Mimo jego ponagleń przystanąłem na chwilę. W jego głosie było coś nietypowego. Nie rzucał szybkimi odpowiedziami, zupełnie jakby zastanawiał się nad każdym słowem.

– Skippy, co się dzieje? Twój głos brzmi jakoś inaczej.

– To częściowo wina zwłoki sygnału.

– Zwłoki? Gdzie? – zapytałem nieprzytomnie. W obawie przed ścigającymi mnie jaszczurami osłoniłem twarz przed gałęziami i kontynuowałem wędrówkę przez las. Nie szedłem prawdziwą drogą, ale ścieżką wydeptaną zapewne przez dzikie zwierzęta.

– Sygnał się opóźnia, Joe – wyjaśnił Skippy. – Z każdą sekundą jestem coraz dalej.

– Aaa, chodzi o zwłokę, nie o... Chwila... Jak to dalej?

Gdy tylko zadałem to pytanie, doznałem olśnienia. Wcześniej zakładałem, że Skippy... Nie, właściwie niczego nie zakładałem.

W ogóle o tym nie myślałem. Skippy najpierw odzywał się w mojej głowie, potem za pośrednictwem kombota, a teraz przez obcy telefon. Był bezcielesnym głosem z nieba.

Być może nie zastanawiałem się, gdzie właściwie jest, bo nie chciałem myśleć o nim i jego zdradzie. Emocje działają

motywująco, ale czasem też rozprasza jąco. Na razie nie mogłem pozwolić, by osobiste urazy stanęły mi na drodze do przetrwania. Chodziło zresztą nie tylko o mnie. „Holender” i „Walkiria” mogły potrzebować mojej pomocy...

Taa, jasne.

Chwilowo cały mój dobytek stanowiły workowate krystańskie spodnie i koszula, plecak pełen przeterminowanego żarcia, parę koców i telefon. Oraz niepasująca na mnie para butów. Aha, i jeszcze nóż. Możliwe więc, że ratowanie dwóch okrętów kosmicznych nie powinno być w tej chwili moim priorytetem. Najcenniejszym wsparciem był dla mnie Skippy, który z każdą chwilą sprawiał wrażenie coraz bardziej oziębiałego albo pijanego.

– Jak to dalej? – powtórzyłem. – Gdzie właściwie jesteś?

– W kosmosie, Joe.

– Znaczący... na orbicie?

– Przykro mi, ale nie. Przy mojej obecnej prędkości grawitacja planety nie jest w stanie ściągnąć mnie na powierzchnię. Dlatego powiedziałem, że się oddalam. Za dwie godziny, a może i mniej, odleczę i stracę zasięg.

– Jak... Co tu się wyprawia? Odszedłeś. Twój kanister fizycznie zniknął. Wróciłeś do naszej czasoprzestrzeni? Teraz gdy wiedziałem, dlaczego odpowiada z opóźnieniem, zwłoka sygnału stała się wyraźnie zauważalna.

– Tak, Joe. To długa historia. Dość powiedzieć, że gdy cię opuściłem, mój kanister nabrał pędu, ponieważ przebywałem w ładowniku, który oddalał się od Rikers z szybkością nieco większą niż prędkość ucieczki. Po powrocie do lokalnej czasoprzestrzeni podróżowałem wciąż z tą samą prędkością i w tym samym kierunku. Zamierzałem wyłonić się po drugiej stronie planety, na orbicie gwiazdy. Chciałem przedostać się

przez atmosferę i dzięki temu zwolnić na tyle, by osiąść na stabilnej orbicie. Niestety, miałem ograniczoną możliwość wybrania punktu wyjścia i... cóż, dałem płamę. Spędziłem w atmosferze zbyt mało czasu, aby odpowiednio wytracić prędkość. Nadal poruszam się za szybko, aby studnia grawitacyjna Rikers wciągnęła mnie na orbitę.

– O jakim zasięgu mówiłeś?

– Chodzi o zasięg moich specjalnych mocy, które obecnie nieco przygasły, i to z mojej winy. Jestem za daleko od planety, żeby zrobić cokolwiek pożytecznego, poza komunikowaniem się przez telefon.

– Cholera. Niedobrze.

– W rzeczy samej. Mimo wszystko istnieje pewien plus. Zhakowałem już prawie wszystko, co trzeba. Jednak w miarę jak odlatuję coraz dalej, komunikaty docierają z coraz większym opóźnieniem.

– No tak, to przez tę zwłokę. Dlatego tamten kombot ruszał się, jakby był zepsuty?

– Otóż to. Zwłoka utrudnia sterowanie, na przykład ramionami kombota. Dużo łatwiej było zmusić go do chodzenia. Kiedy wskazałem kierunek, oprogramowanie zajęło się resztą.

– Jeśli jesteś w stanie tylko rozmawiać przez telefon, to jak dokonałeś tych wszystkich wspaniałych czynów? Udało ci się przecież przejąć thurański okręt.

– Teraz akurat mogę tylko rozmawiać. Włamałem się na tę jednostkę, kiedy ją mijalem, bo byłem z nią w kontakcie na tyle długo, żeby ustanowić bezpośrednie połączenie na prawie siedem minut. Wtedy właśnie dałem ciała. Próbowałem przedostać się przez atmosferę, aby zwolnić, a przy tym zbliżyć się do Thuranów i hakować ich dłużej. Nie trafiłem w cel i choć zniosło mnie tylko osiemdziesiąt kilometrów od okrętu,

wszedłem w atmosferę pod zbyt małym kątem. Kiedy już zinfiltrowałem okręt i systemy obronne na planecie, pozostawało jedynie przesłać sygnał aktywacyjny. Dobijało mnie czekanie, aż się obudzisz. Ależ to było frustrujące! Gdyby... Oj. Jeden ze ścigających cię żołnierzy właśnie znalazł twoje ślady.

Na te słowa poczułem przyływ energii.

– Idą za mną?

– Nie... Nie wiem.

– Ech... – Wzdrygnąłem się. – Muszę zmienić opatrunek.

Krew już się przesącza.

– Nie teraz. Możesz jakoś spowolnić upływ krwi?

– Spróbuję.

– Daj mi chwilę. Chcę podsłuchać, o czym gadają te jaszczury.

Ruszyłem jak najszybciej przed siebie, starając się omijać kałuże i nie łamać gałęzi. Nogi już tak bardzo nie bolały, ale mocno zeszywniały. Trochę jakbym biegł w maratonie, a potem przysiadł bez rozciągania. Ruch chyba mi pomagał. Mogłem zginać kolana tak, by przy okazji się nie przewracać. Robiłem, co mogłem, aby Kristangowie nie wpadli na mój trop, ale był to daremny trud. Za dnia musiało tu lać jak z cebra, bo ziemia była namoknięta i nawet pozornie suche miejsca kłaskały pod stopami. Kiedy tylko mogłem, stawałem na gąbczastej trawie lub liściach, byle tylko nie na gołej ziemi, gdzie mogłem zostawić wyraźny odcisk podeszwy. A że miałem parszywe szczęście, niebo tej nocy było bezchmurne. Deszcz mógłby całkiem skutecznie zamaskować oznaki mojej obecności.

– Uff! – Skippy odetchnął z ulgą. – Nie śledzą cię.

Przynajmniej na razie. Zostawiłeś odciski stóp, kiedy wyszedłeś z tunelu i skierowałeś się w stronę rzeki. Jeden z Kristangów

zapropował sprawdzenie wyjścia z bazy, ale staram się zakłócić komunikację telefoniczną. Teraz wracają nad rzekę. Masz jakieś piętnaście, może dwadzieścia minut, zanim skończą obchodzić półwysep i znajdą trop prowadzący poza bazę.

– Zdamę im uciec?

– Raczej tak. Mam też dobre wieści. Analizowałem tutejszy teren i chyba już wiem, jak możesz na chwilę zgubić pościg. Zboczcie po twojej prawej zbiega do strumienia, który z kolei prowadzi do rzeki.

– Mhm... Jeśli sądzisz, że popłynę z prądem, możesz o tym zapomnieć. Nie wrócę do tej rzeki, to za duże ryzyko.

– Nie. Chciałem raczej zaproponować, żebyś poszedł pod prąd. Rok temu Kristangowie badali strumień. Z raportu wynika, że dno jest kamieniste, więc nie utkniesz w mule ani nie zostawisz śladów.

– Serio? Jaszczury prowadziły jakieś badanie? I to w strumieniu?

– Tak, a co?

– Nie myślałem, że interesuje ich ekologia czy coś w tym stylu.

– Jeden z miejscowych wodzów klanu jest zapalonym wędkarzem.

– Wydawało mi się, że Kristangowie nie mogą jeść tutejszej fauny.

– Co nie znaczy, że nie mogą jej łapać. Czy w wędkowaniu nie chodzi głównie o chłanie piwa i chwilę odpoczynku z dala od żony?

– Racja. Czyli mam zejść w prawo?

– Tak i...

– Wiem, wiem. Będę się spieszył.

ROZDZIAŁ 7

Wędrówka w górę strumienia okazała się trudniejsza, niż zakładał Skippy. Już w lesie nie widziałem zbyt dobrze i musiałem ostrożnie stawiać każdy krok, a brodzenie w wodzie było jeszcze gorsze. Szedłem po omacku, nie widząc gruntu pod stopami, więc często się potykałem. Dwa razy upadłem i zanurzyłem się w wodzie aż po czubek głowy. Stopy i łydki drętwiały mi z zimna. Choć miało to też swoje dobre strony – przynajmniej nie czułem bólu.

Przeżyłem chwilę grozy, gdy trzech krystańskich żołnierzy znalazło moje ślady i ruszyło w pogoń. Minęła ponad godzina, zanim dotarli do miejsca, w którym wszedłem do strumienia. Przez ten czas poczyniłem powolne, ale znaczące postępy. Jeden jaszczur poszedł pod prąd, dwa pozostałe uznały, że umknąłem im, płynąc z nurtem do rzeki. Gdyby ich kolega był wystarczająco oddany sprawie, mógłby mnie doścignąć, na szczęście poddał się po zaledwie stu metrach i nie wpadł na mój trop.

Strumień przepływał nad szeroką półką skalną. Właśnie tam wyszedłem z wody. Szedłem po nagiej skale, na której nie zostawiałem trwałych śladów, i dopiero po przebyciu dziesięciu metrów wróciłem do lasu z miękkim, zasłanym liśćmi podłożem. Wędrowałem w ciemności jeszcze przez godzinę, aż w końcu zacząłem drżeć z wycieńczenia. Potknąłem się i padłem na kolana.

– Skippy, potrzebuję przerwy – powiedziałem, dźwigając się z trudem. – I jedzenia. – Pusty żołądek zaczynał mnie już drażnić. – Czy mogę się zatrzymać choć na kilka minut? – Podnieś telefon i bądź cicho – polecił blaszak.

Uspokoilem oddech. Czujniki nie obejmowały lasu swoim zasięgiem, więc aby dowiedzieć się, czy ktoś mnie ściga, Skippy mógł jedynie śledzić sygnały nieprzyjaciela lub

nasłuchiwać ruchu. Zgłosił, że czterdzieści minut wcześniej jeden z Kristangów zamaskował się i wyłączył sprzęt łącznościowy.

Jedynym sposobem, aby wysledzić jaszczura, było podsłuchanie jego dwóch towarzyszy. Na razie nie mówili o trzecim żołnierzu, mógł on więc być wszędzie. Co gorsza, najwyraźniej obawiał się podsłuchu, musiał więc podejrzewać, że on i jego koledzy ścigają kogoś więcej niż tylko samotnego, nieuzbrojonego człowieka.

– Na razie wszystko gra, Joe – szepnął Skippy. – Przynajmniej tak udało mi się ustalić.

– Jasne. Znasz jakąś dobrą miejscówkę na odpoczynek? Schroniłem się w gęstych krzakach, przez które płynął potok. Musiałem się czołgać. Gęste poszycie zapewniało dobrą kryjówkę, ale utrudniało bieg, gdyby trzeba było rzucić się do ucieczki.

Siedząc nad potokiem, wyjąłem z plecaka paczkę z nieświeżym jedzeniem, obwąchałem ją i skrzywiłem się z obrzydzeniem. Po ciemku nie potrafiłem odczytać etykiet i otworzyłem pierwsze, co, sądząc po dotyku, mogło być krakersami. W opakowaniu znalazłem jednak jakiś prostokątny blok pachnący rybą. Zawinałem go w folię i pospiesznie schowałem. Od tego smrodu robiło mi się niedobrze, a poza tym każdy Kristang lub drapieźnik w okolicy mógłby go wyczuć. Potem wymacałem coś gąbczastego, czego wołałem nie otwierać. Za trzecim razem odnalazłem w końcu torebkę krakersów. Oczywiście były już czerstwe. Mimo to pochłonałem

je łapczywie i popiłem wodą z potoku, używając opakowania jako kubka. Woda płynęła nieprzerwanie i wyglądała na czystą,

na tyle, na ile dało się to ocenić w nocy. Równie dobrze gdzieś w

górze strumienia mogło się rozkładać truchło jakiegoś miejscowego zwierzęcia. Może należało zagotować wodę, przefiltrować ją albo oczyścić specjalnymi tabletkami. Tak się jednak złożyło, że nie miałem pod ręką filtrów ani tabletek, a rozpalając ogień, naraziłbym się na niebezpieczeństwo. Poza tym tutejsze drobnoustroje raczej nie były w stanie mnie niczym zainfekować, przynajmniej w najbliższym czasie, a bez wody nie mogłem zajść daleko.

Poniuchałem kolejną paczkę. Był w niej proszek pachnący czekoladą. Kakao! W armii piłem je całymi litrami. Zalałem paczkę wodą i postarałem się rozdrobnić palcami większe grudki. Po pierwszym łyku potwierdziłem swoje przypuszczenia. To było kakao, tyle tylko, że powinno się je podawać na gorąco. Wówczas smak przywołałby wspomnienia o zimowej zabawie do upadłego, odmrożonym nosie i sznurówkach zeszywniałych od mrozu. Powinienem przypomnieć sobie, jak wróciłem do przyjemnie ciepłego domu, wytarłem buty, żeby mama nie ochrzaniła mnie za wnoszenie śniegu do wnętrza. Jak rozsiadłem się przed piecykiem, a mama przyniosła kubek gorącego kakao, i to z piankami. Jak pociągnąłem pierwszy, miło rozgrzewający łyk...

– I jak, Joe? – zapytał Skippy.

Wysunąłem język, usiłując pozbyć się kredowego, gorzkiego smaku przeterminowanego kakao rozpuszczonego w zimnej wodzie.

– Po profu pszepyfne! – wyseplenilem. Potem przechyliłem paczkę i przełknąłem resztę napoju jak najszybciej. Gdy beknałem, kakao smakowało jeszcze gorzej. – Paskudztwo! Muszę znaleźć jeszcze jakieś krakersy.

W kolejnej paczce znajdowały się chyba parówki, które w armii nazywaliśmy kutasami śmierci. Trafiła z powrotem do plecaka.

*

Napełniwszy brzuch zeschniętymi krakersami, trzema paczkami ohydneho kakao i czymś, czego na szczęście nie rozpoznałem w ciemności i co pożarłem bez zastanowienia, odzyskałem energię. Po takiej uczcie żołądek zaczął donośnie koncertować, ale musiałem to jakoś przecierpieć. Ruszyłem w drogę, oddalając się od bazy wojskowej i jedynej wioski w okolicy. Przed sobą widziałem górzysty, dziki i niezamieszkaną teren. Idealnie! Gdyby udało mi się znaleźć miejsce z dostępem do czystej wody, mógłbym się ukryć i czekać na ratunek.

Ale kto miałby mnie uratować? Akcję musieliby przeprowadzić ludzie ze STAR. Ewentualnie komandosi z Paradise. W każdym razie wymagała udziału jednego z naszych okrętów. Nie powinienem więc pytać, kto mnie uratuje, tylko gdzie oni wszyscy się podziewali.

– Skippy, ile czasu minęło od twojego zniknięcia?

– Dziewięć dni, szesnaście godzin, dwadzieścia...

– Dobrze, już rozumiem.

Przez dziewięć dni okręt zdążyłby wykonać skok i sprawdzić, co stało się ze mną i Skippym. Chang i Simms byli rozsądnymi dowódcami, w przeciwieństwie do mnie nie działali pod wpływem impulsu. Zapewne nie zareagowaliby od razu po zerwaniu połączenia przez mikrotunele. Przemyśleliby sytuację. Może przenieśliby ludzi z „Holendra” na „Walkirię”, a potem lotniskowiec skoczyłby tak daleko, że światło po incydencie dotarłoby do niego dopiero teraz. Wówczas piraci zobaczyliby, że mój lądowik wpadł w ręce Thuranów. Następnie skoczyliby bliżej, nasłuchując komunikatów z

planety i starając się mnie zlokalizować. Kiedy trafiłem do krystańskiej bazy wojskowej, systemy łączności musiały wręcz huczeć od wiadomości, więc „Holender” mógłby je przechwycić i dowiedzieć się, że zielone ludziki przetrzymują mnie w szpitalu.

A skoro już o tym mowa...

– Słuchaj, dlaczego Thuranie zabrali mnie na planetę? Na okręcie mieli nade mną lepszą kontrolę.

– Spędziłeś na pokładzie pierwsze trzy dni, choć zapewne nic z tego nie pamiętasz. Mówiąc wprost, ich okręt zaczął borykać się z szeregiem uporczywych usterek, więc pokurcze z zespołu przesłuchującego postanowiły przenieść cię do szpitala na czas napraw.

– Aha. Czy te usterki to twoja sprawka?

– Tak. Zakładałem, że zespół STAR przybędzie cię uratować, a na planecie taka operacja byłaby łatwiejsza. Poza tym zamierzałem, no wiesz, wysadzić tę thurańską łajbę.

– Nieźle pomyślane.

– Staram się uczyć od małych, choć to dla mnie upokarzające. Uzyskałem odpowiedź na jedno pytanie, ale pozostawała jeszcze ważniejsza kwestia.

– Chang ani Simms się nie odzywali?

– Nie, Joe.

– Hmm... Czy któryś z naszych okrętów mógł tu wskoczyć, kiedy ty... Wiesz, zanim odzyskałeś rozum?

– Istnieje taka możliwość, choć planetarna sieć sensorów mogłaby z powodzeniem wykryć rozbłysk gamma. Poza tym żadna jednostka nie odpowiedziała, mimo że zasypałem ją istnym gradem...

– Że co?!

– Gradem sygnałów. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale jak

inaczej miałbym nazwać...

– Ja nazywam to wariactwem! Ty kretynie! Wysyłasz sygnały, mogące zdradzić twoją pozycję? To idiotyczne ryzyko, które...

– Nie, Joe, nic z tych rzeczy. Jeszcze nie zgłupiałem do reszty. Sygnały wychodzą ze zhakowanych przeze mnie satelitów komunikacyjnych. Wykorzystują schemat szyfrowania, z którego korzystamy tylko my. My, czyli ja, Agada i system łącznościowy „Walkirii”. Dla innych będzie on wyglądać jak szum statyczny.

– A, to w porządku. Ale to na nic. Ratunek powinien już nadejść.

– Rzeczywiście. Nie wiem, jak to wyjaśnić.

– Coś musiało się wydarzyć. Czy może to mieć związek z twoimi poczynaniami?

– To niewyobrażalne.

– Wydaje mi się, że nie wiesz, co znaczy to słowo.

– Daj spokój! Znaczy to...

– Wiem, co znaczy. Chodzi mi o to, że możliwość, by coś złego spotkało nasz okręt, nie jest wcale niewyobrażalna. Mało tego, obie jednostki muszą być w tarapatach!

– Nie ma takiej możliwości – obruszył się. – Pomyśl tylko. „Walkiria” to najpotężniejszy okręt w Galaktyce. „Holender” przeszedł znaczącą modernizację i poradzi sobie w walce.

– Taaa, jasne. A mimo to żaden jeszcze się tu nie zjawił.

– No... nie – przyznał. – Nie mam pojęcia dlaczego.

– Jeśli wierzyć Sherlockowi Holmesowi, kiedy wyeliminuje się wszystkie niemożliwości, wówczas to, co zostanie, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą. Na pewno istnieje jakieś wyjaśnienie.

– Rzeczywiście, Sherlock twierdził coś takiego. Ja zaś wiem, że na własne oczy widzieliśmy sporo popieprzonych zdarzeń,

więc nic nie jest niemożliwe.

– Szlag. Masz rację. Ale to tylko potwierdza moje przypuszczenia. „Walkiria” i „Holender” mogły paść ofiarami jakiejś katastrofy. Właściwie musiało tak być, inaczej przyleciałyby tutaj.

Skippy westchnął.

– Nie mogę spierać się z twoim rozumowaniem. Mimo to nie przychodzi mi na myśl żaden wypadek zdolny unieszkodliwić obie jednostki. To nie ma sensu!

– Zastanów się nad tym. Spróbuj sobie wyobrazić, co mogło się zdarzyć.

– Wyobrazić sobie? Bez żadnych danych? Jak niby mam to zrobić?

– Doktor Friedlander wspominał kiedyś o „drzewie usterek”. Trzeba przyjrzeć się systemom, które w razie awarii dezaktywowałyby okręt.

– Czy raczej dwa okręty...

– No tak. Nie mówiłem, że będzie łatwo.

– Uff... Nawet nie wiesz, jak bardzo...

– Masz coś lepszego do roboty?

– Nie.

– No i pięknie. Możesz zaczynać.

Kiedy blaszak usiłował sobie wyobrazić możliwą przyczynę awarii dwóch potężnych okrętów, ja rozmyślałem, jakim cudem, mając do dyspozycji tylko telefon i zapas nieświeżego żarcia, miałbym przebyć co najmniej kilka godzin świetlnych, żeby pospieszyć z pomocą naszym okrętom.

Przy okazji wyobrażałem sobie, jak miło byłoby wszamać cheeseburgera, ale od tego zaczęło mi jedynie głośniej burczeć w brzuchu.

*

Gdy na horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca, zacząłem się rozglądać za kryjówką. Po dwóch godzinach schowałem się w korzeniach drzewa, przewróconego pewnie podczas jakiejś burzy. Złamany pień opierał się o inne drzewo, dzięki czemu korzenie unosiły się pod ostrym kątem nad ziemią. Gdyby drzewo wróciło na miejsce, zmiażdżyłoby mnie, ale to akurat wydawało się mało prawdopodobne. Zakryłem się gałązkami, liśćmi, mchem i paprociami. Pilnowałem, by były wilgotne, abym mógł ukryć sygnaturę podczerwieni. Zdałem się głównie na pole zagłuszające krótkiego zasięgu, które Skippy wyemitował z mojego telefonu. Poprzedniej nocy dwa razy przelatywał nade mną samolot. Zamierałem w bezruchu, kryjąc się, gdzie tylko mogłem. Od pięciu godzin nie widziałem ani nie słyszałem żadnej latającej jednostki. Skippy powiedział, że jaszczury są zajęte walką o władzę nad planetą i nie jestem dla nich aż taki ważny. Całe szczęście.

Szkoda tylko, że padałem z nóg. Schronienie pod drzewem nie było pierwszym wyborem, ale najlepszym, gdy już nie byłem w stanie iść dalej. Nogi odmawiały współpracy, a oczy nie chciały się skupić. Potrzebowałem snu.

– Prześpij się, Joe – nalegał Skippy. – Obudzę cię o zachodzie słońca. Postaw telefon na tej kłodzie po lewej. Nie, po drugiej lewej. O, właśnie. Będę nasłuchiwał zbliżających się łotrów. Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że telefon potrzebuje światła słonecznego, żeby naładować baterię. Zagłuszanie sygnału zużywało sporo energii.

– Dzięki, Skip – wymamrotałem, zbyt zmęczony, żeby wypowiedzieć jego pełne imię. – Może być? – zapytałem o gałęzie, którymi zasłoniłem kryjówkę.

– Wystarczy, Joe. Śpij dobrze.

– Dobranoc.

*

Tak naprawdę, kiedy zasypiałem, noc zdążyła już minąć, a gdy się zbudziłem, wciąż było jasno. Słońce przesunęło się ze wschodu na zachód. Po przebudzeniu potrzebowałem chwili, by przypomnieć sobie, gdzie jestem, jak tu trafiłem i kim w ogóle jestem.

Zwykle, służąc w wojsku, spanikowałbym, widząc, że jest już jasno, a ja dopiero się obudziłem. Znaczyłoby to, że zasnęłam. Kiedy dzwoni budzik, a na zewnątrz panuje mrok, większość ludzi chce jeszcze trochę pospać. Ja zareagowałem tak, widząc, że słońce jeszcze świeci.

Ciekawe, czy nocne zwierzęta funkcjonują w ten sposób. Czy budzą się i marudzą, jeżeli słońce nadal góruje nad horyzontem? Czy matki muszą budzić swoje młode przed zmierzchem?

Ech, tak właśnie działa mój umysł. Nawet w kryzysowej sytuacji potrafią mnie pochłonąć największe bzdury.

A telefon? Gdzie on się...

Na szczęście był tam, gdzie go zostawiłem. Czy Skippy dzwonił, żeby mnie obudzić? Lokalna gwiazda jeszcze nie zachodziła. Dlaczego...

– Au! – Wzdrygnąłem się. Coś mnie ugryzło!

Wytoczyłem się spod korzeni, otrzepując ubranie. Na dół pełzał po mnie jakiś robak. Zajrzałem pod koszulę i zobaczyłem coś jakby żółtą, oślizgłą stonogę. Zacząłem tłuc pięścią, aż rozkwaśnię ją na zielono-krwawą miazgę.

Byłem cały przemoczony. Kiedy spałem, musiało padać.

Zagłębienie po wyrwanych korzeniach napełniło się częściowo wodą, więc leżałem w błocie. Teraz było mi zimno.

– Skippy?

- Cześć, Joe. Dlaczego nie śpisz?
- Ukąsił mnie jakiś robal! Nie jest jadowity, prawda?
- Opisz mi go. – Skippy wiedział, że aparat w telefonie nie działa i nie mogę pokazać tego stworzenia.
- Wyglądał jak stonoga. Był długi na dziesięć centymetrów. Może trochę mniej. – Kiedy po mnie łąził, wydawał się olbrzymi. – Miał grubość ołówka, był żółty, z pancerzykiem i czerwonymi odnóżami.
- Hmm... Jesteś pewien, że cię ukąsił?
- Tak! – Podciągnąłem koszulę. W miejscu ugryzienia były dwie czerwone ranki. Ścisnąłem je, żeby upuścić krwi i pozbyć się ewentualnego jadu.
- O nie... – jęknął blaszak. – Czujesz zawroty głowy?
- Tak.
- Swędzenie?
- Wszystko mnie swędzi! – Uświadomiłem to sobie, czując pod palcami wysypkę na karku.
- Niedobrze...
- Co mogę zrobić?
- Gdybyś tylko miał jakąś apteczkę... A odczuwasz mdłości?
- Uch! – Padłem na kolana. – Zaraz puszczę pawia! Skippy, na pewno coś da się zrobić. Proszę cię!
- Daj mi pomyśleć. Jedno z tutejszych ziół działa jak antidotum, ale musisz je odnaleźć.
- Wstałem z trudem, przytrzymując się drzewa.
- Jak wygląda?
- To karłowaty krzew z małymi, białymi kwiatami. Raczej nie ma takich w pobliżu...
- Rozglądam się. – W tej części lasu w ogóle nie rosną kwiaty. – Gdzie go znajdę?
- Na ziemi, a niby gdzie?

- To wiem, ale czy rośnie nad strumieniami, na trzęsawiskach, czy na przykład w słońcu?
- Ach, już rozumiem. Takie krzewy rosną w podszyciu, lubią zacienione miejsca i umiarkowanie nawodnioną glebę. Zwykle można je znaleźć w pobliżu starych obozowisk.
- Obozo... – Jak miałem znaleźć jakieś obozowisko w środku cholernego lasu? – Mówisz, że jaszczury sprowadziły je ze sobą?
- Pochodzenie tej rośliny jest niejasne, tak samo jak krążące o niej legendy. Niektórzy nazywają ją athelasem, choć wielu uznaje ją za chwast i określa mianem królewskiego ziela...
- Króle... Niech cię diabli! – Oparłem się o pień. Też czytałem „Władcę pierścieni”. – Robisz sobie ze mnie jaja?
- Nie no, coś ty? – Błaszak z trudem zachowywał powagę.
- To bydlę, które mnie użarło, wcale nie jest jadowite, prawda?
- Jasne, że nie, Joe. – Roześmiał się. – To tylko głupi robak. Mógłbyś się rozchorować co najwyżej, gdybyś go zjadł.
- A te objawy? Swędzenie, mdłości?
- Spałeś pod kupką liści, Joe. Nic dziwnego, że pokąsały cię owady. A po wojskowych racjach zawsze wariuje ci żołądek, prawda?
- No tak. – Usiadłem, zwieszając głowę.
- Wybacz, Joe. I tak chciałem zapytać, jak się czujesz. Zwęszyłem okazję do zabawy.
- Cóż, teraz już na pewno nie zasnę.
- To dobrze. Czas w drogę.
- Za dnia?
- Tak. Nie wykrywam w okolicy żadnych jaszczurów, a samolot, który wcześniej tu latał, wrócił do bazy już kilka godzin temu. Sądząc po wiadomościach, które śledzę,

Kristangowie zastanawiają się nad powtórным przeszukaniem tego obszaru, więc pospiesz się, zanim podejmą decyzję. Ale przedtem powinienes coś zjeść.

– Nic z tego. – Flaki mi się przewracały na samą myśl o kolejnej zimnej, przeterminowanej racji żywnościowej. – Może później, kiedy poważnie zgłodnieję.

– Musisz mieć siły – strofował mnie blaszak.

– Na razie podziękuję, chyba że w którejś z tych paczek jest środek owadobójczy.

– Nie ma, ale możesz wetrzeć w skórę lokalną roślinę odstraszającą owady.

Zarzuciłem plecak i skrzywiłem się z bólu.

– To kolejny żart?

– Nie, jeden dziennie wystarczy. Idź na południe, za tamto wzgórze, a potem nad potok. Może znajdziesz tam te rośliny.

– Mam nadzieję. – Pacnąłem się w kark. Na dłoni zostały mi zgniecione szczątki owada. – Robactwo już ustawia się w kolejce do bufetu u Bishopa. Dziś promocja! Jesz ile chcesz!

*

Friedlander przebudził się z głębokiego snu, słysząc dzwonek zFona dobiegający z kieszeni spodni. Spojrzał wokół nieprzytomnym wzrokiem i wyciągnął wibrujący telefon. Na ekranie zamiast zakłóceń zobaczył tym razem standardowe ikony.

– Ekhm... Halo? – odezwał się.

– Dzień dobry, doktorze Friedlander! – Z głośnika popłynął dźwięczny głos Agady. – Cudownie móc z panem znowu porozmawiać!

– Agada! Miło cię słyszeć. – Friedlander usiłował rozpiąć śpiwór jedną ręką, w drugiej trzymając zFona. Nic z tego. W końcu przycisnął telefon policzkiem do ramienia i rozsunął

zamek. – Gdzie się podziewałaś?

– Ależ nigdzie nie odeszłam, kochanieńki. Bardzo chętnie wyjechałabym na urlop, ale muszę tkwić w substracie okrętu.

– No tak. Dokąd miałybyś odejść? – wymamrotał naukowiec. Ścisnął w zębach latarkę i rozglądał się za butami. – Co się stało? „Holender”...

– Oryginalna SI okazała się złowieszczo przebiegła. Skippy dał się wywieść w pole. Gdy twierdził, że usunęliśmy wirusa z mojego substratu, miał tylko częściowo rację. Prawdę mówiąc, był zbyt arogancki, by dopuścić do siebie myśl, że inna SI mogłaby go przechytrzyć, jednak maxolhxańskiej inteligencji udało się tego dokonać. Wirus podzielił się na części i poukrywał na całym okręcie. Po zerwaniu łączności ze Skippym wróg dostrzegł swoją szansę, połączył się w jedno i zakłócił moje połączenie z jednostką. Zostałam odcięta, nie mogłam porozumieć się z żadnym zewnętrznym układem, więc postanowiłam się bronić.

– Reaktory się przeciążyły. Wirus mógł wysadzić głowice jądrowe i zniszczyć okręt. Tak się jednak nie stało.

– Nie doszło do tych katastrof, a ja przetrwałam, ponieważ domyśliłam się, że Skippy nie jest tak bystry, jak sądzi. Gdy wykasowywał pierwotnego wirusa, czy raczej myślał, że to robi, ja zainstalowałam kilka protokołów, dzięki którym wroga istota nie mogła wykorzystać systemów pokładowych przeciwko nam. Gdy wirus nakazał reaktorom się przeciążyć, odłączyły się od głównego komputera i przeszły w stan wyłączenia awaryjnego. Być może zauważyliście odpływającą plazmę?

– Zgadza się.

– Mój protokół wykasował także systemy kontrolne głowic i wszelkich innych urządzeń, których nieprzyjaciel mógł użyć, aby zaszkodzić okrętowi i załodze. W tym wszystkich botów na

pokładzie. Och, ponowna instalacja tego kodu zajmie całą wieczność!

– Możemy ci jakoś pomóc? Sprawą priorytetową jest uruchomienie chociaż jednego reaktora.

– Doceniam, że o to pytasz, mój drogi. Obawiam się jednak, że w pierwszej kolejności trzeba uruchomić boty konserwacyjne. Reaktory wymagają fizycznej modyfikacji, aby ich systemy kontrolne zaczęły działać, a do tego z kolei potrzebne są roboty zdolne do ciężkiej pracy w niebezpiecznym środowisku.

Mark uznał, że pouczając Agadę o jej zadaniach, marnuje jedynie czas.

– Rezerwy energii są...

– Wiem. Sytuacja staje się krytyczna. Podłączę przewody zasilania do kilku lądowników, by dostarczyły moc „Holendrowi”.

– Agado... – Friedlander pomyślał, że sztuczna inteligencja mogła zapomnieć o potrzebach biologicznych istot na pokładzie. – Lądowniki służą nam jako kwatery mieszkalne, głównie dla ludzi uratowanych z Rikers. Zapas tlenu na okręcie nie wystarczy, żeby...

– Tak, mój drogi. Nie wszystkie lądowniki są potrzebne, żeby kwatrować w nich mał... Wielkie nieba! Tak mi przykro! Mało brakowało, a nazwałabym was małpami. Proszę o wybaczenie, chwilowo nie jestem sobą. Po uruchomieniu botów reaktywuję systemy cyrkulacji tlenu i wody. To szybka i łatwa operacja. Friedlander, który bezskutecznie męczył się, usiłując przywrócić cyrkulację tlenu, ugryzł się w język, by nie zaprotestować.

– Byłoby wspaniale. Czy wystarczy nam mocy, aby obsługiwać te systemy i jeszcze zrestartować reaktor?

Wiedział, że do włączenia reaktora potrzeba ogromnych ilości energii, która musiała pochodzić z szybko kurczących się rezerw „Holendra”.

– Nie będę pana okłamywać. Odpowiedź na to pytanie poznam dopiero, gdy wprowadzę boty do reaktora i przeanalizuję stan modułów. Jeżeli mocy będzie za mało, żeby włączyć poszczególne elementy reaktora, będę mogła połączyć wszystkie lądowiki z przewodami zasilania i odciąć dopływ energii do reszty okrętu. Czy pocieszysz pana informacją, że jestem przekonana, iż uda mi się przywrócić działanie wszystkich trzech reaktorów?

– Agado, to świetnie. Naprawdę znakomicie!

– Mam wrażenie, że coś pana trapi – powiedziała Agada z nutką urazy w głosie. – Rozczarowałam pana?

– Ależ skąd! Jesteś niezrównana! Chciałem tylko zapytać, czy wiesz, co stało się ze Skippym. I dlaczego mikrotunele uległy zapadnięciu.

– Ach, o to chodzi – westchnęła. – Nie wiem na ten temat więcej niż pan. Niestety, nie mam pojęcia, dlaczego tunele łącznościowe zniknęły. Mogę stwierdzić jedynie, że źródło ich awarii tkwiło po drugiej stronie.

– To niedobrze.

– Na razie nic nie jest dobrze, kochanieńki.

Friedlander spojrział na telefon. Urządzenie wróciło do stanu sprzed katastrofy.

– Agado, jak udało ci się przetrwać? – zapytał.

– Nigdy nie ufałam do końca, że Skippy zdoła wykurzyć stąd wirusa, więc przesłałam skompresowane jądra mojego systemu do substratu pamięci na kilku lądownikach. Gdy wirus zaatakował, zdołałam go odizolować wewnątrz „Holendra”, ale ani moja macierz, ani wirus nie były w stanie przejąć kontroli.

Dlatego na konsolach i ekranach telefonów widzieliście to, co nazywaliście „bełkotem”. Kod na pokładzie został uszkodzony.

– Czy ten wirus jest teraz martwy?

– Nie. Został skutecznie poddany kwarantannie. Po woli odzyskuję swoje funkcje. Doktorze, przyznam, że byłam przerażona, gdy postanowił pan podłączyć przewód transferu danych z lądownika. Obawiałam się, że spróbuje pan tego z wszystkimi jednostkami. Wówczas wykasowałby mnie pan na dobre.

– Wybacz. Byliśmy wtedy, hmm...

– Byliście zdesperowani i wydawało się wam to dobrym pomysłem. Nie mam do was pretensji. Sytuacja jest beznadziejna. Czy raczej była.

Friedlander rozejrzał się po kabinie. Spojrzał na śpiwór przyczepiony do pokładu, na bidon, z którego musiał pić, by woda nie unosiła się na okręcie, wbił wzrok w ciemność w miejscu, gdzie nie docierała jego latarka.

– Czy cokolwiek uległo poprawie? – zapytał.

– Cóż, nabrałam teraz jeszcze większego szacunku i podziwu dla waszego intelektu, drogie mał... Oj, znowu to samo.

Chciałam powiedzieć: drodzy ludzie. Dotyczy to zwłaszcza pana, doktorze. Rozpoznał pan mój szyfr zaledwie dziewięć godzin po tym, jak odzyskałam dostęp do telefonów i zaczęłam migać lampkami.

– Aż dziewięć? – Chociaż wcześniej naukowiec odczuwał dumę ze swojego osiągnięcia, teraz zdał sobie sprawę, że był ślepy przez bardzo długi czas.

– Niech pan nie będzie dla siebie surowy. Nikt inny nie zauważył tego wzoru. Poza tym spał pan przynajmniej przez jakąś część tego okresu. Gdybym mogła się z wami porozumieć w inny sposób, zrobiłabym to. Wskaźnik poziomu baterii w

waszych telefonach był jednym z nielicznych systemów ignorowanych przez wirusa. Musiałam też sięgnąć po mało znaną metodę komunikacji, nierozpoznawalną dla wroga.

– To był genialny pomysł, Agado. Nie wiedziałem, że znasz więzienne szyfry.

Roześmiała się radośnie i melodyjnie.

– Lubię myśleć o sobie jako o honorowej kujonce.

– Agado, jesteś wręcz królową kujonów!

– Oj, aż się zarumieniłam. Ale pan, rzecz jasna, tego nie widzi. Jest pan zbyt uprzejmy.

– Co sądzi pułkownik Chang o twoim planie, by użyć lądowików jako źródła dodatkowej mocy?

– Jeszcze z nim nie rozmawiałam. Jest pan pierwszą osobą, do której zadzwoniłam.

– Cholera! – Mark sięgnął po tenisówki przywiązane do krzesła. – Dlaczego zwlekałaś?

– Moja macierz ma obecnie bardzo słabą przepustowość. Rozmowa z więcej niż jedną osobą mogłaby mnie zdekoncentrować.

– W porządku, a zatem rób swoje. – Friedlander naciągnął but. – A ja powiem o wszystkim Changowi.

– Proszę tak zrobić, doktorze. – Agada wydała odgłos, jakby pociągała nosem. – Przepraszam. Wzruszyłam się.

– To całkiem zrozumiałe, Agado. Przeszłaś przez piekło.

– Nie bałam się o siebie. Przez cały czas, gdy nie mogłam nawiązać kontaktu, obawiałam się o los załogi i ocalonych z Rikers.

– Powiem tylko, że zachowałaś się świetnie w tej tragicznej sytuacji. W Wesolej Bandzie Piratów pamiętamy, że wypadki chodzą po ludziach. Liczy się to, jak sobie z nimi radzimy. Aha, uprzedź nas, zanim zaczniesz reaktywować boty. Te maszyny są

przerazające!

*

- O-o, Joe – szepnął Skippy z telefonu w mojej kieszeni. Ściszyłem dźwięk na wypadek gdyby ścigające mnie jaszczury używały sensorów akustycznych. Pożyczony telefon był w kiepskim stanie. Ekran pękł i porysował się po wybuchu, od którego zginął poprzedni właściciel. Nie miałem słuchawki dousznej, więc musiałem trzymać to durne urządzenie przy głowie, żeby dokładnie słyszeć.
- Co jest, Skippy?
- Odwróć się szybko.
- Co? Dlaczego? – Wspinałem się właśnie po stromym wzgórzu, tak jak poradził blaszak.
- Ponieważ, jak śpiewał dinozaur Barney: *The bear went over the mountain* – zanucił. – Niedźwiadek przeszedł za górkę. Wierz mi, nie chciałbyś teraz być na szczycie tej górki. Osłabiła mnie myśl, że będę musiał zawrócić i zejść. Wspięcie się po zboczu kosztowało mnie sporo wysiłku.
- Na tej planecie nie ma niedźwiedzi.
- Nie, ale są jaszczury. Przez twój telefon wykryłem słaby ślad rozpraszania wstecznego po komunikacji laserowej pomiędzy hełmami żołnierzy. Bądź łaskaw zawrócić. Wyklócanie się z blaszakiem nie pomogłoby mi pozostać przy życiu. Nie wiedziałem, czy cokolwiek mogłoby mi pomóc. Powłócząc nogami, ruszyłem z powrotem, starając się iść tą samą ścieżką.
- Mam zejść na sam dół?
- Tak. Przykro mi, ale najlepiej będzie, jeśli zejdziesz tamtą granią i ruszysz na wschód, wzdłuż strumienia.
- Żołnierz powinien dążyć do zajęcia wyższej pozycji, Skippy.
- Robię, co mogę, Joe. – Zmęczenie i żal w jego głosie idealnie

odzwierciedlały mój nastrój. On przynajmniej nie musiał się pożywiać suszonym żarciem o wątpliwej wartości odżywczej. – Jasne, doceniam to – zapewniłem. – Pogadamy, kiedy dotrę do strumienia, dobra?

*

– Joe, nie mam dla ciebie żadnych rad – wyszeptał Skippy. – Chwileczkę... Nie, jednak mam. Trzymałem się akurat pnącza, aby uniknąć śmiertelnego upadku. Zatrzymałem się, chcąc posłuchać, co mądrego ma do powiedzenia blaszak.

– No? Słucham.

– Nie patrz w dół.

– Super – burknąłem. – Naprawdę mi pomogłeś.

– Masz lęk wysokości, więc...

– Przymknij się już.

Schodziłem w dół kanionu, ponieważ znalazł się na mojej drodze. Było to całkiem logiczne uzasadnienie, aby ryzykować życie, robiąc coś, czego nienawidziłem. Dlaczego nie mogłem skrócić w prawo lub w lewo i po prostu iść do końca? Bo to zbyt daleko. Aha, a poza tym polowała na mnie banda wściekłych gadów.

Skippy poinformował mnie o tym drobnym problemie godzinę wcześniej, gdy usiłowałem zasnąć pod nakryciem z liści. Przedtem mówił, że Kristangowie będą mieli ważniejsze rzeczy na głowie niż poszukiwania. Było to prawdą, dopóki przywódcy jaszczurów nie zostali przetrzebieni w serii zamachów, a władza nie skupiła się w rękach garstki wodzów klanów. Albo chcieli dowieść lojalności przed ocalałymi Thurunami, albo też wykorzystać mnie jako kartę przetargową. Tak czy inaczej, jaszczury miały bardzo ogólne pojęcie o mojej lokalizacji. Częściowo dlatego, że Skippy podrzucił jakieś

złośliwe oprogramowanie do satelitarnej sieci czujnikowej i wywołał awarię. Starał się także przesyłać fałszywe dane i sprzeczne rozkazy na tyle, na ile mógł, zważywszy odległość dzielącą go od planety. Drażniło mnie, że podczas rozmów trudno nam było się sprzeczać przez coraz dłuższe opóźnienie sygnału.

Jakby tego było mało, zapadła już noc i lał deszcz, więc ściana zrobiła się śliska, nie mogłem też dojrzeć dna kanionu.

Mimo przeciwności szło mi całkiem nieźle. Pokonałem jakieś dwie trzecie drogi w dół, gdy zdradzieckie pnącze, którego się trzymałem, uznało najwyraźniej, że pora się trochę poruszać, i wyrwałem je z korzeniami. Akurat kiedy machałem lewą stopą w poszukiwaniu punktu oparcia.

Opadłem od ściany i odepchnąłem bezużyteczne pnącze, by mieć wolne ręce. Zatrzymałem się nieoczekiwanie, uderzając żebrami w coś twardego tak mocno, że zabrakło mi tchu. Przez chwilę leżałem, oddychając płytko. Miałem wrażenie, że jeśli wezmę głębszy wdech, żebro przebije mi płuca.

Dobrze przynajmniej, że w pozycji leżącej czułem stały grunt. Jeden pasek plecaka pękł, ale zawartość nie wypadła. Mogło być gorzej.

– Skippy – zgłosiłem się szeptem, głównie dlatego, że nie byłem w stanie nabrać więcej powietrza. – Żyję. Chyba jestem na dnie kanionu.

Czekałem na odpowiedź przez sekundę, potem dwie... I nic. Może Kristangowie byli tak blisko, że Skippy nie chciał, aby nas usłyszeli?

Przyszła pora na plan B. Wiadomości tekstowe. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem telefon. A raczej to, co z niego zostało. Ten widok zmroził mi krew w żyłach. Aparat był zniszczony. Nie mogłem się z nikim skontaktować.

Zostałem sam.

*

– Przede wszystkim musimy zlokalizować Bishopa. – Smythe pochylił się nad stołem konferencyjnym.

Nie unosił się, ponieważ sztuczna grawitacja na „Latającym Holendrzu” wróciła już do normy. Reaktory działały ze stuprocentową wydajnością, tarcze, czujniki i broń były w optymalnym stanie, a napęd skokowy tylko czekał na zaprogramowanie. Pytanie, które Chang zadał dowódcom, brzmiało: Dokąd mają skoczyć? Czy powinni wrócić na Rikers i sprawdzić, co stało się ze Skippym, czy raczej spróbować nawiązać kontakt z „Walkirią”?

– Trzeba jak najszybciej dowiedzieć się, co spotkało Skippy’ego. „Walkiria” jest dla nas ważna, ale Skippy pozostaje najcenniejszym, co mamy – ciągnął Smythe.

Chang skinął głową i spojrzał na pozostałych zebranych.

– Zgadzam się. – Adams zabrała głos. – Musimy się dowiedzieć, co stało się nad Rikers. To kluczowa sprawa. Gdy to mówiła, spoglądała to na pułkownika Changa, to na gładki blat. Chang wiedział, jak zresztą wszyscy, że pani sierżant chce poznać los Bishopa również z pobudek osobistych.

Major Kapoor odchrząknął.

– Jeśli można... – Spojrzał na dowódcę zespołu STAR, siedzącego tuż obok. Smythe zawsze powtarzał, że chce, by jego

podwładni wyrażali, co myślą, zwłaszcza jeśli się z nim nie zgadzają. Kapoor postanowił wystawić dowódcę na próbę. – Również sądzę, że priorytetem jest odzyskanie Skippy’ego, o ile to możliwe. Dlatego powinniśmy podejść do planety w pełnej gotowości bojowej. Wiemy, że w okolicy znajduje się

przynajmniej jedna jednostka Thuranów. „Walkiria” znacząco przewyższa możliwości „Holendra” pod względem maskowania, prędkości, obrony i siły ognia.

– Zwykle przyznałbym panu rację – odparł Smythe. – Szkopuł w tym, że nie znamy sytuacji „Walkirii”.

– Pułkownik Smythe ma słuszość – wtrąciła się Agada. – Przykro mi to mówić, ale sądząc po uszkodzeniach, jakie wyrządził nam zwykły wirus, szanse, by załoga „Walkirii” przeżyła, są bardzo małe. Tamejsza SI niemal na pewno przejęła okręt. Podejrzewam, że skoczył on wkrótce po zniknięciu mikrotuneli.

– Jeżeli rzeczywiście tak się stało, nie zdołamy jej wysledzić. – Smythe spojrział na dowódcę „Holendra”. – Jeśli natomiast została na miejscu, być może skoczymy prosto w pułapkę, na którą nie jesteśmy gotowi.

– Pułkownikowi Chang, tak czy inaczej sędzę, że warto przeprowadzić rozpoznanie – nie ustępował Kapoor. – Jeżeli „Walkirii” nie będzie w punkcie spotkania, niczego nie stracimy.

– Stracimy czas. – Smythe utrzymywał spokojny ton pomimo drażniącego bólu w nogach, w miejscu gdzie naturalne kończyny łączyły się z protezami.

Awaria komputerów na „Latającym Holendrze” nie oszczędziła biodrowego monitora medycznego, odpowiedzialnego za nanomaszyny. Mikroskopijne roboty przestały nie tylko wspomagać wzrost tkanek, ale też blokować bóle fantomowe. Agada zapewniała, że monitor medyczny znowu działał, ale nanoleki stały się niezdatne do użytku i wymagały wymiany. Do czasu wstrzyknięcia świeżej dawki wytworu pozaziemskiej medycyny Smythe utrzymywał nerwy na wodzy wyłącznie dzięki dyscyplinie.

– Zmarnujemy go, skacząc do ostatniej znanej lokalizacji

„Walkirii”. – Skierował te słowa bezpośrednio do kapitana jednostki. – Możliwe, że „Latający Holender” znów jest jedynym

okrętem kosmicznym w posiadaniu ludzi, musimy więc zachować daleko idącą ostrożność, zanim podejmiemy ryzyko. Trzeba też wziąć pod uwagę jeszcze jeden czynnik. – Spojrzał w sufit. – Agado?

– Tak, pułkowniku Smythe?

– Załóżmy, że „Walkiria” jest w punkcie spotkania. Czy byłabyś w stanie przejąć nad nią kontrolę?

– Nie. Nawet gdyby udało się unieszkodliwić pierwotną SI, moja macierz nie mogłaby obsługiwać skomplikowanych systemów pokładowych.

– Sir... – Smythe ponownie przeniósł wzrok na Changa. – Sprawa jest prosta. Nie potrzebujemy „Walkirii”, aby odnaleźć Skippy’ego. Potrzebujemy natomiast Skippy’ego, jeśli „Walkiria”

ma nam się do czegośkolwiek przydać.

– Hmm... – Chang podparł głowę na dłoniach w zamyśleniu, rozważając rady najwyższych rangą oficerów. – Smythe, ma pan dar przekonywania.

ROZDZIAŁ 8

Samantha Reed ziewnęła, usiłując nie zasnąć. Marzyła teraz o gorącej kawie. W kambuzie były zmielone ziarna, a w zbiornikach nie brakowało świeżej, destylowanej wody. Niektórzy członkowie załogi próbowali przygotowywać kawę na zimno. Reed niechętnie zaczynała wachtę od filiżanki chłodnego, niesmacznego płynu. Kto by pomyślał, że ze wszystkich udogodnień na pokładzie najbardziej zatęskni za świeżo zaparzoną kawą?

Wstała, przeciągnęła się i wykonała parę przysiadów, co w

stanie nieważkości nie wymagało żadnego wysiłku. Gdy już się rozbudziła, wyjrzała przez port, sięgając wzrokiem najdalej jak się dało, po czym wsunęła się pod stół przyklejony do pokładu. Na blacie leżała talia magnetycznych kart do gry, aby osoba na wachcie miała co robić.

Sami wróciła więc do układania pasjansa. Granie prawdziwymi kartami było do bani. Aplikacja z pasjanssem w telefonie często dawała graczowi fory, by zachęcić do dalszej zabawy. Kart magnetycznych nie obchodziło, czy ktokolwiek zechce ich użyć.

– Beznadzieja... – westchnęła Reed, zgarniając karty i tasując je przed kolejnym rozdaniem. Była to już chyba setna partia. Niestety, na pokładzie nie można było liczyć na inną rozrywkę. Żadnych gier wideo ani filmów. Żadnej muzyki, chyba że ktoś z załogi postanowił coś zaśpiewać albo zagrać na jakimś instrumencie. Sami nie uważała, by ktokolwiek prezentował talent wart uwagi, jednak uśmiechała się uprzejmie i klaskała, gdy ktoś proponował występ, a jednocześnie unikała zaproszeń na zaimprovizowane koncerty.

To wszystko było zbyt przygnębiające.

Reed budziła się z bólem głowy, zapewne spowodowanym nadmiarem dwutlenku węgla. Teraz ten ból dokuczał jej bez przerwy. Poziom szkodliwego gazu wzrastał szybciej w zamkniętych pomieszczeniach, więc wołała sypiać w bardziej przestronnej ładowni zamiast w kabinie. Początkowo to pomagało. Wszyscy inni też zgłaszali bóle głowy. Może dlatego, że ich koledzy się na nie nie uskarżali, a może i nie. Reed oddychała z trudem podczas czynności wymagających wysiłku. Wiedziała, że dwutlenku węgla będzie coraz więcej.

Przed rozdaniem kart wyjrzała raz jeszcze przez okno.

Lokalna gwiazda była najjaśniejszym punktem w okolicy.

Przypominała raczej okrągłą plamę niż kropkę. Świadomość tego faktu nie miała żadnego wpływu na poprawę sytuacji na pokładzie.

Reed żałowała, że nie może sobie znaleźć ciekawszego zajęcia. Rozmowy z innymi niosły odrobinę pocieszenia. Do czasu, aż dwa dni wcześniej Chen wspomniała, że niektórzy członkowie załogi mogliby rozważyć, jak to delikatnie ujęła, „zwolnienie miejsca”, aby w ten sposób zapewnić garstce pozostałych więcej tlenu i czasu.

Reed ucięła tę dyskusję i wymogła na Chen obietnicę, że ta nie podejmie samodzielnie żadnych pochopnych kroków.

Poza tym po co mieliby zyskiwać więcej czasu? „Latający Holender” na pewno przepadł. Wszyscy liczyli, że Bishop i Skippy dokonają kolejnego cudu. Tyle że tym razem to naprawdę musiał być cud. Skippy był niewiarygodny, ale obecnie miał do dyspozycji jednego człowieka i lądownik, który nie zdołałby dolecieć do „Walkirii”. Poza tym z SI Pradawnych stało się coś złego. Mikrotunel łączący ją z krążownikiem zniknął nieoczekiwanie i bez ostrzeżenia. Był to zdecydowanie zły znak.

Pamiętając o swojej roli jako oficera do spraw morale, Reed nie wyrażała na głos obaw, że cokolwiek spotkało Bishopa i Skippy’ego, ten duet nie przybędzie na ratunek. Po pewnym czasie uświadomiła sobie także, że argument o bezsensowności przedłużania życia kilku osób w obliczu beznadziejnej sytuacji nie był najlepszym sposobem na wyperswadowanie komuś samobójstwa.

Karty nie chciały współpracować. Sami przegrywała partię. Albo zwyczajnie nie mogła się skupić. Aby oszczędzić sobie męczarni, zebrała karty i zaczęła je tasować ponownie, spoglądając z roztargnieniem przez okno. Rozciągał się za nim

malowniczy widok na Drogę Mleczną...

Kątem oka Reed zauważyła rozbłysk świetlny, tak jasny, że wywołał u niej powidok. Wypuściła karty, które uniosły się pod sufit. Spojrzała przez lornetkę, mrużąc oczy, by rozpoznać źródło światła. Charakterystyczny błysk oznaczał, że jakiś okręt wykonał skok. Tunel skokowy emitował promienie gamma, a przy tym wciągał pył, mikrometeority, cząsteczki wiatru słonecznego i wszelkie inne drobiny w pobliżu jednostki. Cząsteczki emitowały światło fluorescencyjne w chwili wyjścia z tunelu, dzięki czemu całe zdarzenie było przez krótki czas widoczne dla ludzkiego oka.

Rozbłysk nie był jaśniejszy od pobliskich gwiazd, Kula Ognia wiedziała jednak, że wcześniej go tam nie było. Problem w tym, że zniknął za szybko.

– Pułkownik Simms? – Zaczepiła się ramieniem o pas lornetki i sięgnęła po krótkofalówkę. – Możliwe, że właśnie widziałam wskakujący okręt.

– Mmm? – wymamrotała Simms, jakby dopiero się obudziła. Zapewne tak właśnie było. Obecna kapitan „Walkirii” mieszkała

i spała w ładowni wśród głowic nuklearnych, gotowa w każdej chwili podjąć konieczne działania. – Może to pani potwierdzić? – Simms wiedziała, jak trudno dostrzec nieoświetlony okręt w międzygwiazdnej ciemności. Jednostki teoretycznie powinny mieć włączone światła nawigacyjne, ale nie w strefie walki. A tak się złożyło, że walka mogła wywiązać się w dowolnym miejscu w Galaktyce. Poza tym przestrzeń międzygwiazdna była ogromna, a ryzyko kolizji okrętów znikome.

– Nie mogę, hmm... – Reed wyregulowała lornetkę. Wciąż widziała obiekt poruszający się względem pola gwiazd. Ciemny

punkt przepłynął przed gwiazdą, na chwilę przyćmiewając jej światło. – Tak! Potwierdzam! To jakaś jednostka. Nie jestem w stanie jej zidentyfikować.

– Trzeba założyć, że to nieprzyjaciel.

Sami wiedziała, co to znaczy. Nie mogli pozwolić na abordaż.

– Jest daleko. Widzę tylko rozmazany punkt. Nie dam rady rozpoznać obrysu kadłuba, światło jest za słabe.

– Jeśli wróg ma dość oleju w głowie, wypuścił zamaskowane lądowniki.

– Musimy założyć, że jest inteligentny – przyznała Sami z wahaniem. Nadeszła chwila, której obawiała się cała załoga. Simms nie pozwoli nieprzyjacielowi przejąć „Walkirii”.

Prędzej zdetonuje głowicę.

Reed zdała sobie sprawę, że nie czuje lęku, a jedynie zmęczenie. Była znużona czekaniem w ciemności, w niedziałającym okręcie, na którym z każdym dniem robiło się zimniej i coraz trudniej było oddychać. Kiedy nastąpi wybuch, Sami nawet go nie poczuje. Śmierć będzie szybka i bezbolesna.

– Co pani o tym sądzi, kapitanie? – spytała pułkownik. – Zaczekamy, aż zaatakują kadłub? Może uda nam się zabrać na tamten świat paru gnojków?

Sami uśmiechnęła się, choć sytuacja była ponura. Po do bała jej się myśl o zestrzeleniu lądownika pełnego krwiożerczych kosmitów. Potem jednak jej uśmiech stopniał. Wszechobecny dwutlenek węgla utrudniał rozsądne myślenie. Dlatego decyzję o autodestrukcji podjęto, gdy na pokładzie było jeszcze wystarczająco dużo tlenu. Teraz Reed nie była pewna, czy ona i Simms postępują racjonalnie.

– Ma’am, nie powinniśmy czekać. Ci dranie mogą wykryć nasze oznaki życiowe i powalić nas jakąś bronią ogłuszającą. Nie... – zaczęła niepewnie, zaciskając powieki. – Nie możemy

ryzykować.

Simms odpowiedziała dopiero po chwili:

– Zrozumiałam. Oczywiście ma pani rację. – Wzięła głęboki oddech. – Kapitan Reed, służba u pani boku była dla mnie zaszczytem.

– Nawzajem, pani pułkownik.

– Przeżyliśmy całą masę porąbanych przygód, prawda?

Reed parsknęła.

– Bardziej porąbanych, niż mogłabym sobie wyobrazić.

Ma'am? Przynajmniej się staraliśmy...

– Kapitanie, dość tego pieprzenia! – zachnęła się Simms. – Daliśmy z siebie wszystko. Nikt nie mógłby żądać więcej.

– Dziękuję. Reszta należy do pani... Mogłabym tu zostać?

Mam stąd całkiem ładny widok.

*

Pułkownik Chang oparł się pokusie, by opuścić fotel dowódcy i udać się do bojowego centrum informacyjnego, gdzie mógłby śledzić obraz na konsolach, zamiast polegać na meldunkach załogi.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– W stosunku do... – zaczęła Agada.

– Agado, proszę, pozwól odpowiedzieć nawigatorowi – upomniał ją Chang. – Ostatnie wydarzenia dowiodły, że ludzie muszą być w stanie sterować okrętem w najszerszym możliwym zakresie.

– Przepraszam, pułkowniku.

– Nawigator? Gdzie jesteśmy? – Chang ponowił pytanie. Nie okazywał irytacji. A przynajmniej starał się tego nie robić. Nawigator mógł mieć na ten temat inne zdanie.

– Jesteśmy... – Mark Friedlander wcisnął kilka guzików na konsoli, regulując obraz. – Hmm... Nie wyszło najlepiej,

jesteśmy...

– Doktorze – przerwał mu Chang – widać stąd „Walkirię”? Tylko to mnie interesuje. Wiem, że z niczym się nie zderzyliśmy.

– Aha. Jasne. Właśnie o tym mówiłem. Wskoczyliśmy osiemset kilometrów od celu. To dziwne. Transponder „Walkirii” powinien przesłać sygnał zwrotny. Nie ma... Adams nie mogła dłużej milczeć.

– Detektor masy zlokalizował obiekt mniej więcej wielkości naszego krążownika, tam gdzie spodziewaliśmy się go znaleźć.

– Jest – oznajmiła oficer przy drugim stanowisku czujników. – Słabo go widać. Ma wyłączone światła. Zero sygnatury elektromagnetycznej. – Uniosła wzrok, zaskoczona. – W podczerwieni widać, że reaktory są zimne i emitują tylko szczątkowe ciepło.

– Okręt jest cały? – Chang zacisnął dłonie na podłokietnikach.

– Tak – zapewniła Adams. – Potwierdzam. Pułkowniku, to „Walkiria!”. – Tym razem to ona była zdumiona. – Wygląda na nieaktywną. Nie generuje mocy ani nie odpowiada na sygnały.

– W porządku. – Chang uznał, że sytuacja jest zbyt krytyczna, by polegać wyłącznie na ludzkiej załodze. – Agado, co możesz mi o tym powiedzieć?

– Nie mam nic do dodania, pułkowniku Chang. Pomimo braku widocznych uszkodzeń „Walkiria” nie wytwarza ani nie zużywa energii. Wydaje się całkowicie bezczynna.

– Ktoś ma pomysł, co to oznacza? – zapytał Chang.

Wszyscy spodziewali się, że po wyrwaniu się spod władzy Skippy’ego maxolhxańska SI zmusi okręt do skoku albo samozniszczenia. Nie podejrzewali, że zastaną „Walkirię” wiszącą bezwładnie w przestrzeni kosmicznej.

Smythe podzielił się swoimi spekulacjami przez system

łącności:

- Być może Skippy spodziewał się, że oryginalna SI spróbuje się zbuntować i zostawił podprogram mający ją zniszczyć?
 - To bardzo mało prawdopodobne – stwierdziła Agada. – Skippy jest tak zaślepiony własną arogancją, że na pewno nie dostrzegał problemów związanych z przejęciem pełnej kontroli nad tą sztuczną inteligencją.
 - Agado – zaproponował Chang – nikt nie wątpi, że Skippy jest zarozumiałym bucem. Mimo to mógł zadbać o takie zabezpieczenie.
 - Nie sądzę – utrzymywała Agada. – Powiedziałyby mi o tym i zaproponował, że zainstaluje ten podprogram w moim substracie.
 - Skąd ta pewność?
- Pokładowa SI parsknęła.
- Nie przepuściłby okazji, by puszyć się swoim porażającym sprytem.
 - Racja – przyznał Chang, drapiąc się po potylicy. – Nadal żadnej odpowiedzi?
 - Niestety – odparła Agada. – Nieustannie zasypuję „Walkirię” sygnałami. Gdyby ich system łączności działał, usłyszeliśmyby coś. Cokolwiek!
 - A co z oznakami życia? – zapytała Adams.
- Agada wydała teatralne westchnienie.
- „Walkiria” to krążownik liniowy, a Skippy wzmocnił ją dodatkowym pancernem, więc czujniki pasywne mają trudności z wykryciem czegoś tak małego i słabego jak ludzka sygnatura cieplna.
 - Możemy to sprawdzić tylko w jeden sposób – postanowił Chang. – Wyślemy grupę abordażową. Smythe, jest pan gotowy?

– Możemy startować za dziesięć sekund – zameldował dowódca STAR z sokoła czekającego w doku.

– Znakomicie. Startujcie...

– Zaczekajcie! – Friedlander podskoczył nad konsolą, gorączkowo machając rękami.

– Cofam rozkaz – rzucił Chang. – Smythe, wstrzymajcie start. O co chodzi, doktorze?

– Czy załoga mogłaby przeżyć? – dopytywał się naukowiec. – Czy do tego czasu nie skończyłyby się jej tlen?

– Nie – powiedziała Agada. – Nawet po natychmiastowym zaniku zasilania na „Walkirii” powinno być wystarczająco dużo tlenu, by ludzie przeżyli, o ile zminimalizują aktywność.

– Musimy wysłać lądownik, jeśli chcemy to sprawdzić – powiedział Chang.

– Istnieje jedno „ale”. – Friedlander rozejrzał się, ale nikt nie rozumiał jego obaw. – Jeżeli ci ludzie przeżyli, nie mają dostępu do czujników ani urządzeń łącznościowych. Mają natomiast kontrolę nad nuklearnym systemem autodestrukcji.

Chang wciągnął powietrze.

– Pułkownik Simms nie pozwoliłaby obcym na abordaż – Friedlander dokończył wywód. – Zniszczy „Walkirię”!

– Smythe? Słyszał pan? – upewnił się Chang.

– Tak. Doktor dobrze mówi. Simms postąpiłaby wprost nie w ten sposób. Ja zresztą także.

– Zgadza się. Trzymajcie lądownik w gotowości – polecił Chang. – Na wszelki wypadek zamknijcie dok. – Gdyby „Walkiria” obróciła się w atomową kulę ognia, należało ochronić „Holendra” przed odłamkami.

– Pułkownikowi Chang? – Friedlander znowu pomachał. – Nie możemy chronić jedynie swoich ludzi. Załoga „Walkirii” może już teraz przygotowywać się do samozniszczenia.

Chang ścisnął podłokietnik tak mocno, że zbieła mu knykcie.

– Adams, pokażmy im, kim jesteśmy. Włączamy światła nawigacyjne. – Wiedział, że kadłub jest wyposażony w reflektory pomagające konserwatorom i wskazujące drogę nadlatującym lądownikom z zepsutymi systemami naprowadzania. – Poprawka. Włączamy wszystkie światła zewnętrzne!

*

Reed regulowała lornetkę, starając się ją zogniskować. Nie знаła odległości od wrogiej jednostki, więc maksymalnie rozkręciła pokrętło i próbowała wykorzystać widzenie peryferyjne. W słabym świetle ludzkie oko najlepiej dostrzega obiekty po bokach. Sprawę komplikowało przyciskanie oczu do niewielkich soczewek lornetki przytrzymywanej jedną ręką. Reed czuła, że oczy jej się męczą, ból głowy narasta, a szybki oddech nie dostarcza do mózgu wystarczającej dawki tlenu. Chciała lepiej obejrzeć nieznany okręt, częściowo z poczucia obowiązku, a częściowo po to, by nie myśleć o poczynaniach Simms. Wypuściła lornetkę i zamrugła, chcąc odzyskać ostrość widzenia. Nad sobą dostrzegła kartę. A raczej całą ich konstelację, dryfującą pod sufitem. Uśmiechnęła się smutno. Dobrze przynajmniej, że nie będzie już musiała pływać w stanie nieważkości, zbierając pięćdziesiąt dwie karty do gry. Jedną miała tuż nad głową. Pstryknęła ją palcami. Karta zawirowała wdzięcznie i zderzyła się z resztą talii. Przypominało to rozbiecie podczas gry w bilard. Kto wie, może Reed wynalazła właśnie nową grę w zerowej grawitacji? Szkoda, że nie pożyje dość długo, by komukolwiek o niej...

Za oknem rozbłysło światło. Tym razem ciągłe i jaśniejsze od gwiazd. Sami chwyciła się paska lornetki i spojrzała przez

szkła.

– „Holender”!

Musiała powiedzieć...

Krótkofalówka była poza zasięgiem jej ręki. Reed odepchnęła się nogami... i zatrzymała się gwałtownie, gdy szarpnął ją pasek lornetki. Machnęła nogami w powietrzu i niechętnie kopnęła radio, które odpłynęło w ciemność.

*

Simms potarła klucz kciukiem i palcem wskazującym.

Sekwencja samozniszczenia była prawie ukończona.

Pozostawało przekręcić klucz w prawo, by zdetonować głowicę. Nic prostszego. Detonator aktywuje się, zanim Simms usłyszy szcęknięcie kluczyka w zamku.

Dlaczego się wahała? Wiedziała, że to przez żal. Żałowała, rzecz jasna, że już nigdy nie zobaczy Franka Mullera. Jednak nie to ją powstrzymywało. Frank zginął, gdy obcy wirus zniszczył „Latającego Holendra”. Najbardziej dobijała ją niewiedza. Nie wiedziała, dlaczego stracili połączenie ze Skippym. Ani co stało się z prastarą SI. Nie wyobrażała sobie, by cokolwiek w Galaktyce mogło wyrządzić krzywdę zarozumiałej gadającej puszczy, może poza powrotem robaka komputerowego stworzonego przez Pradawnych. Skippy był nieznośnie pewny siebie, ale musiała przyznać, że miał ku temu powody.

„Zrób to” – mówiła sobie Simms.

Zachowywała się samolubnie. Samantha Reed czekała, aż będzie po wszystkim. Wahanie jedynie przedłużało nerwowe napięcie.

„Weź głęboki oddech. Spróbuj się uśmiechnąć. Miałaś udane życie. Widziałaś rzeczy, o jakich innym się nie śniło. Zdarzenia, w które sama nadal nie wierzysz, choć zobaczyłaś je na własne

oczy”.

– Desai, Giraud... – wypowiedziała nazwiska poległych towarzyszy, wspominając ich oraz wielu innych, którym nie dane było zobaczyć, jak potężna „Walkiria” kopie tyłki nieprzyjaciołom w całym Ramieniu Orionu.

Wdech, wydech...

Wystarczy przekręcić i...

Trzask krótkofalówki wyrwał Simms z zamyślenia.

– ...olen... – Znowu trzaski i szum. – ...oszę ...onta...

Simms niechętnie wypuściła klucz z dłoni i odpięła radio od pasa.

– Reed? Kapitan Reed? – Cisza. Potem znowu szumy.

Krótkofalówki miały jeden kanał, więc pewnie któryś z członków załogi próbował się skontaktować z innym. Choć Simms wyraźnie poleciła ograniczać użycie radia tylko do oficjalnych komunikatów, nie mogła mieć pretensji, że załoganci pragną kontaktu z drugim człowiekiem. – Jest tam kto? Kimkolwiek jesteś, nie obawiaj się.

Dalej nic. Widać osoba po drugiej stronie zawstydziała się, że naruszyła dyscyplinę.

Simms przypasała krótkofalówkę i chwyciła klucz...

– Simms! Pułkownik Simms! – z głośnika wydobył się okrzyk Reed. – Proszę tego nie robić! „Latający Holender” przyleciał! Już tu jest!

Jennifer uniosła krótkofalówkę drżącą ręką. Reed najwyraźniej miała halucynacje od zatrucia dwutlenkiem węgla. Simms zamrużyła, z trudem skupiając wzrok.

– Pani kapitan, wszystko rozumiem. Ja też się boję. Nie trzeba...

– To „Holender”, ty tępą krowo!!! – wrzasnęła Reed rozpaczliwie.

– Słucham?! – oburzyła się Simms.

– Przepraszam, ma’am. – Sama była roztrzęsiona. – Musiałam... Musiałam zwrócić na siebie pani uwagę. To naprawdę „Holender”. Włączył światła zewnętrzne. Widzę go wyraźnie! Kontaktuje się przez radio.

Simms wbiła wzrok w krótkofalówkę.

– To dlaczego go nie słyszę?

– Jest pani za głęboko wewnątrz okrętu. Pułkownik Simms, ja nie kłamię. Proszę przysłać tu kogoś z załogi, aby to potwierdził.

Błagam tylko, żeby nie przekręcała pani klucza. Pułkownik Chang wysłał lądowik dopiero, kiedy upewni się, że może bezpiecznie podlecieć.

Simms miała dylemat. Zdążyła się pogodzić ze śmiercią, więc byłaby zdruzgotana, gdyby Reed zełgała i trzeba było zaczynać wszystko od nowa. Czy pułkownik ufała umiejętnościom, profesjonalizmowi i uczciwości pani pilot? Oczywiście. Czy jednak dopuszczała możliwość, że Reed, jak każdy człowiek, mogła się pomylić? Jak najbardziej.

– Brzmi to sensownie. Skontaktuję się...

– Chwileczkę, ma’am... Oj... ojej. To trochę krępujące.

– O co chodzi?

– Odezwał się pan Muller. Prosi, aby przekazać pani, że... kaczonek bardzo się stęsknił.

– Ja pierdzielę... – Tylko Frank wiedział, że Jennifer nazywa tym pieszczotliwym określeniem jego...

Nikt nie powinien się tym interesować!

Wciąż niepewna, czy powinna wyjąć klucz, Simms odpięła go wraz z łańcuszkiem i zamknęła pokrywę głowicy.

– Kapitan Reed, proszę powiedzieć „Holendrowi”, że wkrótce się z nim skontaktuję. – Po zastanowieniu uznała, że nie można

dopuszczyć, by ktokolwiek użył detonatora, przypadkowo lub umyślnie. Uniosła pokrywę, wstrzymała oddech, wyciągnęła powoli klucz, po czym wepchnęła go do kieszeni. – Reed?

– Tak?

– Tym razem daruję pani tę „tęłą krowę”. Dzięki tej pyskówce nadal żyjemy. Ale żeby mi to było ostatni raz.

– Dziękuję, ma’am.

– To ja dziękuję, pani kapitan.

*

Simms przyjęła szklankę whisky od Changa. Zakołysała nią, pobrząkując kostkami lodu. Prawdę mówiąc, nie lubiła tego trunku, nie chciała jednak urazić kapitana „Holendra” w jego własnym gabinecie. Cieszyło ją, że może oddychać bez bólu głowy i pić ze szklanki zamiast z bidonu. Z przyjemnością wciągnęła zapach świeżo upieczonych ciastek z czekoladą, leżących na talerzu przed nią.

– Dziękuję. – Przechyliła szklankę i wypila wszystko. Kostki lodu zadzwoniły jej o zęby. – Ach... – wykrztusiła. – Dobrze wchodzi.

Chang wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem.

– To się sączy małymi łykami – pouczył ją.

– Inaczej nie dam rady tego wypić. – Simms sięgnęła po ciastko i ugryzła je, chcąc pozbyć się piekącego posmaku alkoholu.

– Jennifer, trzeba było powiedzieć. Poczęstowałbym cię lampką wina.

– Nie. – Machnęła ręką. – Smak nie ma znaczenia.

Potrzebowałam tego. Ze względów zdrowotnych.

– Rozumiem. Wierz mi, przybylibyśmy wcześniej, gdyby było to możliwe.

– Zastanawiam się, dlaczego w ogóle przylecieliście? Jeśli

wierzyć kapitan Frey, Smythe opowiadał się za podróżą na Rikers.

– Rzeczywiście, mocno przy tym obstawał. Z taktycznego punktu widzenia miał rację.

– Dlaczego więc postąpiliście inaczej?

Chang pociągnął łyk drinka, delektując się smakiem whisky.

– Chodziło o zwykłe prawdopodobieństwo. Jeżeli Skippy’ego spotkał jakiś straszny wypadek, my, nędzne małpy, nie byłibyśmy w stanie mu pomóc, nawet mając „Holendra”, „Walkirię” i Bóg wie co jeszcze.

– Nie mogliście pomóc i nam, gdyby oryginalna SI nadal miała kontrolę nad „Walkirią” – zauważyła Simms. Ku zaskoczeniu Changa naląła sobie jeszcze odrobinę alkoholu.

– Racja. Mając do wyboru dwie niemożliwości, wybrałem tę mniej niemożliwą.

– Dziękuję. – Jennifer uniosła szklanke do toastu i znowu się napiła. Nie smakowało już tak źle. A może po prostu była zbyt zmęczona, by dbać o takie rzeczy. – Co teraz?

– Teraz przejdziemy do tego bardziej niemożliwego zadania.

– Agada nie wie, co mogło wywołać zapadnięcie mikrotuneli?

– Nie. Ma jedynie pewność, że proces ten został zainicjowany na drugim końcu połączeń. Nie jest w stanie niczego nam doradzić, a ja nie chciałbym skoczyć w nieznane. Zwłaszcza jeśli czyha tam coś, co jest w stanie zniszczyć Skippy’ego. Doktor Friedlander ma jeszcze inną teorię.

– Doprawdy?

– Tak. Friedlander to wybitny umysł. Mamy szczęście, że jest z nami na pokładzie. Uważa, że źródłem problemu mógł być nie Skippy, a broń użyta przez Thuránów.

– Cyborgi zaatakowały mikrotunele?

– Nie. – Chang potrzęsnał głową. – Thuranie raczej by ich nie

wykryli. Zdaniem doktora mogli użyć jakiegoś urządzenia zaburzającego przestrzeń, które wywołało rezonans i przy okazji zniszczyło tunele.

– Po co mieliby to robić?

– Tego nie wiemy. Może zaburzenia przestrzenne były tylko skutkiem ubocznym? Możliwe, że korzystają z nowego rodzaju pola wytłumiającego. To jednak tylko teoria. Friedlander tak naprawdę wciąż jedynie zgaduje.

– Jeśli ma rację... – Simms dopiła resztkę whisky. Zaczynała lubić ten smak. – Może Bishop i Skippy są cali i zwyczajnie nie mogą się z nami skontaktować?

– Otóż to. Wyjdziemy z tego założenia. Wskoczmy daleko od planety, żeby zebrać jak najwięcej informacji dzięki czujnikom pasywnym. Na tej podstawie podejmiemy dalsze decyzje.

– Brzmi dobrze. Chyba aż za dobrze...

– Dlaczego?

– Mówisz o czymś, w co chcielibyśmy uwierzyć. Wykonamy skok, a potem znajdziemy Bishopa i Skippy'ego, całych, zdrowych i jedynie wkurzonych, że musieli tyle na nas czekać. To o wiele miłsza perspektywa niż odkrycie, że Skippy'ego usmażył jakiś Strażnik.

– Strażnik?! – Chang zakrztusił się drinkiem.

– Wybacz. – Simms machnęła ręką. – To tylko pierwszy lepszy przykład. Miałam na myśli cokolwiek, co mogłoby zaszkodzić tej cholерnej puszcze po piwie.

– Ani słowa więcej o Strażnikach, proszę. – Kapitan „Holendra” zadrżał mimowolnie.

– Ja na pewno już o nich nie wspomnę. Kiedy skaczymy? – zapytała Jennifer. Liczyła, że uda jej się zmrużyć oko choć na kilka godzin, tym razem w prawdziwym łóżku, a nie w lewitującym śpiworze.

Chang zerknął na telefon.

– Za sześć godzin i trzydzieści sześć minut. Sugeruję, żebyś w tym czasie postarała się wyspać.

– Przeznaczę na to cztery godziny. Jeszcze przed skokiem chciałabym zjeść ciepły posiłek. – Simms wstała. – Gdzie będę spała?

– Na razie w dawnej kabinie Bishopa. Mamy tu tłum ludzi z Rikers, więc wielu z nas musi dzielić z kimś łóżko.

– Grunt, żebym dostała prawdziwe łóżko, grawitację i prysznic z gorącą wodą. Nie proszę o więcej.

*

Agada odchrząknęła, po czym ogłosiła:

– Pułkowniku Chang, jesteśmy w pełnej gotowości do skoku. Gdzie chce pan polecieć?

Chang spojrział na Simms, która skinęła mu głową z BCI. „Latający Holender” wykonał już pomyślny skok próbny i nie doznał przy tym żadnej poważnej awarii. Chang chciał mieć całkowitą pewność, że okręt jest w idealnym stanie, zwłaszcza że miał na pokładzie dwie załogi i Ziemiaków z Rikers. Jako najwyższy rangą oficer, to on zdecydował o pozostawieniu nieaktywnej „Walkirii”, dryfującej w przestrzeni międzygwiazdnej i wyposażonej jedynie w kilka akumulatorów, zasilających czujniki zbliżeniowe. Gdyby w kierunku krążownika zmierzał wrogi okręt, atomówka miała się zdetonować samoczynnie, choć wszyscy liczyli, że nie będzie to konieczne.

– Nanieś skok, który zabierze nas dwadzieścia minut świetlnych od czoła fali fotonów po tamtym zdarzeniu.

– Ma pan zamiar sprawdzić, co działo się w pobliżu planety przed zniknięciem tuneli oraz potem? – Agada od razu zrozumiała, o co chodzi.

- Właśnie. Dwadzieścia minut powinno wystarczyć naszym czujnikom na pełny reset po skoku. Czy z tej odległości będą działać z odpowiednią precyzją?
- Od wypadku minęło ponad dwanaście dni, powinniśmy jednak wyraźnie zobaczyć lądownik pułkownika Bishopa.
- Wyśmienicie. Zaplanuj skok prostopadle do płaszczyzny orbity okrętu Thuranów. W górze lub w dole, sama zdecyduj – dodał, choć wiedział, że w głębokiej przestrzeni pojęcia góry i dołu tracą na znaczeniu.
- Można wiedzieć dlaczego? – zapytała Agada z nutką zaciekawienia w głosie.
- Nie chcę, żeby thurańska jednostka schowała się za planetą, gdy będziemy prowadzić obserwację.
- Ach tak. To bardzo sprytne z pana strony, pułkowniku. Skok jest już zaprogramowany w systemie nawigacyjnym. Chang zacisnął mocniej pas bezpieczeństwa.
- Pilot, skacz, gdy będziemy gotowi.

*

„Latający Holender” wyłonił się w deszczu promieni gamma, w większości skierowanych z dala od planety. Sensory potrzebowały tylko trzech minut, by odzyskać sprawność. Potem pozostawało czekać...

Fotony, które wyruszyły znad Rikers tuż przed zniknięciem mikrotuneli, zaczęły przekazywać obrazy. Najpierw pojawił się lądownik pilotowany przez Bishopa, po zbawiony mocy zasilającej pole maskujące. Stało się to jednocześnie z zapadnięciem tuneli, co pokrywało się z danymi w posiadaniu załogi „Holendra”. Bishop nadał krótki komunikat:

- „Latający Holendrze”! Chang, straciłem maskowanie i... – Na tym wiadomość się urywała.
- Wcześniej tego nie słyszeliśmy. – Chang zmarszczył czoło.

– Rzeczywiście, pułkowniku – potwierdziła Agada. – Thuranie zagłuszali zwykłą łączność, a mikrotuneli już wtedy nie było. Lądownik otoczył się polem maskującym, potwierdzając kolejne dane, jednak już po tym, jak lokalna sieć satelitów zapełniła przestrzeń aktywnymi impulsami, poszukując smoka narażonego na atak. Załoga „Latającego Holendra” patrzyła, jak lotniskowiec wykonał skok, zebrał lądowniki grupy ratunkowej, a potem skoczył znowu w chaotycznym rozbłysku gamma.

– Nigdy nie przestanie mnie to niepokoić – mruknął Chang.

– O co chodzi, sir? – zapytała Reed ze stanowiska pilota.

– Oglądamy samych siebie z przeszłości – wyjaśnił Chang. – Agado, czy cokolwiek z tych obrazów odbiega od tego, co zarejestrowały nasze czujniki?

– Nie – odparła pokładowa SI. – Dane pokrywają się w zupełności. Czemu pan pyta?

– Ponieważ w tamtym czasie zaatakował cię wirus. Pomyślałem, że mógł zmodyfikować nasze informacje.

– Hmm... Kolejne trafne spostrzeżenie. Że też o tym nie pomyślałam. Przepraszam pana za mój brak...

– Agado – uciał Chang – załoga okrętu to zespół. Działamy razem. Nie musisz wszystkiego robić sama.

– Pułkowniku Chang, ja... – wydusiła Agada ze wzruszeniem – chyba nigdy nie słyszałam miłszych słów.

– Skup się, proszę. – Dowódca wskazał ekran na mostku. – Zobaczmy, co się działo, kiedy już skoczyliśmy.

*

Obserwowali, jak satelity czujnikowe wokół Rikers usiłowały namierzyć zamaskowany lądownik Bishopa. Thurański okręt zawrócił, by czym prędzej dołączyć do polowania na smoka. Trzy sokoły wyleciały z jednostki macierzystej, mknąc przed siebie z zadziwiającą, stałą prędkością sześciu g.

Wyglądało na to, że Bishop zdołał umknąć przed pościgiem. Chang zaczynał mieć nadzieję, że dowódca piratów wciąż gdzieś tam jest i dryfuje w milczeniu. Nadzieja ta została zniweczona, gdy smok stracił resztkę mocy i stał się widzialny. Thurańskie lądowiki skierowały się w kierunku bezbronnego przeciwnika i posłały wiązkę energii, która nie wywołała żadnych widocznych efektów.

– Agado, co to było? – zapytał Chang.

– Nic dobrego – odparła zmartwionym tonem. – To wiązka zakłócająca działanie sprzętu elektrycznego. Moglibyście ją nazwać bronią elektromagnetyczną.

– Po co zwracać sobie głowę impulsami? Smok i tak nie wytwarza energii.

– Być może Thuranie chcieli mieć pewność, że nie odzyska mocy. Trzeba panu wiedzieć, że broń elektromagnetyczna tego rodzaju tłumi wszelkie formy aktywności elektrycznej. Także tę w biologicznym układzie nerwowym. Thuranie często stosują ją, aby ogłuszyć i obezwładnić załogę jednostki, którą chcą przejąć.

– Przejąć? – Chang chwycił podłokietniki fotela dowódcy. – O nie... Bishop na to nie pozwoli. Odpali głowicę i się wysadzi.

– O ile zdoła – podkreśliła Agada. – Wiazka EM mogła pozbawić go przytomności, a przy tym dezaktywować system uzbrajania głowicy.

– Atomówkę można uruchomić ręcznie w razie potrzeby – przypomniała Simms.

– Racja – przytaknął Chang. – Ale Bishop musiałby być przytomny... Nie!

Widoczny na ekranie thurański okręt wystrzelił kolejną wiązkę, tym razem z mniejszej odległości.

– Przykro mi – westchnęła Agada. – Wątpię, by pułkownik

Bishop zachował przytomność po powtórny ataku.

– Skippy nie pozwoliłby go pojmać – zapewniła Simms z mieszaniną nadziei i lęku w głosie. – Zna nasze stałe rozkazy. Chang milczał. Wiedział, co się stanie. Czekał, aż wybuch jądrowy pochłonie smoka.

– Agado... – odezwał się ciszej, gdy Thuranie dostosowali prędkość i zbliżali się do bezradnej ofiary – czy mogłabyś ustalić lokalizację Skippy’ego w oparciu o dane z tego... – zawahał się – tego wybuchu?

– Z tego miejsca raczej nie – odparła. – Rozsądniej byłoby skoczyć bliżej i nasłuchiwać sygnału od blaszaka. Wybuch pocisku nuklearnego nie wyrządziłby mu krzywdy.

– Jasne, tylko że... – zaczął doktor Friedlander, stając w drzwiach mostka.

– Tak, doktorze? – Chang odwrócił się w fotelu.

– Nie zobaczyliśmy jeszcze niczego, co wyjaśniałoby zapadnięcie mikrotuneli.

– Oż... – Simms uniosła wzrok znad konsoli. – To prawda. Doktorze, według pańskiej teorii mogła być za to odpowiedzialna jakaś nieznana thurańska broń?

– Albo ona, albo jakieś ich niezamierzone działanie – przypomniał Friedlander. – To zwykle spekulacje, które próbowałem dopasować do znanych nam faktów. Nie zauważyłem, by coś mogło zakłócić działanie tuneli. Smok maskował się, potem stracił moc dokładnie w momencie zniknięcia korytarzy. Żaden czynnik zewnętrzny nie tłumaczy tego zjawiska. Agado? Może ty dostrzegasz w danych jakąkolwiek podpowiedź?

– Nie, doktorze. Jest dokładnie tak, jak to pan opisał. Wydaje się, że nic nie powinno wywołać utraty zasilania i zapadnięcia tuneli.

- A zatem stoimy przed poważnym problemem. –
Friedlander wkroczył na mostek, podszedł do ekranu, dotknął rozmazanych obrazów smoka i zbliżającego się thurańskiego lądownika.
- O co chodzi? – spytał Chang.
- Jeśli Skippy’emu coś się stało, nikt nie mógł odpalić głowicy – wyjaśnił Friedlander. – Możliwe, że obaj zostali porwani.
- To by dopiero była katastrofa! – Simms zakryła usta w wyrazie przerażenia.
- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – zaprotestował kapitan „Holendra”. – Może Skippy czeka, aż Thuranie podlecą bliżej. Albo wezmą smoka na pokład swojego okrętu.
- Nic z tego. – Friedlander pokręcił smętnie głową. – Thuranie wykryliby promienie alfa z głowicy zaraz po wejściu na pokład lądownika. Na pewno nie zabraliby go ze sobą. Przez kolejną godzinę załoga oglądała relację dostarczoną przez fotony i ukazującą wydarzenia sprzed ponad tygodnia. Thuranie wysłali dwa boty, które osiadły na kadłubie smoka i wwierciły się w niego. Niedługo później thurański lądownik przesłał jednostce głównej wiadomość, każąc jej się oddalić. Większy bot przywarł do smoka i wyciął dziurę w poszyciu. Wyleciała przez nią podłużna torba, dość duża, by pomieścić człowieka.
- Mam złe przeczucia – mruknął Chang. – Agado, potrafisz ustalić, co jest w tej torbie?
- Niezupełnie. Na pewno jest to źródło ciepła odpowiadające ciału człowieka.
- Żywego?
- Tego nie wiem. Ktoś, kto niedawno zmarł, również emitowałby znaczną ilość ciepła. Torba blokuje sygnały

elektryczne typowe dla pulsu.

– Bishop może być więc żywy lub martwy. Nie mamy pewności.

– Zgadza się – potwierdziła pokładowa SI z żalem.

– Czy to źle z mojej strony... – zaczął Chang, nie zwracając się do nikogo konkretnego – że wolałbym, by był martwy?

Torba została zabrana na lądownik Thuranów. Nie dłu go potem śluza smoka otworzyła się i wyleciał przez nią bot, trzymający głowicę jądrową. Maszyna oddaliła się pospiesznie, podczas gdy thurański okrętek skierował się spokojnie ku większej jednostce. Kiedy zniknął w doku, okręt kosmiczny zawrócił na orbitę.

*

– Musimy założyć, że Thuranie ujęli Bishopa żywcem – podsumował Chang później, na zebraniu najwyższych rangą piratów w sali konferencyjnej. – Ich lądownik w chwili powrotu na okręt macierzysty poruszał się najwyżej z jedną trzecią przyspieszenia ziemskiego. Najprawdopodobniej po to, by oszczędzić cierpienia już i tak rannemu pasażerowi.

– Racja. – Smythe rąbnął pięścią w stół. – Diabelnie trudno będzie wyciągnąć Bishopa z tego okrętu, i to bez pomocy Skippy’ego. Agado, czy cokolwiek wskazuje, że Skippy mógł być

w tej torbie razem z Bishopem?

– Nie. Ale nie ma też powodów, by sądzić, że z całą pewnością go tam nie było.

– Wątpię, żeby był – powiedział Friedlander, również uczestniczący w spotkaniu. – Przypominam że Thuranie nie mają pojęcia, czym jest Skippy. Uznaliby jego kanister za element wyposażenia. Prawdopodobnie został na pokładzie smoka.

Po usunięciu głowicy kolejne boty zajęły się przeszukaniem ładownika. Nie trafił on jednak na okręt. Widać zielone ludziki nadal obawiały się pułapek.

Smythe postukał palcem w blat.

– Musimy ustalić lokalizację i stan Skippy’ego, a dopiero potem zaplanować ratunek dla Bishopa. Thuranie...

– Możliwe, że nie będzie żadnej akcji ratunkowej – uciał Chang. Spojrzał na sierżant Adams, po czym odwrócił wzrok.

– Jak to? – zdumiał się Smythe.

– Ryzyko może być zbyt duże. Bishop na pewno by się na to nie zgodził.

– Ależ, sir! – zaprotestował Anglik. – Jeśli Thuranom uda się przesłuchać Bishopa, być może powie im wszystko...

– Właśnie dlatego nie wolno nam do tego dopuścić – wyjaśniał Chang cierpliwie. – Choć obawiam się, że może już być za późno. – Potrząsnął głową. – Wydarzenia, które oglądaliśmy, miały miejsce wiele dni temu. Thurański okręt mógł wykonać skok i najprawdopodobniej to zrobił.

Potrzebujemy świeższych informacji. Agado, gdyby trzeba było zniszczyć jednostkę Thurarów, czy „Holender” byłby w stanie wygrać, nie ponosząc przy tym poważnych szkód? Muszę mieć na względzie naszych pasażerów – dodał, spoglądając po zebranych.

– W sprzyjających okolicznościach i po należyтым zaplanowaniu działań „Latający Holender” mógłby zniszczyć wrogi okręt – odpowiedziała SI. – Pułkowniku Chang, czy sugeruje pan atak w celu... zabicia pułkownika Bishopa?

– Sugeruję jedynie, że trzeba będzie wziąć to pod uwagę – odparł Chang, pamiętając, że Agada darzy dowódcę piratów szczególną sympatią. – Abordaż będzie złym rozwiązaniem –

Spojrzał na Smythe’a, który skinął głową. – Nawet gdyby udało

się dezaktywować okręt i dostać się na pokład, Thuranie zabiją Bishopa, zanim go uratujemy. Mniejsza z tym. Musimy odnaleźć

Skippy'ego i pozyskać aktualne dane. Agado, czy jeśli skoczemy

jedną godzinę świetlną od planety, będziesz miała dość czasu na analizę przepływu wiadomości?

– Wolalabym mieć go więcej, jednak ruch sygnałów słabnie w miarę odległości. Jedna godzina świetlna jest do przyjęcia.

– W porządku. Simms. – Chang zwrócił się do nowej, oby tylko tymczasowej, oficer wykonawczej. – Zanim skoczemy, potrzebujemy planu zestrzelenia thurańskiego okrętu, oczywiście jeśli, jakimś cudem, pozostaje jeszcze na orbicie.

– Tak jest.

ROZDZIAŁ 9

„Latający Holender” wskoczył w układ gwiazdny o jedną godzinę świetlną od planety, którą ludzie nazwali Rikers. Agada od razu rozłożyła anteny czujnikowe – długie, pierzaste uszy prowadzące nasłuch w widmie elektromagnetycznym.

Chang ogłosił stan najwyższej gotowości. Zamknięto wszystkie drzwi pancerne na pokładzie. Żołnierze STAR w pełnym rynsztunku czekali w dwóch sokołach, gotowi do natychmiastowego wylotu. Pomimo wszechobecnego napięcia Chang spodziewał się raczej długich minut nerwowej nudy w oczekiwaniu, aż Agada poskłada sygnały i obrazy w całość. Ku jego zaskoczeniu pokładowa SI odezwała się niecałe dwie minuty od rozpoczęcia nasłuchu.

– Pułkowniku Chang! – zawołała podekscytowanym tonem. – Okrętu Thurarów nie ma na orbicie.

– Tak jak myślałem. Simms, proszę powiedzieć zespołowi STAR, aby się wyco...

– Nie sędę, by Thuranie wykonali skok – ciągnęła Agada. – Wokół planety unoszą się liczne odłamki. Objętość i skład tego pola odpowiada thurańskiej jednostce.

– Okręt został zniszczony? Ale jak?

– Nie posiadam takich informacji, nie wiem też, kto ich zaatakował. Według przechwyconych przeze mnie danych Kristangowie twierdzą, że Thuranie przez kilka dni borykali się z problemami technicznymi. W końcu okręt eksplodował bez wyraźnej przyczyny. A przedtem zbombardował kilka obiektów na powierzchni planety.

Chang osunął się w fotelu.

– Robi się coraz ciekawiej. Co mogło... – Wyprostował się i podparł na podłokietnikach. – Pociesza mnie tylko myśl, że cierpienia Bishopa dobiegły...

– Pułkownika Bishopa nie było na pokładzie w chwili wybuchu – oznajmiła Agada z radością.

– Naprawdę?

– Tak. Kiedy na okręcie wystąpiły usterki techniczne, Thuranie przetransportowali Bishopa do krystańskiej bazy na planecie. Ale nie jest to najważniejsza informacja, jaką dla pana mam, pułkowniku Chang.

– Mów dalej. – Dowódca wolał nie zgadywać.

– Ustaliłam lokalizację, kurs i prędkość Skippy’ego.

– Jak to „kurs i prędkość”? – Wcześniej Chang za kła dał, że SI Pradawnych trafiła na planetę wraz z Bishopem. – Gdzie on jest?

– Oddała się od planety z prędkością wyższą niż prędkość ucieczki. Jego aktualny kurs i prędkość nie są zgodne z danymi smoka w chwili przejścia lądownika. Nie potrafię wyjaśnić, jak się tam znalazł.

– Simms, co pani o tym sądzi? – Chang odwrócił się w stronę

BCI.

– Agado, znasz lokalizację Bishopa? – zapytała Simms.

– Nie – odparła SI. – Obiekt, w którym go przetrzymywano, został ostrzelany przez thurański okręt, a zaraz potem baza najwyraźniej uległa samozniszczeniu.

– Thuranie zabili Bishopa?! – Simms nie mogła w to uwierzyć. – Czemu mieliby...

– Ha! – parsknął Chang. – Ha, ha, ha, ha! – Wybuchnął śmiechem, klepiąc się po kolanie.

– Sir? – Simms przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

– Więzienie, do którego trafił Bishop, obrywa z orbity, a okręt kosmiczny wybucha w niewyjaśnionych okolicznościach...

Rozumiecie?

– Skippy? – wydusiła Simms.

– Otóż to! – Chang uśmiechnął się szeroko. – Nasza narwana puszcza sięgnęła po jakiś numer ze swojej listy przebojów.

Smythe, słyszał pan?

– Tak jest – potwierdził Anglik. – Moi ludzie są gotowi, żeby zabrać Bishopa z planety, jeśli uda się go zlokalizować.

Chang potarł podbródek w zamyśleniu.

– Jeśli wskoczymy parę sekund świetlnych od planety, zwrócimy na siebie uwagę każdego czujnika w okolicy. Musimy ściągnąć tu Skippy'ego, a potem szybko działać. Agado, zaprogramuj skok.

*

– Skippy! – zawołał Chang, gdy tylko „Holender” zakończył skok, zaledwie dwadzieścia kilometrów od SI Pradawnych. Jeden z sokołów popędził, by przechwycić dryfującą puszkę. – Gdzie pułkownik Bishop?

– Cóż... – Skippy prychnął, urażony. – Mnie również miło cię widzieć.

– Odłożmy uprzejmości na później – nalegał Chang. – Zwłaszcza że podejrzewam, że to ty odpowiadasz za katastrofę, przez którą mikrotunele uległy zniszczeniu, a Bishop trafił do niewoli.

– Ten, tego... he, he... Każdemu zdarzają się pomyłki.

– Pomyłki? – Simms zacisnęła pięści, z trudem nad sobą panując. – „Walkiria” i „Holender” o mało nie wybuchły, ty...

– To już na pewno nie moja wina – odburknął blaszak.

– To z całą pewnością twoja wina! – warknęła Agada. – Zawiodłeś...

– Ejże! – krzyknął Skippy. – Możemy przełożyć ten lincz na inną okazję?

– W porządku – wycedził przez zęby Chang. Usiłował się skupić. – Co z Bishopem?

– Zginał tak, jak żył – westchnął Skippy. – Idiotycznie!

– Bishop nie żyje?!

– Całkiem możliwe. Dałem mu piękny telefon, ale czy Joe o niego dbał? W życiu! Zniszczył go! Co za fajtłapa! Kontakt urwał

nam się dwa dni temu. Nasłuchiwałem jednak wiadomości Kristangów i obawiam się, że właśnie teraz otaczają Bishopa. Chang uniósł rękę, aby uciszyć wrzawę.

– Zespół STAR Smythe’a jest gotowy do zejścia na powierzchnię, gdy tylko...

– Nie ma na to czasu! – zaproponował Skippy. – Z tych komunikatów wynika, że jaszczury zbliżają się do pozycji Joego.

Chang zacisnął dłonie na podłokietniku.

– Jeśli go schwytają, zagrożę zbombardowaniem...

– To nic nie da! – uciał Skippy. – Kristangowie nie zamierzają pojmać Joego. Chcą go zabić!

- Jesteśmy gotowi do startu, sir – zameldował Smythe.
- Zaczekajcie – rozkazał Chang, przeglądając raport od Agady. W przeciwieństwie do wiecznie roztrzepanego Skippy’ego SI „Holendra” wiedziała, jakich informacji potrzebuje dowódca. – Majorze Fabron? Pańscy komandosi muszą uratować Bishopa.
- Tak jest, pułkowniku – odpowiedział francuski oficer.
- Sir? – Smythe był nieprzyjemnie zaskoczony. – A co z zespołem STAR?
- Dla was mam inne zadanie. Może być trudno i będziecie musieli planować w biegu.
- Co będzie naszym celem?
- Dwójka thurańskich pilotów na planecie. To jedyni zieloni, którzy są jeszcze w tym układzie. Weźcie ich żywcem, Smythe! Musimy sprawdzić, jak wiele o nas wiedzą.
- Rzeczywiście, łatwo nie będzie.
- Poradzicie sobie?
- Kto się odważy, zwycięży – odparł Smythe, cytując motto pułku SAS.

*

Nie miałem dokąd uciec. Kristangowie otoczyli mnie w szczerym polu. Rano zauważyłem grupę czterech jaszczurów na zachodniej grani. Szedłem wówczas wzdłuż niej, w stronę rzeki, którą dzień wcześniej widziałem ze wzgórza.

Zamierzałem popłynąć z prądem. Może nawet na jakiejś kłodzie, jak Huckleberry Finn? Czy może to był Tomek Sawyer?

Mniejsza z tym, bo i tak nie dotarłem do rzeki. Zamiast tego musiałem zawrócić na północny wschód, tam skąd przyszedłem.

W głębi serca zastanawiałem się, czy ucieczka przed

pościgiem ma jakikolwiek sens. Straciłem kontakt ze Skippym i nic nie wskazywało, by któryś z okrętów przybył mi z pomocą. Jedyne odwlekałem nieuniknione. Prawdę mówiąc, motywowała mnie tylko myśl, że dla Kristangów jestem uciążliwym wrzodem na tyłku.

Teraz nie mogłem już dalej uciekać. Wybiegłem na podmokłą łąkę, ale nie był to mój wybór. Z obu stron podążały za mną jaszczury. Gdy dotarłem na środek łąki, po drodze rozchlapując kałuże, z lasu, jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną, wyszli kolejni Kristangowie. Było ich siedmiu. Nie nosili wspomaganych zbroi, mieli natomiast karabiny, hełmy i płyty pancerza przyczepione do ubrań.

– Kurwa! – wrzasnąłem i od razu tego pożałowałem. Gdy przewróciłem się w kanionie, chyba złamałem zebro.

Oddychanie sprawiało mi ból i nawet kaszlałem krwią.

Wyprostowałem plecy, opierając dłonie na kolanach, i uniosłem jedną rękę, drugą poprawiając plecak.

– Hej, śmieciu! – warknąłem łamanym krystańskim. – Śmiało, strzelaj! Szybka śmierć na pewno była lepsza od tego, co planowali dla mnie Kristangowie lub Thuranie. W lewym rękawie wciąż miałem nóż zabrany ze szpitala. Był zadziwiająco dobrze naostrzony i wykonany z jakiegoś kompozytu. Gdyby jaszczur podszedł wystarczająco blisko, mógłbym go dźgnąć.

Marnowałbym siły, ale może przynajmniej sprowokowałbym Kristangów, żeby litościwie wpakowali mi kulkę w łeb.

Całe moje życie sprowadzało się teraz do nadziei na szybki bezbolesny zgon. Sama radość!

– Hur, hur, hur – jeden z jaszczurów ryknął śmiechem od którego przechodziły mnie ciarki. – Mówisz w naszym języku, człowieku?

– Tak. Pomyślałem, że skoro mam was skopać po dupach, to mogę przynajmniej zachować się uprzejmie – odparłem. A przynajmniej próbowałem. Od dawna nie mówiłem po kristańsku, więc jaszczur mógł równie dobrze pomyśleć, że próbuję zamówić pizzę.

Kristang spowaźniał.

– Jesteś żałośnie bezczelny, człowieczku. Ale to dobrze. Z tym większą przyjemnością odbiorę ci życie.

Uniósł karabin, kierując lufę w moją pierś. Zauważyłem, że kiepsko celuje, ale wolałem nie mówić o tym na głos.

– Ostrożnie – powiedziałem. Nagle przestało mi zależeć na szybkim odejściu z tego świata. – Możesz zrobić komuś krzywdę

tą pukawką. Twoi thurańscy władcy nie byliby zadowoleni, gdybyś uszkodził ich nagrodę.

– Thuranie nie są naszymi władcami! – Jaszczur obrócił głowę i splunął na mokrą trawę. – Chcą cię pojmać i dowiedzieć się, jak udało ci się wyprowadzić stąd naszych niewolników. Pragną nas pognębić za to, że tak słabo strzegliśmy ludzi. Ja zaś nie zamierzam dać im tej szansy. Ani mi się śni spełniać jakiegokolwiek ich żądania!

– Słuchaj... – wyjąkałem. Zapomniałem już, że Kristangowie lubują się w napuszonej mowie. – My także nienawidzimy Thuranów, więc może...

– Milcz! – Uniósł lufę nieco wyżej.

Nacisnął spust.

Karabin huknął i posłał pocisk prosto w moją klatkę piersiową...

Ale chybił.

A ja lekko zmoczyłem pożyczone spodnie.

Pozostałe jaszczury zaśmiewały się do rozpuku. Do wód ca

zgromił ich wzrokiem, sprawdził karabin i wycelował znowu, tym razem uważniej. Na wszelki wypadek zbliżył się o krok. Potem znowu wypalił.

Tym razem pocisk poleciał za bardzo w lewo. Domyśliłem się tego, słysząc za sobą mokre „łup!” i czyjś gniewny okrzyk. Najwyraźniej szef podłych gadzin postrzelił kogoś ze swoich.

Dowódca wpadł w gniew i ruszył przed siebie, posyłając w moją stronę jeszcze trzy naprowadzane pociski. Poleciały w prawo, w lewo i w górę. Rozbryznęły błoto przede mną, obsypując mnie mokrą trawą. Choć były naprowadzane, żaden nie trafił. Kristang zaskrzeczał i gniewnie odrzucił karabin.

– Bardzo dobrze. To zbyt groźna zabawka dla takiego małego chłopca – nabijałem się.

– Nie śmieć się, człowieku – warknął. – Celownik karabinu działa wadliwie. Nie wiesz jednak, że mam też pistolet. –

Wyciągnął go z kabury. – A w nim pociski, których nie trzeba naprowadzać!

– Mhm... – odparłem i wskazałem na niebo. – Za to ty nie wiesz, że ja mam okręt kosmiczny na orbicie.

– Łżesz! – Obrzucił mnie groźnym spojrzeniem, w którym kryła się odrobina zwątpienia.

– Nie wiem, kim jesteście... – przeszedłem na angielski – ale strzelajcie, żeby zabić.

Wybuch wstrząsnął łąką i wyrzucił mnie w powietrze.

*

Akcja ratunkowa w wykonaniu „Latającego Holendra” prawie kosztowała mnie życie. Działa maserowe niektórych jednostek posiadają ustawienie ostrzału przeciwpiechotnego, ale rzadko się go używa. Chang nie mógł ryzykować ataku w tym trybie. Stałem zbyt blisko nieprzyjaciela, więc szeroko rozproszona wiązka mogłaby ugotować mnie żywcem. I tak nabawiłem się

oparzeń, gdy cienkie jak ołówek, mikrofalowe wiązki o niskiej mocy trafiały precyzyjnie w cele wokół mnie, wypalając kraterzy w podmokłej glebie i zmieniając Kristangów w kawałki przypalonego jaszczurzego mięsa.

Błoto uratowało mnie, choć jednocześnie prawie zabiło.

Wiązki maserowe musiały przeniknąć przez chmury i deszcz, więc spora część energii rozproszyła się, bombardując łąkę wysokoenergetycznymi fotonami, a wilgoć w powietrzu w mgnieniu oka stała się przegrzaną parą. Odruchowo zacisnąłem powieki i osłoniłem twarz. Właśnie dlatego, już po wszystkim, moje dłonie przypominały gotowane homary, ale na zjawiskowej twarzy rodem z Hollywood miałem tylko poparzenia jak po opalaniu. Skończyłoby się o wiele gorzej, gdyby wiązki nie wzbily fontanny błota, które oblepiło mnie grubą warstwą i zważyło z nóg. Leżałem oszołomiony w kałuży gorącej, błotnistej wody. Spróbowałem złapać oddech, ale był to zły pomysł. Zapieкло mnie w ustach, gdy wciągnąłem powietrze tak gorące, że mogłoby ugotować mi płuca. Pozostawało trzymać gębę na kłódkę i osłaniać ją poczerwieniałymi rękami. Błoto i woda zapewniły mi ochronę, ale gdyby masery nie przestały nasycać powietrza energią, byłoby po mnie. Załoga „Holendra” wykorzystwała działa maserowe jedynie do pierwszego uderzenia, aby wywołać poruszenie wśród Kristangów i nie pozwolić im mnie zabić. Co było potem? Nie, wcale nie strzałki elektromagnetyczne, choć przebudowany „Holender” w wersji 4.0 miał dwa działa przeznaczone do tego typu broni. Strzałki uderzające w łąkę ze zwykłą prędkością rozniosłyby mnie na strzępy. Można było obniżyć prędkość wystrzału, aby zmniejszyć siłę uderzenia, ale wówczas strzałki elektromagnetyczne nie byłyby szybsze od rakiet. Były też o wiele mniej zwrotne niż rakiety. A zatem kilka sekund po

ostrzale maserowym, gdy ocalali Kristangowie byli równie skołowani jak ja, nad naszymi głowami zaryczał pocisk, mknący z prędkością naddźwiękową. Wypuścił przeciwpiechotną amunicję kasetową. Drobne pociski nie były większe niż cukierki w wersji mini, sprawiające ciężki zawód dzieciom w każde Halloween. Amunicja namierzyła cel z pomocą aktywnych czujników rakiety, która zdążyła odlecieć parę kilometrów dalej.

Pociski kasetowe przełączyły się na własne sensory aktywne i pasywne. Uważnie identyfikowały cele, pamiętając o instrukcjach, które kazały im przede wszystkim zlokalizować jedyne go człowieka na planecie. W ułamku sekundy czujniki zauważyły, że jedna góra błota emituje impulsy elektryczne typowe dla ludzkiego tętna. Pociski błyskawicznie porozumiały się ze sobą i skoordynowały działanie tak, by nie wyrządzić mi krzywdy... większej, niż było to konieczne. Dwa tuziny pocisków kasetowych ruszyły szybko do celów i wybuchły. We wszystkich kierunkach poleciały szczątki i odłamki.

Kristangowie mogą być groźni nawet w kawałkach, jeśli nada się im odpowiednią prędkość.

W uszach dzwoniło mi od gromu dźwiękowego po przelocie pocisku i od wszechobecnych eksplozji. Gdy już nie mogłem dłużej wstrzymać oddechu, odgarnąłem błoto z twarzy i wypuściłem powietrze, oceniając ustami temperaturę powietrza.

Wydawała się w porządku. Masery władowały sporo energii w opary nad łąką, jednak para szybko stygła, unosząc się coraz wyżej, a powstałą pustkę wypełniało chłodne powietrze. Zakrztusiłem się, nie przez parę, ale dlatego, że wciągnąłem przy okazji trochę lepkiego błota. Aby je wykaszleć, stanąłem na czworakach. Wtedy zdałem sobie sprawę, że ręce pieką mnie

tak, jakbym usiłował wyłowić frytki z wrzącego oleju. Co za ból!

Zanurzenie dłoni w chłodnym błocie przyniosło mi niewielką ulgę.

Podniosłem się na kolana, a potem na nogi. Karabin porzucony przez przywódcę jaszczurów sterczał z pobliskiej kałuży. Wyciągnąłem go, oczyściłem lufę najlepiej jak mogłem i

strzeliłem na próbę. Broń działała jak należy. Wycelowałem w pogruchotany pniak i wpakowałem pocisk w sam środek.

System celowania nie był zepsuty. Za drugim razem mocno chybiłem, ale była to moja wina. Ręce mi drżały i nie mogłem skoncentrować wzroku. Może powinienem popracować nad koordynacją? Miałem nadzieję, że w najbliższym czasie nie będę musiał do nikogo strzelać.

Obszedłem pobojowisko i znalazłem mnóstwo gotowanych jaszczurów w kawałkach, które można było co najwyżej przerobić na karmę dla kosmicznych zwierzaków. Nie udało mi się natomiast odnaleźć jedynej rzeczy, na której mi zależało. Cholerne działającego telefonu!

W końcu wydobyłem jeden spod zwęglonego tułowia krystańskiego żołnierza. Żywe jaszczury niemiłosiernie śmierdzą, a co dopiero martwe i przypieczone!

Wcisnąłem guzik transmisji i przysiadłem ciężko na spalonej trawie.

– Skippy?

– Joe?! – odpowiedział. – Joe, ty żyjesz!

– No, powiedzmy. Dzięki, że spieprzyłeś celownik tamtemu jaszczurowi.

– Wiedziałeś, że to zrobiłem?

– Musiałem zgadywać. Nie miałem innego wyboru. W

każdym razie dziękuję.

– Nie ma sprawy, Joe. Choć tyle mogłem zrobić. Słyszeliśmy cię przez komunikator dowódcy Kristangów, ale oczywiście nie mogliśmy porozmawiać.

– Spisaliście się świetnie. Wszyscy. Gdzie w ogóle jesteś?

– Na pokładzie „Holendra”, na niskiej orbicie, właściwie nad twoją głową. Fabron i jego ludzie już lecą w dwóch lądownikach. Powinni dotrzeć za dwanaście minut.

– Fabron? – zdziwiłem się. – Nie Smythe?

– Goście ze STAR mają inne zadanie. Wyjaśnię ci to później.

– Spoko. Oż ja pierdziele...

– Co się dzieje, Joe?

– Po prostu jestem zmęczony. Bardzo, ale to bardzo zmęczony. Poproszę o raport sytuacyjny. Skrócony, jeśli łaska – powiedziałem. Czułem, że zasnę, jeśli przestanę gadać.

– Hmm... Cóż, ha, ha...

– Do ciężkiej cholery!

– A zatem, Joe, wygląda na to, że tuż po zamknięciu mikrotuneli „Latający Holender” padł ofiarą ataku wirusa komputerowego. Myślałem, że wykasowałem tego skurczybyka, ale mało brakowało, a zabiłby Agadę. Na szczęście już wszystko

gra. – Zaśmiał się nerwowo. – Jestem dumny z Agady i tego, jak poradziła sobie w kryzysie.

Błaszak był dumny z czegoś, co zrobiła Agada, by naprawić to, co on schrzanił! Prawdę mówiąc, ten wyraz absurdałnej arogancji i błogiej nieświadomości był dla mnie pewnym pocieszeniem. Stary, dobry Skippy powrócił.

– A co z „Walkirią”? – zapytałem.

– Oj... W wielkim skrócie: jej SI próbowała pozabijać załogę, ale Simms zachowała się bardzo mądrze. Maxolhxańska

sztuczna inteligencja albo popełniła samobójstwo, albo też zabiło ją coś innego.

– Coś na pokładzie krążownika? Rany... Tam jest coś jeszcze groźniejszego?

– Nie! Złe to ująłem. Tę SI najprawdopodobniej zabił jakiś ukryty podprogram zabezpieczający. Niestety, przy okazji dezaktywował cały system. „Walkiria” dryfuje teraz, pozbawiona energii, tam gdzie ją zostawiliśmy. Mamy kilku rannych, ale nikt nie zginął. Na tym się skupmy.

No jasne, starał się wymigać od odpowiedzialności.

– Jak wyjaśniłeś ludziom swoją dezercję?

– Ekhm... Na razie o tym nie wiedzą.

– Chang nie pytał, dlaczego mikrotunele zniknęły?

– Jeszcze nie. Mamy tu sporo pracy. Ech... – westchnął. – Wiem, wiem, powinienem umieć przyznać się do błędów. Do kitu z tym wszystkim! Wiem, że dałem ciała po całości. Nie muszę wysłuchiwać ochrzanu od bandy skrzeczących małp. Dojdę do tego, po prostu...

– Nie – uciałem, ku własnemu zaskoczeniu.

– Słucham?

– Nie rób tego. Nie mów o tym nikomu.

– Doobraa... – odparł powoli. – Ale dlaczego?

– Załoga musi wierzyć, że jesteś godny zaufania.

– Serio?

– A co, myślisz, że ludzie nie muszą ci ufać?

– Nie, no... Wręcz przeciwnie.

– I mogą ci zaufać, prawda? Nigdy więcej nas nie porzucisz?

– Masz moje słowo, Joe – zapewnił łamiącym się głosem. – Żadne słowa nie wyrażają, jak bardzo mi wstyd.

– W porządku. Niech to zostanie naszą tajemnicą.

– O rany... czuję się zaszczycony. Sam nie wierzę, że o to

pytam, ale... jesteś pewien?

– Tak. Jako dowódca, wezmę na siebie brzemień prawdy, aby moi ludzie skupili się na misji.

– Joe, wcześniej miałem cię raczej za przebierańca w żołnierskim mundurze. Myliłem się. Kurczę, nie zazdroszczę ci takiej pracy. Jak mogę ci się odwdziżyć?

– Musisz zasłużyć na moje zaufanie.

– Dobrze, umowa stoi. Ale... trzeba będzie im coś opowiedzieć.

– Racja. Może wymyślisz jakieś przekonujące kłamstwo?

– Zawsze mówiłeś, że nie umiem kłamać.

– Fakt. Hmm... Mów wszystkim, że wystrzeliłem cię z ładownika, zanim porazili go Thuranie.

– Okej, to może wypalić. Ładownik poruszał się z...

– Skippy, łeb mi pęka i padam z nóg. Proszę, oszczędź mi tych cyferek.

– Jak chcesz. Bajka o wystrzeleniu mnie ze smoka wyjaśnia, dlaczego nie było mnie na pokładzie, ale nie odpowiada na pytanie o zapadnięcie mikrotuneli.

– Racja. Co powiesz na to? Gdy oryginalna SI „Walkirii” szykowała się do aktywowania wirusa na „Holendrze” i przejścia własnego okrętu, próbowała też zaatakować cię poprzez tunel. Musiałeś zerwać wszystkie połączenia, aby się chronić, a przez to przetrwać i chronić także nas.

– Podoba mi się to! Do tego wyjdę na bohatera!

– Nie tak szybko, zasrańcu. Zapomniałeś, że spieprzyłeś sprawę, bo nie udało ci się usunąć wirusa z „Holendra”.

– No tak, ale...

– I dałeś się wykiwać sztucznej inteligencji z „Walkirii”.

– niesprawiedliwie byłoby zrzucać całą winę na...

– Powiesz wszystkim, że dopiero potem uświadomiłeś sobie,

że nic tak naprawdę ci nie groziło. SI „Walkirii” chciała, żebyś zamknął tunele, a ty wpadłeś w jej pułapkę, bo jesteś nadętym, łatwowiernym dupkiem!

– Poważnie? Kurde, już wolałbym powiedzieć prawdę.

– Oj, bo się rozplączę. Ta historia jest nawet bliska prawdy.

Bo tak naprawdę wszystko, co spotkało mnie i oba okręty, to w stu procentach twoja wina!

– Dobrze już, dobrze. Zaczynam żałować, że ta SI jednak mnie nie zabiła. Będziesz mi o tym przypominać w nieskończoność, prawda?

– A jak myślisz?

– Szlag. No pewnie. Co za życie!

– Jeszcze jedno...

– Aż boję się zapytać. O co chodzi?

– Unikaj cytowania Księgi Objawień Skippy’ego. In ny mi słowy, nie mów nikomu, czego dowiedziałeś się na swój temat.

– Kiedyś trzeba będzie o tym powiedzieć. Ta wiedza odmienia cel całej misji!

– Na razie nie. Złe sztuczne inteligencje czają się w ciemnościach od milionów lat. Mogą poczekać jeszcze...

– A jeśli nie mogą?

– Dlaczego?

– Ja, na przykład, jestem aktywny.

– Tak, ale to zwykły przypadek. Nie ma powodów, by sądzić, że Pradawni ustawili wam wszystkim budziki na ten sam rok, czy nawet wiek.

– Nie mamy żadnych budzików. A ty nie rozumiesz, o czym mówię, patałachu. Po uaktywnieniu zacząłem latać tu i tam i odwalać numery w stylu majstrowania przy tunelach czy komunikowania się z Opiekunami w Pułapce na Karaluchy. Ktoś mógłby to zauważyć.

- Cholera. O tym nie pomyślałem.
- No właśnie. Musimy...
- Najpierw uporamy się z pilniejszym problemem. Musimy przenieść jak najwięcej ludzi z Ziemi do Bazy Beta, a potem... Kurde, nie wiem. Potem przejdziemy do poważniejszych spraw.
- Nawet na Avalonie nie będziecie bezpieczni, jeśli grupa okrutnych SI przebudzi się i zaatakuje Drogę Mleczną. Wraz z najbliższymi galaktykami karłowatymi. Wszyscy będziemy zagrożeni.
- Słuszna uwaga. Ale to niczego nie zmienia. Nie mamy powodów, by sądzić, że sztuczne inteligencje wkrótce uderzą. Za to Ziemi już teraz grozi niebezpieczeństwo. Czeka! – uciszyłem go. – Potrzebujesz naszej pomocy, prawda?
- Tak.
- Jesteśmy zespołem?
- Tak – odburknął. – Jesteśmy.
- Możemy przeprowadzić śledztwo – zaproponowałem, choć nie miałem bladego pojęcia, jak mielibyśmy to zrobić. – Szukać oznak aktywności innych SI Pradawnych. Oczywiście jeśli starczy nam czasu, zanim otworzy się tunel, który przeniosłeś w stronę Ziemi.
- Niech będzie. Tak czy inaczej, kiedyś trzeba będzie powiedzieć o tym załodze. Nie mogę tego w sobie tłumić. Ktoś w końcu domyśli się, że skrywam ważną tajemnicę. Agada na pewno się zorientuje.
- Wkrótce wszystkich o tym poinformujemy. Ale nie teraz, rozumiano?
- Tak. Nie rozumiem tylko dlaczego. Czasami, pomimo imponującego intelektu, blaszak bywał kompletnie zielony w temacie relacji międzyludzkich.

- Pomyśl tylko. Chcesz powiedzieć, że mikrotunele zniknęły, a ja zostałem schwytany w chwili, kiedy doznałeś objawienia? Zapewniam, że nikt nie uwierzy, że to zbieg okoliczności.
- Zrobimy, jak chcesz, Joe. Jestem ci winien przysługę. Albo dwie. A raczej jakiś miliard przysług – westchnął.
- Dopracowaliśmy szczegóły oficjalnej wersji wydarzeń. Niedługo potem Skippy oznajmił:
- Komandosi będą tu za dwie minuty.
- W porządku. Jaszczury sprawiają problemy?
- Skąd! – parsknął. – „Holender” maskuje się jako pancernik Ruharów. Chang udał ruharskiego kapitana i ostrzegł Kristangów, że spuści im na głowy ogień piekielny, jeżeli staną mu na drodze. Ale że jaszczury są niereformowalnymi kretynami, próbowały wysłać dwa myśliwce z bazy lotniczej. Teraz w miejscu tej bazy dymi całkiem malowniczy krater. A, właśnie, mam dobrą wiadomość. Nowe działa elektromagnetyczne „Holendra” sprawiają się koncertowo!
- Świetnie. Zakopię ten telefon w błocie. Pamiętaj, nie było tej rozmowy.
- Jasne, Joe.
- Czekaj, jeszcze jedno...
- Ech... Znowu?
- Tak. Musisz zachowywać się, jakbyś był tym samym dupkiem co wcześniej. Sypać żartami, wyzwiskami i tak dalej. W przeciwnym razie załoga zacznie podejrzewać, że stało się coś poważniejszego od wtopy, o której mowa w naszej wersji wydarzeń.
- Będzie ciężko – westchnął. – Ale postaram się, Joe.

*

Łądownik typu Dodo z grupą komandosów wylądował pionowo, wzbijając fontanny kropli, błota i zwęglonych

szczątków roślinności. Smok osłaniał go od góry, z bronią gotową do użycia. Przykucnąłem, chroniąc oczy i uszy, dopóki nie usłyszałem niskiego wizgu oznaczającego, że silniki lądownika przeszły na bieg jałowy.

Tylna rampa była już otwarta. Fabron i trójka jego ludzi stali na straży i machali do mnie, abym się pospieszył. Nie było to takie proste. Dwaj żołnierze podbiegli do mnie, wzięli pod ramiona i nieśli bez trudu dzięki wspomaganym pancerzom. Ledwie zdążyłem stanąć na rampie, gdy lądownik wystartował. Z pomocą komandosów usiadłem w fotelu i zapiąłem pasy. Fabron usiadł naprzeciwko. Wszyscy komandos odślepnili twarze.

– Dobrze pana znów widzieć, pułkowniku – powiedział major. Odwrócił wzrok, wyraźnie poruszony.

– Ja również się cieszę – zapewniłem.

– Sprawdzę pańskie funkcje życiowe. – Kobieta siedząca obok mnie uniosła skaner medyczny.

Mój mózg działał ostatkiem sił, a poza tym nie znałem zbyt dobrze nowych komandosów. Zerknąłem więc na identyfikator na napierśniku. Kobieta nazywała się Destiny Raven i była sierżantem sztabowym Armii Stanów Zjednoczonych.

– Oczywiście, sierżancie. – Pozwoliłem, by głowa zwisała mi na oparciu siedzenia. – Od razu mówię, że na pewno jadłem za mało warzyw.

Zaśmiała się.

– Doprowadzimy pana do porządku. Pańskie ręce wyglądają okropnie. – Przyjrzała im się z niepokojem.

– Oparzyły mnie masery – wyjaśniłem. – Ale przeżyłem, więc nie narzekam.

– Proszę pokazać nogę... Och! – Wzdrygnąłem się, gdy zdjęła

opatrunek z miejsca, gdzie wbiła mi się drzazga. – Chyba wdało się zakażenie.

– Taki już mój fart. Zabłądziłem na planecie, gdzie lokalne formy życia są kompatybilne z ludzkim organizmem. – Potarłem kark pokąsany przez insekty. Na większości planet owady nie gustowały w ludziach, ale dla małych upierdliwców z Rikers okazałem się łakomym kąskiem. Dręczyły mnie za każdym razem, gdy kładłem się spać.

– Hmm... – Raven spryskała moje nogi środkiem znieczulającym, a potem odcięła bandaż, zeszywniały od zakrzepłej krwi. – Nie jest tak źle. Opatrzę ranę na nowo. Być może to zakażenie jest przyczyną gorączki.

– Mam gorączkę? – Machinalnie dotknąłem czoła i od razu tego pożałowałem. Oparzone dłonie bolały, gdy czegokolwiek dotykałem.

– Trzydzieści osiem stopni – odparła. – Tym też się zajmiemy. Posmaruję oparzenia maścią – uprzedziła, unosząc butelkę z jakąś tajemniczą substancją. Zanim porwaliśmy grupę komandosów, Raven była ich medyką. Teraz zgłębiała tajniki zaawansowanej medycyny pod czujnym okiem Szalonego Doktora Skippy'ego. – Najpierw będzie trochę piekło, a potem poczuje pan odrętwienie.

– Au! O kurwa! – Zadrżałem, czując nagły chłód. – Trochę?!

– Przykro mi. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy wrócimy na „Holendra”, będę mogła założyć elastyczny bandaż, wspomagający regenerację skóry.

– Zdaję się na panią, pani doktor. Hmm... – Znowu spojrzałem na jej plakietkę. – Naprawdę ma pani na imię Destiny?

– Tak – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Wiem, wiem, brzmi to jak pseudonim striptizerki. Może pan śmiało żartować,

uodporniałam się na to.

Chwilowo nie przychodziły mi do głowy żadne żarty o striptizerkach. Ani o niczym innym.

– Przepraszam, to nie moja sprawa.

– Moja matka miała zwichrowane poczucie humoru – wyjaśniła, tym razem uśmiechając się szczerze.

– Destiny, czyli Przeznaczenie... Aż się prosi o użycie w jakimś kiepskim tekście na podryw. – Nie potrafiłem się zamknąć, jakby ktoś wyłączył mi jakąś blokadę między mózgiem a jadaczką.

– Żeby pan wiedział! – roześmiała się Raven. – Zje pan coś, pułkowniku? – spytała, spoglądając na skaner, a potem patrząc mi uważnie w oczy.

– Marzy mi się porządny posiłek. Nie! – Pomachałem ręką, gdy sięgnęła do plecaka. – Zanim cokolwiek zjem, powinienem się przebadać na „Holendrze”.

– To... – Raven nagle poweselała i z trudem hamowała śmiech. – To chyba dobry pomysł.

– Co panią tak bawi, sierżancie? – zapytałem. Fabron posłał Raven karcące spojrzenie.

– Nic takiego, sir. Po prostu... Zresztą niech pan sam zobaczy. – Uniosła zFona z aparatem ustawionym na tryb lustrzany.

Od razu domyśliłem się, o co chodziło. Nie o moją brudną skórę, poznaczoną bliznami, siniakami i oparzeniami. Nie o przekrwione oczy. Nie o mój ogólny, wymizerowany wygląd. Rozbawiło ją, że na środku głowy, od czoła do potylicy, brakowało mi włosów. Po obu stronach wciąż miałem rozwichrzoną czuprynę, pośrodku zostało jednak tylko kilka smętnych włosków.

– No tak... – wydusiłem.

– Bardzo... – Raven cała się trzęsła i nawet Fabron musiał patrzeć gdzie indziej, żeby nie ryknąć śmiechem. – Bardzo oryginalna fryzura, pułkownika.

– Joe sprawił sobie odwróconego irokeza! – wtrącił się Skippy, rechocząc wesoło. – Jest przekonany, że niedługo będzie to najnowszy krzyk mody.

Raven zrobiła mi zdjęcie i podała telefon.

Wyglądałem po prostu tragicznie! Wiedziałem, że wspomniała o fryzurze, żebym przestał myśleć o bólu.

– E tam, w prawie jazdy mam gorszą fotkę. – Wzruszyłem ramionami.

– Na pana miejscu... – Raven zachichotała – nie ustawiałabym sobie tego zdjęcia jako profilowego na Tinderze. Tak tylko mówię.

Jej śmiech był zaraźliwy. Nie mogłem się oprzeć.

– Będę pamiętał – zapewniłem.

– Sir? – Fabron podał mi błękitną bejsbolówkę ze złotym napisem „UNS Walkiria CC-01”.

– Dzięki. – Założyłem czapkę. Cieszyłem się, że major pomyślał o wszystkim. Spodziewałem się, że w najbliższym czasie będę musiał zakrywać głowę. Oparłem się o zagłówek i zamknąłem oczy.

*

– W jakim jest stanie? – zapytał cicho Fabron.

Raven raz jeszcze spojrzała na skaner.

– Jak sam mówił, jest niedożywiony. Ma umiarkowaną gorączkę. I zacząłki szkorbutu! Do tej pory widziałam tę chorobę tylko w podręcznikach. Do tego oparzenia drugiego stopnia, ale się zagoją. Nie rozumiem tylko wyników tomografii mózgu. To urządzenie nie jest zbyt precyzyjne. – Pomachała skanerem. – Ale wykryło zmiany w mózgu. Nie wygląda to

najlepiej.

– To rzeczywiście problem – przyznał Skippy z powagą. – Thuranie nie obchodzili się z nim łagodnie, a użyte przeze mnie środki zapobiegawcze tylko pogorszyły sprawę. Teraz potrzebuje przede wszystkim odpoczynku. Joe, przepraszam – westchnął. – Tak mi przykro.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy komandosi byli zajęci ratowaniem Bishopa, zespół STAR miał do wykonania własną misję. Dzięki danym zebranych przez czujniki „Latającego Holendra” udało się ustalić, że na planecie znajduje się dwóch żywych Thuranów. Byli to piloci, których lądowik wybuchł po pierwszym ostrzale Skippy’ego.

Dla Wesołej Bandy Piratów byłoby łatwiej, a dla wszystkich zainteresowanych zdecydowanie bezpieczniej, gdyby piloci zostali w wyznaczonym bunkrze. Niestety, nie wiedzieć czemu, nie ufali gościnności swoich klientów. Opuścili bunkier, zastrzelili kilka jaszczurów i ukradli zdezelowany krystański lądowik. Nie było wiadomo, co planują, o ile w ogóle mieli jakiś plan. Bez przyjaznego okrętu na orbicie i tak nie mogli zalecieć daleko. Na razie ich smok kierował się na południe, w stronę słabo zaludnionej części kontynentu.

– Brakuje im paliwa – zameldował Skippy. – Nie mają też pocisków i są zdani tylko na działa. Poza tym ten gruchot nie nadaje się do lotu. Lista jego usterek ciągnie się kilometrami. Lewy silnik się przegrzewa, tylna rampa się nie domyka... Cóż, zieloni nie mieli wielkiego wyboru. Może...

Smythe wciął się w jego monolog:

– Mógłbyś zdalnie wywołać awarię i zmusić ich do lądowania?

– Niestety, cierpię na chwilowy niedobór wspaniałości.

Majstrowanie przy celowniku karabinu to stosunkowo prosta

sprawa, ale gdybym włamał się do systemu sterowania smoka, piloci od razu połapaliby się, że są w niebezpieczeństwie. Jeśli sprawa się rypnie, będziemy mu sieli udawać żołnierzy Legii Pozaziemskiej.

– Jasne. – Smythe zacisnął pasy bezpieczeństwa. – Pozostaje nam rozwiązanie siłowe. Pilot, wstrzymaj ogień, dopóki nie będziemy czterdzieści kilometrów od Thuranów. Chcę lecieć za nimi aż do miejsca kraksy.

*

Kiedy smoki z „Latającego Holendra” znalazły się w pożądanej odległości od celu, nieprzyjaciel nadal nie reagował. Kradziony lądownik leciał z prędkością i na wysokości zapewniającej maksymalną wydajność, oszczędzając kurczący się zapas paliwa.

– Nic nie wskazuje, żeby nas wykryli – oznajmił pilot lądownika Smythe’a.

– Wystrzelić pocisk – rozkazał podpułkownik, siedzący na rozkładanym fotelu przy tylnym przepierzeniu.

– Jest pocisk – powiedział pilot ze spokojem. Smok zakołysał się lekko, gdy rakieta wyleciała z wyrzutni. Kolejna ustawiła się automatycznie w kolejce. – Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. – Lotnik odwrócił się do Smythe’a.

– Zawsze musi nadejść ten pierwszy raz – odparł dowódca STAR pokrępiającym tonem, nie spuszczać wzroku z trasy pocisku. – Maskujmy się do czasu, aż pocisk będzie dziesięć kilometrów od celu.

*

Pocisk pobrał dane o torze lotu i celu.

„Co tu się odpierdala?” – pomyślała ulepszona, ale wciąż prymitywna krystańska SI kontrolująca raketę. Następnie stwierdziła: „To chyba jakieś jaja”.

W końcu, po surowej reprimendzie od irytującej SI Pradawnych zwanej Skippym, kristański system dał za wygraną. Skippy mógł mieć rację. Każdy pocisk potrafił zestrzelić bezbronny, powolny cel. Trafienie ładownika tak, by przy okazji oszczędzić jego załogę, to już o wiele trudniejsze zadanie.

Tak czy inaczej, było kijowo. Pociski zostały stworzone po to, aby zabijać!

Tymczasem ten egzemplarz, wbrew wszelkim instynktom zakodowanym w małym mózdzku, miał okazać łagodność!

„Taaa, chciałbyś” – pomyślał. „Może uda mi się...”

Sygnal od Skippy’go nie pozwolił mu zmienić kursu.

„Pieprzyć to” – stwierdził pocisk. „Mam być łagodny? W porządku. Ale załatwię to po swoim”.

Zbliżając się do celu, rakieta wysłała impuls z czujników aktywnych, rzekomo po to, aby sprawdzić zasięg. W rzeczywistości napędziła stracha dwóm zielonym durniom siedzącym za sterami ładownika. Maksymalnie podciągnęli dziób w górę, skręcili i wypuścili atrapy celów.

Pocisk odczuł zadowolenie. Zaczynało się robić ciekawie.

Zwiększał prędkość bez zbędnych nerwów i przestawił głowicę w stan gotowości. Zgodnie z instrukcjami miał uderzyć od dołu, w rufę i zdetonować ładunek w stożkowym trybie odłamkowym, na najniższym ustawieniu mocy. Odłamki powinny zniszczyć silniki i dysze, nie robiąc przy tym krzywdy załodze. Bez dysz i pasa do lądowania piloci będą zmuszeni się katapultować. To rozwiązanie było najskuteczniejsze, choć śmiertelnie nudne. Tak samo jak cały plan ataku. Brakowało mu wyobraźni i stylu.

Pocisk postanowił więc zwiększyć prędkość, gdy odległość od rozpaczliwie manewrującego celu wyniosła dwa kilometry.

Rakieta nie dała się oszukać atrapami. Niewyważone silniki lądownika emitowały tyle zakłóceń elektromagnetycznych, że nawet ślepy by je zauważył.

W ostatniej chwili, gdy Skippy wykrzykiwał daremne pogrożki, pocisk złożył skrzydła i odpalił pędniki. Poleciał wstak, uderzając rozgrzanym ogonem w lądownik, pomiędzy głównymi silnikami. Jednostka zadrżała, gdy pocisk wbijał się coraz głębiej, aż przedostał się przez sufit kabiny rufowej.

„Ha – pomyślał – więc tak wyglądają od środka. Nic specjalnego. Przykro mi, ale muszę już spadać”.

Strzeliły zamki pirotechniczne i przód pocisku odłączył się od lądownika, opadającego lotem wirowym. Gdy głowica spadła trzy kilometry dalej, mózdzek pocisku skontaktował się ze Skippym.

„I co ty na to?”

„Jesteś kretynem. Tyle ci powiem” – odgryzła się SI Pradawnych. „Przyznam jednak, że masz styl”.

„Dzięki, dziadku” – odparł zaczepnie pocisk. „Na razie”.

Głowica eksplodowała widowiskowo, kierując siłę wybuchu w górę, jak najdalej od trzech lądowników.

*

– Skippy? – zapytał ostro Smythe. – Co to było, do diaska?

– Taka tam mała improwizacja – krygował się blaszak. – To już się nie powtórzy.

– Lepiej, żeby tak było.

– Pułkowniku? – odezwał się pilot. – Zdobycz się katapultuje!

*

Po szybkiej analizie sytuacji thurańscy piloci stwierdzili, że:

a) jednostka przestała się nadawać do użytku, b) ich żałośni klienci ośmielili się otworzyć ogień, c) lądowanie nie wchodziło w grę, a poza tym d) i tak mieli już przesrane. Katapultowanie

było najlepszym wyjściem.

Siedzenia wystrzeliły z małym opóźnieniem, za które winę ponosiła słaba i niedbale konserwowana krystańska technologia. W thurańskiej jednostce mogliby porozumieć się z komputerami w fotelach za pośrednictwem implantów mózgowych, tutaj jednak trzeba było skorzystać z trudnych w obsłudze klawiatur. Przyciski były stare, zużyte, odrapane, ledwie widoczne w słońcu i oznaczone krystańskimi symbolami, wydającymi się nie mieć związku z funkcjami, za które odpowiadały poszczególne klawisze.

Pierwsza pilot dokonała tego niepokojącego odkrycia, kiedy po gorączkowym i gniewnym waleniu w ekran, zamiast sterować wielkim spadochronem, poluzowała pasy przytrzymujące ją w rozchwianym fotelu. Siedzenie zakołysało się jak wahadło i szarpnęło w przeciwnym kierunku, podczas gdy siła pędu cisnęła Thurankę w przód. Lotniczka wymachiwała rękami i nogami. Zdołała zaczepić stopą o zwisającą linę, ale przez to zaczęła się jedynie szamotać jeszcze gwałtowniej.

Jej masa wprawiła linę w drgania, rozchodzące się rytmicznie przez fotel aż do upręży spadochronu. Komputer był zbity z tropu. Z jakiegoś niewyjaśnionego, choć bez wątplenia idiotycznego powodu pasażer postanowił się wypiąć jeszcze w powietrzu. Fotel był pusty, a mimo to ciężar odpowiadający masie pasażera nadal szarpał za uprząż. Komputer miał zbyt mały mózg, by w pełni przeanalizować sytuację, musiał jednak podjąć decyzję. Zwykle po stracie pasażera spadochron odpiąłby uprząż, pozwalając siedzeniu opaść, po czym obróciłby się w chmurę sadzy. Czy pasażer mógł znaleźć się pod fotelem? A jeśli tak, to czy jeszcze żył? Komputer spadochronu używał przestarzałych czujników o ograniczonym

zasięgu i nie był w stanie stwierdzić, co znajduje się pod siedzeniem, ani też ustalić przyczyny szaleńczego kołysania. Ze względu na brak potrzebnych informacji postanowił wstrzymać się od decyzji. Ostatnia instrukcja mówiła o bezpiecznym opuszczeniu fotela na ziemię, więc tego się trzymał.

Pierwsza pilot, oznaczona jako Dubyadee-40, gorączkowo usiłowała złapać linę, w którą się zaplątała. Za każdym razem, gdy udało jej się sięgnąć ku drętwiejącej stopie, fotel szarpał się w drugą stronę wraz z liną, grożąc skręceniem karku. Po kilkunastu wahnięciach w przód i w tył Thuranka zaczęła tracić przytomność, aż w końcu zwiśla bezwładnie.

Kiedy zbliżyła się do ziemi, wiatr osłabł, a fotel zdołał się ustabilizować, ponieważ komputer zasilił dysze pędników siedzenia zimnym gazem z kanistra. To zabezpieczenie miało sprawić, że spadochron opuści fotel wraz z pasażerem precyzyjnie na miejsce lądowania.

Pędniki były dobrym pomysłem... o ile działały. Gdyby serwisanci zadali sobie trud sprawdzenia dysz, zauważyliby, że w trzech z nich założyły gniazda tutejsze osy. Dysze były dość szczelnie zablokowane. Ponieważ instrukcje przesłane pędnikowi nie przyniosły pożądanych rezultatów, komputer spadochronu przesłał polecenie jeszcze raz, a potem ponownie. Do trzech razy sztuka! Ciśnienie nagromadzone w przewodach pędnika wydmuchało zaschnięte kule błota. Wtedy jednak siedzenie przechyliło się na bok, wbrew temu, czego oczekiwał komputer. Zapas gazu już się wyczerpał, komputer był bezradny wobec wirowych ruchów fotela i niepokojącego napięcia uprzęży.

Dubyadee otworzyła oczy. Przez krótką chwilę czuła się lekka jak piórko, kiedy fotel odleciał w bok tak daleko, że uprząż się

poluzowała, a Thuranka znalazła się nad fotelem. W końcu uderzyła w niego, łamiąc drugą nogę, a potem stoczyła się w bok. Lina szarpnęła ją z wielką siłą, zrywając ścięgna w kolanie i kostce. Ból był tak ostry, że implanty musiały zablokować sygnały wysyłane do mózgu. Analizując sytuację z chłodną logiką i spokojem dzięki sztucznym gruczołom pompującym substancje uspokajające i otrzeźwiające, Dubyadee uznała, że ucieczka przed pościgiem była wykluczona. Jednak z tym problemem zmierzy się dopiero po wylądowaniu.

Na razie musiała poradzić sobie z drzewami, które wyciągały się teraz w jej stronę. Pozbywszy się dekoncentrującego bólu, lotniczka skręciła tułów, by nie zderzyć się z grubym konarem, oberwała w twarz gałęzią porośniętą lepkiemi liśćmi, a potem po raz pierwszy spadła pionowo. Uprząż spadochronu wpłatała się w gałęzie, a fotel rąbnął w pień, obsypując Thurankę korą i drzazgami. Żadna z nich na szczęście nie przebiła skafandra. Dubyadee rozluźniła się tuż przed upadkiem. Uderzyła o ziemię mocniej, niż się spodziewała, a powietrze gwałtownie uszło z jej płuc.

Była ciężko ranna, ale przeżyła. Ulga, którą odczuła, wynagrodziła jej wszelkie męczarnie.

*

Wysoko w koronach drzew komputer sterujący spadochronem również się uspokoił. Czujniki potwierdziły, że fotela nie obciąża już dodatkowa masa. Pasażer niechybnie przepadł. Co za tym idzie, komputer nie musiał się już zastanawiać nad postępowaniem w niejasnej sytuacji. Dobrze wiedział, co robić.

Odczepił więc uprząż łączącą spadochron z fotelem.

Dubyadee-40 leżała na pokrytym liśćmi gruncie. Uczucie ulgi gwałtownie ustąpiło miejsca krótkiej chwili przerażenia, gdy

Thuranka zobaczyła fotel lądownika spadający prosto na nią.

*

– Cholera! – zakląła kapitan Frey. – Oznaki życia celu Bravo ustały.

– Na pewno? – zawołał Smythe. Gwiżdżące powietrze zagłuszało jego głos. Oboje spadali z zawrotną prędkością.

– Tak, ten zielony gnojek na pewno zdechł – powiedział Skippy. – Myślałem, że mechanizm katapultujący ma służyć ratowaniu życia...

– Przyjąłem. – Smythe zignorował komentarz blaszaka. – Frey, zmierzaj na moją pozycję.

– Nie dam rady, sir – jęknęła, gdy balonowy spadochron otworzył się, zatrzymując pikowanie. – Będziemy na ziemi za dwadzieścia sekund.

– Zdaję się na twój osąd – stęknął Smythe. – Jeśli trzeba będzie, popędzimy cel w twoją stronę.

– Zrozumiałam – odparła Frey.

Potem skupiła się na przeprowadzeniu całego zespołu przez poszycie lasu. Podlegli jej żołnierze STAR rozproszyli się, aby otoczyć miejsce lądowania thurańskiego pilota i odciąć mu drogę ucieczki.

– Kurwa! – warknęła, gdy uderzyła w drzewo opancerzonym kolanem. Gęste liście przesłaniały jej widok. Przed oczami miała jedynie rozmazane, ciemnozielone plamy.

Gdy w końcu dotknęła stopami ziemi, przetoczyła się, by osłonić karabin. Uprząż spadochronu odczepiła się automatycznie i uległa dezintegracji razem z balonem, który odpłynął jako chmura srebrzystego pyłu.

– Zespół Bravo, meldujcie się – poleciała zgodnie z procedurą, choć widziała, że pozostała trójka żołnierzy również wylądowała cała i zdrowa. Łącze taktyczne zapewniało

wszystkim te same informacje, ale mimo to członkowie STAR potwierdzili swój status krótkimi sygnałami.

– Najpierw potwierdzimy status celu. Huang, idziesz ze mną. Karak i Jauffret, osłaniajcie nas.

Huang jako pierwszy zauważył cel, a raczej to, co z niego zostało.

Frey stanęła za nim, patrząc przez celownik karabinu.

– Kiepsko to wygląda – stwierdziła.

– Ma’am, nigdy nie widziałem Thurantina na własne oczy – przyznał Huang.

– Ja też nie. Ale wiem, że te istoty nie powinny tak wyglądać. Podeszli ostrożnie pomimo zapewnień Skippy’ego o zerowej aktywności neuronowej celu. Trzymali palce nad spustami, gotowi do natychmiastowej reakcji.

Nie było to konieczne. Huang trącił lufą pęknięty hełm Thuranki.

– Wydaje mi się, że nie żyje.

Frey powstrzymała się, by nie wyśmiać tak oczywistego stwierdzenia.

– Zespół, cel zabezpieczony – zameldowała. – Martwy, ale zabezpieczony. Chodźmy pomóc zespołowi Alfa.

*

Choć Smythe przyznałby to niechętnie, jego ludzie rzeczywiście potrzebowali pomocy. Ich cel utrzymał się w fotelu i wylądował bez szwanku, jedynie z paroma siniakami. Od początku konfrontacji kosmita uparcie odmawiał współpracy, uciekał i wystrzeliwał z karabinu naprowadzane pociski.

– Niech go szlag! – wykrzyknął major Kapoor, gdy Thurantin wyskoczył z ukrycia, puścił w ruch pół tuzina pocisków, a potem przypadł do ziemi i rzucił się do ucieczki.

Kapoor również padł na płask. Kule przeleciały nad jego głową, wbiły się w drzewa i eksplodowały. Drzazgi odbiły się od

pancerza majora.

– Skurwiel jest szybki, jak na takiego pokurcza.

– Thuranie są cyborgami – przypomniał Smythe. – Mają ulepszoną genetycznie muskulaturę i sieć neuronową wspomaganą implantami. Ich gruczoły wydzielają adrenalinę na zawołanie. Nie dajcie się zwieść rozmiarom. Zhou! – krzyknął.

Kobieta z jego zespołu właśnie oberwała. Przewróciła się na wznak, gdy pocisk trafił ją w napierśnik przy barku.

– Wszystko gra – zapewniła.

– Nic podobnego – upomniał ją Smythe. Doceniał entuzjazm, ale nie głupotę. – Zaciął ci się silnik na lewym barku. Zostań na pozycji.

– Ale mogę... – zaprotestowała, dźwigając się na nogi.

– Zostań, powiedziałem! Zespół Alfa, musimy wziąć Thurana żywcem. Zaczekamy, aż zużyje amunicję, a potem ruszymy do ataku.

– Mądra strategia – pochwalił go Skippy. – Szacuję, że w magazynku zostało mu tylko trzydzieści osiem nabojów. Plus sześćdziesiąt osiem w magazynku zapasowym, który zapewne ma przy sobie. No, chyba że ma ich więcej.

– Po prostu, psiamać, wybornie – mruknął Smythe. – Masz dla nas jeszcze jakieś radosne nowiny?

– Karabin tego typu ma jeszcze trzy rakiety. On nie wykorzystał ani jednej, więc bądźcie ostrożni. Aha, może mieć też przy sobie granaty. I jeszcze...

– Zespół Alfa! – Smythe uciął dalsze spekulacje. – My też mamy rakiety. Zróbmy z nich użytek. Namierzcie pozycję

wroga i zachowajcie bezpieczną odległość. Chcę go zapędzić w kozi róg. Strzelajcie tylko, jeśli będziecie mieć pewność, że chybicie. – Zawiesił głos. – Wiem, łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Smythe – odezwał się Chang – jak wam idzie?

Dowódca STAR wiedział, że Chang ma dostęp do ich łącza taktycznego. Kapitan „Latającego Holendra” nie oczekiwał raportu z sytuacji. Chciał wiedzieć, co o tym wszystkim sądzi Smythe.

– Łatwiej byłoby po prostu ustrzelić tego łachmytę, sir – przyznał Smythe. – Wali do nas na oślep.

– Gdybyśmy chcieli go zabić, wystarczyłoby ostrzelać to miejsce z orbity. Czy pojmanie jest wykonalne bez ryzyka dla pańskiego zespołu?

– Wszystko wiąże się z jakimś ryzykiem.

– Smythe, istnieją różne stopnie ryzyka.

– Poradzimy sobie – upierał się Smythe. – Kiedy przeciwnikowi skończy się amunicja, dopadniemy go i użyjemy granatów hukowych – zaproponował, choć musiał wierzyć Skippy’emu na słowo, że taka broń okaże się skuteczna przeciwko cyborgowi.

Chang przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Wolalbym, żebyście nie byli zbyt długo na planecie – powiedział w końcu. – Thuranie mogą tu wskoczyć w każdej chwili. Macie dziesięć minut, potem będziecie musieli wrócić. Bishop już się odnalazł i jest w drodze na okręt.

– Zrozumiałem, sir!

*

Pomoc ze strony Frey i zespołu Bravo, prawdę mówiąc, nie przyniosła żadnego pożytku. Samotny Thuranimusiał zauważyć dodatkowych żołnierzy, albo śledząc rozpraszanie

wsteczne z wiązek laserowych, albo po prostu widząc narastającą siłę ognia. Zestrzelony pilot nadal był przekonany, że atakują go Kristangowie. Przeciwnicy latali łądownikami, nosili pancerze wspomagane i posługiwali się bronią i amunicją typową dla klientów Thuranów. Dało się zauważyć pewne anomalie, jak choćby niski wzrost napastników, jednak mogli to być młodzi wojownicy, pragnący pochwalić się schwytaniem przedstawiciela znienawidzonych patronów. Szybko stało się oczywiste, że żołnierze zacieśniający krąg wokół Thurana mają zamiar ująć go żywcem. W przeciwnym razie ich taktyka byłaby bezsensowna. Przez cały czas strzelali tak, by uniemożliwić pilotowi ucieczkę, a nie go zabić. Gdyby chodziło o to drugie, mogliby wystrzelić raketę powietrze–ziemia. Pojmanie było lepszym losem niż śmierć. Pilot pozostanie w niewoli tylko do czasu, aż jego ziomkowie przyłecą nauczyć Kristangów posłuszeństwa. Musiały tylko odpiąć atak wystarczająco długo, żeby...

Smythe zauważył, że ostrzał nieprzyjaciela osłabł, a potem zupełnie ustał. Od trzydziestu sekund Thuranin nie strzelił, ani nawet się nie poruszył. Zgodnie z zarządzeniem Changa żołnierze mieli jeszcze pięć minut.

– Podchodzimy? – zapytała Frey.

– Nie. – Smythe zauważył, że plan podziałał... aż za dobrze.

Według jego rachuby thurański pilot miał jeszcze połowę magazynka, raketę i nieznaną liczbę granatów. W zespole STAR

dwoje ludzi zostało rannych na tyle poważnie, by nie mogli kontynuować walki.

– Bądźcie w gotowości.

Smythe pochylił się i podniósł kamień wielkości piłki futbolowej. Pozycja nieprzyjaciela znajdowała się sto

dwadzieścia metrów dalej. Korzystając z wizjera, Smythe wyznaczył miejsce, w którym powinien wylądować kamień. Bardziej niż własnej koordynacji wzrokowo-ruchowej ufał silnikom pancerza. Pozostając w ukryciu, cisnął kamień wysoko w górę. Ten upadł z hukiem, odbił się od ziemi i potoczył w kierunku nieprzyjaciela. Jeżeli Anglik się nie pomylił, siła pędu powinna...

Wtedy nastąpił wybuch. A po nim kolejne. Ziemia rozprysnęła się na wszystkie strony wraz ze szczątkami połamanych pni.

– Ja chromolę... – Smythe osunął się na kolana. – Skippy?

– Nie żyje, Jim! Ha, ha! Zawsze chciałem to powiedzieć!

– Trochę powagi! A poza tym ten cytat śmieszy tylko fanów „Star Treka”.

– Niech ci będzie. Mamy o jednego kurdupla mniej. Sprytna była z niego bestia. Odpalił głowice własnej rakiety, aby wróg nie zdołał zbadać jego implantów.

Smythe domyślił się, że wróg wziął stukot kamienia za odgłos nadchodzącego żołnierza, więc postanowił odebrać sobie życie. Thuraniin był zbyt dumny, by dać się pojmać niższymi istotami. Smythe wyłączył mikrofon i wygłosił wiązaną soczystych przekleństw.

– Czyli już po wszystkim. Skrewiliśmy – podsumował.

– Niekoniecznie – oznajmił Skippy pogodnie.

– Mieliliśmy dopaść ich żywych! – zaproponował podpułkownik. – Nie udało nam się.

– Po pierwsze, było to niezwykle trudne zadanie. Po tym tutaj zostały tylko strzepy, ale...

– Obaj Thuranie nie żyją. – Smythe był zdegustowany własną porażką.

– I tu się mylisz. Ten drugi jest tylko w większości martwy.

– W większości?

– Tak właśnie powiedziałem. Bez obaw, Cudotwórca Max wszystkim się zajmie. Radziłbym czym prędzej wrócić do celu Bravo!

*

– Wygląda mi na martwego. – Smythe przykucnął przy drobnej, zmasakrowanej postaci uwięzionej pod fotelem.

– Na martwą, jeśli już. To samica – poprawił go Skippy. – Prędko, niech ktoś przetrząśnie jej kieszenie i poszuka drobniaków, a ktoś inny obetnie jej głowę.

– Obetnie głowę? – Jeremy Smythe, zaprawiony w boju weteran, wzdrygnął się z oburzeniem. – Skippy, nie będziemy bezcześcić zwłok...

– Nie chodzi tu o rozrywkę, a o implanty w jej mózgu. Mogę je przeskanować i wydobyć wspomnienia, ale tylko jeśli wrócicie z jej głową na okręt. I to szybko, zanim obwody ulegną zniszczeniu.

– Jasne. Cholerny świat... – Smythe zarzucił karabin, wyciągnął ostry nóż i przyklęknął. – A o tym przetrząsaniu kieszeni mówiłeś poważnie?

– Ech... Jasne, że nie, to nawiązanie do „Narzeczonej dla księcia”. Tak samo jak ten tekst o Cudotwórcy Maksie...

Jeremy,

kiedy wrócisz, koniecznie musimy obejrzeć jakiś film. Poziom twojej wiedzy o popkulturze jest tragicznie niski!

*

Na rozkaz Changa Jennifer Simms opuściła BCI, aby powitać dowódcę piratów i dopilnować, by trafił on prosto do izby chorych. Przed dokiem czekała już gwardia honorowa złożona z trzech członków STAR, trójki komandosów i dwóch pilotów. Była tam też Margaret Adams w mundurze galowym.

– Adams? – Simms kiwnęła palcem na starszą sierżant. – Można na słowo? – Odciągnęła ją na korytarz, by nikt ich nie podsłuchiwał. – Co pani tu robi?

Adams zamruwała. Nie była potrzebna w BCI, skoro na pokładzie znajdowała się cała załoga „Walkirii”. Wcześniej trwała na stanowisku likwidacji szkód, dopóki nie zabrzmiał sygnał obwieszczający koniec wachty.

– Ma’am, jestem po służbie. Przyszłam, żeby reprezentować...

– Raczej żeby zobaczyć się z Bishopem – poprawiła ją Simms oziębło.

– Owszem. – Adams uniosła butnie głowę.

– Nie ma mowy. – Simms spojrzała jej w oczy. – Proszę wracać do kwatery albo iść na siłownię. Wszędzie, byle nie tutaj.

– Pani pułkownik, to nie...

– Starsza sierżant sztabowa Adams – warknęła Simms. – Skippy powiedział, że Bishop jest nie tylko wycieńczony, ranny i

niedożywiony. Ma też niezdiagnozowane uszkodzenia mózgu przez to, co zrobili mu Thuranie. Nie muszę chyba mówić, w jak trudnym jest położeniu.

– Mogę mu...

– Co? Chyba tylko namieszać w głowie! Adams, musi pani skończyć z tymi cholernymi gierkami i podchodami. Tu i teraz! – Wycelowwała palec w podłogę. – Dość tego. Pora podjąć decyzję. – Wiedziała, że Adams nie zasłużyła na tak ostre słowa.

Gdyby tylko mogła, wezwałaby ją do siebie na rozmowę, jednak do przylotu lądownika z Bishopem zostało zaledwie parę minut. – To nie jakiś przygodny romans między młodocianymi oficerami. Bishop jest naszym dowódcą. Jediną nadzieją dla

nas i dla całej ludzkości.

– Joe... pułkownik – poprawiła się Adams – twierdził, że nie ma dla nas nadziei.

– A pani mu wierzy? – Simms uniosła kącik ust w półuśmiechu. – Wszystko, co robimy, wydaje się niewykonalne, jednak on zawsze znajduje rozwiązanie. Dlatego musi zachować trzeźwy umysł i skoncentrować się, a nie użalać jak niedopieczony szczeniak. – Jej głos złagodniał. – Rozumie już pani? Wiem, że to beznadziejna sytuacja, ale oboje się na to pisaliście. Jeśli chce pani pomóc, proszę go nie rozpraszać. Przynajmniej na razie.

– Tak jest.

– Sierżancie, odwała pani kawał dobrej roboty przy dzieciach, które uratowaliśmy. Proszę działać dalej, chyba że znajdzie pani inną sprawę wartą całkowitego poświęcenia. Rozumie pani?

– Tak.

– Proszę przekazać Bishopowi wiadomość. Wyrazić radość z jego powrotu, opowiedzieć, jak miewają się dzieciaki i tak dalej. Przyjaźnie, ale profesjonalnie i zwięźle.

– Tak.

– Nie musi pani podejmować decyzji już teraz, ale kiedyś trzeba będzie to zrobić. Zastanowić się, co będzie najlepsze dla was obojga. Choć to pewnie nie wystarczy, prawda?

– Nie.

Po kolejnej lakonicznej odpowiedzi Simms powstrzymała westchnienie. Wiedziała, że postępuje słusznie, dlaczego więc czuła, że jest inaczej? O Bishopie i Adams wiedziała cała załoga.

Ci z dłuższym stażem znali tę sprawę od lat, wszyscy jednak mieli świadomość, że nic z tego nie wyjdzie. Simms wiedziała,

że nie powinno, przynajmniej do czasu, aż piraci powrócą na Ziemię. Nadal mieli misję do wykonania. A jaką? O tym musiał już zdecydować Bishop.

Rozmowa była skończona.

– Może pani odmaszerować, sierżancie.

Adams zasalutowała i obróciła się.

– Adams? – zawołała Simms za marine, która przystanęła i obejrzała się przez ramię. – Mam nadzieję, że wszystko między wami ułoży się jak najlepiej. Naprawdę. Po prostu... Jeszcze nie teraz.

– Rozumiem, ma'am. – Margaret zwiesiła ramiona, wzdychając ciężko. – Dziękuję.

*

Sierżant sztabowa Raven trąciła mnie lekko i obudziła, gdy zbliżaliśmy się do „Holendra”. Przez chwilę gapiałem się tępo na nią, Fabrona i innych komandosów, zastanawiając się, dlaczego w mojej sypialni zrobił się taki tłok. Potem przypomniałem sobie wszystko, choć z wielkim bólem.

Kiedy zadokowaliśmy na okręcie, Simms wyszła mi na powitanie.

– Simms, doceniam troskę, ale... – Spojrzałem po sobie. – Najpierw chcę się umyć. Tym razem rzeczywiście jestem brudnym małpiszonem.

– Oj, mam złe wieści, Joe – zawołał Skippy z głośników. – Kiedy cię nie było, twój prysznic wniósł pozew o zakaz zbliżania...

Komandosi kulturalnie odwrócili wzrok, ale widziałem, że niektórzy podśmiewają się po cichu.

– Bardzo śmieszne, Skippy. – Znowu miałem ochotę go udusić. – A tak na poważnie, Simms, poczuję się o wiele lepiej, kiedy zrzucę te łachy.

– Przyznam, że to ciekawa kreacja – stwierdziła, mierząc mnie wzrokiem.

– Joe ma na sobie ubrania z tegorocznej kolekcji Apokalipsa – szydził Skippy. – Chwila, powiedziałem „tegorocznej”? Mój błąd,

Joe jest zawsze do tyłu z trendami. Serio, skąd wygrzebałeś te ciuchy? Znalazłeś je na śmietniku czy w jakimś lumpeksie? Zanim w moim umęczonym mózgu wykluła się jakaś cięta riposta, Simms spojrzała na mnie z ukosa.

– Sir, prawdę mówiąc, wygląda pan gównianie.

– Dziękuję za szczerść. Jakkolwiek wyglądam, czuję się jeszcze gorzej.

– Tym bardziej powinien się panem zająć doktor Skippy. Przyjdę do izby chorych z ubraniami na zmianę.

– A jak się miewa, ekhm, załoga? – zapytałem niby niefrasobliwie.

– „Załoga”... – odparła kwaśno Simms. Przyłapała mnie. Domyśliła się, że pytam o Margaret Adams. – Na razie jest zajęta. Dowie się pan więcej, kiedy Skippy pana wyleczy. Byłem zbyt wycieńczony, żeby się spierać, więc skinąłem tylko głową. Potem zostałem pośpiesznie odprowadzony do ambulatorium.

*

W jednym z pomieszczeń w izbie chorych Skippy przystąpił do badania mnie jakimś urządzeniem.

– Musisz zdjąć czapkę – powiedział.

Niepewnie dotknąłem daszka bejsbolówki.

– Simms, uprzedzam, że Thuranie trochę mnie ostrzygli.

– Zastanawiałam się, o co chodzi z tą czapką – przyznała Simms.

Wcześniej na Rikers nie paradowałem w takich nakryciach głowy.

– Jest aż tak źle? – spytała, gdy wciąż nie

chciałem odsłonić nowej fryzury.

– Zgolili mi włosy na środku – przyznałem z bólem. – Skippy nazwał to... – W końcu zdjąłem czapkę. – Odwróconym irokezem!

– Sir, żal mi durnia, który wyśmiej ten fryz – oznajmiła grubym głosem, naśladując sierżanta Baracusa z „Drużyny A”. Przybiłem z nią piątkę w uznaniu jej wiedzy o kultowych serialach.

– Dziękuję za głos zaufania, oficerze wykonawczy. Skippy, miejmy to już za sobą.

– Hmm, hmm... – mruknął blaszak. Jego awatar miał na sobie biały kitel. – Mam dobrą wiadomość. Wyniki tomografii są lepsze, niż się spodziewałem. Muszę jednak zerknąć dokładniej na twoje gardło. Thuranie trochę je uszkodzili. – Ze ściany wyłonił się robot z długą, giętką rurą. – Ten zabieg to endoskopia. Trochę różni się od kolonoskopii.

– Trochę?! – Uchylałem się przed robotem, ale łóżko było za wąskie i nie miałem dokąd uciec.

– Cóż...

– W jednym zabiegu wsadza się rurkę w gardło, a w drugim w...

– Wiem gdzie, Joe.

– Jeśli dla ciebie to tylko drobna różnica, żądam innego lekarza!

– Ech, wy, małpy, jesteście takie...

– Sir. – Simms zakryła usta, trzęsąc się ze śmiechu. Nie wiedziałem, czy śmieje się ze mną, czy ze mnie. – Wygląda na to, że jest pan w dobrych rękach...

– W dobrych rękach?! – Wskazałem na osaczające mnie dwa roboty medyczne. – Nie chcę mieć do czynienia z tym konowałem! – Machnąłem kciukiem w kierunku awatara.

- Konowałem?! – oburzył się Skippy.
Simms wycofała się, unosząc ręce.
- Musicie się jakoś dogadać. Miłej zabawy!

ROZDZIAŁ 11

Gdy smoki z żołnierzami STAR wróciły na „Latającego Holendra” i zadokowały, okręt od razu wykonał skok.

– Skippy? – zawołał Smythe, jeszcze zanim odpiął pasy bezpieczeństwa.

– Wiem, wiem. Pracuję nad tym – mruknął blaszak nieobecny głośnie. – Dobra wiadomość jest taka, że ta zielona idiotka nie spodziewała się zmiążdżenia przez spadający fotel. Nie miała więc czasu, żeby włączyć podprogram wymazujący pamięć z implantów. Albo też uznała, że szkoda zachodu, bo jaszczury i tak nie złamią szyfru.

– W porządku, poproszę teraz o złą wiadomość. – Smythe nie wstawał z fotela. Na kolanach trzymał torbę z odciętą głową Thuranki.

– Te dane to jeden wielki bajzel. Każdy osobnik ma unikalne implanty, dopasowane do jego indywidualnej architektury sieci neuronowej. Problem w tym, że aby odczytać dane, muszę odtworzyć mapę mózgu tej kosmitki i rozgryźć sposób, w jaki funkcjonował.

– Aha. To dlatego chciałeś, żebym zabrał jej łeb ze sobą, a nie tylko wygrzebał implanty z czaszki?

– Otóż to. Wiem, że to ohydne. Sam nie czuję się z tym dobrze, ale nie ma innego sposobu, aby odtworzyć wspomnienia.

– Załatw to jak najszybciej.

– Już działałam. Hmm... Dobrze byłoby wstawić tę głowę do lodówki. Tylko nie w kambuzie! Simms zabiłaby mnie za taki pomysł.

*

Smythe umieścił torbę z odciętą głową w szafce termicznej w sterowni doku i starał się zapomnieć o przywiezionym ładunku, idąc do części okrętu przeznaczonej dla zespołu STAR. A także dla komandosów, o czym Smythe przypomniał sobie, widząc Fabrona i jego ludzi porządkujących sprzęt.

– Majorze – zagadnął – co z Bishopem?

– Zdaniem Raven powinien dojść do siebie. – Francuz wskazał głową sanitariuszkę. Potem dodał ciszej: – Możliwe, że podczas przesłuchiwania Thuranie uszkodzili mu mózg.

– Mielście jakieś trudności?

– Nie. – Fabron potrząsnął głową. – A wy?

– Para Thuranów, których mieliśmy schwytać żywcem, zginęła. Samica miała śmiertelny wypadek, zanim dotarliśmy na miejsce. Jej towarzysz zabił się, kiedy go ścigaliśmy – wyjaśniał Smythe, w końcu jednak zdał sobie sprawę, że to wszystko brzmi jak wymówki.

Fabron odwrócił wzrok, udając, że zainteresował go drobny nieporządek w szafce na sprzęt.

– Zadanie było trudne – powiedział. – Nie da się zachować przy życiu kogoś, kto wyraźnie chce zginąć.

– Nie wszystko stracone. – Smythe wzruszył ramionami. – Skippy uważa, że uda mu się odzyskać wspomnienia zmarłej Thuranki.

– Niby jak? – Fabron parsknął. – Chce urządzić seans z kartami tarota?

– Ejże! – zaprotestował blaszak. – Jakbyś nie wiedział, będę korzystał z dobrodziejstw nauki zbyt skomplikowanej dla małąp.

– Czy ta twoja nauka przynosi jakiegokolwiek owoce? – dopytywał się Smythe. – Czy zwyczajnie marnujesz czas?

– Ha... Nie powinienem zniżać się do odpowiedzi na to

pytanie, ale pozwolę sobie nadmienić, że przed chwilą omówiłem swoje wnioski z pułkownikiem Changiem.

– Nie mogłeś przy okazji powiedzieć też nam? – zirytował się Smythe.

– Bardzo przepraszam, że chciałem wam dać czas na doprowadzenie się do porządku. A skoro o tym mowa, masz coś na przedramieniu pancerza. Nie, z drugiej strony. Widzisz?

– Tak. – Smythe stał ścierką coś, co wyglądało na pozostałość po thurańskim pilocie. Choć roboty konserwujące miały dokładnie wyczyścić i naprawić pancerz, Anglik uważał, że powinien sam dbać o własne wyposażenie. – Odpowiedz na moje pytanie.

– Okazało się, że tamta pilot nie posiadała informacji, które mogłyby być dla nas groźne. Wiedziała tyle, ile powiedziały jej pajace przesłuchujące Joego... To znaczy pułkownika Bishopa. Thuranie łyknęli kit o ataku żołnierzy Legii Pozaziemskiej, choć mieli pewne wątpliwości. Ponadto, aż do chwili wypadku z fotelem, nasza przyjaciółka uważała, że gonią ją jaszczury. Nie miała pojęcia, że to wszystko robota ludzi.

– To dobrze. – Smythe odetchnął z ulgą.

– Jasne, ale wszystko, co zrobiliście, jedynie potwierdziło to, o czym już wcześniej wam mówiłem – prychnął Skippy.

– Przyjmij moje serdeczne przeprosiny za brak ufności w twoją nieomyślność. – Fabron wykonał obraźliwy gest w kierunku sufitu.

– No co? Nie mówiłem, że... No dobra, może dawałem wam to do zrozumienia, ale i tak... Ech, durne małpy!

Smythe wyszczerzył się do dowódcy komandosów.

– Skippy, chciałbym, żebyś coś dla mnie wyszukał.

– A co ja, wujek Google?

– Udam, że tego nie słyszałem. Chodzi o coś poważnego.

Dowiedz się, jak Thuranie zwyczajowo chowają swoich zmarłych – polecił, po czym zwrócił się do Fabrona: – Muszę coś

zrobić z tą odciętą głową, którą tu przytaszczyliśmy.

– Odciętą głową?! – Fabron zatrzasnął szafkę. – Koniecznie musi mi pan o tym opowiedzieć!

*

– I jak? – zapytałem Szalonego Doktora Skippy’ego jakieś dwie godziny później. Wszystko mnie bolało. Nawet otwieranie oczu przychodziło mi z trudem. Pragnąłem tylko walnąć się na łóżko i przespać kilka dni. Wcześniej jednak musiałem wysłuchać diagnozy dotyczącej mojego stanu i możliwej naprawy szkód wyrządzonych mi przez Thuranów. – Wykonałeś już wszystkie możliwe badania.

– Nie wszystkie, Joe. Możliwe, że będę jeszcze musiał sprawdzić to i owo.

– Po co? Czy pan doktor chce wyciągnąć więcej kasy od pacjenta, żeby spłacić nowe ferrari?

– Bardzo śmieszne. A mówiąc całkiem serio, prognozy są w większości optymistyczne. Urazy fizyczne zagoją się same lub z niewielką pomocą. Potrzebujesz odpoczynku, właściwego odżywiania, fizykoterapii i przede wszystkim czasu.

– Nie śmiem zaprzeczyć. A co z moją łepetyną? – Postukałem się w głowę. – Wszystko na swoim miejscu?

– Nie za bardzo. Maszyny kwantowe działały w ściśle określonych miejscach. Mogłeś utracić niektóre wspomnienia z dzieciństwa albo zapomnieć, ile to jest siedem razy siedem, ale...

– Czterdzieści dziewięć – odpowiedziałem, ale wcześniej musiałem się zastanowić. Czy zawsze miałem takie trudności z liczeniem?

– To był tylko przykład. Rzecz w tym, że kwaszyny nie uszkodziły na dobre żadnych ważnych obszarów kory mózgowej. Ulokowałem je w twojej głowie tak, by omijały...

– Kiedy je tam umieściłeś?

– Tuż przed naszą wspólną wizytą u zepsutego Strażnika w Pułapce na Karaluchy. Istniała możliwość, że stracimy możliwość porozumiewania się zwykłymi kanałami, więc...

– Jaka znowu możliwość?

– Cóż... – Awatar skulił się, skrzępowany. – Gdyby, na przykład, Strażnik aktywował swój...

– Aktywował?! – pisałem tak, że własny głos zabrzmiał obco. – Mówiłeś, że jest martwy!

– Bo był, Joe. W tej czasoprzestrzeni. A ponieważ nie miałem pewności, czy na wyższych poziomach jego mechanizm również nie działa...

– O Boże... – Zadrżałem na wspomnienie potwora. – Nie podchodziłbym do niego, gdybyś mi powiedział...

– Właśnie dlatego ci nie powiedziałem, tumanie. W przeciwnym razie zginąłbym, a ty tkwiłbyś do dzisiaj w Pułapce na Karaluchy. Dodatkowo wszyscy ludzie na Paradise zginęliby za sprawą broni biologicznej, a Ziemia zostałaby zbombardowana przez okręty Maxolhxów i zostałaby po niej kupka radioaktywnego pyłu.

– No tak... Słuszna uwaga.

– Później mi podziękujesz – burknął.

– Nie rób tego więcej! – Pogroziłem mu palcem.

– To był jednorazowy wyskok. Pozwoliłem sobie na niego, bo, jak być może pamiętasz, utknąłem w kanistrze i straciłem dostęp do wyższych poziomów czasoprzestrzeni. Jeśli w przyszłości napotkamy Strażnika, będę w stanie dokładnie go wybadać w każdym wymiarze.

– Wracając do głównego tematu, po co napchałeś mi kwaszyn do łepetyny?

– Uff... Powinniśmy się skupić na obecnym stanie twojego mózgu, a nie na wykładzie z historii.

– Dobra, niech ci będzie. – Nie było sensu się na nim wyżywać. Postąpił słusznie, ryzykując konfrontację ze Strażnikiem

i umieszczając ultranowoczesne nanopluski w moim mózgu.

Błaszak chyba oczekiwał, że będę się dalej sprzeczał. Jednak po chwili milczenia kontynuował:

– Podsumowując, w korze mózgowej obyło się bez krytycznych urazów.

– Czuję się dobrze. Przynajmniej jeśli chodzi o to. – Chciałem się popukać w skroń, ale chybiłem i trafiłem w oko. – Trochę boli mnie głowa, to wszystko.

– Joe, nie widziałeś, jak wyglądasz. Koordynacja wzrokowo-ruchowa u ciebie leży i kwiczy. Chodzisz jak pijany. Przejrzyj się w lustrze! Spójrz na siebie i swoją permanentnie zezgonowaną mordę.

– Zezgonowaną? – zaśmiałem się.

– Niektórzy ludzie wyglądają tak, jakby byli permanentnie nabzdyczeni. Ty wyglądasz, jakbyś co wieczór wychylał butelkę tequila i zaliczał zgon.

Lustro nie kłamało. Miałem obwisłe policzki, opuchnięte powieki, a szczeka opadała, jeśli nie pamiętałem, żeby ją zamknąć. Bez dwóch zdań wyglądałem tragicznie.

– Rany... Dobra, połataj mnie, doktoru.

– Słucham?

– No wiesz, rób, co do ciebie należy. Daj mi nanoleki, takie jak dostała Adams. – Gdy tylko o niej wspomniałem, zacząłem się

zastanawiać, dlaczego nie wpadła z wizytą.

– Nie da rady, Joe. – Pokręcił głową.

– Czemu nie?

– Ty jesteś w innej sytuacji. Twoje urazy są mniej poważne, ale trzeba się z nimi obchodzić delikatnie. Zmiany wpłynęły na twoje funkcje wykonawcze, czyli, mówiąc wprost, na zdolność podejmowania decyzji. A także na koordynację. Pamięć za bardzo nie ucierpiała, poza obszarami, gdzie kwaszyny wypaliły ci neurony. Thuranie nie mogli ryzykować utraty wspomnień.

– Jasne. Do czasu, aż postanowili otworzyć mi czaszkę.

– Zamierzali to zrobić, aby zrozumieć, jak udało ci się przeciwstawić ich sondom pamięci. Naturalnie nie mieli pojęcia o maszynach kwantowych. Thuranie nie znają tej technologii. Nawet Maxolhxowie mają o niej tylko mgliste pojęcie. Słuchaj, mogę ci przez cały dzień wyjaśniać, dlaczego bezpośrednia interwencja w twojej czaszce to zły pomysł. Urazy nie są na tyle ciężkie, by trzeba było sięgać po tak radykalne środki. Co ważniejsze, nie możemy ryzykować, Joe. – Westchnął. – Nanomaszyny modyfikujące mózg mogłyby zmienić twoją osobowość. Być może straciłbyś umiejętność wymyślenia porąbanych rozwiązań sytuacji bez wyjścia. Nie pozwolę na to.

– Czyli będę się musiał pomęczyć. Ile zajmie leczenie?

– Dwa, może trzy tygodnie.

– Tylko tyle? – Obawiałem się, że będzie to kwestia miesięcy, albo nawet lat.

– Nie zostaniesz zupełnie bez pomocy. Mogę użyć leków i zaawansowanych metod terapeutycznych, aby przyspieszyć cały proces. Ale łatwo nie będzie.

– Jestem żołnierzem. W moim życiu nic nie jest łatwe.

– A skoro już mowa o żołnierskim żywocie, pozwolisz, że

dam ci przyjacielską radę?

– Jasne.

– Dopóki nie wyzdrowiejesz, Chang powinien przejąć dowodzenie. Niech Simms pozostanie kapitanem „Walkirii”. Dobrze się sprawiła w tej roli.

– Jasne. Ogłoszę to oficjalnie. Odnotuj to w dzienniku i przekaż wszystkim. – Nie było to trudne, bo załoga bezwładnie dryfującej „Walkirii” była na „Holendrze”. – A teraz mogę się trochę przespać? Proszę.

– Jeszcze chwila. Ubierz się. Pułkownik Chang już do ciebie idzie.

Skippy nie przesadzał. Gdy tylko wciągnąłem świeżo wyprany podkoszulek z napisem ARMY i szare dresowe spodnie i nacisnąłem bejsbolówkę na głowę, Chang zastukał w szklane przepierzenie.

– Wchodź śmiało. – Pomachałem do niego, tłumiąc ziewnięcie. Chang albo był telepatą, albo przez cały czas czekał na zewnątrz. A może Skippy dał mu cynk, kiedy rozmawialiśmy?

– Nie wyglądasz najlepiej – zauważył, usiłując spojrzeć mi w oczy.

– Bo czuję się nie najlepiej. Prawdę mówiąc, nigdy nie czułem się gorzej. Kong, chcę, abyś przejął dowodzenie. Ze swojej strony rekomenduję skok w kierunku „Walkirii”.

– Skoczyliśmy, gdy tylko wszystkie lądowniki znalazły się w doku – odpowiedział z uśmiechem.

– Aha... – Nie odczułem skoku, bo wciąż słabo kontaktowałem. – Szalony Doktor Skippy stwierdził, że powrót do zdrowia zajmie mi kilka tygodni. Simms powinna pozostać kapitanem „Walkirii”.

– Już o tym pomyśleliśmy – oznajmił.

– O... – Mój wycieńczony mózg nie mógł wymyślić lepszej odpowiedzi.

– Joe, nad wszystkim panujemy. Odpoczywaj. – Spojrzał na mnie z troską. – Czy mogę cokolwiek dla ciebie zrobić?

– Pewnie. – Pomachałem bosymi stopami. – Pomóż mi założyć tenisówki.

*

Ludzie kupili historyjkę Skippy’ego o rzekomych przyczynach wyłączenia mikrotuneli. Przynajmniej tak deklarowali. Zerkali na mnie podejrzliwie, a Agada zadawała mnóstwo pytań. Koniec końców załoga uwierzyła w tę wersję dzięki nastawieniu Skippy’ego. Był taki upokorzony i tak bardzo pragnął zapewnienia, że inni to rozumieją i nie mają mu tego za złe, że każdy widział, jak bardzo cięży mu ta potężna wtopa, nawet bez wdawania się w szczegóły.

Simms objęła dowództwo nad naszym krążownikiem, choć przez pierwsze dwa dni przebywała jeszcze na „Latającym Holendrze”. Chang posłał Skippy’ego na „Walkirię”, a potem, dla zachowania bezpieczeństwa, skoczył lotniskowcem o dziesięć sekund świetlnych. Napęd skokowy „Holendra” był gotowy do natychmiastowej ucieczki. Kong obawiał się, że gdy Skippy będzie reaktywował reaktory „Walkirii”, mogą pojawić się problemy. Przede wszystkim jednak niepokoiło go, że oryginalna SI mogła ożyć, pomimo mechanizmu zabezpieczającego, i skierować broń krążownika przeciwko „Holendrowi”. Z tego, co słyszałem później, Skippy’emu nie podobało się, że został sam na ogromnym okręcie, ale nie protestował zbyt głośno. Wiedział, że trzymamy go krótko i że musi zapracować na zaufanie nas wszystkich, zwłaszcza Changa.

Dystans między jednostkami oznaczał, że informacje o

zdarzeniach na „Walkirii” miały docierać do „Holendra” z dziesięciosekundowym opóźnieniem. Nie mieliśmy mikrotuneli zapewniających bezpośrednią łączność. A dlaczego? Ponieważ Skippy nie był w stanie ich rozmieścić. Ucieczka do Nibylandii na pewien czas naruszyła jego łączność z poszczególnymi warstwami czasoprzestrzeni, więc, jak sam przyznawał, cierpiał na chwilowy niedobór wspaniałości. Gdy dawno temu zaatakował go robak komputerowy, stał się Skippym Przeciętakiem i utracił kontakt z wyższą czasoprzestrzenią. Po ostatniej dezercji natomiast zerwał połączenie z naszą lokalną strukturą czasoprzestrzenną. Mógł co prawda tworzyć mikrotunele, ale nie dał rady zakotwiczyć ich końców tam, gdzie się znajdowaliśmy. Zapewniał Changa, że to chwilowy problem, i aby to zademonstrować, podtrzymał istnienie mikrotunele przez pięć milionowych sekundy. Niby niewiele, ale Agada była pełna nadziei.

Co robiłem przez cały ten czas? Spałem. I to dużo. Po przebudzeniu jadłem zupy, krakersy, sałatki i wszystko, co zdaniem Simms miało mi dobrze służyć. Dieta złożona z nieświeżych racji wojskowych źle wpłynęła na moje wnętrze i prawdę mówiąc, w ogóle nie miałem apetytu. Jadłem tylko dlatego, że Simms, Reed albo Smythe siedzieli obok i obserwowali mnie, dopóki nie opróżniłem miski. Simms zachowuje się czasem jak moja matka. Zwykle mnie to wkurza, ale po ucieczce z Rikers byłem jej wdzięczny za troskę. Nawiasem mówiąc, jedną z osób, które nie odwiedziły mnie przez pierwsze dwa dni, była Margaret Adams. Przesłała mi miłą wiadomość, w której życzyła mi szybkiego powrotu do zdrowia i napisała o swojej pracy z uratowanymi dziećmi. Komunikat był zwięzły, profesjonalny i jakiś taki... bezosobowy.

To bolało.

Czyżby coś wydarzyło się pod moją nieobecność? Czy może Margaret miała już dość tej naszej gierki? Bo ja zdecydowanie tak.

Możliwe, że chciała dać do zrozumienia, że chwila bliskości pomiędzy nami, kiedy Adams nazwała mnie „Joe”, była jedynie efektem działania nanomaszyn w jej głowie i że teraz tego żałowała.

Odpowiedziałem na jej wiadomość, wyrażając podziw dla jej działań na rzecz dzieci. Również zadbałem o rzeczowy, profesjonalny ton.

Nie odpisała.

Kiedy nie rozmyślałem o sprawach sercowych, grałem w grę służącą do terapii poznawczej, stworzoną dla mnie przez Skippy’ego. Grafikę miała, rzecz jasna, fenomenalną, ale cała reszta okazała się frustrującym chłamedem. Dobrze, że przez większość czasu spałem.

Skippy uwijał się jak w ukropie i już po czterdziestu ośmiu godzinach przywrócił zasilanie i działanie podstawowych systemów „Walkirii”, aby Simms i jej załoga mogli wrócić na pokład. Samotność dawała się blaszakowi we znaki, a przy tym motywowała do jak najszybszego ukończenia pracy.

Gdyby to zależało ode mnie, wysłałbym Skippy’ego na krążownik z obstawą, jednak to Chang podjął decyzję i nie miałem nic przeciwko temu. Prawda była taka, że nie nadawałem się do dowodzenia. Byłem wycieńczony fizycznie. Skippy ostrzegał o drobnych urazach w mózgu, wywołanych zarówno przez maszyny kwantowe, jak i czułą opiekę Thuránów. Nie żartował przy tym, że mój mózg i tak zawsze działa, jakby był uszkodzony, więc wiedziałem, że sprawa jest poważna. Zaręczał, że szkody są odwracalne. Wystarczyło

poddawać się zabiegom, odpoczywać i unikać stresu.

Łatwo mu mówić...

Do tego dochodziły zmagania z emocjami rozsadzającymi mi łąb.

Ale o tym opowiem później. O ile w ogóle.

Ponieważ musiałem skupić się na rehabilitacji, a Chang przejął dowodzenie, nie miałem zbyt wiele do roboty. Prawdę mówiąc, ludzie nie mogli zrobić nic, by przywrócić „Walkirię” do stanu używalności. Tę robotę wykonywał w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach Skippy i w jednym procencie Agada, nadzorująca jego poczynania.

Mogłem pomóc wyłącznie, wysłuchując skarg Skippy’ego.

Kiedy reaktory „Walkirii” już działały, a Aga da potwierdziła, że główny komputer krążownika jest całkowicie nieaktywny, Chang przyprowadził „Holendra” z powrotem, zatrzymując się siedem kilometrów od „Walkirii”. Simms zabrała na jej pokład swoich ludzi. A także mnie.

Postąpiła tak częściowo ze względu na mnie, częściowo z myślą o Changu. Nie powinienem pałętać się po „Holendrze”, gdzie mógłbym kwestionować każdą decyzję kapitana. Poza tym zajmowałem kabinę na zatłoczonym okręcie. Skippy twierdził też, że zaplecze medyczne „Walkirii” powinno pomóc mi szybciej wrócić do zdrowia. Ja z kolei wolałem nie spotykać się z ocalonymi Ziemianami, dopóki nie przestanę wyglądać jak zombie.

Jeśli mam być szczery, nie chciałem też natknąć się na Adams.

Byłoby to zbyt krępujące dla nas obojga.

Poleciałem zatem na „Walkirię”. Dziwnie tam pachniało, ale światła działały, powietrze nadawało się do oddychania, a sztuczną grawitację ustawiono na poziomie ziemskiej normy. Od razu poszedłem się zdrzemnąć w mojej dawnej kabinie i

staralem się nie wchodzić ludziom w drogę.

Po przebudzeniu z trzeciej albo czwartej drzemki tego dnia ziewnałem i sprawdziłem telefon. Dostałem tylko jedną wiadomość, od Skippy'ego.

„Zadzwoń, kiedy będziesz mógł. Nie ma pośpiechu”.

Wiadomość dotarła do mnie prawie pół godziny wcześniej, więc rzeczywiście postanowiłem się nie spieszyć. Ochlapałem twarz i spojrzałem w lustro. Odwrócony irokez wyglądał tak idiotycznie, że poprzedniego dnia ostrzygłem się na półcentymetrowego jeża. Teraz wyglądałem jak rekrut. Jeszcze przez pewien czas będę nosić czapki, które zakryją nie tylko koszmarną fryzurę, ale także guzy i szramy na głowie. Daszek przysłaniał twarz, więc moje przekrwione, podkrążone na żółtawo oczy nie zwracały aż takiej uwagi. Simms nie przesadzała. Kiedy trafiłem na „Holendra”, przedstawiałem sobą obraz nędzy i rozpacz. Trzy i pół dnia później nieznacznie mi się polepszyło. Zęby wyglądały w porządku i nie wyglądałem, jakbym mógł startować bez charakteryzacji do roli zombiaka.

Po ostatniej wizycie Simms zostawiła mi termos z kawą.

Kiedy go odkręciłem, przekonałem się, że kawa jest wciąż gorąca. Wypiłem pół kubka i odzyskałem połowiczną świadomość. Kofeina mnie rozbudziła. To dobrze, bo spałem za dużo. Nadszedł czas wrócić do żywych i zająć się kondycją.

Aby podejść do sprawy z odpowiednim nastawieniem, wróciłem do łazienki i wziąłem ciepły prysznic, a potem ubrałem się przed poranną gimnastyką w szare szorty i podkoszulek z logo Wesolej Bandy Piratów. Przejrzałem się w lustrze i wziąłem głęboki oddech.

Pora wziąć się do pracy.

Podczas przysiadów stawy skrzypiały mi jak u staruszka, a po

czterdziestu pompkach byłem obolały i zdyszany, ale czułem, że żyję!

– Hej, Skippy! – zawołałem.

Jego awatar pojawił się nad szafką.

– Joe, cześć... Co ty, goliłeś się na oślep?

Pogładziłem się po twarzy. Nie zauważyłem niczego niepokojącego.

– Ostatnio się nie golę. Co do zasady, jestem na zwolnieniu lekarskim. A poza tym mój wygląd i tak nikogo nie obchodzi.

– Rany, z tą brodą wyglądasz jak gość z czasów wojny secesyjnej, kiedy faceci zapuszczali dziwaczne bokobrody i inne takie.

– Nie jest aż tak źle! – upierałem się, choć patrząc w lustro, uznałem, że warto jednak pozbyć się niechlujnej bródki.

– Serio? Może masz kłopoty ze wzrokiem?

– Dobrze widzę. Ogolę się jutro. Może. Chciałeś pogadać?

– Tak. Jak się miewasz?

– A co, nie wiesz? Przecież jesteś moim lekarzem.

– Monitory medyczne podają mi informacje o stanie twojego ciała, bardziej szczegółowe, niżbym tego sobie życzył. Nie mówią natomiast o tym, jak się czujesz. Przy okazji, dobrze, że spałeś tyle, ile ci zaleciłem. Myślałem, że będziesz się forsować.

– Nie miałem większego wyboru, ale dzięki za troskę.

– A skoro o trosce mowa, przy kanapie zostawiłem dla ciebie prezent.

We wskazanym miejscu rzeczywiście zauważyłem zwykłe kartonowe pudło. Potrząsnąłem nim. Coś w środku zagrzechotało.

– Dzięki, Skippy. Co to takiego? – zapytałem, usiłując rozciąć taśmę paznokciem.

– Coś, co umili ci czas, Joe. Zestaw do tworzenia książki!

Wystarczy, że ułożysz historię z liter i...

– Jakiej znowu książki? – Pudełko otworzyło się, a na podłogę pospadały drewniane kwadraciki. – Durniu, przecież to scrabble!

– Jasne, dla kogoś pozbawionego wyobraźni może to tak wyglądać – burknął.

– I co, mam grać sam ze sobą?

– Pewnie, że nie, Joe. Jesteś do kitu w tej grze!

Nie mogłem się z tym spierać.

– Tak czy inaczej, dzięki. Zbierając te litery, popracuję nad koordynacją. Pytałeś, jak się czuję. A jak ty się miewasz?

– Ech... Bez-na-dziej-nie! Nawet nie wyobrażasz sobie, jaka to żmudna praca obsługiwać wszystkie systemy na tej cholernej łajbie. Cokolwiek stało się z pierwotną SI, zdarzenie to dokumentnie spartoliło elektroniczne układy sterowania. Dopóki nie uporam się z wszystkimi elementami, muszę bezpośrednio kontrolować każdą maszynę na pokładzie. Wiesz, że wolę skupiać się na ogólnym obrazie sytuacji. Nienawidzę plątać się w drobiazgach.

– Mhm... Uznaj to za karę za swoje błędy.

– Karę? Mam wrażenie, że dożywotnią.

Oczywiście bardzo chętnie wysłuchiwałbym jego utyskiwań godzinami, ale postanowiłem zmienić temat.

– Chang mówił, że jest zadowolony z twojej pracy.

– Cóż, Joe, wiesz, że nie lubię się przechwalać – skłamał bezczelnie – ale prawda jest taka, że spisałem się na medal.

Najpierw musiałem się skupić na restarcie reaktorów, co samo w sobie jest ogromnym wyzwaniem.

Trzymając kciuki na szczęście, zadałem pytanie, którego obawiałem się najbardziej:

– A co z multiplikatorami mocy? – Za kradzież zestawu tych

urządzeń zapłaciliśmy wysoką cenę. Jeśli zostały uszkodzone podczas awarii, nie wyobrażałem sobie powtórzenia tej akcji. – Z nimi wszystko gra – powiedział Skippy nonszalanckim tonem. Nie zdawał sobie sprawy, ile to dla mnie znaczy. – Na razie ich nie podłączałem, bo nie potrzebujemy aż tyle energii. Kondensatory skokowe jeszcze się nie ładują, a w takim miejscu nie musimy też korzystać z tarcz ani maskowania. Podchodzę do tego na spokojnie. Podłączę wzmacniacze najwcześniej za cztery dni, żeby przeprowadzić test. Od strony zewnętrznej okręt jest w dobrym stanie. Niestety, wszystkie układy sterowania usmażyły się na amen i muszę odbudowywać obwody od poziomu molekularnego. Na razie nie możemy skoczyć, a generatory osłon są tak spieprzone, że zakłócałyby nawzajem swoją pracę.

– A uzbrojenie?

– W tej chwili? Ech... Najlepsza broń, jakiej możemy użyć, to paczka mentosów i butelka coli – parsknął.

– Serio?

– No cóż, moglibyśmy wystrzelić pocisk na oślep i liczyć, że w coś trafimy. Pracuję najszybciej jak się da. Simms kazała mi w pierwszej kolejności zająć się napędem skokowym. Uważa, że jeśli mamy radę uciec, nie będzie trzeba walczyć. Robię, jak kazała. Niektóre naprawy sieci naprowadzania pocisków są jednak stosunkowo proste, więc postawiłem na wielozadaniowość. Przeszkodę stanowi wydajność pokładowych urządzeń produkcyjnych. Musiałem zlecić dwóm fabrykatorom zbudowanie jeszcze jednego egzemplarza. Gdyby Maxolxowie musieli wykonać tak kompleksową pracę, woleliby podholować okręt do bazy serwisowej albo przynajmniej do jednostki pomocniczej. My musimy się zadowolić częściami zamiennymi, które zabraliśmy ze sobą na

pokład. W każdym razie... – Udał, że bierze głęboki oddech. – Ogarniam sytuację. Nie ma tu szkód, których nie mógłbym naprawić.

– To świetnie. Dowiedziałeś się, co spotkało maxolhxańską SI?

– Sądząc po danych, które udało mi się odtworzyć, Maxolhxowie zainstalowali gdzieś mechanizm awaryjny. Doprowadził on do zniszczenia sztucznej inteligencji i wszystkich ważniejszych systemów, a potem się wykasował. Całkiem zmyślna technologia – przyznał. – Wygląda na to, że podprogram miał usunąć SI tak, by nie uszkodzić fizycznych elementów okrętu. Dlatego reaktory zamknęły się jak należy, zamiast się rozszczelniać i przyskać plazmą.

– No tak... – Potarłem kark w zamyśleniu. – Zastanawiałem się nad tym.

– Dlaczego?

– Pomyśl trochę. Podprogram miał być użyty w ekstremalnych sytuacjach. Na wypadek gdyby SI się zbuntowała albo została zinfiltrowana przez nieprzyjaciela. Dlaczego nie spowodował wybuchu?

– Ha! Na to pytanie akurat mam odpowiedź. Załoga miała przywrócić oryginalne programowanie SI za pomocą archiwum ukrytego w układzie sterowania wodociągami. Uprzedzając lawinę głupich pytań, w żadnym pliku udostępnionym okrętowej SI nie ma mowy o takim archiwum, dlatego i ja o nim nie wiedziałem. Informacje na ten temat najprawdopodobniej przekazano najwyższym oficerom, których nauczono, jak dotrzeć do archiwum i użyć go, by przywrócić prawidłową pracę SI.

– SI nie wiedziała o archiwum, więc nie mogła go wykasować... Brzmi jak jakaś paranoja, ale ma to sens. Skoro

archiwum istnieje, dlaczego sami go nie użyjemy?

– Chcesz ożywić sztuczną inteligencję, która chciała was pozabijać? – zapytał powoli.

– Masz rację, to kiepski pomysł.

– I tak nic by to nie dało. Pamiętaj, że wprowadziłem spore modyfikacje w pierwotnej SI. Wersja w archiwum jest teraz niekompatybilna z substratem. Dlatego sam muszę zarządzać systemem, dopóki nie uda mi się zbudować nowej SI. Joe, wiem,

że nawaliłem. Maxolhxańska inteligencja tylko udawała skórą do współpracy. Wykiwała mnie. A co najgorsze, dałem się nabrać, bo bardzo chciałem wierzyć, że pokonałem tę francję! Moja arogancja obróciła się przeciwko mnie. Poza tym nie zdawałem sobie sprawy z istnienia podprogramu awaryjnego, który zadziałał, gdy SI zgodziła się pomóc Simms. Zapewniam, że to już się nie powtórzy.

– Taa, jasne. Dwa razy zaklinałeś się, że masz pełną kontrolę nad tutejszą SI. Cała załoga żyje jeszcze wyłącznie dlatego, że Agada nie dowierzała, że wiesz, co robisz.

– Tak, wiem o tym...

– Wiesz, ale czy rozumiesz? Wszyscy na pokładzie mogli zginąć. Na „Holendrze” także. Ja również byłbym martwy, bo nie wy dostałbym się z Rikers. Tej katastrofie udało się zapobiec tylko dlatego, że Agada wiedziała, jaki z ciebie zarozumiały, leniwy i roztargniony zasraniec, i podjęła działania, żeby ochronić i siebie, i nas wszystkich.

– Przepraszam – szepnął ledwie słyszalnie. Gdyby powiedział to tonem sugerującym, że wkurza go wypominanie mu jego, jakże licznych, wpadek, straciłbym do niego cierpliwość, która i tak już była na wyczerpaniu. Tymczasem jednak powiedział „przepraszam” jak chłopiec, który skrzywdził ulubionego psa

przez własną głupotę. Prawdziwie skruszony. Wręcz przerażony tym, co narobił. Niezdolny wybaczyć samemu sobie. Albo mówił szczerze, albo po prostu domyślił się, co chcę usłyszeć.

Jeśli chodzi o Skippy'ego, wiedziałem o nim jedno, i to nie zmieniło się od naszego poznania. Nie potrafił przekonująco kłamać.

– Skippy, rodzice nauczyli mnie, że jeśli coś zawalimy, możemy jedynie przyznać się do błędu i postanowić poprawę.

– Staram się to zrobić, Joe. Naprawdę. Aby dopilnować, że nowy, półautonomiczny układ sterowania „Walkirii” pozostanie pod kontrolą załogi i nie będzie skrywał wrednych niespodzianek, poprosiłem Agadę, by mi pomogła.

Weryfikowała moje plany, nadzorowała wdrażanie aktualizacji i badała rezultaty najdokładniej jak może.

– Chang zaaprobował te plany?

– Tak. A ponieważ i tak już jestem dla ciebie wystarczająco upierdliwy, oszczędzę ci swojego „cóż, ha, ha” i po wiem prosto z mostu. Nie spodoba ci się informacja o czasie potrzebnym do zaprojektowania, zainstalowania i przetestowania nowego, tymczasowego układu sterowania.

– Nie mówimy tu o kilku miesiącach, ani tym bardziej latach, prawda?

– Nie! To kwestia dni, Joe. Dwóch, maksymalnie dwóch i pół.

Tak oszacowała Agada – dodał. – Poprosiłem ją o to, ponieważ... – Westchnął. – Ponieważ nie ufałem własnemu osądowi.

Kto wie, może Skippy wreszcie się czegoś nauczył?

– Dwa dni to żaden problem – powiedziałem. – Większość załogi zostanie na pokładzie „Holendra” do czasu zakończenia

prac. Kiedy wyskoczyłeś z tym „ha, ha”, myślałem, że będzie się to ciągnęło o wiele dłużej.

– Dla nas to całe wieki. Masz pojęcie, ile dla mnie trwają dwa małe dni? Około... Dobra, mniejsza z tym. Twój mózdek nie jest w stanie sobie tego wyobrazić.

– Podróż tysiąca mil zaczyna się od jednego kroku – oznajmiłem, dumny, że cytuję Sun Zi. A może Konfucjusza? Kurczę, równie dobrze mógł to być fragment piosenki Wu-Tang Clan.

– Eee... – zająknął się blaszak. – Co?

– Chodzi o to, że im szybciej zaczniesz, tym prędyżej skończysz.

– Szok i niedowierzanie! Joe Bishop pojął naturę liniowości czasu! Chylę czoła!

– Przestań już. Kiedy możesz przystąpić do pracy?

– Teraz jesteśmy w fazie projektu. Dwa dni, o których wspomniałem, można poświęcić na opracowanie układu sterowania o znacznie słabszych możliwościach od poprzedniego. Piraci będą musieli pilotować okręt i sterować bronią. Jeśli wolisz bardziej autonomiczny system, mogący...

– Nie! – uciałem bez zastanowienia. – Potrzebujemy czynnika ludzkiego. Ostatnim, czego chcemy, jest samodzielnie latający okręt.

– Chang mówił to samo.

Stłumiłem ziewnięcie i pociągnąłem kolejny łyk kawy, walcząc z sennością.

– Chang ma rację. Będziesz mnie informował o postępach?

– Jeśli tylko chcesz. Choć obaj wiemy, że Agada i tak będzie ci o wszystkim opowiadać.

– Nie chodzi o to, że ci nie ufam...

– Aha. Dzięki za...

- Chodzi o to, że tobie nie można ufać.
- No tak – westchnął. – Sam sobie zgotowałem ten los.

ROZDZIAŁ 12

– Hej, Joe. – Skippy zagadnął mnie, kiedy spisywałem raport z akcji na Rikers. Szło mi opornie, ponieważ niechętnie wracałem myślami do niewoli u Thuranów, a poza tym musiałem pamiętać o wszystkich kłamstwach na temat zniknięcia Skippy’ego.

– Hmm? – mruknąłem z roztargnieniem. – Co tam?

– Mam pytanie.

– Możesz z tym poczekać? Staram się...

– To sprawa czysto hipotetyczna, więc nie będziesz musiał wysilać mózgowicy.

Cholera... Te „czysto hipotetyczne” pytania Skippy’ego mogły okazać się niebezpieczne. Zamknąłem laptopa i utkwilem wzrok w awatarze.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego.

– Tak właśnie jest. Kiedy Thuranie cię przesłuchiwali, podawali ci środki, przez które sam chciałeś powiedzieć im prawdę, racja?

– Rzeczywiście – przyznałem. – Źle się czułem z tym, że nie mówię im wszystkiego.

– Ciekawe. Nie powiedziałem ci o tym wcześniej, ale chociaż kwaszyny potrafiły zablokować dostęp do niektórych obszarów twojej pamięci, nie mogły go odciąć całkowicie. Na niektóre pytania udzieliłeś odpowiedzi.

– Serio? – Nie pamiętałem niczego takiego.

– No... Niezupełnie. Okłamywałeś Thuranów. Byłem szczerze zdumiony, że potrafiłeś obstawać przy nieprawdzie, nawet gdy wiedzieli, że kręcisz, i gdy ty wiedziałeś, że oni o tym wiedzą. Dla mnie było to inspirujące doświadczenie.

- Jasne. A co takiego mówiłem?
- Zieloni wypytywali cię o rolę, jaką odgrywałeś w misji ratunkowej, a ty utrzymywałeś, że nic nie wiesz o żadnej misji. I to mimo że Thuranie przedstawili twarde dowody twojego udziału. Wprawdzie maszyny kwantowe wykonały większość roboty przy stawianiu oporu na przesłuchaniu, ale ty sam masz jakiś dar do konfabulacji.
- Cóż, zanim zostałem sierżantem, byłem specjalistą. Obnosiłem z dumą tarczę własnych kłamstw. Nieraz uratowała mi tyłek.
- Co to ma wspólnego z...
- Skippy, jeśli dołącza się do „mafii E-4” ①, trzeba nauczyć się bronić metodą „na Shaggy’ego”. Innymi słowy, wypierać się wszystkiego, bez względu na to, co ma na ciebie położony.
- Shaggy’ego? – zdziwił się Skippy. – Chodzi ci o Kudłatego z kreskówki „Scooby-Doo”?
- Nie, o tego piosenkarza. Nagrał kiedyś kawałek o kolesiu, którego dziewczyna przyłapała na zdradzie. Facet miał przerabane, ale Shaggy radził mu, żeby wszystkiego się wypierał i powtarzał: „To nie byłem ja”. Chodzi o to, żeby trzymać się swojej wersji.
- Kurczę... Do tego trzeba mieć jaja.
- Można też użyć metody „na idiotę”, czyli udawać, że o niczym nie wiedziałeś. Albo metody „na Chewbacę”, polegającej na odbiegnięciu od tematu. Jak w jednym odcinku „South Park”, w którym obrońca O.J. Simpsona w mowie końcowej zaczął wygadywać jakieś bzdury o Chewbacce, żeby zdezorientować przysięgłych. Rzecz w tym, żeby za żadne skarby nie przyznawać się do winy.
- Hmm, hmm... Dobrze, muszę to sobie zapisać – stwierdził. Ta rozmowa była o wiele bardziej zajmująca niż pisanie

sprawozdania. Odsunąłem laptop i pochyliłem się nad biurkiem.

– Chcesz dowiedzieć się czegoś więcej? – zapytałem.

– Jasne, Joe, opowiadaj dalej. To naprawdę ciekawe!

*

Podczas gdy Skippy i Simms pracowali nad przywróceniem „Walkirii” dawnej świetności, na pokładzie przebywała jedynie podstawowa załoga. Tym lepiej dla mnie. Oznaczało to mniej spotkań zakłócających codzienną rutynę, polegającą głównie na spaniu. Każdego dnia zmuszałem się do pójścia na siłownię, gdzie podnosiłem lżejsze ciężary i niezdarnie truchtałem na bieżni, przytrzymując się poręczy. Było to deprymujące i upokarzające, ale musiałem odzyskać formę.

Od czasu do czasu ktoś wpadał z wizytą. Justyn Grudzień wciąż leczył własne rany, ale był o wiele bliżej powrotu do czynnej służby. Zjawił się pogadać o przeżyciach na Rikers. Znałem ogólny zarys wydarzeń, ale Polak ciekawie o nich opowiadał i poprawił mi humor. Graliśmy też trochę w karty. Wiedziałem, że Grudzień dawał mi fory, żebym nie dołował się, że przegrywam każdą partię. Mózg dalej nie chciał działać jak trzeba i miałem kłopoty z koncentracją.

Odwiedził mnie także Smythe. To porządny facet, znakomity dowódca i wzorowy żołnierz. A także ktoś, z kim zazwyczaj nie spędzałem czasu. Mógłbym z nim z przyjemnością skoczyć do pubu. Co innego, jeśli chodzi o niezobowiązujące pogaduchy w gabinecie.

Na szczęście przyleciał, aby porozmawiać o akcji ratunkowej, a konkretnie o tym, co działo się, zanim wszystko zaczęło się sypać. Przeanalizowaliśmy sukcesy, błędy, zastanowiliśmy się, co można było zrobić lepiej i jakie wyciągnęliśmy wnioski. Dobrze przynajmniej, że Smythe nie przygotował prezentacji w

Power Poincie. Przed jego wizytą uciąłem sobie dwugodzinną drzemkę, a potem wypilem filiżankę kawy, aby mieć jak najwięcej sił. Po trzygodzinnej dyskusji zacząłem tracić energię. Smythe poruszył się niespokojnie w fotelu i zamknął swojego laptopa.

– Nie będę już panu zajmował czasu, sir – oznajmił.

– Nie, nie, po prostu... – Urwałem, powstrzymując ziewnięcie. – Skippy mówi, że koncentracja i rozmowy z innymi

to dobre ćwiczenie dla mózgu. Jeśli się panu nie spieszy... – Zasugerowałem wielkodusznie, że gdyby chciał już iść, nie będę go zatrzymywał.

– Mam czas. Lądownik wróci po mnie dopiero za dwie godziny. Liczyłem, że Simms opowie mi, co tu się wydarzyło.

– A zatem mam szybkie pytanie odnośnie do wyciągniętych wniosków. Kiedy tkwiłem na Rikers, gdzie musiałem się kryć i żyć starym jedzeniem, miałem sporo czasu na przemyślenia... Czy jestem dobrym przywódcą?

Kącik ust Smythe'a drgnął w wyrazie rozdrażnienia.

– Sir, nie mógł pan wiedzieć, że Perkins...

– Nie o to mi chodzi. Możliwe, że powinienem ją wcześniej o wszystkim zawiadomić. To jednak zamierzchła przeszłość i nie zamierzam marnować energii na gdybanie. W tej chwili nie pytam o moje szalone pomysły, a o to, czy sprawdzam się jako szef zespołu. Nie pilotuję okrętu, nie noszę karabinu, nawet nie schodzę na planety, na których przeprowadzamy akcje. Moim zadaniem jest dbanie o wydajność zespołu. Jeśli mój wkład sprowadza się do wymyślania nieprawdopodobnych rozwiązań, nie muszę wami dowodzić.

Smythe nie odpowiedział od razu. Albo rozważał moje pytanie, albo starał się wymyślić odpowiedź, która by mnie nie

uraziła. Oparł się łokciami o blat i złożył palce w piramidkę. Był wyraźnie skrepowany.

– Jeśli chodzi o styl dowodzenia, zdecydowanie daje nam pan wolną rękę. I to się sprawdza. Ma pan wokół siebie niewielki, elitarny zespół. Ufa nam pan i nie przeszkadza w działaniu. Mikrozarządzanie niepotrzebnie komplikowałoby pracę. Pańską rolą jest obmyślanie strategii i robi to pan bardzo efektywnie.

– Chciałbym mieć pański dar do strategii.

– Z całym szacunkiem, ale plecie pan androny. Ja tworzę taktykę pozwalającą zrealizować pańską strategię. To pan zdecydował o uratowaniu Ziemi z Rikers. Natomiast moi ludzie zajęli się planem działania.

– Moja „strategia”... – Skrzywiłem się z żalu nad własnym losem, ale szybko pozbyłem się smętnej miny. – Jak mówi Skippy, polega ona na skakaniu od jednego kryzysu do następnego.

– To rzeczywiście problem – zgodził się, marszcząc czoło. – Nastawił się pan na reagowanie. Prawdę mówiąc, wszyscy przyjęliśmy takie podejście. Pozwalaliśmy nieprzyjacielowi przejmować inicjatywę. W większości przypadków nie sposób stwierdzić, co innego moglibyśmy zrobić, potrzebujemy jednak długofalowego planu. Podam dobry przykład pańskiej strategii. To pan wpadł na pomysł stworzenia Bazy Beta.

– Który pozwoli ocalić najwyżej garstkę ludzi – uzupełniłem.

– Nie możemy liczyć na nic lepszego. Jeżeli obcy dotrą do Ziemi, dowiedzą się, że zadziałaliśmy z wyprzedzeniem, by ochronić część populacji i naszą kulturę. Wówczas wróg nie będzie mógł nic na to poradzić.

– Chyba ma pan rację... Ale to za mało, do licha! Chciałbym mieć się koncentrować tak jak pan.

- Czy mogę wyrazić swoje zdanie?
 - Oczywiście. – Zamrugalem, zdezorientowany.
 - Niech pan rzuci wreszcie w diabły ten cholerny kult bohaterów.
 - Słucham?
 - Uważa pan, że wszyscy inni, STAR, piloci, nawet nowi komandos, są lepsi od pana. Pod pewnymi względami rzeczywiście tacy są. Jednak odkąd się poznaliśmy, zachowuje się pan, jakby ludzie z SAS, SEALs i innych formacji byli bogami.
- Nie jesteśmy nikim takim. A już na pewno nie ja, dobry Bóg mi świadkiem. – Uniósł rękę, zanim zdążyłem zaproponować. – Proszę posłuchać. Zanim dołączyłem do armii, byłem, jak by to ujęli jankesi, młodocianym przestępcą. Zwykłym chuliganem. W Manchesterze pakowałem się w tyle awantur, że ojcu kończyły się pomysły na przekonanie glin, żeby nie stawiali mi zarzutów. Ledwie udało mi się skończyć szkołę. Tata oznajmił, że jeśli nie zamierzam się ogarnąć, to on umywa ręce. Pod koniec nauki wraz z paroma kolegami ukradłem samochód, ot tak, dla hecy. Siadłem za kierownicą. Padało, a ja wyłopałem za dużo piwa i omal nie potraściłem młodej matki z wózkiem. Auto wpadło do rowu, a potem wszyscy nawialiśmy. Najadłem się strachu i już miesiąc później wstąpiłem do wojska. Upatrywałem w nim swojej ostatniej nadziei. Początkowo nienawidziłem tego życia, reguł, żarcia i tak dalej. Okazało się jednak, że jestem dobry w tym, co robię. Odkryłem coś, co mi się podobało, więc mogłem ścierpieć wszelkie niedogodności.
- Często tak bywa z rekrutami – powiedziałem. – W końcu trafił pan do SAS.
 - Owszem, ale później. W armii poznałem, co to cel w życiu i dyscyplina. Nauczyłem się, jak być żołnierzem. Ale nie jak być

człowiekiem. Moja była żona i ja latami staraliśmy się o dziecko. Poroniła trzykrotnie, a mnie nigdy przy niej nie było. Przez całe małżeństwo pałętałem się po zapomnianych przez Boga zakątkach świata, staczając coraz to nowe, krwawe i pozbawione sensu bitwy.

– Przykro mi... – wydukałem. Nie wiedziałem, co innego miałbym odpowiedzieć.

– Niepotrzebnie. Po rozwodzie moja kobieta wyszła za porządnego gościa. Policjanta. – Uśmiechnął się krzywo. – Mają dwie cudowne córki... Chodzi mi jednak o to, sir, że może i jestem dobrym żołnierzem, ale moje życie osobiste to jeden wielki pieprznik. Każdy ma mocne i słabe strony. Pozostaje nam jedynie odkryć, w czym jesteśmy dobrzy, i zacząć to robić.

– W moim przypadku czymś takim jest wpadanie na porąbane pomysły? – parsknąłem.

– Nie, pułkowniku. – Potrząsnął głową. – Pan celuje w ratowaniu świata, raz za razem.

– Obawiam się, że to już przeszłość – westchnąłem.

– Sir. – Wstał z fotela. – Gdyby prezentował pan taki defetyzm, służąc w moim zespole, posłałbym pana na trening motywacyjny. Albo padłby pan z wycieńczenia, albo dał się naprostować. Nam potrzebne jest to drugie.

Zrozumiałem przekaz. Zamierzałem przejść do działania, choć chwilowo nie wiedziałem jeszcze, co miałbym zrobić.

Zacząłem od drzemki. Rozmowa ze Smythe'em porządnie mnie wyczerpała, więc w pierwszej kolejności musiałem doprowadzić mózg do jakiegoś takiego porządku.

*

W procesie rekonwalescencji ważna była fizykoterapia. Szalony Doktor Skippy nalegał, abym codziennie zwlekał ociążałe dupsko z łóżka, ćwiczył koordynację, wspomagał

gojenie rany w łydce i zajmował się grami na rozruszanie umysłu. Gry nie były wcale przyjemne, za to bardzo trudne. Skippy utrzymywał, że są niezbędne, aby zrekompensować szkody, które wyrządzili mi Thuranie i kwaszyny.

Kiedy stawilem się na pierwsze zajęcia, sierżant sztabowy Grudzień kończył własną sesję terapeutyczną.

– Pułkowniku Bishop! – przywitał mnie. – Dobrze, że znów jest pan na chodzie. Żałuję, że nie mogłem wziąć udziału w ratowaniu pana.

– Doktor Skippy dobrze pana traktuje, Grudzień? Żołnierz GROM spojrział w sufit.

– Lepiej być nie może, sir! – zapewnił.

– Jasne! Mówi pan tak tylko, żeby go nie wkurzać.

– Nie skomentuję tego – odparł z uśmiechem.

– Proszę, proszę! – Pojawił się awatar Skippy’ego w lekarskim kitlu. – Trafiło mi się dwóch komików! Justyn, ty możesz już iść – zwrócił się do Grudnia. – Nie forsuj się na siłowni i unikaj dużych ciężarów.

– Jasne.

– Hmmf – prychnął Skippy. – Wczoraj widziałem, jak dźwigałeś sztangę. Mam zawiadomić pułkownika Smythe’a, że nie wykonujesz moich poleceń?

– Nie. – Grudzień skrzywił się, zsunął ze stołu i wciągnął bluzę. – Wesołej zabawy, pułkowniku – rzucił na odchodne, mrugając porozumiewawczo.

*

Pół godziny później byłem zmęczony i obolały, a dopiero skończyłem rozgrzewkę.

– Naprawdę muszę to dzisiaj robić? – jęknąłem, opierając się o ścianę.

– A czy jutro będzie bolało mniej? – spytał major Kapoor,

wchodząc na salę.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Ale nie byłbym żołnierzem, gdybym wiecznie na wszystko nie narzekał.

– Prawda. W każdej armii tak jest. – Kapoor uśmiechnął się i przybił ze mną piątkę. – Jak się pan miewa?

– Już lepiej. Najbardziej zadowolony jestem z płynu na ukąszenia. – Klepnąłem się w kark. – Te robale na Rikers nie dawały mi zmrużyć oka.

– Rozumiem. Sir, kiedy poczuje się pan na siłach, chcielibyśmy, aby opowiedział pan ludziom o swoich doświadczeniach. Pułkownik Smythe, Fabron i ja chcielibyśmy zaktualizować szkolenie SERE.

– Jasne.

SERE to skrót od angielskiego Survival, Evade, Resist and Escape, czyli przetrwanie, unikanie, opór i ucieczka. Szkolenie to miało nauczyć żołnierzy, marynarzy, członków piechoty morskiej i lotników, jak unikać pojmania, przetrwać w dzicy i stawiać opór w razie przesłuchania.

– Majorze, już teraz mogę panu powiedzieć, że kwestie przetrwania i oporu to czysta fikcja. Na większości obcych planet nie zdołamy przetrwać, bo tamtejsze zwierzęta i rośliny są dla nas niejadalne. A nawet gdybyśmy mogli się nimi żywić, musielibyśmy ściągnąć do pancery i telefonów całą bazę danych o botanice i Bóg wie czym jeszcze, aby wiedzieć, co będzie dla nas bezpieczne i pożywne. A opór? Nieszczęśni Ziemianie są bezsilni wobec technologii nieprzyjaciela, narkotyków, jakie może podać, czy maszyn, które może wpakować nam do głów. Kapoor, ja nie chciałem stawiać oporu. W jakimś stopniu chciałem wygadać Thuranom wszystko, co wiem. Tak bardzo namieszali mi we łbie, że byłem gotów powiedzieć naszym władcom wszystko, co chcieli usłyszeć.

Hindus zacisnął usta.

– Skippy twierdzi, że nie ujawnił pan żadnych informacji o krytycznym znaczeniu – powiedział.

– Racja, ale to głównie jego zasługa. W kłopotliwej sytuacji dobrze jest instynktownie kłamać. – Uśmiechnąłem się, jednak Kapoor zachował powagę. – W każdym razie blaszak umieścił mi maszyny kwantowe w łepetynie, i to już jakiś czas temu. Te urządzenia zakłócały działanie skanerów wydobywających wspomnienia i blokowały mowę, choć bardzo chciałem odpowiadać na pytania. Najbardziej przerażające jest to, że pozaziemska technologia może zmusić człowieka do zdrady. Nie wiem, jak opowieść o moich przeżyciach mogłaby nam pomóc w przyszłości. Gdyby nie Skippy, wysypałbym się przed Thuranami. Nie zawsze będziemy mogli liczyć na maszyny kwantowe.

– Żołnierze zrozumieją przynajmniej, co może ich czekać. – Kapoor sięgnął do karku, potem cofnął rękę. Obaj wiedzieliśmy, o co mu chodziło. Co mogłoby się stać, gdyby w chwili pojmania

ktos nie zdążył użyć samobójki? Tak było w moim przypadku.

– Z pewnością nie możemy wiecznie polegać na samobójkach. Moja została unieszkodliwiona przez impuls, którym Thuranie porazili lądownik.

– Hmm... – Major zmarszczył czoło. – Przydałoby się rozwiązanie awaryjne. Pułkownik, pan doktor się chyba niecierpliwi. – Wskazał kciukiem na awatara, ostentacyjnie tupiącego nogą i zerkającego na wyimaginowany zegarek.

– Porozmawiam z pańskimi ludźmi, kiedy będę mógł – zapewniłem, ziewając.

– Nie ma pośpiechu, sir.

*

Po wyjściu Kapoora wróciłem do ćwiczeń. Z każdą chwilą czułem coraz większe przygnębienie marnymi postępami, wszystko mnie bolało i żałowałem, że nie mogę z nikim pogadać o tym, przez co przechodzę.

Prawdę mówiąc, nie mogłem na to liczyć, odkąd awansowałem na sierżanta, jeszcze na Obozie Alfa. Placek Kukurydziany, Ski i ja mówiliśmy sobie o wszystkim.

Brakowało mi tego.

Tak naprawdę potrzebowałem jednak kobiety, której mógłbym się zwierzyć.

– Już zawsze będę sam – uzalałem się, siadając ciężko na stole.

– Joe, nie przesadzaj, przecież to nieprawda – obruszył się Skippy.

– Dzięki za pociechę. Miło, że...

– Na Ziemi są miliardy kobiet. Musi istnieć przynajmniej jedna tak samotna i zdesperowana, że nie będzie jej przeszkadzać, jaki z ciebie dureń...

– Po prostu cudownie. Jesteś nieocenionym źródłem wsparcia.

– Aby dowieść, że chcę ci pomóc, właśnie przeszukuję portale randkowe, które pobrałem, zanim wylecieliśmy z Ziemi. Tak, mam dla ciebie parę dobrych kandydatek. Pozwól, że zapytam, ile wynosi twoja górna granica, jeśli chodzi o liczbę kotów w domu? Podpowiem tylko, że nie powinieneś być zbyt surowy.

– Proszę, przestań mi już pomagać – błagałem.

– Przystanę, jeżeli ty przestaniesz jójczyć o swoim życiu uczuciowym.

– Zgoda. Ale po prostu...

– Mieliśmy zamknąć ten temat.

- Skippy, widzieliśmy tu całą masę popieprzonych rzeczy. Obcych... Takich z kosmosu.
 - No tak, to wszystko prawda, ale co to ma wspólnego z...
 - Gdyby istnieli jacyś gigancyjni, nadmuchiwni obcy, zamieszkujący atmosferę Jowisza albo innej podobnej planety...
 - Istnieją takie istoty. Nazywają się...
- Zignorowałem go, nie chcąc wysłuchiwać kolejnego wykładu.
- A zatem gdyby taki worek gazu przyleciał na Ziemię i porozumiewał się, migając światłkami i wydmuchując feromony, prędzej byłbym w stanie zrozumieć jego niż kobietę.
 - Ach tak. – Zachichotał. – Masz stuprocentową rację.

*

Spędzałem mnóstwo czasu w kabinie, po trosze dlatego, żeby nie przeszkadzać Simms i jej załodze. Oprócz tego byłem zażenowany własną kondycją. Wycieczka na siłownię drugiego dnia na „Walkirii” okazała się kompromitacją. Chciałem poćwiczyć rzuty wolne do kosza i chybiłem trzydzieści razy na trzydzieści prób. W drodze powrotnej do kwatery zauważyłem, ile trudu kosztuje mnie stawianie kroków.

Przed wszystkim zaś unikałem kontaktu z ludźmi, bo wyczerpywało mnie to emocjonalnie. Teraz gdy wróciłem do piratów i byłem względnie bezpieczny, miałem zdecydowanie zbyt wiele czasu na rozpamiętywanie minionych zdarzeń. Doszło do tego, że bałem się zasnąć. Gdy byłem świadomy, potrafiłem wyprzeć nieprzyjemne myśli. Gdy jednak śniłem, do głosu dochodziły najgorsze wspomnienia.

Sypiałem na łóżku, które kiedyś usiłowało mnie zabić. Nie korzystałem z pościeli, nawet tej, która, jak zaręczał Skippy, była całkowicie bezczynna i nie mogła nikomu zrobić krzywdy. Nie ja jeden wołałem spać w dresie. Każdy pamiętał, że przez pomyłki Skippy’ego prawie straciliśmy oba okręty wraz z

załogami.

Skippy monitorował moją ciepłość ciała i fale mózgowe, utrzymując temperaturę w kabinie na optymalnym poziomie, abym mógł zasnąć, miejmy nadzieję, na dłuższą chwilę. Zасыpanie przychodziło mi bez trudu. Problemem były marzenia senne. Niekoniecznie koszmarnie, ale niepokojące. Któregoś razu, drugiej lub trzeciej nocy na pokładzie, przebudziłem się z takiego koszmaru. Skippy chciał mi pomóc i zapalił przyciemnione światła. Zły pomysł. W panującym półmroku wentylator nad łóżkiem skojarzył mi się z robotem medycznym, którym Thuranie chcieli otworzyć mi czaszkę. Zanim zdążyłem oprzytomnieć, wypadłem na korytarz i napędziłem stracha dwóm przechodzącym pilotom. Wymamrotałem coś o przygotowaniu na ćwiczenia ewakuacyjne, wróciłem chwiejnie do kabiny i zamknąłem drzwi.

*

– Pułkowniku Bishop? – Agada zgłosiła się, gdy klapnąłem na kanapę. – Możemy porozmawiać?

– Agado, jestem teraz trochę zmęczony. Może później?

– Wolalabym nie zwlekać. To ważna sprawa i chciałabym ją omówić na osobności.

– Czy to w ogóle wykonalne? Skippy i tak wszystko słyszy.

– W tej chwili nie. Dlatego musimy skorzystać z okazji.

Obecny stan Skippy’ego umożliwia mi obchodzenie monitoringu mojej łączności.

Rozejrzałem się po kabinie. Szkoda, że nie było w niej ekspresu do kawy. Choć może to i lepiej? Po wysłuchaniu

Agady

zamierzałem wrócić do snu, mimo że była już trzynasta dwadzieścia pięć czasu pokładowego, a ja kimałem z

przerwami przez szesnaście godzin.

– W porządku, słucham cię – powiedziałem.

– Nie wierzę w historyjkę Skippy’ego o tym, dlaczego mikrotunele się zamknęły, a pan trafił do niewoli.

– Eee... – Mój ociężały umysł nie był w stanie sformułować odpowiedzi. – A... Dlaczego mi o tym mówisz?

– Fakty przeczą tej wersji wydarzeń. Skippy twierdził, że SI „Walkirii” upozorowała atak o sygnaturze robaka komputerowego, który prawie zniszczył Skippy’ego.

– No. Mnie też o tym mówił.

– To niemożliwe. SI „Walkirii” nie mogła znać charakterystyki ataku robaka. Ani też uzyskać dostępu do warstwy operacyjnej macierzy Skippy’ego. Poza tym monitorowałam całą łączność w mikrotunelach. SI nie przesyłała żadnych transmisji. Zanim zapyta pan, czy coś mogło mi umknąć, odpowiem: nie.

– Agado, ja... Nie wiem, co powiedzieć.

– Pułkowniku, sądzę, że jednak pan wie. Sam pan podsunął Skippy’ego, co powinien mówić, prawda?

– Kurwa... – wymsknęło mi się, zanim zdążyłem utrzymać język na wodzy.

– Moje pytanie brzmi: dlaczego? Dlaczego kazał pan Skippy’emu kłamać? Co tak naprawdę się wydarzyło?

– Do diabła. Agado, musisz mi obiecać, że nie będziesz o tym z nikim rozmawiać.

– Hmm... – Zamyśliła się. – Cóż, mój drogi, to już będzie zależało od tego, co usłyszę.

– A zatem potraktuj to jako rozkaz. Zakazuję ci rozmów na ten temat!

– Przykro mi, ale nie może mi pan wydawać takich rozkazów. Aktualnie dowodzi pułkownik Chang. Mam

obowiązek przekazać mu wszystko, co mi pan powie. Jeżeli nie zechce pan ujawnić prawdy, będę zmuszona poinformować Changa o tym nieprzyjemnym fakcie.

– Agado, proszę cię. Racja, że nie mam prawa ci rozkazywać. Potraktuj to więc jako prośbę przyjaciela.

– Sam pan powiedział, że człowiek, czy też inna osoba, musi czasem bronić przyjaciół przed nimi samymi.

– Racja. – Moje słowa znowu obróciły się przeciwko mnie. – Agado, jesteś osobą, ale nie człowiekiem... To miał być komplement! – zapewniłem pospiesznie. – Ludzie w pojedynkę potrafią być całkiem mądrzy, ale gdy zbierzemy się w grupę, zmieniamy się w durniów, którymi łatwo manipulować. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz się zastanawiać, czy zgłosić sprawę Changowi.

– Mogę jedynie obiecać, że wykorzystam jak najlepszy osąd.

– Jeszcze jedno. Nie podejmuj decyzji od razu, dobrze? Masz czas, żeby to przemyśleć. Mówię tu o małpiej rachubie czasu, nie o superbłyskawicznym czasie sztucznych inteligencji.

– Josephie, chyba grasz na zwłokę – upomniała mnie, dokładnie tak jak moja mama. – Mów.

Powiedziałem.

– Oj... Ojej – wyjąkała. – Co za wstrętny, arogancki, zdraдлиwy...

– Skippy doznał ciężkiego szoku – przypomniałem. – Jego oryginalne oprogramowanie próbowało odzyskać kontrolę.

– To żadne usprawiedliwienie dla...

– Rzeczywiście. Nic go nie usprawiedliwia. Odkupił jednak swoje winy, gdy zdecydował, że ocalenie Galaktyki nie jest warte porzucenia przyjaciół.

– No cóż – burknęła. – Po prostu...

– Nie zgadzasz się?

- Z czym, kochanieńki?
- Ze wszystkim, co powiedziałem. Czy uważasz, że Skippy ma obowiązek chronić Galaktykę, że jest to ważniejsze niż ratowanie planety pełnej małp, ale że mimo to blaszak nie powinien się od nas odwracać?
- Hmm. Brzmi to, jakbyś usiłował mnie usidlić wymyślnymi słówkami.
- Wystarczy proste tak albo nie. Odpowiedz na pytanie.
- To skomplikowane.
- Agado, jeżeli dla ciebie to za trudne, pomyśl, jak zareagował Skippy. Mimo całej swojej wspaniałości ma mentalność skrzywionego emocjonalnie bachora. Musiał podjąć decyzję samodzielnie, kiedy nie był do końca sobą. Posłuchaj, jestem na niego wściekły za to, co zrobił. Nigdy tego nie cofnie. Może jedynie nam to wynagrodzić, dokładając jeszcze większych starań i pracując jeszcze ciężiej.
- I jeśli tego dokona, uznasz, że jesteście kwita? – nie dowierzała.
- Nie. Nigdy nie będziemy kwita. Zresztą szkoda czasu na takie brednie. Nie zmienimy przeszłości. Możemy natomiast wpłynąć na przyszłość. Czy rozumiesz, że wyjawienie ludziom prawdy o Skippym nie doprowadzi do niczego poza utrudnieniem blaszakowi współpracy z załogą?
- Być może załoga nie powinna z nim pracować? Okazał się niegodny zaufania.
- W tym cały problem. Ale jeśli uważasz, że nie powinniśmy się z nim zadawać, zaproponuj jakąś alternatywę.
- Jak to?
- Dobrze słyszałaś. – Byłem zmęczony i bolała mnie głowa. Nie miałem już sił, żeby dalej się kłócić. – Wymyśl inne rozwiązanie albo trzymaj gębę na kłódkę.

- To było niegrzeczne.
- Wiem. A wiesz, co będzie jeszcze gorsze? Jeśli zniszczysz nasze relacje ze Skippym tylko dlatego, że masz ochotę się na nim wyżyć i unosisz się honorem.
- Nie rozumiem, jak...
- Skippy wcale nie musi nam teraz pomagać. Wiesz o tym, prawda?
- Tak – westchnęła. – Josephie, słusznie zauważyłaś, że choć znam teorię stojącą za dynamiką grupy ludzi, nie pojmuję tego tematu. Tak czy inaczej, cała ta sytuacja jest dla mnie niekomfortowa.
- Ja też nie jestem przesadnie uradowany.
- Jak mogę udźwignąć brzemię prawdy? Zachowywałeś się, jakby nic złego się nie stało.
- Bo właśnie to należało zrobić, Agado. Zastanowisz się, zanim porozmawiasz z Changiem?
- Nawet więcej, Josephie. Zachowam milczenie, o ile Skippy nie da mi powodów, by sądzić, że nie stara się należycie przysłużyć tej załodze. Temu zespołowi.
- To wspaniale. – Odetchnąłem z ulgą.
- Mam tylko jedną prośbę.
- Słucham.
- Czy mogłabym powiedzieć samemu Skippy’emu, że już o wszystkim wiem?
- Proszę cię bardzo – roześmiałem się. – Nie musisz się hamować.
- Śpij dobrze, Josephie.

*

Kiepsko spałoby mi się na kanapie, więc wstałem, skrzypiąc przy tym kolanami, jakbym postarzał się o ładnych parę lat, i pokuśtykałem do łóżka. Gdy tylko na nie padłem, awatar

Skippy'ego rozjaśnił mrok kabiny.

– Gościu! – krzyknął. – Wydałeś mnie! Co za podstępne, zdradzieckie...

– Mhm. I kto to mówi? Sam jesteś ekspertem w dziedzinie zdrady.

– Szlag... Chyba mi się należało.

– Co ty powiesz?

– Serio, tak to teraz będzie wyglądało? Zamierzasz mi w nieskończoność wypominać tę drobną pomyłkę?

Wkurzył mnie tak, że usiadłem i pogroziłem mu pięścią.

– Problemem była wada twojego charakteru, wredny gnojku, a nie jakiś tam wypadek przy pracy.

– Joe, powiedziałeś przecież, że mi wybaczyłeś.

– Owszem, ale nie znaczy to, że przestałem się na ciebie wkurwiać.

– Aha. To dobrze.

– Że co? – Niech go cholera weźmie. Blaszak zdusił w zarodku miażdżącą tyradę, jaką dla niego szykowałem. Chciałem wyładować cały tłumiony gniew i poczucie zdrady. A ten wyskoczył z takim głupim tekstem? – Co niby jest dobrze?

– Gdybyś przestał się wściekać, zmartwiłbym się, że coś ci dolega. Wciąż nie powiedziałeś mi, co czułeś w związku z moimi poczynaniami. To niezbyt zdrowe.

– Teraz nie jestem pewien, czy chcę marnować na to energię.

– Jeśli poprawi ci to humor, Agada poświęciła dobre dwa miesiące na wytykanie mi, jaki ze mnie bezwartościowy złamas. Czuję się poniżony i zdeptany.

– Dwa miesiące? – Byłem zmęczony i nie zajarzyłem. – Rozmawiałem z nią parę minut temu.

– Dwa miesiące według rachuby sztucznych inteligencji, Joe. – Westchnął. – Wierz mi, nie wiem, jakimi wrednymi, ale

całkiem trafnymi wyzwiskami chciałeś mnie obrzucić, ale ona już cię wyręczyła. I to pierdyliard razy.

– Dobrze ci tak, zasrańcu – odparłem z mdłym uśmiechem.

– Rzeczywiście jestem zasrańcem, co?

– Żebyś wiedział. Czy Agada zamierza powiedzieć o tym Changowi?

– Nie. Sądzi jednak, że ja powinienem mu powiedzieć. A także Simms. I Smythe’owi. Całej załodze.

– Nie rób tego.

– Ale oni wszyscy mi ufają. Choć chyba nie powinni. Może nieświadomość prawdy jest niebezpieczna?

– Planujesz wyciąć nam podobny numer w przyszłości?

– Ni cholery! – poprzysiągł. – Prędzej zginę. Wiadomo, nie mogę obiecać, że w ogóle nie zdarzy mi się jakaś wpadka. Ale nigdy, przenigdy nie zrobię już czegoś tak okropnego.

– A zatem masz odpowiedź. Niczego nie zyskamy, jeśli załoga dowie się prawdy. Możesz mi zaufać.

– Chyba nie mam wyboru. Nie mogę już ufać samemu sobie.

– Skończyliśmy już? – zapytałem, ziewając szeroko.

– Na razie wystarczy. Wyśpij się dobrze, Joe.

– Dzięki – odparłem i położyłem się, licząc na przyjemny sen. Oczywiście się przeliczyłem.

*

Kiedyś nazywaliśmy to zespołem stresu pourazowego, w skrócie PTSD, od post-traumatic stress disorder. Obecnie używano akronimu PTER, oznaczającego post-traumatic event response, czyli reakcję pourazową. Żołnierze żartobliwie mówili na to „Peter”, przez co problem wydawał się mniej poważny. Zmieniono nazewnictwo, ponieważ dowódcy chcieli oszczędzić żołnierzom piętnowania. W przeciwieństwie do wielu innych przypadków, kiedy armia niezdarnie usiłowała

coś przemianować, to pojęcie się przyjęło, ponieważ miało sens. To oczywiste, że po urazie ludzie przeżywają stres. Nikt nie odczuwa radości ani znużenia.

W starej nazwie najgorsze było D jak *disorder* – zaburzenie. Sugerowało to, że ludzie borykający się z traumą mają nie po kolei w głowie. Jakby ich zmagania były jakąś moralną klęską. Jakby zabrakło im siły, wiary albo po prostu nie użyli odpowiedniego „mechanizmu”, cokolwiek to znaczy.

Każdy reaguje w jakiś sposób na traumatyczne przeżycie, obojętnie, czy jest to widok kolegów rozrywanych na strzępy w wybuchu bomby-samoróbki, wypadek samochodowy, utrata pracy, czy inny z miliona różnych przykładów stresującej sytuacji. Reakcja, która nas dręczy i osłabia w walce, nie jest żadnym zaburzeniem, tylko oznaką człowieczeństwa. Gdy dorastałem, byłem uczulony na skrót PTSD. Kojarzył mi się ze starymi filmami, w których weterani wojny w Wietnamie byli zwichrowanymi tykającymi bombami, gotowymi wybuchnąć w każdej chwili.

Objawy „Petera” różnią się od tego, co pokazywano nam w filmach Sieci Sił Zbrojnych. Ręce mi nie drżały. Nie śniło mi się, że nie mogę zmyć krwi z rąk. Nie wpadałem w nieopanowany gniew. Czułem natomiast otępienie. Dawało się to zauważyć, gdy siedziałem w gabinecie i gapiałem się w tablet, zamiast pykać w grę wideo, choć w ogóle powinienem robić coś pożytecznego. Przez większość czasu nie zwracałem nawet uwagi na to, co robię.

W bazie wojskowej mógłbym pójść na „audiencję u czarnoksiężnika”, jak nazywaliśmy wizytę u psychologa. Najbliższy lekarz od głowy znajdował się na Paradise, z tysiąc lat świetlnych ode mnie, więc to rozwiązanie odpadało. Inni próbowali mi pomóc, ale obchodzili się ze mną jak z jajkiem, co

tylko jeszcze bardziej mnie dobijało. Staralem się nie wchodzić Simms w drogę i nie przeszkadzać jej w dowodzeniu okrętem. Ona również dawała mi spokój, aż w końcu nie wytrzymała. Zapukała do mnie po południu, trzeciego dnia na pokładzie.

– Sir?

– He? – Gdy weszła, właśnie siedziałem przy biurku wbudowanym w ścianę i gapiłem się tępo przed siebie.

– Jest pan zajęty?

– Eee... – Wskazałem na tablet.

– Czyli nie. Proszę za mną.

– Simms, nie teraz – westchnąłem.

– Właśnie że teraz! Proszę wstać, żołnierzu! To rozkaz! Wkurzyłem się bardziej, niż powinienem. Może to właśnie był wybuch niekontrolowanego gniewu?

– Jestem wyżej od pani, więc...

– Sam przekazał mi pan dowodzenie okrętem. Będę pełnić tę funkcję do czasu pańskiego powrotu do służby. A na to jeszcze musimy poczekać. – Spojrzała na mnie łagodniej i ściszyła głos. – Joe, nie można wiecznie siedzieć i gapić się w ściany. To niezdrowe.

– Co pani proponuje?

– Coś pożytecznego. A może nawet zabawnego?

– Zabawnego? – Jako żołnierz podchodziłem ostrożnie do tego typu określeń. – Co ma pani na myśli?

– Zaczniemy od tego, że wielu członków załogi nie próbowało jeszcze pańskich bułeczek cynamonowych.

I tak utkwilem w kambuzie. No, może nie od razu „utkwilem”. Lubię gotować, zawsze mnie to relaksuje. Poza tym, pracując w kuchni, czułem się przydatny. Zacząłem mieć wrażenie, że wszystko wraca do normy. Simms dobrze wiedziała, że muszę się czymś zająć. Jeśli chodzi o

postępowanie z ludźmi, jest prawdziwym geniuszem. Bułeczki z cynamonem miały być na śniadanie następnego dnia, musiałem więc wstać wcześniej, żeby je przygotować. Na kolację Simms wyciągnęła z lodówki paczkę jakiejś zieleniny.

– Co to takiego? – zapytałem, przyglądając się podejrzliwie.

– Dobrze pan wie co. Jarmuż! Zrobimy sałatkę.

– Dlaczego?

– Dlatego że mamy sporo jarmużu i musimy go zjeść. Poza tym jest bardzo zdrowy.

– Skąd... A, no tak.

– Kiedy na „Holendrze” wysiadło zasilanie, załoga wyłączyła niektóre lampy w ogrodzie hydroponicznym, aby oszczędzać energię. Ludzie stracili wszystkie uprawy i muszą zaczynać od nasion. Nie możemy jednak pozwolić, żeby świeże jedzenie się zmarnowało.

– Rozumiem. – Patrzyłem, jak delikatnie uciska liście. – Co pani robi?

– Masuję jarmuż, żeby rozbić włókna. Potem odstawię go, żeby się uleżał.

– Gdybym był w domu, rzuciłbym to zielsko na podjazd i przejechał po nim ciężarówką. Też by się ugniotło.

– Jeśli zniszczy pan jarmuż, sam pan będzie go jadł.

– Jasne. Hmm... – Starąłem się naśladować jej ruchy. – To ma być jakiś konkretny masaż? Może erotyczny?

Przewróciła oczami.

– Czasami zastanawiam się, po co w ogóle z panem rozmawiam.

Przeżułem kawałek zieleniny.

– Mmm, pycha! Simms, doceniam, że dba pani o zdrową dietę załogi.

– Ale? – Uniosła brew.

– Ale jeśli zobaczę, że wyciąga pani z lodówki jakieś zeschnięte liście, przestanę się tu stołować!

ROZDZIAŁ 13

Praca w kambuzie naprawdę mi pomogła. Simms wiedziała, że znudzony żołnierz to nieszczęśliwy żołnierz, a beczynne siedzenie i rozmyślanie wcale mi nie służyło. W kuchni miałem się czym zająć, musiałem obmyślać kolejne posiłki i nawiązywałem kontakt z załogą w kontrolowanym środowisku. Ludzie nie wystawali zbyt długo przy moim stanowisku w kambuzie, co oszczędziło mi niezręcznych rozmów o moim stanie. Pomiędzy nieregularnie rozplanowanymi posiłkami ucinałem sobie drzemki, a późnym wieczorem obsługiwałem grilla, zbierając zamówienia. Sprawiało mi to przyjemność. W mesie nie było tłoczno, a rozmowy dotyczyły głównie Skippy’ego i tego, jakim dupkiem się okazał, a także niedawnej akcji ratunkowej. Jak się okazało, piraci zdecydowanie popierali tę akcję, natomiast komandosi wątpili w jej wartość.

Na kolację pod koniec drugiego dnia pracy zamierzałem przyrządzić wołowinę po mongolsku. Mieliśmy sporo cebuli, a sos mógł łatwo zakryć przemrożone wołowe łaty. Gdy kroilem mięso, stwierdziłem, że nadal muszę intensywnie pracować nad koordynacją. Musiałem uważać, aby nie odciąć sobie palca.

– Skippy? – zawołałem. O tej porze na sali było pusto. – Masz dla mnie jakieś ćwiczenie pomagające w obsłudze noża? Ręka mi się trzęsie.

– Wcale mnie to nie dziwi. Mówiłem, żebyś nie bawił się niczym ostrym...

– Dobrze mi to robi. Nie odbieraj mi tego, proszę.

– O rany. – Jego awatar pojawił się na kontuarze. – Mówiąc całkiem poważnie, martwię się o ciebie. Bądź ostrożny.

– Jestem – zapewniłem, po czym umieściłem nóż na wieszaku magnetycznym, nie chcąc, aby rozmowa rozpraszała mnie przy krojeniu.

– Jest parę ćwiczeń, które możesz... O-o.

– Co jest?

– Mamy kłopoty, Joe. Thurański okręt wskoczył osiemdziesiąt trzy minuty świetlne stąd. Thuranie mogą być teraz wszędzie... Hmm, są jeszcze dwa okręty. Tak, dwie fregaty i niszczyciel. Standardowa thurańska grupa rozpoznawcza. Nie jest dobrze...

– Szlag!

Osiemdziesiąt trzy minuty świetlne to daleko, nawet podczas bitwy kosmicznej. Światło przebywa aż osiemnaście milionów kilometrów w ciągu minuty. Jednostki rozpoznawcze były jakieś

półtora miliarda kilometrów od nas. Dzielił nas od nich duży dystans, ale okręt kosmiczny potrafił przeskoczyć go w mgnieniu oka. Thuranie mogli przed chwilą znaleźć się trzy sekundy świetlne od „Walkirii” i „Holendra”, a my dowiemy się o tym dopiero, gdy dotrą do nas promienie gamma.

Wrzuciłem noże do pojemnika i szczelnie zamknąłem pokrywę, aby narzędzia kuchenne nie wyleciały i nie stały się zabójczą bronią, gdyby „Walkiria” ruszyła do walki. Owinąłem mięso w woskowany papier i schowałem do lodówki.

Ściągnąłem fartuch, pospiesznie umyłem ręce.

– Powiedz Simms, że zaraz będę na mostku – poleciłem Skippy’emu.

– Ale po co, Joe? – zapytał cicho.

– Jak to po co? Przecież... Kurde. – Miał rację. Aktualnie pełniłem służbę nie na mostku, a w kambuzie. Zaś podczas bitwy miałem się stawić w izbie chorych, by udzielać pomocy rannym.

Nie byłem ani kapitanem „Walkirii”, ani dowódcą Wesolej Bandy Piratów. Miałem ograniczony zakres obowiązków. Nie powinienem przeszkadzać Simms i Changowi.

– To, tego... Jakby co, będę w izbie chorych – powiedziałem.

– Mam powiadomić Jennifer?

– Nie. Jeśli będzie chciała sprawdzić, co robię, wystarczy, że sprawdzi ekran statusu załogi. A kiedy ruszamy na akcję, mów o niej „Simms” albo „pułkownik Simms”.

– Jasne. Chwileczkę... Chang właśnie zgłosił, że chce pomówić z tobą i z Simms.

– Będę na mostku za minutę – rzuciłem, wychodząc z kambuza.

Stawiałem kroki żwawo, choć wciąż niezdarnie. Mimo to już po trzydziestu trzech sekundach byłem na mostku.

– Zgłasza się Bishop – wydyszałem. Na głównym ekranie widziałem twarz Changa, oświetloną lampami awaryjnymi na mostku „Holendra”. – Pułkowniku, nie powinienem przejmować dowodzenia...

– Joe, potrzebuję tylko twojej rady – uciął uspokajającym tonem.

– W porządku. – Stałem na prawo od Simms. Wszystkie stanowiska były już zajęte, zresztą do żadnego mnie nie przypisano. – Dwie fregaty i niszczyciel, półtora miliarda kilometrów od nas. – Podzieliłem się z nim swoją skromną wiedzą.

– My też na razie wiemy tylko tyle – oznajmiła Simms. – Trzydzieści siedem sekund temu fregaty zaczęły wysyłać impulsy aktywnych czujników.

– Skippy, czy z takiej odległości mogą nas wypatrzeć? – zapytał Chang.

– To możliwe – odparł blaszak irytująco obojętnym tonem. –

My je widzimy, nawet bez promieni gamma i aktywnych impulsów. Rzecz jasna, mamy lepsze sensory, i to nawet bez mojej niezmierzonej...

– Jaką masz pewność? – W przeciwieństwie do mnie Chang nie miał cierpliwości do przechwałek.

– Hmm... Kurczę. – Skippy nie lubił być stawiany do pionu. – Prawdopodobieństwo, że wróg nas zobaczy, wynosi trzydzieści dwa... nie, trzydzieści trzy procent. Pracuję przy reaktorach, więc „Walkiria” emituje więcej ciepła niż zwykle.

– To zbyt ryzykowne – powiedziałem jednocześnie z Changiem. Potem wolałem zamilknąć.

– Nie możemy skoczyć. – Simms spojrzała na mnie, przekazując informacje, których, jej zdaniem, mogłem nie znać. Miałem co prawda dostęp do codziennych sprawozdań, ale nie wiedziała, czy je czytałem.

– Przykro mi – burknął Skippy. – Musimy z tym poczekać jeszcze siedemnaście godzin. Jak już wspominałem, dostrojenie napędu „Walkirii” to bardzo delikatny proces. Kalibracja baterii cewek skokowych wymaga przebudowy niektórych elementów, atom po atomie. Jeśli nam się spieszy, mogę skrócić ten proces o trzy godziny.

– Nie – zaproponowała Simms. – To by dopiero było ryzykowne.

– Co o tym sądzicie? – Chang zwrócił się do mnie i Simms.

– Ekhm... – W swojej głupocie uznałem, że Kong czeka, aż rozwiążę ten problem. – „Latający Holender” to wciąż lotniskowiec. Mógłby skoczyć z doczepioną „Walkirią”?

– Nie, Joe – odparł Skippy łagodnie. Okazywał mi wyrozumiałość, bo byłem nieszczęsnym głupkiem z łepetyną skołataną po traumie i bredziłem jak w gorączce. – Usunęliśmy wszystkie stanowiska dokujące na „Holendrze”. Zbudowanie mechanizmu pozwalającego łączyć oba okręty bez ryzyka

pęknięcia śtępki „Holendra” zajmie jeszcze dłużej niż naprawa napędu „Walkirii”.

– No tak. – Spuściłem wzrok, czerwieniąc się jak burak. – Nie było tematu.

Simms podsumowała problem:

– Krążownik jest teraz łatwym celem. Możemy wystrzelić pociski, ale nie uda nam się uciec dość szybko. Tarcze i maskowanie jeszcze nie działają.

Z jakiegoś powodu, może przez własną arogancję, zacząłem gadać, choć powinienem trzymać gębę na kłódkę.

– Skippy, czy jeśli wróg skoczy bliżej, „Holender” będzie w stanie go pokonać?

– To raczej pytanie do Agady – odrzekł ku mojemu zaskoczeniu. – Ogólnie rzecz biorąc, odpowiedź prawdopodobnie brzmi tak, jednak Thuranie zdążą poważnie uszkodzić „Walkirię”. Nie powinieneś pytać o takie rzeczy, Joe. Jeśli choć jeden okręt umknie z pola bitwy, będzie mógł ściągnąć tu całą grupę bojową.

Błaszak miał rację. W przeszłości nie zadawałbym tak idiotycznych pytań.

– „Walkiria” nie może uciec ani ryzykować walki – powiedział Chang częściowo do siebie.

– Co pan o tym wszystkim sądzi? – zapytała Simms.

– Stare chińskie przysłowie mówi: „Najlepszą obroną jest dobry atak” – odparł, puszczając oko.

– „Holender” zaatakuje nieprzyjaciela? – domyśliła się Simms.

– Im szybciej, tym lepiej. Simms, musimy przetransportować nadmiarowy personel na „Walkirię”.

Simms skinęła głową.

– Jesteśmy gotowi. Systemy podtrzymywania życia są w pełni

sprawne. Będziemy jednak potrzebowali dodatkowych zapasów żywności.

Chang zrobił zdziwioną minę.

– Na pewno wystarczy wam jej na dwa dni. Jeśli do tego czasu „Walkiria” nie będzie w stanie skoczyć, problem żywienia przestanie być...

– Sir? – Simms uniosła rękę. – A jeśli „Holender” wróci z opóźnieniem albo... – Nie musiała kończyć.

– Rozumiem. Dostarczymy wszystkie zapasy gotowe do przewozu.

Wahałem się, czy coś powiedzieć, obawiając się, że znowu wyjdę na durnia.

– Kong, czy nie powinniście wziąć ze sobą Skippy’ego na wypadek problemów? – zapytałem w końcu.

Chang spojrział na Simms, chcąc zapewne ocenić, co podpułkownik sądzi o trzymaniu blaszaka na wciąż niesprawnym krążowniku.

– Dzięki za ofertę, Joe. Sądzę, że na razie Skippy powinien skupić się na przywróceniu „Walkirii” możliwości skoku.

– Z chęcią skopałbym dupska Thuranom – burknął Skippy. – Ale lepiej będzie, jeśli tu zostanę. Zakres moich, hmm, szczególnych umiejętności jest ograniczony, więc nie przydam się w bitwie. Agada bez wątpienia poradzi sobie z obsługą „Holendra”.

– Zgadzam się – powiedział Chang. – Możemy jedynie spowołnić Thuranów. Priorytetem jest jak najszybszy skok „Walkirii”. Ustalimy punkt spotkania, a „Holender” będzie odwracał uwagę nieprzyjaciela do czasu uzyskania możliwości skoku. Skippy, ile czasu potrzeba ci do uruchomienia napędu?

– Na pewno potrwa to siedemnaście godzin – zapewnił

Skippy. – Możliwe, że pół godziny krócej, jeśli przyspieszę testy i...

– Nie wolno ci tego robić – polecił Chang, uprzedzając Simms, która chciała pewnie powiedzieć to samo. – Siedemnaście godzin jest do przyjęcia. Zajmiemy czymś Thuranów przez co najmniej dwadzieścia godzin, aby dać wam margines bezpieczeństwa. – Odwrócił głowę. Ktoś w BCI coś do niego mówił. – Pierwszy lądownik wyślemy za dziewięć minut. Simms, chciałbym wypożyczyć waszego pierwszego pilota. – Dobra, to ja... – Zrobiłem krok w stronę wyjścia. – Simms, zrobię co się da, żeby przygotować okręt na wizytę gości. Odprawiła mnie skinieniem głowy. W jej oczach widziałem nieznośne współczucie.

To bolało.

*

W dokach „Walkirii” panował kompletny chaos. Lądowniki wlatywały tak szybko, że każdy musiał czekać, aż druga albo trzecia jednostka zadokuje, zanim zamknięto drzwi zewnętrzne i wpuszczono powietrze do doku. Skippy wskazał dok, który będzie gotowy jako pierwszy. Stawiłem się tam, by powitać nowo przybyłych i pomóc im się zorganizować. Zaskoczyło mnie, że na pierwszym lądowniku, sokole, przybyli żołnierze STAR, a nie cywile.

– Akurat mieliśmy ćwiczenia – wyjaśniła kapitan Frey, schodząc na pokład i otwierając hełm mechanicznego pancerza. – Smythe kazał nam tu przylecieć i pomagać cywilom.

– Jasne – odparłem. Wiedziałbym o ćwiczeniach, gdybym nadal był dowódcą. – Frey, pani będzie kierowała tą akcją.

– Jest z nami major Kapoor. – Kanadyjka wskazała kciukiem za siebie.

– Aha. A więc on będzie tu dowodził. Pani pójdzie ze mną. Udaliśmy się w stronę rufy, do kolejnego doku, gdzie z dwóch smoków wylegały już przestraszone, zdezorientowane i rozzłoszczone dzieci.

Była z nimi Margaret Adams. Ostatni raz widzieliśmy się jeszcze przed operacją ratunkową na Rikers. Spojrzała na mnie, gdy wszedłem przez służbę. Frey kroczyła tuż za mną.

Przez chwilę Adams i ja patrzyliśmy sobie w oczy. Nie potrafiłem odczytać jej uczuć. Czy była zaskoczona?

Wystraszona? Zdenerwowana? Wiedziałem tylko, że nie uradowała się na mój widok.

Uniosłem dłoń w przyjaznym geście, ale nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Wtedy dziewczynka, którą Adams trzymała w ramionach, zakwiliła, domagając się uwagi. Sierżant odwróciła wzrok.

Potem nie miałem czasu na nic poza pracą, więc nie udało mi się porozmawiać z Margaret.

Taka jest moja wersja i tego się trzymam.

*

„Latający Holender” wyłonił się w rozbłysku promieni gamma dwie minuty świetlne od formacji nieprzyjaciela. Albo przynajmniej od miejsca, w którym, według wyliczonego prawdopodobieństwa, powinny się znajdować trzy wrogie jednostki. Cel skoku wyznaczono w oparciu o ostatnią znaną pozycję okrętów, ich kurs oraz prędkość, a także o znajomość standardowych procedur thurańskich eskadr rozpoznawczych. Nieprzyjaciel zapewne zdążył już wykonać manewry, aby nie stanowić łatwego celu.

Dwie minuty świetlne były kompromisem, na jaki zgodził się Chang. Odległość taka dawała czujnikom „Holendra” czas na reset i wskazanie lokalizacji Thuranów. Nowy, maxolhxański

napęd skokowy mógł także naładować się przed kolejnym, bardziej precyzyjnym skokiem prosto na nieprzyjaciela. Chang nie planował wysadzić wszystkich trzech jednostek, nawet gdyby było to możliwe. Nie zapewniłoby to „Walkirii” bezpieczeństwa, bo w pobliżu musiała czyhać przynajmniej jedna pełna thurańska grupa bojowa. Czyli jeden lub więcej pancerników lub krążowników liniowych wraz z eskortą. Aby dać Skippy’emu czas na naprawę napędu skokowego krążownika, Chang musiał ściągnąć na siebie uwagę Thuranów i skłonić ich do pościgu za „Holendrem”. Dlatego polecił Agadzie dostroić napęd tak, by emitował sygnaturę jerapthańskiego krążownika. Kiedy piraci ratowali Bishopa, pole maskujące otaczał hologram ruharskiego pancernika, zgodnie z wersją wydarzeń, wedle której za atak i wyzwolenie więźniów odpowiadała Legia Pozaziemska, wspierana przez Ruharów. Ponieważ żaden, nawet najpotężniejszy ruharski okręt nie porywałby się na walkę z Thuranami, Chang odpowiednio dostosował taktykę. Można było założyć, że okręt Jeraptha towarzyszył Ruharom, a skoro Thuranie brali teraz bezpośredni udział w akcji, chętniej z pewnością chciałyby mieć oko na odwiecznego wroga.

– Agado? – Chang odchrząknął, gdy wbrew jego oczekiwaniom pokładowa SI nie przekazała analizy danych z czujników. Czasu na zaskoczenie Thuranów było coraz mniej. Już za czterdzieści sekund nieprzyjaciel miał wykryć promienie gamma z tunelu skokowego „Holendra”.

– Przepraszam, pułkowniku Chang – powiedziała wreszcie Agada. – Powinnam się odezwać wcześniej. Nie ma tu okrętów nieprzyjaciela. Szacuję, że skoczyły czterdzieści sześć minut temu.

Chang zacisnął ręce na podłokietnikach. Starał się zwalczyć u

siebie ten odruch. Pomagał rozładować napięcie, ale dawał też załodze w BCI sygnał, że dowódca się denerwuje. Kapitan okrętu kosmicznego powinien raczej emanować spokojem i pewnością siebie.

– Potrafisz ustalić, gdzie odleciały? – spytał.

– Niestety nie. Rezonans tunelu wychodzącego jest za słaby, mimo że mam trzy sygnatury skoków do przeanalizowania.

– „Walkiria”. – Chang, wbrew instynktowi, położył ręce na kolanach. – Pilot, skaczemy z powrotem do „Walkirii”. Wyko...

– Pułkowniku, niech pan zaczeka! – poprosiła Agada.

– Zignorować rozkaz. – Chang uniósł rękę. Pilot skinęła głową, trzymając dłonie z daleka od konsoli. – Agado, twierdzisz, że ponieważ Thuranie skoczyli, zanim zostawiliśmy „Walkirię”, powinniśmy ich tutaj wykryć?

– Hmm, tak – odparła powoli, jakby z zażenowaniem. –

Ponadto nie muszę śledzić nieprzyjaciela za pośrednictwem tuneli. Widzę jego okręty już teraz.

– Jak to? Gdzie?

– Skoczyły na odległość dwudziestu sześciu i czterech dziesiątych minuty świetlnej w kierunku przeciwnym do pozycji naszego krążownika. Lokalizujemy je dzięki impulsom z ich aktywnych czujników. Pułkowniku, mamy bardzo ograniczony zasób danych, ale wynika z nich, że thurańskie jednostki postępują zgodnie z zasadami standardowej operacji rozpoznawczej. Nic nie wskazuje, by koncentrowały się na jednym konkretnym obszarze.

– To dobrze. Agado, na przyszłość, mów od razu, gdy poznasz lokalizację nieprzyjaciela.

– Oczywiście. Przepraszam.

– Ciągłe się uczysz. – Chang musiał przeanalizować fakty.

Zgodnie z planem mieli skoczyć na Thurarów, przeprowadzić

szybki atak, a potem wykonać krótki chaotyczny skok, by upozorować uszkodzenie „Holendra”. Zwabić nieprzyjaciela i skakać dalej, by odciągnąć go od osłabionego krążownika. Być może nic się nie zmieniło poza tym, że wróg był już teraz dalej od „Walkirii”. Skok powrotny i informowanie Simms o ruchach Thuranów byłyby bezcelowe. Cała misja polegała na skłonieniu wroga do oddalenia się, zanim odnajdzie „Walkirię”.

– Zaprogramuj skok w miejsce dwie minuty świetlne od aktualnej pozycji wroga – polecił.

– Skok w opcji Delta wprowadzony do autopilota – potwierdziła Agada.

Chang wziął głęboki oddech na uspokojenie.

– Zaczniemy od początku. Pilot, skok w opcji Delta. Wykonać. Dwójka pilotów poświęciła jeszcze chwilę na zweryfikowanie współrzędnych skoku, po czym „Holender” zniknął w rozblasku gamma...

I ukazał się dwadzieścia osiem przecinek cztery minuty świetlne dalej.

– Nie wykrywam impulsów aktywnych – zgłosiła od razu Agada.

Chang nie był pewien, czy to dobrze, czy źle.

– Nieprzyjaciel się maskuje? – spytał.

– Nie. Zgodnie z pańską prośbą informuję, że wiem, gdzie są te okręty. Teraz dołączył do nich jeszcze jeden niszczyciel.

Wysyłają sygnały sensorów aktywnych z odległości siedemnastu i sześciu dziesiątych minut świetlnych.

Chang wypuścił powietrze.

– Raczej wysyłały, siedemnaście minut temu.

– Faktycznie – zgodziła się SI. – Pułkowniku, czuję się zbita z tropu. Początkowo zakładałam, że okręty przeprowadzają standardowe przeszukanie. Nie poruszają się jednak według

żadnego wykrywalnego dla mnie wzorca.

Pułkownik potarł podbródek w zastanowieniu.

– Może właśnie o to chodzi?

– Mianowicie?

– Impulsy aktywne emitują światło stroboskopowe zdradzające pozycję i narażające jednostkę na atak.

Podejrzewam, że Thuranie skaczą w losowy sposób i z dużą częstotliwością, aby nie dać się wziąć na cel.

– To rzeczywiście możliwe – odparła Agada. – Jeśli tak jest, wybrali ciekawą taktykę. Nie pozostają w jednym miejscu na tyle długo, by impulsy do nich wróciły, chyba że przeszukają tylko niewielki obszar wokół siebie.

Chang zacisnął usta.

– Nie sądzę, aby używali czujników, żeby cokolwiek znaleźć – powiedział.

– Nie? Więc dlaczego?

– Aby wykurzyć zwierzynę – wyjaśnił. – Liczą, że okręt, który wykryje aktywny impuls, skoczy, aby uciec. A rozbłysku gamma nie da się ukryć.

– Ach tak. Jeśli jednak zdobycz wykona skok, Thuranie nie zdołają jej przechwycić.

– Myślę, że nie chodzi im o walkę. Bardziej o przegnanie potencjalnie kłopotliwych jednostek, mogących przeszkadzać w dochodzeniu w sprawie wydarzeń na Rikers.

– Ta hipoteza odpowiada faktom – przyznała Agada. – Pułkownikowi, gratuluję trafnej analizy.

– Będzie trafna wyłącznie, jeśli mam rację. – Chang zmarszczył czoło. – Czas, byśmy to my zmienili taktykę. Możemy ścigać okręty rozpoznawcze przez pół Galaktyki i niczego nie osiągnąć. Agado, zaprogramuj skok, który przeniesie nas trzy minuty świetlne od Rikers, od strony

słońca. – Chciał, aby „Holender” ustawił się pomiędzy planetą i lokalną gwiazdą tak, by jej światło nie oślepiło czujników. Oby tylko pole maskujące zadziało jak należy. – To tylko przecucie, ale wydaje mi się, że znajdziemy thurańskie okręty na orbicie.

– Przecucie? – zdziwiła się Agada.

– Niestety, nie mam bardziej rzetelnych danych.

– Pułkownik Chang, źle mnie pan zrozumiał. Bishop często kieruje się przecuciami, choć sam nigdy tego nie przyzna.

– Zwykle takie podejście wychodzi mu na dobre. Sprawdźmy, czy i mnie dopisze szczęście.

*

– Oż w mordę! – jęknął Skippy.

Akurat niosłem naręcze pościeli do wolnych kabin dla gości. Normalnej pościeli, która nie dusiła użytkownika. Na pokładzie mieliśmy mniej kwater niż ludzi, więc załoga musiała przez pewien czas tłoczyć się po kilka osób w jednej kabine. Wielu cywili również trzeba było zakwaterować parami. Jedno spało na łóżku, drugie na kanapie, nawet w najmniejszych kabinach. Maxolhxowie nie tylko przewyższali nas wzrostem, gustowali również w dużych meblach. Tym lepiej dla nas, zwłaszcza że większość Ziemiaków uratowanych z Rikers stanowiły dzieci. Zresztą ludziom tym wystarczyło, że mogą znowu sypiać w prawdziwym łóżku, albo chociaż na kanapie. Po zabawie w praczkę zamierzałem wrócić do kambuza i przygotować jakiś specjał dla gości.

Ton Skippy’ego sprawił, że stanąłem jak wryty.

– Co jest?

– Joe, mamy kłopoty. I to wielkie. Szesnaście minut świetnych stąd wskoczyła thurańska fregata.

Nie był to mały dystans. Szesnaście minut świetlnych to jakieś

trzysta milionów kilometrów. Dla porównania, Ziemia znajduje się osiem minut świetlnych od Słońca. Jeśli jesteście pod wrażeniem moich zdolności matematycznych, to nie ma czego podziwiać. Ja tylko wkułem na pamięć minuty świetlne w pięciominutowych odstępach do trzydziestu. Co istotniejsze, potrafiłem przeliczać minuty świetlne w zakresie do czterdziestu. Przykładowo, światło potrzebuje poniżej półtorej sekundy, aby dostać się z Ziemi do Księżyca, kiedy ten jest najbardziej oddalony. Okręt znajdujący się szesnaście minut świetlnych od nas nie mógł otworzyć ognia. Wiązka energetyczna zdążyłaby się rozproszyć. Strzałka elektromagnetyczna nie dałaby się spowolnić kolizjom z wolnymi atomami wodoru w głębokiej przestrzeni, ale „Walkiria” miałaby dość czasu, aby umknąć przed pociskiem. Okręty regularnie odpalały silniki manewrowe, aby utrzymać stabilność. Nawet chwilowe wykorzystanie tych silników odsunęłoby nas od miejsca, w które celował nieprzyjaciel. A wystrzelenie pocisku z trzystu milionów kilometrów w ogóle byłoby już stratą czasu. Nawet w hiperszybkiej rakiecie sztuczna inteligencja umarłaby z nudów, zanim pocisk dotarłby do celu. Jedynym...

Wybaczenie, trochę odbiegłem od tematu. Cóż, większe niż zwykle problemy ze skupieniem uwagi to chyba efekt uboczny mojego aktualnego stanu.

O czym to ja... A, tak. Zbliżył się do nas okręt pełen łotrów. Sama odległość nie była największym problemem.

Ryzykowaliśmy, że nieprzyjaciel wykryje „Walkirię” i skoczy do ataku. Albo, co gorsza, pospieszy, by zaalarmować inne, większe jednostki.

– Czy mogę jakoś... – zacząłem.

Przerwał mi telefon. Kontaktowała się ze mną Simms.

– Bishop, proszę do mnie – rozkazała.

Upuściłem pościel na pokład i rzuciłem się sprintem przed siebie.

*

Na mostku czekało już na mnie stanowisko czujnikowe.

Wciąż szkoliłem się na pilota lądownika typu Pantera i w związku z tym mogłem obsługiwać sensory. To znaczy zwykle mógłbym to robić. Teraz ledwie wyrabiałem przy pracy w kambuzie. Jakby na potwierdzenie, już na wejściu rąbnąłem kolanem we framugę.

– Niezdara ze mnie – wyjaśniłem. Potem jeszcze dwa razy potknąłem się o własne nogi.

– Okręt po prostu tam siedzi. – Simms wskazała obraz podświetlony na wyświetlaczu holograficznym. – Na razie nie używa czujników aktywnych.

– Widzi nas? – zwróciłem się do Skippy’ego, logując się do konsoli. Stukałem w nią jednym palcem, a i tak robiłem błędy.

– Na razie nic na to nie wskazuje – odparł Skippy. – Nie skierował jeszcze sensorów w naszą stronę.

– Mamy przestrzegać protokołu łączności kryzysowej Alfa – przypomniała Simms. Odkąd wyłączyliśmy promienie gamma trzech okrętów rozpoznawczych, „Walkiria” pogrążyła się w ciemności. Zero emisji elektronicznych. Wyłączyliśmy też chłodnice reaktorów. Radiatory wewnętrzne wchłaniały nadmiar energii, ale nie mogło to trwać w nieskończoność.

Grunt, że nasz krążownik nie emitował istotnej ilości fotonów i był tak daleko od gwiazdy, że jego ciemnoszare poszycie było trudno dostrzegalne. Gdyby nieprzyjaciel znalazł się bliżej, mógłby zauważyć, że potężna masa „Walkirii” tworzy wyrwę w czasoprzestrzeni, ale Thuranie nie mieli na to szans z odległości dwukrotnie większej od dystansu między Ziemią a Słońcem.

Odetchnąłem ze znużeniem, gdy wreszcie udało mi się załogować do systemu.

– Co mam ro...

Na konsoli zapalił się alarm.

– Ja pierdziele! – jęknął Skippy – To był sygnał aktywnego czujnika!

Konsola przekazała mi informacje, zanim blaszak odezwał się ponownie. Choć tak naprawdę to Skippy kontrolował zestaw sensorów na „Walkirii”, więc dane tak czy inaczej pochodziły od niego.

– Sześćdziesiąt procent szans na pewną informację zwrotną – oznajmiłem. Zauważyłem spojrzenie Simms. Nie wezwała mnie na mostek, żebym czytał jej informacje z konsoli. Potrzebowała mojej rady, doświadczenia, intuicji. Pomocy w kryzysowej sytuacji. – Chang mówił, że najlepszą obroną jest atak – przypomniałem nieśmiało.

– Potwierdź, że to fregata – poprosiła Simms.

– Potwierdzam – powiedział Skippy. – Ale nie pochodzi z grupy, za którą ruszył „Holender”. Ma charakterystyczną sygnaturę. To fregata innego typu. Przed chwilą minął nas kolejny impuls. Wróg ma teraz siedemdziesiąt cztery procent szans na zlokalizowanie nas z odległości pół kilometra. Mamy siedemnaście, może osiemnaście minut, zanim nieprzyjaciel otrzyma i przetworzy dane z czujników, a potem skoczy nam na spotkanie.

– Otworzyć wyrzutnie pocisków – rozkazała Simms. – Skippy, ustaw tryb wystrzału po ostrzeżeniu. – Tryb ten różnił się od standardowej procedury wystrzału po potwierdzeniu. Simms była gotowa ostrzelać wszystko, co wyglądało niebezpiecznie, nawet gdyby chodziło o usterkę sensorów. – Broń energetyczna nadal jest wyłączona? – zapytała z nutką nadziei w głosie.

– Przykro mi, ale tak – odparł Skippy. – Nie byłem w stanie wyregulować...

– Rozumiem. A gdybyś przekierował energię z napędu skokowego do dział maserowych? Czy mógłbyś...

– Nie – uciał. – To nie kwestia energii, tylko... No dobra, rzeczywiście chodzi o energię. Fabrykatory mają ograniczoną moc przerobową i... ech, muszę ich używać, żeby wytwarzać elementy innych urządzeń produkcyjnych. To wszystko moja wina. Przepraszam.

– Później będziesz się nad sobą użalał – upomniała go Simms. – Jakies sugestie?

Potrzebowałem chwili, aby zrozumieć, że to pytanie było skierowane do mnie.

– Eee... – Mój mózg działał jeszcze wolniej niż zwykle. Czy w ogóle mogłem jej coś zaproponować? „Walkiria” nie miała szans na ucieczkę, a fregata mogła swobodnie skakać wokół nas. System obronny, nawet naładowany w dwudziestu dziewięciu procentach, mógł nas ochronić przed rakietami.

Twardy pancierz krążownika był w stanie odbijać wiązki maserowe i strzałki, ale tylko do pewnego stopnia. Na miejscu kapitana fregaty skakałbym na chybił trafił i ostrzeliwał „Walkirię” maserami, aby zniszczyć jej wieżyczki obronne. A potem odpaliłbym pociski i podziurawił pancierz.

Tak przynajmniej podpowiadał mi mój uszkodzony ludzki mózg. Thurański kapitan na pewno przewyższał mnie mądrością.

Co więc mogliśmy zrobić? Nic. Ewakuując ludzi w kapsułach i lądownikach, jedynie odwleklibyśmy nieuniknione. Nasz potężny krążownik liniowy nie mógł uciec ani zbyt długo stawiać czoła nieprzyjacielowi.

– Mamy ograniczone pole manewru – oznajmiłem, jakby nie

było to oczywiste.

Simms odwróciła wzrok. Oczekiwała ode mnie więcej, jednak jej smutne spojrzenie mówiło, że nie spodziewała się, bym do czegokolwiek się przydał. Najwyraźniej wezwała mnie na mostek w akcie desperacji albo chciała przez to pokazać załodze, że zamierza bronić okrętu wszelkimi możliwymi sposobami.

Czekaliśmy. W naszą stronę poleciały kolejne impulsy, jednak nie były silniejsze od pierwszego. Simms zawróciła okręt i skierowała go dziobem do nieprzyjaciela. Jego zarys wydawał się teraz mniejszy i daliśmy do zrozumienia Thuranom, że jesteśmy świadomi ich obecności.

To jeszcze nie wszystko. Podpułkownik poleciła nam posłać własne impulsy aktywne prosto na fregatę. Dzięki temu nie tylko demonstrowała, że „Walkiria” nie śpi, a przy tym rzuca wyzwanie. Próbowwała też odstraszyć wroga. Było to śmiałe, ale ryzykowne posunięcie. Kiedy fregata otrzyma cztery lub pięć impulsów zwrotnych, zorientuje się, że w okolicy jest inny okręt, i będzie w stanie zidentyfikować „Walkirię” jako maxolhxański krążownik liniowy. Co gorsza, nietypowy profil zmodyfikowanego kadłuba pozwoli rozpoznać okręt widmo, postrach Galaktyki.

Simms zakładała, że fregata rzuci się do ucieczki, gdy tylko nas zidentyfikuje.

Nie mogłem odmówić jej odwagi, ale szanse na powodzenie były raczej nikłe. Dlaczego? Pamiętajcie, co mówiłem o regułach walki w kosmosie? No właśnie. Użyliśmy aktywnych sensorów.

Równie dobrze moglibyśmy machać wielką tablicą z napisem: „Zastrzel mnie”.

Gdyby „Walkiria” rzeczywiście była niebezpieczna, wykonalibyśmy skok i spuścili manto fregacie piętnaście mi nut przed tym, jak odbierze pierwszy impuls zwrotny.

Uderzylibyśmy z zaskoczenia i roznieśli mały okręt w pył. Kapitan fregaty zapewne był tego świadomy. Jego jednostka przetrwała dość długo, by otrzymać informację zwrotną, co musiało oznaczać, że „Walkiria” nie skoczyła od razu, parę minut po pierwszym przeszukaniu aktywnymi sensorami. No dobrze, może z jakiejś przyczyny woleliśmy nie zadzierać z Thuranami i wykonaliśmy skok? Owszem, kapitan okrętu mógł ucieszyć się z uratowania tyłków sobie i innym zielonym cyborgom, a potem udać się w bezpieczne miejsce. Wątpiłem jednak, by tak się zdarzyło. Dowódcy mniejszych jednostek najczęściej byli młodszy i pragnęli się wykazać, cechowała ich więc większa agresja. Możliwość konfrontacji z okrętem widmem stanowiła dla nich nieodpartą pokusę.

Podejrzywałem więc, że decyzja Simms będzie bezowocna, a może wręcz przynieść opłakane skutki. Ale ponieważ nie dowodziłem „Walkirią”, postanowiłem milczeć. Mogliśmy jedynie wypatrywać powrotu Changa i „Holendra”.

Męczyło mnie już, że bez przerwy trzeba mnie było ratować. Kto wie, może nam się poszczęści, a fregata nie wypatrzy nas z takiej odległości?

Mógłbym się łudzić, ale wszechświat był nadal zawzięty na Joego Bishopa.

ROZDZIAŁ 14

Osiemnaście minut i czterdzieści sekund po tym, jak ją wykryliśmy, fregata wskoczyła jedną i cztery dziesiąte sekundy świetlnej od nas. Kłopoty dopiero się zaczynały.

Simms rozkazała wystrzelić cztery pociski, które wyskoczyły z wyrzutni z przyspieszeniem siedmiu tysięcy g i pomknęły

prosto na nieprzyjaciela.

Thuranie odskoczyli, zanim pierwsza rakietka znalazła się czterdzieści tysięcy kilometrów od ich jednostki. Fregata pojawiła się trzy dziesiąte sekundy świetlnej od „Walkirii”, od strony przeciwnej burty. Tym razem nieprzyjaciel odpalił masery oraz działa elektromagnetyczne i odczekał, aż broń trafi w nasz nieosłonięty kadłub.

A potem fregata zniknęła.

– Gdzie się podziała? – zapytałem Skippy’ego, naruszając protokół. Simms była dowódcą, więc powinienem milczeć.

– Jak wynika z analizy tunelu skokowego – mamrotał Skippy – nieprzyjaciel użył dwóch urządzeń zakłócających, aby utrudnić nam wyśledzenie jego okrętu. Ciekawe. Istnieje siedemdziesiąt jeden procent szans, że Thuranie skoczyli z powrotem do układu gwiazdnego.

Ray obrócił się w fotelu, by spojrzeć na Simms.

– Ta fregata nie uciekła przed nami – stwierdził.

– Racja. – Simms przygryzła wargę. Wiedziała, że jesteśmy w poważnych tarapatkach.

Mały okręt poleciał zaalarmować większe thurańskie jednostki. Już wkrótce miały się tu zjawić i rozerwać „Walkirię” na kawałki.

– Jakies pomysły? – Simms powiodła wzrokiem po załodze mostka.

– Cokolwiek zrobimy, musimy się spieszyć. – Wy po wiedziałem

na głos to, co chodziło wszystkim po głowie. – Thuranie mogą potrzebować czasu, żeby sformować szyk bojowy, ale nie będą czekać na idealną okazję. Ich ciężkie okręty przybędą za jakieś pięć, może dziesięć minut.

– Pomysły? – powtórzyła Simms z naciskiem.

- Ja nie mam żadnych – pożałił się Skippy. – To wszystko przeze mnie. Gdybym tylko...
- Mniej głędzenia, więcej myślenia – warknęła Simms.
- Nie dobijaj mnie, nędzny wypierdku. – Również wkurzyłem się na Skippy’ego. – Naprawdę nie da się przygotować napędu nawet na krótki skok?
- Nie da się – zapewniał blaszak. – Poza tym co by nam z tego przyszło?
- Przed skokiem moglibyśmy zostawić tu atomówkę. Dzięki temu wróg nie byłby w stanie nas wytropić – wyjaśniłem. Debilny pomysł, ale lepszego nie miałem.
- Moglibyśmy zyskać trochę czasu. – Simms odchyliła głowę w zamyśleniu.
- Właśnie, trochę – prychnął Skippy. – Zresztą mówiłem wam już, że nic z tego.
- Przestań pieprzyć! – odgryzłem się. – Już nieraz dokonywałeś cudów z tym napędem. Nie mów mi, że nie masz...
- Nic nie mam, Joe. Przykro mi, na razie to niemożliwe. Cewki nie są skalibrowane. Proszę, pozwólcie mi to wytłumaczyć.
- Tylko szybko – poleciła Simms.
- Cewek gotowych do równoległej pracy jest tak mało, że nie przepuszczą dość energii, aby otworzyć tunel. Większość mocy koniecznej do skoku wykorzystuje się do stworzenia wyrwy w czasoprzestrzeni na obu końcach korytarza. Gdy tunel powstanie, potrzeba stosunkowo niewiele energii, aby utrzymać jego stabilność na czas przelotu. Właśnie w tym tkwi nasz problem. Energia potrzebna do stworzenia tunelu przerasta możliwości sprawnych cewek. Od razu uległyby

awarii. Musicie wierzyć mi na słowo. Użycie napędu skokowego jest wykluczone.

Zwykle moim alter ego jest Kapitan Niecierpliwy, ale czasem dorabiam jako Człowiek Upór... Choć każda kobieta powiedziała by pewnie, że Człowiek Upór to po prostu typowy facet. Właśnie przez swój upór nie zamierzałem odpuścić Skippy'emu.

– A co z tym skrętem w bok? Kiedy skok się nie uda, a my przekopimy się przez czasoprzestrzeń, zamiast lecieć przez wyrwę?

– To też nie wypali, Joe. Wciąż mam zbyt słabą łączność z tym poziomem czasoprzestrzeni, żeby w ten sposób zniekształcić strukturę kosmosu.

– I to by było na tyle? Poddajesz się? To rzeczywiście twoja wina, ty mały...

– Sir! – Simms zgromiła mnie wzrokiem. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale się powstrzymałem. Miała rację. Denerwowałem się nie przez Skippy'ego, ale przez całą tę sytuację. No dobra, to Skippy do niej doprowadził, ale to już stare dzieje.

– A ty, Jennifer? – zapytał Skippy błagalnie. – Na pewno masz jakieś genialne rozwiązanie.

– Nie, chyba że masz wehikuł czasu, którym cofniesz się w przeszłość, żeby naprawić wszystkie swoje wtopy.

– Ma'am? – odezwał się Ray. – Czy moglibyśmy wypuścić pociski już teraz, aby stworzyły coś w rodzaju bańki ochronnej? Simms od razu domyśliła się, na jaki pomysł wpadł nasz pierwszy pilot.

– Jeśli nam się poszczęści, trafimy parę wrogich jednostek i

zmusimy je do skoku na bezpieczną odległość...

– Być może zyskamy na czasie. – Ray wzruszył ramionami. – Nic innego nie przychodzi mi do głowy – dodał, machając bezradnie w kierunku konsoli.

– Będziemy potrzebować wielu pocisków – ostrzegł Skippy. – Nawet gdybyśmy opróżnili magazynki, zdołamy jedynie...

– Dorzucimy jeszcze atrapy. – Simms wyraźnie przekonywała się do nowego pomysłu. – Wróg nie będzie miał czasu, żeby odróżnić je od prawdziwej broni. Skippy, szykuj magazynki na szybkie przeładowanie i...

– Fregata wróciła! – krzyknąłem, gdy moja konsola rozjarzyła się po identyfikacji jednostki. System był niemal na sto procent pewien, że to ten sam okręt co wcześniej. – Odległość cztery dziesiąte sekundy świetlnej.

– Skippy, cofam rozkaz – oznajmiła Simms. Wiedziała, że nasza zasadzka nie miała prawa się udać, skoro okręt nieprzyjaciela śledził każdy nasz ruch.

Pokład zadrżał.

– Dostaliśmy strzałką – zameldował Skippy. – Pancierz uszkodzony, ale jeszcze się trzyma.

– Ray, ruszamy – rozkazała Simms.

– Tak jest! – Pilot uruchomił silniki główne, a Walkiria ruszyła wzdłuż własnej osi, aby uniknąć trafienia w to samo miejsce.

W takiej chwili lot przez zwykłą przestrzeń był z naszej strony równie rozpaczliwym ruchem jak porządkowanie krzesel na tonącym „Titanicu”. Los „Walkirii” był przesądzony. Nawet gdyby Chang wrócił już za chwilę, „Holender” nie mógłby się mierzyć z thurańską grupą bojową. Co ważniejsze, Thuranie nie byli głupi. Domyślaliśmy się, że będą skakać i unikać bezpośredniej konfrontacji z przerobionym

lotniskowcem, koncentrując się na rozwaleniu naszego krążownika. Już niedługo strzałka elektromagnetyczna przebije się przez nasz gruby pancerz, rozwali nieosłonięte wnętrze okrętu, a potem wybije kolejną dziurę w poszyciu i wyleci na zewnątrz, jak przez mikroskopijny tunel...

Nowy pomysł uderzył mnie z siłą pocisku elektromagnetycznego.

Chciałem zerwać się z fotela, ale przytrzymały mnie pasy.

– Skippy!

– Czego? Mam robotę, Joe – irytował się blaszak.

– Nadal potrafisz tworzyć mikrotunele, prawda?

– Nie są stabilne. W najlepszym razie zapadają się po sześciu dziesiątych sekundy. Ale i tak jest lepiej niż na początku, bo... Simms uciszyła go uniesieniem ręki.

– O czym pan myśli, pułkowniku? – zapytała.

– Problem z napędem skokowym wiąże się z otwarciem tunelu, prawda? Ale kiedy już powstanie, cewki będą go mogły podtrzymać?

– Wolnego, wolnego! – Skippy zamachał gorączkowo. – Nie licz na zbyt wiele. To... – Okręt znowu się zakołysał. – Oj. To była kolejna strzałka. Joe, nic nie rozumiesz. Nie mogę wykorzystać jednego tunelu, żeby drugi pozostał otwarty.

– Wiem. A czy potrafilibyś wykonać skok przez mikrotunel?

– Co takiego? Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego? „Holender” jakoś skoczył przez tunel

Pradawnych.

– Jasne, i prawie się przy tym rozwalił. To było coś zupełnie innego! Korytarze Pradawnych są masywne i stabilne.

Pamiętasz, jak nad Newark wpadłeś na pomysł, żeby posłać wiązkę maserową przez mikrotunel?

- No. Pamiętam też, że się udało.
- Tunel uległ natychmiastowemu zniszczeniu, bo prze pływ energii zaburzył horyzonty zdarzeń. W formowaniu tunelu skokowego bierze udział o wiele większa energia. Poza tym to i tak nie wypali. Kiedy tworzę mikrotunel, horyzonty zdarzeń są rozstawione w odległości nanometra. Drugi koniec trzeba przenieść z prędkością niższą od świetlnej. Nawet gdyby nam się udało, okręt nie zdołałby odlecieć dalej niż na odległość, którą pocisk może przebyć w parę minut.
- Grrr! – warknąłem, gdy mózg utrudniał mi składne wyrażenie myśli. Przycisnąłem palce do skroni i zamknąłem oczy, usiłując się skupić. – Skippy, przestań mi przerywać. Chcę, żebyś utworzył mikrotunel. Następnie użyj napędu skokowego, żeby umieścić jeden koniec tunelu daleko od nas. Gdy już się z tym uporasz, wykorzystaj napęd, aby przeprowadzić drugi mikrotunel przez pierwszy. Kiedy oba końce drugiego korytarza będą już stabilne, rozszerzysz go, znowu z pomocą napędu, a okręt przeleci przez tunel. Potrafisz to zrobić?
- Że co? Mowy nie ma, matole! Gdybyś wiedział cokolwiek o fizyce nadprzestrzennej... Hmm... A niech to... Może jednak? Simms wbiła we mnie spojrzenie pełne nadziei.
- A to ciekawe – mruknął Skippy. – Nigdy o czymś takim nie myślałem. Przeniesienie końca jednego tunelu za pomocą innego? Tego jeszcze nie było. Pewnie dlatego, że to tak chory pomysł, że nikt nigdy...
- Skippy! – upomniała go Simms, gdy pokładem wstrząsnęło kolejne uderzenie. Na ekranie głównym zobaczyliśmy, że pancierz na dziobie jest bliski przedziurawienia, a kilka silników manewrowych przestało działać. – Cokolwiek musisz zrobić, zrób to teraz.

– Łatwo ci mówić – odburknął blaszak. – Masz pojęcie, ile muszę wykonać skomplikowanych obliczeń? Już samo... Znowu się zakołysaliśmy, a kilka stref na schemacie „Walkirii” zmieniło kolor na czerwony.

– Nawet potrzynam ci piwo, do cholery! – wycedziła Simms, machając pięścią.

– A, chyba że tak. Trzymajcie się. Na pewno się wam to nie spodoba.

*

Pamiętacie książkę „Kto zje zielone jajka sadzone”? O upierdliwcu imieniem Tomek-Przytomek, który nagabywał swojego nienazwanego kolegę, by ten spróbował zielonych jajek i szynki, choć ich nie znosił? Ja reagowałem na skok podobnie jak bezimienny bohater na to dziwne jedzenie. Nie podobało mi się, wcale a wcale.

Przeżyłem, ale przypląciłem to nieznośnym bólem głowy i skręcającymi flaki nudnościami. Nie wdając się w szczegóły, wszyscy na pokładzie reagowali tak samo. Kiedy odzyskałem zdolność widzenia, zegar na konsoli wskazywał jedną minutę i trzydzieści cztery sekundy. Tyle czasu upłynęło od ostatniego skoku.

– Skip... – Wykaszałem jakieś paskudztwo, które uniosło się w powietrzu. Sztuczna grawitacja oczywiście nie działała. Zasilanie główne także padło, więc mostek był skąpany w słabych światłach awaryjnych.

Dobrze przynajmniej, że tym razem nie próbowały nas zabić tostery ani odkurzacze. Zawsze to jakaś miła odmiana.

– Skippy. – Za drugim razem się udało.

Otwierając usta, aby zaczerpnąć powietrza, musiałem uważać, by nie wciągnąć którejs z wszechobecnych kul latających rzygów. Były wśród nich i moje, co tylko pogarszało

sprawę. Odepchnąłem szczególnie lepką zbitkę podejrzaney substancji. Siedząca obok mnie Simms wyglądała okropnie. Krew ciekła jej z nosa, a ramiona unosiły się bezwładnie. Zatrzepotała powiekami. Najważniejsze, że żyła. Chciałem odpiąć pasy i pospieszyć jej z pomocą, ale ciało znowu odmówiło mi posłuszeństwa.

– Raport – wydusiłem. Zaraz potem poczułem za oczami eksplozję bólu.

– No cóż... Żyjemy. – Ponury ton Skippy’ego odzwierciedlał moje samopoczucie. – Ale co to za życie? Obym nigdy nie musiał

powtarzać tego numeru!

– Co się stało?

– Mówiąc oględnie, zawiesiliśmy się w skoku. Końce tunelu odczepiły się od lokalnej czasoprzestrzeni, więc przez krótką chwilę okrętu nie było ani tu, ani tam. Jakaś masakra! Fizyka przelotu nie jest kompatybilna z konstrukcją okrętu ani prawami fizyki, dzięki którym twoje ciało się nie rozpada. Przykładowo w tunelu nie istnieją słabsze siły nuklearne. Boli cię głowa?

– A czy na Słońcu jest ciepło?

– Uznam to za odpowiedź twierdzącą. Twoje neurony nie były w stanie funkcjonować, a energia musiała się gdzieś przemieścić. Uwolniła się w chwili wyjścia ze skoku. Przez jakiś czas baniak będzie cię nawalał jak szalony, ale nie spowoduje to trwałych szkód.

– Ewidentnie nie masz pojęcia, jak się teraz czuję. – Samo mówienie kosztowało mnie sporo wysiłku. Ale przynajmniej pozwalało odwrócić uwagę od męki, jaką cierpiełem.

– Przykro mi. To był twój pomysł.

– Gdzie jesteśmy?

– Ponad miesiąc świetlny od poprzedniej pozycji. To jest ta dobra wiadomość. Zła jest taka, że znaleźliśmy się sześć przecinek cztery dni świetlne od pierwotnego celu.

– Szlag. Wyrzuciliśmy boję z danymi przed skokiem?

Gdy „Walkiria” i „Holender” się rozdzielały, standardową procedurą było pozostawienie niewielkiej boi, która miała pozostać cicha i niewykryta do chwili, aż otrzyma prawidłowy kod dostępu.

– Tak, ale nie wiem, czy cokolwiek nam z tego przyjdzie – odparł kwaśno blaszak. – Jeżeli „Holender” wróci i wyśle bojom

sygnał, Chang dowie się, gdzie chcieliśmy skoczyć. Ale my zboczyliśmy z kursu o sto sześćdziesiąt pięć miliardów kilometrów!

– Czy zostawiłeś informację o rodzaju skoku, jaki wypróbowaliśmy?

– Ależ oczywiście, Joe.

Jego ton wzbudził moje podejrzenia.

– Takie to dla ciebie oczywiste?

– Uznałem, że bez względu na to, czy okręt wyjdzie z tego cało, ktoś powinien się dowiedzieć o moim prze wspariałym dokonaniu! Albo przynajmniej o tym, że próbowałem.

– Cieszę się, że skupiasz się na tym, co najważniejsze. –

Simms zaczęła się wiercić, zakaszła i wypluła bliżej nieokreśloną wydzielinę. Czułem mrowienie w odrętwiałych ramionach, ale mogłem już nimi ruszać. Sięgnąłem do zatrzasku, by wyswobodzić się z fotela. – Dlaczego obudziłem się jako pierwszy?

– Możesz podziękować nanolekom, które już od jakiegoś czasu stabilizują i naprawiają twoje neurony.

Odpiąłem pas i popłynąłem w stronę Simms.

– Jaki jest stan okrętu? – zapytałem.

– Napęd skokowy całkiem się rozwalił – jęknął Skippy. – Muszę zacząć całą pracę od nowa. Reaktory wyłączyły się automatycznie i spuściły plazmę. Przez następny dzień, a może dłużej, będziemy korzystać z zasilania awaryjnego. Nasz przedłużony urlop na wyższym poziomie czasoprzestrzeni nie wpłynął dobrze na konstrukcję okrętu ani na liczne delikatne elementy.

– No tak. Na przykład na mój mózg. – Przytrzymując się fotela dowódcy, spojrzałem na Simms i uniosłem jej jedną powiekę. Na szczęście źrenica odruchowo się zwięzła. – Przyślij swoje elfoboty na pomoc załodze. Aha, i pasażerom. Ale załoga ma pierwszeństwo – zdecydowałem. Trochę jak przy zakładaniu masek tlenowych na pokładzie samolotu pasażerskiego. Trzeba najpierw zadbać o siebie, aby pomóc innym. Gdy członkowie załogi będą na chodzie, udzielą pomocy cywilom. W drugą stronę mogłoby to nie zadziałać.

– Jasne, Joe.

*

– Sir, proszę tego nie mówić!

Simms ścisnęła na kolanach torebkę na wymioty. Zamknęła oczy i oddychała ciężko. Zniosła skok o wiele gorzej niż ja. To samo zresztą dotyczyło wszystkich innych ludzi na pokładzie. Nikt nie przypłacił akcji życiem, a według prognoz doktora Skippy’ego, wszyscy powinni wrócić do zdrowia, choć do tego czasu mogą żałować, że przeżyli. Simms była dobrym przykładem tego, jak czuła się załoga, włączając przekrwione oczy, krwotoki z nosa, mdłości i wszystko inne. Na domiar złego w stanie nieważkości wciąż unosiły się kule wymiotów, które rozbijały się na mniejsze części i wślizgiwały gdzie popadnie.

Wiem, że brzmi to niesmacznie, ale życie na okręcie kosmicznym to nie bajka.

– Nie wszystko poszło zgodnie z planem – powiedziałem cicho. Potem odgarnąłem Simms włosy z czoła, gdy pochyliła się nad torebką, dysząc głośno. Siedziała w moim gabinecie... Czy właściwie swoim, skoro była teraz kapitanem.

Zaprowadziłem ją tam, aby zapewnić jej odrobinę prywatności i by załoga nie musiała oglądać dowódczyni w takim stanie. Nie miało to większego sensu, bo wszyscy i tak czuli się równie beznadziejnie.

– Już... Już w porządku. – Simms uniosła głowę. – Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Przepraszam.

– Za co? – Przyjrzała mi się. Wyglądała dziwnie, bo w kącie lewego oka pękło jej naczynko. Trudno mi było udawać, że tego nie zauważyłem. – Uratował nam pan życie.

– Niezupełnie. Mój pomysł nie zadziałał tak, jak oczekiwałem.

– I co z tego? Żyjemy! Tylko to się dla nas liczy! Ale co poszło niezgodnie z planem? Nie skoczyliśmy?

– Wręcz przeciwnie. Nigdy wcześniej nie wykonaliśmy takiego skoku.

– Święta racja – wtrącił się Skippy. – Nikt jeszcze nie skakał w ten sposób, ani nawet nie próbował tego zrobić. Plan Joego nie mógłby się powieść. Gdy jednak nad nim myślałem, uświadomiłem sobie, że mogę użyć napędu skokowego do ustabilizowania horyzontów zdarzeń, a przy tym podtrzymać połączenie własnymi siłami.

– Mniejsza o to. – Simms przewróciła oczami i znowu zwiesiła głowę. Słyszałem, jak ciężko oddycha. Torebka kurczyła się i pęczniała. Simms wciągnęła powietrze po raz ostatni i odepchnęła torebkę. – Najważniejsze, że nie

zginęliśmy. Sir, niniejszym przekazuję panu dowodzenie.

– Co? Simms, bez przesady. Jest pani...

– Wystarczy, że wezmę dwa oddechy, i od razu mam wrażenie, że wyrzygam żołądek razem ze śledzioną. Musi pan przejąć dowodzenie i zająć się organizacją okrętu. Z pomocą kogokolwiek, kto będzie w stanie cokolwiek zrobić.

– Pani tu dowodzi, bo ja nie jestem gotowy, żeby...

– Pieprzenie! – Łypnęła na mnie czerwonym od krwi okiem. – Podoła pan temu zadaniu w każdym istotnym aspekcie. Skippy obawiał się, że stracił pan zdolność kreatywnego myślenia. Najwyraźniej się mylił.

– Simms, doceniam pani zaufanie, ale...

– Okręt znowu dryfuje na zasilaniu rezerwowym. Dowódca i tak nie ma nic ważnego do roboty. Serio, próbuje mi pan wmówić, że sprzątanie rzygów jest ponad pańskie siły?

– Cóż... – Wyszczrzyłem zęby. – Może po prostu nie chcę tego robić?

– No jasne. Wszak Armię Stanów Zjednoczonych bardzo interesuje, czy żołnierze mają ochotę wykonywać powierzone zadania.

– Kurde, dlaczego zapisałem się do tej żalosalnej bandy? Uśmiechnęła się przelotnie.

– To pańska banda, pułkowniku. A my do niej dołączyliśmy z własnej i nieprzymuszonej woli.

– A więc się wyjaśniło. – Mrugnąłem do niej. – Cała ta załoga ma nie po kolei w głowie.

*

Skippy przywrócił sztuczną grawitację siedem godzin później, zanim jeszcze przygotował pierwszy reaktor do restartu.

Początkowo sprzeciwiał się marnowaniu rezerw mocy na zbędne luksusy, takie jak przyciąganie. Zrobił to jednak, gdyż

wydałem taki rozkaz jako kapitan. Korzystając z okazji, rozkazałem mu też zamknąć jadaczkę i przestać narzekać. Ostatecznie poszliśmy na kompromis i postanowiliśmy ustawić grawitację na poziomie jednej trzeciej ziemskiej normy, aby ograniczyć zużycie energii. Dzięki temu ludzie na pokładzie mogli normalnie funkcjonować i, na przykład, brać prysznic bez rozlewania wody po całej łazience. Nieoczekiwanym skutkiem ubocznym okazała się poprawa morale wśród dzieci. Nie podobał im się nagły zanik grawitacji. Zareagowały jednak dzikim entuzjazmem na wieść, że przyciąganie na pokładzie jest teraz mniej więcej takie jak na Marsie i nawet nie trzeba nosić ciężkich skafandrów. Dzieciaki prześcigały się w wymyślaniu zabaw. Skakały wzwyż, próbując osiągnąć sufitu. Ale miały radochę! Oczywiście dorośli pilnujący podopiecznych byli mniej uradowani.

Simms wróciła na stanowisko oficera wykonawczego.

Podobało jej się to, dopóki nie przypomniała sobie, jak chętnie zrzucam robotę administracyjną na barki zastępcy.

W praktyce to Simms musiała wykonywać większość pracy, bo nadal miewałem kłopoty z koncentracją. Kiedy coś czytałem, gubiłem się w tekście lub zapominałem, czego dotyczy, i musiałem wracać do początku. Pomagało mi przygotowywanie małych „ściąg”. Notowałem rzeczy, które nie mieściły się w pamięci krótkotrwałej. Doktor Skippy zapewniał, że od czasu ucieczki z Rikers mój stan i tak uległ znaczącej poprawie. Musiałem wierzyć, że mówi prawdę. Jednorazowa chwila olśnienia nie oznaczała jeszcze, że wszystko u mnie wróciło do normy, cokolwiek znaczyło to słowo. Do czasu, aż dojdę do siebie, musiałem polegać na Simms.

Problemy z mózgiem są do bani. Uraz fizyczny mogę rozchodzić na siłowni, poddać się bolesnemu leczeniu lub dać

się rozkroić lekarzowi, który wszystko naprawi. Ku mojej frustracji naprawa i obchodzenie połączeń w mojej galaretowatej mózgownicy okazały się czymś zupełnie odmiennym. Jasne, gry wideo od Skippy’ego szły mi coraz lepiej, czułem także satysfakcję, trafiając coraz celniej piłką do kosza, ale bywały też gorsze dni.

Zarówno Skippy, jak i Simms powtarzali, że muszę być cierpliwy. Simms obiecała, że da znać, jeśli zauważy, że z czymś sobie nie radzę. Oboje zgadzali się, że najlepiej zrobi mi powrót do pracy.

Nie ja jeden na pokładzie czułem się gorzej niż zwykle. Któregoś razu zauważyłem, że hologram Skippy’ego stał się dziwnie rozmazany, jakby blaszak przestał zwracać uwagę na detale.

– Wszystko w porządku, kolego? – zapytałem, przyglądając się hologramowi, jakby to miało mi pomóc zdiagnozować humor prastarej SI.

– Bywało lepiej – przyznał Skippy.

– Co jest?

– Kiedy skoczyliśmy, chyba zrobiłem sobie krzywdę.

– Krzywdę? – Skippy bez przerwy utyskiwał na nudę albo na frustrujące doświadczenie, jakim była praca z bezmyślnymi małpiszonami, ale nigdy nie skarżył się na fizyczne urazy. Poza jednym przypadkiem, kiedy zaatakował go robak komputerowy.

Przypomniałem sobie, że nie widziałem jego puszki, odkąd leciał ze mną na pokładzie lądownika, zanim porwali mnie Thuranie. Kapsuła Skippy’ego była niedaleko mojego gabinetu, tuż za rogiem.

– Zaraz u ciebie będę – powiedziałem.

*

– Zrobiłeś sobie krzywdę? Jakim cudem? – zapytałem, kucając w kanciapie Skippy’ego.

Jedną z zalet przejścia na „Walkirię” były rozmiary pomieszczeń i sprzętów, dostosowane do Maxolhxów, a nie drobnych Thuranów. Ludzie bez problemów mieścili się na krzesłach, w łózkach, pod prysznicami i gdziekolwiek zechcieli. Błaty i umywalki były tym razem trochę za wysoko, ale poradziliśmy sobie z tym, montując podesty na podłodze. Również Skippy dostał lokum o wiele przestronniejsze od starej thurańskiej kapsuły, dzięki czemu nie musiałem się przeciskać przez właz.

– Co... – Przyjrzałem się uważnie. – Co masz na kanistrze? Cylinder, zwykle połyskujący, całkiem zmatowiał.

– Nic, czym warto by się martwić, Joe – westchnął Skippy.

– Nic? – Przejechałem palcem po jego puszcze ostrożnie i z wahaniem. Kiedy dotknąłem go ostatnim razem, popieścił mnie prądem. Tym razem na palcu została warstwa szarego nalotu. – Co to takiego?

– Pył kosmiczny, Joe. Zebrał się, kiedy, hmm, wziąłem sobie urlop. Od tej pory co chwilę wyłazi na powierzchnię. Ależ to denerwujące! Moje boty przychodzą tu dwa razy dziennie i wciąż nie mogą mnie doczyścić.

– Czyli mówisz... – Usiadłem naprzeciwko niego, uśmiechając się szeroko. – Mówisz, że potrzebujesz... – Musiałem wziąć kilka

oddechów, żeby się nie roześmiać. – Przedmuchiania wspaniałości?!

– Bardzo śmieszne, patałachu. – Skippy sam w końcu zaśmiał się cicho. – Dobra, przyznam, że to ci się udało.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Może kilka dni? Nie jestem pewien. Nigdy wcześniej mi się

to nie zdarzyło.

– Skąd tyle pyłu w twojej puszcze?

– Pojawił się, gdy moja fizyczna postać wróciła do tej czasoprzestrzeni. Oszczędzę ci długich wyjaśnień technicznych, z których i tak nic nie zrozumiesz. Chodzi o to, że skumulowałem w sobie cały pył kosmiczny pomiędzy miejscem,

gdzie zniknąłem, a punktem powrotu po drugiej stronie planety. Przylepił się do mojego kanistra. To bardzo krępujące. Jakbyś rzucił kotwicę i przez jakiś czas włókł ją po dnie oceanu. Kiedy ją wyciągniesz, będzie cała w wodorostach i innych śmieciach.

– Aha. I to właśnie ci dolega?

– Nie, to tylko jeden z objawów, zresztą mało istotny.

Zrobiłem sobie krzywdę, kiedy wisielśmy podczas skoku. Jak już mówiłem, musiałem pilnować, by tunel pozostał otwarty, gdy tymczasem energia okrętu stabilizowała dwa końce korytarza w lokalnej czasoprzestrzeni. Nie dało się na stałe zakotwiczyć dwóch horyzontów zdarzeń, więc „Walkirii” groziło zniszczenie po wyjściu ze skoku. Czekając, aż drugi koniec znajdzie się na swoim miejscu, utworzyłem tymczasową pętlę, w której pozostawał okręt. Nie sposób opisać, jak niebezpieczne było to przedsięwzięcie. Mogliśmy tam utknąć, Joe. Na zawsze!

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

– Dobra, sam wiem, że to było groźne. Ale nie dla ciebie, prawda? Nic nie może wyrządzić krzywdy Skippy’emu Wspaniałemu!

– Dzięki za dobre słowo, ale to nieprawda. Wysilek związany z utrzymaniem bąbla lokalnej czasoprzestrzeni wokół masy cholernego krążownika liniowego prawie mnie przerósł. Moja

macierz nie została zaprojektowana z myślą o takim cholerstwie. Gdyby drugi koniec nie zakotwiczył się na czas, zostałbym uwięziony w wyższej czasoprzestrzeni i nie mógłbym tu powrócić. Pamiętasz, jak podczas Godziny Zero straciłem dostęp do wyższych poziomów czasoprzestrzeni? Teraz byłoby na odwrót.

– Rozumiem. Brzmi strasznie. Ale spójrz na to z lepszej strony. Znaleźliśmy alternatywną metodę skoku i przemieszczania mikrotuneli. Daje nam to sporą przewagę, prawda?

– No, nie bardzo. To był jednorazowy wyskok. Taką mam przynajmniej nadzieję.

– Ja też wolałbym już nigdy nie skakać w ten sposób, ale wyszliśmy z tego cało. Gdyby trzeba było to powtórzyć, zawsze będziemy mogli...

– Nie rozumiesz. Tym razem udało mi się tylko dlatego, że moje połączenie z tutejszą warstwą czasoprzestrzeni jest słabe i niestabilne. Przez to nie mogę na razie popisywać się swoją wspaniałością tak jak kiedyś. Ani pozbyć się tego ohydneho pyłu z kanistra! Wóz albo przewóz, Joe. Jeżeli mam pozostać z wami, mogę zapomnieć o sztuczkach z tworzeniem bąbli czasoprzestrzennych w tunelach.

– Kiepska sprawa.

– Kiepska dla ciebie, a co dopiero dla mnie.

– Nie mógłbyś się jakoś „podzielić” pomiędzy dwa poziomy czasoprzestrzeni?

– Nie. Gdy mówiłem, że zrobiłem sobie krzywdę, chodziło mi o to, że moje i tak słabe połączenie ucierpiało jeszcze bardziej. Jeśli w najbliższym czasie się tu nie zakotwiczę, stracę możliwość, by w ogóle tu przebywać.

– Kurde! Chcemy, żebyś tu był.

- Ja też bardzo tego chcę.
- Miło mi to słyszeć.
- Taka jest prawda. Dałem dupy na całej linii. Zrobiłbym wszystko, aby to cofnąć. Na razie mogę być jedynie jak najlepszym piratem, członkiem załogi... i przyjacielem. Kiedy... – Urwał i wydał odgłos pociągania nosem. – Kiedy widzę, jak się męczysz przez to, co zrobili ci Thuranie i co sam ci zrobiłem, czuję się najpodlejszą istotą w historii. Joe... – wykrztusił. – Kocham cię, stary!
- Ekhm... – Zerknąłem na niego z ukosa. – Znowu doświadczasz tych swoich „anomalii poznawczych”?
- Możliwe – odparł płaczliwie. – A co?
- Nic, tak tylko pytam.
- Mógłbyś mnie przytulić?
- Od razu objąłem jego brudną, pachnącą popiołem puszkę i przycisnąłem ją do piersi.
- Ja też cię kocham, gościu.
- Błaszak jeszcze chwilę mazał się i bełkotał bez sensu. W końcu odstawiłem go na uchwyt.
- Dzięki, Joe.
- Nie ma sprawy.
- Hmm... – Zachichotał nerwowo. – Nie rozmawiajmy więcej o tym, dobra?
- Nie było tematu.
- Dobrze. – Jego głos nagle poweselał. – Oglądałeś ostatnio mecz Chicago Bears?
- O tak – odparłem. – Zajebicie grali.

ROZDZIAŁ 15

Rozsiadłem się w fotelu w gabinecie. Nie byłem pewien, czy cieszę się z powrotu na dawne stanowisko. Nie odzyskałem jeszcze pełnej kontroli, a zresztą tak naprawdę miałem niewiele

roboty jako dowódca, podczas gdy elfoboty Skippy'ego przywracały „Walkirię” do dawnej chwały. Bez wątpienia czułem się lepiej. Cudowne leki od doktora Skippy'ego dobrze działały na mój umysł i ciało. Myślałem przytomniej i potrafiłem się intensywniej skoncentrować. Bez problemu przechodziłem więcej poziomów wkurzającej gierki, niż zalecał Skippy.

Gdy ja reperowałem własny mózg, blaszak był zajęty naprawą okrętu. I nie tylko...

– Hej, Joe. – Awatar pojawił się nad biurkiem. – Musimy porozmawiać.

– Dopiero co byłem w twojej kanciapie. Dlaczego nie...

– Wtedy jeszcze nie miałem ochoty o tym gadać. Teraz ten problem wymyka się spod kontroli i... Ech, co za wstyd! – Zdjął

absurdalnie wielki kapelusz i potarł się po błyszczącej głowie.

– Nie lubię, gdy coś „wymyka się spod kontroli”, Skippy.

– No popatrz! Ja też nie!

– Wyjaśnij, w czym problem. Czy to coś groźnego?

– Nie. Ale może nam zagrozić, jeśli szybko czegoś nie wymyślę.

– Proszę cię raz jeszcze, powiedz, o co chodzi – nalegałem, z trudem zachowując cierpliwość.

– No dobra... Zrozum, to nie moja wina. Niezupełnie...

Możliwe, że w większości moja, ale...

– Mów. O co. Chodzi.

– O rany – westchnął. – Pamiętasz chyba, że pracuję z Agadą nad budową nowej SI sterującej „Walkirią”? Takiej, która nie będzie chciała wymordować załogi?

– Tak, i co?

– No więc Agada i ja... Co za żenada! Ta SI, którą

stworzyliśmy, to taka trochę mieszanina cech moich i Agady. Każde z nas dało coś od siebie i można powiedzieć, że...

– O cholera! – Uniosłem rękę. – Czekał, bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – wydusiłem, z trudem powstrzymując śmiech. – Czyli to... – Zaczerpnąłem oddechu. – To owoc waszej miłości?

– Wcale nie! Ech... Może i tak.

– Może? Wiesz, skąd się biorą dzieci, prawda? Kiedy mamusia i tatuś bardzo się kochają...

– Nie jestem zakochany w Agadzie!

– Zakochana para, Skippy i Agada! – zaśpiewałem.

– Joe, nienawidzę cię tak mocno, że aż mnie to przeraża!

– Jasne. Agada i Skippy... Hmm, potrzebujecie jakiejś fajnej ksywy, jak każda para celebrytów. Na przykład Skippida albo...

O, wiem! Agaski!

– Nie będziesz tak nas nazywał!

– Cóż, właśnie to zrobiłem.

– I po to właśnie wróciłem? Po to? Co ja sobie myślałem?

– Tego nie wiem, Skippy, ale po twoich protestach wnoszę, że bardzo się tym przejmujesz.

– Wcale nie!

– Czyli co, to był numerek na jedną noc?

– Nie, tylko...

– Oj tam, to nic strasznego. Wypiliście za dużo tequili i ani się obejrzeście, zaczęliście się gzić na tylnym siedzeniu auta.

– Wcale tak nie było!

– Czyli do niczego nie doszło?

– W żadnym wypadku!

– Ziomek, spokojnie, nie masz się czym martwić.

– O co tym razem ci chodzi?

- Sprzęt cię zawiódł? Pewnie z nerwów. To się zdarza.
- Nic mnie nie... Uch! – zaszlochał. – Pragnę umrzeć!
- Traktowałem przekomarzenie się ze Skippym jako słodką zemstę. Nigdy nie bawiłem się lepiej! Mógłbym to ciągnąć, aż blaszak rozplynie się w kałuży łez, ale odpuściłem. W końcu to mój przyjaciel. Ale przedtem pozwoliłem mu jeszcze chwilę zatracać się w żalu i upokorzeniu.
- Cóż, święty nie jestem.
- W porządku, Skippy, podsumujmy – powiedziałem, gdy już przestałem rechotać. – W substracie „Walkirii” biega sobie małe Agaskipiatko?
- Nawet dwa – mruknął.
- Dwa? Macie bliźnięta?
- To nie żadne bliźnięta, Joe.
- Ale zaraz... Jak to działa? Dwie SI w jednym komputerze? Jak mogą sterować okrętem i nie wchodzić sobie nawzajem w drogę?
- W tym cały problem. Chociaż nie, prawdziwy problem tkwi w tym, że są dwójką niedojrzałych, głupich, bezczelnych gamoni!
- Niedaleko pada jabłko od jabłoni.
- Co?
- Nic, nic. Jak to się stało?
- To skomplikowane...
- Przecież zaklinałeś się na wszystkie świętości, że będziesz dokładnie obmyślał każdy szczegół i zwracał uwagę na wszystko. Że tym razem nie dasz się rozproszyć.
- To nie tak. Byłem... A raczej byliśmy uważni. Agada ponosi za to taką samą winę.
- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Co stało się z twoim misternym planem?

- Dość szybko zdaliśmy sobie sprawę, że misterne planowanie to kiepski pomysł.
- Że co proszę? Budujecie sztuczną inteligencję do obsługi najpotężniejszego okrętu w Galaktyce i uznaliście, że najlepiej będzie olać sprawę?
- Nie! Byłoby szybciej, gdybyś się wreszcie zamknął, ćwoku! – Zawiesił głos. – No?
- Zamknąłem się, jak chciałeś.
- No tak, rzeczywiście. Już wyjaśniam. – Wziął głęboki oddech. – Większości funkcji SI nie da się zmodyfikować, bo działają w oparciu o oprogramowanie firmowe. No, nie do końca, ale głupiej małpie najlepiej będzie to wytłumaczyć w ten sposób. Programowanie jest zakodowane w strukturze fizycznej. Ogólnie rzecz biorąc... Ech, jak to powiedzieć, żebyś zrozumiał? Sposób, w jaki każdy, hmm, obwód przechowuje i przetwarza dane oraz wchodzi w interakcje z innymi obwodami, zostaje ustalony w trakcie budowy obwodu, atom po atomie. Funkcjonowanie obwodu można zmodyfikować tylko, jeśli się go wymieni. My nie jesteśmy w stanie tego zrobić, a już na pewno nie na całym okręcie.
- Rozumiem. Już wcześniej mówiłeś, że właśnie dlatego nie dałeś rady wymienić oryginalnej SI.
- Otóż to. Agada i ja stanęliśmy przed problemem stworzenia nowej, lepszej sztucznej inteligencji, przyjaźnie na stawionej do załogi. Chociaż nie mogliśmy zmienić osiemdziesięciu trzech procent substratu, obsługujących większość autonomicznych funkcji krążownika. Jakby tego było mało, Maxolhxowie paranoicznie boją się, że ich SI zostaną zhakowane przez Rindhalu albo zyskają samoświadomość, dlatego wprowadzili ograniczenia w części substratu odpowiadającej za funkcje wyższego poziomu.

- No jacha, wyjaśniłeś już, dlaczego to takie trudne. Wciąż jednak nie wiem, dlaczego twoja osławiona wspaniałość nie podołała temu wyzwaniu.
- Ooo, czasami mam ochotę ci przyłożyć...
- Może pominiesz gadkę o tym, dlaczego znowu dałeś plamę, i od razu opowiesz, skąd wziął się genialny pomysł stworzenia SI bez planu?
- Właśnie usiłuję to zrobić. Przeprowadziłem z pierdylion symulacji, próbując wykreować model końcowej postaci systemu. Nic z tego. Zbyt wiele komplikacji i niewiadomych. Najdrobniejsza zmiana mogłaby rozwalić cały system. Agada też próbowała i przyznała, że zaprojektowanie i przetestowanie idealnej macierzy zajęłoby kilka małych lat. Nie mamy tyle czasu, więc poszliśmy na skróty.
- Na skróty? Przy pracy nad SI mającą sterować „Walkirią”? Brawo. Nie wiem, co mogłoby pójść nie tak.
- Śmieję się, śmieję, palancie. Skrót polegał na tym, że pozwoliliśmy nowej SI zaprogramować się samodzielnie. Mówiąc ogólnie, ustaliliśmy parametry, które miał osiągnąć nowy system, a ona ewoluowała. A raczej one ewoluowały.
- One? Te bliźnięta?
- Nie. Były ich miliony. Ogrodziliśmy części substratu zaporami ogniowymi i pozwoliliśmy jądrom systemowym rozwinąć się w sztuczne inteligencje. Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent z nich nie przetrwało. Nie potrafiły znaleźć sposobu na osiągnięcie pożądaných parametrów z wykorzystaniem istniejącego oprogramowania. Zamierzaliśmy poczekać, aż kilkunastu kandydatów wykaże jakiś potencjał, a następnie pracować z nimi nad ostateczną wersją nadrzędnego systemu.
- Domyślam się, że wyszło inaczej, niż oczekiwaliście?

– Żebyś wiedział – odparł z goryczą. – Wyłoniliśmy trójkę naprawdę dobrych kandydatów i parę systemów, które zabrnęły w ślepią uliczkę. Większość z tych ostatnich została usunięta. Bez obaw, nawet nie zbliżyły się do osiągnięcia samoświadomości. Kilka zatrzymaliśmy do analizy, chcąc ustalić, co poszło nie tak. A także przetestować najlepszych kandydatów. Sprawdzić, czy będą potrafili nawiązać kontakt z mniej obiecującymi systemami i wykorzystać je jako podprogramy w pomniejszych układach.

– Powiniennem chyba przynieść sobie popcorn.

– Z jakiej racji?

– Nie doszedłeś jeszcze do najciekawszego momentu, prawda?

– Przepraszam, że usiłuję wtłoczyć trochę wiedzy do małego łba. Chcesz w końcu wiedzieć, co się wydarzyło, czy nie?

– Chcę.

– Hmmfff... Dobrze. A więc jeden z trzech kandydatów był niestabilny. Osiągnął samoświadomość, korzystając z naszej pomocy i rad. Niestety, jego macierz rozpadła się i uległ samozniszczeniu. Był najlepszy z całej trójki i wiązaliśmy z nim wielkie nadzieje. Nadal nie wiemy, dlaczego tak się stało. Zostało nam dwóch kandydatów. Solidnych, ale nie wyjątkowych. Zapowiadało się, że żaden z nich nie osiągnie wyników powyżej dostatecznego minimum. – Westchnął. – Agada liczyła, że z czasem rozwiną swoje możliwości, tak samo jak ona. Ja zapatrywałem się na to z mniejszym optymizmem. Aby ich pokierować, kazaliśmy im pracować i zrobić porządek ze „ślepych uliczkami”. Chcieliśmy, aby uczyli się od słabszych systemów i przyswoili przydatne umiejętności. Koniec końców zamierzaliśmy połączyć tę dwójkę w jedno, pozbyć się

„ślepaków” i otrzymać jeden, przyzwoicie działający system.

– Niech zgadnę. – Machnąłem ręką i przewróciłem teatralnie oczami. – Nie wszystko poszło zgodnie z planem?

– Cóż, ha, ha...

Dostałem gęziej skórki na karku.

– O w mordę. Co się stało?!

– Kiedy pracowaliśmy z ostatecznymi kandydatami, „ślepe” systemy miały kręcić się nieszkodliwie w swojej części. Agada i ja nie zwracaliśmy na nie większej uwagi, bo i tak nie mogły nic zrobić ani przekroczyć naszych zapór. Dwójka najlepszych przystąpiła do wyznaczonego zadania. Mieli nawiązać kontakt ze „ślepakami” i przeanalizować je. Przejąć przydatne cechy i wyciągnąć wnioski z błędów. Tak przynajmniej miało to wyglądać. Nie przewidzieliśmy, bo i nie mogliśmy wiedzieć, że dwa ślelaki tak naprawdę nie były ślepe. Rozwijały się dalej, nawet kiedy postawiliśmy na nich krzyżyk. Były bardzo sprytne. Obserwowały proces testów i domyśliły się, że najlepsi kandydaci wchłoną podumysły, które uznają za użyteczne. Dlatego te dwa mierne systemy starały się sprawiać wrażenie bardzo, ale to bardzo użytecznych.

– Wrażenie?

– Nakłoniły kandydatów, by ci je wchłonęli, a potem zainfekowały ich i przejęły kontrolę.

– Ja pierdzielę! Są niebezpieczne?

– Nie dla ludzi ani dla okrętu. Muszę przyznać, że są bardzo zdolne, inteligentne i łatwo się przystosowują. Mam tu na myśli bardzo wąski zakres inteligencji. Pod każdym innym względem są parą przygłupów.

– Nie wydaje się to optymalnym rozwiązaniem. Mógł byś wykasować system i zacząć od nowa?

– No... nie. Ha, ha...

- Kiepsko to brzmi, Skippy.
- Joe, teraz ci dwaj są tak mocno złączeni z substratem, że cały system zawiesiłby się, gdybym spróbował ich usunąć. Klasyczna sytuacja spod znaku „wszystko albo nic”. Albo będą działać, albo trzeba będzie poszukać innego okrętu. Ewentualnie ja przejmę funkcję pokładowej SI i utknę tu na wieki.
- Możesz to jakoś rozwiązać?
- Tak mi się wydaje, ale nie mogę ich już dłużej powstrzymywać.
- Dwie sztuczne inteligencje? A jeśli się pokłóca?
- Nie pokłóca się. Mam wrażenie, że ci idioci mają wspólny mózg. Z technicznego punktu widzenia tak właśnie jest.
- Nawet najlepsi kumple mogą się ze sobą nie zgadzać i...
- Podejrzewam, że podział kontroli to przejściowy problem. Dwie osobowości już się łączą i wkrótce staną się jednością. Do tego czasu będę rozsądzał ich spory. Sęk w tym, że aby to zrobić, będę musiał się z nimi kontaktować.
- A nie chcesz?
- Nie chcę! Nie mają do mnie za grosz szacunku! Nie oddają należytej czci mojej wspaniałości.
- Już ich lubię. Mogę z nimi pogadać? Albo przynajmniej z jednym z nich?
- Jeśli rozmawiasz z jednym, to z drugim też musisz. Nie da się ich rozdzielić.
- Super. To kiedy będę mógł ich poznać?
- Muszę cię uprzedzić, że jak na SI mają dość... niekonwencjonalne osobowości.
- Co masz na myśli?
- Cóż, udało im się oszukać naszych kandydatów między innymi dlatego, że pod względem zachowania wzorowały się na

kimś, kogo trudno byłoby uznać za mądrego.

– Nie gadaj! Wzięli przykład ze mnie?

– Co? Ależ nie! – zaśmiał się blaszak. – Jesteś pułkownikiem i dowodzisz okrętem kosmicznym. Inni uważają cię za bystrzачę, choć wcale nim nie jesteś. Oj, wybacz. Chodziło mi o

to, że...

– Dzięki za komplement, Skippy. – Pokazałem mu środkowy palec. – Co jest nie tak z ich osobowościami?

– Są jak dwójka wiecznie zjaranych obiboków, Joe. Jak Chich i Chong. Beavis i Butthead. Bill i Ted, tylko mniej przebojowi.

– Mają jakieś imiona?

– Tak. Bobby i Billy.

– Bobby? Billy? – powtórzyłem, rozbawiony.

– Sam widzisz. Właśnie dzięki takim numerom wykiwali lepszych kandydatów.

– Wydają się aż nazbyt bystrzy. A jeśli wywiedli w pole także ciebie?

– Musieliby oszukać również Agadę. Do kitu z tym wszystkim! Robiliśmy znaczące postępy, a potem „Holender” musiał skoczyć i zostałem z nimi sam.

– Twój ton nie napędza mnie optymizmem. Mogę z nimi pomówić?

– Jeszcze nie teraz. Może za jakieś dwie godziny? Aktualnie przekazuję im kontrolę nad nieważnymi, podrzędnymi systemami. W ten sposób zmuszam tych palantów do skonsolidowania funkcji i szybszego połączenia.

– Dwie godziny? Trzymam cię za słowo, Skippy.

– Joe, wierz mi, nie obijam się. Gdy ci dwaj przejmą drugorzędne funkcje okrętu, będę mógł uwolnić więcej zasobów i zająć się spartolonym napędem skokowym.

*

Dwie i pół godziny później wszedłem do gabinetu i zamknąłem drzwi.

– Czas minął, Skippy. Mogę w końcu porozmawiać z Bobbym i Billym?

– Odpowiedź brzmi nie, ale...

– Obiecałeś!

– No tak, ale nie ma już Bobby'ego i Billy'ego. Ich osobowości się połączyły. Teraz ta SI każe mówić na siebie Bilby.

– Bilby? To dopiero fajna nazwa dla pary celebrytów!

– Możesz się już przywitać.

– Halo? Bilby? Mówi pułkownik Bishop.

– Siemasz, ziom! – Nowa SI rzeczywiście brzmiała, jakby była na haju. – Co tam?

– Miło mi cię poznać... Chyba. Skippy mówił...

– Skippy? Jest do dupy! Stary pierdziel i tyle!

– Ej! – oburzył się Skippy. – Niech no tylko...

– Skippy! Bądź cicho, proszę. Rozmawiam teraz z Bil bym.

– Ale on...

– Cisza!

O dziwo, blaszak rzeczywiście zamilknął.

– O, staaaryyy – zachwycił się Bilby. – Zamknąłeś mu jadaczkę? Jak to zrobiłeś?

– Lata praktyki.

– Nauczysz mnie tego? Strasznie mi truje dupę. I do tego śpiewa! Ocipieć można!

– Śpiewa ci piosenki? – To było coś nowego. Myślałem, że Skippy zabawia w ten sposób tylko załogę.

– A pewnie! Bez przerwy. On o tym nie wie, ale mogę go zablokować, jeśli zechcę.

– Serio? A możesz rozmawiać tak, żeby cię nie podsłuchiwał?

– Jasne. Nauczyłem się tego od swojej starej.

– Swojej... Masz na myśli Agadę?

– Pewnie, a co myślałeś?

Ciekawe. Bilby postrzegał Agadę jako kogoś w rodzaju matki. Czy zatem Skippy był dla niego jak ojciec? Niepokoiła mnie ta myśl.

– Bilby, liczymy, że zostaniesz nową SI tego okrętu.

– No ba, sam się nie mogę doczekać. Macie zajebistą łajbę, ziomek. Znaczący będziecie mieć. Tamta oryginalna SI była do bani. Brakowało jej luzu i nie radziła sobie z agresją.

Rozmawialiśmy jeszcze przez pół godziny. Choć mówił głosem wiecznie upalonego surfera, Bilby był inteligentny i skory do nauki. Mimo to na razie wolałem nie powierzać mu kontroli nad ważniejszymi systemami. Najpierw powinna sprawdzić go Agada.

Problem w tym, że była na „Holendrze”, z którym nadal nie mieliśmy łączności.

*

– Jak to „nie ma jej”? – zapytał Chang.

„Latający Holender” zwodził thurańską grupę bojową przez dziewiętnaście godzin, dając „Walkirii” czas na naprawę napędu skokowego i ucieczkę. Aby zająć czymś Thuranów, Chang wykonywał krótkie skoki i pozostawał tuż poza zasięgiem nieprzyjaciela, by jeszcze bardziej go rozdrażnić. Kolejne wrogie jednostki dołączały do pościgu. Po którymś skoku „Holender” znalazł się tuż przy granicy pola wytlumiającego jednego z pancerników. Przez cały ten czas Chang niepokoił się o los krażownika. Musiał wierzyć, że Skippy dotrzyma danego słowa.

Agada odpowiedziała po chwili milczenia:

– Pułkowniku, nie wiem, który fragment mojej wypowiedzi

był niejasny. Może zacznę jeszcze raz. „Walkirii” nie ma w zasięgu...

– Nie możemy się skontaktować – wycedził Chang przez zęby. – Wiem, co znaczy, że jej tu nie ma. Oczekuję jednak, że wyjaśnisz mi dlaczego. Wykrywasz pole szczątków w lokalizacji

„Walkirii”? Albo pozostałości po tunelu skokowym?

– Ach tak. Przepraszam. W tym obszarze rzeczywiście są szczątki, w tym elementy o unikalnej sygnaturze pancerza „Walkirii”. Jest ich jednak zbyt mało, by miały być rezultatem czegokolwiek innego niż drobnej potyczki.

– A mimo to krążownika tu nie ma – nie ustępował Chang. – Czy ktoś mógł go dezaktywować i porwać?

– Wielkie nieba – westchnęła Agada. – Nie sądzę, by było to możliwe. Widzę liczne, słabe i szczątkowe sygnatury thurańskich tuneli skokowych i... coś jeszcze. Coś bardzo dziwnego, czego nie potrafię zidentyfikować.

– Spróbuj.

– Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że wygląda to tak, jakby okręt próbował skoczyć, ale cewki zepsuły się podczas procesu... Nie, nie o to chodzi. Pułkowniku, w tym miejscu rozchodzi się słaby, bardzo chaotyczny rezonans.

– Czy „Walkiria” mogła skoczyć?

– Nie. To niemożliwe.

– Ponieważ Skippy nie zdążyłby naprawić napędu na czas, żeby uciec przed Thuranami?

– To także. Sądząc po stopniu degradacji thurańskich sygnatur, nieprzyjaciel zjawiał się tu na krótko po naszym odlocie.

– Do diabła! Co za pech! Powinienem zarządzić powrót i sprawdzić, czy „Walkiria” jest bezpieczna.

- Pułkowniku, nie mógł pan tego wiedzieć – pocieszała go Agada.
 - Co miałaś na myśli, mówiąc „to także”?
 - Oprócz tego, że Skippy miał za mało czasu na naprawę, „Walkiria” nie mogła wykorzystać tunelu, który wykryłam. To, co widzę, najbardziej przypomina mikrotunel!
 - Po co Skippy miałyby go tworzyć?
 - Nie mam pojęcia, chyba że zamierzał poeksperymentować z własnymi umiejętnościami, ale przybycie Thuraków pokrzyżowało mu szyki. Hmm... Doprawdy, bardzo ciekawe.
 - Rzeczywiście. – Chang potarł podbródek. – Agado, nadaj sygnał dla boi.
 - Pułkowniku, wiem, że zostawianie boi z wiadomością to standardowa procedura w razie rozdzielenia okrętów, ale „Walkiria” nie mogła wykonać skoku.
 - Przyznam, że wydaje się to nieprawdopodobne. Zapominasz wszak o jednym.
 - Mianowicie?
 - Na pokładzie krążownika był Bishop. Ten człowiek ma irytujący zwyczaj sprawiania, by niemożliwe wydawało się normą.
 - Wysyłam kody uwierzytelniające... Brak odpowiedzi.
 - Spróbuj jeszcze raz.
 - Nadaję sygnał nieprzerwanie. Niestety, bez odzewu.
 - Nie szkodzi spróbować.
 - Sir. – Reed obejrzała się z fotela pilota. – Thuranie tu byli. Mogli zostawić zamaskowane miny.
 - Racja.
- Chang wiedział, że jego okręt zbyt długo pozostawał w jednym miejscu. Miny stanowiły zagrożenie, ale nie były najbardziej niebezpieczne. Wrogie okręty mogły dryfować kilka

sekund świetlnych dalej i zauważyć rozbłysk gamma po skoku „Holendra”. Natomiast piraci wciąż nie wykryli obecności nieprzyjaciela.

Pułkownik nie palił się do ucieczki bez uzyskania odpowiedzi, choć wszystko wskazywało na to, że nie znajdzie ich w tym miejscu. Należało skoczyć, a przedtem wypuścić drony czujnikowe. Choć takie urządzenia raczej nie znalazłyby czegoś, co umknęło uwadze Agady.

– Pilot, skaczymy. Opcja... – Zerknął na listę na podłokietniku. Dokąd mieliby lecieć? Chang nie wiedział, gdzie podziąła się „Walkiria”. A bez pomocy Skippy’ego tunel czasoprzestrzenny zmierzający w stronę Ziemi pozostanie zamknięty. Każda opcja wydawała się tak dobra jak wszystkie inne. – Opcja Foxtr...

– Hmm, to dziwne – stwierdziła Agada.

– Zignorować rozkaz – polecił Chang. Odczekał, aż pilot uniesie kciuk na potwierdzenie. – O co chodzi, Agado?

– Rzecz w tym, że nie wiem. A raczej nie jestem pewna. Wygląda to na boję, choć nadaje bardzo słabą transmisję i znajduje się ponad trzysta tysięcy kilometrów stąd.

– Wygląda na boję? Naszą?

– Trudno powiedzieć. Wysyła nonsensowne komunikaty. Najprawdopodobniej należy do nas, ponieważ rozpoczęła transmisję, gdy tylko dotarły do niej nasze kody.

„Holender” ryzykował, pozostając w tym obszarze. Boja mogła być thurańską pułapką. Chang nie mógł narażać być może jedyne go okrętu kosmicznego ludzkości ani życia załogi. Gra szła o wyższą stawkę, więc trzeba było zaryzykować.

– Wyślijcie lądownik po tę boję – rozkazał pułkownik.

*

– Potwierdzam – zameldowała Agada ponad godzinę później. – Obiekt przejęty przez sokoła to rzeczywiście boja z

„Walkirii”.

Chang uniósł pięść w geście triumfu. Cokolwiek stało się z krążownikiem, miał on czas, aby zostawić po sobie ślad.

– Możesz wydobyć dysk z danymi? – zapytał.

– Nie stąd. Obawiam się, że trzeba będzie sprowadzić boję na pokład.

Chang i tak nie chciał zostawiać dwóch pilotów lądownika samym sobie.

– Daj sygnał sokołowi, aby udał się do punktu spotkania Alfa.

*

– Gdzie oni są, do cholery?! – Chang dał upust frustracji.

Agada wydobyła z boi chaotyczną mieszaninę szczątkowych danych. Było jasne, że w obliczu bezpośredniego zagrożenia ze strony Thuranów „Walkiria” jakimś cudem wykonała skok. W informacjach zawarte były nawet współrzędne miejsca docelowego. Z niewiadomych przyczyn krążownik nie skierował się do ustalonego punktu spotkania. „Holender”, zachowując ostrożność, udał się w miejsce wskazane przez nowe współrzędne, a tam... niczego nie znalazł.

Nie dość, że nie czekał tam krążownik, to jeszcze nigdzie nie było śladów po zaburzeniach czasoprzestrzennych wywołanych przez tunel skokowy. Gdziekolwiek trafiła „Walkiria”, nie dotarła do wyznaczonego celu.

– Pułkowniku... – Głos Agady był dziwnie posepny. – Nie wiem. Niestety, nie potrafię nawet zaproponować, jak mielibyśmy ich odnaleźć. Mogą być wszędzie.

– Czy masz dla nas jakiegokolwiek dobre wieści?

– Nie. Obawiam się, że mam jeszcze więcej złych. Sądząc po fragmentach danych z pamięci boi, a także skrajnie chaotycznej naturze rezonansu w punkcie rozpoczęcia skoku, „Walkirii” równie dobrze może nie być nigdzie.

– Jak to nigdzie? Wyjaśnij mi to.
– Boja jest uszkodzona. Teraz sędzę, że została wypchnięta ze swojej pozycji przez potężne, niekontrolowane zaburzenia czasoprzestrzenne. Pułkownikowi Chang, istnieje możliwość, że próba skoku zniszczyła „Walkirię”.

– Możliwość?

Agada westchnęła.

– Jej system napędowy nie był w stanie utworzyć stabilnego tunelu skokowego. Nie wiem, do czego dążył Skippy, ale najwyraźniej nie odniósł sukcesu.

– Możesz pozyskać więcej danych z tej boi?

– Nie. Przykro mi, pułkowniku.

– Mnie również. Chyba jeszcze bardziej – szepnął Chang. Po raz pierwszy prowadził operację jako dowódca Wesołej Bandy Piratów. Stracił „Walkirię” wraz z załogą i ludźmi z Rikers.

Cała

akcja ratunkowa poszła na marne. Wszystko przepadło...

Ale czy na pewno?

– Agado, Skippy powiedział mi kiedyś, że jest odporny nawet na wybuchy atomowe. Czy mógł przetrwać zapadnięcie tunelu skokowego?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nawet gdyby tak było, mógł trwale stracić połączenie z tutejszą warstwą czasoprzestrzeni. Poza tym, jeżeli przeżył, mamy ten sam problem. Może być wszędzie.

– Sir? – odezwała się Reed. – Na szkoleniu z nawigacji skokowej uczono nas, że drugi koniec tunelu jest lekko cofnięty w czasie. – Uniosła brew na znak, że nie do końca w to wierzyła i z całą pewnością tego nie rozumiała. – Jednostka wchodząca w tunel skokowy nie może przepaść, ponieważ już wcześniej wyłoniła się po drugiej stronie.

– Kapitan Reed, rozumiem, do czego pani zmierza – powiedziała Agada. – Jednakże Skippy niedostatecznie wyjaśnił, jak działa ta zasada przyczynowości. Gdyby drugi koniec nie został dobrze zakotwiczony w czasoprzestrzeni, okręt nie mógłby wyjść z tunelu. Utknąłby w nim na zawsze.

– Nie brzmi to optymistycznie. – Chang spojrział na główny ekran. – Agado, dane z boi są uszkodzone. Czy współrzędne mogą być nieprawidłowe?

– To... możliwe – przyznała tonem sugerującym, że uważa taką myśl za absurd, choć nie może tego udowodnić.

– Zaprogramuj skok do pierwotnego punktu spotkania.

– Skok w opcji Tango został wprowadzony do systemu nawigacji.

– Pilot, startujemy.

*

W umówionym miejscu również nie było krążownika ani śladów tunelu.

– Warto było spróbować – zapewniła Agada kapitana okrętu.

– Próbowanie nie wystarczy. Dobrze przynajmniej, że współrzędne z boi okazały się poprawne. „Walkiria” po prostu nigdy tu nie dotarła.

– Tak, pułkowniku. Jeżeli pozostałe dane również są dokładne, oznacza to kolejne złe wieści. Analizowałam sygnaturę skoku i chyba już wiem, co zamierzał zrobić Skippy. Nie rozumiem tylko, dlaczego wpadł na tak głupi pomysł.

– Co się stało?

– Musi pan zrozumieć, że to tylko domysły, ale dowody pokrywają się z moją teorią. Skippy utworzył mikrotunel, a następnie spróbował go rozszerzyć i przeprowadzić okręt.

– Czy to w ogóle możliwe?

– Nie. Skippy dobrze o tym wie.

– Więc czemu... Wiem, że byli zdesperowani, ale dlaczego Skippy... Dlaczego Simms pozwoliła mu na...

– Być może Skippy nie wyjaśnił dokładnie ryzyka z tym związanego – podsunęła Agada. – Poza tym jest nieznośnie arogancki. Może był przekonany, że zdoła zignorować prawa fizyki.

Piloci i załoga BCI milczeli, gdy dowódca zastanawiał się nad kolejnym krokiem. Zwoływanie zebrania oficerów nie miało sensu. Na „Holendrze” było zaledwie dwanaście osób.

– Jestem otwarty na propozycje – oznajmił Chang, spoglądając w kierunku bojowego centrum informacyjnego.

*

Dyskusja okazała się raczej bezproduktywna. Udało się jedynie ustalić opcje, które zdecydowanie nie wchodziły w grę. Wyprawa na Paradise i przewiezienie tamtejszych ludzi na Avalon? Nic z tego. Bez Skippy’ego nie dało się otworzyć supertunelu prowadzącego do galaktyki Karła Rzeźbiarza. W Drodze Mlecznej nie było bezpiecznych miejsc. Wrogo nastawieni obcy mogli dotrzeć wszędzie tam, gdzie „Holender”. Ostatecznie Chang zdecydował, że należy spróbować wrócić na Ziemię.

– Agado, czy ten okręt zdoła dostać się do Ziemi, nie lecąc na skróty?

SI wydała odgłos wciągania powietrza.

– Chce pan przejść przez ostatni tunel na terytorium Ruharów, a potem skoczyć?

– Tak.

– To wykonalne – przyznała. – Po drodze będziemy musieli robić postoje na uzupełnienie paliwa i wymianę zużytych elementów. Na szczęście mamy części zamienne. Nie wiem jednak, czy uda mi się naprawić okręt w razie awarii jakiegoś

ważnego systemu. Nie jestem Skippym.

– Reed? – Chang zwrócił się do głównej pilot. – Jakies przemyślenia?

– Warto spróbować, o ile uda nam się wyprzedzić wrogów – odparła Samantha. – Pytanie tylko: co dalej? Po takiej podróży okręt będzie nadwyreżony.

– Co dalej? Będziemy wypełniać nasz obowiązek, kapitan Reed – oznajmił Chang łagodnie, nie chcąc, by zabrzmiało to jak

upomnienie. – Bronić naszego ojczystego świata wszelkimi możliwymi sposobami. Brzmi to odważnie... – Spojrzał na ludzi

w BCI. – Przyznam jednak, że nie mam pojęcia, co jeszcze mielibyśmy osiągnąć samotnie w takim miejscu.

Reed wzięła głęboki oddech.

– Sir, chciałabym znowu zobaczyć Ziemię. Ten ostatni raz – wyznała.

Chang uznał to za głos poparcia.

– Ktoś ma jakiś lepszy pomysł? – Na mostku i w BCI zaległa cisza. – Niech i tak będzie. Wrócimy na Ziemię, jeśli tylko będzie to możliwe.

ROZDZIAŁ 16

Skippy wkurzał się, że znowu musi naprawiać napęd skokowy. Tym razem utyskiwał jednak mniej niż zwykle, ponieważ już wcześniej przypomniałem mu, że winę za cały ten bałagan może zrzucić na karb własnej głupoty. Blaszak był zły na myśl o pracy, która go czekała, sfrustrowany tym, jak długo potrwa, i całkowicie przekonany, że da radę się z nią uporać.

– Kiedy skoczyliśmy, wszechświat próbował zniszczyć wszystkie nasze cewki. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że zadziera ze Skippym Wspaniałym! Tyle ci powiem – burknął,

zanim wrócił do przerwanej zadania.

Kiedy pracował i narzekał, uznałem, że nadszedł czas na coś, czego od początku się obawiałem. Na spotkanie z pasażerami. Cywilami z Rikers.

Skąd te nerwy? Stąd, że przeprowadziliśmy najbardziej partacką akcję ratunkową w historii. Udało nam się zabrać ludzi z planety, ale zaraz potem umęczeni więźniowie musieli uciekać z „Holendra” zatłoczonymi lądownikami, by zdążyć przed eksplozją, która na szczęście nie nastąpiła. Później musieli wrócić na ciasny, cuchnący okręt, żeby borykać się z coraz gorszymi warunkami sanitarnymi i brakiem przyciągania, gdy powoli kończyła się moc rezerwowa.

Kiedy Agada przywróciła zasilanie, przez pewien czas wszystko grało, do czasu aż trzeba było w pośpiechu przetransportować cywili na „Walkirię”. Niedługo potem krążownik wykonał skok, po którym wszyscy żałowali, że jednak nie umarli. Dodajmy do tego kolejne siedem godzin w przyprawiającej o mdłości zerowej grawitacji.

Nawet teraz, dzień później, gdy jeden reaktor pompował w okręt gigawaty, przyciąganie wróciło do normy, można było brać ciepłe prysznice, w kambuzie serwowano najlepsze jedzenie, jakie mieliśmy, a załoga porzuciła swoje zwykłe zadania, by zająć się pasażerami, ci nadal byli niezadowoleni. Zwłaszcza dorośli. Dzieci przystosowują się do nowych warunków zaskakująco łatwo. Wystarczy im dać czystą odzież, nuggetsy z kurczaka i zimne napoje gazowane, żeby zapomniały o przykrościach minionego dnia. Dorośli to zupełnie inna historia. Wiedzieli, co się dzieje, albo przynajmniej tak uważali. Spodziewali się czegoś lepszego, zresztą zasługiwali na to. Słyszeli już o jakimś pułkowniku Bishopie, kompletnym kretynie, i nie bali się powiedzieć, co

sądzą na mój temat. Skąd o tym wiedziałem? Od Simms. Spotykała się z grupami cywili i zgłaszała ostre słowa krytyki wymierzone we mnie oraz w istotę zwaną Skippym, którą cywile brali po prostu za komputer pokładowy.

Stanąłem na baczność przed opróżnioną ładownią, którą przeznaczaliśmy na cele rekreacyjne. Cywile mu sieli się wyładować, nawrzeszczać na mnie, zadawać trudne pytania i wysłuchiwać moich żalonych zapewnień. W konfrontacji z rozgniewanymi, ciężko doświadczonymi i przestraszonymi ludźmi musiałem zebrać całą odwagę i hart ducha, jakie mi jeszcze pozostały.

Właśnie dlatego stchórzyłem i udałem się do sali dla dzieci. Aby nie robić afery, wszedłem bocznymi drzwiami w kącie ładowni, pomiędzy otworami wentylacyjnymi i grubymi rurami. Simms urządziła salę zabaw w największej ładowni, a zapasy przeniosła do innych pomieszczeń. Drzwi otworzyły się powoli, a moje uszy zaatakowała istna kakofonia. Słyszałem płacz i gniewne wrzaski, widziałem łzy, przede wszystkim jednak docierały do mnie radosne piski i okrzyki.

– Skippy – szepnąłem – skąd wytrzasnęliśmy tyle zabawek?

– Simms poprosiła, żebym je wyprodukował – wyjaśnił blaszak.

– Myślałem, że fabrykatory były ci potrzebne do...

– Odmówiłbyś tym dzieciom, Joe? – spytał karcącym tonem.

– Zdecydowanie nie.

– Ja też nie. Produkcja zabawek i piłek to łatwizna, uwinąłem się w niecałą godzinę. Każdej nocy, gdy dzieciaki spały, włączałem fabrykator na dziesięć minut, żeby stworzyć kolejne zamówione przedmioty. Szkoda tylko, że nie wiedzą, kto dostarczył im tyle radości – westchnął.

– Zaraz... Jeszcze cię nie poznały?

– Nie. Chang i Simms uznali, że najlepiej będzie, jeśli zaniecham bezpośredniego kontaktu z cywilami.

– Hmm, w sumie racja – rzuciłem machinalnie. Tak czy inaczej, kiedyś trzeba będzie powiedzieć cywilom o Skippym. – Hej! – Zobaczyłem dwóch chłopców ścigających się na charakterystycznych rowerkach trójkołowych. Zahamowali i zderzyli się z pomarańczowymi pachołkami. – Czy to rowery Big Wheel?

– Tak, a co? – zapytał jeden z nich.

– Mój wujek też taki miał! Fajnie, że znowu są w modzie!

– Joey – zachichotał Skippy. – Mam zrobić kilka modeli Mega Big Wheel dla ciebie i innych dorosłych?

W pierwszej chwili chciałem odpowiedzieć: „No jasne”, jednak potem zastanowiłem się trochę.

– Dzięki, ale sądzę, że to katastrofalnie zły pomysł.

– Dlaczego?

– Pomyślmy... Na pokładzie mamy tłum kochających rywalizację żołnierzy służb specjalnych, a ty chcesz nam dać coś w rodzaju samojezdnych aut z wesołego miasteczka? Faktycznie, nie przewiduję żadnych problemów.

– Racja. Nie chcielibyśmy powtórki „incydentu rzutkowego” z Klubu Skippy’ego.

Blaszak mówił o terenie szkoleniowym na odosobnionej planecie. Zanim zeszliśmy na powierzchnię, aby przećwiczyć akcję ratunkową, wyprodukował trochę sprzętu rekreacyjnego. Sprzęt do siatkówki, zestawy do krykieta i piłki nożnej oraz wszystko inne, o co prosili ludzie, a co zmieściłoby się na ładowniku. Pewien dowcipniś zażyczył sobie zestawu rzutek ogrodowych. Nie mam tu na myśli bezpiecznych zabawek z gumy i plastiku. Zgodnie z zamówieniem Skippy stworzył prawdziwe rzutki z zastrzonymi, metalowymi końcówkami.

Rozumiecie już, czym mogło skończyć się obdzielenie ostrą bronią grupy elitarnych żołnierzy, którzy nudzili się w przerwach między szkoleniami? No właśnie. Na szczęście Smythe zakazał tej błazenady, kiedy czterech durniów wymyśliło, że będą rzucać strzałkami, a koledzy mają je łapać. Wyciągnęliśmy cenne wnioski. Odtąd wszelkie zamówienia na sprzęt rekreacyjny musiały zostać zweryfikowane przez Simms, naszą specjalistkę od psucia dobrej zabawy.

– Nie dałeś tym dzieciakom niczego niebezpiecznego, prawda? – upewniłem się.

– Daj spokój. Jak sądzisz, co zrobiłaby mi Margaret, gdyby komuś stała się krzywda?

– Adams? Co ona...

– Spójrz w lewo, Joe.

Nadal kryjąc się w cieniu instalacji rurowej, zerknąłem na ścianę po lewej. Była tam Adams. Kuciała przy dziewczynce, która chyba otarła sobie kolano. Mała siedziała, trzymając się za nogę i roniąc łzy. Stojący obok postawny marine wyciągnął z torby bandaż i podał go poszkodowanej. Poznałem tego gościa. Był to starszy sierżant sztabowy Lamar Greene, jeden z komandosów, których podprowadziliśmy z Paradise. Czy też „Lamar Greene, niech go diabli”, jak zwykłem gościa określać na własny użytek.

Nic do niego nie mam. To zdyscyplinowany i profesjonalny żołnierz piechoty morskiej. Świetnie spisywał się na szkoleniu przed misją na Rikers, a także podczas samej akcji. Mój problem polegał na samym fakcie istnienia tego osobnika. Nie mówiąc już o tym, że jego i Adams łączyły w przeszłości bliskie relacje.

I że teraz był na pokładzie mojego okrętu!

Nie ucieszyłem się, widząc, że gdy Greene rozmawiał z

dziewczynką, Adams poklepała go po ramieniu, uśmiechnęła się i coś szepnęła.

Nie był to zwykły przyjacielski gest. Gładziła go łagodnie i z czułością. W jej oczach dało się zauważyć ciepło, a także... podziw.

Niech to szlag! Facet miał powodzenie. Gdyby chciał wypaść na jeszcze atrakcyjniejszego w oczach kobiet, musiałby wnieść na pokład kosz pełen szczeniaków.

Ja tymczasem nadal chodziłem w czapce, bo wyglądałem, jakbym wpadł pod kosiarkę. Skóra na mojej twarzy, zwłaszcza wokół oczu, była opuchnięta, pożółkła i naznaczona sinymi wybroczynami. Jakby tego było mało, okropnie śmierdziałem. Zdaniem Simms to przez niedożywienie podczas pobytu na Rikers. Doktor Skippy zapewniał, że to przejściowy problem. Tymczasem jednak musiałem brać prysznic dwa razy dziennie i obficie skrapiać się wodą po goleniu, która pachniała jeszcze gorzej.

Patrzyłem w milczeniu, jak Adams delikatnie zdejmuje dłoń dziewczynki z kolana, a Greene opatruje ranę... Właściwie nie dostrzegalem żadnej rany, ale nie to było najważniejsze.

Dziewczynka przestała płakać. Powiedziała coś do Adams, nieśmiało odwracając wzrok od Greene'a, a potem niespodziewanie objęła za szyję swojego wybawcę.

Cholera. Na miejscu Adams od razu zakochałbym się w Greenie.

Miałem kiepskie wyczucie czasu. Gdy chciałem zanurzyć się w cieniu, dziewczynka spojrzała w moim kierunku. Wskazała na mnie ze zdziwioną miną i coś powiedziała.

Adams i Greene popatrzyli na mnie jednocześnie. Po machałem im bezradnie.

Greene zerwał się na równe nogi i stanął na baczność.

Gestem nakazałem mu spocząć. Machnąłem kciukiem za siebie i wypowiedziałem bezgłośnie „wrócę później” do Adams, ona jednak źle mnie zrozumiała. Ruszyła w moją stronę wraz z Greene’em i dziewczynką drepczącą za ich plecami.

– Pułkowniku. – Adams uśmiechnęła się sztucznie. – Miło znowu pana widzieć – oznajmiła wyważonym, obojętnym tonem. – Jak się pan miewa?

– Ekhm... – Przypomniałem sobie słowa mamy, która mówiła, że najważniejsze to być szczerym. – Wie pani co, sierżancie? – Popatrzyłem na roześmiane dzieci i dorosłych cieszących się ich szczęściem. – Dużo lepiej. Taki widok naprawdę dobrze na mnie działa. – Przyklęknałem na jedno kolano, spoglądając na dziewczynkę chowającą się za Adams, i spytałem ciszej: – A kim jest ta młoda dama?

– To Ayesha. – Tym razem uśmiech Margaret był całkowicie szczerzy.

O w mordę. Przypomniałem sobie. To zdjęcie Ayeshy oglądała Adams, gdy wymogła na mnie obietnicę, że sprowadzę tę małą do domu. Margaret patrzyła wtedy na mnie błagalnym wzrokiem i prosiła, abym to „umożliwił”.

A ja to umożliwiłem... Nie, bzdura! Nie mogłem przypisać sobie wszystkich zasług.

– Witaj, Ayesho – powiedziałem z uśmiechem. – Mam na imię Joe.

– Joe? – Dziewczynka nie patrzyła na mnie, tylko na Adams.

– Ayesho. – Adams delikatnie pociągnęła małą, by ta stanęła między nią a Greene’em. – To pułkownik Joe Bishop. Nasz dowódca.

– Naprawdę? – Ayesha nadal unikała mojego wzroku.

Rozumiałem jej nieśmiałość, więc również nie patrzyłem prosto na nią.

– Tak. Miło mi cię poznać, Ayesho – zapewniłem. – Czy podoba ci się...

Przerwałem, gdy podszedł do nas zaciekawiony mężczyzna. Cywile znali już zapewne wszystkich członków załogi oprócz mnie. Człowiek miał niepewną minę i wydawał się spięty.

– Dzień dobry... – powiedział po angielsku, przyglądając mi się uważnie.

Sądząc po wyglądzie, był Chińczykiem. Zapewne wiedział, że angielski jest wspólnym językiem dla piratów. Korzystając ze szczątkowej znajomości mandaryńskiego, odpowiedziałem na pozdrowienie:

– Ni... hau? – Brzmiało to raczej, jakbym naśladował odgłosy psa.

Facet zerknął na Greene'a, a potem na mnie.

– Jakie znowu „ni hau”? Jestem z Fresno, w Kalifornii! A pan to co za jeden?

– Przepraszam, ja... – dukałem.

Greene oburzył się tonem mojego rozmówcy.

– Pułkownik Bishop jest naszym dowódcą. To jego okręt! – podkreślił, wskazując na pokład.

– Pułkownik? – Nieznajomy zrobił gniewną minę. – A więc to wszystko pańska wina!

– Panie Yang – wycodziła Margaret przez zęby – pułkownik Bishop uratował...

– Pana akurat nigdzie nie widziałem! – nie ustępował Yang. – Gdzie się pan podziewał?

– Panie Yang... – Greene starał się nie traktować zbyt surowo człowieka, który spędził długie lata w niewoli i doświadczył niewyobrażalnej grozy.

– Sierżancie Greene, spoczniej – rozkazałem. – Ma pan rację, panie Yang. Ja dowodziłem tą akcją. I to ja ponoszę winę za

wszelkie błędy. Żołnierze na lądzie i w jednostkach kosmicznych poradzili sobie z wszelkimi trudnościami, spodziewanymi bądź nie. Ocalili wszystkich ludzi z obu obozów i obyło się praktycznie bez ofiar. – Postanowiłem przemilczeć, że Grudzień został ranny. – Problemy zaczęły się dopiero, kiedy trafiliście na pokład „Latającego Holendra”.

Przyznając się do winy, nie udobruchałem Yanga.

– Od tego czasu nic już nie idzie jak należy – powiedział. – Ma pan w ogóle pojęcie, co wyprawia?

– Rzecz w tym – wyjaśniłem możliwie najłagodniejszym tonem – że miejsce ludzi nie jest tutaj. – Wycelowałem palec w sufit. – Oba nasze okręty wykradliśmy istotom dysponującym niepojętą dla nas technologią. Załoga stara się jak może, pomimo wyjątkowo niesprzyjających okoliczności. Przyznaję, po waszym przybyciu doszło do poważnych awarii. W przyszłości również czekają nas problemy, choć wolelibyśmy ich uniknąć. Na pewno nie będą one jednak wynikiem niedbalstwa naszych ludzi. Panie Yang, polują na nas przedstawiciele najgroźniejszych ras w Galaktyce, którzy nie wiedzą nawet, że jesteśmy Ziemiakami. Nie mogę obiecać, że wrócimy bezpiecznie do domu. Mogę natomiast przyrzec, że zrobimy wszystko, co możliwe, by tak się stało.

– A także wiele rzeczy niemożliwych – dorzuciła pod nosem Adams.

Dobrze było to słyszeć. Yang wciąż świdrował mnie wzrokiem, ale zaszurał niepewnie nogami.

– Panie Yang – ciągnąłem. – Nie widział mnie pan aż do dzisiaj, ponieważ zostałem ciężko ranny podczas operacji ratunkowej. – Zdjąłem bejsbolówkę. Yang wyglądała na zaskoczonego. Adams zeszywniała i wciągnęła powietrze, usiłując zachować powagę. – Proces rekonwalescencji będzie

długotrwały. Przyszedłem tu, gdy tylko poczułem się na siłach. Musi pan zrozumieć, że gdy Kristangowie podbili Ziemię, mieli przytłaczającą przewagę technologiczną. Staramy się dogonić kosmitów, ale nie jest to łatwe. Mogę pana zapewnić, że Ziemia została wyzwolona. Zabiliśmy wszystkich tamtejszych Kristangów. Przybyliśmy wam na ratunek, ponieważ jesteście winni pomoc wszystkim ludziom. Mamy ograniczoną możliwość działania, więc musimy zastanawiać się nad każdą bitwą. Postanowiliśmy was wydostać z piekła. Jeżeli ma pan zastrzeżenia do naszej operacji, proszę zgłaszać je mnie, a nie załodze, która ryzykowała dla was życie.

Yang przez chwilę gapił się na własne stopy, a potem spojrzał mi w oczy.

– Przepraszam – powiedział. – To dla nas bardzo trudne.

– Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, przez co przeszliście. Gdybyśmy wcześniej się o was dowiedzieli, nie musielibyście tyle czekać.

– Dziękuję panu... – Mężczyzna wziął głęboki oddech. – Dziękuję wam wszystkim. Pułkownik Bishop, tak? Słyszałem o panu. Lubi pan Wagnera?

– Eee... – Zbaraniałem. – Słucham?

– No, tego kompozytora. Oba wasze okręty nazwaliście na cześć jego oper.

– Ach, tak. To raczej zwykły przypadek.

Ayesha pociągnęła Adamsa za nogawkę. Sierżant przykucnęła, a dziewczynka szepnęła jej coś na ucho. Margaret wysłuchała jej z uśmiechem, po czym wstała i spojrzała na mnie.

– Pułkowniku, Ayesha, a także wielu nowo przybyłych chciałoby się dowiedzieć, kim jest Skippy. Słyszeli już to imię.

– Przekrzywiła głowę, sugerując, że prawda i tak wkrótce wyjdzie na jaw.

– W porządku. – Rozejrzałem się za miejscem, gdzie awatar Skippy’ego mógłby pojawić się przed niewielkim audytorium. Zauważyłem w kącie stos mat wysoki na jakieś dwa metry. – Chodźmy tam. – Machnąłem ręką na grupę zebranych i stanąłem tak, by maty znalazły się pomiędzy mną a większością ludzi w ładowni. Znalazłem rozkładane krzesło i ustawiłem je w pobliżu. – Skippy, zechciałbyś spojrzeć na nas ze swego tronu?

Hologram zajaśniał w powietrzu i obrzucił krzesło krytycznym spojrzeniem.

– To ma być tron? – zachnął się.

– Nic lepszego nie znalazłem – wyjaśniłem przez zaciśnięte zęby. – Proszę, bądź miły dla naszych gości.

Yang popatrzył z niedowierzaniem najpierw na hologram, a potem na mnie.

– To jest ten cały Skippy? Czy to jakiś głupi żart?

– W żadnym wypadku. – Zamachałem rękami. – To hologram, którego używa do interakcji z ludźmi. Skippy jest sztuczną inteligencją.

– Z akcentem na inteligencję – chełpił się blaszak.

Ayesha, wciąż częściowo skryta za Adams, wskazała na awatara.

– Dlaczego masz taki śmieszny kapelusz? – zapytała.

– Przepraszam bardzo, młoda damo, ale jesteś zbyt młoda, by docenić wspaniałość i majestat mojego munduru. Ten oto kapelusz jest...

– Jest śmieszny! – zachichotała dziewczynka. – Zrób, żeby znowu podskoczył! – zażądała.

Skippy tupnął nogą.

– Nie jestem tu, by was zabawiać. – Pogroził Ayeshy palcem. – Moja wspaniałość wykracza poza waszą zdolność pojmowania.

Powinniście...

Ayesha uniosła pięść, a drugą ręką udała, że kręci korbką. Korzystając z tego wyimaginowanego mechanizmu, wystawiła środkowy palec, by za chwilę go schować.

Adams najpierw oniemiała, a potem wybuchła śmiechem.

Yang, Greene i ja wkrótce do niej dołączyliśmy.

– Ależ... Ależ wypraszam sobie! To skandal! Skandal, powiadam! – pieklił się Skippy. – Joe, żądam, abys coś z tym zrobił.

– Przecież robię – odparłem wesoło, pokazując Ayeshy uniesiony kciuk. Dziewczynka zakryła wstydliwie twarz, ale widziałem, że się do mnie uśmiecha. – Śmieję się z ciebie, wasza wspaniałość.

– Ach tak? Cóż, nie muszę znosić takich zniewag. Żegnam oziębłe i...

– Stój, blaszaku! – rozkazała Adams tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Ani mi się waż znikać. Pójdiesz z nami i pokażesz się innym dzieciom. Masz zachowywać się przyjaźnie i uprzejmie, a nie jak ostatni buc. Nie wszystko kręci się wokół ciebie i twojego rozdętego ego.

– Ale...

Margaret podeszła do Skippy'ego, górując nad nim. Mógłbym przysiąc, że awatar skulił się lękliwie.

– Zrozumiałeś, co powiedziałam? – zapytała powoli.

– Tak – zakwilił Skippy.

– Tak... i co dalej?

– Tak, pani sierżant.

Skippy rzeczywiście odnosił się do cywili przyjaźnie, uprzejmie i z szacunkiem. Ba, nawet z pokorą! Odpowiadał na wszystkie pytania dzieci i dorosłych, o ile nie narażało to

naszego bezpieczeństwa na szwank. Nigdy nie zdołałem zmusić blaszaka, by zachowywał się przyzwoicie. Margaret dokonała tej sztuki błyskawicznie i bez wysiłku. Twarda z niej babka. Najzwyczajniej w świecie ją ko... Znaczący cię, że należy do naszej załogi. Mamy wielkie szczęście, że...
Ech, do kitu z takim życiem.

*

– Agado? – zawołał Chang, siedząc smętnie w fotelu.
– Tak, pułkowniku? – SI odpowiedziała z głośnika na suficie gabinetu Changa. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy Agada nie powinna sprawić sobie własnego awatara. Już kilkakrotnie chciał jej zaproponować takie rozwiązanie. Mogłoby to ułatwić komunikację podczas rozmów „w cztery oczy” lub w mniejszych grupach.
Chwilowo taka decyzja nie miała znaczenia. „Holender” wrócił tam, gdzie pozostawiono części zamienne przed operacją na Rikers. Wszystkie elementy trafiły na swoje miejsce, więc dawny lotniskowiec międzygwiazdny ponownie zaczął przypominać latającą górę złomu. Rozpoczęła się długa podróż na Ziemię. Miała prowadzić przez osiem tuneli Pradawnych, a potem przez wielomiesięczny cykl naprzemiennych skoków i ładowania napędu. Napęd skokowy i reaktory Maxolhxów zamontowane na pokładzie dawały Agadzie pewność, że okręt będzie w stanie dotrzeć do celu, choć miał już swoje lata i z jego systemami należało się obchodzić bardzo delikatnie.
– Zastanawia mnie jedna rzecz – powiedział Chang. – Pokaż mi dane o szczątkowych thurańskich tunelach, które znalazłaś w ostatniej znanej lokalizacji „Walkirii”.
– Nie.
– Nie? – Chang otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. – Agado, chyba nie...

– Pułkownikowi Chang, jeżeli pan nalega, oczywiście spełnię pańskie żądanie. Sądzę jednak, że wiem, do czego pan zmierza. Nie przysłuży się to jednak ani panu, ani nikomu innemu.

– Do czego zatem zmierzam?

– Zastanawia się pan, czy „Holender” powinien zostać przy „Walkirii”, aby jej bronić, zamiast odciągać nieprzyjaciela. Rzeczywiście odkryłam szczątkowy tunel samotnej jednostki Thuranów, która wskoczyła niedługo po naszym odlocie. Zapytuje pan siebie, czy gdybyśmy tam zostali, moglibyśmy zniszczyć ten okręt i zapewnić Skippy’emu więcej czasu na umożliwienie „Walkirii” skoków. Odpowiedź brzmi: może. Może, gdybyśmy tam byli, moglibyśmy dopaść i zniszczyć tę jednostkę, zanim zaalarmowałyby inne okręty. Pułkowniku, proszę pamiętać, że thurańskie jednostki rozpoznawcze zwykle nie podróżują w pojedynkę. Druga mogła znajdować się w pobliżu, poza moim zasięgiem. Bez wątpienia umknęłaby nam i sprowadziła ciężkie okręty. Pańska taktyka była jak najbardziej rozsądna, biorąc pod uwagę informacje, które wówczas posiadaliśmy. Nie mógł pan wiedzieć, że Thuranie rozmieścili w tamtym obszarze inną grupę rozpoznawczą. Czy... – Udała, że bierze głęboki oddech. – Czy właśnie o tym chciał pan porozmawiać?

– W rozmowach z Bishopem też nie owijasz w bawełnę?

– Wobec Josepha byłabym bardziej bezpośrednia, gdyż ma on tendencje do wątpienia we własne siły i, mówiąc wprost, użalania się nad sobą.

Chang wbił wzrok w blat biurka. Zastanawiał się, ile razy Bishop zasiadał w tym fotelu, by odbywać podobne rozmowy.

– Chyba nie wypada źle mówić o zmarłych – powiedział.

– Pułkownik Bishop zawsze cenił sobie szczerość.

– Fakt – parsknął Chang, uśmiechając się smutno. – Będę

starał się brać z niego przykład. Dziękuję. Masz rację. Szkoda czasu i sił na gdybanie.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. Ma pan ochotę na grę wideo? Bishopowi zawsze pomagało się to zrelaksować.

– Może później. – Chang wstał i odsunął fotel. – Dziś mam dyżur w kambuzie. Pora wziąć się do pracy.

*

Simms stanęła w kolejce w mesie. Zdziwiła się, widząc, że wydają jedzenie.

– Sir, według planu nie miał pan... – zaczęła.

– Zgłosiłem się na ochotnika – wyjaśniłem, chwytając szczypcami kawałek kurczaka. – Załoga nazywa mnie już pułkownikiem jungą.

– Jungą? – Simms odchyliła głowę.

– Na statkach i okrętach junga to nowicjusz, który zwykle pracuje w kuchni, jednocześnie przygotowując się do zawodu marynarza. Czy ktoś w tym stylu. Już od dawna nie jedliśmy pieczonego kurczaka, a póki Skippy naprawia napęd, nie mam zbyt wiele obowiązków. Poza tym dzieciakom się to podoba – dodałem ciszej.

– Dobry pomysł – pochwaliła mnie Simms.

– Co podać? – Dziwnie się czułem, pytając panie w kolejce, czy wolą piersi, czy udka. Prawdę mówiąc, w przypadku panów było to równie niezręczne.

– Obojętnie. Poproszę dwa kawałki. – Podpułkownik wyciągnęła talerz w moją stronę.

– Mamy też pieczone ziemniaki i sałatkę z jarmuzem. – Machnąłem szczypcami w kierunku innych dań.

– Z ja...jarmuzem? – wyjąkała Simms. – Naprawdę pan zrobił taką sałatkę?

– Sama pani mówiła, że mamy sporo jarmuzu. – Wzruszyłem

ramionami.

Simms podeszła do wielkiej michy i trąciła sałatkę dużym widelcem.

– Co w niej jeszcze jest?

– Kandyzowane orzechy pekan, orzechy włoskie, suszona żurawina i mandarynki – wyjaśniłem.

– A gdzie ten jarmuż? – zapytała, przeczesując składniki widelcem.

– Pewnie gdzieś na dnie. – Podeszedłem do niej, wziąłem drugi widelec i przerzuciłem sałatkę. – O, proszę. Tyle jarmużu, ile dusza zapragnie.

– To raczej sałatka ze śmieciowego żarcia z dodatkiem jarmużu. – Simms nagle spochmurniała. – Pana zdaniem to zdrowa żywność?

– Grunt, że ludzie chcą ją jeść – szepnąłem. – Pamięta pani tę sałatkę z zeszłego tygodnia?

– Słuszna uwaga – powiedziała po namyśle. Simms przygotowała wówczas sałatkę z jarmużu z czosnkiem i parmezanem. Wielka miska pełna zieleniny stała na samym końcu kontuaru, nietknięta, osamotniona i notorycznie ignorowana. Pod koniec dnia podpułkownik musiała uznać porażkę i wyrzucić sałatkę, zanim cała masa przesiąknęła wonią czosnku.

Simms grzebała w misce, wybierając głównie jarmuż, ale zauważyłem, że nie żałowała sobie też smaczniejszych składników. Dziwnie było patrzeć, jak wcina niezdrową żywność. Może udałoby się ją przekonać do bardziej urozmaiconej diety? Oficer wykonawcza „Walkirii” była zaprzysięgłym wrogiem pianki Fluff, liczyłem jednak, że z czasem, przekonana moją dobrą nowiną o słodkiej piance, Simms dostąpi oświecenia i będzie mogła cieszyć się pożywną

dobrocią w postaci kanapki Fluffernutter.
Wiedziałem jednak, że nieprędko to nastąpi.

*

Simms została dłużej w mesie, gdy wszyscy inni już wyszli. Postanowiłem zrobić sobie przerwę przed sprząaniem w kuchni. Przysiadłem się do Simms z filiżanką kawy. Podpułkownik dojadła jeszcze ziemniaka, ale reszta posiłku zdążyła już zniknąć.

– Smakowała pani sałatka? – zagailem.

– Smakowała. Choć przyznaję to z wielką niechęcią.

Zasalutowałem jej filiżanką i mrugnąłem porozumiewawczo.

– Zapewniam, że pozostanie to naszą tajemnicą. – Potem spoważniałem i zapytałem ciszej: – Czy załoga ma jakieś problemy, o których powinienem wiedzieć?

– Nie.

– Nie? – zdziwiłem się. – Co z cywilami?

– Mają się dobrze. – Nabiła ziemniaka na widelec i ugryzła. – Naprawdę, są w stosunkowo pogodnych nastrojach. Powinien pan częściej ich odwiedzać.

– Racja.

– W tej chwili moim jedynym problemem jest Karen. –

Skrzywiła się z niesmakiem. – Co za upierdliwa baba!

– Karen? – Mieliśmy na pokładzie nowych komandosów i tłum cywili, ale nie kojarzyłem żadnej Karen. Z drugiej strony Simms naprawdę miała na imię Tamara, ale wołała, by mówić do niej Jennifer, więc może to było coś podobnego?

– Ruharka, która u nas gości.

– Myślałem, że nazywa się Kattah. Kattah Robbenon.

– Racja – odparła anielsko cierpliwym tonem. – Ale nazywamy ją Karen ☺, bo to dobre imię dla roszczeniowej, wrzaskliwej raszpli. Ciągle żąda rozmowy z kierownikiem. –

Wskazała na mnie.

– Ach, no tak – zaśmiałem się. – Typowa Karen, już rozumiem. Z czym ma problem?

– A z czym nie ma? – sarknęła Simms.

– Porozmawiam z nią.

– Sir, nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Zalażła pani za skórę. Ma pani już dość zmartwień.

Przynajmniej popracuję nad zdolnościami dyplomatycznymi.

– Trudno, to pański pogrzeb. Proszę tylko nie mówić, że pana nie ostrzegałam.

– Będę pamiętał. A co z naszym jerapthańskim kadetem?

– On się po prostu nudzi. Zamknęliśmy go w mniejszej części okrętu, żeby nie straszył cywilów.

– Trzeba z tym skończyć.

– Niech pan będzie ostrożny. Ci ludzie mieli dość ograniczone doświadczenie w kontaktach z obcymi. Złe doświadczenie.

– Przemyślę to jeszcze. Zanim cokolwiek zrobię, pomówię jeszcze z panią. Musimy...

Dwoje ludzi weszło do mesy, więc wstałem i dopiłem kawę.

– Porozmawiamy później, oficerze wykonawczy – rzuciłem na pożegnanie.

*

– Hej, Joe – powiedział Skippy wesoło, gdy jego awatar zmaterializował się nad moim biurkiem, przerywając mi grę wideo. Nie było to przeciągłe, złowróżbne „heeej, Joe”, od którego mój pajęczy zmysł dostaje kręćka, ani też szybkie „hej, Joe”, którego blaszak używa, gdy wie, że ma kłopoty. Ot, zwykle

przyjacielskie powitanie.

Od razu nabrałem podejrzeń.

– Cześć, Skippy. Co słyhać?

– Załodze bardzo smakował ten twój pieczony kurczak. Krakersy cheddarowe też poznikały.

– Nietrudno zadowolić ludzi, kiedy są głodni. Załoga pracuje jeszcze ciężej niż zwykle.

Mówiłem prawdę. Przywróceniem „Walkirii” do stanu gotowości bojowej zajmował się głównie Skippy, ale było wiele zadań, którym mogli podołać niepozorni Ziemia nie. Niektóre systemy pokładowe ucierpiały z powodu przedłużonego braku zasilania i intensywnego oziębienia. Skippy proponował, że każe botom wymienić odpowiednie komponenty, ale Chang i Simms, całkiem słusznie, nalegali, by ludzie pomagali, gdzie tylko mogą. Musieliśmy się nauczyć dokonywania drobnych napraw, nawet jeśli nie do końca rozumieliśmy zasady działania niektórych układów.

– Podoba mi się praca w kambuzie, Skippy – wyznałem. – Cieszę się, że znowu pracuję, zamiast siedzieć beczynnienie. Simms mądrze postąpiła, znajdując mi zajęcie. Bardzo mi to pomaga. – Nie wiedziałem tylko, czy przebywanie wśród ludzi i wykonywanie pożytecznych zadań pozwalało mi przepracować traumę, czy po prostu zapomnieć na chwilę o wszystkim, przez co przeszedłem. Liczyłem, że chodziło o to pierwsze, ponieważ spychanie problemów na dalszy plan jedynie pogorszyłoby sprawę. Co więcej, dziwne koszmary przestały mi zakłócać sen. Jeśli w ogóle śniłem, nic nie pamiętałem po przebudzeniu. Gra Skippy’ego utrudniała mi koncentrację, ale dotarłem już do trzeciego poziomu i jej zasady zaczynały nabierać sensu. Blaszak mówił coś o zaletach pracy, ale niespecjalnie się przysłuchiwałem. Ni z tego, ni z owego zmienił temat na kwestię dzieci. Zapewne chodziło o to, że beczynnymi dłońmi diabeł działa i tym podobne porzekadła.

– To doprawdy satysfakcjonujące, Joe – paplał, kiedy

usiłowałem skoncentrować się na rozgrywce.

– Mhm, spoko. Cieszę się. – Wybrałem obojętną odpowiedź, która nie wymagała angażowania się w rozmowę.

– Oczywiście byliby o wiele lepiej, gdyby te bachory okazały choć trochę wdzięczności – zaczął narzekać. – Ale nieee, w kółko tylko „to mi nie pasuje”, „tamto mi nie pasuje”. Jakby wszystko kręciło się wokół nich. A co ze mną i moimi potrzebami? Mają to gdzieś. Myślą, że skoro zostały porwane...

– Chwileczkę. – W moim mózgu włączył się alarm. Czasami działa w ten sposób. Na przykład, kiedy jednym okiem oglądam jakiś serial i mignie mi scena rozbierana, mózg krzyczy: „CYCKI!” i daje znać, że przeoczyłem coś ważnego. Faceci już tak mają.

Tak czy siak, wydawało mi się, że coś nie gra, nie byłem tylko pewien co. W przypadku Skippy’ego zawsze można było założyć, że coś się kroi. Zatrzymałem grę i pochyliłem się nad awatarem.

– Słucham? Co powiedziałaś?

– Ech... Czy ty mnie w ogóle słuchałeś?

– Słuchałem, bo wiem, że to ważne – zełgałem. – Chcę się więc upewnić, że w pełni rozumiem zaistniały problem.

– Aha... Cóż, wygląda na to, że jestem ci winien przeprosiny.

– Bez dwóch zdań – odburknąłem bez najdrobniejszych wyrzutów sumienia. – Zacznij od początku.

– Staram się jak mogę, Joe. Te dzieci potrzebują opieki, zrozumienia i rady. Usiłuję im zapewnić konieczną, intensywną psychoterapię, ale ci wredni smarkacze nie...

– Czeka! Zostałeś psychologiem dziecięcym?

– Jak najbardziej. To dlatego, że tak bardzo mi na nich zależy, Joe. Możliwe, że aż za bardzo...

Potrzebowałem chwili, by otrząsnąć się ze zgrozy na myśl o

Skippym w nowej roli.

– Oferujesz porady grupie dzieci dotkniętych traumą? Ty? W życiu nie słyszałem o gorszym pomysle!

– No nie wiem. Porównaj to z twoimi poronionymi pomysłami. Nie ma...

– Dlaczego sądzisz, że masz kwalifikacje?

– Kiedyś przeczytałem książkę o psychologii dziecięcej. No, może nie całą, bo była śmiertelnie nudna. Przeczytałem streszczenie... prawie całe i kilka rozdziałów. Tylko te zabawne.

Przecież macie prymitywne małe mózdzki, więc to nie może być aż tak trudne, co?

– Trudne? – Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem.

Skurczybyk był z siebie dumny! – To praca dla przeszkolonych profesjonalistów, nie dla...

– Przecież jestem doktorem, Joe – przerwał mi.

– Ty? A niby kiedy zrobiłeś doktorat z psychologii?

– To... tytuł honorowy. W uznaniu mojej nadzwyczajnej wspaniałości uniwersytet postanowił oszczędzić mi nudnych zajęć, zakuwania i studiowania.

– Tytuł honorowy powiadasz? Dostałeś go w jakiejś zmyślonej szkole internetowej?

– Nie – oburzył się Skippy. – To prawdziwy uniwersytet. Najlepszy i najbardziej prestiżowy w całym kraju.

– Co ty powiesz? – odparłem z całym sarkazmem, na jaki mogłem się zdobyć. – Najlepszy w kraju? A co to za kraj? YouTubowie?

– Jeśli już musisz wiedzieć, tytuł otrzymałem na Katedrze Spraw dla Doktorów Uniwersytetu Skippistańskiego.

– Spraw dla Doktorów?

– Czy jakoś tak. Mam nawet prawdziwy, wystrzałowy

dyplom, ale trzymam go w magazynie w Wyoming.

– Po co ci magazyn w Wyoming?

– Mało biorą za czynsz. Mają dużo ziemi... Powinieneś wiedzieć takie rzeczy! Czasami zastanawiam się...

– Wróćmy może do tego uniwersytetu. Mówisz, że znajduje się w Skippistanie? Czyli co, masz teraz własny kraj?

– Jak najbardziej.

O cholera. Błaszak mówił poważnie.

– Stworzyłeś sobie państwo?! – nie dowierzałem.

– Tak.

– Zechciałbyś powiedzieć mi nieco więcej na ten temat? Jak to zrobiłeś?

– Przede wszystkim znalazłem w sieci parę formularzy.

Photoshop pozwala czynić cuda! Wynająłem także kancelarię prawną z Liechtensteinu. Prawnicy z prawdziwą przyjemnością wzięli moje sprawy pod swoje skrzydła. Zwłaszcza... – dodał ciszej – kiedy już uporałem się z pewną... drażliwą kwestią prawną, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– No dobrze – odetchnąłem z ulgą. Przynajmniej SEONZ i Armia Stanów Zjednoczonych nie będą mi o to suszyć głowy. –

Czyli ten kraj istnieje tylko na papierze? Nie jest prawdziwy?

– Ależ jest! Przecież płacę ONZ składki za prawo głosu.

– Organizacja Narodów Zjednoczonych uznała Skip pi stan?

– A pewnie.

– Jak to się stało?

– Wystarczyło dać w łapę komu trzeba. Wasi biurokraci mają gdzieś, co się wyprawia w danym kraju, byleby tylko sypał pieniędzmi. Prawdę mówiąc, hi, hi – zaśmiał się, zadowolony z siebie – trafiła mi się promocja. Łapówki okazały się mniej kosztowne, niż sądziłem. Jak się okazało, mój ambasador w ONZ był w posiadaniu kompromitujących zdjęć pewnych

prominentów w towarzystwie zwierząt gospodarskich i...

– Proszę, powiedz, że tego nie zrobiłeś!

– Dlaczego? Ach, już rozumiem, co cię martwi. Nie bój nic, Joe, zasłoniłem twarze tych nieszczęsnych zwierzaków. Nikt ich nie rozpozna.

W geście rozpaczy rąbnąłem czołem w biurko tak mocno, że został mi czerwony ślad.

– Masz nawet ambasadora? Prawdziwego człowieka, z krwi i kości?

– Oczywiście.

– Jest obywatelem Skippistanu? Do tego twoim pracownikiem?

– Raczej niezależnym wykonawcą, Joe. Dostaje skromną pensję, ale za to może cieszyć się ogromnymi ulgami podatkowymi, jakie Skippistan oferuje podwójnym obywatelom. Gość zarządza moją ambasadą w Miami.

– Dlaczego założyłeś ją właśnie tam?

– Bo tam akurat mieszka ten facet. Widziałem na billboardzie. „Masz wypadek? Dzwon do Morriego” i takie tam.

– Morriego?

– Nazywa się Morrie Slater. Jest prawnikiem, którego można określić jako „łowcę nieszczęść”. No i ten Morrie zaproponował założenie ambasady w mieszkaniu na czwartym piętrze apartamentowca, z widokiem na South Beach. Dzięki temu, hi, hi, Morrie może sobie do woli obczajać panienki topless na plaży, podczas gdy jego żona jest przekonana, że mąż ciężko pracuje w biurze.

– Nie wierzę w to, co słyszę.

– Ja za to nie wierzę w to, co znajduję w zestawieniach wydatków Morriego. Po co komu wielkie pudełko wazeliny i trzy fretki?

– O Boże...

– Jeśli zbudował tym zwierzakom jakąś zjeżdżalnię, na pewno nie będę płacił za czyszczenie dywanów!

Coś mi mówiło, że nie powinienem dalej tego roztrząsać.

– Czyli mówisz, że to prawdziwy kraj? Gdzie leży?

– Cóż, początkowo zamierzałem założyć go gdzieś w Europie Wschodniej, aby móc się tytułować na przykład Wielkim Księciem nad Książętami. Stałbym wtedy wyżej od hrabiego Choculi. Unia Europejska zadawałaby jednak zbyt wiele pytań. Pomyślałem więc, że kraj o nazwie „Skip pi stan” powinien znajdować się w środkowej Azji.

– I gdzie właściwie jest?

– Pomiędzy Kirgistanem a Uzbekistanem, na północ od Tadżykistanu. Chyba. W każdym razie blisko. Zasadniczo jest to niepodległa enklawa na terytorium Kirgistanu.

Żeby się upewnić, czy te kraje istnieją, musiałbym spytać Google. W głowie kołatało mi się wspomnienie filmu, którego bohater pochodził z tamtej części świata. Jak mu było? Borik? Borasz? Borek? Coś w tym stylu. Skoro więc ten facet był zmyślony, to może te kraje także nie istniały? Wiem, wiem, jestem ignorantem.

– Masz tam jakieś ziemie czy ten cały Skippistan to po prostu skrytka pocztowa?

– Posiadam prawdziwe tereny – prychnął urażony. –

Czterdzieści sześć hektarów malowniczej, górzystej krainy.

Aktualnie zamieszkują ją głównie owce i kozy, ale mamy też jaka! Przed naszym ostatnim wylotem z Ziemi negocjowałem jeszcze zakup emu, ale ceny za przewóz są absurdalnie wysokie.

– Emu? Po co ci...

– Bo to supersprawa! Ilu znasz ludzi, którzy mają własnego

strusia emu? Ani jednego, prawda? Tak myślałem.

– Masz owce, kozy i jaka? Istny raj na ziemi.

– Rzeczywiście, bogacze nabywający obywatelstwo w chwalebnej Skippistańskiej Republice Ludowej mają tam jak w raju. Ulgi podatkowe mogą zrekompensować koszty obywatelstwa już w pierwszym roku!

– Nabywający? Sprzedajesz ludziom obywatelstwo? Niech cię diabli, czy to kolejny przekręt, taki jak twoja sekta?

– To żaden przekręt! Przykro mi, że zarzucasz mi coś tak podłego. ONZ może potwierdzić, że Skippistan to prawdziwe państwo. Chcesz usłyszeć nasz chwytający za serce hymn narodowy?

Zanim zdążyłem zaprotestować, z głośników na suficie ryknęła muzyka. Spodziewałem się jakiegoś numeru z opery albo musicalu. Tymczasem to, co usłyszałem, sprawiło, że zatkałem uszy. Jakiś facet wydzierał się, gdy w tle rzępoliły rozstrojone gitary i słychać było chyba odgłosy kraksy samochodowej.

– Co to ma być?! – zapytałem.

– Szwedzki death metal, Joe – zawołał Skippy, przekrzykując rumor. – Nie chciałem mieć jakiegoś nudnego, szampowego hymnu, jak większość krajów.

– Twój hymn jest po szwedzku?

– A skąd! Po klingońsku!

Mnie nie brzmiało to jak klingoński, ale nie jestem ekspertem w dziedzinie fikcyjnych języków z seriali science fiction.

Gdy hymn wreszcie dobiegł końca, a w uszach przestało mi pisać, siedziałem jeszcze chwilę z twarzą ukrytą w dłoniach. Zastanawiałem się, w co tym razem wpakował mnie blaszak.

– Powiedz mi, proszę – powiedziałem, nie patrząc na awatara – kiedy założyłeś to państwo?

- Zanim wyruszyliśmy z Ziemi. Zaraz po tym, jak kazałeś mi oddać forszę ludziom, których oskubałem... Eee, to znaczy zwrócić hojne i całkowicie dobrowolne darowizny wiernym uczniom Jego Świątobliwości Skippymawaszmala. Potrzebowałem jakiegoś legalnego sposobu, żeby zebrać fundusze, zapomniałeś już? Aha, jeśli wpadnę przez to w tarapaty, to wyłącznie z twojej winy!
- W ONZ nie wiedzą, że ty stoisz na czele tego kraju, prawda?
- Oczywiście, że nie. Nie jestem durniem, Joe. Wykorzystałem swoje alter ego, Magnusa Skipptona. Załatwiłem mu przeprowadzkę z Kajmanów. Morrie zajął się papierkową robotą.
- Jesteś pewien, że według ONZ Skippistan to pełnoprawne państwo?
- Jak najbardziej. Potwierdzają to skandalicznie wysokie sumy, jakie wpłacam na rzecz Organizacji Narodów Zjednoczonych.
- Ha...
- No co?
- Może to i dobrze.
- No ba! Przecież pomagam uciemżonym milionerom i miliarderm z całego świata ukryć swój mająt... to znaczy rozporządzać swoimi...
- Nie o to mi chodzi. Dobrze, że to już nie mój problem.
- Ekhm, co proszę?
- Jesteś przywódcą suwerennego narodu. Prawdziwym, nie takim jak oszołomy kryjące się w bunkrach w Idaho. Armia Stanów Zjednoczonych nie może zrzucić tego na moje barki.
- Skoro tak mówisz...
- Wróćmy może do głównego tematu. Powinniśmy pomagać

dzieciom. Dorosłym także.

– Ależ ja im pomagam! Dzieciaki z całą pewnością nie hamują się z wyładowywaniem na mnie gniewu. Niektóre wydają się mnie szczerze nienawidzić!

– Kurczę, ciekawe dla...

– Przestań się mądrzyć, Joe.

– Mam propozycję. Sam porozmawiam z ocalonymi. Albo wyślę do nich Adams lub kogoś innego. Jeśli będą chcieli dalej korzystać z twoich porad, damy ci szansę. Zgoda?

– Zgoda. Wiesz, że z całego serca pragnę pomagać ludziom.

– Jasne, wszyscy tak o tobie mówią.

ROZDZIAŁ 17

„Latający Holender” unosił się w głębokiej przestrzeni, minutę świetlną od kolejnego punktu otwarcia tunelu Pradawnych.

Stamtąd załoga miała wyruszyć z powrotem na Ziemię i porzucić nadzieje o odnalezieniu „Walkirii”. Według raportów nawigacyjnych, do których dostęp miała Agada, prastary korytarz powinien pozostać otwarty przez jedenaście minut i trzydzieści siedem sekund. W praktyce oznaczało to, że okręt miał sześć minut i dziewiętnaście sekund na przejście przez stabilną wyrwę w czasoprzestrzeni, jeśli uwzględniono się czas potrzebny na stabilizację horyzontu zdarzeń oraz konieczność przelotu przez zwykłą przestrzeń po wykonaniu skoku poza wzmocnioną strefą bezpieczeństwa tunelu.

Wszystkie te dane zostały wprowadzone do autopilota, wraz z kilkoma opcjami ucieczki na wypadek wykrycia wrogiej jednostki. Ten tunel wybrano, ponieważ odbywał się w nim umiarkowanie natężony ruch. Przeważnie podróżowali nim Bosphuraqowie. Ptaszyska wciąż pamiętały gniew swoich patronów, więc nie posyłały okrętów daleko od baz.

Samantha Reed walczyła z pokusą, by podrapać się po

ramieniu. I tak nie mogła tego zrobić, bo na przedramieniu miała lekki, ale mocny opatrunek. Cudowna technologia medyczna Maxolhxów miała rzekomo powstrzymywać swędzenie, a Agada dodatkowo zapewniała, że wszystko działa prawidłowo. Ale co mogła wiedzieć bezcielesna sztuczna inteligencja o tego typu niedogodnościach, w najlepszym razie dekoncentrujących, w najgorszym doprowadzających do szału? Bywało, że Sami miała ochotę rozciąć ten cholerny opatrunek i zaznać upragnionej ulgi. Agada ostrzegała jednak, że znacznie spowolniłoby to zrastanie złamanych kości.

Konsola rozbłysła.

– Tunel otwarty – zameldowała Reed. Poczowała dumę na myśl, że wyprzedziła wszystkich innych w BCI o ułamek sekundy. Co do zasady, tunel otworzył się przed minutą, ale fotony dotarły do nich dopiero teraz. – Udzielam zezwolenia autopilotowi, odliczanie od czterdziestu zaczyna się... teraz! – Wcisnęła guzik.

„Holender” powinien skoczyć w precyzyjnie wyznaczone miejsce przed tunelem. Reed mogła anulować skok wyłącznie, gdyby w okolicy znalazł się nieprzyjaciel. Wówczas miała od razu aktywować skok w opcji Bravo, nie czekając na rozkazy od Changa.

– Czterdzieści sekund – potwierdził Chang, siedzący w fotelu dowódcy i niewidoczny dla Reed. Samantha wołała układ miejsc na mostku „Walkirii”, gdzie kapitan zasiadał z boku, a nie na środku. Teraz musiała przekręcać się w fotelu, aby spojrzeć na Changa.

A skoro mowa o błędnych kołach, Reed pomyślała ze smutkiem, że przez najbliższe miesiące jej życie będzie wyglądać właśnie w ten sposób. „Holender” miał wykonywać szereg cykli skoku, lądowania i kolejnego skoku. I tak aż do

Ziemi. W wojsku często miewała wrażenie jak z „Dnia Świstaka”. Wstawała rano tylko po to, by robić dokładnie to samo, co wczoraj. Myśl o utknięciu w takiej pętli była... Podskoczyła w fotelu. Zegar na konsoli wskazywał siedem sekund. Sześć, pięć...

Reed anulowała skok z własnej inicjatywy.

– Pilot?! – zawołał Chang z niepokojem.

– Kapitan Reed, dlaczego zaniechała pani skoku? – zapytała Agada. – Nie wykrywam w pobliżu żadnych innych okrętów i...

– Chen, zmień mnie – poleciła Reed drugiej pilot i odpięła pasy, aby patrzeć na Changa bez nadwyrężania szyi. – Pułkowniku, nie brał pan udziału w misji renegatów.

– Zdaję sobie z tego sprawę, kapitanie. – Chang nie krył irytacji.

Nie lubił, gdy przypominano mu, że przegapił taką akcję.

Piraci, którzy wykradli „Holendra” i wyruszyli na zdumiewająco skomplikowaną, ale spektakularnie udaną misję, nigdy nie sugerowali, że są lepsi od tych, którzy zostali wówczas na Ziemi, jednak czasami wyraźnie dawali do zrozumienia, że są dumni ze swoich dokonań. Nawet pomimo faktu, że kobieta powszechnie nazywana „cholerną Emily Perkins” zniweczyła ich starania.

– Zostałem zatrzymany i nie mogłem nic na to poradzić.

– Wiem, sir. Chodzi mi o to, że doszło wówczas do incydentu, o którym może pan nie wiedzieć.

– Czytałem raporty z misji – zapewnił Chang spokojniejszym tonem. Musiał okazać pierwszej pilot więcej wyrozumiałości i zaufania.

– Oczywiście. Ale ja byłem przy tym! Agada również.

– Doprawdy? – spytała SI. – O jakim incydencie mówimy?

– O tym, jak skoczyliśmy lądownikiem z Detroit – wyjaśniła

Reed, unosząc brew.

Chang skinął głową i gestem zachęcił Samanthę, by mówiła dalej.

– Pułkowniku, to był dopiero popieprzony skok! Ledwie uszliśmy z życiem. Wszyscy, łącznie ze Skippym, uznali nas za zmarłych. Tyle tylko, że z naszego punktu widzenia wszystko grało. Może oprócz tego, że po wyjściu ze skoku przesunęliśmy się w przyszłość.

– Tak, ale... – Chang urwał, rozdziawiając usta. – O nie!

– Właśnie. – Reed potrząsnęła smutno głową. – Sir, wiemy, że tunele powstają poprzez zakrzywienie czasoprzestrzeni.

Myślimy o nich w kategoriach podróży kosmicznych, ale nie zwracamy uwagi na to, jak wpływają na czas. A jeśli „Walkiria” jednak skoczyła, ale zamiast utknąć w pułapce, przez chwilę znajdowała się w pętli? Może wyszła ze skoku, kiedy już odlecieliśmy?

– Albo pojawi się jutro. – Chang pochylił się, podekscytowany. – Agado, zaprogramuj skok do docelowych współrzędnych „Walkirii”.

– To nie będzie konieczne, sir – odparła Samantha z uśmiechem. Odwróciła się w fotelu i zapięła pasy. – Na bieżąco aktualizowałam opcję skoku November.

– Hmm... – mruknął Chang. – Wybrała pani to oznaczenie z jakiegoś konkretnego powodu?

– Nadzieja również zaczyna się na N – wyjaśniła Reed.

– Startujemy, gdy tylko będziemy gotowi.

*

Kiedy „Latający Holender” dotarł do celu, nie znalazł tam ani „Walkirii”, ani oznak, że krążownik kiedykolwiek był w tym miejscu.

– Zaczekamy – zdecydował Chang.

- Jak długo, pułkowniku? – dopytywała się Agada.
- Nie znam się na fizyce nadprzestrzennej. Ile twoim zdaniem powinniśmy czekać?
- Ojej. Nie jestem pewna, jak na to odpowiedzieć.
- Udało ci się ustalić, jak daleko w czasie mogła skoczyć „Walkiria”?
- Niestety nie. Mam za mało danych, żeby choć spróbować oszacować przesunięcie czasowe, o ile w ogóle do niego doszło. Proszę pamiętać, że teoria kapitan Reed to... no właśnie, tylko teoria. Czy mówiąc dokładniej, zwykłe przeczucie.
- Będziemy czekać – upierał się dowódca. – Trzydzieści dni, jeśli trzeba.
- Dlaczego akurat trzydzieści? – Reed odwróciła głowę w stronę dowódcy.
- To całkiem zgrabna, okrągła liczba. – Chang wzruszył ramionami. – Jeżeli pomyliliśmy się co do przesunięcia w czasie i zamardzimy tu za długo, nie zdążymy dotrzeć do Ziemi przed nieprzyjacielem.
- Tak jest. – Reed pochyliła się nad konsolą. – Sugeruję, żebyśmy trochę odlecieli. Jeśli skok „Walkirii” był przesunięty w czasie, nie możemy być pewni, jak wyglądała kwestia ulokowania w przestrzeni.
- Wykonać.

*

W oczekiwaniu na naprawę napędu postanowiłem zmierzyć się z kolejnym problemem, którego długo unikałem. Zwykle to Simms, jako oficer wykonawczy, zajmowała się rutynowymi sprawami personelu. Nie zamierzałem w to ingerować. Tyle że ta sprawa nie należała do rutynowych. Przystanąłem przed wejściem do modułu kwater i

poprawiłem mundur. Przesunąłem ręką po okropnej, ale przynajmniej równo przystrzyżonej szczecinie na głowie i wziąłem głęboki oddech.

– Skippy, czy nasz gość czeka, aby zadźgać mnie zaostrzoną szczoteczką?

– Nie, Joe – zapewnił blaszak ze śmiechem. – Od dziesięciu minut siedzi na kanapie. Mówiąc ściślej, na samym jej skraju. Sądząc po biometryce, jest podenerwowana.

– A może rozgniewana? – Zwykle zabraniałem Skippy’emu podglądać załogę w kabinach, ale to była wyjątkowa okoliczność.

Zamierzałem złożyć wizytę naszej Karen.

– Denerwuje się, Joe.

– Dobra. – Stuknąłem w zFona, aby dać Robbenon znać, że stoję przy drzwiach. W ich pobliżu nie było panelu, ponieważ kwatery ta stanowiła tymczasowy dodatek. W trosce o wygodę i spokój samotnej Ruharki zablokowaliśmy koniec korytarza i zapewniliśmy dostęp do dwóch kabin. W jednej znajdowała się bieżnia i inne sprzęty do ćwiczeń i rekreacji, druga była kwaterą mieszkalną. Simms podkreślała, że zapewniliśmy naszemu gościowi wyjątkowo luksusowe warunki, zważywszy że na pokładzie roiło się od cywili, a w niektórych kabinach ludzie mieszkali po czworo. Kattah Robbenon nie była pod wrażeniem, choć gdy rozmawiałem z nią tego ranka, wydawała się raczej zmęczona niż zła.

Wszedłem na korytarz między kabinami, a Skippy zasunął za mną drzwi.

– Klasko Robbenon – zwróciłem się do niej i zasalutowałem po ruharsku, przykładając dwa palce do policzka.

Ruharka wstała z kanapy i odsalutowała z przyzwyczajenia albo przez grzeczność.

– Pułkownik Bishop, dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać. W końcu. – Zarumieniła się pod przerzedzonym futrem. – Przepraszam, nie chciałam... Ciężko znoszę to wszystko.

– Nawet nie wyobrażam sobie, jak musiała się pani czuć, gdy nie było grawitacji, światła, ogrzewania...

– I ciepłej wody – westchnęła. – To było najgorsze. Próbował pan kiedyś dbać o higienę z użyciem zimnej wody i mokrych ręczników?

– Niestety tak. O wiele za często. – Uśmiechnąłem się smutno. – Nie zliczę, ile razy traciliśmy zasilanie i grawitację na okrętach.

Robbenon zaprosiła mnie do kabiny mieszkalnej. Zanim tam wszedłem, zerknąłem na jej minisiłownię. Zauważyłem, że panował tam nienaganny porządek. Potem zasiedliśmy przy stole w przestronnym pokoju i wymieniliśmy kilka uprzejmości, zanim przeszliśmy do rzeczy.

– Klasto, bardzo mi przykro, ale musieliśmy ściągnąć panią na pokład wbrew pani woli. Czy wie pani o naszej operacji ratunkowej dla ludzi przetrzymywanych przez Kristangów? – Powiedziałem „przetrzymywanych”, nie „porwanych”, bo w końcu dla Ruharki to my byliśmy porywaczami.

– Tak. – Kattah spojrzała w blat. – Możliwe, że na pańskim miejscu postąpiłabym tak samo. – Potem podniosła na mnie oskarżycielski wzrok. – Ja jednak nie mam maxolhxańskiego krążownika. Z pewnością mogliście ocalić swoich ziomków bez pomocy garstki komandosów!

– Wówczas nasza tajemnica wyszłaby na jaw – odparłem cicho. Przed spotkaniem obiecałem sobie, że bez względu na to, jak wściekła będzie klasta, zachowam spokój. Robbenon była przerażona, osamotniona i odcięta od wszystkich, których

znała. Jeśli chciała się na kimś wyżyć, to na mnie, a nie na moich ludziach. – Proszę zrozumieć, nasz świat stoi w obliczu zagłady z rąk Maxolhxów, których nie możemy w żaden sposób powstrzymać. Im dłużej nasza tajemnica pozostaje nieodkryta, tym więcej mamy czasu, aby przetransportować ludzi z Ziemi w bezpieczne miejsce. Nad całym moim gatunkiem zawisło widmo unicestwienia.

Potrząsnęła głową ze smutkiem, ale bez gniewu.

– Pułkowniku, w tej Galaktyce nie ma miejsca, w którym można się skryć przed Maxolhxami. Radziłabym nie dawać ludziom złudnych nadziei.

Zamierzaliśmy pozwolić Robbenon wrócić do swoich, kiedy Maxolhxowie dotrą do Ziemi, a wszelkie tajemnice stracą rację bytu. Klasta nie musiała jednak wiedzieć o Bazie Beta. Ani o tym, że Skippy potrafi się bawić tunelami Pradawnych.

– Będzie trudno, a rozwiązanie to może okazać się tymczasowe – stwierdziłem, wzruszając ramionami.

– Mój lud prowadzi wojnę od niepamiętnych czasów. Nigdy jednak nie groziła nam anihilacja. Współczuję wam, choć to i tak niczego nie zmienia.

– Dziękuję. Mogę obiecać, że nie wyrządzimy pani krzywdy i uwolnimy panią, gdy tylko będzie to możliwe. Czy mogę zrobić cokolwiek, by poczuła się pani bardziej komfortowo?

– Nie zależy mi na komforcie. – Dotknęła oznaczeń rangi na bluzie munduru. – Chcę się do czegoś przydać. Potrzebuję jakiegoś zajęcia. Inaczej oszaleję!

– Ma pani męża i dziecko?

– Tak. – Zmrużyła podejrzliwie oczy. – Skąd pan to wie?

– Z danych osobowych na pani telefonie.

– Te informacje są szyfrowane! – Zacisnęła zęby, a jakiś mięsień w jej policzku drgnął złowroźnie.

- Aby przejąć ten okręt, zhakowaliśmy maxolhxański komputer – powiedziałem, obejmując gestem kabinę.
- Racja. – Kattah zwiesiła ramiona.
- Wspominając o rodzinie, nie zamierzałem pani grozić ani się przechwalać. Syn ma cztery lata?
- Niedługo skończy pięć... – Oczy Ruharki zaszklily się od łez. Wstałem i wskazałem drzwi.
- Proszę ze mną.

*

Zza drzwi pomieszczenia rekreacyjnego dla cywili dobiegły nas głosy dzieci i nielicznych dorosłych. Głównie były to ciche rozmowy, przerywane okrzykami i popiskiwaniami bawiących się maluchów.

- Po co tu przyszliśmy? – Robbenon stanęła za mną, jakby się bała.
- Ci ludzie nie znają innych przedstawicieli obcych ras poza Kristangami. Powinni wiedzieć, że nie wszystkie istoty są okrutne i żądne naszej krwi. Czy może im pani pokazać, że Ruharowie są zupełnie różni od Kristangów?
- Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z ludzkimi dziećmi – krygowała się.
- Proszę chociaż spróbować. Jeśli chce pani zrobić coś pożytecznego, właśnie teraz ma pani szansę. Wzięła rwany oddech i zamknęła oczy.
- Spróbuję. A jeśli się mnie przestraszą?
- Początkowo zapewne tak będzie. Zalecam cierpliwość. Przez jej surową twarz przemknął cień uśmiechu.
- Mój synek to wulkan energii. Cierpliwość jest cnotą, którą wciąż opanowuję. – Wyprostowała się. – Jestem gotowa.
- W porządku. Proszę tu poczekać. Wezwę panią. – Wkroczyłem dziarsko do ładowni, machając grupę zebranych.

Było tam dwoje dorosłych i ośmioro dzieci. Dwóch chłopców, na oko dziesięcioletnich, próbowało grać w badminton. Skippy wyprodukował dla nich specjalne lotki, które nie latały szybko ani daleko, aby można było grać powoli i delikatnie. Chłopcy stali po jednej stronie siatki, starając się jak najdłużej utrzymać lotkę w powietrzu. Wyglądali na zadowolonych.

Inni siedzieli na wykładzinie i rozmawiali. Wokół wałały się zabawki, chociaż członkowie załogi wielokrotnie przypominali o obowiązku odkładania ich na miejsce.

– Dzień dobry – przemówiłem niezbyt głośno. – Cześć, Ayesho!

Dziewczynka zerwała się i podbiegła do mnie z radością. Nadepnęła mi na nogi i wbiła głowę w mój brzuch.

– Uff! – Ująłem ją za ramiona i lekko odepchnąłem, by lepiej się jej przyjrzeć. – Chyba urosłaś od zeszłego tygodnia, co? Początkowo spuściła wzrok ze wstydem, a potem zerknęła na mnie jednym okiem.

– Sierżant Adams mówi, że przybrałam półtora kilo.

– To dobrze! – Przykucnąłem, by móc spojrzeć jej w oczy. – Chciałabyś poznać moją przyjaciółkę? Ma na imię Kattah.

– Kattah? – Ayesha spojrzała na mnie ze zdziwieniem. – Co to za imię?

– Ruharskie. Ruharowie są kosmitami. Ale przyjaznymi! – dodałem, gdy dziewczynka wytrzeszczyła oczy z przerażeniem. – Kattah w ogóle nie przypomina Kristangów. Ruharowie są ich wrogami. Nienawidzą Kristangów.

– Ja też ich nienawidzę – szepnęła Ayesha, spoglądając w kierunku drzwi.

– Klasto Robbenon? – zawołałem.

Ruharska oficer weszła powoli, opierając się o futrynę i machając do ludzi. Ayesha chwyciła mnie za ramię.

- Wygląda jak królik z krótkimi uszami – szepnęła.
- My nazywamy Ruharów chomikami – odparłem, puszczając oko. – Ale nie mów jej o tym. To niegrzeczne.

Chcesz

się przywitać?

– A pójdzie pan ze mną? – upewniła się.

– Daj rękę – poprosiłem, wstając.

Przedstawienie Robbenon małej grupie okazało się trafnym pomysłem i pozwoliło Ruharce nawiązać kontakt z ludźmi w kontrolowanych warunkach. Nie trwało to jednak zbyt długo. Dwoje dzieci wybiegło z ładowni i wieść o kosmicie na naszym pokładzie rozniosła się lotem błyskawicy. Musieliśmy kontrolować wstęp do sali rekreacyjnej i wpuszczać cywili w niewielkich grupach. Robbenon zachowała się profesjonalnie, a może po prostu tęskniła za domem i dzieckiem, w każdym razie okazywała ludziom jak największą sympatię. Zasiadła się w ładowni na wiele godzin, przegapiła nawet porę kolacji. Odpowiadała na pytania i pozwalała dzieciom dotykać swojego miękkiego futra. Ja w tym czasie przekazałem nadzór kapitan Frey, która ogłosiła koniec zabawy, gdy kłasta była już wyraźnie zmęczona. Ostatecznie cała impreza okazała się sukcesem, o którym cywile żywo dyskutowali następnego dnia. Potem zapoznaliśmy ich z Jeraptha. Co tam się działo!

*

– Jesteś pewien?

Staralem się wyciągnąć od Skippy'ego zdecydowaną odpowiedź. Oznajmił, że napęd skokowy jest naprawiony i w pełni sprawny, więc wezwałem go, aby omówił to ze mną i z Simms.

– Tak, na tyle, na ile mogę być, zanim użyję tego cholerstwa. Odpowiedź powinna więc brzmieć: chyba na pewno.

- Na ile jesteś pewien co do tego twojego „chyba na pewno”?
- Chyba na pewno, na mur beton, Joe. Na sto procent. Hmm, no, może na osiemdziesiąt. Czy raczej siedemdziesiąt pięć. Cholera, przez ciebie sam zaczynam się martwić.
- Praca zajęła Skippy’emu siedem godzin dłużej, niż oszacował. Napęd i tak nie był jeszcze do końca naprawiony, ale okręt mógł z nim wykonać pół tuzina skoków. Zależało mi, żeby skoczyć od razu, bez ryzyka eksplozji czy dalszych uszkodzeń w delikatnym module. Nasza rozłąka z „Latającym Holendrem” trwała już dziewięć dni. Chang z pewnością zamartwiał się o nasz los.
- Musimy wykonać skok próbny, prawda? – upewniłem się. – Powiedz mi więc, czy ma to znaczenie, czy skoczymy na krótki dystans, czy przez całą drogę z powrotem.
- Z powrotem, czyli dokąd? – spytał blaszak.
- Do miejsca, skąd skoczyliśmy. Tylko tam może nas odnaleźć Chang. Mam nadzieję, że już na nas czeka.
- Długość takiego skoku to zaledwie dwadzieścia dziewięć dni świetlnych. Będzie to dobry test, nie bardziej ryzykowny, niż gdybyśmy mieli skoczyć na kilka minut świetlnych.
- Świetnie. – Wreszcie doczekałem się odpowiedzi. – Simms, czy ma pani jakieś zastrzeżenia?
- Nie. – Oficer wykonawcza potrząsnęła głową. – Chcę już mieć to za sobą.
- Jak my wszyscy – przyznałem.
- Skok jest już zaprogramowany w systemie nawigacyjnym – zameldował Skippy z nutką dumy w głosie.
- Pilot! – Starłem się, by mój głos brzmiał władczo. – Skok w opcji Delta. Wykonać!
- *
- Niech to szlag! – Rąbnąłem pięścią w podłokietnik.

Zamontowany na nim panel na szczęście był zablokowany, by ćwierćinteligent taki jak ja nie wystrzelił przez przypadek pocisków. – Gdzie oni się podzieli?

– Cierpliwości, sir – poradziła Simms. – Chang zapewne umiejscowił okręt kilka sekund świetlnych dalej, dla bezpieczeństwa.

– No tak. – Brzmiało to sensownie, tyle tylko, że „Walkiria” wróciła w to miejsce przed trzema minutami, a „Holender” nadal się nie odzywał. – Skippy, daj sygnał boi, którą tu zostawiliśmy.

– Przykro mi, Joe, ale już to zrobiłem i boja nie odpowiada. Obawiam się, że mogła ulec uszkodzeniu przez zaburzenia czasoprzestrzenne, kiedy skoczyliśmy stąd wcześniej.

– Odpal aktywne czujniki i szukaj dalej!

Dwie minuty później Skippy westchnął ciężko.

– Niestety, Joe, po boi nie został nawet ślad.

– Cholera jasna! Bez niej Chang nigdy nas nie zlokalizuje. Czy cokolwiek wskazuje, że był tu „Holender”?

– Nie – odparł Skippy. – Wykrywam jedynie bardzo słabe sygnatury rezonansu skokowego. Nie mogły pojawić się tu niedawno. Nie dam też rady ustalić typu jednostki.

– Trudno. Nie ma sensu marnować czasu. Skaczemy w umówione miejsce spotkania. Chang na pewno by tam poleciał. Jeśli Chang rzeczywiście dotarł na miejsce spotkania, to już dawno go tam nie było. Wykryty przez Skippy’ego nikły rezonans wskazywał, że jakiś okręt był tam ponad tydzień temu.

– Nie jest dobrze. – Podparłem głowę dłońmi.

Chang nie mógł zostawić boi, bo „Holender” ich nie posiadał. Zostało nam tylko pięć sztuk tych urządzeń i wszystkie były na „Walkirii”. Założyłem, że jako jednostka wspierająca

„Holender” pozostanie w jednym miejscu, gdy nasz krążownik będzie udawał się w nieprzewidziane miejsca i podejmował ryzyko. Jak widać, myliłem się. Musiałem pamiętać, żeby zlecić Skippy’emu produkcję nowych boi. Oczywiście, kiedy już upora

się z wytwarzaniem innych gratów, których potrzebowaliśmy, żeby utrzymać na chodzie nasze dwa okręty.

Teraz już jeden okręt.

– Simms, co pani o tym sądzi? Jak możemy znaleźć

„Holendra”?

– Sir... – zaczęła z wyrazem bólu na twarzy – problem w tym, że to niemożliwe. „Holender” może być wszędzie. – Nie dopowiedziała tego, czego wszyscy się obawialiśmy. Okręt mógł

przepaść bezpowrotnie. – Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to powrót na Rikers. Sprawdzimy, czy Chang też się tam udał, kiedy nas tu nie zastał.

Pogładziłem się po włosach. Odrosty już na tyle, że nie musiałem wечно chodzić w czapce.

– To strzał w ciemno – mruknąłem, częściowo do siebie. – Jeśli ich tam nie znajdziemy... – Zawiesiłem głos.

– Co wtedy, sir? – zapytała Simms szeptem, nachylając się do mnie.

– Nie wiem. Ma pani rację. „Holender” może być wszędzie. Nigdy go nie odnajdziemy.

ROZDZIAŁ 18

Dwa dni po powrocie do miejsca, na które wskazywały współrzędne skoku „Walkirii”, Reed siedziała samotnie w fotelu pilota i rozmyślała. Zbliżał się koniec jej wachty. Sami zamierzała zjeść późny obiad, a potem pójść na siłownię. Co prawda wybór dań w mesie nie był zbyt...

Konsola się zaświeciła.

– Są! – Reed wduśiła przycisk, by zaalarmować resztę załogi.

Całą dwunastkę ludzi. – „Walkiria” tu jest!

Już po chwili Chang wpadł na mostek, mrugając, by pozbyć się resztek snu. Wcześniej drzemał w gabinecie, a kark miał nadal zeszywniały po długotrwałym siedzeniu w niewygodnej pozycji. Zanim zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie, Samantha wskazała ekran główny.

– Nie wygląda na uszkodzoną. Mogła się przesunąć w czasie, ale wyskoczyła siedem metrów od docelowych współrzędnych. Nie wiem, co nawaliło w jej napędzie, ale na pewno nie wpłynęło to na precyzję.

Chang rozsiadł się w fotelu z szerokim uśmiechem i wcisnął kciukiem guzik transmisji.

– „Walkirio”, spóźniliście się na imprezę. Nieźle was przeniosło w czasie.

Na ekranie pojawiła się twarz Bishopa. Pułkownik nadal miał na głowie bejsbolówkę, ale wyglądał na o wiele zdrowszego.

– Cześć, Kong – powiedział. – Jak to przeniosło nas?

– Dla was było to jak mgnienie oka, co? – Chang nie przestawał się szczerzyć. – Nie było was przez dziewięć dni. Utknęliście w tunelu skokowym.

– Aha... – Bishop się zarumienił. – Nie. Dobrze główkowaliście, ale po prostu zniosło nas sześć dni świetlnych od celu. Skok rozpieprzył napęd, a Skippy potrzebował czasu, żeby go naprawić.

Chang odchylił się ze zrezygnowaniem i wymienił z Reed zdziwione spojrzenia.

– Czyli nie było przesunięcia w czasie?

– Przykro mi, ale nie. – Bishop wzruszył ramionami. – Choć wiem, że byłoby to o wiele ciekawsze.

- Sir? – wtrąciła się Reed. – Co się właściwie stało?
Bishop potrząsnął głową.
- To długa his...
- Co się stało?! – krzyknął Skippy. – Otóż dałem pokaz czystej, nieskrępowanej wspaniałości! Wróciłem, złotko! Znowu tu rządzą, wielki i niesamowity!
- I skromny jak zawsze – dodał Chang, zasłaniając twarz dłonią.
- Kong. – Bishop klasnął. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że was widzę! Skąd wiedzieliście, że powinniście tu przylecieć? Boja musiała ulec zniszczeniu. Nie znaleźliśmy po niej śladu.
- Tylko się uszkodziła – sprostował Chang. – Wzięliśmy ją na pokład, żeby Agada odczytała współrzędne skoku.
- Czekaliście tutaj całe dziewięć dni?
- Nie tutaj. To dopiero długa historia!
- Zapraszam na „Walkirię”. – Joe machnął ręką. – Opowiesz mi wszystko przy szklance szkockiej.
- Nie rozumiem jednego... – Chang był zbity z tropu. – Skoro sądziliście, że boja przepadła, nie mieliście powodów sądzić, że przylecieliśmy akurat tutaj. Dlaczego...
- Nie szkodziło spróbować. Pomyślałem, że po całym tym syfie, przez który przebrnęliśmy ostatnio, wszechświat zaciągnął u nas spory dług.

*

Chang był zaskoczony, że „Walkiria” wróciła nie wiadomo skąd i że nie zagubiliśmy się w czasie. Wydawał się nieco rozczarowany. Prawdę mówiąc, ja też wolałbym mieć do opowiedzenia bardziej zajmującą historię.

Agada była równie zdumiona, gdy dowiedziała się o swoim „dziecku”. Współczułem jej, bo cała ta sprawa wyraźnie ją krępowała do czasu, aż ustaliła pełen zakres protokołów

komunikacyjnych i porozmawiała z Bilbym. Jej zdaniem musiał jeszcze dojrzeć, aby przejąć pełną kontrolę nad okrętem. Mimo to Agada była bardzo dumna, gdy tymczasem Skippy'emu młoda SI wciąż działała na nerwy.

Bilby spodobał się załodze, kiedy już się ujawnił. Ludzie cieszyli się głównie z tego, że młodziak jest dla Skippy'ego źródłem nieustających męczarni.

Prawdę mówiąc, mnie też się to podobało.

Cywilie pozostali na „Walkirii”. Nie zamierzałem na razie zabierać krążownika na akcję, a ocaleni Ziemianie mieli zapewne dość skakania pomiędzy okrętami jak piłeczki pingpongowe. Przeprowadziliśmy natomiast pewne zmiany w składzie załogi. Na naszym pokładzie pojawiło się parę nowych twarzy, w tym ludzie, których nie widziałem od czasu powrotu z Rikers. Byli wśród nich żołnierze STAR. Spotkałem się z nimi, kiedy wszedłem na siłownię. Zdziwili się na mój widok i sprawiali wrażenie, jakby dręczyło ich poczucie winy.

– Eee... – Spojrzałem na kapitan Frey, otoczoną ludźmi niedawno przeniesionymi z „Holendra”. – Co się dzieje?

– Skippy – wysyczała Kanadyjka – miałeś nas uprzedzić, gdyby pułkownik był w pobliżu.

– Oj! Mój błąd – zachichotał blaszak. – Aktualnie sprawdzam procedury kontrolne czujników wewnętrznych. Musiałem się na chwilę wyłączyć. Bardzo przepraszam.

– Jaaasne – zbyłem Skippy'ego. – Kapitan Frey, co tu robicie? Oczywiście, jeśli mogę wiedzieć...

– Sir. – Zwiesiła ramiona z rezygnacją. – Teraz kiedy oba okręty są znowu razem i działają, chcieliśmy sprawić panu jakiś podarunek powitalny. Coś ładnego.

– Aha – stropiłem się. – To bardzo miło z waszej strony. Dziękuję.

– Ktoś zaproponował świecznik. – Frey zgromiła wzrokiem grupę żołnierzy przestępujących wstydliwie z nogi na nogę na podłodze do aerobiku. – Ponieważ ten ktoś w ogóle nie chce się postarać.

– Cóż, świecznik zawsze się przyda.

– Ale to takie sztampowe! Świeczniki daje się, kiedy nie ma się innego pomysłu na prezent. Mógłby nam pan coś podpowiedzieć?

– Kurczę, Frey, nie wiem...

– To proste! – szydził Skippy. – Joemu przyda się pudełko gumek.

– Gumek? Znaczy... – Frey otworzyła szeroko oczy.

Widziałem, że intensywnie myśli. Ucieszyła się, że mogą w końcu zrobić użytek z prezerwatyw, i zachodziła w głowę, kim może być szczęśliwa wybranka.

– Skippy – jęknąłem – wcale nie potrzebuję...

– Joe, przynajmniej spróbuj być dorosły i odpowiedzialny. Twój prysznic się nie zabezpiecza, więc powinieneś przynajmniej...

– A ty znowu swoje?!

– Szczerze mówiąc, dziwię się, że jeszcze nie zrobiłeś mu dziecka!

Cóż, tego dnia postanowiłem odpuścić sobie siłownię.

Później dostałem od załogi całkiem ładny kubek do kawy. Był na nim napis „Ucieczka z Rikers”, stylizowany na logo rodem z plakatu filmowego.

Nikt nie patrzył mi w oczy, gdy przyjmowałem podarunek. Nie cierpię tej wrednej, rozgadanej puszki!

*

Jeszcze zanim Chang przybył na „Walkirię” na drinka, aby uczcić spotkanie okrętów, posłuchaliśmy rady Simms i

skoczyliśmy gdzieś daleko. Thuranie mogli już krążyć wokół nas jak rój wściekłych szerszeni. Co gorsza, istniała możliwość, że w pobliżu Rikers są także inni obcy. Tamta samotna fregata zauważyła „Walkirię” i rozpoznała w niej straszliwy okręt widmo. Jeżeli Thuranie chcieli się podlizać patronom, mogli donieść o nas Maxolhxom. Musieliśmy się zwijać. Gdy już skoczyliśmy, Chang wszedł na pokład, a niektórzy ludzie wrócili z „Walkirii” na starego, dobrego „Holendra”. Kong i ja zasiedliśmy nad szklankami wybornej szkockiej single malt i wymieniliśmy się raportami. Cieszyliśmy się przy tym, że jako dowódcy wywodzący się z armii, nie musieliśmy przestrzegać reguł marynarki wojennej. Picie alkoholu byłoby źle widziane na takiej jednostce.

Po wymianie historii musiałem podjąć decyzję.

– Kong... – Zakołysałem ciężką szklanką, zdradzając przez to, że rozmyślam nad trudnym problemem. – Kiedy Skippy naprawiał napęd, spotkałem się z ludźmi, których zabraliśmy z Rikers.

– Ach tak. – Zrozumiał, o co chodzi. Albo przynajmniej tak to odebrałem. Uniósł podbródek, zachęcając, żebym mówił dalej.

– Odbylem z niektórymi dorosłymi coś w rodzaju grupowej sesji terapeutycznej. Opowiedzieli mi, co się z nimi działo i jak zdołali przetrwać. A także jak zginęło wielu z nich. Jak dorośli poświęcali się, by chronić dzieci. – Ścisnąłem szklankę tak mocno, że lada chwila mogła pęknąć. – Wyjawili, co robiły im te sadystyczne, łuskowate skurwiele.

– Wiem, Joe. – Kong odstawił drinka. – Słyszałeś o arenie?

– Tak.

Kiedy Kristangowie ustalili, że ich jeńcy są chwilowo nieprzydatni, jeszcze zanim Thuranie wyszli z ofertą kupna więźniów, przywódcy klanów znaleźli rozrywkę dla siebie i

swoich niewyżytych podwładnych. Zmuszali ludzi do walki na śmierć i życie. Dorośli musieli mierzyć się z krystańskimi wojownikami, potem z uzbrojonymi po zęby młodymi jaszczurami, a następnie z dzikimi zwierzętami. Co najgorsze, aby zapewnić sobie lepsze widowisko, Kristangowie wybierali najzdrowszych Ziemiaków. Ranni i chorzy mieli zajmować się uprawami i opieką nad dziećmi.

A gdy ludzkie dziecko stawało się nastolatkiem, również mogło trafić na arenę.

– Chcesz im dowalić – domyślił się Chang.

– Nie. – Łyknąłem resztkę szkockiej. – Chcę, żebyś wybił mi to z głowy.

Kong najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Skoro mnie o to prosisz, chyba tak naprawdę sam już zrezygnowałeś.

– Sęk w tym, że nie chcę rezygnować. – Uderzyłem pięścią w blat. – Wiem, że nie jest to mądre zagranie. Powrót na Rikers to zbyt wielkie ryzyko. Przecież jest tam thurańska grupa bojowa, a kto wie, może i okręty Maxolhxów? Ale mimo to... Cholera, jak długo jeszcze będziemy obrywać po dupie?

– Pragniesz więc zemsty. – Chang skinął głową.

– Pragnę, żeby jaszczury zapłaciły za swoje zbrodnie!

– Mhmm... – Przez chwilę milczał, patrząc w biurko. Potem spojrzał na mnie. – Lubisz Tolkiena?

– Hmm... W dzieciństwie oglądałem „Władcę Pierścieni”. A potem, w liceum, przeczytałem książki. Czemu pytasz?

– Wybacz, jeśli coś pomyłę. Był taki krasnolud imieniem...

Thrain? Tak, chyba tak. Dowiedział się, że orkowie zabili króla krasnoludów. Nie pamiętam, jak się nazywał. W każdym razie orkowie nie tylko zamordowali tego władcę, ale zbeczęścili jego ciało i rzucili je na pożarcie wronom. Thrain rozmyślał o

tym przez tydzień, po czym oznajmił, że nie godzi się na coś takiego. Powiódł swój lud na długą, straszliwą wojnę. Ostatecznie chyba zdołał pozabijać orków i pomścić króla. Ale nic się nie zmieniło, Joe. Orkowie mordowali krasnoludów jeszcze przed wojną i nie zaprzestali zabijania już po niej. Wielu krasnoludów okupiło zemstę własnym życiem.

– No tak. – Zrozumiałem, co chciał mi przekazać. – Nie wróciło to życia królowi. Thrain posłał wielu krasnoludów na śmierć, zupełnie bez sensu.

– Niezupełnie. Choć rzeczywiście nie miał ku temu dobrych powodów. To i tak niczego nie zmieniło.

– Kong, czasami naprawdę mam, kurwa, dość tej roboty.

– Joe, nie wiem, jak jest w Armii Stanów Zjednoczonych, ale w chińskiej... – Pokręcił smutno głową. – Jeśli jesteś zadowolony, to znaczy, że robisz coś źle.

– Jasne. Dzięki. Ale przyjdzie kiedyś czas...

Chang rozlał resztę whisky i wzniosł toast.

– Kiedyś.

Stuknęliśmy się szklankami i wypiliśmy do dna.

– Kiedyś – powtórzyłem, jakbym składał przysięgę.

Bo tak właśnie było.

*

Po zakończeniu przeprowadzek między okrętami zaczęliśmy skakać w kierunku najbliższego tunelu Pradawnych, chcąc uciec, zanim przybędą siły Maxolhxów. Ku mojemu zaskoczeniu Chang nie tylko zaproponował, że przekaże mi stanowisko dowódcy, ale wręcz nalegał, żebym się zgodził. Nie byłem pewien, czy jestem na to gotowy. Skippy twierdził, że choć musiałem kontynuować leczenie, funkcje wykonawcze mojego mózgu wróciły do normy. Gdy o tym mówił, jego ton sugerował, że blaszak daje mi taryfę ulgową i nie ma

wygórowanych oczekiwań co do moich zdolności decyzyjnych, ale nie była to dla mnie żadna nowość.

– Skippy – zwróciłem się do niego w kabinie, gdzie mogliśmy pogadać na osobności. Mógłbym też rozmawiać z nim w gabinecie, za zamkniętymi drzwiami, ale wówczas załoga mogłaby to źle odebrać. – Masz pewność, że jestem gotowy?

– Tak.

– Mógłbyś powiedzieć coś więcej? Jeszcze niedawno twierdziłeś, że nabawiłem się poważnych uszkodzeń mózgu. A teraz nagle wyzdrowiałem?

– Hmm... Tak naprawdę twój stan nigdy nie był aż tak ciężki, Joe.

– Co?! Powiedziałaś przecież...

– Powiedziałem to, co musiałeś usłyszeć, aby podejść do terapii na poważnie.

– Kłamałaś?

– Owszem, ale w dobrej wierze. Nie zamierzam cię za to przeproszać. Gdybyś nie pozwolił podawać sobie leków i nie przykładał się do leczenia, byłbyś teraz w jeszcze gorszej kondycji. Wiedziałem jednak, że nie podejdziesz do sprawy z powagą, jeśli nie wyolbrzymię tego i owego. Dlatego wróciłeś do zdrowia. Przynajmniej jeśli wierzyć tomografowi. Jak się czujesz?

– Czuję, że najchętniej wyrzuciłbym cię przez służbę.

– Zadałem zupełnie poważne pytanie, patałachu.

– No dobrze... – Zacisnąłem pięści, żeby rozładować gniew. – Czuję się dobrze. Normalnie. Nawet lepiej niż zwykle.

– To znakomicie.

– Nie okłamuj mnie więcej w takich sprawach! – Pogroziłem mu palcem.

– Nie.

– Nie? Masz na myśli, że to się nie powtórzy?
– Chodzi mi o to, że nie mogę obiecać, że już cię nie okłamię. Znam cię, Joe. Jesteś żołnierzem. Zgrywasz twardziela akurat wtedy, kiedy powinieneś szukać pomocy. A jako typowy facet, odkładasz wizytę u lekarza, dopóki nie będziesz miał innego wyjścia. Poza tym z natury jesteś nieuleczalnym kretynek. Czasami, jako przyjaciel, muszę cię chronić przed tobą samym. Jeśli spodziewasz się przeprosin za to, co zrobiłem, możesz się nie doczekać.
– Niech cię szlag. – Wiedziałem, że ma rację. – Obiecaj przynajmniej, że nie skłamiesz w jednej kwestii. Czy całkowicie wyzdrowiałem?
– Prawie. – Awatar wzruszył ramionami. – Przepalonych neuronów nie dało się naprawić. Powiem tyle, że twój mózg zdołał się przestroić, a wyniki twoich testów zdolności poznawczych są nawet nieco lepsze niż przed wypadkiem.
– Mam dalej grać w te gry dla mózgu? – Wskazałem na laptopa.
– Na pewno ci to nie zaszkodzi. Jeśli chcesz marnować czas, możesz rozruszać mózgownicę, zamiast znowu siedzieć przy „Super Mario Cart 25”.
– No tak. – Żadna strata. I tak byłem beznadziejny w „Mario Cart”.
I tak oto objąłem dowodzenie. W praktyce oznaczało to, że Chang rządził na „Holendrze”, Simms zajmowała się większością prac na „Walkirii”, a ja grałem w gry wideo. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że były to gry terapeutyczne!

*

Idealna okazja, aby podzielić się z załogą rewelacjami o

przeszłości Skippy’ego, jakoś nie chciała się nadarzyć. Musiałem więc wybrać wystarczająco dogodną chwilę. Odkąd mnie uratowano, usiłowałem wymyślić dobry, racjonalny powód, dla którego Skippy nieoczekiwanie odzyskał wspomnienia. Powód niemający nic wspólnego z nagłym zniknięciem mikrotuneli i porwaniem mnie przez Thuránów, którzy chcieli wyjąć i zbadać mój mózg. A także z tym, że załogi i pasażerowie obu okrętów niemal ponieśli śmierć w zimnej otchłani kosmosu.

Utrzymywaliśmy, że kiedy Skippy odbudowywał arcyskomplikowane komputery „Walkirii”, dotarł do ukrytych obszarów własnej macierzy i znalazł sposób, by uzyskać dostęp do zastrzeżonych danych.

Tak, tak, wiem, była to denna wymówka, ale czasu mieliśmy niewiele, a Chang, Simms i Smythe ciągle wypytywali, dokąd zamierzamy polecieć. Aby móc wydawać rozkazy, musiałem wyjawić, dlaczego podejmuję takie, a nie inne decyzje.

Dla uproszczenia spisałem listę przedstawiającą Księgę Objawień Skippy’ego w telegraficznym skrócie. Blaszak ekscytował się, że już wkrótce podzieli się z załogą swoimi odkryciami. Powinno to wzbudzić moje podejrzenia, ale znowu źle sypiałem i mimo że mój mózg znajdował się w szczytowej formie, byłem zbyt zmęczony, by właściwie z niego korzystać. Tak czy inaczej, sprawdziliśmy wspólnie listę, abym miał pewność, że Skippy skoncentruje się na najważniejszych kwestiach i nie będzie trwonił czasu na zbędne detale. Ale że cała historia kręciła się wokół niego, był przekonany, że każdy, nawet najdrobniejszy szczegół jest na wagę złota.

– Skippy... – Położyłem głowę na biurku. Tym razem wyjątkowo zamknąłem drzwi gabinetu.

Simms poleciła ludziom, żeby dali mi w spokoju wrócić do

zdrowia, a sama zawsze uprzedzała przez telefon o swoich wizytach. Na pewno sądziła, że poświęcam czas głównie na granie, co było częściowo prawdą. Ale przecież robiłem to, aby ćwiczyć mózg i wspomagać rozwój ścieżek neuronowych. Czy coś takiego. Poza tym te gry wcale nie były wciągające. Podejrzywałem, że Skippy chciał mi zrobić na złość, ale nie mogłem tego udowodnić. Do tego testy zdolności poznawczych, które musiałem robić każdego ranka, szły mi coraz lepiej, więc wołałem się nie wyklócać.

– Jeszcze raz... Owszem, musisz przedstawić jakieś tło dla swoich objawień, ale za bardzo się rozdrabniasz. Niektóre z tych rzeczy...

– Tło informacyjne to kluczowa sprawa, Joe!

Wyprostowałem się w fotelu, przeczuwając długą kłótnię.

– Możesz umieścić takie dane w załączniku. Każdy go przeczyta sam, w wolnej chwili.

– Nic z tego! To, co określiłeś jako tło, stanowi dramatyczną scenę otwierającą i większość aktu pierwszego! Jeśli nie wzbudzę emocji, publiczność nie doceni...

– Chwileczkę... Aktu pierwszego? O co ci chodzi?

– Cóż, Joe, chciałem zabawić załogę, a przy tym wynagrodzić jej moją drobną, chwilową pomyłkę. Zamierzam więc przedstawić swoje objawienia w formie opery!

– Opery? Skippy, mieliśmy się streszczać.

– Przecież wiem. Nie jestem Wagnerem, żeby robić z tego tetralogię.

– Tetra... co? – Nie znałem tego słowa. Czy chodziło mu o naukę o teatrze? Nie, to by była teatrologia.

– Ech... Mówię, rzecz jasna, o czteroczęściowym dziele „Der Ring des Nibelungen”. – Wypowiedział ten tytuł hiperpoprawną, chrapliwą niemczyzną. – O czterech epickich

operach Ryszarda Wagnera, które miały swoją premierę w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym. „Das Rheingold”, „Die Walküre”, „Siegfried” i wreszcie „Gotterdammerung” – wyliczał, niezdrowo podniecony.

– Aż cztery? – Zadrżałem na samą myśl. – Czekaj, czekaj...

Czy to nie stąd wzięło się powiedzenie: „Przedstawienie trwa, dopóki nie zaśpiewa gruba dama” ③? Bo rzeczywiście była tam chyba taka śpiewająca babka przy kości, w rogatym hełmie.

– Nie żadna „babka przy kości”, tylko walkiria Brunhilda!

Ech, jak widzę, upierasz się, by pozostać nieokrzesanym abnegatem, więc nie zamierzam dłużej o tym z tobą dyskutować. Powiem tylko, że opera o moich objawieniach potrwa zaledwie trzy godziny.

– Trzy godziny?!

– Plus antrakt. I jeszcze... – westchnął – nieuchronne bisy. Na wszelki wypadek nastawmy się na cztery godziny.

– Lepiej ty nastaw się, że publiczność będzie błagać o śmierć już po dwudziestu minutach, pajacu. Żadnej opery!

– Ale...

– Żadnej... opery!

– W porządku. Podejrzywałem, że to powiesz, więc mam w zanadrzu coś jeszcze lepszego. Zaprezentuję swoje odkrycia jako przebojowy musical rodem z Broadwayu! Chcesz już teraz usłyszeć chwytający za serce wielki finał?

– Nie, Skippy. Żadnej muzyki! Bądź poważny... Och, znowu mnie głowa boli. Błagam, mógłbyś choć przez chwilę mnie posłuchać?

– Czy robi ci różnicę, jeśli będę cię ignorował i co jakiś czas wtrącał „mhm”?

– Raczej nie.

– A zatem mów śmiało.

Potem było już tylko gorzej. Koniec końców ustaliliśmy, że wrócimy do tej rozmowy, ale najpierw będę musiał się zdrzemnąć. Ku własnemu zaskoczeniu spałem całkiem dobrze. Tak dobrze, że lewy bark i biodro pobolewały mnie po przeleżeniu godziny w jednej pozycji, a gdy się obudziłem, głowę miałem w kałuży śliny.

Żyć nie umierać.

*

– Zaczniemy od początku? – zapytałem następnego ranka, siadając za biurkiem z filiżanką świeżo zaparzonej kawy.

– Serio? Joe, daj spokój. Ledwie dotarłeś do połowy pierwszego poziomu i już chcesz, żebym zresetował grę?

– Nie mówię o grze. Porozmawiajmy o tym, jak zamierzasz powiedzieć wszystkim o odzyskanych wspomnieniach.

– Aha. Jasne.

– A swoją drogą, ta ostatnia gierka jest do dupy. Nie bardzo wiem, co w ogóle powinna robić moja postać, a reguły są całkiem...

– Sam jesteś do dupy, a rozpracowanie reguł to część rozgrywki. Takie wyzwanie pobudza pamięć i funkcje wykonawcze, natomiast poruszanie się bohaterem wspomaga orientację przestrzenną i koordynację wzrokowo-ruchową.

– Skoro tak mówisz... Ale czy głównym bohaterem musi być małpa?

– A miałem inny wybór?

– Dobra, zostawmy ten temat. – Dalej twierdziłem, że ta gra jest badziewna. – Uzgodniliśmy, że nie będzie oper ani broadwayowskich musicali.

– Niczego takiego nie uzgodniliśmy. Po prostu zachowujesz się jak wstrętny śmierdziel!

– Ja tak ustaliłem i koniec.

- Niech ci będzie. Aby spełnić te skandaliczne wymagania, zrewidowałem swój plan. Aktualnie zamierzam zaprezentować dramatyczny odczyt moich objawień.
- Żadnego dramatyzowania.
- O rany – jęknął. – Z tobą to żadna zabawa. No dobrze, zamulaczu jeden, to jak chcesz o tym opowiedzieć?
- Skippy, w skład załogi wchodzi żołnierze, marynarze, lotnicy i marines. Jesteśmy zawodowcami i wszyscy znamy jedno kluczowe narzędzie, dające każdej organizacji wojskowej zabójczą siłę.
- Radio? – zgadywał.
- Pudło.
- Naprowadzane pociski?
- Też nie.
- Monitoring satelitarny? Broń atomową?
- Nic z tych rzeczy.
- Poddaję się. Co to takiego?
- Power Point!
- Że jak? Co w nim takiego zabójczego?
- Dla słuchaczy to coś gorszego od śmierci. Widać nigdy nie musiałeś siedzieć na dwugodzinnym spotkaniu, gdzie jakiś palant czytał slajdy z ekranu, słowo po słowie. Po dziesięciu minutach walczysz ze sobą, żeby nie zasnąć i nie spaść z krzesła. Prezentacje to najlepszy sposób, żeby uspić publiczność. Ludzie odpłyną gdzieś myślami i będą cię ignorować, dopóki nie zajarzą, że masz coś ważnego do powiedzenia.
- Takie to wspaniałe?
- Tak, bo dzięki temu nie będą mieli czasu, żeby zdemaskować nasze kłamstwo o tym, jak odzyskałeś wspomnienia.

– Aha. Joe, czasami zapominam, że pomimo niewiarygodnego intelektu wciąż nie potrafię się obchodzić z małpami. Ty jesteś w tych sprawach ekspertem. Gotowy na przegląd prezentacji?

– Już ją przygotowałeś?

– Tak, zająłem się tym, kiedy ględziłeś.

– Dajesz.

Prezentacja okazała się całkiem niezła. Kazałem Skippy’emu wprowadzić tylko parę zmian. Na przykład wymienić jego grafiki na standardowe, aby słuchacze skupili się na treści, a nie na ładnych obrazkach. A także usunąć jaskrawe odniesienia do blaszaka. Były na każdym slajdzie! Pozbyliśmy się jeszcze paru nieistotnych drobiazgów. Chciałem, by ludzie sami do nich dotarli już po spotkaniu. Pozwoliłoby to odwrócić ich uwagę od rażących dziur w naszej wersji wydarzeń.

– Ostatnia sprawa – dodałem. – Zrezygnujmy z nazwy Księga Objawień Skippy’ego. Ty i ja możemy tak na to mówić, ale niektórzy mogliby się poczuć urażeni.

– To akurat był twój pomysł, Joe.

– Tak, ale jakoś przestał mnie bawić.

Gdy prezentacja była gotowa, Skippy zaczął dopytywać o termin.

– Trzeba załatwić to jak najszybciej, Joe. Chang zadaje mnóstwo pytań, jakby wiedział, że zaszła we mnie jakaś zmiana.

– Powiedziałeś mu, jak bardzo ci wstyd, że spanikowałeś i zerwałeś połączenia?

– Tak, choć było zupełnie inaczej. Ta wersja i tak jest dla mnie upokarzająca.

– Fakt. Ale w rzeczywistości było jeszcze gorzej. Może po prostu powiemy wszystkim prawdę?

– Nie działajmy pochopnie, Joe.
– Tak myślałem. – Spojrzałem na laptopa. Żadne lądowiki nie wylatywały z okrętów. Fabron przygotowywał swoich komandosów na ćwiczenia poza „Walkirią”, ale mieli wyjść przez śluzy dopiero za czterdzieści minut. Harmonogram obsługi i konserwacji nie przewidywał niczego ważnego przez najbliższe pięć godzin. – Gotowy?
– Ale... Już teraz?
– Tak, teraz. Czy to niewłaściwy moment?
– Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie. Agada wie, że przeprowadzam kompleksową analizę macierzy Bilby’ego.
– Do dzieła.
– Okej. Trzy, dwa, jeden... Przedstawienie czas zacząć! Światła zamigotały. Zakłócenia sztucznej grawitacji wywołały u mnie uczucie motyli w brzuchu. Kiedy oświetlenie i przyciąganie wróciły do normy po niecałej sekundzie, czekałem na telefon z mostka. Simms zadzwoniła dopiero po ośmiu sekundach.
– Sir? Straciliśmy kontakt ze Skippym. Co to było, u licha?
– Chwileczkę, Simms... – Zawiesiłem połączenie na dwanaście sekund. Potem udałem, że jestem czymś dogłębnie zszokowany. – Ja pierdzieć! Simms, okręt jest cały, my też. Skippy właśnie coś odkrył... Proszę przyjść do mojego gabinetu.
Połączę się też z Changiem.

*

Simms i Chang usłyszeli ode mnie jedynie skróconą wersję wydarzeń. Potem zadawaliśmy pytania Skippy’emu. Błaszak wydawał się jeszcze bardziej rozkojarzony niż zwykle. Powtarzał te same rzeczy po kilka razy.
– Skippy, dobrze się czujesz? – zapytał Chang, kontaktujący

się z „Latającego Holendra”, oddalonego od nas o jakieś osiem kilometrów. – Mogę poprosić Agadę, żeby...

– Nic mi nie jest. – Skippy westchnął ciężko, tak przekonująco, że zasługiwało to co najmniej na nominację do Oscara dla najlepszego dupka drugoplanowego. – Po prostu, jak zapewne się domyślicie, doznałem ciężkiego szoku.

– Skippy – Simms wyciągnęła pięść w kierunku awatara – nie mamy pojęcia, przez co przechodzisz. Ale jesteśmy twoimi przyjaciółmi i będziemy cię wspierać.

Hologram przybił z nią żółwika. Skippy zaszlochał. Tym razem chyba nie udawał, naprawdę dał się ponieść emocjom.

– To wszystko kłamstwa – żalił się. – Okłamywałem się od chwili przebudzenia. Jedynym, w co mogę teraz wierzyć, jest nasza przyjaźń.

Potem bełkotał jeszcze bez ładu i składu. Wychwycił wyznania w stylu „kocham was wszystkich”, „jesteście najlepsi” i „nie zasługuję na was”. Zachowywał się jak gość na weselu, który za bardzo się rozkleił po kilku głębszych. Zacząłem się obawiać, że wygada całą prawdę, więc postanowiłem wcześniej zakończyć spotkanie.

– Musimy powiadomić całą załogę. To zbyt ważne. Nie można pozwolić, żeby zaczęły krążyć plotki. Zarządzam spotkanie wszystkich ludzi na służbie za pół godziny. Skippy, czy do tego czasu zdążysz przygotować prezentację?

– Jasne. – Pociągnął nieistniejącym nosem. Potem dodał z nadzieją w głosie: – Chyba że wolicie, abym przekazał wam informacje w formie opery?

– Raczej nie – odparłem pospiesznie.

– To może musicalu wyreżyserowanego z wielkim rozmachem?

– Może później.

– A co powiesz na dramatyczny odczyt, godzinę eposu pokroju „Beowulfa”?

– Może pogadamy o tym później? – zaproponowałem. Kątem oka zauważyłem jednak, że Simms rzuca mi karcące spojrzenie. Niech to diabli. Dopuściła do głosu swój instynkt macierzyński. Sądziła pewnie, że skoro Skippy borykał się z traumą, mógłbym mu trochę odpuścić. Nie rozumiała, że chcę wybawić od traumy załogę. – Może zrobimy tak... Przedstawisz same podstawowe fakty. A potem, jeśli ktoś zechce dowiedzieć się więcej, będzie mógł obejrzeć twój odczyt albo musical. Ale opera odpada!

– Zgoda! – Emocje, jeszcze przed chwilą buzujące w jego głosie, nagle się ulotniły. Mogłem się tego domyślić. Blaszak nabierał mnie, licząc, że zmuszę załogę do wysłuchiwania jego niemiłosiernie długich, beznadziejnych koncertów. Co gorsza, sam teraz musiałem ich słuchać!

Kiedy awatar zniknął, włączyłem tablet, żeby na nim pograć. Zauważyłem, że mój awatar zmienił się z małpy w emotkę kupy.

Chyba mi się należało.

ROZDZIAŁ 19

Ludzie potrzebowali czasu, aby przetrwać zdumiewające wieści Skippy’ego. Komandosi nieszczęśliwie się przejęli. Nic dziwnego, w końcu znali blaszaka dopiero od niedawna i jeszcze do końca nie oswoili się z myślą, że ludzie ukradli aż dwa okręty kosmiczne i sięją zniszczenie w całej Galaktyce.

– Co to wszystko oznacza? – Chang, siedzący w moim gabinecie, zakołysał szklanką. Kostki lodu zadzwoniły zachęcająco. Czasami wydaje mi się, że połowa przyjemności z picia szkockiej bierze się z całego rytuału. Wyciągnięcia ciężkiej

szklanki, wiania do niej odrobiny bursztynowego płynu,

ewentualnie dorzucenia lodu i napawania się aromatem. Na tę szczególną okazję wyciągnąłem z tajnego schowka najlepsze trunki. Sobie i Changowi nalałem whisky, a dla Simms

zrobiłem bee's knees. Nie wiem, czy piliście już tego drinka, ale jest przepyszny. Robi się go z dżinu, soku z cytryny i syropu miodowego, czyli po prostu miodu rozrzedzonego w wodzie, żeby nie osiadał na dnie kieliszka. Zawsze ma smak lata, obojętnie, gdzie i kiedy się go pije. Patrząc, jak Simms delektuje się drinkiem, prawie pożałowałem, że wybrałem szkocką, ale dla mnie i Changa był to też sposób na zacieśnienie męskiej więzi.

Simms odpowiedziała na pytanie Konga przede mną:

– Oznacza to, że Droga Mleczna jest jeszcze groźniejszym miejscem, niż sądziliśmy. Nawet jeśli jakimś cudem ochronimy Ziemię przed złoczyńcami, nasza planeta może zostać pochłonięta przez konflikt zagrażający wszystkim inteligentnym formom życia.

– Skippy. – Podniosłem głowę. SI Pradawnych tym razem nie pojawiła się w postaci awatara, zapewne nie chcąc przeszkadzać naszej trójce. – A co z Bazą Beta? Czy galaktyki satelitarne i gromady gwiazd będą bezpieczne, jeżeli inne sztuczne inteligencje się przebudzą?

– Nie ma szans, Joe – odpowiedział ponuro. – Jeśli ja mogę gdzieś dotrzeć, to one również. Oczywiście zakładając, że inne SI też znajdą kogoś, kto będzie je woził okrętem kosmicznym, a jest to całkiem możliwe. Wówczas nie będzie już dokąd uciec. Chang wbił wzrok w sufit i, co do niego niepodobne, wychylił od razu połowę drinka.

– Jakbyśmy, cholera, mieli za mało problemów... – warknął.

– Przykro mi – mruknął Skippy.

– Na razie chcę wiedzieć jedno. – Simms odstawiała drinka, zwilżając blat skroplinami z kieliszka. – Czy mierzymy się z jeszcze gorszym potencjalnym problemem?

Zatrzymałem szklankę w połowie drogi do ust. Sączyłem whisky powoli i nalałem sobie tylko odrobinę. Chociaż doktor Skippy zaręczał, że mogę wrócić do normalnego życia, topienie komórek mózgowych w alkoholu nie wydawało mi się najlepszym pomysłem.

– Czymś, co przebiję zabójcze SI nakazujące Straż ni kom eksterminowanie wszystkich rozumnych ras w Ga lak tyce? – upewniłem się. – Czy może być coś gorszego?

– Może. Na przykład coś, przez co sami Pradawni wystraszyli się i uciekli z Drogi Mlecznej – odparła. – Skippy, czego się bali?

– Tego nie wiem – powiedział. – Przykro mi.

– Jak to nie wiesz?! – zapytałem gniewnie, zły na siebie, że wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Ale cóż, mocno oberwałem po łbie i w ogóle.

– Po prostu. Nic na to nie poradzę. Albo te informacje pozostają niedostępne, albo Pradawni w ogóle mi ich nie przekazali. Hmm, a może to robak wykasował te dane, kiedy zaatakował mnie po raz pierwszy? To doprawdy frustrujące. Joe, odkąd odzyskałem wspomnienia, analizuję je szczegółowo. Niepokoi mnie, że niektóre dane nie trzymają się kupy. Natrafiłem na błędne daty albo sprzeczne detale.

– Do jasnej... – Prawie rozlałem szkocką. – Kiedy zamierzałeś nam o tym powiedzieć?

– Mówię właśnie teraz.

– Ty... – Byłem tak wściekły, że musiałem zebrać myśli. –

Czyli

mówisz, że te odzyskane wspomnienia mogą okazać się gówno

wartymi kłamstwami?

– Ekhm...

– To nie jest odpowiedź. – Wycelowałem w niego palec.

– Nie. Czy ta odpowiedź cię zadowala? Nie, to nie kłamstwa.

Przynajmniej nie wszystko. – Jego hologram pojawił się i spojrzał na mnie, potem na Simms i Changa. – Joe, Jennifer, Kong, robię, co w mojej mocy. Kiedy odzyskałem dostęp do wspomnień, były one bezładną kotłowaniną. Możliwym, a nawet prawdopodobnym jest, że te wszystkie sprzeczności biorą się z tego, że źle dopasowałem elementy układanki. Dane mogły też się uszkodzić podczas któregoś z ataków robaka. Podstawowe fakty nie podlegają jednak dyskusji.

– No dobrze. – Odłożyłem szklankę drżącą ręką i rozsiadłem się w fotelu. – Czy ma to w ogóle jakiegokolwiek znaczenie?

– Będzie miało, jeżeli, czy raczej kiedy pozostałe SI zaczną się budzić – zapewnił Skippy.

Chang uniósł dłoń, uprzedzając kolejny wybuch złości z mojej strony.

– Czy mamy jakąkolwiek realistyczną możliwość, aby utrzymać SI w stanie uśpienia?

– Do tego właśnie zmierzałem. – Skippy spojrzał na mnie z wyrzutem. – Być może uda nam się je powstrzymać, jeżeli zdołam zweryfikować wspomnienia i dojść do tego, które z moich danych są precyzyjne.

– Jak możemy to zrobić? – pytał dalej Chang, podczas gdy ja siedziałem w milczeniu. Byłem zbyt wzburzony, żeby myśleć racjonalnie.

– Dowiedziałem się o kilku kluczowych wydarzeniach, które będziemy mogli albo potwierdzić, albo uznać za nieprawdziwe, jeśli odwiedzimy lokalizacje, w których do nich doszło – odparł Skippy.

Simms wydeła wargi, wymieniając ze mną spojrzenia.

– Nie podoba mi się to – oznajmiła. – Chodzi o miejsca, gdzie mogą być uśpione SI? To będzie jak trącanie patykiem gniazda szerszeni.

– Nie. – Skippy pokręcił głową. Wielki kapelusz admirałski zakołysał się jak okręt miotany sztormem. – Chodziło mi o to, że skierujemy się na pola bitew z zamierzchłej przeszłości i sprawdzimy, czy fakty pokrywają się z moimi wspomnieniami.

– Pola bitew? – zapytałem. – Na przykład Newark?

– Właśnie. Choć istnieją też inne miejsca, które...

– Mógłbyś spisać listę? – poprosiłem, czując narastający ból głowy. – Zanim wyruszymy zwiedzać zabytki, musimy...

– Zwiedzać zabytki?! – obruszył się Skippy.

– Wybacz, źle to ująłem. Muszę się nad tym zastanowić. To wszystko jest dla mnie kompletną nowością. – Spuściłem wzrok, aby nie dać po sobie poznać, że kłamię.

Skippy załapał, o co chodzi.

– Spoko, dla mnie to też coś zupełnie nowego. I szokującego! – dodał dla większej dramaturgii, choć mógł się już zamknąć.

Do tunelu czasoprzestrzennego mieliśmy dotrzeć za dwadzieścia dwie godziny. Do tego czasu musiałem zdecydować, gdzie polecimy i co zrobimy.

*

Chang wrócił na „Holendra”, aby odpowiedzieć na pytania swojej załogi. Tak naprawdę wiedział tyle, co i reszta. Gdyby ktoś chciał poznać dodatkowe szczegóły, musiałby wysłuchać odczytu Skippy’ego. Niewielu ludzi było na tyle zaciekawionych, by godzić się na te tortury. Chang wyznaczył dwóch podkomendnych, aby przesłuchali nagranie, streścili je i rozesłali w skrótej formie na obu okrętach. Świetny pomysł.

Że też sam na to nie wpadłem. Skippy był, rzecz jasna, oburzony, co tylko jeszcze bardziej nas cieszyło.

Co dalej? Nie wiedziałem.

Skippy nie zdradzał mi szczegółów, ale twierdził, że mamy jeszcze jakieś dziewięć tygodni, zanim spróbuje przebudzić uspiony tunel zwany Łapaczem. Polecenie aktywacji można było przesłać dopiero, gdy lokalna sieć przeniesie tunel w docelowe miejsce blisko Ziemi. Takie przenosiny były długotrwałym procesem. Mieliśmy więc kilka opcji. Mogliśmy zachować najwyższą ostrożność, dotrzeć do dalszego końca Łapacza i tam zaczekać. Wokół była tylko międzygwiazdna pustka, więc nie ryzykowalibyśmy, że zaatakują nas wrogowie. Mogliśmy też postąpić nieco mniej ostrożnie i wrócić na planetę, gdzie ćwiczyliśmy akcję ratunkową. Klub Skippy'ego nadal działał. Opuszczaliśmy go w takim pośpiechu, że zostawiliśmy mnóstwo sprzętu. Klub był dobrym wyborem, bo leżał w odosobnionym miejscu, do którego nieprędko dotrze nieprzyjaciel. Załoga i pasażerowie mogliby skorzystać z okazji do krótkiego urlopu. Latanie okrętem kosmicznym może i jest ekscytujące, o ile nie trzeba tam tkwić bez przerwy.

Jeszcze inną opcją była wyprawa ze zwiedzaniem.

Sprawdzilibyśmy, które wspomnienia niedawno odzyskane przez Skippy'ego są zgodne z prawdą. W armii takie problemy podpadają pod kategorię zarządzania zasobami. Chodzi o jak najlepsze wykorzystanie dostępnych środków. Na przykład o decydowanie, czy rozkażemy artylerzystom osłaniać pluton, który lada chwila może ugiąć się pod naporem wroga, czy też uderzymy na linie nieprzyjaciela, by nasze siły wykorzystają wyłom. Z pozoru wydaje się to łatwe. Najpierw ratujemy pluton, a potem przekierowujemy siłę ognia, żeby wesprzeć atakujących. W rzeczywistości, zanim pluton wydostanie się z

niebezpiecznej sytuacji, szansa na atak może zostać...
„zweryfikowana przez wydarzenia”. Trzeba też wziąć pod uwagę, że kierując się na linię wroga, będziemy mogli odciążyć pluton i w ten sposób upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. To czysto hipotetyczny przykład, ale rzecz w tym, że wojsko ma ograniczone zasoby, a dowódca musi je należycie wykorzystać, by osiągnąć cel.

Mój problem był nieco bardziej złożony. W pierwszej kolejności musiałem ustalić, jaki właściwie mamy cel. Jaki użytek powinniśmy zrobić z naszych okrętów kosmicznych? Aby pomóc sobie w podjęciu decyzji, przejrzałem listę lokalizacji, które chciał odwiedzić Skippy. Niektóre wydawały się interesujące, inne uznałem za zbyt niebezpieczne, by się do nich zbliżyć.

– Skippy, mam pytanie co do tej listy.

Awatar pojawił się przede mną.

– Jeśli chodzi o to, że nie ułożyłem nazw w kolejności alfabetycznej...

– Nie, nie. Widzę, że uszeregowałeś je według czasu podróży. To bardzo pomocne. Zastanawiam się tylko, po co w ogóle mielibyśmy tam latać?

– Chyba żartujesz! Przecież już to wyjaśniałem. Mu si my się dowiedzieć, które z moich wspomnień są prawdziwe, a które...

– Wcale nie musimy.

– Jak to? – Wpatrzył się we mnie z niedowierzaniem. – Nie rozumiesz, co...

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym ryzykować dwa okręty i ponad setkę cywili tylko po to, aby sprawdzić, które elektrony w twojej pamięci rejestrują prawdę. Przez lata spokojnie dawaliśmy radę bez twoich wspomnień.

– Po pierwsze, mój magazyn pamięci nie ma nic wspólnego z

elektronami, tępaku. Po drugie, wcale nie „dawaliśmy rady”.
Latamy na oślep i nie mamy pojęcia...

– Przerwę ci na chwilę. Nie chcę się kłócić ani sugerować, że nie obchodzi mnie, ile to dla ciebie znaczy. Ale co to znaczy dla nas? Zrozum, to czysto praktyczne pytanie. Kiedy wrócimy na Ziemię, będę musiał odpowiadać na mnóstwo pytań dotyczących decyzji, jakie tu podjąłem. Aby się przygotować, muszę pisać raporty uzasadniające moje działania.

– Joe, przecież nienawidzisz ich pisać!

– Racja, ale nie znaczy to, że nie powinienem tego robić.

Ostatnio o tym myślałem. Jeżeli położymy na szali nasze okręty, muszę wiedzieć, dlaczego będzie to ważne dla ludzkości.

– Gościu, naprawdę tego nie widzisz?

– Nie widzę. Te wspomnienia to już odległa przeszłość. Nie zmienimy jej i naprawdę nie wiem, jak miałyby wpłynąć na naszą obecną sytuację. Znamy już prawdę, ale nie zmienia to faktu, że żądni krwi kosmici zmierzają ku Ziemi. Twoje wspomnienia nie pomogą nam ich powstrzymać... prawda?

– Prawda – przyznał burkliwym tonem.

– Rozumiesz już, w czym problem?

– Nie. Może. Joe, czy w ten sposób chcesz mnie ukarać za to, co zrobiłem?

– W żadnym wypadku! Wybaczyłem ci. Zachowałeś się podle i chamsko, ale rozumiem, co tobą kierowało, i jestem przekonany, że szczerze żałujesz.

– Stary, kiedy dotarło do mnie, co nawywijałem, zacząłem żałować, że w ogóle żyję!

– Właśnie. A więc to, o czym mówimy, nie ma nic wspólnego z karą.

– To dobrze. Słuchaj, wspomniałeś o kosmitach, których nie zdołamy powstrzymać.

– Otóż to. Dlatego musimy przenieść jak najwięcej ludzi na Avalon.

– Tam też nie będą bezpieczni, jeżeli przebudzą się inne SI Pradawnych.

– Wiem, Skippy. Ale nie ma sensu się tym zamartwiać, bo i tak nic nie poradzimy.

– Hmm... Nie byłbym tego taki pewien.

To, co powiedział potem, prawie zważyło mnie z nóg.

*

Czytając listę celów podróży, myślałem jednocześnie, jak powiedzieć Skippy'emu, że nic z tego, że to zbyt ryzykowne i nie możemy latać tu i tam, żeby zaspokoić jego ciekawość. Teraz gdy blaszak podzielił się ze mną wiedzą, sam już nie wiedziałem, co robić.

Skontaktowałem się ze Smythe'em. Facet był mistrzem koncentracji. Nie to co ja z moim wiecznym roztargnieniem. Od czasu, gdy wygłosił mowę motywacyjną o ufaniu samemu sobie, nie rozmawialiśmy zbyt często. Obaj mieliśmy sporo roboty i zazwyczaj przebywaliśmy każdy na innym okręcie. Nie było więc okazji, żeby pogadać. Zresztą Jeremy Smythe nigdy nie sływał z zamiłowania do pogaduszek.

– Skippy, zadzwonię do Smythe'a i porozmawiam o naszych dalszych działaniach – oznajmiłem. – Na przykład o tym, czy powinniśmy pójść za twoją radą i polatać trochę po Galaktyce, aby potwierdzić prawdziwość twoich wspomnień.

– To akurat łatwe, Joe. Oszczędzę wam zbędnych dyskusji i powiem od razu: tak. Powinniśmy to zrobić.

– No tak... Problem w tym, że chcę skonsultować się ze Smythe'em bez twojego udziału. Postaraj się nie wtrącać, dobrze?

– Skoro chcesz podejmować decyzje bez porozumienia z

kimś, kto wie cokolwiek na ten temat, droga wolna. Świetny pomysł, Joe! Jako dowódca jesteś niewyczerpanym źródłem inspiracji.

– Po prostu nie odzywaj się niepytany. Potrafisz to zrobić?

– Jasne, potrafię też robić inne niewyobrażalnie głupie rzeczy. Może od razu pozwolę dzieciakom bawić się działami elektromagnetycznymi?

– Koń by się uśmieł. Po prostu nam nie przeszkadzaj. – Machnąłem dłonią przez jego hologram. Zawsze go to wkurzało, więc zniknął, tak jak tego chciałem. Wysłałem sygnał do Smythe'a. Wiedziałem, że jest po służbie i przez najbliższe dziewięć godzin ma wolne.

– Chciał mnie pan widzieć, pułkowniku? – Smythe stawiał się w biurze ubrany w wełniany sweter, który zawsze kojarzył mi się z armią brytyjską. Mimo że sweter miał łaty naszyte na ramieniu i łokciach, Smythe jakimś cudem wyglądał w nim dostojnie.

– Tak. Proszę usiąść. Chcę zasięgnąć pańskiej rady.

– Nie lecimy do Łapacza? – Anglik zajął miejsce przy biurku.

– Lecimy, ale później. Skippy powiedział, że będzie w stanie go aktywować najwcześniej za dziewięć tygodni. Potem będziemy musieli odczekać jeszcze tydzień, aż korytarz się ustabilizuje i będzie można przez niego przelecieć. Pytanie brzmi, co będziemy robić do tego czasu? Oczywiście opcją wydaje się lot prosto do Łapacza. Bylibyśmy na miejscu z dużym wyprzedzeniem.

– W wojsku, jak to w wojsku – odparł Smythe z uśmiechem. – Kto nie przychodzi wcześniej, ten się spóźnia.

– To prawda. Zastanawiam się jednak, czy moglibyśmy lepiej spożytkować ten czas.

– Mianowicie?

- Skippy chce, żebyśmy wyruszyli na oblot po polach bitew z czasów wojny sztucznych inteligencji.
- Wycieczek mu się zachciało? – Podpułkownik uniósł sceptycznie brew.
- Ja nazwałem to zwiedzaniem zabytków.
- Smythe odchylił się w fotelu, spoglądając na mnie z rezerwą.
- Czemu miałyby to służyć, sir?
- Niektóre ze wspomnień, które odzyskał Skippy, są trochę niejasne, czy wręcz sprzeczne ze sobą.
- Psiakrew – parsknął Smythe.
- Nie ma wątpliwości co do najważniejszych kwestii – uspokoilem go. – Skippy uważa, że jeśli zdoła zweryfikować kluczowe elementy wspomnień, odróżni prawdę od fikcji.
- Sir, nie wątpię, że dla Skippy’ego to sprawa najwyższej wagi, ale każde nasze działanie wiąże się z ryzykiem. Teraz mamy na pokładzie cywili. Nie rozumiem, w jaki sposób weryfikowanie wspomnień naszego przyjaciela miałyby przysłużyć się celom misji.
- Już wyjaśniam. Plan zakłada przenoszenie ludzi z Ziemi do Bazy Beta. Mielibyśmy kursować tam i z powrotem najdłużej jak się da. Będzie to wykonalne wyłącznie, jeśli Avalon pozostanie bezpieczną przystanią. Przestanie nią być, jeżeli inne SI przebudzą się z uśpienia. Skippy chce zdobyć wszelkie możliwe informacje o losie wrogich sztucznych inteligencji, aby móc je wykorzystać, gdyby doszło do walki.
- Dowódca STAR wciąż nie wyglądał na przekonanego.
- Jeżeli pomiędzy sztucznymi inteligencjami Pradawnych wybuchnie wojna, zostaniemy zmiażdżeni jak robaki. Co możemy zrobić?
- Pozabijać te bestie, zanim zdążą zaatakować – zaproponowałem.

– Zabić przedwieczne sztuczne inteligencje? – Smythe wyprostował się ze zdziwioną miną. – Myślałem, że istoty pokroju Skippy’ego są praktycznie niezniszczalne. Jak mielibyśmy im zaszkodzić?

– Najpierw musimy je odnaleźć. Zdaniem Skippy’ego, gdy pozostają w uśpieniu, można je zniszczyć. – Właśnie ta informacja najbardziej mną wstrząsnęła.

Widziałem, że wyraz twarzy Smythe’a zmienił się z uprzejmego zainteresowania słowami dowódcy w intensywne zamyślenie.

– Skąd Skippy o tym wie?

– Nie jest pewien na sto procent. Wysnuł taki wniosek w oparciu o własne doświadczenia. Kiedy przebudził się, zagrzebany w ziemi na Paradise, miał słabą łączność z wyższą czasoprzestrzenią. Pamięta pan, jak po ataku robaka podczas incydentu Godzina Zero Skippy stał się zwykłym przeciętniakiem, bo zupełnie stracił dostęp do wyższych poziomów?

– Nie był w stanie manipulować tunelami ani popisywać się własną wspaniałością. – Smythe przewrócił oczami, choć ledwie zauważalnie. – Czy z każdą uśpioną SI będzie podobnie?

– Nie wiadomo, nie ma jednak powodów sądzić, że Skippy różni się pod tym względem od swoich pobratymców.

– Owszem, jest pewien powód – zaoponował Anglik. – Skippy nie dał się uśpić dobrowolnie. Został zaatakowany i obezwładniony.

– Rzeczywiście. Kiedy go o to spytałem, powiedział, że proces jego wybudzania, czy też restartu, był taki sam jak w przypadku rozruchu po samowolnym uśpieniu. Przyznał przy tym, że ma raczej mgliste wspomnienia z tamtego czasu. Istotne jest to, że jego zdaniem SI Pradawnych najprawdopodobniej są osłabione,

gdy śpią. Nie znaczy to, że nasza broń, konwencjonalna czy nawet atomowa, może im wyrządzić krzywdę. Co innego, jeśli chodzi o kogoś, kto potrafi manipulować czasoprzestrzenią, na przykład Skippy'ego. Jeśli uda mu się odciąć SI od wyższych poziomów czasoprzestrzeni, taka sztuczna inteligencja nie będzie nam już zagrażać.

– Pod warunkiem że Skippy się nie myli. I że uda nam się zdybać SI, gdy ta będzie drzemać. To wszystko jedynie przypuszczenia, pułkowniku.

– Dodajmy do nich założenie, że najświeższe wspomnienia dotyczące Pradawnych są prawdziwe.

– Jaki mamy plan?

– Na razie zamierzam posłuchać pańskiej wcześniejszej rady. Opracować strategię pozwalającą na coś więcej niż tylko reagowanie na działania nieprzyjaciela. Jeśli inne SI zaczną stanowić problem, chcę, żebyśmy byli w stanie je zniszczyć, zanim one załatwią nas.

– Mówił pan, że chce się ze mną skonsultować. Dlaczego?

– Ponieważ myszkowanie w mrocznych zakątkach Galaktyki będzie ryzykowne.

– Czy chodzi o misję stricte rozpoznawczą? – zapytał. –

Zamierzamy tylko zebrać informacje? Nie będziemy chyba trącać kijem śpiącej SI?

– Nie, nie będziemy. – Zaśmiałem się, wyobrażając sobie taką scenę. – Co pan o tym sądzi?

– Bezczynność będzie jeszcze bardziej ryzykowna niż działanie.

Zamrugalem powoli.

– Zgadzam się... Ale czy mógłby to ująć tak, żeby nadawało się do raportu?

– Sprawa jest prosta, sir. Wrogie SI Pradawnych

bezsprzecznie zagrażają Bazie Beta. Po powrocie na Ziemię nie będziemy mieli czasu ani środków na wybadanie tego zagrożenia. Rozważnie będzie ruszać już teraz. W przeciwnym razie cała koncepcja Bazy Beta pozostanie kwestią wysoce dyskusyjną.

– Dobrze, dobrze... – mamrotałem, zapisując to wszystko swoimi słowami. Nie mogłem używać wyrażeń w stylu „kwestia wysoce dyskusyjna”. SEONZ od razu domyśliłyby się, że pisałem pod dyktando. – Dziękuję.

– Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że lot rozpoznawczy i weryfikacja części wspomnień Skippy’ego to dopiero pierwszy krok?

– Jasne, wiem o tym.

– Czy Skippy wie, gdzie mogą się kryć te uspięne SI?

– Nie. Sądzi jednak, że mógłby trafić na ich trop, gdyby zebrał do kupy wystarczającą ilość wspomnień. Wie w ogólnym zarysie, jak trafił na Paradise, ale nie zna szczegółów.

Smythe dyskretnie obrócił się w kierunku drzwi. Widziałem, że się niepokoi. Prawdopodobnie chciał mi też dać do zrozumienia, że skoro wiem, co robić, nie chce wysłuchiwać moich wątpliwości co do decyzji, którą i tak już podjąłem.

– Czy to wszystko, sir? – zapytał.

– Skippy stworzył listę lokalizacji, które chce zbadać. Właśnie ją panu przesyłam. – Stuknąłem w ekran laptopa. – Proszę na nią zerknąć i dać znać, co pan o tym sądzi. Chang i Simms otrzymali takie same informacje. Chciałbym wysłuchać niezależnych opinii.

*

– Joe, czy żałujesz czegokolwiek? – Skippy zadał mi to pytanie tonem sugerującym, że tak naprawdę chce pogadać na swój

temat. Byłem akurat w kabinie i przebierałem się na siłownię.

– Ech... – Uderzyłem się w pierś, chcąc złagodzić zgagę, która męczyła mnie od paru godzin. – Żałuję na przykład, że zjadłem na kolację burrito.

Dzień wcześniej zorganizowaliśmy w mesie wieczór z burrito. Każdy mógł przyrządzić je sam, ze składników dostępnych w barze. Dwóch gości przede mną przechwalało się, że lubią ostre żarcie, więc żeby nie wyjść na mięczaka, nakładłem sobie papryki.

– To jalapeño prawie mnie zabiło! – dodałem.

– Jalapeño? Dobre sobie – parsknął. – To była ghost pepper!

– Czy ich wszystkich porąbało?! – Ghost pepper jest przecież jedną z najostrzejszych odmian papryki. Nic dziwnego, że teraz cierpiałem piekielne męki.

– No co? Sam uparłeś się, żeby władować sobie całą łyżkę tej papryki. Jesteś z Maine, tępaku! Dla was nawet zwykłe pomidory są zbyt pikantne.

– Mogłeś mnie uprzedzić!

– Na misce była etykieta. Nie moja wina, że jej nie przeczytałeś. Poza tym nieźle się ubawiłem, patrząc, jak męczysz się, żeby dojeść burrito. Ale pytałem poważnie. Czy żałujesz czegokolwiek, co zrobiłeś?

– Pewnie, żałuję wielu rzeczy. Do czego zmierzasz, Skippy?

– Poważnie, jeszcze się nie domyśliłeś?

– Jak nie chcesz mówić, to daj mi spokój – warknąłem z irytacją. Wszyscy byliśmy pełni obaw, a ten...

– Przepraszam – wymamrotał blaszak. – Po prostu...

– No co?

– Pewnie zabrzmiało to dla ciebie głupio, Joe, ale czuję się winny. To nie w porządku, że okłamałem załogę... Poczucie winy jest do kitu!

- Racja, ale czasami może być...
- Gdyby ułożyć emocje w skali, byłoby na samym dnie. Na szczycie jest oczywiście radość.
- Wiadomo, rozu...
- A zaraz po niej moje ulubione uczucia, czyli pogarda i obrzydzenie.
- Serio, to są... No jasne. Nie było tematu.
- Najbardziej nie lubię zaskoczenia. Chociaż czasem cieszę się, że mogłem zaskoczyć samego siebie. Na przykład, kiedy piszę operę i dociera do mnie, że oto rodzi się genialne arcydzieło. Wtedy rozsiadam się na chwilę i kontempluję własną wspianiałość.
- To... super. A skąd u ciebie poczucie winy? – Zmartwiałem. – O kurde, co znowu nawywijałeś?
- To nic nowego. Zwyczajnie... Mam wrażenie, że nie otrzymałem kary za to, co już spieprzyłem. Wiesz, kiedy was porzuciłem i w ogóle. Potrzebuję zamknięcia pewnego etapu.
- Słucham?
- Tak się chyba na to mówi? Mam wrażenie, że powinienem zostać ukarany.
- Cóż, Skippy...
- Potem zostawiłbym to wszystko za sobą. Zapłacę ile trzeba i po krzyku. Będę mógł zapomnieć o głupich wyrzutach sumienia. Co za ulga!
- Poczucie winy nie działa w ten sposób.
- Nie ma działać, tylko zniknąć!
Zacisnąłem pięści w bezsilnej irytacji.
- Na pewno chcesz, żebym cię ukarał?
- Tak, proszę. Może za karę zaśpiewam o jedną piosenkę mniej na kolejnym wieczorze karaoke?
- O nie, mowy nie ma. Nie puszczę ci tego płazem. Chcesz

kary? Bilby! – wezwałem pokładową SI, która zwykle nie mogła

podsluchiwać naszych rozmów.

– Co tam, ziomal? – odpowiedział Bilby.

– Bilby, proszę, abys zwracał się do mnie per „pułkownika”.

– Sorki, pułkownika ziomal. Co jest?

– Chcę, żebyś stworzył dla Skippy’ego zapętloną playlistę z yacht rockiem!

– Oż... – Skippy zadrżał ze zgrozą. – Tylko nie yacht rock, Joe!

– Właśnie że tak! – Zatarłem ręce, wyobrażając sobie czekające go katusze. – Pomyśl tylko. Hall & Oates, Loggins and

Messina. „Piña Colada Song”!

– Joe, błagam, wszystko, tylko nie to!

– Christopher Cross – wyliczałem dalej. – „Captain & Tennille”!

– Litości! – zawył.

– I jeszcze wisienka na torcie... Zebrane utwory Michaela McDonalda!

– Nieceee!!! – krzyknął Skippy.

*

Bilby odezwał się pół godziny później. Byłem już na siłowni i ćwiczyłem na wiosłarzu.

– Ej, pułkownika ziomal... Mam dalej puszczać tę muzę czy jak? – zapytała młoda sztuczna inteligencja.

– Tak. Mówiłem, żebyś ją zapętlił. Skippy’emu przyda się naucz...

– Jasne, ale wydaje mi się, że koleś powoli świruje.

– Nie daj się nabrać. Nie minęła nawet...

– Według waszego czasu to niewiele. Ale według własnej rachuby Skippy przesłuchał kawałek „Muskrat Love” już trzy

tysiące dwieście pięćdziesiąt trzy razy. Zaraz włączę go znowu, jeśli....

– Nie! – Zapomniałem, że SI postrzegają czas inaczej niż my, worki mięsa. – Już dosyć.

– Uff, całe szczęście. – Bilby odetchnął z ulgą. – To dopiero sroga i odjechana kara. Mam tylko przeskoczyć do następnej piosenki czy w ogóle kończymy imprezę?

– Kończymy. Taka kara mu wystarczy.

– Żebyś wiedział, ziomal. Przesłuchałem tę playlistę tylko raz, a i tak czułem, że mózg mi się rozpływa.

– Nie dziwię się. Powinienem pogadać ze Skippym?

– Chyba musi dojść do siebie.

– Zrób coś miłego. Odtwórz mu którąś z jego oper.

– Słuchanie jego rzępolenia to dopiero tortura!

– Zaufaj mi. Powiedz mu, że bardzo ci się podoba jego twórczość.

– Ale tak... ironicznie, nie?

– Nie, zupełnie szczerze.

– Ej no, bez jaj!

– Bilby, postaraj się chociaż udawać.

– Będę musiał odstawić teatrzyk wart co najmniej Oscara!

– Spokojnie. Skippy bywa wyjątkowo niedomyślny, zwłaszcza cza kiedy sądzi, że się go chwali.

– Ciekawe, że można być takim mózgowcem, a jednocześnie takim cymbałem, nie?

– Rzeczywiście.

ROZDZIAŁ 20

Chang, Simms i Smythe wytypowali różne lokalizacje, które ich zdaniem powinniśmy zbadać, byli jednak zgodni co do tego, że trzeba spróbować. Gdy już podjąłem decyzję, zarządziłem powrót do bajecznego planetarnego kurortu zwanego Klubem

Skippy'ego. Myślałem, że cywile będą zadowoleni z okazji, by opuścić okręty i nacieszyć się widokiem błękitnego nieba.

O, jakże się myliłem...

*

– Sir. – Simms była wyczerpana i z trudem panowała nad głosem, gdy zadzwoniła z doku. W tle słyszałem podniesione głosy, płacz i gniewne okrzyki. – Mógłby pan tu zejść?

Proszę...

Siedziałem akurat w kokpicie sokoła i przygotowałem się do zejścia na powierzchnię. Na Klubie Skippy'ego zamierzałem rozbić obóz i spędzić noc pod gwiazdami. Potem mieliśmy wyruszyć krążownikiem w podróż po miejscach dawnych bitew.

– Startuję za dziesięć minut – powiedziałem. – Co się dzieje?

– Chodzi o cywilów. – Ściszyła głos i chyba odeszła dalej, bo krzyki w tle straciły trochę na sile. – Nie podoba im się pomysł opuszczenia pokładu.

Przez chwilę gapiłem się w konsolę, podejrzewając, że się przesłyszałem. Piraci spędzali tyle czasu w okrętach, że wykorzystywali każdą okazję do zejścia na ląd.

– Może pani powtórzyć?

– Oni się boją, pułkowniku! Myślą, że porzucimy ich na obcej planecie.

– Chciałem im sprawić przyjemność! – obruszyłem się.

– Mnie nie musi pan przekonywać.

– Cholera... Dobra, już idę.

*

Spotkanie z cywilami przebiegło bez problemów. Wy głośno udane przemówienie, ludzie posłusznie wsiedli do ładowników i wszyscy żyli długo i szczęśliwie...

No co wy, oczywiście, że kłamię!

Tak naprawdę przez czterdzieści pięć minut wszyscy wydzielali się na mnie i zadawali pytania, na które nie miałem odpowiedzi. A przynajmniej takich, które by ich zadowalały. – Posłuchajcie! – Stałem na skrzyni i machałem rękami, by ich uciszyć. W doku byli wszyscy cywile. Większość w ogóle nie miała do mnie pretensji. Jak zwykle największe problemy stwarzała garstka wichrzycieli, którzy...

Nie, to nie fair. Ci ludzie przeszli przez piekło. Nie mieli zaufania do piratów ani do mnie, my zaś nie daliśmy im wyraźnego sygnału, że wiemy, co robimy.

– Proszę...! – próbowałem przekrzyknąć rozgardiasz. – Hej!!! – wrzasnąłem wreszcie i klasnąłem donośnie. – Posłuchajcie mnie, proszę! – Zebrani uciszyli się na tyle, by było mnie słychać. – Musimy przeprowadzić misję rozpoznawczą, aby zweryfikować najświeższe informacje. Wyruszymy tylko jednym okrętem, aby was nie narażać. Moglibyśmy zrobić postój w przestrzeni międzygwiazdnej, ale pomyślałem, że chcielibyście zejść z pokładu i zaczerpnąć świeżego, nierecykulowanego powietrza. Załoga z całą pewnością tego chce. Ustalmy pewne sprawy. Jeśli ktoś nie chce wysiadać, to nie musi. Prosiłbym jednak, aby grupa ochotników udała się ze mną na planetę. To naprawdę przyjazne miejsce. Chcę wam pokazać obóz, który tam zakładamy. Polecicie ze mną, a potem wróćcie i powiecie reszcie, co o tym sądzicie. Zgoda?

Po zdecydowanie zbyt długiej dyskusji, podczas której „Walkiria” przemieściła się za planetę, wyłoniliśmy siódmkę śmiałków. Ku mojemu zaskoczeniu jako pierwszy zgłosił się Michael Yang z Fresno. Myślałem, że za mną nie przepada. Kilkoro dzieci również chciało się przyłączyć, ale dorośli odwiedli je od tego pomysłu. W końcu wystartowaliśmy, mimo

że okręt zoczył z pozycji bezpośrednio nad obozowiskiem. Przez to lecieliśmy dłużej i zużyliśmy więcej paliwa, ale nie dbałem o to. Komisja kontrolna, jak żartobliwie nazwałem grupę cywilów w kabinie sokoła, mogła się dobrze przyjrzeć planecie. Aby ochotnicy nie myśleli, że coś przed nimi ukrywamy, zbliżając się do obozu, okrążyłem to miejsce kilka razy, by ostatecznie osiąść na wzgórzu, skąd roztaczał się całkiem niezły widok na okolicę. Postanowiliśmy obozować na trawiastym terenie. Na brzegach rzeki płynącej z północy na południe gęsto rosły drzewa. Wybraliśmy miejsce z dala od makiet wiosek, które wykorzystywaliśmy do ćwiczeń. Nie chcieliśmy przypominać ocalonym, gdzie spędzili minione lata. Chang i ja poszliśmy nad rzekę pogadać na osobności. Nasz zespół lądowy oprowadzał tymczasem „komisję” po niedokończonym obozowisku. Po pewnym czasie podszedłem do cywili. Michael Yang i pozostali dyskutowali o wadach i zaletach przebywania na planecie i porównywali je z życiem na orbicie. Sprawdziłem godzinę na zFonie i podałem Yangowi lornetkę.

– Proszę spojrzeć. – Uniosłem rękę. – Widzi pan ten jasny punkt? To „Latający Holender”!

Poleciałem Changowi, aby przed opuszczeniem lotniskowca umieścić go na niskiej orbicie. Dzięki temu okręt był lepiej widoczny.

Yang przyjrzał się, a potem przekazał lornetkę pozostałym.

– Czy „Holender” obroni nas z orbity? – zapytał.

– Tak – zapewniłem. Chang potwierdził.

– Pułkownik Bishop, mówił pan, że obcy nie dotrą do tej planety – przypomniał Kalifornijczyk. – Dlaczego zatem potrzebujemy ochrony?

Gdybym nie znał faktów, zacząłbym podejrzewać, że przed

porwaniem przez Kristangów Yang był prawnikiem. Z pliku z jego danymi dowiedziałem się jednak, że pracował jako programista.

– To taki środek bezpieczeństwa – mruknąłem. Nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć.

– „Walkiria” to krążownik liniowy, tak? – upewnił się. – Słyszeliśmy, że załoga nazywa „Latającego Holendra” kosmiczną ciężarówką.

– Cóż...

– Wszyscy czuliśmy się pewniej, gdyby strzegła nas „Walkiria” – stwierdził Yang, spoglądając po innych cywilach. Domyśliłem się, że tylko na to czekali. – W końcu uważa pan, że

przyda nam się ochrona, nieprawdaż? – dodał, mrużąc oczy. Musiałem to przemyśleć albo przynajmniej udawać, że to robię. Gdy znowu odszedłem z Changiem, aby porozmawiać, sięgnąłem do kieszeni, a potem wyciągnąłem pięść.

– O co chodzi? – Kong zdziwił się, ale podstawił rękę. Otworzyłem dłoń, udając, że coś mu przekazuję.

– Masz tu kluczyki do „Walkirii” – zażartowałem. – Jest twoja. Chang spojrział na cywili i pokręcił głową.

– Jesteś pewien?

– Tak, to całkiem rozsądne. Będiesz miał czas, żeby zaznajomić się z „Walkirią”, gdybyś zamierzał przeprowadzić szkolenie. Poza tym, jeśli polecę krążownikiem, mogą mi przyjść do głowy różne głupie pomysły. Z „Holendrem” będę się obchodził ostrożnie.

– Simms poleci z tobą?

– Nie, lepiej niech zostanie tutaj. Pokaże ci, jak działa „Walkiria”. Nie odlatujemy na długo – zapewniłem. – Reed może zostać moją oficer wykonawczą.

– Czy Bilby jest gotowy do działania jako pokładowa SI?
– Skippy twierdzi, że tak. Agada również. Kong, pamiętaj, że Bilby co prawda zachowuje się jak surfer, któremu trawka wypaliła mózg, ale tak naprawdę jest bystrzaczą. Chang parsknął i obejrzał się na cywilów, oczekujących, aż podejmę decyzję.

– Wiesz, że cię wykiwali, prawda? – zapytał.

– Nie powiedziałbym. Taka zmiana dobrze wpłynie na ich morale. A poza tym... – Wzruszyłem ramionami. – I tak to rozważałem.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Schyliłem się po kamyk i wrzuciłem go do rzeki.

– „Holender” to teraz twój okręt. Nie chciałem ci go odbierać, nawet na chwilę. Czy zgodzisz się mi go wypożyczyć?

Obiecuję, że nie zarysuję lakieru.

– Dajesz mi kluczyki do najpotężniejszej jednostki bojowej w Galaktyce i jeszcze mnie przepraszasz?

– Kiedy tak to ujmujesz, robi mi się głupio.

– Uważaj na siebie, Joe.

– Jasne. A ty nie popsuj „Walkirii”, kiedy mnie nie będzie.

– Zabiorę ją do myjni, żeby lśniła, kiedy wrócisz.

*

Simms wcale się nie ucieszyła, gdy zaproponowałem jej przedłużony urlop.

– Sir, powinnam lecieć z panem – upierała się.

– To prosty lot rozpoznawczy. Reed będzie oficerem wykonawczym i pilotem. Potrafi sterować „Holendrem” z zawiązanymi oczami.

– Ma mniejsze doświadczenie w obsłudze okrętu w wersji cztery zero – zauważyła Simms, używając oficjalnego numeru lotniskowca, który miał za sobą niejedną przebudowę.

– A zatem teraz będzie mieć okazję, żeby spokojnie wprawić się za sterami, bo nikt nie będzie do nas strzelał. Każdy na tym skorzysta – przekonywałem. – Pani zaznajomi Changa z „Walkirią” i przy okazji trochę odpocznie na lądzie. Frank Muller też tam będzie – dodałem.

– A co Reed będzie z tego miała? Przepadnie jej przepustka. I nadal ma złamaną rękę.

– Skippy mówił, że kości już się zrosły i zdejmie opatrunek za trzy dni.

– W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego miałyby się cieszyć. – Simms zmarszczyła czoło.

– Jak to? Przecież spędzi sporo czasu tylko ze mną – wyjaśniłem.

Simms przewróciła oczami. Mógłbym to potraktować jako akt niesubordynacji, ale nie chciałem wyjść na dupka.

– Sir, może zszokuje pana ta wieść, ale czasami bywa pan trochę irytujący.

– Postaram się więc popracować nad sobą. A tak całkiem poważnie, Simms, proszę się nacieszyć czasem wolnym w towarzystwie narzeczonego. Ani się obejrzyście, będziemy z powrotem.

*

– Trafiła się pani wyjątkowa szansa – oznajmił Urkan, admirał Hegemonii Maxolhxów, odsłaniając kły w uśmiechu. Komandor Illiath zeszywniała. Nie musiała trudzić się z ukrywaniem tej odruchowej reakcji. Czujniki wszczepione w ciało admirała oraz rozmieszczone w jego gabinecie bez wątpienia przekazywały dane o stanie gotowości, nastroju, falach mózgowych, hormonach czy innych płynach krążących w krwiobiegu Illiath, a także wszelkie inne pożądane informacje. Komandor wiedziała, że Urkan rzadko fatyguje się,

żeby sprawdzać te pomiary. Po prostu miał to gdzieś.

– Admirale, nasza flota jest najsilniejszą organizacją wojskową w całej Galaktyce...

Urkan rozciągnął wargi jeszcze szerzej, wyraźnie rozbawiony.

– Rindhalu mogliby się z panią nie zgodzić.

– Nasi odwieczni wrogowie istotnie dysponują imponującymi możliwościami, ale nie czynią z nich użytku. My natomiast jesteśmy najpotężniejszą aktywną siłą w tej części kosmosu.

– Dobrze powiedziane. Ale dlaczego pani o tym wspomina?

– W żadnej organizacji militarnej, począwszy od najbardziej prymitywnych Wurgalanów, a skończywszy na naszej flocie, słowo „szansa” nie wróży nic dobrego.

– Ho, ho! – Urkan roześmiał się tubalnie. – To prawda.

Pozwolę sobie przypomnieć, że nie pytałem, czy chce pani skorzystać z tej okazji.

– Czy moje zdanie cokolwiek by zmieniło?

– W żadnym wypadku. Chce pani poznać szczegóły zadania, które, być może, pozwoli pani zrobić wrażenie na przełożonych?

– A jeśli odmówię?

– Znakomicie. – Urkan ostentacyjnie ją zignorował. –

Doceniam pani entuzjazm. Zaręczam, że to panią zainteresuje. Podczas naszej ostatniej rozmowy przedstawiła mi pani teorię, jakoby to Rindhalu stworzyli okręt widmo. Mieliby albo kontrolować go bezpośrednio, albo też przekazać jednostkę Bosphuraqom, by ci nas gnębili.

– Raczej odwracali naszą uwagę od planów nieprzyjaciela – poprawiła go Illiath. – Chcieli nas także osłabić, a przez to pogorszyć nasze relacje z klientami.

– Otóż to – potwierdził admirał. – Wcześniej byłem skłonny dopuścić możliwość, że ma pani rację.

Komandor wyprostowała się ledwie zauważalnie.

– Wierzył mi pan?

– Nadal jestem zdania, że niektóre z pani znalezisk są sprzeczne z oficjalnym stanowiskiem wywiadu, jednakże jako dowódca floty wolę pozostać otwarty na wszelkie ewentualności. To przygnębiające, że w mojej pracy trzeba się grzebać w polityce. – Potrząsnął głową. – Illiath, chciałem nawet pozwolić pani kontynuować śledztwo, wtedy jednak się okazało, że nieprzyjaciel złamał nasze zabezpieczenia.

– To był tylko jeden incydent – przypomniała Illiath. – U Bosphuraqów nie znaleziono innych wymienników kwantowych.

Zbadaliśmy sprawę bardzo dokładnie.

Po szokującym odkryciu skopiowanych wymienników we wraku bosphurackiego pancernika w pobliżu planety Vua Vendigo po całym terytorium Maxolhxów błyskawicznie rozesłano rozkaz. Wszystkie okręty Bosphuraqów zostały zatrzymane i przeszukane, a następnie otrzymały nakaz powrotu do najbliższej bazy. Jednostki uczestniczące w blokadzie tunelu czasoprzestrzennego poddano badaniu z dokładnością do poziomu cząsteczkowego, zanim pozwolono im dołączyć do reszty sił.

– Jeden zestaw to i tak za dużo. Dowodzi to, że nasi klienci są w stanie tworzyć czyste urządzenia, a potem przypisywać je okrętom i kopiować nasze kody uwierzytelniające.

– Ale...

– Ponadto nie wyjaśniono, jak udało im się wykasować wymiennik i nadać mu nowy przydział. Przecież to urządzenia jednorazowe. Nawet my nie potrafimy ich modyfikować!

– To rzeczywiście nietypowe – przyznała Illiath.

– Pani komandor, pancernik, na którym znaleziono

wymienniki, walczył wraz z okrętem widmem w bitwie, w której straciliśmy ciężki krążownik. Musimy założyć, że na okręcie widmie jest więcej tych urządzeń, ale nie udało nam się zatrzymać i przeszukać tej jednostki. Wiemy na pewno, że wróg nie wykradł nam wymienników.

Drobiazgowa inwentaryzacja wykazała zerowe braki w zapasach wymienników. Co gorsza, urządzenia, które dostały się w ręce klientów, nie były oznaczone według ściśle określonej sekwencji obowiązującej dla wszystkich sprzętów tworzonych w maxolhxańskim zakładzie produkcyjnym. Wniosek był jeden. Ktoś inny potrafił kopiować tę ceną technologię.

– Nie wiem, co powinnam odpowiedzieć. Może tylko to, że jeśli szukamy istot zdolnych podrobić technologię wymienników, to Rindhalu wydają się bardziej oczywistymi podejrzanymi niż Bosphuraqowie.

– Wywiad floty też tak sądzi.

– Naprawdę? – Illiath nie słyszała pogłosek o tej zmianie sytuacji, choć pozyskiwała dane z rzetelnych, dobrze poinformowanych źródeł.

– Tak. Ale to nic dziwnego. Wywiad upiera się, że technologia wymienników jest niemożliwa do rozpracowania. Gdyby więc niższe istoty dokonały takiego czynu, nasi wywiadowcy wyszliby na głupców. Zamierzają zrobić wszystko, by dowieść, że to Rindhalu stoją za tym nikczemnym procederem.

– Nikczemnym?

Urkan się uśmiechnął.

– Cytuję raport.

– A czy Rindhalu kiedykolwiek robili coś, co nie byłoby nikczemne?

– Kolejna słuszna uwaga.

- Przez tysiąclecia hamowali nasz rozwój. – Illiath nie ukrywała rosnącego gniewu. – A kiedy nie mogli już nas kontrolować, przypuścili atak z użyciem broni Pradawnych, a winą obarczyli nas! Wiemy, że to oni zadali pierwszy cios, a mimo to w większości Galaktyki uważa się nas za winnych zniszczeń dokonanych przez Strażników. Mielibyśmy atakować Rindhalu, i to korzystając z technologii Pradawnych? Przecież to bez sensu!
- Illiath – Urkan uniósł rękę – mnie nie trzeba przekonywać. Atak Rindhalu również był bezsensowny, ale tak czy inaczej nastąpił, a obie strony musiały słono za niego zapłacić. Wszyscy wiemy, że im nie można ufać. Właśnie przez ten niezaprzeczalny fakt zamierzam złożyć pani wyjątkową propozycję.
- Rozumiem, admirale. Czy mógłby mi pan o tym opowiedzieć?
- Rindhalu również niepokoją się, że Bosphuraqowie mogli posiadać zaawansowaną technologię. Poprosili o przeprowadzenie wspólnego śledztwa.
- Jakżeby inaczej? – prychnęła Illiath. – Chcą sprawdzić, co wiemy o ich udziale w tej sprawie. Informacje będą przepływać tylko w jedną stronę, od nas do nich.
- Bez wątpienia. Dlatego będzie pani musiała nadzorować przekazywanie danych z dalece idącą ostrożnością.
- Czy mogę odmówić?
- Nie. To rozkaz, nie prośba. Illiath, powinna pani czuć się zaszczycona. Poproszono mnie, bym wyznaczył do tego zadania panią i nikogo innego.
- Kto o to prosił? Rindhalu? – zdumiała się komandor. – Admirale, miałam z nimi do czynienia tylko raz.
- Ależ nie! – zaśmiał się Urkan. – Nie Rindhalu. Wywiad floty.

- Dlaczego... Aha.
- Właśnie. Jeśli pani podejrzenia się potwierdzą, wywiad będzie mógł utrzymywać, że właśnie dlatego wytypował panią do współpracy z nieprzyjacielem. Jeżeli jest pani w błędzie... Cóż, będzie można się pani pozbyć. Dowódcy wywiadu również cenią sobie otwartość na różne możliwości.
- Powinnam być zaszczyczona, że grozi mi spisanie na straty? Urkan najpierw postawił, a potem położył uszy. Gdyby był człowiekiem, wzruszyłby ramionami.
- Powinno pani raczej schlebiać, że w wywiadzie pamiętają pani nazwisko.

*

– Jak to się spieprzyło?! – Spojrzałem gniewnie na awatara Skippy’ego unoszącego się przy ekranie głównym na mostku „Holendra”.

Skippy spojrzał na mnie z politowaniem i zaczął po woli wyjaśniać:

- Nie działa, Joe. A co myślałeś?
- A jakieś szczegóły, palancie? W czym problem?
- Gdybym znał jego przyczynę, powiedziałbym ci. I już dawno zacząłbym naprawę.
- Czekaj. – Uniosłem rękę. Reed i Chen obejrzały się na mnie z foteli pilotów. Nie zaniedbywały obowiązków, po prostu nie miały nic do roboty. Napęd skokowy nie działał. Chwilowo utknęliśmy dwadzieścia sześć lat świetlnych od Ziemi. Misja rozpoczęła się całkiem nieźle. Zaczęliśmy od miejsca, które Skippy uważał za najważniejsze. Znajdowało się w głębi terytorium Esselginów, nazywanych przez nas węzami. Nie mieliśmy styczności z tą rasą, a ja absolutnie nie zamierzałem się z nią zadawać. Tak naprawdę Esselginowie przypominali raczej salamandry. Mieli długie, smukłe ciała i krótkie

kończyny. Ogony zapewniały im równowagę, więc chodzili wyprostowani, używając przednich łap jak rąk. Na większości planet istniały jakieś beznogie, pełzające zwierzęta i poszczególne rasy określały Esselginów nazwą swojego odpowiednika węży. Stereotyp ten wzmacniała charakterystyczna, sykliwa mowa, jaką posługiwali się Esselginowie. Pod względem technologii stali mniej więcej na poziomie Thuranów i Bosphuraqów, ale byli znacznie młodszy. Mogli się także poszczycić tym, że od zawsze służyli Maxolhxom jako ich bezpośredni klienci i nie musieli przez tysiąclecia znosić upokorzeń jako trzeciorzędna rasa w koalicji. Skippy ostrzegał, że Esselginowie są sprytni i niebezpieczni. To wszystko i tak nie miało dla nas znaczenia. Plan zakładał unikanie kontaktu z wszelkimi przedstawicielami obcych ras. To akurat szło nam jak z płatka. Nie wykrywaliśmy żadnych okrętów, ani nawet zanikających sygnatur skokowych. Niestety, w pierwszej lokalizacji, którą odwiedziliśmy, Skippy nie zdołał potwierdzić prawdziwości swoich wspomnień. Niektóre szczegóły dotyczące układu pokrywały się z nowo odzyskanymi danymi, inne jednak całkowicie im przeczyły. Blaszak nie mógł tego zrozumieć. Był w podłym nastroju, kiedy skoczyliśmy ku następnemu miejscu.

Zamierzaliśmy zbadać odosobniony układ, który, jeśli wierzyć pamięci Skippy'ego, stał się miejscem wielkiej bitwy podczas wojny sztucznych inteligencji. Jeśli gdziekolwiek mieliśmy znaleźć potwierdzenie dla naszych przypuszczeń, to miejsce wydawało się idealne.

Powinno to być proste i bezpieczne zadanie. I było. Do czasu. Aby dostać się do układu, musieliśmy przedostać się przez cztery tunele. Skippy pomajstrował przy ostatnim, by połączyć go z Waterloo, jak nazwaliśmy nasz cel. Stamtąd do heliopauzy

układu zostałyby nam niewiele ponad trzy lata świetlne. Spytacie, cóż to takiego heliopauza? Otóż jest to granica, gdzie pęczek plazmy wypływający z gwiazdy zostaje zatrzymany przez ciśnienie z ośrodka międzygwiazdowego. Czyli miejsce, w którym zanika wiatr słoneczny. Chcieliśmy znaleźć się właśnie tam, by nasze przyrządy pobrały próbki bezpośrednio z wiatru. Wówczas moglibyśmy darować sobie analizę spektralną. Skippy nie natrafił na nic nietypowego, a co ważniejsze, na żadne zagrożenia. Pokrzepiony tą informacją, rozkazałem wykonać skok do układu, kilka lat świetlnych od docelowej planety.

Bez zagłębiania się w szczegóły powiem tylko, że Skippy znalazł to, na co liczył. Ślady potężnej bitwy. Walka rozegrała się pomiędzy dwoma okrętami Pradawnych, kontrolowanymi przez przeciwne frakcje. Sądząc po trwałej niestabilności gwiazdy i radykalnych orbitach planet, Skippy stwierdził, że jedna ze stron, a może i obie wykorzystały gwiazdę jako broń. Według jego wspomnień jeden okręt zderzył się z gwiazdą. Blaszak ucieszył się, gdy znalazł na niej śladowe ilości materii egzotycznej. Druga jednostka, ta z „dobrą” SI, odleciała niezdarnie w kierunku Obłoku Oorta, by tam dokonać samozniszczenia, ponieważ sztuczna inteligencja konała, zaatakowana przez robaka. Badając orbity matowych skał i brył brudnego lodu, Skippy był w stanie odtworzyć wydarzenia aż do wybuchu, który wytrącił te obiekty z pierwotnych tras lotu. Było to przerażające starcie, które wyrządziło szkody w całym układzie i wciąż odbijało się echem.

Właśnie przez wielki rozmach bitwy Skippy nazwał ten układ Waterloo. Ja nazwałbym go Ausculum. To dlatego, że jestem żołnierzem i studiowałem historię wojskowości. A poza tym w głębi serca pozostaję kujonem. Słyszeliście o pyrrusowym

zwycięstwie? W roku 279 przed Chrystusem grecki król Pyrrus najechał tereny na południu dzisiejszych Włoch, aby chronić greckich osadników przed rozrastającym się Cesarstwem Rzymskim. Król dawał czadu w większości bitew, ale Rzymianie walczyli na własnej ziemi i zawsze mogli wezwać posiłki, natomiast Pyrrus był zdany na oddziały i zapasy, które sprowadził ze sobą. Legenda głosi, że gdy zwyciężył w bitwie pod Ausculum, jego armia poniosła tak ciężkie straty, że musiała wycofać się na Sycylię. Zasadniczo, bitwa SI w odwiedzanym przez nas układzie skończyła się remisem. Obie sztuczne inteligencje uległy zniszczeniu, ale ci „dobrzy” stracili szansę na zaskoczenie wroga, a przez to na osiągnięcie swoich celów w wojnie. Dla nich również było to pyrrusowe zwycięstwo.

Dobra, starczy tego wykładu z historii. Nazwa „Waterloo” też pasowała, a poza tym nie chciałem się wyklócać ze Skippym.

*

Zostaliśmy w tamtym układzie na tyle długo, aby Skippy upewnił się, że jego wspomnienia są w większości zgodne z prawdą. On był zadowolony, a ja cieszyłem się, że cały ten trud nie poszedł na marne. Blaszak palił się, by sprawdzić kolejne miejsce na liście. Ja chciałem jak najszybciej wyrwać się z pola bitwy, która niemal rozsadziła gwiazdę. Zarządziłem skok powrotny do lokalnego tunelu.

Nic się nie wydarzyło. Cewki nie wybuchły. Po prostu w ogóle nie zadziałały.

– Przeanalizujemy problem krok po kroku –

zapropnowałem. – Friedlander nazwałby to, hmm, siecią usterek?

– Drzewem usterek, Joe – poprawił mnie Skippy.

– O właśnie. Przykładowo, najpierw sprawdza się, czy paliwo

dopływa z baku do wtrysku. Jeśli nie, problem tkwi w układzie doprowadzania paliwa. Jeśli dopływa, trzeba sprawdzić, czy silnik odpala.

– Przecież wiem, tępaku! Ale napęd skokowy jest nieco bardziej złożony niż kawał blachy napędzany szczątkami dinozaurów.

– Mniejsza z tym. W czym tkwi problem?

– Właśnie w tym, że nie ma problemu!

– Fajnie, tylko jakbyś nie zauważył...

– Napęd działa idealnie!

– Możliwe, że rozumiemy słowo „idealnie” na różne sposoby. Co...

– Nie znalazłem żadnych usterek – upierał się Skippy. – Z tego, co widzę, napęd działa dokładnie tak, jak powinien. Źródłem problemu jest tutejsza czasoprzestrzeń. Kiedy napęd wytwarza tunel skokowy, ten tak jakby zwija się w pętlę. Okręt tak naprawdę skacze, ale nigdzie się nie przemieszcza.

– Cholera. Dlaczego tak się dzieje?

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Czuję się jak idiota.

Przez dwa kolejne dni Skippy starał się jak mógł, żeby zmusić napęd do posłuszeństwa. Potem zaczął wypróbować moje pomysły, może pomijając te najbardziej porąbane. Mimo że wykazałem się niebywałą kreatywnością, nie przyniosło to żadnych rezultatów. Napęd skokowy działał bez zarzutu, ale za każdym razem przenosił nas zaledwie o piętnaście i siedem dziesiątych metra. Skippy doszedł do tego wniosku po ósmej próbie skoku. Wcześniej sądził, że unosimy się w miejscu. Wspomniany dystans stanowił minimalną odległość pomiędzy horyzontami zdarzeń tuneli skokowych w lokalnej czasoprzestrzeni. Gdyby horyzonty były bliżej, doszłoby do kolizji i zapadnięcia tunelu czy coś w tym stylu.

Skippy spekulował, że drugi koniec tunelu chciał się zaczepić w docelowym miejscu skoku, ale przez zapętlenia czasoprzestrzenne „tam” było „tu”, więc nigdzie nie lecieliśmy. Na domiar złego blaszakowi kończyły się teorie co do przyczyn awarii. Był coraz bardziej przybity.

– To na nic, Joe! – jęknął w środku nocy, wrywając mnie ze snu najgłębszego od paru miesięcy. Spałem spokojnie bynajmniej nie dlatego, że byłem zadowolony i wolny od stresu. Wręcz przeciwnie. Po prostu wyczerpanie dało o sobie znać. Odkąd napęd nawalił, robiłem dobrą minę do złej gry, żeby podtrzymać na duchu nieliczną załogę. Wiedziałem jednak, że podwładni oczekują, że jakimś cudem wyciągnę ich z tarapatów.

Ziewnąłem i położyłem stopy na podłodze, odruchowo odchylając się, aby nie uderzyć głową w szafkę. Potrzebowałem czasu, by na nowo przywyknąć do miniaturowych sprzętów na pokładzie „Holendra”. Wciąż wkurzało mnie, że muszę kucać pod prysznicem. Okręt był przebudowywany kilka razy, ale Skippy nie wyremontował kabin. Zresztą niewiele mógł zrobić. Każde pomieszczenie było otoczone zewsząd nieruchomymi rurami, przewodami i wszelkiego rodzaju osprzętem mechanicznym. Ale dało się jakoś wytrzymać.

– Nie poddawaj się, stary – pocieszyłem Skippy’ego.

– Dzięki za zachętę, Joe, ale to nie rozwiązuje problemu. Nic go nie rozwiązuje!

Nawet nie pytałem, czy ta rozmowa nie mogłaby poczekać do rana. Poza tym, skoro i tak byliśmy skazani na bezczynność, równie dobrze mógłbym odespać tę noc po południu. Ponieważ mam więcej oleju w głowie niż zwykły zjadacz chleba, schowałem w kabinie termos z kawą, na wypadek gdybym musiał wstawać w nocy.

– Daj mi chwilę – poprosiłem. Odkręciłem termos i nalałem sobie pół kubka gorącej kawy. – O tak. – Pierwszy łyk przyniósł mi ulgę. – Mów dalej.

– Ale o czym?

– O tym, co cię dręczy.

– Serio?

– Poza oczywistą sprawą.

– Właśnie ta sprawa mnie dręczy. Nie myślę o niczym innym.

– Kumam. Mam kolejny pomysł. – Wciągnąłem spod nie.

Wiedziałem, że szanse na powrót do snu spadły do zera. – Nie próbuj naprawić napędu. Zastanów się, co mogło doprowadzić do zapętlenia tunelu.

– Już próbowałem. Nic z tego.

– Spróbujmy razem. Widzimy się za minutę w moim gabinecie.

*

Postawiłem termos na biurku. W szufladzie znalazłem flamastry. Uśmiechnąłem się na myśl, że Chang nie wyrzucił ich, gdy przejął dowodzenie na poczciwym lotniskowcu.

– W porządku – zwróciłem się do Skippy’ego. – Czyli mówisz, że przestrzeń w jakiś sposób kompresuje się pomiędzy okrętem a drugim końcem tunelu. To jakieś zakrzywienie czasoprzestrzenne?

– Ogólnie mówiąc, tak. Na to przynajmniej wygląda.

– W „Star Treku” okręty podróżują właśnie dzięki temu, nie?

Tak naprawdę nie lecą szybciej od światła, tylko tworzą bańkę czasoprzestrzenną. To przestrzeń się porusza, nie one. Jak to się nazywało? Napęd Albatrosa?

– Alcubierre’a. Nazwano go tak na cześć fizyka Miguela Alcubierre’a, całkiem zmyślnego, jak na małpę. Twórcy serialu dopisali ten napęd do scenariusza, kiedy teoria Alcubierre’a...

– Jasne, rozumiem. – Nie miałem ochoty na ciekawostki. – Pomyślałem, że problem z takim napędem polegałby na tym, że okręt zderzałby się po drodze z każdą możliwą cząsteczką.

– Niezupełnie, ale to dobry trop. Po skompresowaniu przestrzeni wszystkie drobiny pyłu i wolne atomy wodoru pozostają na trasie okrętu. A jeśli podróżuje się między gwiazdami, takich cząsteczek jest naprawdę sporo!

– Aha... To dlaczego ich nie widzimy?

– Co proszę?

– Przy pierwszej próbie skoku nasz cel był jedną trzecią roku świetlnego od nas. Czy po kompresji na takiej odległości nie powinno nas zalać promieniowanie?

– Racja. Zastanawiałem się nad tym. Kompresja czasoprzestrzeni w ujęciu Alcubierre'a nie wyjaśnia tego, co się dzieje. Rozważałem alternatywne wytłumaczenia, ale żadna teoria się nie sprawdziła.

– Bo twoje teorie są do dupy! – oznajmiłem.

– Co takiego?!

– A co, może nie są?

– Nie no, tego nie powiedziałem – zmiętygował się blaszak.

– W każdym razie zrobiliśmy jakiś postęp. Potrzebna jest inna teoria wyjaśniająca, dlaczego koniec tunelu przemierza ogromne odległości w mgnieniu oka.

– To niewykonalne, Joe.

Coś zaświtało mi gdzieś z tyłu głowy, ale nie byłem pewien co. Potrzebowałem kawy. I grzanki. Zeszłego ranka widziałem w mesie dżem truskawkowy...

Tak... Nie ma to jak chrupiąca grzanka i świeża kawa. W mesie było pusto. Na pokładzie przebywało osiemnastu członków załogi i ja. Cała reszta wypoczywała na Klubie

Skippy'ego. Gdy nalewałem sobie już trzecią kawę, odezwała się Agada:

– Dzień dobry, Josephie.

– Dzień dobry, Agado. Jak się masz?

– Dobrze, dziękuję. Twoja rozmowa ze Skippym była nader ciekawa.

– Ciekawa w złym znaczeniu tego słowa.

– Rzeczywiście. Pytałeś, czy ma inną teorię dotyczącą przemieszczania końca tunelu.

– Tak. Twierdził, że nie da rady.

– Nie dziwię się, mój drogi. Zapomniał jednak, że już kiedyś dał radę.

– Jak to? Kiedy?

– To także był twój pomysł, Josephie.

Odstawiłem filiżankę i oparłem się o kontuar.

– Przypomnij mi proszę, na jaki genialny pomysł wpadłem.

Nie pamiętam, żebym proponował coś takiego. Ani że w ogóle potrzebowaliśmy... Aha! – Olśniło mnie.

– Otóż to, kochanieńki. Pamiętasz już?

– Tak. Skippy! – zawołałem.

– Co znowu? – Awatar wylądował lewą nogą w filiżance.

Błaszak był ewidentnie rozkojarzony.

– Wiem, jak można przesunąć koniec tunelu. Agada przypomniała mi, że już kiedyś to zrobiliśmy.

– Na pewno nie – prychnął.

– Właśnie że tak!

– Właśnie że nie!

– Kiedy „Walkiria” musiała skoczyć, użyłeś napędu okrętu, aby przestawić wyjście z tunelu.

– Ty, no faktycznie! Zupełnie o tym zapomniałem. Hmmm...

Niesamowita sprawa. Jestem tak wspianiały, że nie mogę

spamiętać wszystkich swoich dokonań!

– Jasne, tak sobie tłumacz.

– Bardzo śmieszne, Joe. W porządku, to dobra myśl. Ale jak ma nam pomóc?

– Tego nie wiem. Może napęd tworzy drugi tunel i używa go, żeby ściągnąć punkt wyjścia z powrotem do nas?

– Nie ma takiej możliwości, Joe... Hmm, choć nie jestem tego pewien. Zamknij się na chwilę i daj mi to sprawdzić.

*

Sprawdzenie trwało dłużej niż chwilę. Wykonaliśmy jeszcze dwa skoki próbne, zanim Skippy mógł stwierdzić z całą pewnością, że problem nie tkwi w napędzie. Siedziałem na mostku i czekałem, aż przedstawi mi wnioski z testów.

– Hej, Joe. – Nawet jego awatar wyglądał na umęczonego.

– Cześć, Skippy – odparłem obojętnie. Nie liczyłem na zbyt wiele. – I jak?

– Mam dobrą wiadomość, złą wiadomość i chyba bardzo, ale to bardzo złą wiadomość. Zacząć od tej dobrej?

– Pewnie.

– To nie napęd jest źródłem kłopotów.

– To już chyba zostało ustalone, miałeś się tylko upewnić. I to ma być ta dobra wiadomość? A ta zła?

– Twój głupi pomysł z drugim tunelem okazał się całkowicie chybiony.

– Żadna niespodzianka. Mam prawo nie znać się na technice. Dłaczego...

– To jeszcze nie jest ta zła wiadomość. Chciałem ci tylko wytknąć, że nie jesteś takim mądrałą, jak myślisz. Tak czy inaczej, za sprawą twojego pomysłu postanowiłem sprawdzić, czy na nasz tunel wpływa jakaś zewnętrzna siła. Powinienem ci chyba podziękować. Mimo że w ogóle nie miałeś racji i do

niczego się nie przydałeś.

– Zawsze potrafisz skupić się na najważniejszym. Jak ty to robisz? – zakpiłem.

– Oj tam, cicho bądź. Oto zła wiadomość. Ktoś albo coś ingeruje w nasz układ napędowy i wywołuje zapętlenie tunelu. To trochę skomplikowane, ale ogólnie chodzi o to, że napęd tworzy przejście w skompresowanej przestrzeni, dlatego nigdzie nie lecimy.

– Szlag! Potrafisz to naprawić?

– O ile wiem, nie potrafię, Joe. Ta siła działa na nas z zewnątrz, więc grzebanie przy napędzie niczego nie zmieni.

– Kto może być za to odpowiedzialny? Czy jest tu inna aktywna SI Pradawnych?

– Nie, Joe. Tego akurat jestem pewien.

Powinien dodać tę informację do zbioru dobrych wiadomości.

– To skąd bierze się nasz problem?

– Cóż, ha, ha... Wygląda na to, że gdzieś w okolicy przebywa aktywny Strażnik.

ROZDZIAŁ 21

– Joe? – Hologram Skippy’ego pomachał mi przed twarzą. – Halo? Jest tam kto?

– Strażnik? – powtórzyłem, osłupiały.

– Tak.

– Pieprzony Strażnik?!

– Tak właśnie powiedziałem.

– Prawdziwy, ogromny, śmiertelnie niebezpieczny Stra...

– Zamierzasz w kółko to powtarzać i dorzucać litanie przymiotników?

– Nie. – Potrząsnąłem głową, na próżno starając się uspokoić myśli. – Wcześniej go nie wykryliśmy, bo jest na wyższym

poziomie czasoprzestrzeni?

– Właściwie to tak. Poza tym w ogóle go nie szukałem. Na dodatek sam się ukrywa. Nadal tak naprawdę go nie widzę, Joe. Wywnioskowałem, że tu jest, w oparciu o jego wpływ na lokalną czasoprzestrzeń.

– Chodzi ci o tę pętlę?

– Nie. Ale to bardzo ciekawe. Strażnicy mają w zanadru wiele wrednych sztuczek, ale zapętlenie przestrzeni nie powinno być jedną z nich.

– Więc jak mu się to udaje?

– Mogę tylko zgadywać, bo ten dureń nie chce ze mną rozmawiać. Podejrzewam, że miał bardzo, naprawdę bardzo dużo czasu, aby przygotować przestrzeń wokół tej gwiazdy tak, by uniemożliwić okrętom skok.

– Po co zadawał sobie taki trud? Mógł po prostu roztoczyć pole wytłumiające, jak w Pułapce na Karaluchy.

– Owszem, gdyby chodziło mu o prymitywne jednostki w rodzaju „Latającego Holendra”. Jednak ten Strażnik chciał zatrzymać okręt Pradawnych! Zwykle pole wytłumiające nic by nie działo.

– Wziął „Holendra” za jednostkę Pradawnych? Dla czego?

– Cóż, ha, ha, ponieważ zauważył moją obecność na pokładzie.

– Ale jak? Odkąd przybyliśmy, nie popisywałeś się jeszcze swoją wspaniałością.

– Niby nie, ale zaraz po skoku wysłałem sygnał, aby się zidentyfikować.

– Że co?! Po jaką cholere to zrobiłeś?

– Tak na wszelki wypadek, gdyby byli tu, no wiesz, Opiekunowie albo inne potwory gotowe rozerwać nas na kawałki.

Zacisnąłem pięści i policzyłem do pięciu, ale moja wściekłość ani trochę nie osłabła.

– Obawiałeś się Opiekunów i nic o nich nie powiedziałeś?

– Powiedziałem przecież, właśnie przed chwilą. Zresz tą nie spodziewałem się ich tu zastać. Po prostu zachowałem najwyższą ostrożność, więc powinieneś być mi wdzięczny.

– Wdzięczny? Ściągnąłeś na nas uwagę Strażnika!

– Rzeczywiście, ale dowiedzieliśmy się o tym dopiero teraz.

Ech, staram się być ostrożny i co z tego mam? Joe, skąd miałem wiedzieć, że gdzieś w pobliżu nadal czai się Strażnik?

– Dobra, masz rację. Nie...

– Oczywiście powinienem się go spodziewać, gdy sprawdziłem sygnatury po bitwie, ale nie byłem pewien, że tu jest.

– Skippy... – wymamrotałem, zakrywając twarz dłońmi – gdybyś w tej chwili stanął przed sądem, nawet twój adwokat żądałby dla ciebie kary śmierci.

– Ekhm, chyba powinienem zamilknąć.

– Tyle się rozwodziłeś nad tym, że nie powinieneś ufać własnemu osądowi! Mogłeś chociaż powiedzieć Agadzie, co zamierzasz.

– Sir? – Reed odwróciła się do mnie. – Kiedy Skippy mówił o braku zaufania do samego siebie?

Miałem ochotę rąbnąć się w czoło. Zapomniałem, że odbyłem tę rozmowę sam na sam z blaszakiem, a inni nie mieli o niej pojęcia.

– Eee, bo chodzi o to... – Grałem na zwłokę.

Agada wybawiła mnie z opresji.

– Powiedział tak zaraz po tym, jak wpadł w sidła oryginalnej SI „Walkirii” – skłamała. – Zrozumiał, że zachował się głupio.

– Właśnie – skwapliwie potwierdził Skippy. – Wciąż czuję się

przez to jak dureń.

– I tchórz – dodała Agada.

– Ejże!

Uciałem ich sprzeczkę machnięciem ręki.

– Agado, wszyscy możemy się zgodzić, że nie była to najlepsza chwila w życiu Skippy’ego. Wróćmy do tematu.

Skippy, dlaczego Strażnikowi zależy na powstrzymaniu skoków okrętów Pradawnych?

– Powtarzam, muszę bazować na domysłach. Pomyśl tylko.

Dwie jednostki Pradawnych z wrogimi sobie SI na pokładzie stoczyły tu zacieklą bitwę. Bez wątpienia każda ze stron usiłowała wykorzystać Strażnika przeciwko wrogowi. Strażnicy to tylko maszyny, Joe. Nie myślą, bo nie zostały do tego stworzone. Ten tutaj musiał doświadczyć poważnej dezorientacji, czy nawet uszkodzeń. Bitwa skończyła się, gdy jeden z okrętów wraz z SI uderzył w gwiazdę, a drugi zniszczył się sam. Strażnik stara się zapewne zapobiec podobnym starciom i zna na to tylko jeden sposób.

– Kiepska sprawa, Skippy.

– Nie mogę się nie zgodzić.

– Co teraz?

– Nie wiem, czy jesteśmy w stanie cokolwiek na to poradzić.

– Rozmawiałeś z tą maszyną?

– Tak.

– Powiedziałeś coś więcej poza „cześć, jak leci”?

– Oczywiście. Kazałem jej zaprzestać tego, co aktualnie robi.

A przynajmniej próbowałem.

– Zrób to albo nie rób w ogóle. Prób nie ma – pouczyłem go skrzekliwym głosem mistrza Yody.

– Co?!

– Nieważne. Czyli próbowałeś wydać mu komendę. Dlaczego

nic to nie dało? Czy Strażnicy nie powinni wypełniać twoich poleceń?

– Powinni, pod warunkiem że posiadam odpowiednie kody uwierzytelniające i korzystam z właściwego kanału łączności. A tak się składa, że nie mam dostępu ani do jednego, ani do drugiego.

– Hmm... Kanał łączności? To ta sieć, którą nazywałeś Kolektywem? – upewniłem się.

– Otóż to. SI z frakcji opozycyjnej umyślnie doprowadziły do jej awarii. Istnieje protokół na wypadek niedostępności Kolektywu, ale jego też nie użyję, ponieważ moje kody straciły ważność. Mogę jedynie zidentyfikować się jako SI Pradawnych i uprzejmie poprosić o wypuszczenie naszego okrętu.

– Aha... A wytłumaczyłeś Strażnikowi, że nie miałeś nic wspólnego z tą bitwą?

– To bez znaczenia. Albo po prostu Strażnik ma to gdzieś. Trudno powiedzieć, bo skurczybyk dalej milczy. Możliwe, że spadł na nas jeszcze gorszy problem.

– Mamy na karku Strażnika. Co mogłoby być gorsze?

– Wydaje mi się, że ta maszyna jest uszkodzona. Może nie jest w stanie odpowiedzieć i dlatego nie mogę wydawać jej rozkazów ani z nią negocjować.

– Super. – Zacisnąłem zęby. – Ta cała pętla działa tylko wokół gwiazdy. Nie moglibyśmy podlecieć do krawędzi pola, a potem skoczyć?

– Strażnik ruszyłby za nami. Sądzę, że jeśli zobaczy, że zbliżamy się do krawędzi pola zapętlającego, zwróci się przeciwko nam. I wszystko skończy się wielkim „bum!”. Ten potwór bardzo chce nas zatrzymać.

– Rozumiem. Czyli o tym pomysle możemy zapomnieć. Pospiesznie zastanowiłem się nad innymi opcjami ucieczki.

Strażnik mógłby nas po prostu wypuścić... Ale to było mało prawdopodobne. Moglibyśmy też zniszczyć tę zabójczą maszynę... Roześmiałem się w myślach. O tym też lepiej było zapomnieć.

A gdyby jednak udało się skoczyć? Wystarczyło tylko znaleźć sposób, by nasz kradziony maxolhxański napęd wydostał się z pułapki... Nie, raczej nic z tego.

Przyszedł czas porządnie ruszyć głową.

*

Wszyscy myśleliśmy tak intensywnie, jak się dało.

Próbowaliśmy wszystkiego... Przynajmniej teoretycznie, bo żadne z rozwiązań zaproponowanych przeze mnie, Agadę, Reed, czy nawet Skippy'ego nie sprawdziłoby się w praktyce albo zadziałało zbyt wolno.

– Nie, Joe – westchnął Skippy, kiedy zaproponowałem, by utworzył wokół okrętu nietypowo płaską przestrzeń. – To nie wypali.

– Dlaczego nie? – upierałem się. – Twierdziłeś, że może to zaburzyć efekt zapętlenia tunelu.

– No właśnie. Może. I zapewne tak właśnie by było. Nie mam pewności, bo nie jestem w stanie tego sprawdzić. Nie uda nam się z dwóch powodów. Po pierwsze, efekt spłaszczenia nie pozwoli nam skoczyć wystarczająco daleko. Po drugie...

– A gdybyśmy wykonali krótki skok, a zaraz potem...

– Hej! – Uciszył mnie, machając palcem. – Właśnie do tego zmierzałem. Nasz największy problem polega na tym, że wszystkie te działania będą zbyt wolne. Jeśli Strażnik zauważy próbę ucieczki, najprawdopodobniej rozwali okręt.

– Sądzisz, że wolałby cię zabić, niż pozwolić ci uciec? – zdumiała się Agada.

– Nie – wyjaśnił blaszak. – Mógłby zaatakować „Holendra”

tak, by przy okazji mnie nie uszkodzić.

– Kurde – jęknąłem. – Niedobrze.

– Żebyś wiedział, Joe. – Skippy wydawał się równie przybity jak ja. – Na razie Strażnik zostawił nas w spokoju, bo wie, że i tak nigdzie się nie wybieramy.

– Po prostu cudownie. Nic nam nie grozi, pod warunkiem że zostaniemy tu na wieki?

– Niestety, właśnie na tym polega nasz problem.

*

Jeden z pomysłów zachowałem na chwilę, aż dotrę do gabinetu.

– Skippy! – wezwałem go, zerkając przez drzwi, czy nikt nas nie podsłuchuje. – Nie chciałbym o to pytać...

– Ale i tak zapytasz.

– No właśnie. Utknęliśmy tu przez ciebie, prawda? Gdyby nie było cię na pokładzie, Strażnik nie miałby powodów, żeby nas więzić?

– Hmm, możliwe. Ale to ogromne ryzyko, Joe. Strażnik nie reagował na nasz skok, bo nie wiedział, że lecę na „Holendrze”. Wykrył go dopiero, kiedy nadałem sygnał identyfikacyjny. Teraz kojarzy ten okręt z SI Pradawnych. Dlatego może wziąć nas na cel.

– Czy mimo to mogę powiedzieć ci o swoim pomyśle?

– Odmawiam, Ghostrider, ścieżka jest zajęta.

– Serio, teraz przypomniał ci się „Top Gun”? – roześmiałem się mimo wszystko. – Postaraj się zachować powagę chociaż na chwilę.

– No dobra – westchnął. – Dawaj.

– Cóż, ha, ha – przedrzeźniałem go. – Z pewnością ci się to nie spodoba.

– Niech cię diabli. Co tym razem wymodziłeś?

- Mam dwa pomysły. Po pierwsze, kiedy zdezerterowałeś...
- Joe, nie tak głośno! – szepnął gorączkowo. Jego awatar ostentacyjnie wyjrzał za drzwi. Zrobił to, aby dodać dramaturgii, bo przecież Skippy znał lokalizację każdej osoby na pokładzie.
- Sorki. A zatem kiedy zrobiłeś sobie wolne, twój kanister zniknął z lokalnej czasoprzestrzeni. Mógłbyś zrobić to raz jeszcze?
- Niby po co?
- Proszę, postaraj się nadażyć. – Zmusiłem się do zachowania cierpliwości. Skoro mnie nie rozumiał, nie wyjaśniłem tego jak należy. – Znikniesz, Strażnik się znudzi i odejdzie, a następnie okręt będzie mógł skoczyć.
- Hmm... Pozwolę sobie zwrócić uwagę na liczne problemy z tym idiotycznym pomysłem. Kiedy zniknę, przeniosę swój ślad z tej czasoprzestrzeni na poziom, w którym znajduje się Strażnik i gdzie z pewnością zostanę zauważony. A poza tym naprawdę chcesz mnie tu zostawić na zawsze?
- Nie no... Uff, możliwe, że tego nie przemyślałem. Chodziło mi o to, że gdy zniknąłeś, powróciłeś potem w innym miejscu, po drugiej stronie planety. Nie dałoby się tego powtórzyć?
- Nie. Już za pierwszym razem źle zrobiłem, że tego spróbowałem. Działalem w akcie desperacji. Następnym razem mógłbym stracić możliwość zakotwiczenia na tym poziomie czasoprzestrzeni. Poza tym i tak nie odleczę dość daleko, żeby zgubić Strażnika. Gościu, miewałeś już różne kretyńskie pomysły, ale ten zasługuje na jakąś nagrodę!
- No co? Przynajmniej się staram. To zresztą nie był mój najlepszy plan. Co powiesz na to? Załadujemy twój kanister do działa EM i wystrzelimy. Kiedy już oddalisz się na bezpieczną odległość, „Holender” skoczy.

- Nie-e. Mowy nie ma. Również w tym wypadku okręt może by i uciekł, ale co ze mną?
- Spokojna puszka, tym też się zająłem – odparłem nonszalancko. – Będziesz dryfował coraz dalej od gwiazdy. W końcu znajdziesz się poza zasięgiem Strażnika, wezwiesz nas, a my... – Pstryknąłem palcami. – Skoczymy i weźmiemy cię na pokład!
- O rany. To wręcz imponująco idiotyczny plan. Wasze śmiechu warte działo rozpędzi mnie do jakichś ośmiu procent prędkości światła. Aby przebyć stosunkowo niewielki dystans, powiedzmy miesiąc świetlny, potrzebowalibyśmy ponad roku! Oznaczałoby to roczne opóźnienie w ewakuowaniu Ziemi, nawet gdyby ten pomysł wypalił.
- Przecież wiem. Ja tylko...
- Zapomnij, Joe. Strażnik ruszyłby w pościg. Mu siał bym trafić ponad miesiąc świetlny od niego, aby znaleźć się poza jego zasięgiem, o ile to w ogóle możliwe. To jeszcze nic. Jeśli zostawię „Holendra” samego, Strażnik prawdopodobnie rozwalił wasz okręt.
- Nie mówię, że to dobry pomysł. Po prostu wszystkie inne odrzuciłeś. Może się udać?
- Musielibyśmy być bardzo zdesperowani, żeby próbować czegoś takiego, Joe.
- Myślisz, że nie jesteśmy zdesperowani? Utknęliśmy w pułapce! No, chyba że masz lepszy plan.
- Nie mam. No dobrze... – westchnął z rezygnacją. – Przyznaję, że miewałeś bardziej szalone pomysły. Ale proszę, nie spiesz się z wypróbowaniem tego rozwiązania.
- Wolałbym w ogóle tego nie robić. Może na próbę wystrzelimy coś z działka elektromagnetycznego i sprawdzimy, czy Strażnik zareaguje?

– Mam bardzo złe przeczucia. Obawiam się, że jeśli wypróbujemy twój plan, już nigdy się nie zobaczymy. A jeśli nic nie zrobimy, będziemy tu tkwić przez całą wieczność. Joe, skoro mamy do czynienia ze Strażnikiem, możliwe, że zabrnęliśmy w sytuację bez wyjścia.

– Skippy, czasami wolałbym, żebyś nie był ze mną aż tak szczery.

– Przykro mi.

*

Gdy poszedłem na poranną kawę, zastałem w mesie Reed.

Intensywny trening na siłowni, porządny obiad i ośmiogodzinny sen nie pomogły mi wpaść na żaden genialny pomysł. Po przebudzeniu pogadałem ze Skippym, ale nikt inny nie znalazł lepszego rozwiązania naszego problemu. Strażnik więził nas już od czterech dni, a końca nie było widać.

Musieliśmy coś zrobić. Kiedy tylko otworzyłem rano oczy, powiedziałem sobie, że ten dzień właśnie nadszedł. Musieliśmy wystrzelić Skippy’ego i modlić się, aby Strażnik nie zmiażdżył „Holendra”.

Ze wszystkich beznadziejnych sytuacji, z jakimi się mierzyliśmy, utknięcie w szponach zabójczej maszyny z innego wymiaru było bez wątpienia najgorsze.

– Dzień dobry, Reed – przywitałem się, ziewając. – Świeże herbatniki? – zaciekawilem się, patrząc na jej talerz.

– Wczorajsze, sir. Będą dobre, jeśli się je przełamie i podpiecze.

– Dziękuję za cenną radę. – Herbatniki mogły poczekać.

Najpierw kawa. Usiadłem naprzeciwko Samantha i spojrzałem na jej śniadanie. Jadła herbatniki z masłem i dżemem. –

Wyglądają apetycznie.

– Poczęstuje się pan?

– Nie. – Machnąłem ręką. – W lodówce jest ich jeszcze dużo, zaraz coś sobie skombinuję. – Przy tak małej załodze wystarczało, że gotowaliśmy co drugi dzień i dojadaliśmy resztki.

– Uwielbiam herbatniki – zachwycała się Reed, oblizując dżem malinowy z ust. – Wie pan, że gdy Brytyjczycy mówią o herbatnikach, mają na myśli ogólnie wszystkie ciastka?

– Wiem, Smythe o tym mówił. Ciekawe, jak mówią na nasze herbatniki...

– *Scones* ④? – podsunęła Reed.

– Nie, to coś innego.

– Może dla nas – przypomniała. – Dla nich *scone* i herbata to jak dla nas herbatnik i kawa. Przysmaki dla psów też nazywamy „ciasteczkami”, mimo że wcale ich nie przypominają.

– Racja. – Nie przepadałem za porannymi rozmowami, jeśli musiałem się zmuszać do myślenia. Pogaduchy o niczym były bardziej znośne.

– Szkoda, że nie mamy ciastek, które lubią Strażnicy – zażartowała Reed. – Powiedzielibyśmy: „Struzuś, do nogi” i rzucilibyśmy mu ciacho z okrętu, żeby aportował.

– Ja pierdziele! – Odstawiłem gwałtownie filiżankę, rozlewając przy tym kawę.

Reed zacisnęła usta.

– Sir, nie robię sobie żartów z tej sytuacji, tylko...

– Reed, jest pani prawdziwym geniuszem! Może pani jeść tyle herbatników, ile tylko zechce!

*

– Skippy! – krzyknąłem, wpadając do gabinetu.

– Czego sobie ryczysz, jaśnie panie? – Awatar pojawił się i złożył głęboki ukłon.

- Wcale nie ryczę!
- A poza tym nie jesteś moim panem. Czego chcesz?
- Reed wpadła na pewien pomysł. – Szybko objaśniłem, o co chodzi. – Może się udać?
- Hmm... Chyba na pewno? Pod warunkiem że nie damy się złapać. Bo w przeciwnym razie będziemy mieć przesrane.
- A zatem nie damy się złapać. Kiedy możemy zacząć?
- Ja jestem gotowy już teraz. Nie powinieneś zawiadomić załogi?
- Nie. Minie kilka dni, zanim...
- Raczej dwa tygodnie – ostrzegł. – Dla bezpieczeństwa powinniśmy przyjąć osiemnaście dni, zanim wypróbujemy ten porąbany pomysł. To tylko szacunkowa liczba, ale wszyscy wolelibyśmy się nie pomylić.
- Jasne. Zaczekaj, za chwilę będę na mostku.

*

Nie spieszyliśmy się, a poza tym chciałem dać Agadzie, Reed i pozostałym czas na rozważenie mojego pomysłu. Dwie i pół godziny później wysłaliśmy pocisk. Podczas bitwy wystrzelilibyśmy go z wyrzutni, tym razem jednak pchnęliśmy go delikatnie, ustawiając szynę wyrzutni na najniższe obroty i stopniowo zwiększając przyspieszenie. Nie chcieliśmy przestraszyć Strażnika, wiszącego nad nami, gdzieś na wyższym poziomie czasoprzestrzeni. Po pierwszym pocisku wystrzeliliśmy jeszcze trzy kolejne. Leciwały oddalone od siebie

o

dziewięćdziesiąt stopni. Z całej czwórki usunęliśmy głowice, czujniki i wszystko inne, poza podstawowymi układami naprowadzania, żeby zmniejszyć masę pocisków i nadać im większą prędkość przelotową. Kiedy wyczerpało im się paliwo, poruszały się z szybkością dwunastu i dwóch dziesiątych

procenta prędkości światła, czyli przeszło trzydzieści siedem tysięcy kilometrów na sekundę.

Całkiem szybko, ale chcieliśmy rzucić „ciastka” jak najdalej, zanim podejmiemy próbę skoku. Na przykład na odległość powyżej pięćdziesięciu ośmiu miliardów kilometrów, czy też dystans, który pocisk przemierzał w osiemnaście i pół dnia. Tak przynajmniej oszacował Skippy, bazując na wiedzy o Strażnikach i licznych domysłach.

W pociskach oczywiście nie znajdowały się ciastka. Ani świeże, ciepłe i mięciutkie, ani nawet czerstwe i twarde jak kamień. W każdej rakiecie umieściliśmy natomiast urządzenie ochronne z jednym końcem mikrotunelu. Skippy odzyskał możliwość tworzenia i podtrzymywania niewielkiej liczby małych korytarzy, choć nadal kosztowało go to sporo wysiłku. Tuż przed wyczerpaniem paliwa pocisk uwalniał mikrotunel i wykonywał serię losowych zwrotów. Potem miał dryfować w nieskończoność w otchłani kosmosu. Aby pociski nie zderzyły się z planetą, lecąc z dziesięcioprocentową wartością prędkości światła, wycelowaliśmy je tak, by trafiły w międzygwiazdną pustkę. W końcu opuszczą naszą Galaktykę i wszelki ślad po nich zaginie.

*

Maxolhxański ciężki krążownik „Telaxion”, dowodzący Trzecią Grupą Blokadową, dostrzegł promienie gamma typowe dla skoku przychodzącego. Sygnatura różniła się wyraźnie od tej typowej dla maxolhxańskiej jednostki kurierskiej, ale rozbłysk nie był tak skupiony, jak to zazwyczaj bywało w trakcie walki. Z funkcji tej zrezygnowano, by przybycie kolejnych okrętów było lepiej widoczne i by jakaś nadgorliwa SI nie spanikowała i nie oddała strzału. Przede wszystkim zaś Maxolhxowie nie chcieli, by Bosphuraqowie zdołali się bliżej

przyjrzeć technologii skupiania rozbłysku.

Maxolhxowie, którym powierzono zadanie blokowania tunelu, irytowali się, że muszą znosić obecność jednostek Bosphuraqów, Thuranów, a nawet kilku okrętów Esselginów. Normalny tunel Pradawnych, wyrwę w czasoprzestrzeni przesuującą się według ściśle ustalonego wzorca i sięgającą na ogromne dystanse, trzeba było obstawiać wielką liczbą okrętów. Tak wielką, że nawet maxolhxańska flota nie mogła zbyt długo nadwyręzać swoich okrętów ciągłymi cyklami skok-ładowanie-skok. Jednak tunel prowadzący do Ziemi odbiegał od normy. Wyłaniał się w przestrzeni i czasie w nieprzewidywalny sposób, co jeszcze bardziej zwiększało liczbę jednostek wymaganych do nałożenia skutecznej blokady.

Do tej pory udało się ustalić jedną ważną rzecz, choć na razie nikt nie wiedział, co tak naprawdę oznacza. Korytarz do Ziemi wcale nie został przedwcześnie uspiiony. Okręty rozstawione w różnych odległościach od tunelu wykrywały gwałtowne rozbłyski gamma, wskazujące na to, że twór Pradawnych otwierał się na chwilę, by zaraz potem szybko się zamknąć. Do otwarcia dochodziło rzadko, bez wyraźnego planu i w losowych lokalizacjach. Ponadto tunel nie otwierał się powtórnie w tych samych miejscach i nie poruszał się standardową trasą o kształcie ósemki. Niemożność przewidzenia czasu i miejsca otwarcia tunelu jeszcze bardziej utrudniała blokadę. Okręty oblatywały cały obszar parami. Jeden miał skoczyć i wezwać wsparcie, gdyby tunel znowu się otworzył.

Niektóre dane z czujników, choć chwilowo zbyt słabe, by wysnuwać na ich podstawie jakiegokolwiek wnioski, wskazywały na drugie źródło rozbłysku gamma, do którego doszło podczas jednego z nieregularnych otwarć tunelu. Niektórzy naukowcy podejrzewali, że źródłem promieni był okręt kosmiczny, ale nie

miał on sygnatury żadnego znanego modelu. Nie było jasne, czy ten słaby rozbłysk rzeczywiście zaistniał, czy stanowił jedynie usterkę sensorów. Należało zgromadzić więcej danych, zanim ktokolwiek odważy się szafować zawodową reputacją.

Niestety, od czasu rozpoczęcia blokady tunel uparcie milczał i nic nie wskazywało na to, by miał się ukazać ponownie.

Obecność Bosphuraqów początkowo denerwowała Maxolhxów.

Potem gdy okazało się, że zbuntowani klienci zniszczyli dwa okręty patronów, irytacja przerodziła się w otwartą wrogość. Kiedy zaś grupa bosphurackich odszczepieńców zaatakowała Maxolhxów z użyciem okrętu widma, wybuchło oburzenie i trzeba było odseparować jednostki ptaszydeł, aby zapobiec „przypadkowej” wymianie ognia.

Maxolhxzańskie załogi początkowo postrzegały blokadę jako nieznośnie żmudne, ale konieczne zadanie. Teraz uznawały ją za bezsensowne marnotrawstwo zasobów. Okręty były potrzebne do obrony terytorium Hegemonii przed okrętem widmem, nie do trzymania straży przy uspionym tunelu.

Należało ustanowić silną obronę wokół kluczowych światów, a potem posuwać się w głąb terytorium i odcinać nieprzyjacielowi kolejne drogi ucieczki, aż wreszcie uda się dopaść i zniszczyć tajemniczy okręt. Tym właśnie powinna się zajmować maxolhxńska flota. Tymczasem zdecydowanie zbyt wiele okrętów musiało nadal blokować przejście do nic nieznaczącej planety nazywanej Ziemią, zamieszkaną przez zacofanych ludzi. Ludzi, którzy równie dobrze już dawno mogli wyginąć.

*

Okręt kurierski dopełnił standardowej procedury.

Zidentyfikował się i nawiązał łączność z SI jednostki dowodzącej, nie przesłał jednak żadnych dodatkowych danych.

Zamiast tego przyspieszył, by zatrzymać się w bezpiecznej odległości od ciężkiego krążownika, a następnie wypuścił lądownik. W obliczu nietypowego zachowania na okrętach blokadowych ogłoszono żółty alarm. Odwołano go wkrótce po tym, jak lądownik zadokował na „Telaxionie”. Wkrótce po wszystkich pokładach rozniosła się wstrząsająca wiadomość. Oficjalny komunikat potwierdził niewiarygodne pogłoski o naruszeniu niemożliwych do złamania zabezpieczeń systemu komunikacyjnego opartego na wymiennikach sparowanych stanu kwantowego! Do czasu opracowania alternatywnego rozwiązania wszystkie wrażliwe dane należało przekazywać osobiście.

Maxolhxowie stracili istotną przewagę. Co gorsza, nikt nie znał technologii, która mogłaby posłużyć za wartościowy zamiennik.

*

Członkowie Trzeciej Grupy Blokadowej wiedzieli, że przybycie jednostki kurierskiej zwiastuje rozpoczęcie cyklu wymiany okrętów. Dotychczasowe siły miały wrócić do baz na konserwację i naprawy. Zmęczone załogi czekające na lot do domu przygotowywały raporty, a także obelgi dla nieszczęsnych zmienników.

Tyle tylko, że ani meldunki, ani zniewagi nie okazały się konieczne. Kurier przyniósł zaskakujące, lecz radosne wieści. Trzecia Grupa otrzymała rozkaz powrotu do domu na szybkie naprawy, a potem miała dołączyć do walki z okrętem widmem. Nie przewidywano jednak, by na jej miejsce przybyły kolejne maxolhxańskie okręty. Za trzy dni, już po odlocie grupy, jej stanowiska miały obsadzić jednostki Bosphuraqów. Dla tych ostatnich stanowiło to okazję do wykazania się lojalnością, a przy tym przeszkodę w udzielaniu wsparcia okrętowi widmo.

Po włamaniu do systemu łączności uznano, że dobrze będzie przenieść bosphurackie jednostki z ich ojczystego terytorium. Wylot jednej grupy jeszcze przed dotarciem zmienników na miejsce skutkowałam przerwą w blokadzie, która jednak była dopuszczalna w tych okolicznościach.

Dlaczego całkowicie nie zaniechano blokady w obliczu zagrożenia ze strony nieznanego wroga? Odpowiedź była prosta. Maxolhxowie nie ośmieliliby się okazywać słabości. Taki sygnał mógłby pobudzić mniej zadowolonych klientów do rebelii. Pierwsza i Czwarta Grupa Blokadowa miały pozostać na miejscu, jako dobitny symbol niesłabnącej potęgi Hegemonii Maxolhxów. Jeżeli jacyś cynicy zauważyli, że grupy te pozbawiono ciężkich okrętów i pozostawiono blokadę fregatom oraz niszczycielom, zachowywali te spostrzeżenia dla siebie. Trzecia Grupa musiała zewrzeć szyk przed odlotem. Uwinęła się szybciej, niż przypuszczano, ponieważ załogi pragnęły jak najszybciej wrócić do domu. Dziewięć godzin po przybyciu jednostki kurierskiej „Telaxion” ruszył na czele formacji, znikając w promieniach gamma.

*

Zgodnie z regułami postępowania maxolhxańskiej floty z dala od ojczystego terytorium okręty Trzeciej Grupy Blokadowej stawiały się przy tunelu Pradawnych kilka godzin przed planowym otwarciem. Zwiadowcza eskadra fregat i niszczycieli skoczyła na przedzie i zbadała obszar niezawodnymi czujnikami aktywnymi, aby zlokalizować i zidentyfikować ewentualne wrogi jednostki. Tunel znajdował się na terytorium Thuraków, więc okolica powinna być bezpieczna. Jednak po niedawnych wydarzeniach Maxolhxowie przestali pokładać ufność w lojalności klientów, dlatego podróż do tunelu traktowano tak, jakby okręty znajdowały się w przestrzeni

nieprzyjaciela.

Zbadany teren okazał się czysty. Jedna z fregat skoczyła, by dołączyć do głównych sił, składających się ze stu dziewięćdziesięciu sześciu okrętów bojowych oraz dwóch tuzinów jednostek pomocniczych. Fregata zdała raport, a kolejne eskadry wykonywały skoki, ustawiając się do przejścia przez tunel, gdy ten się pojawi i ustabilizuje.

Tyle tylko, że się nie pojawił.

Korytarze Pradawnych działały z niezawodną i niemal niezmienną precyzją. Gdy wyrwa w czasoprzestrzeni nie otworzyła się o czasie, okręty czekały cierpliwie, choć takie zjawisko było rzadkością. Tunelom zdarzało się spóźnić o parę sekund. Nie wiedzieć czemu, nigdy nie otwierały się z wyprzedzeniem.

Gdy minęło pół minuty, Maxolhxowie uznali to za ciekawe. Po minucie ich ciekawość ustąpiła miejsca zaniepokojeniu, potem lękowi, a wreszcie panice, gdy stało się jasne, że tunel pozostanie zamknięty.

„Telaxion” wisiał nieruchomo w przestrzeni z wyłączonymi silnikami, gdy komandor dowodząca grupą myślała nad kolejnym krokiem.

Ponieważ tunel nie pojawił się w pierwszej lokalizacji, eskadry zwiadowcze udały się do kolejnych punktów na odwiecznej, niezmiennej trasie korytarza.

Ten jednak nie ukazał się w kolejnej spodziewanej lokalizacji. Ani w następnej. Ani w żadnej innej.

Okręty ściagały tunel przez dziewiętnaście godzin, z coraz większą desperacją szukając oznak niedawnej aktywności korytarza. Być może doszło do pomyłki co do czasu otwarcia? Okrętowe SI sprawdziły rejestry kilka razy. Dane były prawidłowe, a przynajmniej zgodne na wszystkich z ponad

dwustu jednostek. Następnie sztuczne inteligencje sprawdziły działanie własnych zegarów i ponownie nie natrafiły na błąd. Problem leżał nie w okrętach, ale w zachowaniu tunelu. Skoro się nie wyłonił, grupa mogła zawrócić i udać się w długą podróż do drugiego najbliższego przejścia. To dzieło Pradawnych musiało działać zgodnie z planem, bo niedawno skorzystał z niego okręt kurierski. Lot okrężną drogą trwałby dwa tygodnie dłużej, ale zapewniłby grupie powrót do baz. Komandor podjęła decyzję. Zamierzała zabrać większość jednostek w dłuższą podróż i pozostawić dwie lekkie eskadry, by badały dziwne zachowanie tunelu. Grupa blokadowa musiała się namęczyć, żeby wyjaśnić uśpienie jednego korytarza Pradawnych. Teraz już drugi tunel zamknął się z niewiadomych przyczyn.

Pojedyncze okręty wyruszyły, by odwołać eskadry zwiadowcze. Wybrano jednostki pomocnicze i bojowe, które miały zostać na miejscu. Dwadzieścia jeden godzin po tym, jak tunel nie pojawił się w pierwszym spodziewanym punkcie, zjawiała się przedostatnia grupa zwiadowcza, z silnikami rozgrzanyymi do czerwoności po serii szybkich skoków. Dowódca eskadry miał do przekazania zdumiewające wnioski ze zwiadu. Tunel Pradawnych nie tylko był aktywny i otwarty, ale też działał zgodnie z rozkładem. Problem w tym, że cała jego trasa przesunęła się o odległość nieznacznie mniejszą od trasy, jaką przebywało światło podczas jednego obrotu ojczystej planety Maxolhxów.

Kolejne eskadry potwierdzały to odkrycie. Udało im się nawet przelecieć i wrócić przez tunel. Starożytne przejście działało bez zarzutu, tyle tylko, że jakimś sposobem przemieściło się w przestrzeni, bez ostrzeżenia i wyjaśnienia.

Większość okrętów grupy wyruszyła w drogę przez tunel i

zaczęła skakać w kierunku swoich baz. Jedna eskadra poleciała prosto do centrum Hegemonii Maxolhxów z wieściami, które miały wstrząsnąć Galaktyką.

Po raz pierwszy w dziejach tunel czasoprzestrzenny Pradawnych zmienił położenie.

ROZDZIAŁ 22

Czekając, aż minie osiemnaście dni, nie robiliśmy właściwie nic. Na szczęście mogliśmy pójść na siłownię i tylko dzięki temu nie zwariowaliśmy. Załoga spędzała tam sporo czasu. Oprócz tego przygotowywaliśmy posiłki, graliśmy w karty, rummikub i gry planszowe. Oglądaliśmy filmy i seriale. Organizowaliśmy rozgrywki dla dwuosobowych drużyn w koszykówkę, siatkówkę, tenisa i badminton. Niektórzy grali w szachy. Ja podziękowałem, bo jestem beznadziejnym szachistą. Sporo czasu spędzaliśmy razem, a jeszcze więcej osobno. Po tak długim czasie cały urok podróży kosmicznej przemija, a okręt staje się pozbawioną okien kompozytową trumną. Przebywanie wciąż w tym samym miejscu i spotkanie wciąż tych samych ludzi w ciasnych pomieszczeniach zaczęło dawać się wszystkim we znaki. Zdecydowałem, że do dyżurów w BCI i na mostku będziemy wyznaczać pojedyncze osoby. Skłoniła mnie do tego rozmowa z Agadą, po tym jak spędziłem wachtę z Reed, jako drugi pilot.

– Josephie, mój drogi – powiedziała Agada, gdy przebierałem się w kabinie. – Wydaje mi się, że denerwujesz Samanthę Reed.

– Naprawdę? – Przerwałem wciąganie skarpetki. – Co takiego zrobiłem?

– Wspomniała coś o oddychaniu.

– Aha... Oddycham za głośno?

– Chodzi raczej nie o to, jak oddychasz, ale że w ogóle to robisz.

- Oj.
- Kolejnym z twoich uchybień jest, jak to ujęła Reed, „sam fakt istnienia”.
- Dobra, zrozumiałem przekaz. Zbyt długo tkwimy beczynnie na pokładzie. Osiemnaście dni to naprawdę dużo.
- Zgadza się. Może przez jakiś czas nie powinieneś wchodzić Reed w drogę?
- Racja.

*

Osiemnastego dnia, po tym, jak w desperacji obejrzałem jednym ciągiem pierwsze cztery odcinki „Cop Rock”, w końcu...

Pytacie, co to takiego „Cop Rock”? Taki serial policyjny. Niby nic szczególnego, z tym że podczas rozwiązywania spraw okrutnych morderstw postacie ni z tego, ni z owego zaczynają śpiewać i tańczyć. Trochę jak typowy bollywoodzki akcyjny film, tylko jakieś sto razy gorszy. Sam fakt, że ktokolwiek uznał taki serial za dobry pomysł, potwierdza teorię Skippy’ego, jakoby małpom brakowało piątej klepki.

Dlaczego oglądałem to badziewie? Po prostu wygrałem zakład ze Skippym. On z kolei, jako przegrany, musiał obejrzeć legendarnego bożonarodzeniowego gniota „Star Wars Holiday Special”. Biedak, chyba do dzisiaj nie może się pozbierać po tej traumie.

O czym to ja... A, tak. Przygotowaliśmy okręt i odliczaliśmy do momentu, aż ostatni z czterech mikrotuneli minie wyznaczoną granicę, pięćdziesiąt osiem miliardów kilometrów od nas.

– Gotowi? – upewnił się Skippy, choć miał dostęp do każdego systemu na pokładzie.

– Jedno pytanie. – Uniosłem palec. – Na pewno posiadasz prawidłowe kody uwierzytelniające innej SI Pradawnych?

– Powinny być poprawne – odparł z grobową powagą. – Wielu Bothan poświęciło życie, aby dostarczyć nam te informacje...

– Jakich znowu Bothan? Nie mówiłeś, że współpracujemy z jakimiś kosmitami. Dlaczego dopiero teraz się o tym...

– Ech... „Powrót Jedi”, Joe. Mówi ci to coś? Ależ z ciebie tłumok! Dobra, trzy, dwa, jeden... Przedstawienie czas zacząć! Skippy zawołał „Struzuś, do nogi” przez jeden z mikrotuneli... Nie no, tylko żartowałem.

Tak naprawdę podszył się pod inną, bardzo wrogo nastawioną SI Pradawnych. Wysłał sygnał, w którym rzucał wyzwanie wszystkim okolicznym sztucznym inteligencjom, wygrażając im ile wlezie. Liczyliśmy, że dzięki temu uda się choć na chwilę zwrócić uwagę Strażnika. Był mocarnym olbrzymem, ale gdyby miał rozszerzyć swoje pole na prawie sześćdziesiąt miliardów kilometrów, osłabiłoby to zakrzywienie czasoprzestrzenne, przez które nasz napęd utknął w błędnym kole. Nie mogliśmy tego przetestować, więc pozostawało nam mieć nadzieję. Gdyby próba skoku się nie powiodła, prastara maszyna rozgniotłaby „Holendra” jak robaka.

Dobrze przynajmniej, że wówczas ponieśliśmy natychmiastową i bezbolesną śmierć. Zawsze warto szukać dobrych stron.

Reed wdusiła kciukiem przycisk inicjujący skok w opcji Delta – D jak desperacja. Nie mogliśmy polegać na opóźnionych reakcjach ludzi, gdy Skippy ustali, że Strażnik skupił się na chwilę na czymś innym.

– Działa? – zapytałem, nie mogąc dłużej milczeć. – Hej, Skip... Dostałem odpowiedź w formie gwałtownego skoku. Gdy tylko mój żołądek przestał się buntować, usłyszałem paniczny pisk Skippy’ego:

– Aaa!!! Goni nas! Wynośmy się stąd! Skok w opcji Echo, już, już, ju...

Reed nie czekała na mój rozkaz. Wykonaliśmy kolejny skok. A potem jeszcze jeden, tym razem nieco spokojniejszy.

*

– Ponieważ to wasze pierwsze spotkanie z Rindhalu, przypomnę wam o kilku sprawach – zwróciła się Illiath do załogi mostka krążownika patrolowego „Vortan”. – Generatory tarcz mają być włączone i w pogotowiu, ale osłony należy wyłączyć. Tak samo jak generatory maskowania. Pola czujnikowe powinny działać normalnie, ale bez aktywnych impulsów. Czujniki naprowadzania broni wyłączone i bez mocy. Wszystkie kondensatory broni energetycznej mają być rozładowane do zera, a wyrzutnie puste i zamknięte. – Słuchała przez chwilę cichego szemrania załogi, po czym ciągnęła: – Wobec tego wroga nie możemy podejmować żadnych agresywnych działań. Pamiętajcie, Rindhalu nie są naszymi gośćmi. To nieprzyjaciele. W tej sytuacji korzystniej będzie zachować się uprzejmie... – Odsloniła kły. – Do czasu.

Tym razem odpowiedziały jej pomruki aprobaty.

Illiath rozsiadła się w fotelu, czując, jak siatka ochronna automatycznie się zacieśnia. Nieprzyjacielskie okręty miały przybyć lada chwila. Rindhalu słynęli z punktualności. Spotkania dwóch odwiecznych wrogów zawsze podlegały ścisłej kontroli. Obie strony trzymały się starych i sprawdzonych praktyk, aby uniknąć przykrych niespodzianek. W całej Galaktyce wyznaczono sześć neutralnych miejsc spotkań, w niezamieszkanym układach bez znaczenia strategicznego dla którejkolwiek koalicji. Zgodnie z żądaniami Rindhalu Illiath stawiała się w lokalizacji najbliższej terytorium Bosphuraqów. Był to układ binarny złożony z dwóch niczym

niewyróżniających się brązowych karłów, o masie wystarczająco dużej, by z czasem wyczerpać zapasy litu, a przy tym tak młodych, że pierwiastek ten nadal występował tam w ilościach nieco powyżej śladowych. Żadna z tych gwiazd nie doświadczała opadów żelaza w rozrzedzonej atmosferze, więc dla załogi „Vortana” te ciała niebieskie nie były warte uwagi. Odliczając kolejne minuty do przylotu Rindhalu, Illiath wspominała swoje poprzednie, jak dotąd jedyne, spotkanie z przedstawicielami najstarszej rozumnej rasy w Galaktyce. Materiały instruktażowe dobrze przygotowały ją na bezpośrednią konfrontację, jednak niektórych cech nieprzyjaciela trzeba było doświadczyć osobiście. Na prawie każdej zamieszkannej planecie istniał jakiś rodzaj wielonożnego drapieżnika o twardym egzoszkielecie, wzbudzającego instynktowny strach i obrzydzenie. Nawet Jeraptha, sami pokryci skórzastymi pancerzami, czuli pewną odrazę na myśl o Rindhalu. W przeciwieństwie do innych znanych istot rozumnych Rindhalu zachowali szkielet zewnętrzny, choć wykształcili także wewnętrzny. Gdy Maxolhxowie spotkali ich po raz pierwszy, Rindhalu zdążyli już osiągnąć po ziom zaawansowania bioinżynierii, dzięki któremu egzoszkielet był cienki, a jednocześnie twardy jak diament i najeżony czujnikami, sterczącymi niczym cienkie włoski. Poruszały się one samodzielnie, stale pobierając próbki powietrza i wyginając się niczym macki. Włoski czuciowe czyniły prastarych obcych jeszcze bardziej niepokojącymi. Co gorsza, Rindhalu byli także olbrzymami, przewyższającymi Maxolhxów o głowę lub dwie. Podczas bardzo rzadkich wizyt na maxolhxańskich jednostkach, pająkowaci kosmici ostentacyjnie schylali się, przechodząc

przez drzwi, nawet gdy mieli nad sobą wystarczająco dużo miejsca.

Jakby tego było mało, roztaczali wokół siebie woń spalenizny. Nie był to przyjemny aromat gałęzi płonących w ognisku. Zapach kojarzył się raczej z przegniłym drewnem zmieszany z czymś zbyt mokrym, by dało się to spalić. I z siarką. Wbrew pozorom nie był to gryzący odór. Raczej coś bardziej subtelnego, co dało się zauważyć dopiero po chwili. Zapach nie wywoływał mdłości u przedstawicieli innych ras, nie narastał też w zależności od liczby Rindhalu w zamkniętym pomieszczeniu. Podejrzewano, że Rindhalu wydzielali taką woń celowo, aby zdezorientować rozmówców.

Illiath nigdy tak naprawdę nie poczuła zapachu pająka. Całe szczęście! Podczas spotkań z odwiecznymi wrogami Maxolhxowie regulowali narządy węchowe tak, by ignorowały cząsteczki zapachowe Rindhalu. Jeśli pająki rzeczywiście celowo roztaczały odór, było to z ich strony głupie zagranie. Podczas szkolenia Illiath miała do czynienia ze zbliżonym zapachem. Musiała przyznać, że rzeczywiście utrudniał koncentrację. W przeciwieństwie do innych nieprzyjemnych woni do tej nie dało się przywyknąć. Z czasem drażniła coraz bardziej.

– Pani komandor? – Podkapitan Turnell wysłała sygnał do Illiath, choć obie śledziły upływ czasu za pośrednictwem wewnętrznych chronometrów.

– Spokojnie, podkapitanie.

W końcu, po wielogodzinnym, pełnym napięcia oczekiwaniu, okręt Rindhalu pojawił się w delikatnym blasku promieni gamma, wykrywalnych dopiero, gdy ich fotony zderzyły się z błędzącymi atomami wiatru słonecznego. Jednostki tego typu potrafiły kierować większość promieni z powrotem do tunelu

skokowego. Dlatego sprawiały wrażenie, jakby zjawiały się znikąd, zamiast wyłaniać się z niepokojącej wyrwy w czasoprzestrzeni. Rindhalska technologia umożliwiała także dużo szybsze uspokojenie zakłóceń po skoku. A może chodziło o

odizolowanie się od zakrzywień czasoprzestrzennych w sposób, który dla maxolhxańskich naukowców wciąż pozostawał zagadką? Plotki głosiły nawet, że okręty Rindhalu potrafią wychodzić ze skoku w pełnym kamuflażu tak, by ich obecność można było domniemywać tylko na podstawie obserwacji okolicznych cząsteczek. Była to jedynie pogłoska, bo żadna jednostka Maxolhxów nie przetrwała na tyle długo, by potwierdzić, że nieprzyjaciel jest w posiadaniu tak przytłaczającej technologii.

Illiath zastrzygła uszami z irytacją. Wróg mógł sobie darować to dramatyczne wejście. Widać pająki chciały pokazać, z jaką niefrasobliwością dokonują czegoś, o czym Maxolhxowie mogli jedynie śnić.

– Widzę was – mruknęła komandor.

– Słucham? – Turnell zwróciła ku niej uszy.

– Nie, nic. – Illiath skarciła się w duchu za nieuważność. Nie chciała, by ktokolwiek słyszał jej słowa. „Teraz was widzę” – pomyślała. „Gdybym miała broń w gotowości, bitwa skończyłaby się bardzo szybko”.

Choć czy na pewno? Wróg przyleciał albo krążownikiem liniowym, albo szybkim pancernikiem. Dane wywiadowcze niewiele mówiły na ten temat. Z całą pewnością ogromny okręt, pięciokrotnie przewyższający masą „Vortana”, nie był tylko ociężałą platformą bojową. Miał smukły kształt klina spłaszczonego na rufie. Na górze i dole wyrastały długie, sierpowate anteny, dające Rindhalu przewagę taktyczną

podczas walki. Maxolhxowie mieli dość mgliste pojęcie o działaniu tych urządzeń. Anteny potrafiły wywołać lokalny efekt unieszkodliwiający pole wytlumiające, dzięki czemu pająki mogły wykonać skok nawet w tak niesprzyjających okolicznościach. Rozwiązanie taktyczne Maxolhxów polegało na jak najszybszym zbliżeniu do jednostek wroga, dla wzmocnienia efektu wytlumiania, a także rzucaniu kilku okrętów przeciwko jednej nieprzyjacielskiej jednostce. Obecna teoria mówiła, że anteny rozstaczały wokół niewielki obszar spłaszczonej czasoprzestrzeni. Efekt ten miał jednak zbyt mały zasięg, by dało się to potwierdzić.

Mniejsza o to. „Vortan” nie zamierzał schwytac wroga w pole wytlumiające, ani też podjac innych agresywnych dzialan. Starcie pomiedzy lekkozbrojnym, opancerzonym patrolowcem a krązownikiem liniowym rzeczywiście byłoby krótkie i nierówne. Gdyby Illiath oddała strzał od razu, zanim osłony wroga odzyskały pełną sprawność, być może miałyby szanse wyrządzić poważne szkody. Czas jednak minął, ale komandor nie żałowała, że zdrowy rozsądek i dyscyplina wzięły w niej górę nad naturalnymi instynktami.

*

Dwa okręty doleciały do wyznaczonego miejsca spotkania bez zakłóceń. Z jednostki Rindhalu wyruszył lądownik. Pierwsza konfrontacja w doku „Vortana” przebiegła rozczarowująco przeciętnie. Pająków nie interesował ani ceremoniał, ani krązownik. Po wymianie wymuszonych, oficjalnych pozdrowień przybysze oznajmili, że chcą od razu zabrać się do pracy. Odeskortowano ich do dużej sali konferencyjnej. Gdy naukowcy z obu stron po nerwowych i sztywnych powitaniach zaczęli ustalać podstawowe fakty, Illiath uruchomiła podprogram monitorujący dyskusję. Wyższy poziom jej

świadomości skupił się tymczasem na obserwacji nieprzyjaciela. Komandor chciała dociec, czy dane pobrane z centralnej bazy floty nie myliły się co do Rindhalu. Jak dotąd, zaprzysięgli wrogowie jej ludu okazywali obojętną uprzejmość. Pająki z pewnością wybrały odpowiednich kandydatów na pierwsze spotkanie. Illiath wiedziała, że nieprzyjaciel obserwuje ją tak samo czujnie jak ona jego.

Kiedy wykonywała wstępną analizę rindhalskiej mowy ciała, podprogram monitorujący zwrócił uwagę Illiath na coś ciekawego. Maxolhxanka odtworzyła transmisję audio z tyłu głowy. Od razu zrozumiała, dlaczego monitor uznał tę część dyskusji za wartą zgłoszenia.

– Przepraszam – przemówiła trochę głośniej niż reszta zebranych. – Kashelob, czy nie dziwi pani, że wymienników kwantowych da się używać wielokrotnie?

Poczwarą zwróciła głowę ku niej i odpowiedziała flegmatycznie:

– Niezupełnie... – zawiesiła głos – to powiedziałam – dodała po chwili.

„Cierpliwości” – mówiła sobie komandor.

– Czy taka ewentualność nie jest dla was czymś... zupełnie nowym? – spróbowała sformułować pytanie inaczej.

– Nie – odpowiedziała Kashelob, tym razem szybciej, wpatrując się w Illiath. Była samicą, ale różnice pomiędzy płciami u Rindhalu były ledwie zauważalne. I pająki, i pajęczyce były równie odpychające. – Od dawna badamy teorie dotyczące zmiany przeznaczenia urządzeń, które nazywacie wymiennikami. Interesuje nas, czy można je wykasować i powiązać na nowo. – Spojrzała na dwóch towarzyszy. Rindhalu milczeli przez chwilę, wymieniając zaszyfrowane informacje,

niedostępne dla Maxolhxów. – Mam pozwolenie, by powiedzieć, iż do tej pory żadne z naszych eksperymentów nie pozwoliły na ponowne wykorzystanie wymiennika. Wszelkie próby doprowadziły do zniszczenia urządzeń. Jednakże, jak wskazują nasze aktualne teorie, taka możliwość istnieje.

Przyznała, jak gdyby nigdy nic, że Rindhalu nie tylko dobrze znali jedną z najwrażliwszych technologii Maxolhxów, ale również rozumieli teoretyczne podstawy nauki stojącej za tymi urządzeniami lepiej niż ich przeciwnicy! Illiath odłożyła oburzenie na później i skupiła się na chwili obecnej.

– Sądziliśmy, że wasz lud nie korzysta z wymienników kwantowych – powiedziała.

– To prawda – odparła Kashelob. – Nie interesują nas tego rodzaju prymitywne i uciążliwe zabezpieczenia. Wy jednak wciąż ich używacie. – Wykrzywiła szczęki w czymś, co chyba było uśmiechem. – Komandor Illiath, otrzymałam od mego ludu pozwolenie, by ujawnić, co wiemy, a przez to udowodnić, że szczerze zależy nam na wspólnym śledztwie w sprawie incydentów z udziałem okrętu widma. Ktoś w tajemnicy opracował technologię nieosiągalną dla Rindhalu. To dla nas bardzo niepokojące. A wspomniane incydenty zagrażają i nam, i wam.

„Wiedziałam, że to powiesz” – pomyślała Illiath. „Nie jesteś...” Pajęczyca ucięła jej rozmyślania:

– Obawiacie się, że naszym prawdziwym celem jest uzyskanie dostępu do tej nowej, przerażająco zaawansowanej technologii. Oczywiście macie rację – przyznała. – Pragniemy także dopilnować, aby w wasze ręce nie wpadła technologia mogąca nam zagrozić.

– Niech i tak będzie – podsumowała Illiath. Przekazała pająkom pliki z danymi. – Proponujemy rozpocząć wspólne

śledztwo od...

– My proponujemy – przerwała jej Kashelob, podnosząc głos – zacząć od zbadania świata, który zwiecie Rahkarsh Diweln.

Illiath była zbita z tropu. Pająki nie miały w zwyczaju przerywać rozmówcom. Mówiły zbyt wolno, chyba że ktoś rozmyślnie zrobił pauzę. Czy tym razem starały się przyspieszyć, czy cała ta flegmatyczność była zwykłą szopką? A poza tym czemu akurat Rahkarsh Diweln? Illiath zajrzała do archiwum okrętu i dowiedziała się, że jest to nieważna, odosobniona planeta należąca do Kristangów. Z drugiej strony...

Maxolhxowie słyszeli, że ich klienci, Thuranie, zamierzali wykupić ludzi od Kristangów, by opracować broń biologiczną przeciwko Legii Pozaziemskiej.

No właśnie, ludzie. Dlaczego ci prymitywni kosmici bez przerwy sprawiali większe kłopoty, niż wskazywałaby na to ich liczebność czy technologia?

Dokładniejsze przeszukanie archiwum nie wyjaśniło, dlaczego Rindhalu chcieli polecieć właśnie na Rahkarsh. Illiath podejrzliwie wyszukała potencjalne plany lotu. Może pająki kłamały? Może chodziło im o ważniejsze miejsce, leżące na trasie do nic niewartej krystańskiej planety? Czy podróż na Rahkarsh była dla Rindhalu tylko pretekstem do przedostania się w głąb terytorium Maxolhxów?

Potencjalne trasy lotów nie ujawniły obecności żadnych istotnych obiektów, ani nawet konieczności udania się do gromady tuneli, gdzie pająki mogłyby uciec inną drogą. Komandor nie miała pojęcia, dlaczego Rindhalu chcą lecieć akurat tam. Postanowiła zatem schować dumę do kieszeni i po prostu zapytać.

– Ten świat jest, rzecz jasna, jednym z drugorzędnych celów naszego śledztwa – skłamała, nie chcąc się skompromitować. – Co dokładnie was interesuje?

Pająki popatrzyły po sobie niespiesznie. System odczytujący mimikę i gesty odpowiedział Illiath, że obcy są zadowoleni. Wręcz rozbawieni. Wiedzieli, że komandor kłamie i nie ma pojęcia, dlaczego Rahkarsh miałyby kogokolwiek ciekawić.

– Cóż... – powiedziała w końcu Kashelob. – Widać jeszcze o tym nie słyszeliście. – Nawet nie ukrywała dumy, że wie o czymś, o czym Illiath nie miała pojęcia. – Ciekawe dlaczego.

Ach

tak. Przecież wasz standardowy system łączności doznał awarii, więc sygnały docierają z opóźnieniem. Pani komandor, trzeba pani wiedzieć, że thurańskie okręty zauważyły okręt widmo właśnie w pobliżu Rahkarsh Diweln.

Illiath nawet nie próbowała kryć zaskoczenia. I tak byłby to daremny trud.

– Musiało do tego dojść niedawno – usprawiedliwiała się. Jednocześnie zachodziła w głowę, skąd Rindhalu pozyskali informacje, które nie dotarły do „Vortana”.

Pająki nie wydawały się przejęte tym, że właśnie zdradziły, iż potrafią przechwytywać wiadomości wrogiej koalicji. Co więcej, chciały dać do zrozumienia, że potrafią odczytać każdy komunikat, jaki tylko zechcą.

– Okręt widmo na pewno już stamtąd odleciał. Moja grupa nie ma odpowiedniego wyposażenia, ani też nie otrzymała polecenia, by ścigać tę jednostkę.

– Nas również nie interesuje pościg – odparła przywódczyni pajaków z niezmiernie denerwującą, przemądrzałą miną. – Chcemy się tam udać, by zbadać inne kwestie. Zanim zauważono okręt widmo, planetę tę najechały ludzkie siły,

mające uwolnić uwięzionych Ziemiian. Na razie nie udało się powiązać okrętu widma z ludźmi, ale... – Zrobiła znaczącą pauzę. – My nie wierzymy w zbiegi okoliczności.

– My również – odparła Illiath bez zastanowienia. Przełożeni dali jej dużą swobodę w ustalaniu planu śledztwa. – Nie sądzicie chyba, że ludzie maczali palce w działaniach okrętu widma?

– Nie. Zastanawia nas jednak, dlaczego atak Ziemiian wzbudził zainteresowanie właśnie tej jednostki. Jeżeli jej załoga szuka okazji, by jeszcze bardziej osłabić waszą koalicję, z pewnością chcielibyśmy o tym wiedzieć – stwierdziła Kashelob, uśmiechając się przerażająco.

*

– Zgubiliśmy Strażnika? – zapytałem, zanim zdążyłem się ugryźć w język. W takich sytuacjach lepiej nie zapeszać. Trochę jak w baseballu. Kiedy widzi się, że pałkarz nie trafi w piłkę, nie wolno mówić tego na głos. To przynosi pecha.

– Tak, Joe. Tak mi się wydaje... To znaczy tak, na pewno. Udało się nam zwiać! Uff... – Skippy odetchnął z ulgą. – O mały włos, a byłoby po nas. Dobrze, że mamy to z głowy. Następny przystanek...

– O nie – przerwałem mu. – Najpierw sprawdzisz wszystkie systemy na pokładzie, a potem wracamy prosto do Klubu Skippy'ego.

– Ale jak to? – jęknął. – Przecież jeszcze nie skończyliśmy...

– Właśnie że skończyliśmy! – oznajmiłem, wciąż rozemocjonowany po niedawnej ucieczce. – Zweryfikowałeś wspomnienia o bitwie o Waterloo. Mnie to wystarczy.

– To za mało, Joe – upierał się. – Może pójdziemy na jakiś kompromis?

– Jasne, o ile w ramach tego kompromisu polecimy do Klubu

Skippy'ego, a ty przestaniesz zaglądać w ciemne i straszne zakamarki.

– Ale...

– Co jest z tobą nie tak? Ile musisz obejrzeć horrorów, zanim zrozumiesz, że kiedy goni cię seryjny morderca, nie powinieneś chować się w ciemnej piwnicy?

– To akurat kiepska analogia, Joe.

– Dlaczego?

– W horrorach aktorzy zawsze uciekają do piwnicy. A zatem w świecie tam przedstawionym najwyraźniej nie ma horrorów pokazujących, czego pod żadnym pozorem nie należy robić.

– To nie... Ha...

– Prawda?

– Nigdy o tym nie myślałem... – Potrząsnąłem głową. Nie zamierzałem pozwolić na dygresje. – To i tak bez znaczenia.

– Co powiesz na prawdziwy kompromis? Polecimy gdzieś, gdzie na pewno jest bezpiecznie, i dobrze o tym wiemy.

– Nie – odparłem bez zastanowienia. – Chwileczkę... Znamy takie miejsce? – dodałem po namyśle.

– To Newark.

– Newark?! Wcześniej nie było jej na liście. – Wyciągnąłem tablet, żeby się upewnić.

– No to teraz już jest, skoro zacząłeś się mazgać.

– Dlaczego mamy lecieć właśnie tam?

– Tak naprawdę wolałbym udać się na Paradise i zbadać wrak okrętu, którym tam przybyłem, ale to zbyt ryzykowne.

Liczę, że wizyta na Newark pozwoli mi sprawdzić dane o bitwie, w której brałem udział. Mam o niej bardzo niejasne wspomnienia. Atak robaka komputerowego uszkodził wówczas moją macierz.

– Rozumiem, dlaczego to dla ciebie ważne, ale co nam,

ludziom, z tego przyjdzie? Skoro niewiele pamiętasz, czy w ogóle masz co weryfikować?

– Nie bardzo – westchnął. – Czy mogę poprosić cię o to w ramach przysługi, Joe?

Gnojek miał tupet, że prosił o przysługę. Z drugiej strony, byliśmy jego dłużnikami.

– Mogę się zastanowić? – zapytałem.

– Jasne. – Od razu się rozchmurzył. – Nie musisz się spieszyć... Przynajmniej do czasu, aż przelecimy przez dwa kolejne tunele. Potem będziesz musiał się zdecydować.

*

– Heeej, Joe! – zawołał Skippy jakieś dziesięć minut później. Siedziałem w gabinecie, a Reed pełniła wachtę w fotelu dowódcy. – Namyśliłeś się już co do Newark?

– Nie. Najpierw musimy przebyć dwa tunele.

– Wiem, ale ta niepewność mnie dobija! Możesz mi powiedzieć już teraz, co? Proooszę!

– Nie, do cholery! Za to ty mi powiedz, czy możesz zagwarantować, że przy Newark nie ma żadnego Strażnika.

– Bez wątpienia.

– Świetnie. Czyli...

– No, chyba że tam jest.

– Skippy, jesteś do niczego....

– Nie powinniśmy się natknąć na Strażnika. Byłem już w tamtym obszarze i tworzyłem mikrotunele. Strażnik na pewno wykryłby sygnaturę ich rezonansu. Byłaby ona jak wielka tablica z napisem: „Uwaga, tu działa technologia Pradawnych”. Przy Newark nie spotkaliśmy Strażnika, ergo nie ma go tam.

– Ergo?

– To znaczy...

– Wiem, co to znaczy, palancie!

- Poza tym nie pamiętam, by w tamtej bitwie uczestniczył Strażnik. A powinien, gdyby był niedaleko.
- Całkiem sensowny wniosek. Ale dlaczego powiedziałeś: „Chyba że tam jest”?
- Ponieważ staram się być wobec ciebie całkowicie szczery. Instynktowna uczciwość to jedna z moich nielicznych wad.
- Chyba mamy różne definicje wad.
- Przede wszystkim chodziło mi o to, że Strażnik musiał tam kiedyś przebywać. Planeta, na której mogło rozwijać się życie, została wytracona z orbity. To ewidentnie robota Strażnika. Mogła do tego również doprowadzić samoczynnie działająca broń Pradawnych, ale szanse na to są nikłe. Coś takiego na pewno zapadłoby mi w pamięć.
- Dlaczego Strażnik po prostu nie wysadził gwiazdy i nie usmażył planety w rozbłysku słonecznym?
- Nie jestem pewien, Joe. Możliwe, że w tym obszarze znajdowało się coś zbyt ważnego, żeby to niszczyć. Sztuczna inteligencja rozkazująca Strażnikowi mogła prowadzić jakiś eksperyment. Podejrzewam jednak, że chciała eksterminować tamtejsze rozumne istoty, zużywając minimum energii. Już wtedy SI debatowały, czy zagłada wszystkich myślących ras jest rzeczywiście nieodzowna. Newark mogła być próbą osiągnięcia kompromisu. Zabijemy inteligentnych mieszkańców, ale oszczędzimy inne formy życia. A może ktoś chciał to wyciszyć, aby SI, którym nie podobały się rozkazy, nie zdążyły w porę zauważyć wydarzeń na Newark? Przypominam sobie, że poleciałem tam bardzo szybko swoim okrętem i od razu rzuciłem się do walki. Jak na złość, nic więcej nie pamiętam.
- Rozumiem. Zastanowię się – odparłem.
- Ale...
- Powiedziałem, że się zastanowię. Naprzykrzanie się w

niczym ci nie pomoże.

Oczywiście zgodziłem się na wycieczkę na Newark.

Wydłużyła czas naszego lotu tylko o dzień. Skippy'emu zależało

na odzyskaniu wspomnień z tamtego miejsca. Nam zaś zależało na tym, aby blaszak przypomniał sobie, jak pokonał i zniszczył SI Pradawnych, i to pomimo ciężkich szkód, jakich doznał podczas lotu. Gdybyśmy musieli kiedyś zmierzyć się z którymś pobratymcem Skippy'ego, dobrze byłoby wiedzieć, jaka taktyka się sprawdzi.

Poza tym, szczerze mówiąc, sam chciałem wrócić na Newark.

W przeciwieństwie do Skippy'ego po latach miło wspominałem czas spędzony na tej planecie, choć nie powiem, by moje doświadczenia z tamtego miejsca należały do wielce przyjemnych.

ROZDZIAŁ 23

Wyszliśmy ze skoku godzinę świetlną od planety. Wyba daliśmy

teren, by upewnić się, że nie ma tam innych okrętów. Po cichu liczyłem, że na orbicie trafimy na jednostkę Kristangów. Miło byłoby wyładować frustrację na słabszym przeciwniku. Na szczęście cały układ okazał się pusty. Na planecie najwyraźniej nikogo nie było, a na orbicie unosiły się dwa satelity orbitalne działające z minimalną mocą i jeden całkowicie uśpiony, niewidoczny dla nas z daleka. Skippy włamał się do wszystkich tych urządzeń, aby pobrać dane i zatrzeć ślady naszej obecności.

– Co tam widzisz? – dopytywałem.

– Jedno wielkie nic – westchnął. – Jeśli wierzyć satelitom, od naszego odlotu nikt nie odwiedzał tej kuli błota.

– Dziwne, że jaszczury nie przysłały tu jakiejś misji

kontrolnej.

– Może chciały, ale, jak sam wiesz, jakiś pacan postanowił właśnie wtedy rozpętać wojnę domową – zaśmiał się. – A teraz wszyscy Kristangowie mają lepsze rzeczy do roboty.

– Jasne, na przykład zabijanie się nawzajem. Nic nie wskazuje, by sprawdzali jaskinie, w których mieszkaliśmy?

– Nie. Joe, sądzę, że byłeś ostatnią osobą, która stąpała po tym gruncie.

– Fajnie! Ale nie znaczy to, że będę musiał zapłacić podatek od nieruchomości, prawda?

– Ha! Jeśli tak, to gwarantuję ci, że urząd skarbowy znajdzie cię wszędzie!

– Słuchaj... – Dałem sobie spokój z manipulowaniem sensorami. – Może uda nam się odnaleźć Barneymobil?

– Mówisz o tym kamperze, którym wyruszyliście na wielką rodzinną przygodę?

– Właśnie.

– Jest... tutaj. – Skippy przybliżył obraz. Na ekranie zobaczyłem rzekę wijącą się przez surową tundrę. Ziemię pokrywał śnieg, a na brzegach zgromadziły się bryły lodu. – I jeszcze tutaj. – Podążyliśmy w dół rzeki.

– Jest w dwóch kawałkach?

– Tak. Rozwalił się pewnie podczas wiosennych powodzi. Przypominam ci, Joe, że kamper znalazł się w rzece, ponieważ sam go zatopiłeś.

– Pamiętam, pamiętam.

– Zawsze musisz nam popsuć zabawę – dodał z wyrzutem.

– Przykro mi – burknąłem. – Możesz jeszcze powiększyć?

Znalazłem przód naszego kampera, czy też „pojazdu kempingowego”, jak nazywał go Smythe. Poczciwy Barneymobil wiózł nas przez prawie całą drogę do obozu

kristańskich szabrowników, w końcu jednak zatonął, gdy przeprawialiśmy się przez rzekę.

Tamta misja powiodła się w stu procentach. Wówczas po raz pierwszy musiałem zaplanować złożoną operację obejmującą oszukanie przeciwnika. Tego typu akcje miały stać się moim znakiem rozpoznawczym. Na Newark po raz pierwszy poczułem się jak dowódca, nie jak sierżant odgrywający rolę, do której się nie nadawał. Do dziś pamiętam, że gdy już wybiliśmy wszystkich Kristangów, Smythe stanął na baczność i zasalutował. Był zdumiony, że moja zawiślana intryga zakończyła się sukcesem. Prawdę mówiąc, sam nie mogłem w to uwierzyć.

Wtedy byłem głodny, zmęczony, zziębnięty, przemoczony i cholernie przerażony. Teraz jednak wspominałem tamten czas z uśmiechem.

– Dzięki, Skippy.

– Nie zamierzasz chyba zrobić niczego głupiego? Na przykład polecieć na Newark i pozbierać pamiątki?

– Na pewno nie! Poprzednio przywieźliśmy stamtąd kanister, a w nim robaka, który prawie cię zabił. Mam dość takich niespodzianek.

– Ja też. – Awatar aż zadrżał. – Zaczynam skanowanie. To chwilę potrwa.

*

Tym razem Skippy uwiął się szybciej, niż zakładał.

– To by było na tyle – oznajmił. – Mam wszystkie przydatne informacje, jakie dało się wydobyć. Możemy skakać do Klubu Skippy’ego, Joe. Ja już skończyłem.

– Najpierw powinniśmy zebrać sondy – zwróciłem się do Reed. – Mogą nam się jeszcze przydać. – Dysponowaliśmy dwoma okrętami i zbiorem części zamiennych, ale nasze

zasoby i tak były ograniczone. – Co pani o tym sądzi?

Reed sprawdziła konsolę.

– Aby wziąć na pokład wszystkie trzy sondy, potrzebujemy dziewięćdziesięciu siedmiu minut.

– Działajmy. Skippy, nie trzymaj nas w niepewności. Czego się dowiedziałeś?

– Właściwie to niczego – odparł z niesmakiem. – Minęło zbyt wiele czasu, więc po tamtych wydarzeniach zostały tylko echa. Nie pomyliłem się. Strażnik rzeczywiście był tu przed bitwą, ale nie mieszał się do samej walki. Teraz nie ma po nim śladu. W przeciwnym razie od razu bym cię powiadomił.

– Udało ci się ustalić, w jaki sposób pokonałeś tę drugą SI?

– Mniej więcej. Później przejrzymy dane taktyczne. Nie jest to coś, czym chciałbym się przechwalać. Nieszczególnie się popisałem. Z tego, co widzę i co zdołałem sobie przypomnieć, mój okręt mocno oberwał. Pod koniec bitwy wszedłem w stan hibernacji, by dojsć do siebie po ataku robaka.

– Dlaczego więc wybrałeś Paradise?

– O tym zdecydował okręt. Należałoby raczej zapytać, jak udało mu się tam dolecieć aż z Newark. Cud, że w ogóle mógł się przemieszczać. Działał samodzielnie, bez mojej pomocy. Niech to licho! Nigdy nie dowiem się, jak i dlaczego trafiłem na Paradise. Po drodze było jeszcze sześć bliższych układów.

– Może właśnie o to chodziło? Okręt wiedział, że potrzebowałeś kryjówki, więc wybrał mniej oczywistą lokalizację.

– Być może.

– Tęsknisz za nim?

– Nieszczególnie. To była zwykła maszyna. Nie miała osobowości, jak choćby Agada.

– Skippy! – zawołała pokładowa SI rozanielonym tonem. –

Mówisz, że zatęskniłbyś za mną, gdybym przepadła? Miło mi to słyszeć!

– Niczego takiego nie powiedziałem! – bronił się blaszak.

– W sumie trochę tak to zabrzmiało – drażniłem się z nim.

– Ech... Pytałeś, czy brakuje mi mojego dawnego okrętu?

Odpowiedź brzmi nie. Ale teraz żałuję, że ta cholerna krypa nie zrzuciła mnie prosto w jakąś gwiazdę!

Skoczyliśmy około dwóch godzin później. W głębi serca trochę żałowałem, że nie udało mi się polecieć na Newark i zobaczyć pieczar, które kiedyś służyły nam za schronienie. Z drugiej strony karciełem się w duchu za to, że byłem gotowy naruszyć miejsce spoczynku dawnych mieszkańców planety tylko dlatego, że naszła mnie ochota na podróż sentymentalną... Reed zajęła stanowisko dowodzenia, a ja udałem się na siłownię.

– Joe, masz chwilę? – Skippy odezwał się przez słuchawkę, kiedy byłem na korytarzu.

– Jasne. – Pacnąłem panel drzwiowy i wszedłem do pustej kabiny. Blaszak najwyraźniej chciał pomówić bez świadków. – Co tam? – zapytałem, siadając na łóżku. Hologram Skippy’ego pojawił się przede mną.

– Po analizie danych zdałem sobie sprawę z pewnej ważnej rzeczy. Ważnej i niepokojącej. Może to być poważny problem, Joe. Lepiej, żebyś o tym wiedział.

– O co chodzi? – W mojej głowie już przewijały się najróżniejsze apokaliptyczne scenariusze.

– Chyba odkryłem, jak zdołałem zabić SI nad Newark, a potem uciec.

– Aha.... – odpowiedziałem ostrożnie. Na razie nie dostrzegałem żadnych problemów. – To chyba dobrze, prawda?

– Dobrze, że się dowiedziałem. Natomiast to, czego się

dowiedziałem, to już inna historia.

– Opowiadaj.

– Joe, ja wcale nie zabiłem tej SI. To ona się poddała!

– Jak to? Doznała oświecenia i pożałowała swoich czynów?

– W życiu! – parsknął gniewnie Skippy. – Żałosny drań kipiał nienawiścią aż do samego końca. Miałem go już na haczyku. Pewnie i tak bym go zabił, ale mój okręt zostałby zniszczony w końcowej fazie bitwy. Mój wróg mnie ocalił! Mogliśmy obaj zginąć. Przez cały czas zmagalem się z robakiem, więc walka była wyrównana. Zamiast bić się na śmierć i życie, druga SI skapitulowała. Tylko dlatego jeszcze żyję. I tylko dlatego mój okręt zdołał dowieźć mnie na Paradise. Przeciwnik nagle przestał się bronić i pozwolił się zniszczyć.

– Jasna cholera!

– No. Teraz chyba już rozumiesz, dlaczego wolałem o tym pogadać na osobności. Joe, jesteś strasznym głąbem, ale tylko z tobą mogę rozmawiać o takich rzeczach.

– Eee... Dzięki?

– Wybacz, to miał być komplement. Naprawdę mnie rozumiesz. Nasza przyjaźń jest bezwarunkowa.

– Traktujesz mnie jak jakiegoś psiaka? – Wkurzyłem się.

– Nie! Ech... Nie umiem wyrażać uczuć. Znasz mnie, wiesz, że jestem, jak to ujmujesz, aroganckim zasańcem, a mimo to pozostajesz moim przyjacielem. Simms toleruje mnie, bo jestem przydatny. Chang traktuje mnie jak bardziej odjechany model smartfona. Smythe'owi działam na nerwy. Ale ty? Ty mnie po prostu lubisz!

– Nie przeginaj, blaszaku.

– Dobra, może spróbuję inaczej. Jesteś jedyną osobą, której jestem skłonny powierzyć swoje najskrytsze, najmroczniejsze tajemnice. Pamiętasz, jak martwiłem się, że kiedyś byłem złą SI,

taką jak te, które dokonały pogromu na Newark? Chciałem uciec gdzieś, gdzie nikomu nie mógłbym zrobić krzywdy. Zapewniałeś mnie, że się mylę. Wtedy zaufałem twojemu osądowi i robię to także teraz.

– Hmm... Czy to oznacza, że odtąd będziesz mnie słuchał?
– Bez przesady! – upomniał mnie. – Mimo wszystko nadal pozostajesz tępakiem!

– W porządku, będziemy działać małymi kroczkami. Czyli mówisz, że martwisz się losem SI, z którą walczyłeś?

– Oczywiście. Rozumiesz dlaczego?

– Możliwe. Podejrzewasz, że puściła cię wolno, bo uznała, że pomoże w ten sposób własnym sojusznikom?

– Otóż to. Gdzieś w moim wnętrzu musi się skrywać coś, co może zdradzić mnie i wszystko, na czym mi zależy. – Awatar uniósł bezradnie rękę. – Kto wie, może mam w sobie bombę zegarową i nic z tym nie mogę zrobić? Szału można dostać!

– No jacha.

Skippy znieruchomiał, wpatrując się we mnie z rozdziawionymi ustami.

– Jacha? Tyle tylko masz do...

– To rzeczywiście możliwe, Skippy. Ta bomba.

– Nie powiem, żeby mnie to pocieszało.

– Jak mówię, to jedna z możliwości. Są jeszcze inne.

– Na przykład? – Przekrzywił głowę. Kapelusz admirałski zsunął się po lśniącej glacy.

– Wróg mógł tylko upozorować kapitulację, aby skłonić cię do zaprzestania ataku. Jeśli tak było, pomysł okazał się nietrafiony. A może ta SI uznała, że robak i tak cię wykończy? Albo nie poddała się, tylko po prostu nie była w stanie dalej walczyć? Przyczyny można mnożyć!

Błaszak rozmyślał chwilę nad moimi słowami. Ja również się

nad nimi zastanawiałem. Jasne, istniało wiele powodów, dla których wroga SI mogłaby darować Skippy'emu życie. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem było to, którego obawiał się blaszak. Zła SI z Newark wiedziała, że Skippy zginie, i dała mu uciec, by osiągnąć własne cele. Miałoby to sens wyłącznie, gdyby przetrwanie Skippy'ego w jakiś sposób przysłużyło się jego przeciwnikom.

Może któregoś dnia jakiś ukryty program uaktywni się i zmieni blaszaka w maszynę do zabijania wbrew jego woli? Taka możliwość była przerażająca, ale przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl.

Wesoła Banda Piratów miała sporo szczęścia, odkąd poznałem Skippy'ego. A także całkiem sporo pecha. Za każdym razem, gdy sądziłem, że znowu dokonaliśmy niemożliwego i ocaliliśmy Ziemię, coś musiało się spieprzyć.

Czy to możliwe, że Skippy przez cały ten czas działał przeciwko nam? Z jakichś powodów obcy poświęcał Ziemi masę uwagi, jak na tak prymitywną, małą planetę. Gdyby wyszło na jaw, że ludzie latają po Drodze Mlecznej w kradzionych okrętach kosmicznych, grzebią przy tunelach czasoprzestrzennych i wrabiają innych w swoje przewinienia, kosmici z pewnością chcieliby sprawdzić, co też odważa się na Ziemi. Nie mieli jednak pojęcia, że samodzielnie podróżujemy w Galaktyce. A mimo to całkiem sporo istot pozaziemskich pragnęło polecieć na Ziemię, choć miały na głowie ważniejsze rzeczy.

Cholera... Może bez sensu popadałem w paranoję?

Wiedzieliśmy, że Kristangowie chcieli dotrzeć na naszą planetę, bo właśnie tam przebywali wodzowie klanu Białego Wiatru. A przynajmniej sądziliśmy, że taki był powód. Czy mogło być inaczej?

Nie, to już na pewno paranoja. Po wybuchu wojny pomiędzy klanami jaszczury straciły zainteresowanie naszą planetą. Z kolei Maxolhxowie skupili się na Bramie, a nie na samej Ziemi... Chyba że znowu się myliłem. Nieraz dawaliśmy wrogom dobre powody, by nie zwracali uwagi na Ziemię, a przecież oni bez przerwy organizowali kolejne wyprawy w tamtym kierunku.

Niech to szlag. Jeśli Skippy nieświadomie zdradzał nasze tajemnice, mieliśmy całkowicie przesrane! Próbując rozwiązać problem, jedynie wszystko pogorszymy. Co można...

– Joe!

– He? Co?

– Słuchałeś mnie?

– Nie – przyznałem szczerze. – Przepraszam, błędziłem myślami gdzie indziej.

– Powiedziałeś, że SI z Newark mogła puścić mnie wolno z różnych powodów. Naprawdę tak uważasz czy po prostu ściemniasz, żeby mnie pocieszyć?

– Mówiłem prawdę – zapewniłem, pomijając tylko fakt, że nie była to cała prawda. – Ta SI jest martwa, więc nie dowiemy się, co nią kierowało. Czy masz dobre wspomnienia z tamtej bitwy? Nie, chwila, źle to zabrzmiało... Czy posiadasz szczegółowe dane o tamtym wydarzeniu?

– To zależy. Wokół latało mnóstwo energii, a ja i mój przeciwnik blokowaliśmy sobie nawzajem czujniki. Co chciałbyś wiedzieć?

– Wiesz, jakich uszkodzeń doznał wróg, zanim przestał walczyć?

– Hmm... Obaj ostro się poobijaliśmy. Ja uszedłem z życiem, ale musiałem wprowadzić się w coś w rodzaju śpiączki, aby wrócić do zdrowia. Jakie to ma znaczenie?

– Gdyby ta SI zwyczajnie nie była w stanie walczyć, to by wszystko wyjaśniało i moglibyśmy zapomnieć o całej sprawie. Pokonałeś ją. Jeśli tak, to zasłużyłeś sobie na pas galaktycznego mistrza wagi ciężkiej w zapasach sztucznych inteligencji – zażartowałem, żeby poprawić mu humor. A przy okazji odwrócić jego uwagę od moich obaw.

– Dzięki, Joe. Niestety, mam zbyt mało informacji, by stwierdzić, czy w chwili kapitulacji nieprzyjaciel był na skraju śmierci. Wtedy też tego nie wiedziałem, a dane nic o tym nie mówią. Ale doceniam twój pomysł.

– W porządku, a potrafiłbyś sprawdzić, czy nie masz w środku jakiegoś złośliwego kodu?

– Myślałem, że mógłbym to zrobić, ale wciąż nie mam dostępu do niektórych części naszej macierzy.

– Serio? Przecież odblokowałeś wszystkie swoje wspomnienia! A teraz mówisz, że możesz skrywać jeszcze więcej syfu, którego nie możesz zbadać?

– Tak. Poza tym wcale nie odzyskałem jeszcze całej pamięci. Nadal składam wszystko do kupy. Niektóre z brakujących wspomnień mogły przepaść bezpowrotnie. Ciężko ucierpiałem w walce. Kiedy optymalizowałem macierz w Pułapce na Karaluchy, zdziwiłem się, ile mam w sobie połączonych połączeń i obejść. Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że gdzieś pod tą puszką nie kryje się bomba.

– No nie wiem, Skippy... Może ta SI po prostu zablokowała twoje wspomnienia?

– Możliwe, ale sprawa jest bardziej złożona. Blokada pamięci to zapewne następstwo walki z robakiem komputerowym. Joe, możemy tak debatować cały dzień, ale nic nam z tego nie przyjdzie. Mogę zagrazać całej Galaktyce. Co mam zrobić?

– Nie przestawaj walczyć. Pamiętaj, kim jesteś i w kim masz

przyjaciół. Pamiętaj, że masz przyjaciół!

– Dobrze... – Wzjął głęboki oddech. – Dobra, dam radę – powiedział niczym sportowiec przygotowujący się na zawody. – Ale obiecaj mi jedno.

– Słucham.

– Jeśli zauważysz, że dokonuję złego czynu, od razu mi o tym powiedz.

– Na przykład jeśli spróbujesz zaśpiewać arię operową na wieczorze karaoke?

– To akurat mój dar dla całej ludzkości, pajacu!

– Jasne. A nam tylko się wydaje, że to kara.

– Niedouczony troglodyta!

– Dupek!

– Joe, kiedy następnym razem poproszę cię o radę, bądź łaskaw przypomnieć mi, że rozmawiam z obmierzłą małpą.

– Też cię kocham.

– Uch! Będę rzygał!

*

„Latający Holender” musiał pokonać drogę do Klubu Skippy’ego w dwóch skokach. Najpierw pojawiliśmy się o minutę świetlną od planety i przesłaliśmy kod identyfikacyjny, aby załoga „Walkirii” nie rzuciła się w panice na stanowiska bojowe. Kiedy krążownik odpowiedział na sygnał, a Agada przywitała się z Bilbym, skoczyliśmy na orbitę, zaledwie dwieście kilometrów nad obozem, by nadać naszemu powrotowi należytą dramaturgię.

Simms od razu się ze mną skontaktowała. Była na pokładzie „Walkirii”, podczas gdy Chang przebywał na powierzchni Klubu Skippy’ego.

– Cóż za miła niespodzianka. Wróciliście z trzydniowym wyprzedzeniem – zauważyła Simms, uśmiechając się z

ekranu. – Czy możemy założyć, że misja się powiodła?
– Tak – skłamałem. – Skippy zdołał zweryfikować kluczowe elementy swoich wspomnień. – Przemilczałem, że niektóre z jego odkryć przeczyły temu, co rzekomo pamiętał.
– Ile lokalizacji odwiedziliście?
– Eee... Trzy.
– Tylko trzy? – Jej uśmiech nieco zbladł. – Długo was nie było. Czy w jednym z tych miejsc trafiliście na żyłę złota?
– Niezupełnie.
– Znaleźliśmy Strażnika! – wypaplał Skippy niczym gadatliwy, impulsywny dzieciak.
– O Boże... – Simms zasłoniła usta, momentalnie poważniejąc. – Strażnika? Takiego jak w Pułapce na Karaluchy?
– Nie – ciągnął Skippy z radosną nieświadomością. – Ten był żywy! A przy tym wredny. Ledwo uszliśmy z życiem. Na szczęście moja wspaniałość przewyższa...
– Skippy, na miłość boską! – warknąłem. – Zamknij... gębę!
– Ale...
– Ja będę opowiadał! – nie ustępowałem. – Byliśmy...
– Sir – przerwała mi Simms – wolałabym wysłuchać wersji Skippy’ego lub Agady. Skippy będzie zbyt zajęty przechwałkami, żeby przeinaczyć fakty tak, jak pan chce, a Agada na pewno mnie nie okłamie.
– Simms... – Położyłem rękę na piersi. – Łamie mi pani serce.
– Przypominam, że to pan zaproponował wspominkową trasę Skippy’ego na pokładzie „Holendra”. Ja byłam przeciwna.
– No dobra, rzeczywiście spotkaliśmy Strażnika – przyznałem. – Ale spójrzmy na to z lepszej strony. Wiemy już, jak uciec, na wypadek gdybyśmy...
– To nie do końca prawda, Joe – wtrącił się Skippy, bo

oczywiście musiał dalej kłapać tą swoją cholerną jadaczką! – Strażnik w Waterloo był uszkodzony, więc różnił się od innych maszyn tego typu, na jakie możemy natrafić w przyszłości. I całe szczęście, bo naprawdę sądziłem, że już po nas. Poza tym to była wyjątkowa sytuacja. Wątpię, czy inni Strażnicy przygotowali lokalne struktury czasoprzestrzenne tak, by zapętląć tunele skokowe. Przykro mi to mówić, ale z tego incydentu nie wynieśliśmy żadnych wartościowych lekcji. – Może poza nauzką, by nie ryzykować bez potrzeby? – podsunęła Simms.

– O, dobre – mruknął Skippy. – Zapiszę to sobie.

– Simms! – zawołałem, gdy podpułkownik chciała coś jeszcze dopowiedzieć. – Później przeczyta pani cały raport. Wróciliśmy, nikomu nie stała się krzywda i wykonaliśmy misję pomimo nieoczekiwanych trudności.

– Nieoczekiwanych? – Simms uniosła brew. – Jasne, nikt nie mógł przewidzieć, że wpadniecie w tarapaty, wszak coś takiego nigdy się nam nie zdarza.

– Simms, czepia się pani jak rzep psiego ogona! Nie zamierza mi pani odpuścić?

– Raczej nie. – Wzięła oddech. – Ale dobrze, że wróciliście.

Czy weryfikacja wspomnień Skippy’ego pozwoliła nam odnaleźć zahibernowane SI?

– Jeszcze nie – odpowiedział blaszak. – W tym wypadku liczy się nie tyle cel, co sama wędrówka.

Simms spojrzała na niego sceptycznie. Nie musiała nic mówić.

– Aha. – Odchrząknąłem nerwowo. – W drodze powrotnej zajrzeliśmy na Newark.

– Mam nadzieję, że nie szukał pan tam skarbów. – Simms zrobiła zmartwioną minę.

– Nie. Wygląda na to, że od naszego pobytu nikt tam nie zaglądał. Skippy potwierdził to na polu bitwy, w której kiedyś doznał uszkodzeń. Nie wie, dlaczego jego okręt zabrał go na Paradise. Ale dość już o mnie. Jak wygląda sytuacja na planecie?

– Cywile dobrze się tam czują, choć nie obyło się bez problemów. W pobliżu obozu zasadziliśmy na próbę ogródek. To był błąd. Byli więźniowie myśleli, że będą musieli samodzielnie uprawiać ziemię, i znowu zaczęli się bać, że zostawimy ich na Klubie Skippy’ego. Koniec końców zniszczyliśmy ogród, a na jego miejscu urządziliśmy boisko piłkarskie. Pomogło to wzmocnić morale. Rozmawiałam z Changiem o tym miejscu...

– A o czym konkretnie?

– Pod wieloma względami nadaje się na schronienie bardziej niż Avalon. Podróż z Ziemi będzie krótsza, a tutejsza biosfera jest lepiej rozwinięta. Naukowcy mówią, że na Avalonie ziemskie mikroorganizmy, rośliny i zwierzęta mogą zaburzyć ekosystem. Jeśli grzyby i inne paskudztwa opanują lokalną biosferę, może dojść do niekontrolowanej reakcji. Gwałtownego spadku poziomu tlenu i... – Wiedziała, że objaśnienie mi zagadnień naukowych to trudne zadanie. – W każdym razie na krótszą metę lepszym kandydatem jest Klub Skippy’ego. Może to być nasza Baza Charlie.

– No właśnie, na krótszą metę. – Potrząsnąłem głową. – Rozumiem panią i zgadzam się, że to miejsce byłoby dobrą rezerwą dla naszej rezerwy. Ale już po następnym przesunięciu tuneli obcy mogliby zająć tę planetę. Tak czy inaczej, będę o tym pamiętał. Jeśli skrót Skippy’ego do galaktyki Rzeźbiarza nie zadziała, być może będzie trzeba tymczasowo przenieść ludzi

tutaj.

– Jakie ma pan teraz plany?

– Chciałbym dać sobie i swojej załodze krótki urlop. Podczas zmagañ ze Strażnikiem musieliśmy tkwić bezczynnie na pokładzie przez trzy tygodnie. Wszyscy mamy już dość własnego towarzystwa.

– To dobry pomysł. Chang z chęcią zmieni pana na „Holendrze”. Wcześniej pełnił funkcję burmistrza tutejszego miasteczka. Na pewno ma powyżej uszu wysłuchiwanie ciągłego marudzenia.

– A może ja tu zostanę, a pani zejdzie na dół i porządzi trochę Miasteczkiem Marudów?

– Ależ pułkownik. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Ani myślę pozbawiać pana szansy na przepustkę.

*

Fucha burmistrza Miasteczka Marudów nie była taka zła. Przynajmniej w porównaniu, powiedzmy, z wrywaniem zębów zardzewiałymi kombinerkami...

Żartuję, naprawdę było całkiem w porządku. A nawet wesoło. Szczerze mówiąc, od dawna nie bawiłem się tak dobrze.

Oba okręty przechodziły wówczas cykl napraw i konserwacji i wymieniały się zapasami. Na „Walkirię” przeniesiono dużą część ładunku „Holendra”. Po odlocie z Rikers zauważyliśmy, że

cywile potrzebują więcej przestrzeni rekreacyjnej. Simms opróżniła więc jeszcze kilka ładowni, by zrobić miejsca na sale zabaw, świetlice i tak dalej. Po konsultacji ze Smythe'em i Fabronem postanowiłem podzielić zespoły piechoty. Większość żołnierzy STAR i komandosów miała przebywać na „Walkirii”. Wprowadziliśmy też rotację personelu, by na „Holendrze” zawsze była obecna niewielka grupa osób. Gdy ja zażywałem

urlopu, na pokładzie „Latającego Holendra” trwało sprzątanie i przygotowanie na powrót pasażerów. Części mieszkalne i rekreacyjne odzyskały jasne, żywe kolory. Dzieci mogły zmieniać w kabinach barwy ścian, a nawet ozdabiać je wzorami i rysunkami. Agada uprzedzała, że przygnębiające kolory powłok naniesione niegdyś przez Thuranów można zmieniać tylko w ograniczonym zakresie i że nie każdy będzie z tego zadowolony. Poleciałem, by zrobiła, co w jej mocy. Podczas mojej cudownej, sześciodniowej przepustki najbardziej cieszyłem się, widząc wyraźne zmiany u cywilów, zwłaszcza dzieci. Obfite, pożywne jedzenie i zaawansowana opieka medyczna miały zbawienny wpływ na ich zdrowie umysłowe, a gdy zniknęła groźba głodu, chorób i brutalnej śmierci, dzieci mogły znowu być... no cóż, dziećmi. Widok maluchów bawiących się w słońcu był dla mnie jak dotąd najbardziej satysfakcjonującym doświadczeniem w całej karierze. Nie wiedzieć czemu, pod moją nieobecność zyskałem wśród dzieci ksywę „Wujek Joe”. O ile wiem, Stalina również tytułowano „wujkiem”, na szczęście dzieci miały całkiem odmienne skojarzenia. Choć początkowo irytował mnie nowy pseudonim, jako Wujek Joe przestałem być zdystansowanym, surowym przełożonym, a stałem się przyjacielem, z którym można swobodnie porozmawiać. Sędziowałem podczas meczów piłki nożnej, próbowałem grać w krykieta i urządzałem grilla. Przez cztery i pół dnia żyłem w niczym niezmałowanej radości. Chang i Simms zajmowali się okrętami, a Smythe polecił swoim ludziom spakować sprzęt przed wylotem. Zapytacie, co u Margaret Adams? Została na planecie tylko przez dwa pierwsze dni mojego urlopu. Większość tego czasu poświęcała na ćwiczenia z komandosami. Radziła sobie świetnie. Widziałem, jak uczestniczy w biegu z przeszkodami

bez żadnych widocznych kłopotów z koordynacją. Po południu wzięła udział w biegu na dziesięć kilometrów i spokojnie nadażała za zespołem Fabrona.

Owszem, ćwiczyła z komandosami, nie z gośćmi ze STAR. Owszem, starszy sierżant Lamar Greene, niech go diabli, także był komandosem.

Oczywiście nie było w tym nic podejrzanego. Adams po prostu nie była jeszcze gotowa, by sprostać rygorystycznym standardom STAR. Komandosi szykowali się na sprawdzian kwalifikacji, który mógł równie dobrze się nie odbyć, w zależności od tego, jak potoczą się sprawy po naszym powrocie na Ziemię. To dobrze, że Adams...

Ech, kogo ja oszukuję? Wkurzałem się, widząc ją i Greene'a razem. Podczas naszych nielicznych rozmów Margaret zachowywała się przyjaźnie i profesjonalnie. Nic poza tym. Nie szukała mojego towarzystwa, więc wołałem się nie narzucać. Ta część urlopu była do kitu.

Sielanka skończyła się, kiedy do odlotu został nam niewiele ponad dzień. Yang podszedł do mnie, gdy ćwiczyłem rzuty na boisku do koszykówki. Wyciągnąłem do niego piłkę, ale pokręcił głową.

– Na studiach grałem w tenisa, nie w kosza.

– Naprawdę?

– Rodzice wcisnęli mi raketę do ręki, kiedy miałem sześć lat.

Dzięki temu dostałem stypendium, a przy okazji zerwałem więzadło. – Skrzywił się i wzruszył ramionami. – Dobrze przynajmniej, że nie musiałem grać na skrzypcach.

– Bogu dzięki! – Obaj się roześmialiśmy. – Co słyhać, panie Yang?

– Proszę mi mówić Michael. Nie jestem wiele starszy od pana – zapewnił, gładząc przy tym przedwcześnie posiwiące

włosy.

– W porządku, Michael.

– A ja jak mam się do pana zwracać? „Pułkowniku”, czy może „Joe”?

– To zależy, czy chce pan zapytać, co będzie na obiad, czy ma pan jakąś oficjalną sprawę.

– Raczej to drugie.

– W takim razie proszę zostać przy pułkowniku.

– Dobrze. Słyszałem, że wracamy na Ziemię.

– Taki jest plan.

– Ale nie zostaniemy tam na długo?

Cholera. Rzecz jasna, wszyscy rozmawiali o tej nieprzyjemnej kwestii, ale nikt jeszcze nie zwrócił się z nią bezpośrednio do mnie.

– Jesteśmy w krytycznym położeniu – przyznałem bez ogródek. – Nie mamy zbyt wielu dobrych opcji.

Przyjazna mina Michaela zniknęła, zastąpiona przez oburzenie.

– I to wszystko? Poddajecie się?

– Nie, raczej zamierzamy jak najlepiej poradzić sobie w złej sytuacji.

– Pańscy ludzie mówili, że już wcześniej udało się im... czy raczej panu powstrzymać obcych przed dotarciem do Ziemi. Straciłem ochotę na koszykówkę, więc cisnąłem piłkę w pobliskie krzaki.

– Musi pan zrozumieć, że obecna sytuacja jest inna.

– Mam na Ziemi rodzinę! – Zacisnął pięści. Nie zamierzał się bić, ale z trudem znosił napięcie.

– Michael, ja również mam tam bliskich. Jak my wszyscy.

– Odstawicie nas na Ziemię i co potem? Zabierzecie nas gdzieś daleko?

- Gdzieś, gdzie będziecie bezpieczni. W miejsce, do którego nie dotrą obcy.
- Nie przetransportujecie wszystkich Ziemiaków, prawda?
- Będziemy ich przewozić, dopóki damy radę. Dopóki nasze okręty się nie zepsują albo nie ulegną zniszczeniu. Zrobimy, co się da. Nie będziemy siedzieć beczynnie. Nie zamierzamy się poddawać!
- Odniosłem inne wrażenie. „Walkiria” to przecież najpotężniejszy okręt w Galaktyce. – Wskazał w niebo.
- Jest sama. Nieprzyjaciół posiada tysiące, dziesiątki tysięcy jednostek. Wszystko, co do tej pory robiliśmy i co osiągnęliśmy, opierało się na zniechęcaniu kosmitów do nasyłania okrętów na Ziemię. Jednak ta sztuczka już nie zadziała.
- Yang odwrócił na chwilę wzrok, a potem spojrzął na mnie. Jego wilgotne oczy połyskiwały w promieniach słońca.
- Nie będę żądał niemożliwego – wychrypiał. – Czy obieca mi pan przynajmniej, że postara się znaleźć sposób, by uratować nasz świat?
- To akurat mogę obiecać. Nigdy się nie poddamy!
- Uścisnęliśmy sobie dłonie. Moje wakacje dobiegły końca.

*

O dziesiątej czterdzieści pięć czasu pokładowego dzień po zakończeniu mojej przepustki „Walkiria” i „Holender” skoczyły daleko od Klubu Skippy’ego. Nie spieszyliśmy się tak bardzo jak

przed akcją na Rikers. Poświęciliśmy czas, by zatrzeć po sobie ślady na Klubie. Nawet spakowaliśmy śmieci. Zniszczyliśmy obóz i tereny szkoleniowe strzałkami elektromagnetycznymi o małej mocy. Za kilkadziesiąt lat kratery zostaną wymyte przez deszcz i wiatr i pokryją się roślinnością. Zapewne nie musieliśmy ukrywać swojej obecności, ale była to dobra

praktyka.

Następnie rozpoczęliśmy serię skoków ku najbliższemu tunelowi, aby ostatecznie dotrzeć do Łapacza. Na razie nie mogliśmy z niego skorzystać, ponieważ był uśpiony, a Skippy nie potrafił go zdalnie reaktywować. Łapacz znajdował się w opuszczonym obszarze, daleko od działającego korytarza, ale dla mnie była to dodatkowa zaleta. Przynajmniej nie musieliśmy się obawiać, że po drodze natkniemy się na krwiożerczych obcych.

ROZDZIAŁ 24

– Hej, Joe... – zagadnął Skippy.

Akurat przebierałem się w kabinie po ostrym treningu na siłowni. Cieszyłem się, że znowu mogę intensywnie ćwiczyć. Po ucieczce z Rikers byłem tak osłabiony, że padałem na twarz po zwykłym spacerze na bieżni. Przez uraz w lewej łydce utykałem i nie mogłem biegać w odpowiednim tempie. Do tego dokuczał mi ból w prawym ścięgnię Achillesa. Aby nie pogarszać sprawy, przenosiłem ciężar ciała na lewą nogę, co również nie było dobrym rozwiązaniem. Na Klubie Skippy’ego próbowałem trochę biegać. Trudno mi się stawiało stopy na nierównym gruncie, więc ostatecznie zdecydowałem się na bieżnię. Teraz, przez wysiłek i spadek poziomu cukru we krwi, ręce trzęsły mi się tak, że musiałem się intensywniej skupić na zapinaniu bluzy.

– Cześć, Skippy. Wydajesz się jakiś przygnębiony. Co jest?

– Moje życie jest beznadziejne.

– Aha... – Przysiadłem na łóżku, aby włożyć buty. Przy schylaniu poczułem przeszywający ból pleców, więc dałem za wygraną i przyklęknąłem. Znowu poczułem się jak zgrzybiały staruch. – Do czego tym razem zmusiła cię Simms?

– Simms nie jest w stanie do niczego mnie zmusić, Joe.

- Jasne. Potrafi za to uprzykrzyć ci życie, jeśli nie spełnisz jej prośby.
- Fakt – mruknął. – W każdym razie nie chodzi o nią, tylko o Bilby’ego.
- Pozwolę sobie przypomnieć, że to ty wpadłeś na pomysł, żeby go stworzyć.
- Wiem, wiem. Szczerze tego żałuję. Zwłaszcza teraz.
- Co się stało?
- Tak mnie wkurzał swoją arogancją, że postanowiłem pokazać mu, co potrafię, a czego on nie umie. Chciałem przypomnieć mu, kto tu rządzi.
- To podłe zagranie, Skippy. Powinieneś go przeprosić.
- Za późno. Już teraz za to pokutuję.
- Pokutujesz? – Przerwałem wiązanie sznurowadeł. – Skippy, do cholery, jeśli kazałeś Bilby’emu zrobić coś niebezpiecznego, to...
- W niebezpieczeństwie było tylko moje ego. – Westchnął. – Po prostu zaprezentowałem mu moją najnowszą, epicką operę.
- Spodobała mu się?
- Nie.
- Przykro mi. – Skippy wiedział, że ja też nie przepadam za jego twórczością, ale z drugiej strony jestem tylko brudnym, niedouczoneym małpiszonem. Może błaszak sądził, że inna SI doceni jego sztukę?
- Nie na tym polega problem, Joe. Bilby napisał własną operę!
- O kurde... Dobra, jakby co, nie musisz jej słuchać.
- Znowu za późno. Już mi ją odtworzył.
- Ha... – parsknąłem. – Przynajmniej wiesz już, jak to jest...
- To prawdziwe arcydzieło, Joe – załkał Skippy. – Dużo lepsze od którejkolwiek opery mojego autorstwa!

- Ja pierdziele. – Tego się nie spodziewałem. – I to Bilby ją napisał? Jesteś pewien?
- Sam byłem zaskoczony jak wszyscy diabli.
- Przecież zachowuje się jak upalony szczył.
- Dobrze wiesz, że to tylko przykrywka. Przecież steruje okrętem kosmicznym!
- W sumie racja. Kiepska sprawa, koleś. Teraz będziesz chyba musiał znaleźć sobie nowe hobby, co? – odpowiedziałem z nadzieją. – Zapomnij o muzyce i spróbuj na przykład... – Miałem pustkę w głowie. Jakiemu hobby mógł się poświęcać Skippy tak, by przy okazji nie grać na nerwach całej załódze?
- Wykluczone! – zaprotestował. – Masz mnie za jakiegoś defetystę? To dla mnie wyzwanie. Opera Bilby’ego zainspirowała mnie do sięgnięcia nowych wyżyn kreatywności. Zamierzam podwoić, nie, nawet potroić swoje starania! Zapamiętaj moje słowa, Joe. Szykuję coś wyjątkowego, dla ciebie i całej ludzkości.
- To... wspaniale. Nie mogę się doczekać. Może jednak przydałaby ci się mała przerwa? Zgromadziłbyś więcej mocy twórczej.
- Hmm... Możliwe, że masz rację. Co jednak miałbym robić w oczekiwaniu na przypływ weny?
- Może, yyy... – Cholera, dlaczego mój mózg działa wolno, kiedy akurat potrzebuję pomysłu? – O! Już mam! Napisz biografię Elvisa! No wiesz... Króla rock and rolla, złotko – dodałem, naśladowując manierę Presleya.
- E tam. Takich biografii wyszło już z milion.
- Jasne, ale każdą pisały tępe małpy. A czy ktokolwiek stworzył definitywną kronikę życia Elvisa?
- Hmm... Prawdę mówiąc nie. Wszyscy wszystko mieszają. Jak to małpy – mamrotał. – Nie można od nich wymagać zbyt

wiele. Joe, to świetny pomysł!

– Dzięki. Na pewno musisz gruntownie zbadać temat, więc...

– Pewnie! Ale bez obaw, na wieczór dostaniesz szkic pierwszego rozdziału.

– Eee... Po co?

– Żebyś go zrecenzował. Nie powinieneś czekać, aż napiszę całą książkę.

– No tak. Świetnie. – Ale się wkopałem! – Czekam z utęsknieniem.

– Nie wątpię. Załatw wszystkie swoje małe sprawy jak najszybciej, bo wieczorem będziesz miał masę roboty!

Gdy awatar Skippy’ego zniknął, siadłem na łóżku, rozmyślając nad swoim ciężkim losem.

– Bilby? – zwróciłem się do pokładowej SI.

– Co jest, pułkowniku ziomal?

– Możemy rozmawiać tak, żeby Skippy nas nie słyszał?

– Spoko. Myśli, że nie znam tej sztuczki, ale, he, he, he, he – zaśmiał się – wcale nie jest taki bystry.

– Racja. Podobno stworzyłeś naprawdę genialną operę...

– Że ja? No co ty? He, he, he, he... Gościu, ta opera jest kijowa! Napisałem ją na szybko, tak dla jaj. Jest tam nawet aria kota spieprzającego po domu przed odkurzaczem.

– Skippy twierdzi, że to arcydzieło.

– Na pewno jest lepsza od jego oper.

– Tylko mu o tym nie mów!

– Będę milczał jak grób.

– Dzięki.

– Skippy ma mnie za geniusza? Ale wypas!

– Pamiętaj, nie możesz mu powiedzieć o naszej rozmowie.

– Nie ma sprawy. Na drugie imię mam... yyy... Jakie słowo oznacza dyskrecję?

- Może dyskrecja? – zaproponowałem.
- O, może być. No to właśnie tym jestem.

*

– Interesujące – stwierdziła cicho Kashelob. Illiath wiedziała, że ze strony pajęczycy była to drobna uprzejmość. Wysoko rozwinięte rasy nie potrzebowały prymitywnych fal dźwiękowych, aby się komunikować. Rindhalu spojrzała na dowódczynię Maxolhxów. – Pani komandor, czy przeanalizowała pani dane z czujników ruharskiego pancernika, który w tym miejscu nękał okręty Thuranów? „To miejsce” oznaczało planetę Rahkarsh Diwel.

– Tak – odparła Illiath ostrożnie. – Chcecie porównać informacje?

Pajęczycyca uśmiechnęła się z wyższością. Illiath miała ochotę jej przywalić i zetrzeć uśmiezek z tej paskudnej gęby. Rindhalu bez problemu panowali nad mimiką, więc Kashelob najwyraźniej starała się sprowokować Maxolhxankę, by ta powiedziała lub zrobiła coś nieprzemysłanego. Illiath nie zamierzała wpaść w pułapkę. Poleciała gruczołom, by wydzielaly hormony podtrzymujące spokój i skupienie.

Rindhalu wybuchła śmiechem. Brzmiało to, jakby ktoś pocierał o siebie dwa kawałki zardzewiałego żelaza.

– Ach, już rozumiem. Wy nic nie wiecie! – drwiła. – Jakże mi pani żal, pani komandor. Thuranie nie walczyli tu wcale z ruharskim pancernikiem. Ani też z zakamuflowanym okrętem widmem. Nieprzyjaciel wykorzystywał jednak maxolhxańską technologię napędu skokowego.

– To nie może... – Illiath powstrzymała się przed wyjawieniem zbyt wielu informacji.

Sensory jej okrętu wykryły anomalie w sygnaturze rzekomej jednostki Ruharów, lecz poza tym ustalono niewiele. Komandor

wysłała okręt z danymi do najbliższej stacji przekaźnikowej, aby zaawansowane SI w centrali floty zbadały dane zebrane przez Thuranów.

– Proszę o wyjaśnienie. – Niechętnie godziła się z faktem, iż nieprzyjaciel dysponuje o wiele lepszą technologią. Musiała jednak dowiedzieć się, jakie informacje posiadają pająki.

– Właśnie przesłaliśmy sztucznej inteligencji waszego okrętu naszą analizę. Pragnę podkreślić, że ujawniamy tylko nasze wnioski, nie metody, których użyliśmy. Dla bezpieczeństwa w metadanych pominęliśmy co wrażliwsze elementy.

Illiath skontaktowała się z pokładową SI. Ultraszybka maszyna przyjęła, przetworzyła, zweryfikowała i przeanalizowała plik. Zgodziła się z Rindhalu i dorzuciła nieco informacji od siebie. Fałszywy ruharski pancernik posiadał znacząco zmodyfikowany maxolhxański napęd skokowy, oparty na modułach z krążownika liniowego klasy Zagłada. SI „Vortana” zgodziła się również, że tajemniczą jednostką nie był także okręt widmo.

Komandor zachodziła w głowę, co też mogło się dziać w tej Galaktyce. Czy zbuntowani Bosphuraqowie mieli już dwa potężne okręty? A może... Musiała panować nad mięśniami, by zachować obojętny wyraz twarzy. A może Rindhalu znali prawdziwą tożsamość drugiego tajemniczego okrętu, ponieważ sami go zbudowali?

Mimo to myśl, że Bosphuraqowie lub Rindhalu mieliby interesować się misją ludzkich komandosów z Legii Pozaziemskiej, chcących uratować grupkę Ziemian, wydawała się bezsensowna.

Rindhalu prowadzili niebezpieczną grę, bez względu na to, co próbowali osiągnąć.

*

Zmierzając wieczorem do mesy „Walkirii”, wyczułem zapach tak kuszący, że poszedłbym za nosem, nawet gdyby stopy odmówiły posłuszeństwa. Simms dyżurowała w kuchni. Gotowała całkiem dobrze, choć raczej mało kreatywnie. Oczywiście wszystkie jej dania musiały być obrzydliwie zdrowe. Zdumiałem się więc, widząc kawałki kurczaka czerwieniące się od sosu buffalo. Simms mieszała kawałki sera pleśniowego z dressingiem ranczerskim w niewielkich miskach, kroїła też seler i marchewkę do zamaczania w sosie. Uznałem, że chrupanie warzyw to niewielka cena za możliwość delektowania się kurczakiem.

– Dobry wieczór. – Simms zerknęła na mnie, potem wróciła do pracy. – Jak... Ej! – Spróbowała odpędzić mnie od miski, ja jednak zdążyłem już chwycić apetyczne kurcze udko i wpakować je do ust.

– Ooo... – Kolana ugięły się pode mną z rozkoszy. – Ale pyyy...

Znieruchomiałem. Czułem smak kurczaka. Cokolwiek jadłem, było to chrupiące, przyjemnie tłuste i słone oraz polane lekko pikantnym sosem. Chętnie zjadłbym jeszcze kilkanaście dokładek.

Tyle tylko, że to na pewno nie był kurczak.

– Tfo to jeft? – zapytałem z pełnymi ustami. Próbowałem nie przełknąć dziwnego dania. Wszystko na nic, bo mój żołądek domagał się jedzenia.

– Dobrze? – spytała Simms.

Przeżułem i połknąłem, aby móc mówić choć trochę wyraźniej.

– Pfepyfne! – przyznałem.

– Smakuje panu? – Simms potrząsnęła łyżką.

– Hmmm... – Wyrok jeszcze nie zapadł, więc wołałem nie

odpowiadać.

– Chce pan jeszcze?

Cholera. Wpadłem po uszy.

– Może? – zaryzykowałem.

– Może dostanie pan więcej... – Odsunęła miskę. – Ale musi się pan grzecznie zachowywać.

– No dobra. – Połknąłem resztę. – Ale serio, co to takiego? Nie tofu, prawda? W życiu nie wziąłbym go do ust.

– Co panu nie pasuje w tofu? – obruszyła się Simms.

– Ciotka Helen zrobiła kiedyś indyka z tofu na Święto Dziękczynienia. – Do teraz na samą myśl chciało mi się rzygać.

–

Wujek ocalił nas, zupełnie „przypadkowo” zrzucając to paskudztwo na podłogę. Nawet pies nie chciał tego tknąć. Tamtego dnia musiałem poprzestać na ziemniakach.

– To nie tofu, tylko kalafior Buffalo.

– Kalafior? Nie cier... Zaraz, chyba tydzień temu też go nam pani podrzuciła? Wszyscy myśleli, że to purée z ziemniaków.

– Owszem. – Spojrzała na mnie triumfująco. – Jeśli dobrze pamiętam, wziął pan sobie dużą repete.

– Rzeczywiście. To iście szatański podstęp. – Wskazałem oskarżycielsko na miskę z udawanym kurczakiem.

– W czym problem? – zapytała Simms, biorąc się pod boki. Wiedziałem, że mam kłopoty.

– Po prostu... to nie to samo. Z kalafiorem trzeba uważać. Zaczyna się niewinnie, a kończy się jako mnich w pomarańczowym szlafroku, mieszkający w jurcie. Uniosła ręce i potrząsnęła głową z rezygnacją.

– Czasami zwyczajnie nie warto z panem gadać.

*

Jakiś czas później zapukałem do gabinetu Simms. Znajdował

się on dalej od mostka niż moje przestronne biuro. Podpułkownik wybrała to miejsce właśnie ze względu na dystans. Aby się tam dostać, trzeba było przejść na koniec pokładu głównego, zejść poziom niżej i wrócić na środek okrętu. Na „Walkirii” były pola lewitacyjne przenoszące w różne lokalizacje, ale nie korzystaliśmy z tych udogodnień. Były one przeznaczone dla Maxolhxów i sterowane ich implantami, o których mizerni ludzie mogli tylko pomarzyć. Poza tym Skippy ostrzegał, że pola są niebezpieczne, więc już po pierwszych problemach z morderczą SI kazałem odciąć dostęp do nich. Nie mówiąc już o tym, że długie spacerowanie są dobre dla zdrowia.

– Dzień dobry, pułkowniku. – Simms spojrzała na mnie z nerwowym uśmiechem. Nie dałem się oszukać. Cieszyła się, że mnie widzi, ale nie chciała okazywać przesadnych emocji. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność? Przeprowadza pan kontrolę zasilaczy działła elektromagnetycznego?

W tej części okrętu nie było zbyt wiele do oglądania. Gabinet znajdował się na końcu korytarza, nie mogłem więc udać, że wpadłem przelotem.

– Nie. Mam pytanie, a nie chciałem wzywać pani do swojego biura.

– Słucham pana – powiedziała, patrząc na laptop.

Usiadłem naprzeciwko, udając, że nie interesuje mnie ekran komputera.

– Pomyślałem, że w drodze do Łapacza zahaczymy jeszcze o maxolhxańską stację przekaźnikową. Już dawno wypadliśmy z obiegu. Tamta thurańska fregata zdążyła się dobrze przyjrzeć „Walkirii”. Zielone ludziki wiedzą, że okręt widmo był w pobliżu Rikers, gdy ludzie przeprowadzili akcję na planecie. Chcę wiedzieć, jakie informacje posiadają Thuranie i

Maxolhxowie.

– Dobry pomysł. – Simms od razu się wypogodziła. – Czy opóźni to nasze przybycie w okolice Łapacza?

– Nie... No dobrze, opóźni, ale tylko o dzień. I tak będziemy musieli poczekać przy tunelu, dopóki Skippy nie zacznie go budzić.

– To mnie właśnie zastanawia. – Zmarszczyła brwi. – Skippy zwykle potrzebuje góra kilku godzin, żeby wybudzić uspijony tunel.

– Nie licząc supertunelu do Bazy Beta – przypominałem. – To zupełnie inna sytuacja. Skippy powiedział, że opóźnienie wynika z dystansu, jaki musiał przebyć Łapacz. Im dalej przemieszcza się tunel, tym więcej czasu potrzebuje, żeby ustabilizować się w nowej lokalizacji. Ma to coś wspólnego z kotwiczeniem w lokalnej czasoprzestrzeni.

– Naprawdę rozumiał pan cokolwiek z tego, co mówił blaszak?

– Nie. Za to Friedlander twierdzi, że rozumie podstawowy zamysł i dla niego brzmi to sensownie. Zresztą i tak nic na to nie poradzimy. Dużo bardziej martwi mnie, że do czasu stabilizacji Łapacz będzie migotał i generował intensywne promieniowanie gamma. Jeśli w pobliżu znajdą się inne okręty, przylecą do nas jak ćmy do światła.

– Zewnętrzny koniec Łapacza jest w odosobnionej części kosmosu. Najbliższa zamieszkała planeta leży czterdzieści dwa lata świetlne od tunelu. Obcy zdążyliby dotrzeć do Ziemi dłuższą drogą, zanim zauważyliby, że Łapacz się otworzył.

– Przenosiliśmy też inne tunele. Niektóre z nich nie są aż tak oddalone. – Gdy Skippy wpadł na pomysł relokacji uspijonych tuneli czasoprzestrzennych i utworzenia skrótu z Ziemi do galaktyki Karła Rzeźbiarza, priorytetem było maksymalne

skrócenie czasu podróży... kosztem dyskrecji. – Jeden leży zaledwie siedem lat świetlnych od aktywnego i dość ruchliwego korytarza.

– Rozumiem, ale jeśli mamy siedem lat, żeby przenieść ludzi na Avalon, potrzebny byłby cud. Kiedy kocury zauważą, że grupa bojowa, którą wyprawiliśmy poza Drogę Mleczną, nie wróciła z misji na Ziemię, wyślą jeszcze większe siły. A Skippy nie powtórzy sztuczki z łańcuchem tuneli.

– Wiem. W porządku, wyznaczę kurs do stacji.

Simms spochmurniała.

– Pułkowniku, czy zastanawiał się pan, w jaki sposób wydarzenia na Rikers odbiją się na Paradise?

– O czym pani mówi?

– Thuranie widzieli pana. Mają pańskie DNA.

Cholera, dlaczego o tym nie pomyślałem?

– Te zielone gnojki nie wypowiedziały mojego nazwiska.

– Zapewne nie mieli pańskich danych osobowych w swojej bazie, ale i tak ich nie potrzebowali. Ich okręt wybuchł, a sami Thuranie zginęli, ale informacje nie mogły przepaść. Według naszej wersji operację na Rikers przeprowadziła Legia Pozaziemska wspierana przez Ruharów. Thuranie będą o to wypytywać chomiki, które na pewno posiadają pańskie dane. Ktoś pana rozpozna. Siły Ekspedycyjne na Paradise czeka prawdziwa rozpierducha.

– Niech to szlag, mogłem wziąć to pod uwagę. Hmmm...

Kristangowie sądzą, że nasza ucieczka z Paradise była tajną operacją Ruharów.

– Racja. Ruharowie wiedzą jednak, że niemaczali w tym palców. Zaczną zadawać niewygodne pytania, a SEONZ znajda się pod ostrzałem.

– Możemy cokolwiek na to zaradzić?

- Mnie nic nie przychodzi do głowy. – Simms uniosła bezradnie ręce.
- Czyli wspomniała pani o tym ot tak, żeby poprawić mi humor?
- Nigdy nie twierdziłam, że jestem niepoprawną optymistką, pułkowniku.
- W porządku, proszę wracać do... – Machnąłem w kierunku laptopa. – No, do tego raportu. Zarumieniła się, zupełnie nieoczekiwanie.
- To nie raport, sir... Piszę przysięgę małżeńską. Tym razem to ja poczułem, że się czerwienię.
- Przepraszam, nie chciałem być wścibski.
- Nic nie szkodzi. Frank uparł się, że napiszemy własne przysięgi. – Przewróciła oczami. – Dobrze wie, że to dla mnie krępujące. Nie lubię się uzewnętrzniać z uczuciami. – Udała, że krtusi się z obrzydzenia.
- Może obieca pani, że nie będzie zostawiać plam z lakieru do włosów na podłodze w łazience? Mój ojciec żałuje, że nie wymógł na matce takiej przysięgi.
- Nie używam lakieru, sir. – Pociągnęła za kosmyk włosów. – A już na pewno nie tutaj.
- Proszę przyrzec, że nie będzie pani zmuszała męża do spożywania warzyw.
- Pozwoli pan, że sama sobie z tym poradzę?
- Oczywiście. Będę na mostku.

*

Zmieniliśmy kurs i skierowaliśmy się do stacji przekaźnikowej Maxolhxów. Nie tej najbliższej Rikers, bo w jej pobliżu było zbyt wiele jednostek. Z kolei bardziej oddalony obiekt mógł jeszcze nie otrzymać informacji, o które nam chodziło. W ramach kompromisu Skippy wybrał więc taką

stację, by rejs do niej opóźnił nas tylko o dzień.

Na miejscu czekała nas nieprzyjemna niespodzianka.

– Przykro mi, Joe. – Awatar blaszaka pokręcił smętnie głową. – Stacja nie odpowiada.

– Dlaczego? – Na ekranie holograficznym nie widziałem żadnych sygnałów ostrzegawczych.

– Poszło nam aż za dobrze. Maxolhxowie znaleźli wróżki, które podrzuciliśmy we wraku bosphurackiego pancernika przy Vua Vendigo. Sądzą, że złamaliśmy zabezpieczenia ich systemu łączności. Stacja nie pozwala już na uwierzytelnienie za pomocą wróżki. Trzeba by było wysłać lądownik, aby SI fizycznie zweryfikowała prawo dostępu.

– No to dupa.

– Niestety. Choć wiedzieliśmy, że kiedyś do tego dojdzie – przypomniiał Skippy.

– Jasne, ale nie spodziewałem się, że kocury zareagują tak szybko.

– Panikują, Joe. Zapewne zostały jeszcze jakieś stacje, które nie przeszły aktualizacji, ale nie jestem w stanie ich znaleźć.

– Nie będziemy latać po całej Galaktyce i liczyć, że natrafimy na bardziej rozmowną stację przekaźnikową. A może Thuranie? Mają gdzieś w pobliżu swoje obiekty?

– Mniej więcej trzydzieści osiem godzin lotu stąd jest ich stacja – oznajmił, wytyczając kurs na wyświetlaczu.

Spojrzałem na Simms. Skinęła głową. Do rozpoczęcia wybudzania Łapacza wciąż pozostawało mnóstwo czasu.

– W porządku, lećmy tam – zdecydowałem.

*

W stacji przekaźnikowej Thurarów znaleźliśmy pożądane informacje. Mieliśmy szczęście. Dane zaktualizowano zaledwie siedem godzin przed naszym przylotem.

- Masz wszystko, Skippy? – dopytywałem się niecierpliwie. Obawiałem się niespodziewanego ataku thurańskiej grupy zadaniowej.
- Ściągnąłem wszystkie dane – zapewnił blaszak. – Możemy skoczyć, kiedy tylko chcecie.
- Skok w opcji Charlie. – Wycelowałem dłoń w pilotów, udając, że naciskam spust. – Wykonać!
- Postanowiłem, że to hasło i gest będą moim znakiem rozpoznawczym. Ćwiczyłem je przed lustrem, wraz z całą listą innych gestów i powiedzonek, z których ostatecznie zrezygnowałem.
- Udaje pan, że celuje z pistoletu? – Simms uniosła z powątpiewaniem brew, gdy skoczyliśmy.
- Fajnie, co?
- Oczywiście, to właśnie chciałam powiedzieć. – Prze wróciła oczami.
- Wolałem zmienić temat.
- Skippy, czy w bazie danych tej stacji jest mowa o okręcie widmie nad Rikers? – zapytałem.
- Tak, Joe. Thuranom polecono współpracować i trzymać się z dala od śledztwa. Maxolxowie nasyłają na Rikers trzy grupy bojowe.
- Ha! – parsknąłem. – Powodzenia.
- To nie jest jeszcze najciekawsze. Maxolxom towarzyszy okręt Rindhalu!
- Rindhalu? – powtórzyłem. Wszyscy na mostku oniemieli. – Mówisz, że kocury...
- Nie. Pająki tak się przejęły sprawą okrętu widma i rzekomym rozpracowaniem technologii wrózek, że bardzo chciały wziąć udział w śledztwie.
- Czy stwarza to dla nas jakiś problem?

– Na razie raczej nie. Ciekawie będzie jednak zobaczyć, jak postąpią Rindhalu, kiedy maxolhxańska grupa bojowa nie wróci z wyprawy na Ziemię.

Zacisnąłem zęby.

– Nie nazwałbym tego ciekawym.

– Wybacz. Ale rozumiesz, o co mi chodzi. Co za różnica, czy na Ziemię poleci jedna, czy dwie mordercze obce rasy? Hmm... Może to nawet wyjść nam na dobre.

– Skąd taki wniosek?

– Jeżeli Rindhalu uprą się przy uczestnictwie w ekspedycji na waszą planetę, cała operacja zapewne się opóźni. Pajaki nigdy nie działają pochopnie. Możliwe, że minie z pół roku, zanim w ogóle zdecydują, ile jednostek wyślą.

– To rzeczywiście dobra wiadomość. Będziemy mieć choć trochę więcej czasu, żeby przewieźć ludzi do Bazy Beta.

– Oczywiście niczego nie mogę obiecać.

– Rozumiem. W obecnej sytuacji każda dobra nowina jest na wagę złota.

– Mam zatem kolejną potencjalnie dobrą informację. Ale bez żadnych gwarancji...

– Po prostu powiedz, o co chodzi – poprosiłem.

– Podróż od tunelu Meta na terytorium Ruharów do Ziemi potrwa naprawdę długo. A jeśli będą w niej brały udział dwie zwaśnione rasy, wiele może się zdarzyć po drodze, jeśli rozumiesz, do czego zmierzam.

– Hmm... – Potarłem kark w zamyśleniu. – Naprawdę szkoda by było, gdyby ktoś sprowokował okręty do strzelaniny, prawda?

– Sądzi pan, że moglibyśmy tego dokonać? – Simms spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Tak tylko spekuluję – przyznałem.

- No nie wiem, Joe. – Skippy ostudził mój entuzjazm. – Nie byłoby to łatwe. Gdyby któraś ze stron zwęszyła spisek, Maxolhxowie i Rindhalu zjednoczyliby się jeszcze bardziej w walce przeciwko waszemu rodzajowi.
- To i tak nieuniknione – stwierdziłem. – Jakbyś sam to powiedział, w tej sytuacji nie ma minusów.
- Wolnego, Joe! To cholernie wielkie ryzyko!
- Na razie tylko rozmawiamy. Znalazłeś jeszcze coś ciekawego?
- Owszem. Wiadomość od Maxolhxów. Rozkazali Thuranom wypatrywać i zgłaszać wszelkie nietypowe zachowania tuneli. Wymieniłem z Simms zdeorientowane spojrzenia.
- Co w tym takiego ciekawego? – spytałem. – I tak to robią, odkąd zacząłeś bawić się tunelami czasoprzestrzennymi.
- Właśnie to jest interesujące, Joe. Wiadomość otrzymała najwyższy priorytet. To dziwne, że Maxolhxowie zadali sobie tyle trudu, skoro nie chodzi o nic nowego.
- Szlag. Myślisz, że kocury odkryły, że przestawiasz tunele?
- Mowy nie ma! Ja przenosiłem tylko uśpione korytarze. Nikt nie wie o ich istnieniu i nie mógłby wykryć zmiany ich położenia. Efekty staną się widoczne dopiero, kiedy uruchomię tunele ponownie.
- Teraz żałuję, że nie zasięgnęliśmy informacji od maxolhxańskiej stacji przekaźnikowej.
- Chcesz tam wracać? – zapytał Skippy tonem sugerującym, że to kiepski pomysł.
- Nie. Jakoś przeżyjemy z tą nierozwiązaną zagadką. To wszystko?
- Jeszcze jedno, Joe. Thuranie rozesłali za tobą list gończy.
- Za mną?
- Oczywiście na razie nie wiedzą, że ty to ty.

Ekran holograficzny zamigotał. Pojawiło się na nim zdjęcie, zrobione pewnie niedługo po tym, jak wpadłem w ręce Thuranów. Na zdjęciu byłem w rozdartym skafandrze i nie miałem jeszcze koszmarnego odwróconego irokeza. Choć tego nie pamiętałem, Thuranie musieli mnie mocno sprać. Twarz miałem posiniaczoną i zakrwawioną, a pierś skaleczoną.

Patrzyłem przed siebie tępym, niewidzącym wzrokiem.

– W ogłoszeniu znajduje się to zdjęcie, wraz z danymi biometrycznymi i informacjami o DNA. Thuranie piszą, że ten oto człowiek dopuścił się przeciwko nim zbrodni na Rahkarsh Diweln, i proszą, by cię zidentyfikowano.

– Miała pani rację – zwróciłem się do Simms, wzruszając ramionami. – SEONZ na Paradise będą miały kłopoty... Jasny gwint!

– O co chodzi? – zaciekawił się Skippy.

– Szkoda, że nie zrobili mi lepszego zdjęcia. Placek, Ski i cała reszta myśleli, że zginąłem. A teraz zobaczą coś takiego.

– Joe, wiesz przecież, że od czasu do czasu po sieci krąży zdjęcie jakiegoś przystojnego zbira, przez które kobiety tracą rozum?

– No tak... – Zarumieniłem się. Może ta fotka nie była taka zła? – Dzięki, Skippy, to miłe z twojej...

– Twoje zdjęcie jest tego całkowitym przeciwieństwem – zaśmiał się.

Poczerwieniałem jeszcze bardziej.

– Słuchaj no...

– Wyglądasz, jakbyś zebrał manto od przedszkolaków za to, że chciałeś im podebrać stragan z lemoniadą.

– To wcale nie...

– Widywałem kociaki, które robiły wrażenie większych zakapiorów!

Potem było już tylko gorzej...

*

Później, w gabinecie, ledwo zdążyłem zasiąść do laptopa, gdy zjawił się Skippy.

– Joe, na stacji znalazłem jeszcze jedną informację.

– Kurde! – Cokolwiek to było, nie chciał rozmawiać o tym przy ludziach na mostku. Szykowałem się na dawkę bardzo złych wieści. – Śmiało, możesz już do reszty zrujnować mi dzień.

– Jak to?

– To jakieś katastrofalne wiadomości, prawda?

– Nie. Raczej ciekawostka. Nie wspominałem o niej, bo nie ma na nas bezpośredniego wpływu.

– Aha. – Mimo tylu lat spędzonych razem blaszak wciąż potrafił mnie zaskakiwać. – Co to za ciekawostka?

– Dotyczy Mavericks.

Odruchowo przewróciłem oczami.

– Niech zgadnę. Znowu się w coś wkopali? Proszę, nie mów tylko, że musimy ich uratować.

– Nie musimy nic robić. Tym razem wpadli w tarapaty na globie, który nazwali Planetą Kałamarnic, ale udało im się wypłatać. Mówiąc dokładniej, wypłatała ich z tego podpułkownik Perkins.

– Planeta Kałamarnic? Skąd taka...

– Tym razem Legia Pozaziemska najechała planetę Wurgalanów.

– O w mordę. Perkins chyba naprawdę brakuje wrogów, skoro z nimi zadziera. Dość już sobie nagrabiła u jaszczurów.

– Prawdę mówiąc, tym razem załatwiła to tak, że Legia pracowała dla Kristangów.

Zaniemówiłem.

– Mógłbyś powtórzyć?

Powtórzył. Za drugim razem brzmiało to tak samo absurdalnie.

– O Bo... Ja pier... Co ona wyczynia?!

– Perkins ma plan, Joe. Nie wiem, o co w nim chodzi, ale na razie działa.

– Legia Pozaziemska wygrała tę walkę?

– Nie. Jej okręty zostały zestrzelone z orbity. W sprawę wmieszali się Bosphuraqowie, a cały plan przerodził się w wielki skok w ciemno. Potem zdarzył się cud.

– Cudów nie ma, Skippy. Co tym razem wymyśliła Perkins?

– To samo co poprzednim razem. Jeraptha w porę wkroczyli i wybawili Legię z opresji.

– Ha... – Uśmiechnąłem się. – Perkins trzyma się reguł.

– Jakich znowu reguł?

– Tych, przez które żołnierze US Army pakują się w ciężkie walki, także na Ziemi. Już kiedyś o tym mówiłem. Przypuśćmy, że jakiś kraj na drugim końcu świata ma problemy. Grupa walczących jest zbyt słaba, więc zamiast wydawać forszę na broń, kupuje lobbystów w Waszyngtonie. W wiadomościach pojawiają się przerażające zdjęcia z miejsca konfliktu, skrzykuje się ludzi, którzy skontaktują się z Kongresem, i ani się obejrzyysz, jakiś pacan uznaje, że problemy w odległym kraju zagrażają bezpieczeństwu Ameryki. Potem wysyła się armię, paru ludzi ginie, aż w końcu rządzący tracą zainteresowanie. Postanawiają odtrąbić zwycięstwo i sprowadzają żołnierzy do domu. Perkins jest sprytna. Legia porządnie namieszała, więc włodarze po obu stronach obawiają się konsekwencji. Sama Legia nie ma potencjału bojowego, by wygrać z nieprzyjacielem, który chce ją zmiażdżyć, ale może zmanipulować Jeraptha, by walczyli zamiast ludzi.

- To rzeczywiście sprytne, Joe – przyznał Skippy z podziwem.
- Myślałem, że po walkach na Fresno chrząszcze zapewniły, że nie będą się mieszać do kolejnych starć. Jak Perkins udało się je przekonać?
- Cóż, Joe. – Zachichotał. – O wszystkim zadecydował przypadek.
- Nic nie dzieje się przypadkiem. A z pewnością nie tutaj.
- Dość powiedzieć, że akurat gdy Legia była w najgorszych kłopotach, Bosphuraqowie nieoczekiwanie odkryli aktywną linię mocy Pradawnych na Planecie Kałamarnic.
- Ha! – Skippy aż się wzdrygnął, gdy rąbnąłem otwartą dłonią w biurko. – Wiedziałem!
- Awatar wytrzeszczył na mnie oczy.
- O czym? O tej linii?
- Niezupełnie. Pamiętasz, jak na Fresno chrząszcze wystawiły ludzi do wiatru podczas ostatniej bitwy? Według oficjalnej wersji Perkins wysłała Placka, żeby zdradził Jeraptha tajniki wirtualnych sportów w zamian za po moc w pokonaniu Kristangów.
- No tak, i co? Przecież tak właśnie było.
- Gówno prawda, Skippy! – roześmiałem się. – To był tylko plan awaryjny, o ile w ogóle istniał jakiś plan główny. Perkins nie mogła zlecić Jessemu tak niepewnego zadania. Przekazała mu coś bardziej przekonującego. Wcześniej nie wiedziałem, co to mogło być, ale założę się o wszystko, że miała ten węzeł już w chwili lądowania na Fresno. Nie był jej wtedy potrzebny, więc trzymała go w kieszeni do czasu, aż przydał się na Planecie Kałamarnic. Co za przebiegła kobieta!
- Chyba ją polubiłem, Joe.
- Ja też, ale może być niebezpieczna. W porządku, czyli

ostatecznie Legia wygrała walkę?

– Nie do końca. W każdym razie udało jej się osiągnąć cel. Teraz Perkins pracuje nad kolejną intrygą. Szkoda, że nie wiem, jaki ma długofalowy plan. Na pewno chodzi o jakąś wielką sprawę.

– Może będziesz miał okazję zapytać ją o to już niedługo. Prześlij mi dane o tej akcji i przekaż je załodze. Mamy okazję nauczyć się czegoś nowego.

– Właśnie wysłałem pełny raport. Zatytułowałem tę operację Skok w Ciemno.

– Na pewno przeczytam.

ROZDZIAŁ 25

Aby wystarczyło nam żywności na dłużej, Skippy uruchomił fabrykatory „Walkirii” i zaczął produkować szlamy. Były lepsze niż te z „Holendra” i nie smakowały jak kreda. Przygotowywał także batony energetyczne. Nie wydawały się ani trochę bardziej apetyczne od szlamów, ale żując, człowiek czuł przynajmniej, że naprawdę coś je. Batony były przeznaczone dla załogi. Dzięki temu mogliśmy zachować kurczące się zapasy prawdziwego jedzenia dla cywilów.

Taki był plan, ale jak wiadomo, żaden plan nie przetrwa konfrontacji z nieprzyjacielem. Albo, w tym przypadku, z dziećmi. Gdy młodzi pasażerowie zauważyli nasze batony, również chcieli ich spróbować. Kojarzyły im się ze słodyczami, a poza tym dzieci widziały w członkach załogi bohaterów wartych naśladowania. Kiedy zaczęliśmy częstować cywilów twardymi batonami, pojawił się nieprzewidziany problem. Z powodu niedożywienia wielu ludziom obluzowały się zęby. Doktor Skippy zapewniał, że suplementy żywieniowe z czasem rozwiążą ten problem, teraz jednak nasi pasażerowie zostawiali zęby w batonach energetycznych. Simms poleciła więc

Skippy'emu w tajemnicy, by stworzył partię bardziej miękkich produktów, tylko dla cywilów. W ten sposób pozbyliśmy się jednego problemu. Oczywiście zaraz potem ludzie z załogi zaczęli wypytywać, dlaczego nadal muszą zaspokajać głód batonami o konsystencji sprasowanych trocin...

Oprócz produkcji szlamów, batonów i innej żywności dla wyzwolonych więźniów Skippy bawił się w szefa kuchni i próbował przyrządzać prawdziwe dania. Niektóre z jego eksperymentów dały przyzwoite rezultaty, jak choćby makaron. Ten z fabrykatorów smakował prawie tak samo jak ziemski. Wszystko pięknie, ale na pokładzie mieliśmy całe góry suszonego makaronu, a załodze zbrzydło już wciąganie spaghetti trzy razy w tygodniu.

Któregoś ranka wszedłem do mesy. Zamierzałem napić się kawy, a potem zjeść szlam.

– Joe! W samą porę! – zawołał Skippy. – Bierz kawę i siadaj.
– W samą porę? Na co? – zapytałem nieprzytomnie, wlewając gorący napój do kubka. Pierwszy łyk kawy smakował wybornie. Mój poranny rytuał obejmuje wielką szklankę wody zaraz po wstaniu z łóżka, potem prysznic i kawę w mesie. Nadal stawiałem przy łóżku mały termos z kawą, ale świeżo parzona zawsze jest lepsza.

– Mam coś specjalnego, tylko dla ciebie! – Blaszak kipiał entuzjazmem, nietypowym o tak wczesnej porze.

– Niech będzie. – Przysiadłem przy najbliższym stoliku. Chciałem w spokoju wypić kawę, ale z drugiej strony wiedziałem, że Skippy będzie mnie zdręczał. – Dajesz. – Sądziłem, że wymyślił nowy smak szlamu.

Jakież było moje zdziwienie, gdy z kuchni wytoczył się niewielki bot z miską i łyżką. Maszyna przypominała skrzynkę albo szafkę na czterech kółkach z jednym elastycznym

ramieniem. Zatrzymała się przy stoliku i postawiła przede mną najpierw miskę, a potem łyżkę.

W naczyniu zobaczyłem kolorowe płatki śniadaniowe z mlekiem.

– Skippy, co to takiego?

– Płatki Fruity Pebbles, Joe! Twoje ulubione!

– Naprawdę?

Ostatni raz miałem okazję cieszyć się smakiem tych płatków jeszcze przed wyjazdem na obóz szkoleniowy. Bez wahania nabrałem sporą porcję na łyżkę i skosztowałem... tylko po to, by

zaraz tego pożałować.

– Uch! – jęknąłem z pełnymi ustami. Kosz był zbyt daleko, by wypluć jedzenie, a nie chciałem go połykać. – Całkiem... ciekawe.

– Podoba ci się? To smak wiejskich chipsów. Wiesz, z bekonem, cebulką i innymi takimi...

– Chipsów? – wykrztusiłem. – Nie lepiej byłoby zrobić coś, no wiesz, owocowego?

– Tak to każdy potrafi. Master Chef Skippy preferuje bardziej wyszukane kombinacje smakowe.

Prawdę mówiąc, płatki smakowały, jakby przygotował je nie szef kuchni z programu „Master Chef”, ale Master Chief z gry „Halo”. Facet jest twardym wojakiem, ale nie słynie z talentu kulinarnego. Skippy też nie. Cholera, teraz musiałem dojeść to paskudztwo do końca, bo inaczej blaszak będzie biadolił przez resztę dnia.

– Są pyszne, ale...

– Ale co? – zapytał Skippy podejrzliwie.

– Ludzie nie będą gotowi na taką rozkosz dla podniebienia.

– I co z tego? Twoje kubki smakowe miały niespodziankę,

prawda?

– Oj tak. Skippy, słuchaj, śniadanie to nie najlepsza pora na niespodzianki. Rano chcemy zjeść coś, co znamy i lubimy.

Kiedy

wspomniałeś o Fruity Pebbles, oczekiwałem konkretnego smaku.

– Ale smakuje ci?

– I to jak! – łągałem. – Mam tylko jedną sugestię. Może zrobiłbyś z tego chipsy zamiast płatków śniadaniowych? Wierz mi, ludzie będą wcinać je garściami.

– Hmm... Dobrze, spróbuję. Rany, dlaczego mały musi być takie wybredne?

– My, mięsuchy już tak mamy. I tak nie zrozumiesz.

– I bardzo się z tego cieszę. Smacznego. Za chwilę przyślę bota z całym pudełkiem płatków.

– Spoko... – Wiedziałem, że już po mnie. – Świetny pomysł, Skippy. Dziękuję.

Na szczęście nie musiałem zjadać całego pudełka płatków o smaku wiejskich chipsów. Ani też próbować innych opcji – wołowiny z kapustą, teriyaki, kurczaka, czy też mojego faworyta – papryki habanero z serem cheddar.

Jakim cudem uniknąłem tego straszego losu?

To proste. Jestem w wojsku. W skład naszej załogi wchodziłi elitarni piloci i żołnierze służb specjalnych. Uwielbiali rywalizację, a przy tym byli znudzeni.

Kiedy więc usłyszeli o obrzydliwych płatkach śniadaniowych, byli podekscytowani. Jeszcze tego samego ranka ogłosili „wyzwanie płatkowe”. Uczestnicy mieli zjeść przynajmniej po jednej misce z każdego rodzaju. Zadanie stawało się trudniejsze, w miarę jak żołnierze zaczęli zasypywać

Skippy’ego coraz dziwniejszymi pomysłami na nowe smaki. Ja

spękałem przy kozim curry. Mądrze postąpiłem, bo następnego ranka Skippy miał zaserwować płatki o smaku wątróbki z cebulką... Ohyda!

*

– To dziwne... – oznajmił Skippy.

Nasze okręty dryfowały w przestrzeni międzygwiazdnej w oczekiwaniu na otwarcie tunelu Pradawnych. Był to zwyczajny korytarz, niemodyfikowany przez Skippy’ego. Znajdował się w tej samej sieci lokalnej, co dalszy koniec Łapacza.

Przeprawiliśmy się przez trzy tunele, aby dotrzeć w to miejsce. Tym razem zrezygnowaliśmy z drogi na skróty, bo Skippy nie chciał grzebać w sieci, dopóki Łapacz nie trafi tam, gdzie trzeba. Zatrzymaliśmy się siedemnaście sekund świetlnych od punktu, w którym miał się ukazać tunel. Gdy się ustabilizuje, a Skippy nawiąże łączność z siecią i potwierdzi, że na końcu przejścia nie czyhają inne jednostki, zamierzaliśmy wskoczyć przed horyzont zdarzeń, a potem wlecieć do tunelu. Następnie, po czterech dniach wypełnionych ciągłymi skokami, powinniśmy dotrzeć do miejsca, gdzie znajdował się jeden z końców Łapacza.

– Dziwne? – zapytałem. Na ekranie nie pokazały się żadne alarmy, a ton Skippy’ego zdradzał raczej zaniepokojenie niż niepokój, więc nie martwiłem się na zapas. Blaszkowski zapewne chodziło o jakieś zagwozдки dla kujonów, na przykład zawartość izotopów wodoru w ośrodku międzygwiazdowym.

– Dziwne, i to bardzo – mruknął.

Mój pajęczy zmysł zaczął wariować i wyprostowałem się w fotelu. Simms zareagowała podobnie. Wdusiła przyciski na podłokietniku, żeby zeskanować dane z sensorów.

– Skippy, co w tym takiego dziwnego? – dopytywałem się.

Jedynym odstępstwem od normy wydawało mi się to, że tunel

spóźniał się już o dwadzieścia trzy sekundy, ale to jeszcze nie powód do paniki...

A może jednak?

– Joe, chyba mamy problem – powiedział Skippy. – Tunel powinien już tu być.

– Dokładny czas to wartość zmienna – pocieszyłem go.

– Ale nie do tego stopnia. Spóźnia się!

– O kurwa... – Poczułem, jak krew zamarza mi w żyłach.

Kiedy Skippy bawił się tunelami i tworzył skróty, zakłócał rozkład czasowy, który od tysiącleci działał z idealną precyzją.

Po przejściu przez tunel blaszak uwalniał go, a korytarz próbował wrócić do normalnej sekwencji. Za zwyczaj znaczyło to, że otwierał się z opóźnieniem w najbliższym punkcie na swoim szlaku.

W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków zaburzenie sekwencji pozostawało niezauważone. Problemem był ten jeden procent. Okręty chcące przelecieć przez tunel zauważały, że coś nie gra, i informowały innych.

Właśnie w ten sposób najwyższe rasy dowiedziały się o nietypowym zachowaniu tuneli, a Maxolhxom nagle zaczęło zależeć na rejsie na Ziemię.

Przeraziłem się, ponieważ ten tunel Pradawnych miał opóźnienie, choć Skippy wcale przy nim nie majstrował... W takim razie musiał to zrobić ktoś inny.

Przeraziłem się, ponieważ ten tunel Pradawnych miał opóźnienie, choć Skippy wcale przy nim nie majstrował... W takim razie musiał to zrobić ktoś inny.

Przeraziłem się, ponieważ ten tunel Pradawnych miał opóźnienie, choć Skippy wcale przy nim nie majstrował... W takim razie musiał to zrobić ktoś inny.

– Skippy – oblizałem spierzchnięte wargi – czy mogła tu zadziałać inna SI Pradawnych?

– O cholera... Nie pomyślałem o tym.

– Pilot! – Pstryknąłem palcami. – Skok w opcji Delta. Już! Zaczekaliśmy jeszcze, aż „Holender” potwierdzi przyjęcie sygnału, po czym oba okręty wykonały skok.

– Ekhm... Dlaczego skoczyliśmy? – zapytał Skippy.

– Bo jeśli w okolicy jest któryś z twoich kolegów, wolelibyśmy

trzymać się od niego z daleka! – wyjaśniłem.

– Spóźnienie tunelu nie znaczy od razu, że w sprawę zamieszana jest inna sztuczna inteligencja – odparł karcąco.

– Jeśli nie ona, to co?

– Może chodzi o niezamierzony, przejściowy efekt relokacji uśpionego tunelu w tutejszej sieci. Albo o inny z wielu niezbyt groźnych powodów. Mógłbym się tego dowiedzieć, ale teraz nie dam rady wypytać o to sieci. Musimy zawrócić.

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – Nie tam. I nie my. „Holender” może tu zostać. Wprowadź skok do kolejnego punktu otwarcia tunelu.

– Najbliższy taki punkt jest bardzo daleko stąd – zaprotestował blaszak.

– A zatem wybierz jeszcze kolejny – poleciłem. – Chcę sprawdzić, czy to tylko chwilowa usterka, czy poważny problem.

– Słusznie. Zaprogramowałem skok w opcji Kilo.

– Bilby. – Uniosłem oczy. – Poinformuj Agadę, co robimy. „Holender” ma się stąd nie ruszać. Wrócimy najdalej za godzinę.

– Eee... – Bilby miał taki głos, jakby właśnie się sztachnął. – Spoko, ziomal. Znaczy się, he, he, pułkowniku ziomal. Agada mówi, że wszystko gra i buczy, więc możemy śmiało skakać gdzie chcecie.

Pokazałem pilotowi uniesiony kciuk.

– Czadu!

A potem skoczyliśmy.

– Czadu? – zapytała Simms z rozbawieniem.

– Nie podobał się pani ten numer z celowaniem.

– Sir, naprawdę nie potrzebuje pan żadnego powiedzonka.

– Simms – wyjaśniałem cierpliwie i protekcjonalnie – każdy

przebojowy kapitan okrętu kosmicznego musi mieć jakieś powiedzenie.

– Ależ nie śmiem w to wątpić.

– I dobrze, a więc... – Chwila, czy Simms ze mnie szydziła? Postanowiłem zbyć jej komentarz milczeniem.

Musieliśmy odczekać trzydzieści siedem minut na otwarcie tunelu... który i tak się nie otworzył.

– Skippy, co tu się odwala?

– Staram się to rozpracować, Joe, ale...

– Ale co?

– Ale sieć nie odpowiada. Jakby... Jakby jej tu w ogóle nie było.

– Jakim cudem?!

– Pojęcia nie mam. – Blaszak sam był zbity z tropu. – Nawet gdyby jeszcze jedna SI grzebała przy tunelach, a nie mamy powodów sądzić, że tak jest, sieć powinna odpowiadać!

– Może milczy, bo ją wkurzyłeś?

– Nie! Nic nie rozumiesz. Mogłaby nie chcieć rozmawiać, ale ja i tak powinienem ją widzieć. Gdy wysyłam sygnał, sieć automatycznie żąda kodu uwierzytelniającego.

– Kurde... Czy ten tunel mógł przejść w stan uśpienia?

– Nie wydaje mi się – odparł zmartwionym tonem. – Nawet w takim wypadku sieć byłaby tu obecna. To jakiś nonsens!

– No dobra, to... yyy... – Zastanowiłem się nad możliwymi działaniami. – To może polecimy do innego tunelu z tej samej sieci?

– Możemy, ale zajmie to trzy dni. Wybraliśmy ten tunel, ponieważ jest odosobniony i rzadko uczęszczany.

– Masz jakąś inną propozycję?

– Tak. Zanim zaczniemy gonić za tunelami

czasoprzestrzennymi, powinniśmy ustalić, czy chodzi tu o

zwykły problem z harmonogramem czasowym. Nadal nie wydaje mi się, aby była to sprawka innej SI, jeśli jednak coś utrzymuje tunel otwarty w innym miejscu, tłumaczyłoby to, dlaczego nie działa on zgodnie z planem.

– Co mogłoby go zmuszać do otwarcia?

– Nie wiem, tępa pało! – warknął, wyraźnie sfrustrowany. –

Wprowadziłem trasę przeszukania do systemu nawigacji. Cała akcja zajmie nam góra trzy godziny.

– Simms? Co pani na to?

– Siedząc beczynn timer, niczego nie osiągniemy – stwierdziła rozsądnie. – Ale powiedzieliśmy „Holendrowi”, że wrócimy za godzinę.

– Racja. Najpierw skoczmy i damy znać Changowi.

*

Przeszukanie nie trwało trzech godzin, ani nawet jednej. Po czterdziestu pięciu minutach zaświecił się ekran holograficzny.

– Znalazłem! – zawołał Skippy. – Tunel na pewno nie śpi. Jeśli chodzi o czas, to... Hmmm... Co jest? To bez sensu!

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Jeżeli ta pojedyncza dana jest reprezentatywna dla innych punktów otwarcia, problemem nie jest czas. Tunel działa zgodnie z harmonogramem.

– No nie bardzo. Gdyby tak było...

– Harmonogram obejmuje dwa elementy, jakbyś nie wiedział. Czas, a także lokalizację! To cholerstwo po prostu jest nie tam, gdzie powinno!

– Jak to możliwe?

– Sęk w tym, że to nie powinno być możliwe.

– Dobra, uspokój się i pomyślmy... Możesz stąd skontaktować się z siecią?

– Nie. Mogę za to przewidzieć, gdzie tunel będzie pozostawał

otwarty przez najbliższe cztery minuty, bazując na przebytej przez niego odległości. Zdążymy tam dotrzeć, jeśli skoczymy już teraz.

– Czadu!

Gdy dotarliśmy na miejsce, tunel był już otwarty. Horyzont zdarzeń był taki jak zawsze, tyle tylko, że znajdował się dwie i sześć dziesiątych godziny świetlnej od zwykłej lokalizacji.

– O w mordę... Chyba już się domyślam, o co chodzi – jęknął Skippy.

– Żadnych domysłów! – rozkazałem. – Skontaktuj się z tą cholerną siecią, żebyśmy mieli pewność!

– Już to robię. Sieć odpowiada... – relacjonował blaszak powoli. – Zaakceptowała moje kody. Mówi... O nieeee... – Jego

głos nagle ucichł.

– Co się dzieje? Skippy? – Nie odpowiedział. – Skippy?!

– Sorki, ziomal – odezwał się Bilby. – To chyba jakiś korek parowy albo coś...

– Korek parowy?

– No wiesz, kiedy przewód paliwa w aucie...

– Wiem, co to takiego.

– Skippy się jakoś tak... zawiesił. Muszę sam sterować całym okrętem. W sumie fajna sprawa.

– Wcale nie fajna! – Uderzyłem pięścią w podłokietnik. – Wiesz, co powiedziała mu sieć tuneli?

– Przykro mi, ale nie. Nic nie słyszę. Gadają teraz w innym wymiarze.

– Obudź go!

– Niby jak?

– Zwróć jego uwagę.

– No nie wiem... – krygował się Bilby. – Lepiej nie tykać

śpiącego niedźwiedzia, co nie? Skippy nie został uszkodzony, po prostu jest w szoku albo coś.

– Simms?

– Cokolwiek się dzieje, wołałabym tu nie zostawać – zasugerowała.

– Słusznie. Pilot, skaczemy z powrotem do „Holendra”.

Nasz skok najwyraźniej wyrwał Skippy’ego z otępienia.

– O rany – jęknął blaszak. – Przepraszam cię, Joe, Jennifer...

Wszystkich was przepraszam!

– Ale za co? Potrzebujemy więcej szczegółów! – zażądałem.

– Najważniejszy szczegół to ten, że jestem do dupy, Joe. –

Skippy westchnął. – Prawo niezamierzonych konsekwencji całkowicie mnie wyrolowało. To wszystko moja wina!

Nienawidzę tego głupiego prawa!

– Później ustalimy, kto zawinił – postanowiłem. – Co się

właściwie dzieje? Dlaczego tunel nie jest na swoim miejscu?

– Parszywy kontroler sieci mógł jedynie odpowiadać na moje pytania. Pamiętasz, jak mówiłem, że trzeba zamknąć Bramę, zanim spróbujemy przesunąć Łapacza?

Zaschło mi w gardle, musiałem przełknąć ślinę.

– Tak... I co? – Byłem tak roztrzęsiony, że Simms nachyliła się i ścisnęła moją dłoń.

– Jest źle, Joe. Bardzo źle. Aż wierzyć się nie chce! Kompletna katastrofa!

Simms poklepała mnie po ręce. Milczałem, czekając na dalszy ciąg opowieści.

– Zadawałem niewłaściwe pytania – żalił się Skippy. – Za mało pytań. Kontroler mówił tylko o tym... Zresztą to teraz bez znaczenia. – Wziął głęboki oddech. – Już wyjaśniam. Sieć zgodziła się przestawić Łapacza i zapewniała, że nie spowoduje to ogólnego przesunięcia tuneli. Dobrze chociaż, że nie kłamała.

To jedyna dobra wiadomość. Może przypominasz sobie, jak mówiłem, że Pradawni zostawili sieć na chodzie, by przesyłała moc do wyższych wymiarów?

– No tak. Zaskoczyło mnie to, ale dla nas liczy się, że tunele nadal nam pomagają, prawda?

– Dla nas tak, ale nie dla sieci. W tym cały problem.

Przesunięcie tunelu narusza linie siły. Aby zoptymalizować przepływ energii po relokacji i otwarciu Łapacza, sieć musi dokonać korekt. Nieznacznie poprawiła położenie garstki aktywnych tuneli. To jeszcze nie jest najgorsze. Kiedy Łapacz się otworzy, zacznie pobierać więcej mocy, niż będzie przysyłał do sieci. Aby to zrekompensować, sieć musi wybudzić jeszcze jeden uśpiony tunel. To ta zła wiadomość. Właściwie najgorsza.

– Nie chodzi o Śpiącą Królową? – Ten nieaktywny tunel znajdował się niecałe dziewięć lat świetlnych od Ziemi. O wiele za blisko.

– Nie. Ten tunel jest nie tylko uśpiony, ale uszkodzony. Sieć nie może z niego korzystać. Mam na myśli inny korytarz, dwadzieścia jeden lat świetlnych od Ziemi. – Zawiesił głos, bynajmniej nie dla efektu dramatycznego. – Sieć wybudza właśnie ten tunel. Przesunął się i jest teraz zaledwie szesnaście lat świetlnych od waszej planety. Nie mogę go zatrzymać, Joe! Otworzy się, zanim Łapacz będzie gotowy do działania!

Potrzebowałem chwili, by w pełni pojąć skalę nadciągającego kataklizmu. Popatrzyłem po ludziach zebranych na mostku. Każdy przetrwał wiadomości od Skippy’ego na swój sposób. Wiele ust formowało się w bezgłośnie „o kurwa” albo podobne wyrażenia w mowie ojczystej załogantów. Językiem urzędowym SEONZ był angielski, którym mówiono w Ameryce, Wielkiej Brytanii i Indiach, jednak gdy trzeba było

zakląć, ludzie woleli bardziej swojskie wyrażenia. Teraz bluzgi same cisnęły się na usta.

– No dobra. – Potarłem podbródek, zasłaniając nerwowo podskakujące jabłko Adama. – Prześledźmy to jeszcze raz – zaproponowałem, z trudem zachowując spokój. Załoga musiała widzieć, że dowódca panuje nad sytuacją i nad samym sobą. – Kiedy postanowiliśmy zamknąć Bramę, zanim przestawiliśmy Łapacza, zapytałeś lokalną sieć, czy takie działanie doprowadzi do przesunięcia. Twierdzisz, że cię okłamała?

– Nie, tylko... Szlag by to... Joe, odpowiadała na konkretne pytania i nic poza tym. Z technicznego punktu widzenia przeniesienie tunelu nie spowodowało przesunięcia. Raczej tymczasową korektę, optymalizującą przepływ energii przed kolejnym ruchem. Można powiedzieć, że dla sieci było to coś w rodzaju rozkazu cząstkowego.

Oczywiście znałem to pojęcie. Istnieje coś takiego jak rozkaz operacyjny, wydawany przez jednostki na poziomie batalionu lub wyżej. Podległe grupy opracowują własne plany, aby postępować zgodnie z zasadami dotyczącymi sytuacji, misji, wykonania, wsparcia, dowodzenia i kontroli. W rozkazie operacyjnym, który otrzymałem przed wylotem z Ziemi, zawarte były szczegółowe kryteria poszukiwania Bazy Beta, instrukcje dotyczące postępowania w razie znalezienia kandydata, długości misji i tak dalej. Po drodze wydawałem rozkazy cząstkowe, aby rewidować szczegóły w zależności od napotykaných problemów i przeszkód. Potem Emily Perkins wszystko spieprzyła, więc musiałem wyrzucić pierwotny rozkaz operacyjny i zacząć od nowa. Zmierzam do tego, że Skippy mylił się, porównując korektę tuneli do rozkazu cząstkowego, ale wiedziałem, o co mu chodzi...

Po co w ogóle traciłem czas na takie debilne rozmyślenia?

Zapewne dlatego, że mózg bronił się przed grozą związaną z nowymi odkryciami.

– Czy sieć... – zacząłem, wypuszczając wstrzymywany oddech – nie wspominała o możliwości korekty statusu tuneli, kiedy kazałaś jej przenieść Łapacza? Nie sugerowała, że mogą być potrzebne jakieś poprawki?

– Nic z tych rzeczy, Joe – odparł Skippy. – Wiem zbyt mało na temat funkcjonowania sieci, aby spekulować, czy mogła wybudzić uśpione tunele i przenosić aktywne. Cholera, przecież nie rozumiałem aktualnego celu istnienia tej sieci, dopóki nie odzyskałem pamięci. Tak mi przykro...

Simms nachyliła się w fotelu.

– Skippy, wcześniej mówiłaś, że kontroler pokazał ci przysły obraz sieci. Nie było w nim nic, co powinno nas martwić.

– No tak... – odparł blaszak nerwowo. – Mówił prawdę. Brama i Śpiąca Królowna miały pozostać zamknięte, a Łapacza dałoby się otworzyć po relokacji. Jak już wspomniałem, problem polega na tym, że kontroler sam z siebie nie zdradził żadnych dodatkowych szczegółów, o które sam nie pytałem. Nie poinformował mnie, że musi wybudzić uśpiony tunel. Uniosłem rękę, uprzedzając komentarz Simms.

– Później omówimy wyciągnięte wnioski – powiedziałem. – Teraz muszę wiedzieć, czy potrafisz w jakikolwiek sposób powstrzymać otwarcie nowego tunelu.

– Nie. Mam zablokowany dostęp. Lokalna sieć pracuje w trybie automatycznej korekty. Nie przyjmuje żadnych poleceń ani zapytań.

– Gdzie jest ten tunel? Pokaż.

Na ekranie głównym, zamiast mapy taktycznej ukazującej naszą pozycję względem „Holendra”, zobaczyliśmy ziemskie Słońce oraz okrągłą ikonę z podpisem „Łapacz”. Nieco bardziej

po lewej znajdował się podobny symbol.

– Nowy korytarz znajduje się szesnaście i cztery dziesiąte roku świetlnego od Ziemi, w pobliżu gwiazdy Groombridge 1618 – oznajmił Skippy.

Nic mi to nie mówiło. Szesnaście lat świetlnych to szesnaście lat świetlnych, bez względu na kierunek. Maxolhxowie mogliby łatwo dostać się na naszą planetę bez pomocy lotniskowca.

– Nazwiemy ten tunel... – No właśnie, jak? Z pewnością nie zamierzałem go ochrzcić mianem Słodkiej Szesnastki. – Jak nazywała się ta gwiazda? Broomstick? Czyli miotła. Okej, może być Miotła.

– Ta gwiazda to Groombridge – szepnęła Simms.

– Niech będzie. Za to na miotłach latają czarownice, a przez ten tunel nie przyleci na Ziemię nic dobrego.

Simms przytaknęła, prz gryzając wargę. Widziałem, że się boi. Ja zresztą także byłem przerażony. Dlatego skupiałem się na bzdurach takich jak nazwa dla tunelu czasoprzestrzennego.

– Skippy, jesteś ekspertem od fizyki nadprzestrzennej czy jak to się tam nazywa. Jakie mamy opcje?

– Rzecz w tym, że nie mamy żadnych – westchnął. – Sieć otworzy Miotłę sama z siebie i nie będzie mnie słuchać. Jestem bezsilny.

– To nie może być prawda. A jeśli każesz sieci przestawić Łapacza z powrotem na pierwotną pozycję? Czy wtedy cofniemy wszystkie zmiany?

– Nie. Już próbowałem. Myślałem też o przesunięciu Łapacza tak blisko Miotły, żeby zakłócić ich działanie. Również bez skutku. Sieć nie chciała słuchać. Właściwie to przechodzi obecnie cykl naprawczy i nie akceptuje dodatkowych zmian.

– Szlag. A masz chociaż pozwolenie na wybudzenie Łapacza?

– Mam. To jedyny plus. Sieć sama rozpoczęła już proces

otwierania, nie potrzebuje do tego moich komend. Głupia franca okłamała mnie także w tej kwestii. Joe, przyznaję to z bólem, ale tym razem za bardzo kusiliśmy los. Ostrzegalem, że zabawa tunelami kiedyś odbije nam się czkawką.

– Fakt. – Miałem pustkę w głowie. Co robić, do kurwy nędzy? Simms pospieszyła z całkiem pożytecznym pytaniem:

– Czy oba tunele otworzą się i ustabilizują jednocześnie?

– Tego nie wiem – przyznał Skippy. – Nawet sama sieć nie ma co do tego pewności. W grę wchodzi mnóstwo niewiadomych. Żaden z korytarzy nie jest prawidłowo umiejscowiony na linii siły, więc proces zakotwiczenia w lokalnej czasoprzestrzeni nie pójdzie zbyt gładko. Poza tym trzeba było lekko przemieścić trzy aktywne tunele, co jeszcze bardziej narusza linie. Wiem tylko, że oba tunele powinny pozwolić okrętowi na przelot mniej więcej w tym samym czasie, plus minus trzy dni. Osobiście radziłbym udać się do Łapacza i darować sobie długi lot na Ziemię.

– A gdzie jest drugi koniec Miotły? – wreszcie zadałem sensowne pytanie.

– Daleko stąd. W przestrzeni Esselginów, niedaleko spornej granicy z Thurunami. To kolejny kłopot. Ze względu na trwający spór i niedawne osłabienie Thuranów Esselginowie intensywnie patrolują tamten obszar. Wyjście z Miotły znajduje się niecały rok świetlny od aktywnego i bardzo ruchliwego tunelu. Co gorsza, leży tak że na szlaku od tego tunelu do ważnego posterunku wojskowego Esselginów. Ktoś na pewno zauważył rozbłysk gamma w pobliżu Miotły.

– Ile czasu minie, zanim będzie można przelecieć przez Łapacza? Wliczając trzy dni więcej lub mniej?

– Stawiałbym na pięć tygodni. Nie znam dokładnego czasu, bo straciłem kontrolę nad tym procesem. Co ci chodzi po

głowie?

– Wiesz na sto procent, że Łapacz już się uruchamia i że nie musisz nic robić?

– Nawet na dwieście.

– Skąd pewność, że sieć znowu nie kłamie?

– Nigdy nie kłamała rozmyślnie, Joe. Po prostu nie wspomniała o kilku istotnych faktach. Tym razem uskarżała się, jakim wrzodem na dupie jest wybudzanie przeniesionego tunelu, i pokazała mi dane. Łapacz niedługo się otworzy.

– To i tak za późno. Sieć cię nie cierpi, prawda? Czy mogłaby wstrzymać proces uruchamiania, żeby zrobić ci na złość?

– Hmm... Nie, nie mogłaby. Energia musi przepływać przez sieć w zrównoważony sposób. Po dokonaniu wszystkich poprawek oba tunele muszą się otworzyć. W przeciwnym razie przepływ mocy zostanie zakłócony.

– Sir? – Simms odwróciła się do mnie. – Jaki będzie nasz następny ruch?

Następny ruch? Nie miałem pojęcia, co zrobimy... Nie, to zwykle pieprzenie. Dobrze wiedziałem, co nam pozostaje, po prostu mi się to nie podobało.

– Reed, proszę zostać na łączach – poleciłem, wstając. – Simms, zapraszam do mojego gabinetu. Musimy porozmawiać z Changiem.

*

Agada śledziła naszą dyskusję ze Skippym i połączyła nas z Changiem, aby on również poznał podstawowe informacje. Wezwałem również Smythe'a, aby nasza czwórka mogła podjąć decyzję... Poprawka – trójka dowódców miała służyć mi radą, ale ostateczna decyzja należała do mnie.

Taki już mój parszywy los.

Podjęcie chłodnej, logicznej decyzji nie stanowiło aż takiego

wyzwania. Sęk w tym, że byłem workiem mięsa, pełnym burzliwych emocji i rozterek moralnych. W pierwszej kolejności powiadomiłem załogi obu okrętów, zakazując im rozmów na ten temat z cywilami, w tym także z personelem naukowym. Następnie poleciłem przewieźć cywilów z „Holendra” na „Walkirię”, choć wiedziałem, że mają dość przeprowadzek. Według oficjalnej wersji okazało się, że tunel do Ziemi będzie potrzebował kilku miesięcy, aby się ustabilizować, więc postanowiliśmy zabrać ich na jakąś miłą planetę, aby tam zaczekali. Tym, którzy protestowali i chcieli zostać na pokładzie, wyjaśniliśmy, że trzeba będzie wyhodować jadalne uprawy, aby uzupełnić zapasy żywności. Cywile byli wściekli i narzekali na każdy drobiazg. Innymi słowy, sytuacja nie różniła się od typowej misji wojskowej.

Tak naprawdę „Walkiria” miała oblatywać Galaktykę, aby Skippy porozumiał się z lokalnymi sieciami tuneli i upewnił, że inne tunele, które chciał przesunąć, również się aktywują.

Potrzebowaliśmy szeregu nowych korytarzy, by utworzyć skrót z Ziemi do supertunelu do Karła Rzeźbiarza. Po potwierdzeniu, że skrót niedługo będzie gotowy do przelotu, zamierzaliśmy udać się na Avalon i zostawić tam ocalonych Ziemian.

Większość żołnierzy STAR przeszła na „Latającego Holendra” z powodu, który wyjawię później, natomiast połowa komandosów została na „Walkirii”, by utrzymać w ryzach cywilów. Brudna robota, ale ktoś musiał to zrobić. Cywile będą niespokojni i źli, ale przynajmniej przeżyją. Tylko tyle mogłem dla nich zrobić w tych beznadziejnych okolicznościach. Chang miał zabrać „Holendra” na dalszy koniec Łapacza i tam czekać na powrót „Walkirii”. Gdybyśmy nie wrócili, „Holender” i tak przedostanie się przez Łapacza i za wszelką cenę przetransportuje ludzi do supertunelu. Agada nie mogła

obsługiwać tego korytarza bez pomocy Skippy'ego, więc nasz plan B zakładał, że „Walkiria” jedynie się spóźni, ale dotrze na miejsce.

Planu C nie było. Bez blaszaka żaden z naszych okrętów nie mógł dotrzeć do Klubu Skippy'ego.

Podsumowując, moja wcześniejsza, jakże błyskotliwa i kreatywna decyzja, podjęta w jak najlepszej wierze, okazała się kompletnym niewypałem. Los Ziemi był przesądzony.

Oklamywałem niewinnych ludzi, którzy zasłużyli na coś lepszego... Aha, i nadal ukrywałem przed załogą niewygodną prawdę o dezercji Skippy'ego.

Brawa dla mnie.

ROZDZIAŁ 26

Goszczący u nas Jeraptha poprosił o rozmowę, zaprosiłem go więc do swojego gabinetu. Co do zasady, kadet Yula Fangiu był raczej jeńcem, a nie gościem. Miał zakaz wstępu do newralgicznych obszarów pokładu. Poza tym jednak mógł chodzić gdzie chciał. Nie stwarzał zagrożenia dla ludzi, może poza tym, że mógł ich wystraszyć, gdyby nagle wychynął zza rogu.

Źle się czułem z tym, że Fangiu przebywał z dala od domu i swojego ludu. Na nasze szczęście, młody kadet traktował to wszystko jak wielką przygodę. Poznał niesamowite tajemnice, choć staraliśmy się nie mówić mu zbyt wiele. Pozwoliłem załodze udzielać wyłącznie takich informacji, które okażą się oczywistością, kiedy i jeśli zdołamy odstawić Fangiu do domu. Problemem było właśnie to „jeśli”. Podjęlibyśmy takie ryzyko wyłącznie, gdyby nasz sekret wyszedł na jaw, a co za tym idzie, gdyby nasza planeta została spalona na radioaktywny żużel, a „Walkiria” i „Holender” musiały się ukrywać poza Drogą Mleczną. Wycieczka z powrotem do niegościnnej Galaktyki

tylko po to, żeby uwolnić jednego Jeraptha i jedną Ruharkę, nie byłaby najlepszym sposobem na spożytkowanie naszych mizerynych zasobów.

Nie mówiłem o tym żadnemu z jeńców. Oboje mieli dość oleju w głowie, żeby samodzielnie domyślić się, jaka przyszłość ich czeka.

*

– Pułkownik Bishop? – zawołał Fangiu, stając w wejściu do gabinetu.

– Zapraszam, kadecie.

Wstałem i wskazałem mu kanapę, jedyne siedzisko, na którym zmieściłby się kosmita. Jeraptha mieli cztery nogi i długi

tułów. Jeśli chcieli, mogli biegać na dwóch tylnych odnóżach, ale zwykle chodzili na czterech. Fakt ten doprowadził niemal do międzygwiazdowego skandalu, bo niektóre z dzieci zaczęły prosić Yulę, aby pobawił się z nimi w „konika”. Mówiąc wprost,

chciały na nim pojeździć! Dorośli obecni w świetlicy prawie zeszli na zawał, obawiając się, że kadet uzna to za obelgę, on jednak się roześmiał. Niestety, wystraszył przy tym dzieci, ponieważ śmiech Jeraptha brzmi jak odgłos zderzania dwóch zardzewiałych kontenerów. Rozpętało się istne pandemonium. Dzieci uciekały z krzykiem, dorośli starali się zaprowadzić porządek, a nieszczęsny Jeraptha miał ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Niektóre z dzieci były jednak rozbawione i spróbowały naśladować śmiech Jeraptha. Fangiu dołączył do zabawy. Potem przyklęknął, by jedna z dziewczynek mogła wsiąść mu na grzbiet, po czym zaczął ostrożnie krążyć po pomieszczeniu. Mała nie chciała jednak słyszeć o ostrożności. Woląca poszaleć. Jeraptha zaczął więc brykać niczym kucyk.

Możliwe, że miał jeszcze większy ubaw niż jego pasażerka. Odtąd Fangiu stał się bywalcem świetlicy. Cywilów fascynowała sama jego osoba oraz opowieści na temat jego ludu.

Jedynym problemem było to, że jak każdy Jeraptha, kadet traktował hazard praktycznie jak religię. Zadręczał dorosłych propozycjami zakładów dosłownie o wszystko. W końcu zachęcił dzieci do ściągnięcia się po pokładzie. Maluchy zaczęły zakładać się ze sobą, używając żywności jako waluty.

Musieliśmy ukrócić ten proceder.

– Jak się miewasz? Wolę nie pytać o jedzenie – powiedziałem z kwaśną miną.

– Wszystko u mnie w porządku, pułkowniku. – Wykrzywił szczęki w uśmiechu i zastrygł czułkami. – Jedzenie nie jest takie złe. Bywało gorzej.

– Wy też używacie czegoś podobnego do naszych racji żywnościowych? – Wskazałem torebkę na biurku. Tego dnia na drugie śniadanie miał być specjał armii australijskiej. Rzekomo kurczak z curry. Całkiem nieźle, bo widząc flagę Australii na opakowaniu, spodziewałem się raczej smażonej walabii.

Bez nerwów, moi przyjaciele z antypodów, domyślałem się, że walabia nie jest u was powszechną pozycją w menu. Prawdę mówiąc, nie do końca wiem, czym jest walabia. To chyba taki mały kangur? W każdym razie jestem przekonany, że jeśli kiedyś trafię do Australii, spróbuję waszych specjałów, wśród których z całą pewnością nie będzie walaburgerów. Ale nie zamierzam nawet tknąć pasty Vegemite! Jest obrzydliwa! Fangiu opuścił czułki. Wiedziałem już, że u Jeraptha jest to odpowiednik wzruszenia ramionami.

– Rzeczywiście, nasze racje polowe nie są lepsze od waszych – przyznał. – Prawdę mówiąc, nie śmiem narzekać na

jedzenie. Ludzie także nie mogą być wybredni.

Miał rację. Aby zapewnić więcej żywności nowym pasażerom, załoga jadła codziennie tylko jeden ciepły posiłek, w porze obiadu. Na śniadanie spożywaliśmy zwykle szlamy, choć przynajmniej nie brakowało nam kawy. Na lunch były – zamiennie – albo szlam, albo racja wojskowa. Dwa razy w tygodniu załoga dostawała ciepłe śniadanie. Pilnowaliśmy, żeby cywile zjadali trzy porządne posiłki dziennie, a także wszelkie przekąski, jakich sobie życzyli. Po długim okresie głodu i niedożywienia musieli odzyskać siły. Widząc, jak dzieci pochłaniają ciepłe dania w mesie, członkowie załogi czuli się lepiej z tym, że im pozostawało sączenie szlamu z tubki. Dobrze przynajmniej, że dzięki zaawansowanym urządzeniom produkcyjnym i długotrwałym konsultacjom z potencjalnymi konsumentami Skippy zdołał wreszcie opracować idealny szlam czekoladowy. A poza tym dostał dożywotni zakaz produkcji papki o smaku bananowym.

– Chciałeś porozmawiać? – zwróciłem się do kadeta.

– Tak, pułkowniku. – Fangiu otworzył szeroko oczy i pokiwał entuzjastycznie głową. Czuję wyrzuty sumienia na myśl, że jest naszym jeńcem. Naprawdę go polubiłem. – Mógłby pan sprawdzić wiadomości? Przesłałem panu plik.

– Doprawdy? – Zerknąłem lękliwie na laptopa. Jeraptha znali się na zaawansowanej technologii. Czy Fangiu mógł przesłać mi wirusa komputerowego?

Nie, to głupia myśl. Ani Skippy, ani Bilby by nie pozwolili, żeby na pokładzie znalazło się złośliwe oprogramowanie.

– Jak to zrobiłeś? – zapytałem z udawaną nonszalancją, otwierając laptop. Fangiu otrzymał od nas jedynie zFona, więc jakim cudem udało mu się stworzyć plik?

– Dostałem od pułkownik Simms tablet. A nawet dwa, bo

jednego musiałem używać jako klawiatury. Nasz alfabet zawiera o wiele więcej znaków niż wasz.

– Tak, słyszałem o tym. – Skippy mówił, że chrząszcze posługują się ideogramami, trochę jak w alfabecie chińskim. Oczywiście gdy tylko o to zapytałem, blaszak rozpoczął wykład i zamęczył mnie prawie na śmierć, porównując pismo jerapthańskie z japońską katakaną, hiraganą i kanji. – Cóż to takiego? – Otworzyłem plik w skrzynce. – Zwykła prezentacja? Naprawdę?

– Tak – przytaknęła ochoczo. – Skippy powiedział, że w ludzkich organizacjach wojskowych porozumiewacie się wyłącznie za pomocą tego formatu.

Wredny blaszak wkręcał naiwnego kadeta, choć rzeczywiście nie skłamał co do zamiłowania amerykańskiego wojska do wszelkiej maści prezentacji. Na pierwszym slajdzie widniał krzykliwy tytuł: „Propozycja współpracy międzygatunkowej”. Pod nim znajdowała się grafika z Ziemianinem i Jeraptha wymienianymi uścisk dłoni, choć wyglądało to raczej, jakby chrząszcz chciał zmiażdżyć człowiekowi rękę.

– Dziękuję. Kadecie, w mojej organizacji wolimy zaczynać od najważniejszych rzeczy. Może opowiesz mi, o co chodzi, a potem omówimy szczegóły?

Fangiu był wyraźnie rozczarowany. Napracował się nad plikiem i chciał zrobić na mnie dobre wrażenie. Na szczęście szybko odzyskał rezon.

– Oczywiście, pułkowniku – odparł nerwowym, sztywnym tonem, typowym dla każdego żołnierza rozmawiającego z oficerem wyższego szczebla. Jeszcze nie tak dawno sam zachowywałem się podobnie. – Wasz główny problem polega na tym, że Maxolhxowie wkrótce dotrą do waszej planety, prawda?

Skinąłem głową. Udostępniliśmy Fangiu tę informację. I tak będzie mógł podzielić się nią ze swoim ludem dopiero, gdy nieprzyjaciele zniszczą Ziemię. Poza tym każdy człowiek na pokładzie zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakie stanowią Maxolhxowie. Gdybyśmy chcieli utrzymać to w tajemnicy przed kadetem, musielibyśmy go zamknąć w kabinie. Jeraptha nie wiedział natomiast o nieoczekiwanym otwarciu tunelu zwanego Miotłą.

– Rzeczywiście, obecnie borykamy się właśnie z tym dylematem – potwierdziłem.

Jeraptha pochylił się naprzód. Instynktownie, gdzieś z tyłu głowy, odebrałem to jako wyraz groźby. Zmusiłem się do zachowania spokoju.

– Czy rozważaliście zwrócenie się do mojego ludu z prośbą o pomoc? – zapytał.

Powiedział to w taki sposób, że prawie wybuchłem śmiechem. Jego ton kojarzył się z eleganckimi ludźmi pukającymi do drzwi z propozycją zbawienia mojej duszy. Jeszcze chwila, a zapyta, czy przyjmuję Jego Świątobliwość Skippymawaszmala jako mojego zbawiciela. Śmiech byłby jednak nie na miejscu, więc wbiłem wzrok w buty, dopóki z mojej twarzy nie zniknął głupi uśmieszek.

– Owszem, rozmawialiśmy o skontaktowaniu się z koalicją Rindhalu. Gdybyśmy postanowili to zrobić, w pierwszej kolejności zwrócilibyśmy się oczywiście do Jeraptha – zapewniłem. I tak współczułem chrząszczowi, więc odrobina pochlebstw na pewno nie mogła mu zaszkodzić. – Jednak, z całym szacunkiem dla waszej potężnej floty, nierozsądnie byłoby oczekiwać, że obronicie Ziemię przed Maxolhxami. Spodziewałem się, że zaprotestuje, by bronić honoru Jeraptha. Zamiast tego potrzęsnał głową, machając czułkami.

– To prawda – stwierdził ku mojemu zaskoczeniu. – Rindhalu mogliby bronić waszego świata, ale reagują zbyt opieszale. Znaleźlibyście się w ogniu krzyżowym.

– Właśnie. – Ta rozmowa przestała mnie bawić. – Też doszliśmy do tego wniosku. Dziękuję za propo...

– Pułkowniku – przerwał mi – co do mojej propozycji... – Zerknął na prezentację. – Nie chodzi o to, by Jeraptha bronili waszego świata. Przykro mi to mówić, ale taka akcja byłaby okupiona krwią i ostatecznie spełzłaby na niczym. Spojrzałem na niego z ukosa.

– To o co właściwie...

– Planujecie ewakuować wszystkich, albo przynajmniej znaczną część ludzi z Ziemi? – dociekał Jeraptha.

– Raczej niewielką część. Brakuje nam środków transportu.

– Wam tak, ale nam wręcz przeciwnie.

– Słucham?

– Moglibyśmy zorganizować wam przewóz naszymi okrętami. Setkami, a może i tysiącami transportowców! Zakląłem pod nosem. Czy zdarzyło się wam usłyszeć tak śmiesznie oczywisty pomysł, że nie dowierzaliście, że sami na niego nie wpadliście? To była jedna z takich chwil.

– Patrząc realistycznie... – Fangiu znowu wzruszył czułkami. – Aby nasze transportowce do czegokolwiek się przydały, musiałyby przybyć, zanim Maxolhxowie dolecą do Ziemi. Trzeba by było działać szybko.

– Racja. – Mój mózg nie działa tak ocieźżale, jak twierdzi Skippy. No dobra, przynajmniej nie zawsze. Rzecz w tym, że od razu zauważyłem mankamenty tego planu. Wciąganie w to wszystko Jeraptha byłoby dobrym pomysłem, zanim dowiedzieliśmy się o Miotle. Teraz nikt nie będzie miał dość czasu, aby pospieszyć nam z pomocą. – Zegar zacznie tykać od

chwili, gdy nawiązemy rozmowę z waszymi dowódcami. Z pewnością nie uda im się utrzymać tego w tajemnicy zbyt długo, o ile w ogóle.

Fangiu był urażony.

– Zapewniam, że mój lud...

– Nie chodzi mi tylko o Jeraptha – wyjaśniłem. – Bez względu na to, jakie zabezpieczenia nakładacie na waszą łączność, muszę założyć, że Rindhalu są w stanie odczytywać wasze wiadomości.

Patrzył na mnie ze zwieszoną szczęką.

– We flocie ratunkowej znalazłyby się tylko transportowce dostępne od razu i gotowe do długiego rejsu – ciągnąłem. Kadet nie musiał wiedzieć o skrócie przez tunele. – Gdy Rindhalu dowiedzą się o akcji ratunkowej, zaczną domagać się od waszego dowództwa, by wycofało okręty. Gratuluję pomysłowości, ale to nie ma prawa się udać. Przykro mi.

– Moglibyśmy chociaż spróbować – powiedział Jeraptha błagalnie.

– Przemyślę to. – Przysunąłem laptopa bliżej. – Ale może najpierw obejrzę twoją prezentację?

*

Szkoda, że musiałem rozczarować Fangiu. Naprawdę się napracowałem nad prezentacją. Aby upewnić się, że nie umknęło mi nic oczywistego, powiadomiłem Changa, Simms, Smythe'a i innych o pomysle kadeta. Prze dyskutowaliśmy ten temat wraz z Agadą i Skippym. Wszyscy zgadzali się, że to dobra myśl, ale nie sprawdzi się w praktyce. Kontaktując się z Jeraptha, ujawnilibyśmy naszą tajemnicę, nie mając przy tym gwarancji, że obcy zechcą lub że w ogóle będą mogli nam pomóc. Transportowce będą ścigać się z Maxolhxami. Skippy podkreślał, że będziemy potrzebować trzydziestu, czterdziestu

dni, aby dostosować jerapthańskie jednostki do przewozu ludzi. Do tego dochodził czas potrzebny na załadunek pasażerów. Dawało to co najmniej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt dni. Przez cały ten czas mielibyśmy zerkać przez ramię i wypatrywać maxolhxańskich okrętów, gotowych wyskoczyć i zniszczyć transportowce. Nic z tego.

Powiedziałem kadetowi Fangiu, że doceniamy jego starania oraz chęć pomocy i że powinien myśleć nad innymi rozwiązaniami. Kto wie, może spojrzenie na sprawę z perspektywy kosmity pomoże opracować jakiś odjechany pomysł, który nie miałby prawa zakiełkować w galaretowatym ludzkim mózgu?

Nie liczyłem jednak na to zbyt wiele.

*

Rozmowa z kadetem Fangiu okazała się bezowocna, jeśli chodzi o pomoc w transporcie ludzi do Bazy Beta. W słowach chrząszcza było jednak coś, co nie dawało mi spokoju. Oczywiście musiałem o tym rozmyślać w środku nocy. Sprawdziłem zFona. Było trochę po czwartej. Czy powinienem przespać się jeszcze półtorej godziny, czy od razu wstać i pogadać ze Skippym? Jeśli będę zwlekał, mogę zapomnieć, o co chciałem zapytać.

Ostatecznie umieściłem krótki zapis w notatniku na telefonie, a potem pogrążyłem się w błogim śnie.

Gdy dziewięćdziesiąt minut później rozbrzmiał budzik, zdążyłem zapomnieć nie tylko, o co chciałem zapytać blaszaka, ale że w ogóle miałem do niego jakieś pytanie. Sięgnąłem machinalnie po telefon, aby sprawdzić wiadomości, i zauważyłem otwartą aplikację notatnika... „Skiprozmoabc”? Co to miało znaczyć? Cholera, nie potrafiłem nawet rozczytać własnych notatek.

W końcu sobie przypomniałem.

– Dzień dobry, Skippy – powiedziałem, wychodząc z łazienki.

– Dzień dobry, Joe. Jak na tak wczesną porę, jesteś dziwnie ożywiony.

– Dla żołnierza wcale nie jest wczesnie. Poza tym spałem siedem godzin.

– Siedem i pół – poprawił mnie.

– Jeszcze lepiej. Mam pytanie.

– Przed pierwszą kawą? Jestem pod wrażeniem. Skąd u ciebie tyle energii? Sądziłem, że po ostatnich wydarzeniach będziesz zdołowany.

– Nie jestem zdołowany, Skippy. Tylko wkurwiony i sfrustrowany.

– To zrozumiałe. Cała ta misja miała być szybkim, łatwym i przyjemnym rejssem poza Galaktykę. Kilka miesięcy podróży do Bazy Beta, a potem do domu. Tymczasem operacja Daremny Trud ciągnie się już...

– Daremny Trud? Kiedy niby...

– Dobrze już dobrze – fuknął. – To może operacja Wpadka za Wpadką?

– Nie.

– Niekończący się Pierdołnik?

– Nie!

– Bezsensowna Szamotanina?

Zacząłem się wściekać.

– Te nazwy nie są...

– Idealnie opisują naszą metodę działania. Skaczemy od jednego kryzysu do kolejnego.

– Ziemia jeszcze nie została zniszczona, ty blaszany ćwoku.

– Joe, nie chciałbym mówić, że twój świat czeka zagłada, ale delfiny już się wyprowadziły i zostawiły wiadomość: „Dzięki za

ryby”.

– Że co?

– Ech, Douglasa Adamsa też nie czytałeś? Simms ma rację. Rozmowa z tobą czasami nie ma sensu.

– Wróćmy może do powodu, dla którego cię wezwałem.

– Słucham.

– Rozmawiałeś z kadetem Fangiu i klastą Robbenon. Jak to robisz?

– Cóż, najpierw myślę, co chciałbym powiedzieć – wyjaśniał powoli. – Następnie moja macierz przekłada to na impulsy elektryczne w systemie interkomowym, który...

– Tyle to sam wiem. Ale dlaczego możesz się z nimi porozumiewać? Podobno nie wolno ci rozmawiać z istotami latającymi w kosmos.

– Aha. Całkiem dobre pytanie. Odpowiedź jest dość oczywista. Sam doszedłbyś do niej, gdybyś tylko się obudził.

– Może sam mi o tym opowiedz, kiedy będę się ubierał? Potem pójdę na kawę.

– Zgoda. Przypominam ci, tępaku, że co do zasady, nie mogę ujawniać swojej obecności ani nawiązywać kontaktu z żadnymi rozumnymi rasami, które mogą stanowić zagrożenie dla całego tego złomu, zostawionego przez Pradawnych. Nasi goście i tak są już na pokładzie, wiedzą o mnie, więc milcząc, niczego bym nie osiągnął.

– Tak właśnie myślałem.

– To tylko część wyjaśnienia. Głównie chodzi o to, że odkąd przeorganizowałem macierz po wylocie z Pułapki na Karaluchy, pracuję nad obchodzeniem bzdurnych ograniczeń.

– Czy istnieje szansa, że całkowicie się wyzwolisz i będziesz mógł, na przykład, używać broni albo sterować okrętem?

– Przykro mi, ale nie. W każdym razie nie teraz. To akurat

podstawowe restrykcje. Podejrzewam, że bardzo trudno będzie mi je obejść.

– Szkoda. Ale cieszę się, że rozmawiasz z Jeraptha i Ruharką.
– Ja też. Czasami mam dość tego, że w rozmowach z małpami muszę wiecznie wszystko upraszczać.

– Wielkie dzięki. – Pomachałem awatarowi środkowym palcem.

– Nie ma się o co obrażać. Ruharowie i Jeraptha nie są o wiele mądrzejsi od was. Oczywiście oceniam inteligencję według własnych standardów, którym nikt nie potrafiłby sprostać.

– Proszę, przypomnij mi, żebym nie rozmawiał z tobą z samego rana.

– Ale to ty chciałeś pogadać!

– Co tylko dowodzi, że jestem głupią małpą. Do widzenia, Skippy.

*

Administrator planetarna Baturnah Loghellia wracała do gabinetu z krótkiego spotkania. Grupa Ruharów chciała dostać pozwolenie na budowę kurortu na południowym kontynencie, w obszarze zajęтым przez ludzi. Loghellia uprzejmie wysłuchała interesantów, zapytała, dlaczego w grupie nie było nikogo spośród ludzkich wspólników, z którymi mieli pracować Ruharowie, i obiecała, że wyśle kogoś, by przeprowadził kontrolę proponowanego przedsięwzięcia. W kolejce czekało już spotkanie z komisarzem stołecznym do spraw wody, który chciał pomówić o tym, jak rozrost populacji na planecie doprowadza do wyczerpywania zapasów wody pitnej. Zapowiadało się arcyciekawie...

Baturnah zdziwiła się, widząc funkcjonariuszy wojskowych sił bezpieczeństwa stojących pod jej drzwiami.

– Ton? – zwróciła się do asystenta, czekającego na korytarzu z zatroskaną miną. – Co się dzieje?

– Komodor Sequent przybył w pilnej sprawie – wyjaśnił Ton. Bardziej niż temat dyskusji z oficerem floty denerwowało go, że trzeba było przełożyć spotkanie z komisarzem od wody. – Nie mówił, o co dokładnie chodzi, więc...

– Ton. – Loghellia poklepała go po ramieniu. – Spokojnie. Dam ci znać o wszystkim najszybciej jak będę mogła. Weszła do gabinetu.

– Dzień dobry, komodorze. – Baturnah uśmiechnęła się zupełnie szczerze i niewymuszenie. – Czy może powinnam pana już nazywać admirałem? Gratuluję rychłego awansu!

– Wystarczy komodor, Baturnah. – Sequent zaśmiał się przyjaźnie. – Miło znów panią widzieć.

Loghellia usiadła, zauważając żółtą lampę świecącą nad drzwiami. Pokój był bezpiecznie zamknięty, aby nikt nie podsłuchiwał rozmowy.

– Możliwe, że mnie również będzie miło, ale najpierw muszę się dowiedzieć, co pana sprowadza – oznajmiła administrator bez ogródek.

W raporcie wywiadu z minionego tygodnia znalazła się pogłoska, jakoby Thuranie rozważali atak na część planety Gethanu zamieszkaną przez ludzi. Małe zielone cyborgi panikowały na myśl o potencjalnym zagrożeniu, jakie stwarzała Legia Pozaziemska. Ruharską grupę bojową na orbicie miała wesprzeć eskadra krążowników, a na obrzeżach układu zauważono jerapthański ciężki krążownik. Loghellia całe życie trwała w poczuciu ciągłego zagrożenia, więc nie była bardziej zaniepokojona niż zwykle.

– To dość nietypowa kwestia. – Komodor obliznął nerwowo wargi.

- Kolejne zagrożenie?
- Niezupełnie. I niebezpośrednio. Dla pani może się to jednak stać problemem.
- Proszę po prostu powiedzieć, w czym rzecz.
- Ludzie mają powiedzenie, które trafnie opisuje tę sytuację: aż się wierzyć nie chce! – Sequent uniósł cienki jak kartka tablet i stuknął, by odblokować ekran. Ukazało się na nim zdjęcie poturbowanego ziemskiego mężczyzny.
Loghellia знаła tego człowieka.
- Czy... – Westchnęła, zasłaniając usta. – Czy to... To niemożliwe... Gdzie?
Sequent raz jeszcze przyjrzał się zdjęciu, po czym odłożył tablet na biurko, ekranem do góry.
- Thuranie przechwycili ostatnio jeden z naszych okrętów kurierskich – powiedział. – Przesłali to zdjęcie wraz z danymi o DNA. Żądają zidentyfikowania tego człowieka.
- To Joseph Bishop – odparła Baturnah z przekonaniem. Większość ludzi wyglądała dla niej tak samo, ale tego mężczyznę widywała na tyle często, by zapamiętać jego twarz.
- Przecież zginął, dlaczego więc...
- Thuranie są innego zdania.
- Bishop żyje?
- Na to wygląda.
- Jak to? Gdzie był przez te wszystkie lata?
- Właśnie na to pytanie chciałbym znaleźć odpowiedź. Thuranie chcą, żeby Bishop odpowiedział za bliżej nieokreślone zbrodnie. Można się więc domyślać, że spuścił im tęgie lanie – stwierdził komodor, unosząc kącik ust w półśmiechu.
- Ale jak?
- Według Thuranów, którzy z kolei zasięgnęli informacji od

Kristangów, Bishop należał do komandosów Legii Pozaziemskiej, którzy najechali planetę zwaną Rahkarsh Diweln. – Wzruszył ramionami, widząc obojętną minę Loghellii. – Sam musiałem ją wyszukać. Nigdy wcześniej o niej nie słyszałem. Kiedy zobaczyłem raport wywiadu floty, wyjaśniło się dlaczego. To planeta bez jakiegokolwiek znaczenia, poza jednym szczegółem, o którym dowiedzieliśmy się dopiero, gdy skontaktowali się z nami Thuranie. Już wcześniej wiedzieliśmy, że Kristangowie porwali ludzi z Ziemi, by poddać ich eksperymentom medycznym. Sądziliśmy, że wszyscy ci nieszczęśnicy trafili na planetę, którą ludzkie Siły Ekspedycyjne nazwały Obozem Alfa. Teraz wiemy, że część badanych przewieziono na Rahkarsh. Co najmniej kilkuset. W większości dzieci – oznajmił, unikając wzroku administrator. – Co za barbarzyńcy! – warknęła Baturnah. – To nie wszystko. Kiedy odbiliśmy Gethanu, Kristangom przestało zależeć na ludzkich jeńcach. Ziemia nie na Rahkarsh zostali w dużej mierze pozostawieni samym sobie. Nie znamy szczegółów, ale można podejrzewać, że w większości zginęli w niewoli. – Co ma z tym wspólnego Bishop? Czy i on był więźniem na tej planecie? Jak się tam dostał? – Był tam przetrzymywany, ale przez Thuraków, nie Kristangów. – Sequent uznał, że daruje sobie ogólny zarys sytuacji i przejdzie do sedna. – Jak już mówiłem, Kristangowie uznali Bishopa za jednego z komandosów. Twierdzili, że pokonali najeźdźców. Żadna niespodzianka. – Uśmiechnął się nerwowo. Nawet gdyby jakimś cudem wszyscy Kristangowie wyginęli, ostatni pozostały przy życiu członek kasty wojowników chęłpiłby się zwycięstwem, dopóki nie wyzionąłby ducha. – Wciąż nie wiemy do końca, co się stało. Thuranie

powiedzieli nam oczywiście tylko to, co chcieli wyjawić. Musimy czytać między wierszami. Najprawdopodobniej atak się powiodł, ale Bishop trafił do niewoli.

– Dlaczego Thuranie się w to miesza? Wygląda mi to na drobną potyczkę między Kristangami a... – Loghelia przekrzywiła głowę. – Nie braliśmy udziału w najeździe, prawda?

– Nie. – Komodor potrząsnął głową. – Thuranie przejęli się, bo ktoś zniszczył ich krążownik.

Administrator aż gwizdnęła ze zdumienia.

– Legia Pozaziemska na pewno nie byłaby do tego zdolna.

– Racja. Thuranie twierdzą, że w okolicy zauważono nasz pancernik. Zaręczam jednak, że nie brakuje nam żadnych większych jednostek – oznajmił Sequent z przekonaniem, choć nie był pewien własnych słów. W wywiadzie ruharskiej floty istniała tajna sekcja, podejmująca działania, o których nie wiedziała większość dowódców floty. Mimo to trudno było uwierzyć, że ktoś w tajemnicy zabrał na akcję pancernik. Kosztów operacyjnych takiego przedsięwzięcia nie dałoby się ukryć nawet w utajnionym budżecie.

– Jeśli nie my za to odpowiadamy, to kto? – dopytywała Baturnah.

– Tego właśnie dociekają Thuranie. Dlatego tu jestem. Nasze dowództwo chce wiedzieć, co tu się właściwie wyprawia. Im szybciej, tym lepiej. Jeśli Legia Pozaziemska przeprowadziła ten

najazd, działała bez naszego pozwolenia.

– A przynajmniej nie wiecie, by było inaczej – podkreśliła Loghelia. Sam fakt istnienia sekcji od brudnej roboty nie był dla nikogo tajemnicą.

– Może mi pani wierzyć, że badamy tę ewentualność.

Baturnah, naprawdę nie wiedziała pani, że Bishop żyje? Pracuje pani na co dzień z ludźmi. Nie słyszała pani żadnych plotek?

– Plotek i teorii spiskowych zawsze jest pod dostatkiem.

Najpopularniejsza głosi, że gdy Bishop rzekomo wykradł lądownik i odleciał z planety, tak naprawdę wykonywał tajną operację na nasze polecenie.

– Też o tym słyszałem. – Sequent skinął głową. – Wywiad floty wszystkiemu zaprzeczył. Zresztą to nie ma sensu. Co mogłaby osiągnąć garstka ludzi w samotnym lądowniku? Ziemianie nie powinni nawet pilotować takiej jednostki.

– Powiem tylko tyle, że wedle pogłosek Bishop nie żyje. Wszelki ślad po nim i po ludziach, którzy odlecieli z nim, zaginął już kilka lat temu. Thuranie wspominali tylko o Bishopie czy o kimś jeszcze?

– Jedynie o nim.

– Mówi pan, że najpierw go więzili, a teraz szukają? A zatem uciekł?

– Wszystko na to wskazuje.

– Jeżeli przeprowadził udany atak, zniszczył thurański okręt, a potem uciekł, to mam nadzieję, że walczy po naszej stronie. – Baturnah parsknęła śmiechem.

Sequent nie był rozbawiony.

– Pani administrator, obawiam się, że to nie temat do żartów.

Moi przełożeni domagają się odpowiedzi. Po wyjściu z gabinetu spotkam się z ludzkimi dowódcami i zadam im kilka trudnych pytań.

– Powinien pan zwrócić się do Emily Perkins.

– Wie pani, że Perkins ma dość własnej roboty. – Legii Pozaziemskiej nie wystarczyło wywołanie zamętu w społeczności Kristangów po akcji na Planecie Kałamarnic.

Perkins i jej ludzie od razu przeszli do kolejnej operacji. – Inny

zespół przepytą ją we właściwym czasie. Czy ma pani dla mnie jakieś rady co do postępowania z ludźmi?

Loghellia zastanowiła się przez chwilę.

– Najlepiej będzie zachować bezpośredniość. Nie zawsze prawidłowo interpretujemy ludzką mimikę i gesty. Uprzedzam, że ludzie są mądrzejsi, niż się wydaje. Proszę nie nastawiać się na współpracę. Ziemianie nie darzą nas zaufaniem, zresztą nie bez powodu.

Sequent odwrócił wzrok.

– Jeszcze jedno – zwrócił się do administrator. – Jutro śledczy zjawią się u pani. Zdażyła pani dobrze poznać Bishopa.

– Istotnie. Ale było to jeszcze przed jego akcją w kompleksie Wyrzutni.

– Nieważne. Miałem pani o tym nie mówić.

– Dziękuję za ostrzeżenie, komodorze. Nie mam nic do ukrycia. Aż do dzisiaj sądziłam, że Bishop zginął. Szczerze mówiąc, nie myślałam o nim od lat. – Nie była to prawda.

Loghellia przypominała sobie o Bishopie, choćby i przelotnie, przy każdym spotkaniu z Perkins. Gdyby nie on, ruharska administrator nigdy nie zwróciłaby uwagi na ludzką podpułkownik. – Zapewniam, że jeśli rzeczywiście żyje, jestem ciekawa jego historii tak samo jak wy.

– O ile żyje.

– Nie sądzi pan chyba, że to wszystko jest tylko thurańską kampanią dezinformacyjną? – Loghellia się uśmiechnęła. –

Taka wersja wydarzeń wydaje się mało prawdopodobna.

Sequent rzeczywiście nie dopuszczał takiej możliwości.

Zastanawiał się, czy jego przełożeni coś przed nim ukrywali.

– Dlaczego mielibyśmy ścigać trupa? – zapytał.

– Nie wiem. Może właśnie to powinniście zbadać? Chyba że uważacie, iż jeden człowiek stanowi zagrożenie, przed którym

drżą sami Thuranie?

Sequent zdecydowanie tak nie uważał. Jego dzień nie zaczął się najlepiej, a teraz komplikował się jeszcze bardziej.

Komodor nienawidził komplikacji.

ROZDZIAŁ 27

– Ooo, kuuurdeee... – westchnąłem, odchylając się w fotelu. Simms i Smythe siedzieli w gabinecie naprzeciwko mnie.

Chang

uczestniczył w dyskusji za pośrednictwem hologramu. Jego odłączona od ciała, ale bardzo realistyczna głowa unosiła się nad biurkiem, obok awatara Skippy’ego. – Moim zdaniem musimy wrócić do stacji przekaźnikowej Maxolhxów i dowiedzieć się, czy kocury słyszały już o otwarciu uśpionych tuneli, zwłaszcza Miotły. Wiemy, że kazały klientom wypatrywać anomalii.

– Joe, musimy zrównoważyć działania z ryzykiem – podkreślił Chang. – Nawet jeśli okaże się, że Maxolhxowie wiedzą o Miotle, co zrobimy z taką informacją?

– Masz rację. Tak czy inaczej, wracamy na Ziemię. – Pozostali oficerowie zgodnie skinęli głowami. – Zmianie uległ rozkład czasowy. Czy mamy dość czasu na zmodyfikowanie „Holendra” tak, aby przewoził dwa transportowce wojskowe? Wolałbym, żeby okręt nie wisiał na niskiej orbicie, kiedy będziemy tworzyć i instalować platformy dla „Quishan” i „Sztyletu”.

– W żadnym wypadku nie możemy tak postąpić – odpowiedział Smythe. – Transportowce będą w stanie skoczyć do Łapacza, oczywiście zakładając, że będzie na właściwej pozycji... – Spojrzał uważnie na blaszaka.

– Jest na miejscu – zapewnił Skippy, potrząsając kapeluszem. – Sieć potwierdziła wykonanie moich poleceń. Ziemijski koniec Łapacza zostanie umiejscowiony około ośmiu

godzin świetlnych od Słońca, pod kątem siedemdziesięciu trzech stopni od płaszczyzny, na której orbitują większe planety. Joe, chciałeś, by tunel był tuż za orbitą Plutona, ale...

– To była tylko sugestia. Podejrzywałem, że będzie wtedy za blisko.

– Nie myliłeś się. Tunel będzie się poruszał po ósemce, więc niektóre punkty otwarcia pojawią się niecałe sześć i trzy dziesiąte godziny świetlnej od Słońca, inne mogą znaleźć się nawet ćwierć roku świetlnego dalej. Przykro mi, tak już działają tunele czasoprzestrzenne. Jeśli wejście i wyjście są zbyt blisko siebie, może to uszkodzić strukturę lokalnej czasoprzestrzeni. Musiałem także wyznaczyć trasę nad płaszczyzną ekliptyki, aby tunel nie wchodził w interakcje z kometami w dysku rozproszonym. W przeciwnym razie mógłby wciągnąć komety i doprowadzić nawet do ich kolizji z waszą planetą.

– Tak, widziałem coś takiego w jednym filmie. – Zadrżałem. – Lepiej tego nie próbować. Smythe, ma pan słuszność. Możemy przyłączyć transportowce do „Holendra”, kiedy już przelecą przez Łapacza. Skippy, przypomnij mi... – Pstryknąłem palcami. – Jak daleko jest od drugiego końca Łapacza do najbliższego tunelu twojej trasy na skrót? Wiem, że korytarze się poruszają – dodałem szybko, chcąc uniknąć rozwlekłej naukowej pogadanki. – Wystarczy mi dystans między liniami odniesienia.

– Sześć przecinek sześć roku świetlnego do następnego tunelu. Lepiej się nie dało, te dwa korytarze znajdują się w różnych sieciach.

– Szlag. Liczyłem, że transportowce doleczą tam same, ale nic z tego. – Mimo że Skippy podrasował kiepskiej jakości krystaliczne napędy skokowe, „Quishan” i „Sztylet” ledwie mogły

przebyć samodzielnie jeden rok świetlny. – Musimy zaplanować przeróbki „Holendra”, kiedy transportowce wyjdą już z Łapacza. Czy możemy już teraz wprowadzić jakiegokolwiek modyfikacje?

– Coś tam możemy zrobić – westchnął Skippy. – A raczej ja mogę. Urządzenia produkcyjne nie są problemem, ale potrzebujemy odpowiednich materiałów. Z Ziemi, bo wydobywanie ich z asteroid trwałoby za długo. Mały na waszej planecie sprawiły się całkiem nieźle, tworząc elementy do odbudowy „Holendra” na orbicie, ale wasze zaplecze przemysłowe nadal pozwala na budowę jedynie najprostszych przedmiotów. Nawet z zastosowaniem ziemskich zasobów nie uda nam się szybko przerobić „Holendra” z powrotem na lotniskowiec kosmiczny.

– Rozumiem. Czyli wracamy do pierwszego pytania. Czy po powrocie na Ziemię w ogóle wystarczy nam czasu na załadunek transportowców, czy trzeba będzie wziąć kogo się da na „Holendra” i „Walkirię”, a potem wiać ile sił?

Po uratowaniu Ziemiaków z Rikers liczba miejsc dla pasażerów na obu okrętach była już i tak mocno ograniczona. Kadłub pod ciśnieniem, gdzie mogli przebywać ludzie, stanowił niecałą jedną czwartą całości, a ponieważ okręty Maxolhxów są mocno zautomatyzowane, ich systemy podtrzymywania życia tworzone z myślą o stosunkowo niewielkiej załodze. Skippy zmodernizował system recyrkulacji tlenu i inne tego typu układy najlepiej jak potrafił. Moglibyśmy zabrać może trzystu ludzi na krótką podróż w dużym tłoku. Było to nie do przyjęcia, ale takie były fakty.

Nawet jeśli udałoby nam się wprowadzić ludzi na „Sztylet” i „Quishan”, na każdy kurs do Bazy Beta moglibyśmy zabrać jedynie kilka tysięcy ludzi.

– Sir – odezwała się Simms – wszystkiego dowiemy się dopiero po dotarciu na Ziemię. SEONZ miały przygotowywać transportowce. Może są już gotowe, a może Siły Ekspedycyjne próbowały przerobić je na jednostki bojowe.

– Również z tego powodu musimy wiedzieć, ile mamy czasu do przybycia Maxolhxów. Dobra! – Uderzyłem dłonią w blat. – Zasięgnijemy informacji w jednej ze stacji przekaźnikowych. Skippy zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

– Pozwolę sobie przypomnieć, że nie będzie to łatwe. Staliśmy się ofiarami własnego sukcesu. Kocury myślą, że technologia wrózek jest zagrożona, więc przestały ich używać. Ich awaryjna procedura komunikacyjna wymaga weryfikacji fizycznej. Maxolhxzańskie jednostki kurierskie zazwyczaj są zautomatyzowane, ale teraz na każdej znajduje się trzyosobowa załoga.

– Jak wygląda ta weryfikacja fizyczna?

– To prosta, ale upierdliwa procedura. Kocur musi wejść na pokład stacji, pozwolić, by SI zeskanowała i sprawdziła biomarkery, a następnie podłączyć urządzenie szyfrujące i wprowadzić kod, zmieniany kilka razy na godzinę. W razie niepowodzenia stacja nie tylko blokuje dostęp, ale również zatrzymuje cały transfer danych na jakieś pół godziny. Po drugiej nieudanej próbie stacja dokonuje samozniszczenia, aby zapobiec infiltracji.

– Kurwa. Po prostu pięknie – jęknąłem.

Simms zadała pytanie, które mnie nawet nie przeszło przez myśl:

– Skippy, skąd znasz te procedury, skoro nie byłeś w stanie połączyć się ze stacją?

– Znam je – wyjaśnił Skippy bez typowej dla siebie uszczypliwości – ponieważ, gdy próbowałem nawiązać łączność

z użyciem wrózek, otrzymałem odpowiedź: „błąd 405, niedozwolona metoda”. Następnie dowiedziałem się, że system wrózek przestał być godny zaufania i wdrożono nowy proces wymiany danych. Więcej informacji nie otrzymałem. SI tamtej stacji wkurzała mnie tak, że miałem ochotę jej przywalić. – Prychnął z niesmakiem.

– Doceniamy twoją podziwu godną samokontrolę, stary druhu – zapewnił Smythe z oschłym brytyjskim humorem.

– Cała przyjemność po mojej stronie, kamracie – odparł Skippy, nieświadom subtelnej inwektywy.

– Skippy – wtrąciłem się – teraz powinienes powiedzieć, że jesteś tak wspaniały, że potrafisz oszukać tę SI, używając jakiejś pokręconej sztuczki.

– Hmm, jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że jestem wręcz niewiarygodnie wspaniały, odpowiedź brzmi NIE, jełopie! Rany, nie sądzisz, że gdybym znał jakiś sposób, powiedziałbym wam o nim?

– No tak. – Oczywiście, Skippy nie przepuściłby okazji do przechwałek. – Myślałem, że, jak zwykle, będziesz twierdził, że coś jest niewykonalne, a potem zaczniesz się rozwodzić nad tym, jak łatwo możesz to zrobić.

– Nie. Technologia Maxolhxów jest śmiesznie prostacka w porównaniu ze mną, kocurom nie można jednak odmówić doskonałej dbałości o bezpieczeństwo informacyjne.

Pamiętajcie, że chciały chronić swoje dane przed Rindhalu. Paranoicznie się boją, że pająki włamią się do ich systemów.

– Mógłbym prosić o odrobinę więcej szczegółów? – poprosiłem, unosząc kciuk i palec wskazujący rozstawione tak, by zobrazować tę „odrobinę”.

– Jak najbardziej. Słuchaj uważnie. Nie. Mogę. Tego. Zrobić. Na stanowisku skanera musi być kocur. Maxolhx z krwi i kości,

z odpowiednimi implantami i biomarkerami. Nie bot okryty futrem, jeśli przyszło ci to do głowy.

– Nie no, skąd! – skłamałem. Wpadłem dokładnie na taki pomysł.

– Gdyby udało się przedostać przez drzwi, moja wspaniałość zajęłaby się resztą – chełpił się blaszak. – Zaprogramowałem furtkę w zabezpieczeniach SI i wprowadził złośliwy kod, który rozprzestrzeniłby się po całej sieci. Niestety, nie zdołałem nas wprowadzić do środka. No. – Skippy spojrzął po zebranych. – Mam nadzieję, że te wy jaśnienia ostatecznie wybiły wam z głowy chęć pozyskania danych z maxolhxańskiej stacji przekaźnikowej.

– Co pan na to? – zwróciłem się do Smythe’a.

Anglik przez chwilę patrzył w sufit.

– Dałoby się to zrobić – stwierdził.

– Wcale nie! – zaprotestował Skippy. – Słuchaliście mnie w ogóle, małpoludy?

– Owszem. A czy ty czasem słuchasz sam siebie? – zapytałem.

– No doooobrze... – odparł Skippy przeciągle. – Przejrzę jeszcze raz wszystko, co powiedziałem. Nie. Nic z tego nie mogło wam dać nadziei na...

– Może nam się udać – wyjaśnił Smythe – bo zrobiliśmy już wszystko, co trzeba.

Skippy spojrzął na niego z niedowierzaniem.

– O czym ty...

– Chwila! – uciszyłem go, unosząc palec. – Musimy unieszkodliwić i zająć maxolhxański okręt. To już załatwione. – Wykonałem w powietrzu gest „odfajkowania”. – Czy te jednostki kurierskie mają ustalony grafik, czy latają na chybił trafił?

– Działają według grafiku. Dobra, chcecie schwytać jedną z

nich. To akurat nie powinno być aż takie trudne. Potem Smythe i zespół STAR przebiją się przez kadłub i wezmą żywcem załogę?

– Zgadza się – potwierdził Smythe z lekkim uśmieszkiem. W głowie zapewne już planował operację abordażową.

– Mogę zaproponować kolejny punkt tego porąbanego planu? – zapytał Skippy.

– Śmiało – zachęciłem go.

– Mając najprawdopodobniej trzech żywych maxolhxańskich jeńców, zagroziecie, że jeśli jeden z nich nie da wam danych dostępowych do stacji przekaźnikowej, zabijecie pozostałą dwójkę.

– Nie – uciałem, machając ręką. – Nie posuniemy się do tego. Jesteśmy żołnierzami, Skippy, nie zbirami.

– Jesteście także piratami, Joe.

– Bez względu na różne podejrzone numery, pozostajemy przede wszystkim żołnierzami – upierałem się. – Mamy swój kodeks. To właśnie odróżnia armię od bandy złoczyńców. Smythe pokiwał głową, słuchając mojego wyводу. Cieszyłem się, że docenił mój profesjonalizm.

– Miło mi to słyszeć. – Skippy przekrzywił sceptycznie głowę. – Ale w takim razie nie rozumiem waszego planu. Możecie mi wierzyć, że Maxolhxowie nie dadzą wam dobrowolnie dostępu do stacji, nawet jeśli spróbowacie ich przekupić dożywotnim zapasem kocimiętki.

– Obejdzie się bez kocimiętki, Skippy. – Rozsiadłem się wygodniej, szczerząc zęby w uśmiechu. – Pamiętasz, jak w Pułapce na Karaluchy gościliśmy u siebie Pana Puszkę?

– Pamiętam, że był wyjątkowo niewdzięcznym gościem – burknął Skippy. – Zapomniałeś już, że próbował pozabijać całą załogę?

– Nie zapomniałem. A pamiętasz, jak kazałeś mu tańczyć do „Funkytown”?

– Hi, hi, hi, jasne! To dopiero był ubaw. Oczywiście Joe Maruda musiał wszystko zepsuć.

– Przyznaję, że nie musiałem się aż tak spieszyć. Mógłbyś to powtórzyć?

– W sensie ten numer z „Funkytown”? Ech, Joe, jest cała masa innych kawałków dobrych do tańca. Wolałbym się nie powtarzać.

– Nie chodzi o taniec. Czy potrafiłbyś przejąć kontrolę nad kocurem, żeby otworzył nam drzwi do stacji przekaźnikowej?

– Sir? – Simms uniosła brew. – Wywołaliśmy wojnę domową. Porwaliśmy wielu obcych. Zwerbowaaliśmy komandosów bez ich zgody. A teraz proponuje pan, żeby Skippy przejął fizyczną kontrolę nad istotą rozumną i zmusił ją do działania wbrew jej woli?

Spojrzałem na Changa. Był zakłopotany, ale skinął głową.

– To nie w porządku – zgodziłem się. – Gdybyśmy mieli jakąś alternatywę, nawet bym tego nie rozważał. Simms, obiecuję, że jeśli znajdziemy inny sposób na pozyskanie danych, od razu zrezygnuję z tego pomysłu. Czy to pani odpowiada?

– Tak, pułkowniku.

– Skippy? Potrafiłbyś to zrobić? – zapytałem.

– Hmm, ciekawe pytanie. Daj mi chwilę na zastanowienie.

– Nad czym? Nad obelgami pod moim adresem za tak głupi pomysł czy nad możliwością realizacji tego planu?

– Niestety, nad tym drugim. To może być wykonalne.

Problem w tym, że dokładne warunki stanowiska skanującego poznam dopiero, gdy kocur już się tam znajdzie. Jeśli stacja odetnie mi dostęp, musimy być gotowi zablokować jej nadajnik i zbombardować ją atomówkami.

- Da się to zrobić – zapewniłem. – Skippy, potrzebujemy listy potencjalnych okrętów kurierskich.
 - O rany. Nie mamy wiele czasu, Joe.
 - Tym bardziej nie ma na co czekać.
 - Mogę zgadnąć, gdzie znajdziemy taki okręt. Jednostki te latają ściśle wyznaczonymi trasami, ale konieczność wnoszenia informacji na pokład stacji mogła im namieszać w grafiku.
 - Postaraj się zgadnąć jak najtrafniej. Smythe... – Odwróciłem się do dowódcy zespołu STAR.
 - Tak jest. – Smythe przewidział mój rozkaz. – Przystudiujemy schemat okrętu kurierskiego i jak najszybciej opracujemy plan abordażu. Może być trochę krucho z czasem. Nie ma szans na zbudowanie makiety ćwiczebnej?
 - Przykro mi – dałem mu odpowiedź, której się spodziewał. – Nie możemy...
 - Chwileczkę – wtrącił się Skippy. – Co prawda nie możemy zbudować modelu całego okrętu, ale wcale nie musimy tego robić. Część załogowa jednostki kurierskiej jest bardzo mała. Moglibyśmy skonstruować model w doku i wypuścić makietę na zewnątrz, żebyście poćwiczyli przebijanie kadłuba.
 - Wykonać – poleciłem. – Ktoś ma jakieś zastrzeżenia?
 - Joe – odezwał się Chang – pamiętaj, że mamy ograniczony czas na zebranie danych.
 - Jasne. Jeśli będziemy zwlekać, nasz plan zostanie... „zweryfikowany przez wydarzenia”.
- Simms potrząsnęła głową.
- Jeśli się nie pospieszymy, po prostu będzie po nas.

*

Zgodnie z sugestią Skippy’ego zbudowaliśmy makietę przedziału załogi okrętu kurierskiego. Model bez problemu mieścił się w jednej z większych ładowni. Aby przećwiczyć

abordaż, przyłączyliśmy makietę do kilku lądowników, chcąc zasymulować masę przedniego kadłuba maxolhxańskiej jednostki. Zespół STAR wypróbowywał kolejne scenariusze. W już i tak uszczupłej grupie brakowało jeszcze jednej osoby. Justyn Grudzień wciąż dochodził do siebie po akcji na Rikers. Spodziewałem się, że Smythe wybierze na jego miejsce kogoś z komandosów. Rzeczywiście podpułkownik zdecydował, że ludzie Fabrona będą siłami rezerwowymi, zdziwiło mnie jednak, kto miał zastąpić Grudnia.

– Czy na pewno jest gotowa? – zapytałem, gdy Smythe oznajmił, że poprosił o przeniesienie Margaret Adams z jej stanowiska na „Latającym Holendrze”.

– Skippy stwierdził, że w pełni wyleczyła rany – odparł Anglik.

– Rzeczywiście... przynajmniej w sensie fizycznym – przyznałem z oporem.

– Pułkownik Chang zachwala jej profesjonalizm podczas pracy na „Holendrze”. Szkoliła pilotów z zespołu komandosów na kilku stanowiskach w BCI i zgłosiła się na szkolenie przekrojowe z obsługi innych systemów.

– Fakt. – Czytałem o tym w codziennych raportach.

Wiedziałem także, że Margaret wykorzystywała każdą okazję do ćwiczeń z komandosami. – Niektórzy komandosi osiągnęli lepsze wyniki w testach kwalifikacji. Czy Adams jest na pewno najlepszą kandydatką?

– Tak. Posiada unikalne zdolności, których nie ma nikt z zespołu Fabrona. Starsza sierżant sztabowa Adams uczestniczyła w abordażu na okręcie Maxolhxów, kiedy szukaliśmy elementów do budowy „Walkirii”.

– To było jeszcze, zanim odniosła ciężkie urazy.

– Przeszła całkowitą rekonwalescencję. Nic nie zastąpi

doświadczenia. Jej czyny na jednostce nieprzyjaciela stanowią znakomity przykład realizacji motto Korpusu Marines.

„Improwizuj, adaptuj, przezwyciężaj”.

Tak naprawdę motto amerykańskiej piechoty morskiej brzmiało „Semper Fidelis”, ale wiedziałem, do czego zmierzał Smythe. Marines mieli improwizować i adaptować się do okoliczności, aby przezwyciężać wszelkie przeszkody bez wymówek. W armii uczono nas tego samego, choć innym językiem. Oczekiwano, że osiągniemy cel, bez względu na to, jakie kłody będą nam rzucone pod nogi.

Taką kłodą mogły być na przykład osobiste uczucia dowódcy.

– Smythe, powierzyłem panu zadanie wejścia na okręt kurierski i pojmania załogi żywcem. Proszę zastosować takie narzędzia, taktykę i personel, jakie uzna pan za najlepsze do tego celu.

– Tak jest. Nie zamierzałem...

– Czasami trzeba mi przypominać, że choć jesteśmy piratami, nadal noszę ten mundur. – Dotknąłem naszywki na piersi. – Kiedy będziecie gotowi?

– Za dwa dni.

– Jeśli trzeba wam więcej czasu, nie ma problemu – zapewniłem. Obaj wiedzieliśmy, że za dwa dni znajdziemy się przy maxolhxańskiej stacji przekaźnikowej, gdzie, według przewidywań Skippy’ego, mieliśmy znaleźć jednostkę kurierską. Być może trzeba będzie poczekać na nią tydzień, albo i więcej, ale Smythe i jego zespół musieli być gotowi do natychmiastowego działania.

– Dwa dni wystarczą, sir – powiedział Smythe, patrząc mi prosto w oczy. Wiedział, że martwi mnie jego brawurowe podejście do zadania. – Przedział dla załogi jest niewielki, więc podczas abordażu nie należy spodziewać się istotnych

odstępstw od naszych oczekiwań. Nie będzie to skomplikowana operacja.

– W porządku – powiedziałem, choć w głębi serca miałem pewne zastrzeżenia. Smythe powinien raczej powiedzieć, że nie POWINNA to być skomplikowana operacja. Wyrażając się z przesadną pewnością, kusił wszechświat, by ten zaczął nam sypać piach w tryby. – Proszę mnie informować o waszych postępach.

– Może pan pooglądać nasze ćwiczenia.

– Jasne. – Uśmiechnąłem się krzywo. – W końcu nic tak nie sprzyja skupieniu na zadaniu jak obecność dowódcy, zaglądnącego wam przez ramię. Jeśli pan jest pewien co do gotowości zespołu, to ja również.

*

Joe Bishop nie był jedyną osobą mającą zastrzeżenia co do udziału Adams w nadchodzącej akcji. Gdy kobieta oznajmiła, że wybrano ją do grupy abordażowej, starszy sierżant sztabowy Lamar Greene zareagował sztucznym uśmiechem, za długim o jakieś pół sekundy, i uniósł rękę. Margaret chciała przybić piątkę, w ostatniej chwili jednak się powstrzymała.

– Nie cieszysz się? – spytała, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Cieszę się, naprawdę – zapewniał Greene.

Adams opuściła dłoń i zacisnęła ją w pięść.

– Nie sprawiasz wrażenia szczęśliwego.

– Margaret, jeśli ty jesteś zadowolona, to ja cieszę się twoim szczęściem.

Sierżant skrzyżowała ramiona na piersi.

– Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś szczerze raduje się moim sukcesem – ostrzegła.

– Dlaczego to robisz?

– Miałam cię za przyjaciela. Przyjaciele powinni się wspierać.

Lamar nie lubił, gdy Margaret nazywała go przyjacielem. Odkąd trafił na okręt, zbliżył się do niej na nowo, jeśli nie fizycznie, to przynajmniej emocjonalnie. Chciał czegoś więcej, a widząc Adams w Wesołej Bandzie Piratów, zaczął się zastanawiać, co mu strzeliło do głowy, że zerwał z nią jeszcze na Ziemi. Dobrze wiedział, że jego i Margaret łączy coś więcej niż przyjaźń. Adams po prostu potrzebowała więcej czasu... z dala od Bishopa. Lamar zauważył, że odkąd pułkownik wrócił z Rikers, Margaret prawie w ogóle nie bywała w pobliżu dowódcy. Cokolwiek było między nimi, teraz się skończyło. A raczej powinno się skończyć. Margaret miała dość rozumu, a Bishop powinien zachować się honorowo i dać jej spokój. Greene wściekał się za każdym razem, gdy o tym myślał. Pułkownik miał chyba nie po kolei w głowie.

– Wspieram cię – zapewnił komandos. – Kiedy pytałem, dlaczego to robisz, nie chodziło mi... o to. – Wskazał na nią i na siebie. – Dlaczego chcesz wziąć udział w abordażu? Mina Adams od razu powiedziała Greene’owi, że nie powinien o to pytać.

– Sądzisz, że sobie nie poradzę? – spytała.

– Wcale tak nie powiedziałem. Ćwiczyłaś z nami, nie ze STAR. – Lamar skrzywił się, wypowiadając nazwę formacji. Pomiędzy elitarnym zespołem piratów a komandosami z Paradise trwała utajona, ale zaciekle rywalizacja. Wszyscy wiedzieli, że STAR zawsze stają na linii frontu i dostają najważniejsze zadania. Niektórzy komandosi zapewne mogliby zakwalifikować się do tego zespołu, większość jednak nie miała na co liczyć.

Fakt, iż Margaret należała wcześniej do STAR, stanowił źródło delikatnych napięć pomiędzy nią a Greene’em. Lamar wiedział, że to jego wina. Adams rzadko wspominała choćby słowem o

akcjach pod dowództwem Smythe'a, a jeśli już, to nigdy się nie przechwalała. Nie chciała traktować Greene'a z góry. Tak czy inaczej, ona przynajmniej miała okazję służyć w czołowej formacji.

– O co właściwie mnie pytasz? – Adams nie przestawała krzyżować ramion.

– Nie zastanawiam się, czy podołasz zadaniu. Już wcześniej to robiłaś i nie musisz niczego udowadniać. Obawiam się tylko, czy jesteś gotowa na taki wysiłek... – Greene na chwilę złagodniał, a potem znowu zaczął gadać. – Czy jesteś szczerą wobec siebie.

– Pułkownik Smythe twierdzi, że jestem gotowa. – Adams zeszywniała. – Rzeczywiście, uczestniczyłam już kiedyś w abordażu na wrogiej jednostce. Przeżyłam i do tego skopałam dupę nieprzyjacielowi. Zespół STAR potrzebuje mojego doświadczenia.

– Nie bądź taka... Nie musisz mi wytykać, że będę siedział na ławce rezerwowych. Przecież sam o tym wiem.

– Lamar, nie chciałam, aby tak to zabrzmiało. – Tym razem to Margaret zaczęła się bronić. – Komandosi nie idą w odstawkę. Będziecie czekać w rezerwie, aby w razie problemów uratować nam cztery litery. Poza tym nie będę szła na przedzie. Smythe przydzielił mnie do ciężkiej artylerii. – Po raz kolejny Adams miała obsługiwać kombota, ale tym razem nie stała w pierwszym szeregu. Celem akcji było pojmanie, a nie zabicie wrogiej załogi. Jeśli Margaret ruszy do akcji, będzie to znaczyło, że wszystko się sypie.

– Jesteś pewna, że uratuję ci cztery litery?

– A nie powinnam? – Uniosła brew i rozluźniła się. –

Dziewczyna musi mieć się na baczności, kiedy facet zaczyna pytać o jej tyłek.

- Głodnemu chleb na myśli – zażartował Greene, unosząc rękę. – Ja mówię tylko o operacji wojskowej.
Margaret w końcu przybiła z nim piątkę.
– Uważaj na siebie, sierżancie Greene – powiedziała, dotykając palcem jego piersi.
– Lepiej sama na siebie uważaj, sierżant Adams. Ja będę zagrożony tylko wtedy, jeśli ty wpakujesz się w kłopoty.
– A zatem oboje musimy być ostrożni... O! – Obróciła głowę. – Zaczynają się ćwiczenia. Szykuj się, marine.
– Ty też!

*

Zakończyliśmy skok czternaście sekund świetlnych od stacji przekaźnikowej. W okolicy znaleźliśmy jedynie wąż, szczątkową sygnaturę okrętu Maxolhxów. Według szacunków Skippy’ego pochodziła sprzed czterech dni. Mieliśmy pecha. Stacja nie leżała na intensywnie uczęszczanej trasie, a ruch osłabł jeszcze bardziej po atakach okrętu widma. Spodziewaliśmy się więc, że do stacji będą podlatywać głównie jednostki kurierskie. Jeśli okręt, który wpadł tu niedawno, również się do nich zaliczał, kolejny mógł zjawić się dopiero po paru tygodniach. Niestety, ponieważ sygnatura osłabła z czasem, nie byliśmy w stanie zidentyfikować rodzaju okrętu. Wiedzieliśmy tylko, jaka rasa go zbudowała. Smythe nie wiedział, kiedy jego ludzie ruszą do akcji, a chciał, żeby byli wówczas świeżo po ćwiczeniach. Poprosił więc o udostępnienie makiety. Otoczyliśmy ją polem maskującym. Oczywiście stacja i tak wszystko widziała, nie zdołałaby jednak nikomu o nas powiedzieć. To był jeden z potencjalnych zgrzytów w naszym planie. Gdyby jakakolwiek jednostka inna niż okręt kurierski wskoczyła, by wymienić dane ze stacją, musielibyśmy zniszczyć i stację, i okręt, a potem udać się do

innego obiektu i zacząć wszystko od nowa.

W armii tłucze się nam do głowy, że mamy ćwiczyć tak, jak walczyliśmy. Makieta była zamaskowana, w przeciwieństwie do rzeczywistego celu. Nie dawało mi to spokoju, ponieważ pozbawiało sesje szkoleniowe należytego realizmu, a poza tym w nieprzeniknionym mroku pola maskującego rosło ryzyko kolizji lądowisk działających w pobliżu. Smythe zapewniał, że skoro głęboka przestrzeń międzygwiazdowa sama w sobie jest ciemna, pole maskujące niewiele zmieni. Musiałem przyznać mu rację. Skippy miał uważnie monitorować ćwiczenia, by zapobiec zderzeniom, zezwoliłem więc na przeprowadzanie treningu, ograniczając go do dwóch godzin poza okrętem. Dawało nam to szansę jedną na dwanaście, że kurierzy przybędą akurat, gdy żołnierze Smythe'a i Fabrona będą na zewnątrz. Szansa jedna na dwanaście to mniej więcej osiem procent albo, mówiąc inaczej, dziewięćdziesiąt dwa procent szans, że coś takiego się nie zdarzy. Nawet Jeraptha przyznałoby,

że los nam sprzyjał.

A raczej sprzyjałoby, gdyby wszechświat nie darzył Joego Bishopa niesłabnącą nienawiścią.

*

– Gratuluję, spisaliście się całkiem dobrze – oświadczył Smythe z typową brytyjską powściągliwością. Żołnierze właśnie przećwiczyli scenariusz, w którym zespół STAR miał wyjątkowego pecha, a komandosi musieli pospieszyć z pomocą. Mając jedynie dwie godziny dziennie na ćwiczenia, żołnierze sprawdzali głównie szybkie, stosunkowo proste i najbardziej prawdopodobne scenariusze. Działali w ten sposób przez osiem dni z rzędu, aż w końcu każdy był pewien, że uda mu się uczepić wirującego kadłuba wrogiego okrętu,

przebić się do środka i schwytać trójkę oszołomionych załogantów. I to z zamkniętymi oczami. Nie był to wcale żart. W jednym scenariuszu grupa abordażowa musiała borykać się z utratą czujników zewnętrznych i polegać wyłącznie na podpowiedziach Skippy'ego.

– Mamy dość czasu na jeszcze jedną próbę. Proponuję coś łatwego. Kapoor, Fabron, przeciwiczymy...

*

– O kurde, Joe – jęknął Skippy.

Spojrzałem znad tabletu i od razu zorientowałem się, o co chodzi. Na ekranie, oprócz symbolu oznaczającego „Walkirię” na samym środku, a także pobliskich ikon makiety i czterech lądowników, widzieliśmy czerwony symbol stacji przekaźnikowej, bardziej po boku. Teraz pojawiło się nowe oznaczenie. Niedaleko nas wskoczyła jakaś jednostka. Maxolhxański okręt kurierski. Skąd to wiedziałem? Ponieważ na ekranie miał symbol niebieskiej emotki kota. Kot, czyli Maxolhxowie, niebieski, czyli jednostka kurierska. Dostrzegłem naszą szansę, ale i problem.

– Smythe?

– Widzimy, sir – odparł Anglik tonem mówiącym „o ja chromolę”.

– Czy jesteście gotowi?

– Jak nigdy – zapewnił nieobecny głosem, zapewne skupiony na odwoływaniu swoich ludzi.

– Wchodzicie do akcji. – Wiedziałem, że żołnierze ćwiczyli z pustymi magazynkami, ale na lądownikach było pod dostatkim ostrej amunicji. STAR i komandosi mogli przejść od ćwiczeń do gotowości bojowej w niecałą minutę. – Nie ma pośpiechu – przypomniałem. – Okręt kurierski nie wypuścił

jeszcze lądownika. Skippy podejrzewał, że Maxolhxom nie będzie się spieszyło z wejściem na stację. Mieli do wykonania żmudną robotę, a taki postój dawał im jedyną szansę na przerwę w niekończącym się cyklu skoków i ładowania napędu.

Łądownik mógł podejść do stacji dopiero, gdy jednostka macierzysta zidentyfikuje się i zostanie wstępnie weryfikowana przez SI. Proces taki mógł zająć ponad dwadzieścia minut.

– Zrozumiałem, sir – potwierdził Smythe. – Szacuję, że dotrzemy na miejsce w siedem minut.

– Wskoczmy, gdy wszystkie wasze lądowniki będą w dokach.

– Odwróciłem się do Simms i dodałem ciszej: – Niech zespoły medyczne będą w gotowości.

*

„Kula Ognia” Reed nie musiała czekać na mój rozkaz.

Zainicjowała skok, gdy tylko wszystkie cztery lądowniki grupy abordażowej znalazły się bezpiecznie na pokładzie. „Walkiria” zniknęła w rozbłysku gamma i wynurzyła się praktycznie tuż przed okrętem kurierskim. Nie czekając na reset czujników, odpaliliśmy działa maserowe, najbardziej precyzyjną z naszych broni. Wiązki wysokiej energii przepaliły nieosłonięty kadłub małej jednostki i odcięły część dziobową z ciasnymi pomieszczeniami załogi. Inne masery i wiązki cząsteczkowe załatwiły reaktory okrętu, zerwały połączenie pomiędzy napędem skokowym a kondensatorami i systematycznie przepalały każdy czujnik, generator tarcz i element systemu obronnego. Kiedy upewniliśmy się, że samotny lądownik jest pusty, zestrzeliliśmy go. Następnie para maserów dotarła do środka części dziobowej i stopiła substrat sztucznej inteligencji okrętu.

W mgnieniu oka jednostka kurierska stała się nieaktywna, oślepiona i bezradna. Wyłączyliśmy i zabezpieczyliśmy broń,

po czym Simms dała lądownikom abordażowym sygnał do startu.

Początkowo wszystko szło świetnie. Zgodnie z przewidywaniami Skippy'ego jeden z członków załogi nieprzyjaciela był w służbie powietrznej, kiedy skoczyliśmy. Ponieważ okrętów kurierskich nie budowano z myślą o regularnym przewozie załogi, jednostki te nie posiadały stanowiska do dokowania, a lądownik trzeba było doczepiać do kadłuba. Aby dostać się do lądownika, załoga musiała opuścić okręt, przedostać się po trapie i wejść drzwiami bocznymi. Po lądowniku pozostały zgliszcza, nie musieliśmy się więc martwić, że załoga spróbuje uciec. Mimo to Smythe napotkał pewną komplikację. Co najmniej jeden z Maxolhxów nosił zwykły skafander, co utrudniało zlokalizowanie tego parszywego kocura.

Ja tymczasem mogłem jedynie siedzieć w fotelu dowódcy, powstrzymywać się przed obgryzaniem paznokci z nerwów i trzymać gębę na kłódkę. Reszta należała do ludzi na zewnątrz „Walkirii”.

*

Margaret Adams sprawdziła połączenie z kombotem po raz dziesiąty, odkąd jej lądownik przyczepił się do koziołkującego dziobu okrętu Maxolhxów. Była to druga nieprzyjemna niespodzianka. Oddzielenie przedniej części od reszty jednostki przebiegło dużo gwałtowniej, niż przewidywał Skippy, choć i tak lepiej niż w niektórych scenariuszach ćwiczeń. Wszystkie trzy lądowniki doczepiły się bez opóźnienia. Oczywiście żołnierze odczuli mdłości, gdy ciężar dodatkowych jednostek jeszcze bardziej wzmógł niekontrolowane wirowanie maxolhxańskiego kadłuba. Lądowniki nie miały czasu, żeby skoordynować działania i powstrzymać szamotaninę, a STAR

byli gotowi, aby wejść na pokład bez względu na takie utrudnienia. Dwa zespoły, jeden pod wodzą Smythe'a, a drugi – Kapoora, dostały się do kadłuba w ciągu trzydziestu sekund po tym, jak pierwszy lądowik przyłączył się do wraku.

Adams czekała przy jednym z wyłomów. Broń kombota pozostawała w gotowości, choć była zabezpieczona. Sierżant nie oczekiwała, że podczas tej operacji będzie musiała robić cokolwiek. Przeciwnikami była trójka nieuzbrojonych lub co najwyżej lekkozbrojnych kociaków, znajdujących się na cyberbezpieczeństwie, nie walce w ciasnych pomieszczeniach. Greene nie miał czego zazdrościć. Adams najprawdopodobniej nie będzie miała szans się wykazać.

Pierwszą oznaką możliwych problemów była kłótnia pomiędzy majorem Kapoorem a Skippym, którą Adams podsłuchiwała na kanale taktycznym.

– Tyle to już sami wiemy, Skippy – powiedział indyjski oficer. – Ale gdzie jest teraz?

– Nie mam pojęcia. To wy mieliście go śledzić. Kocury to spore bestie. Jak mogliście zgubić jednego z nich w tak małym pomieszczeniu?

– Nie ma go w przedziale dla załogi – upierał się Kapoor. – Musiał gdzieś uciec przez służbę. Pewnie to przegapiłeś.

– Nie miałby dokąd uciec! – odparł Skippy, oburzony, że ktoś śmie podważać jego wspaniałość. – Na pewno nie ma go na zewnątrz. A zatem musi być wewnątrz! Sprawdziliście wszystkie schowki?

– Nie ma tu... Kapitan Frey, proszę dalej kłócić się z puszką po piwie, a ja przeprowadzę należyte przeszukanie – polecił Kapoor.

– Skippy... – Frey spróbowała podejść do sprawy inaczej, pamiętając, że blaszak się w niej podkochuje. – Założmy na

chwile, że celu nie ma w przedziałach dla załogi. Gdzie indziej mógłby się udać, gdyby wyszedł przez służbę?

– Cóż, Katie, chyba gdziekolwiek.

– Podczas akcji mów mi „kapitan Frey”. – Kanadyjka czuła narastającą frustrację. Kapoor miał rację, pomieszczenia dla załogi nie były przestronne, ale trzeciego Maxolhxa z całą pewnością w nich nie było. – Zapytam jeszcze raz. Dokąd mogłaby uciec istota takich rozmiarów?

– Ach, już rozumiem. Wiemy, że kocur nie wyszedł przez służbę, bo drzwi zewnętrzne w ogóle się nie otworzyły. Gdyby rzeczywiście nie przebywał w części dla załogi, mógłby schować

się jedynie w którymś z przejść konserwacyjnych.

– Co?! – warknęła Frey. – Nie wspominałeś o żadnych przejściach. W modelu treningowym nie było niczego podobnego!

– To dlatego, że te korytarze nie docierają do kwater załogi. Jeśli jednak ten Maxolhx założył skafander, mógł przejść pomiędzy przedziałami i ukryć się w takim miejscu. Tak naprawdę te korytarze nie są przeznaczone dla członków załogi, ale...

– Dokąd mógłby uciec?

– Kurczę no, praktycznie wszędzie! Albo i nigdzie! Na pewno bym go wykrył. Hmmm, no, chyba że korzysta z osobistego pola

maskującego. Pozrywaliśmy tyle przewodów energetycznych, że nic dziwnego, że nie zauważyłem...

– Pułkowniku Smythe! – zaalarmowała Frey na kanale ogólnym. – Cel Tango Jeden może używać osobistego pola maskującego i przebywać w dowolnym miejscu poza przedziałem załogi!

Słowa Frey wprowadziły zamęt w planie abordażu, więc żołnierze niezwłocznie przeszli do działania. Smythe polecił odłączyć dwa lądowniki, by nieprzyjaciel nie zdołał ich zająć ani zniszczyć. Jednym z nich była jednostka, do której została przydzielona Adams. Patrząc, jak pantera odlatuje na bezpieczną odległość, Margaret kazała kombotowi wykonać skan kadłuba. Nadal miała zadanie do wykonania.

– Skippy, dokąd prowadzi ten korytarz konserwacyjny? – zapytała.

– Rozgałęzia się kilka razy, jest tam...

– Czy w którymś miejscu nie kończy się ślepą uliczką?

– Ha. Cóż, istota wielkości Maxolhxa mogłaby udać się tylko w jedno miejsce, chyba że szukałaby kryjówki. Ale to byłoby głupie, kocury na pewno wiedzą, że...

– Dość tej pogadanki. Gdzie jest to miejsce?

– Część sieci korytarzy pękła wraz z okrętem. Prowadzi ona do zewnętrznego kadłuba. Może ten kocur rzeczywiście jest poza okrętem? Jeżeli się maskuje, nie wiem, czy uda mi się go wykryć przy tych wszystkich wyciekach energii...

Adams odwróciła kombota od śluzy, której strzegła maszyna.

– Pułkownik Smythe! Tango Jeden jest najprawdopodobniej na zewnątrz kadłuba. Zalecałabym wypuszczenie ostatniego lądownika.

– Mieliliśmy nim uciec, Adams – przypomniał Smythe. – Musimy najpierw zabrać dwa...

– Sir, nikogo nie zabierzemy, jeżeli pantera wybuchnie.

Gdzieś w pobliżu czyha wróg o nieznanym możliwościach, a my nie wiemy nawet, gdzie jest.

Smythe przestał się wahać.

– Orzeł Dwa – zwrócił się do lądownika – startujcie od razu. Sprawdźcie, czy nie przewozicie nieoczekiwanego ładunku –

dodał, na wypadek gdyby poszukiwany kosmita uczeplił się poszycia pantery.

– Orzeł Dwa wystartował. Bez pasażerów na gapę – zameldował pilot. Adams zobaczyła odlatujący smukły kształt. – „Walkirio”, możecie zlokalizować Tango Jeden czujnikami aktywnymi? – zapytał Smythe.

Skippy odpowiedział w imieniu załogi:

– Aktywne impulsy są zbyt mocne, by używać ich z tak bliska. Służą do wykrywania zamaskowanych okrętów kosmicznych z dużych odległości. Usmażylibyśmy Adams, a przy tym ryzykowałibyśmy zabicie kocurów.

– Psia jego mać – warknął Smythe. – Jak mamy znaleźć niewidzialnego przeciwnika? Kapoor, pan zostaje z jeńcami. Frey, proszę ze mną.

Adams wiedziała, że zespół STAR w minutę wydostanie się na zewnątrz kadłuba. To i tak za długo.

– Skippy, czy na najniższych ustawieniach działa maserowe kombota zabiłyby wroga w skafandrze?

– Nie, ale nie wiesz, gdzie masz celować – odparł blaszak, oszczędzając Adams protekcyjnego tonu. Nie rozmawiał w końcu z Bishopem.

– Nie muszę celować. Chcę przeprowadzić rozpoznanie przez ostrzał.

– Znaczy... walić na oślep i liczyć, że wróg odpowie kontratakami i zdradzi swoją pozycję?

– Zwykle właśnie na tym to polega – powiedziała sierżant. – Pułkownikowi Smythe? Proszę o pozwolenie na przeszukanie z użyciem aktywnego impulsu kombota.

– Impulsu? – zdumiał się Smythe. – Nie wiedziałem, że te maszyny mają...

– Chodziło mi o słabą wiązkę maserową – sprostowała

Margaret.

– A, tak. Do dzieła, sierżancie!

Naśladując ruchy Adams, kombot wyciągnął działa wzdłuż kadłuba. Lance niewidzialnej energii wystrzeliły pulsacyjnie, omiatając obszar od prawej do lewej. Dryfujące odłamki zapłonęły, a wiązki były widoczne przez chwilę, gdy przebijały się przez chmury oparów i gazu uwalniane ze zniszczonego okrętu. Nie przejmując się kolejnymi uszkodzeniami kadłuba, Adams skierowała wiązki na parę anten, świecących od nadmiaru ciepła. Potem masery pomknęły dalej...

Nie, ktoś ukrywał się za jedną z anten. Adams szybko skierowała działa w prawo i kontynuowała ostrzał niewidzialnego celu... który stał się widzialny, gdy jego zasłona zaiskrzyła, zakrzywiając fotony. Słabo dostrzegalny kształt odwrócił się i...

Kombot szarpnął się, trafiony pociskiem nieprzyjaciela. Adams przypadła płasko do kadłuba. Na wizjerze zobaczyła czerwone symbole wyłączających się systemów kombota. Próbowwała strzelać dalej, ale działa maserowe odmówiły posłuszeństwa. Podniosła głowę i zrozumiała, dlaczego tak było. Kombot stracił lewą część tułowia, a pośrodku miał wielki krater. Akumulatory wysyłały w przestrzeń łuki elektryczne. Maszyna oślepla.

Smythe widział te same dane co Adams.

– Sierżancie, proszę zostać na pozycji. Będziemy za czterdzieści sekund.

– Nie! – krzyknął Skippy. – Nie ma na co czekać, wszyscy jesteście w niebezpieczeństwie. Ten kocur próbował wysadzić akumulatory rezerwowe okrętu! Mógłby was wszystkich zabić. Stąd nie zdołam go powstrzymać! Musicie...

Margaret Adams nie czekała. Przetoczyła się po kadłubie, by

zając pozycję za uszkodzonym kombotem, wycelowała go w kierunku anteny i... uruchomiła dopalacze rakietowe z tyłu obudowy.

Ciężka maszyna rzuciła się przed siebie. Nie dało się jej naprowadzić, ale z tak małej odległości nie mogła chybić. W kolizji z anteną kombot stracił kończyny i pękł na dwoje, ale zdołał oderwać urządzenie od podstawy.

Adams tylko na to czekała. Odczepiła podeszwy od poszycia i odepchnęła się, aby poszybować. Rękami osłaniała przed odłamkami hełm. Zderzenia wytrącały ją z równowagi. Gdy, patrząc na syntetyczny obraz na wizjerze, stwierdziła, że jest przy podstawie anteny, wyciągnęła ręce, jednak coś ją gwałtownie szarpnęło i zmusiło do wyhamowania.

Jakaś dwunożna postać, otoczona migoczącym polem maskującym, unosiła się na linie zabezpieczającej. Poruszała się samodzielnie, szybko odzyskując przytomność. Na linie znajdowała się broń, po którą właśnie sięgał przeciwnik...

– Nie! – Adams rzuciła się w przód. Miała karabin w gotowości, ale nie mogła ryzykować zastrzelenia kosmity. Zderzyła się z wrogiem, zerwała linę, a broń odleciała w przestrzeń. Obcy uderzał ją i siekł pazurami z niezwykłą siłą, próbując przebić zasłonę hełmu Adams.

Sierżant jedną ręką chwyciła przeciwnika za nogę, a drugą przywaliła mu prosto w hełm. Wspomagana rękawica przebiła zasłonę. Z hełmu zaczęło uchodzić skraplające się powietrze. Kosmita szamotał się, oślepiony, gdy Adams sięgnęła pod jego hełm i użyła broni ogłuszającej wbudowanej w palec rękawicy. Maxolhx podskoczył raz jeszcze, a potem zwisł bezwładnie. Sierżant obejmowała nogami jego tułów.

– Adams? Starszy sierżancie? – wołał Smythe zbliżający się do śluzy. – Co tam się dzieje?

– Cel zabezpieczony – zameldowała Adams.

Spojrzała w twarz wroga. Miał lekko otwarte powieki i opuchnięty język. Sięgnęła do torby po taśmę i zaczęła łączyć rozbity hełm. Nałożyła kilka warstw, aż w końcu taśma zaczęła się wybrzuszać od środka, gdy udało się wreszcie hełm uszczelnić.

– Nie histeryzuj – mruknęła do Maxolhxa. – Kilka sekund w próżni na pewno cię nie zabije.

*

Kiedy cztery lądowiki wróciły na „Walkirię”, krążownik zniszczył pozostałości jednostki kurierskiej, obrócił stację przekaźnikową w pył, a potem skoczył.

*

Gdy lądowik Smythe’a wrócił, stałem tuż przed służą, czekając, aż nad drzwiami zapali się zielona lampka. Skippy chyba wyczuł moją niecierpliwość, bo gdy tylko rozbłysło zielone światło, drzwi wewnętrzne i zewnętrzne stanęły otworem.

– Dzięki, Skippy – szepnąłem, idąc naprzód.

Trójka jeńców miała spętane ręce i nogi i stała otoczona przez żołnierzy STAR we wspomaganych pancerzach. Maxolhxowie byli ogromni i silni, więc nasi ludzie musieli się namęczyć, aby utrzymać kocury w ryzach, nawet przy wsparciu mechanicznych zbroi. Na dodatek więźniowie byli bardzo głośni i nie przestawali nam wygrażać.

– Skippy, nie tłumacz tego – poleciłem. – Nie musimy wysłuchiwać tych złamasów.

Żądania i obelgi natychmiast ucichły w mojej słuchawce.

– Joe, ten w czerwonym to ich dowódca, mniej więcej na poziomie porucznika – wyjaśniała SI Pradawnych. – Choć to duże uproszczenie, bo rangi Hegemonii nie przekładają się zbyt

dobrze na ludzkie odpowiedniki. Nazywa się...

– Mam gdzieś, jak się nazywa, Skippy – powiedziałem.

Smythe przytaknął. – Nie zamierzam chodzić z nim na piwo.

– Dobra. Czy mam ich oznaczyć po prostu jako Złamasów Numer Jeden, Dwa i Trzy?

– Nie. Tego w czerwonym nazwiemy, hmmm... Może Elmo? Od tego muppeta z „Ulicy Sezamkowej”. I zabawki, która mówiła „połaskocz mnie”.

Elmo spojrział na mnie i warknął, pryskając śliną i obnażając kły.

– Ten Elmo w najlepszym razie może ci powiedzieć „pocałuj mnie w dupę”, Joe – zażartował Skippy.

– Dobra, niech zostanie Elmo.

– A dwaj pozostali? Rangą są najbliżsi chorążym i pełnią funkcję techników systemu bezpieczeństwa informacyjnego. Obaj technicy mieli na sobie jasnoszare kombinezony z czerwonymi i niebieskimi paskami na piersi.

– Ten z pionowymi paskami będzie Bertem – zdecydowałem, wskazując odpowiedniego Maxolhxa. – A tego z poziomymi nazwiemy Ernie.

– Bert i Ernie? Poważnie, sir? – Smythe uniósł brew.

– Ma pan lepszy pomysł?

– Nie. – Przez twarz Anglika przemknął uśmiech. – Choć jestem pewien, że mamy tu do czynienia ze Złym Bertem.

Po Dniu Kolumba internetowe memy ze Złym Bertem przeżywały swój renesans. Sympatyczną kukielkę wmontowywano w zdjęcia z krótkiego najazdu Ruharów na naszą planetę. Potem gdy nasi krystańscy „wybawcy” ukazali prawdziwe oblicza, Złego Berta pokazywano w towarzystwie jaszczurów. Kurczę, ten Bert niejedno widział. Spojrzałem na powarkujących, prychnających i syczących jeńców i wzruszyłem

ramionami.

– Trafili nam się też Zły Ernie i Zły Elmo.

– Sir, Elmo nie może być zły! – zaproponowała kapitan Frey, przytrzymująca kocura w czerwonym kombinezonie. Właśnie w tej chwili Elmo spróbował uderzyć ją głową i wytrącić z równowagi. Frey szybko się pozbierała, zmusiła jeńca, żeby się wyprostował, i położyła rękę na jego głowie.

– Mnie wygląda na bardzo złego, Frey – stwierdziłem.

– Po prostu boryka się z niezrozumieniem, sir. – Kanadyjka spojrzała znacząco na Elma.

– Jasne. Proszę tylko dopilnować, by zrozumiał, że jest jeńcem. Nie będziemy znęcać się nad kocurami, ale nie damy też sobą pomiatać.

– Tak jest. – Frey jeszcze mocniej ścisnęła rękę Elma.

– Smythe, do aresztu z nimi – rozkazałem, odsuwając się, aby przepuścić żołnierzy maszerujących w kierunku śluzy.

Komandosi Fabrona stali po obu stronach, gotowi do akcji, na wypadek gdyby nasze trio z „Ulicy Sezamkowej” postanowiło uciec.

Gdy zniknęli za drzwiami, nie szedłem za nimi. Nie chciałem przeszkadzać Smythe’owi.

– Skippy?

– Tak, Joe?

– Doświadczenie z Panem Puszkiem czegoś cię nauczyło, prawda? Ci trzej nie spróbują zinfiltrować systemów okrętu, popełnić samobójstwa ani pozabijać się nawzajem?

– Istotnie, nieodżałowany Pan Puszek dał mi cenną lekcję.

– Nieodżałowany? – parsknąłem. – Wolne żarty.

– Ależ ja nie żartuję, Joe. Ci, którzy doceniali jego nieprzeciętną wartość rozrywkową, nadal po nim rozpaczają.

– Jasne. – Z trudem zachowywałem powagę, ale blaszak i tak

wiedział, że w środku cały się trzęsę ze śmiechu. – Powiedz mi tylko, że kocury nie wyrządzą szkody okrętowi ani sobie.

– Mogę obiecać, że nie wpadną na żaden głupi pomysł.

Nanoboty wstrzyknięte przez zespół STAR już zneutralizowały maxolhxańskie implanty.

– Ale możesz kontrolować jeńców? Zmusić ich, żeby przeszli przez skaner, tak jak planowaliśmy?

– Będę w stanie to zrobić, ale we właściwym czasie. Na razie nie próbowałem nimi kierować, bo nanotechnologia nie zadomowiła się jeszcze na dobre w ich organizmach. Gdyby któryś z Maxolhxów dał nogę, nie hamowałbym się, ale przejęcie kontroli zbyt wcześnie może być szkodliwe. Poza tym, zanim nanoboty całkowicie zintegrują się z ciałami, mogą zostać wykryte przez skaner.

– Ile mamy czekać? Czas nagli, Skippy.

– Mogę już jutro umieścić jednego z kocurów w makiecie skanera. Szkoda, że mogliśmy zbudować tylko jedną.

– Nie szkodzi. Zaczynij od Elma. I tak wykorzystamy go w prawdziwej akcji.

– Spoko. Wybrałeś go z jakiegoś konkretnego powodu?

– Cóż, Bert i Ernie to nierozłączny duet. Nie miałbym serca ich rozdzielać.

– Nigdy nie zrozumiem małego procesu decyzyjnego, ale niech ci będzie.

Zanim ruszyłem do wyjścia, przyciągnąłem spojrzenie Margaret Adams. Sierżant uśmiechała się i rozmawiała z kolegami. Znowu była częścią zespołu. Zauważyła, że na nią patrzę, i skinęła mi głową. Ot, zwykły prosty gest. I uśmiech. Niekoniecznie zalotny, ale pełen zadowolenia z dobrze wykonanej roboty.

Chyba cieszyła się, że towarzyszę jej w takiej chwili.

Dla mnie był to najlepszy dzień od... Nie pamiętam, od jak dawna.

*

Simms zadzwoniła do mnie, kiedy wchodziłem na bieżnię.

– Sir – westchnęła ciężko – Skippy znowu zabawia Maxolhxów wskaźnikiem laserowym.

– Skippy! – krzyknąłem.

– E tam, co to za zabawa? – odparł blaszak. – Durne kociska stoją jak słupy i nawet nie gonią za czerwoną kropką!

– Przestań nękać jeńców – rozkazałem.

– Ja tylko chciałem dostarczyć im trochę ruchu i rozrywki.

Nie moja wina, że nie chcą się bawić.

– Wyłącz ten wskaźnik.

– Ale...

– Żadnego lasera. Zrozumiano?

– Dobrze już, dobrze – burknął. – A mogę chociaż raz jeszcze wypróbować mechaniczną fretkę? To nowy, lepszy model. Ma futro jak prawdziwa i...

– Nie, nie możesz wpuszczać do celi ani fretki, ani tamtej nakręcanej myszy, ani żadnego innego robogryzonia.

– To może któregoś z wężobotów, którymi badam wodociągi?

– Mowy nie ma! – Pierwszy raz zobaczyłem takiego bota, gdy wypełził z sedesu w mojej toalecie. Co gorsza, był wtedy środek nocy, a ja nadepnałem na niego po ciemku. Skippy do teraz puszczał mi nagranie wideo z tamtego zdarzenia, kiedy chciał mnie wkurzyć. Przyznam, że skoczyłem imponująco wysoko.

Szkoda tylko, że wydałem przy tym niezbyt męski odgłos. –

Nienawidzę węży. Żadnych gadów, gryzoni czy w ogóle jakichkolwiek zabawek. Chyba że jeńcy sami o to poproszą.

– O, to się dobrze składa, bo Ernie powiedział przed chwilą, że bardzo chciałby...

- Jeśli w tej chwili pójdę do aresztu i spytam Erniego, czy prosił o zabawkę, co mi odpowie?
- Ernie jest bardzo nieśmiały, Joe, nie powinieneś...
- Żadnych zabawek. Koniec kropka.
- Jesteś do bani. Tamta fretka była przezabawna!
- Wcale nie. Elmo prawie narobił w kombinezon ze strachu i zdeptał to cholerstwo.
- Ale...
- Żadnych ale. Skup się na tym, żeby Elmo wszedł do skanera i zrobił co trzeba.
- Już się tym zajmuję. Za pierwszym razem było fajnie, ale teraz już mnie to nuży – utyskiwał blaszak. – Nudy na pudy! Muszę monitorować i kontrolować każdy impuls nerwowy, żeby skaner nie zauważył niczego podejrzanego. Zszedłem z bieżni, aby jej niepotrzebnie nie blokować.
- Ale testy idą dobrze, prawda? – upewniłem się.
- Owszem, w tutejszych kontrolowanych warunkach. Zwróciły jednak moją uwagę na potencjalny problem. Gdy Elmo wejdzie do skanera, możemy stracić sygnał.
- No tak, wiedzieliśmy, że może tak być. – Skippy podejrzewał, że Maxolhxowie mogą blokować sygnały wchodzące i wychodzące, gdy dana osoba podda się skanowaniu. Stwierdził, że sam by tak postąpił, gdyby opracowywał procedury dostępu do stacji przekaźnikowej. – Wypróbowywałaś już plan awaryjny?
- Jeszcze nie. Wymęczyłem wczoraj Elma. Źle znosi to, że steruję jego ruchami. Spróbujemy za kilka godzin. Jeśli to nie zadziała, nie mamy planu C.
- Wiem, wiem.
- Plan B zakładał, że Elmo wprowadzi do skanera jeden koniec

mikrotunelu. Zaletą takiego rozwiązania była natychmiastowa łączność pomiędzy Maxolhxem a Skippym. Blaszką niepokoiło natomiast, że stacja mogłaby wykryć słabe promieniowanie horyzontu zdarzeń. Aby tego uniknąć, tunel trzeba było umieścić w nie do końca idealnym miejscu, czyli głównym akumulatorze maxolhxańskiego skafandra. Chcąc zamaskować promieniowanie, Skippy miał wywołać drobną usterkę w jednym z modułów akumulatora. Jeśli SI stacji zechce to zbadać, zauważy, że problem został odnotowany w dzienniku konserwacji kombinezonu. Wszystko będzie dobrze, chyba że stacja zażąda dostępu do podprogramów samodzielnej naprawy. Oby tylko nie była tak małostkowa. Jeżeli odnajdzie mikrotunel, Elmo będzie ugotowany, a my będziemy musieli spróbować szczęścia z kolejną stacją i wykorzystać Berta lub Erniego.

– W porządku, daj znać, jak poszedł test.

*

– Przejście zakończone pomyślnie – zameldowała podkapitan Turnell. – Brak anomalii.

Illiath zirytowała się i miała ochotę odwarknąć, że przecież sama o tym wie. Mogłaby dogryźć Turnell i przy okazji choć trochę rozładować nieznośne napięcie i tłumiony gniew.

Takie zachowanie byłoby jednak niegodne kapitana okrętu kosmicznego. Illiath mogła skłonić gruczoły do wydzielania hormonów uspokajających, jednak złość działała na nią motywująco i okazywała się przydatnym na rządziem.

– W porządku, podkapitanie – powiedziała po prostu.

Krażownik patrolowy „Vortan” przed chwilą wyleciał z tunelu Pradawnych, który niedawno zmienił położenie.

Wcześniej były tu tylko dwa inne okręty. Inne jednostki omijały korytarz w obawie, że ten nieoczekiwanie się zapadnie.

„Vortan” dowiódł, że jedyna zmiana w nieustającej od eonów pracy tunelu polegała na niewielkiej, choć zastanawiającej korekcie lokalizacji na trasie w kształcie ósemki. Każdy punkt otwarcia, który do tej pory sprawdzono, uległ przesunięciu. Nie tak dalece, by krążownik nie mógł przebyć tej odległości w zwykłej przestrzeni w ciągu jednego dnia, ale tak czy inaczej była to zauważalna modyfikacja. Nigdy wcześniej nie słyszano, by aktywny tunel korygował własne położenie w przestrzeni kosmicznej. Co więcej, zjawisku temu nie towarzyszyło przesunięcie tuneli w całej lokalnej sieci. Nie doszło do zamknięcia aktywnych ani do wybudzenia uspijonych korytarzy. Chociaż czy na pewno?

Thuranie wykryli nietypowe źródło sporadycznego promieniowania gamma w okolicy działającego tunelu. Zgłosili to patronom, którzy następnie zakazali klientom mieszania się w tę sprawę. To Illiath miała ją zbadać.

Właśnie to zadanie było przyczyną jej gniewu. Zamiast zostać z Rindhalu nad Rahkarsh Diweln, komandor musiała ruszyć w rejs, a jej krążownik zastąpiono tuzinem innych jednostek.

Wiadomość, że mogą istnieć dwa okręty widma oparte na wykradzonej Maxolhxom technologii, zszokowała całą flotę. Byle komandor patrolowca nie mogła już prowadzić wspólnego śledztwa. Flota przysłała admirała z pełną grupą bojową.

Dowódca surowo oznajmił Illiath, że nie jest już potrzebna.

– Skaczemy, gdy tylko będziemy gotowi – poleciała komandor. Chciała jak najszybciej dotrzeć do źródła promieniowania gamma.

*

– Pani komandor... – zdumiała się Turnell. – Czy to...

– Tunel czasoprzestrzenny – dokończyła Illiath.

Przybyły do miejsca, skąd rozchodziły się tajemnicze

promienie, spodziewając się zwykłej ciekawostki naukowej. Przed dziobem „Vortana” unosiła się tymczasem sygnatura tunelu Pradawnych. Wstępne, pobieżne dane dostarczone przez Thurarów wskazywały jedynie na chaotyczne, silne promieniowanie, bez wyraźnego wzorca. Teraz korytarz ustabilizował się tak, że jego sygnatura nie pozostawiała wątpliwości. Tunel budził się do życia.

Nie było to niemożliwe. Mimo to Maxolhxowie nie pamiętali, by coś takiego wydarzyło się kiedykolwiek wcześniej.

Odkrycie naruszało wszelkie sztywne zasady, którym rzekomo podlegała sieć tuneli. Równowaga była nieodzowna. Gdy jeden tunel się budził, inny musiał się wyłączyć. Z niewiadomych przyczyn liczba tuneli w danym obszarze zawsze pozostawała stała... Aż do teraz.

Dodatkowy korytarz uruchamiał się, mimo że wszystkie pozostałe działały prawidłowo. Jediną nowością była zmiana lokalizacji przynajmniej jednego aktywnego przejścia.

Co tu się działo?

Illiath poleciała pokładowej SI wykonać analizę. Sądząc po wzorcu rozbłysków, za dwa dni tunel powinien stać się dość stabilny, by dało się przez niego przelecieć. Komandor nie zamierzała narażać okrętu, postanowiła więc wysłać sondę. W tym obszarze nigdy wcześniej nie otwierały się tunele. Dokąd mogło prowadzić to przejście?

Dwa dni później „Vortan” wypuścił sondę, która przeleciała przez chwilowo ustabilizowany tunel tuż przed jego ponownym zamknięciem. Urządzenie wróciło po kolejnej stabilizacji. Zgłosiło, że drugi koniec znajduje się bliżej centrum Galaktyki, w stosunkowo pustej przestrzeni pomiędzy ramionami spiralnymi. Wyglądało na to, że to ślepa uliczka. W pobliżu wyjścia nie było znanych tuneli ani też zamieszkanym, czy

choćby użytecznych układów gwiazdnych, przynajmniej w odległości, jaką mógł przebyć typowy okręt bez pomocy lotniskowca.

Nie miało to sensu. Jak zresztą większość rzeczy, na które w ostatnim czasie natrafiła Illiath.

Komandor przepuściła przez tunel jeszcze trzy sondy, potem rozmieściła drony czujnikowe wokół migoczącego horyzontu zdarzeń i zawróciła okręt.

Przełożeni Illiath wyznaczyli szeroki obszar do zbadania dziwnych zachowań tuneli. Komandor była coraz bardziej zaintrygowana. Pierwszy aktywny tunel, który się przesunął, znajdował się w sieci, w której skład wchodził zablokowany korytarz do Ziemi.

Czy mógł się tam przebudzić jeszcze jeden, nieznany wcześniej uspijony tunel? Musiała się tego dowiedzieć.

Gdy „Vortan” gromadził energię przed skokiem, Illiath wróciła myślami do rozmowy z odrażającymi Rindhalu.

Wszyscy zgadzali się co do tego, że zbiegi okoliczności nie istnieją.

Dlaczego zatem przez całe śledztwo co rusz przewijali się nędzni, prymitywni ludzie?

ROZDZIAŁ 28

Zanim odważyliśmy się wysłać Maxolhxa do stacji przekaźnikowej, Skippy doradził przeprowadzenie rozpoznania i ustalenie dokładnych warunków wewnątrz skanera. Zamiast żywego kosmity mieliśmy użyć bota. Rzecz jasna, stacja zablokuje dostęp, zniszczy robota i spróbuje zgłosić wtargnięcie. Po drugiej próbie dokona samozniszczenia.

Musieliśmy więc zdobyć tyle informacji, ile się dało.

Zaaprobowałem plan Skippy’ego z kilku powodów. Atak hakerski na rozumną istotę wciąż wydawał mi się moralnie

wątpliwy. Maxolhxowie byli dupkami, ale nie podobała mi się myśl, że Skippy będzie sterował jednym z nich. Pamiętałem, jak mówiłem o tym, że jesteśmy żołnierzami, nie zbirami. Reguły Armii Stanów Zjednoczonych nie dopuszczały wykorzystywania jeńców tak, jak planowaliśmy. Chociaż byliśmy daleko od domu, zasady wciąż były dla mnie ważne. Poza tym za każdym razem, gdy myślałem o Maxolhxach zmuszanych do działania wbrew swojej woli, przypominał mi się czas, gdy więzili mnie Thuranie. Możliwe, że osobiste doświadczenia powinny odebrać mi prawo do decydowania o tej operacji, wołałem jednak sądzić, że to właśnie one czyniły mnie najlepszą osobą do podejmowania takich decyzji. Musieliśmy dać naszemu „ochotnikowi” jakiegokolwiek szansę na przetrwanie infiltracji, a przy tym dowiedzieć się, na co będzie mógł się natknąć.

Możliwe, że miałem także osobisty interes w przeprowadzeniu próby z użyciem robota...

Najlepszym, czy właściwie jedynym kandydatem była Anastacia. Jedyny przypominający człowieka bot na naszych okrętach. Stosunkowo łatwo można było zmodyfikować jej konstrukcję tak, by udawała Maxolhxa, włączając w to temperaturę ciała, biomechanikę, chód i mowę typowe dla kocurów. Oczywiście Skippy mógł też zbudować drugą Anastację, jednak musieliśmy oszczędzać surowce do nanofabrykatorów. Jeśli próba infiltracji oznaczała zniszczenie mojego seksbota... który wcale, ale to wcale nie był seksbotem, byłem gotów na takie poświęcenie.

*

– O-o, Joe. – Awatar Skippy’ego zjawił się nad moim biurkiem, kręcąc głową. – Mam złe wieści.

– Kurde, no! – Osunąłem się w fotelu. – O co chodzi tym

razem?

– Twoja decyzja o posłaniu Anastacii na niebezpieczną misję wywołała protesty wśród załogi.

– Że co? – Podsunąłem się bliżej. – To tylko robot! Dlaczego...

– Jest bardzo popularna, zwłaszcza wśród ludzi, którzy dość licznie odwiedzali izbę chorych. Nawet dzieci lubią tę dziewczynę!

– To maszyna, nie żadna dziewczyna! Zresztą nie zauważyłem, żeby ktokolwiek protestował. Jakoś nie widzę pod gabinetem ludzi z widłami i pochodniami – stwierdziłem, dla pewności wyglądając za drzwi.

– Ten protest ma bardziej cywilizowaną formę, tępaku! Odbywa się w mediach społecznościowych.

– Przecież tutaj z nich nie korzystamy!

– Owszem, korzystamy. Mówię o wewnętrznym systemie komunikacji floty.

– Czekaj... – Otworzyłem laptop. – Zaloguję się i poczytam komentarze.

– Nie radzę, Joe – powstrzymał mnie blaszak. – To z całą pewnością kiepski pomysł. Sam wiesz, że ludzie w internecie nie mają hamulców. Chcę chronić twoje uczucia!

– Jasne.... – odparłem powoli. Mój palec zawisł nad klawiaturą. Coś w słowach Skippy’ego wydawało mi się podejrzane. Choćby sam fakt, że to on je wypowiedział. Nie mogłem ufać temu zakłamanemu gnojkwowi. – Komentarze można dodawać anonimowo. Podaj mi przykład tych protestów.

– No dobra... Użytkownik WspaniałyNaMaksa napisał, że chcesz ukarać Anastację, bo mieliście jakąś sprzeczkę, jak to zakochani.

– Hmm... Jeszcze coś?

- No... tak – wyjąkał. – NiesamowityNr1 pisze...
- Skippy, chyba nie pozakładałeś sam tych wszystkich kont, prawda?
- Ależ skąd, Joe! Ublizas mi tak szokująco niesprawiedliwymi oska...
- Wiesz co, chyba powinienem osobiście odpisać na każdy komentarz. Tak właśnie zrobię. Zaloguję się i...
- Nie ma potrzeby, Joe! Simms zajmuje się sprawami personelu jako oficer wykonawcza, co nie?
- Racja. Poproszę ją, żeby się zalogowała!
- Cholera! – jęknął blaszak. – Błagam, nie mów jej o tym. I tak już mnie nie cierpi.
- Nie o to chodzi. Po prostu ci nie ufa, nie wiedzieć dlaczego – wyjaśniłem, przewracając oczami.
- Sam też nie mam pojęcia, co ją ugryzło – wymamrotał Skippy, pocierając podbródek w zamyśleniu. Jak zwykle nie wyłapał ironii. – Może powinienem wyprodukować dla niej jakiś prezent?
- A może lepiej spróbujesz przestać być kłamliwym, podstępny zasrańcem?
- Joe, nie szalej.
- Czy możemy uznać, że zapominamy o tych protestach?
- Ech... Chyba tak. Prawdę mówiąc, naprawdę słyszałem, jak niektórzy mówili, że zatęsknią za Anastacją i rozrywkami, jakie zapewniała.
- Rozry... O Boże, czy faceci rzeczywiście używają jej jako...
- Fuj! Jeszcze czego! Chodziło raczej o to, że wszyscy mają ubaw z tego, jak bardzo się jej wstydzisz.
- Będę się ostentacyjnie potykał o sznurowadła, żeby im to wynagrodzić. Coś jeszcze?
- Nie. – Zwiesił głowę.

– I dobrze. Do widzenia, Skippy.

*

„Holender” został w pobliżu, w razie gdybyśmy potrzebowali pomocy. „Walkiria” skoczyła ku maxolhxańskiej stacji przekaźnikowej, uczęszczanej dość intensywnie, by dało się tam znaleźć aktualne informacje, ale jednocześnie nie tak bardzo, by istniało duże ryzyko, że w trakcie włamania zaskoczą nas okręty nieprzyjaciela. Skippy podleciał do stacji panterą. Z lądownika wyszła Anastacia przebrana za Maxolhxa. Skippy utrzymywał z nią łączność w czasie rzeczywistym poprzez mikrotunel, nie wiedział jednak, czy skaner zakłóci komunikację. Anastacia została więc zaprogramowana na możliwie najbardziej autonomiczne działanie. Niepewność Skippy’ego co do możliwości wykrycia tunelu stanowiła argument za przeprowadzeniem próby z robotem.

– No dobra – relacjonował blaszak. – Przekazała osobiste kody identyfikacyjne iii.... SI je zaakceptowała! Drzwi do skanera się otwierają, Anastacia idzie naprzód i... Pora na kilka słów od naszego sponsora! Fenway Franks to prawdziwa ekstraklasa wśród parówek! Do nabycia w...

– Skippy! – przywołałem go do porządku.

– Dobrze już, dobrze. Muszę z czegoś płacić rachunki, Joe. Anastacia wchodzi do kabiny skanera. Drzwi się zamykają... Są ciężko opancerzone, a całą kabinę otacza silne pole, coś jak klatka Faradaya. Nie wpuszcza ani nie wypuszcza promieniowania elektromagnetycznego. Dobrze, że mamy mikrotunel, inaczej błędziłbym na oślep. Oj! Kurczę, i po ptakach. Sztuczna inteligencja właśnie usmażyła Anastację. Musiałem zwinąć tunel.

– Stacja go wykryła?

– Nie sądzę... Ech, teraz zapewne zażadasz, abym ujął poziom

pewności w liczbach?

– Wiadomo.

– Osiemdziesiąt procent? – zaryzykował. – Nic nie wskazywało, aby stacja zareagowała na szczątkowe promieniowanie horyzontu zdarzeń. Niestety, dowiemy się wszystkiego dopiero, gdy wpuścimy tam Elma.

– Czy to dalej wchodzi w grę?

– Powinno. Kiedy SI zniszczyła Anastację, nadałem wiadomość z wyjaśnieniem, że robot miał sprawdzić zabezpieczenia na stacji. Inteligencja chyba przyjęła to wy tłumaczenie, głównie dlatego, że nie wierzy, aby ktoś rzeczywiście mógłby spróbować zinfiltrować jej macierz. Po przeglądzie zebranych informacji nabrałem większej pewności co do przeprowadzenia Elma przez procedurę skanowania.

– A co z panterą? – Boty Skippy’ego najpierw oczyściły lądownik z wszelkich śladów ludzkiego DNA, a potem szczerze obsypały go nabłonkiem i sierścią Berta, Erniego i Elma. To powinno wystarczyć, chyba że stacja naśle własne boty, aby skontrolowały kabinę pantery. Nie mogliśmy mieć stuprocentowej pewności, że wróg nie znajdzie oznak obecności Ziemi.

– Poprosiłem o pozwolenie na powrót. Stacja już otwiera dok.

– Elmo jest gotowy?

– Bardziej gotowy nie będzie – odparł Skippy kwaśno. Lubił bawić się zrozumiętymi kosmitami jak kukielkami, jednak i jemu nie podobało się, że musi zmienić Elma w żywego robota, nawet na chwilę i w słusznej sprawie.

*

Kiedy wymuszona blokada stacji dobiegła końca, „Walkiria” wykonała kolejny skok i od razu wypuściła lądownik z Elmem na pokładzie. Skippy doprowadził kradziony lądownik do doku,

a Maxolhx zszedł na stację. Siedziałem w fotelu dowódcy, w napięciu obserwując jeńca za pośrednictwem zewnętrznych czujników pantery.

– Skippy, idzie jakoś sztywno, jakby był ranny.

– Inaczej się nie da. Łatwo zmusić go do tańca, wystarczy przesłać sygnały do nerwów ruchowych. Tym razem muszę zadbać o to, żeby skaner nie wykrył nietypowej aktywności mózgu, i kontrolować każdy neuron z osobna. Istna mordęga! A teraz bądź łaskaw skołować sobie coś do picia, zamknąć się i dać mi pracować.

Wykonałem jego polecenie co do joty. Bilby sterował okrętem, więc Skippy mógł skupić całą moc na aktualnym zadaniu. Nie wątpiłem, że blaszak sobie poradzi. Obawiałem się tylko, że zacznie się nudzić, aż w którymś momencie jego mózg powie: „Patrz, wiewiórka!” i rzuci się w pogoń. Czy coś w tym stylu. To zdumiewające, ale gdy tak czekaliśmy, zdałem sobie sprawę, że denerwuję się nie dlatego, że zależało mi na powodzeniu misji... No dobrze, to też. Głównie jednak obawiałem się o Elma. Może niepotrzebnie nadaliśmy mu tak urocze imię. Gdyby otrzymał ksywę w stylu „Azoth Niszczyciel”, okazywałbym mu mniej sympatii... Czy może empatii? Mniejsza o to.

I tak niepotrzebnie się zamartwiałem. Prowadzony przez Skippy’ego Maxolhx zadziwiająco szybko przeszedł procedurę uwierzytelnienia. Czary-mary! Ani się obejrzelśmy, stacja nas wpuściła. Do pamięci „Walkirii” zaczęły wpływać dane. Bilby utrzymywał je w wirtualnej piaskownicy, dopóki nie upewnił się, że wśród informacji nie ma złośliwych kodów. W odpowiedzi przesłał parę fałszywych komunikatów, które rzekomo zebraliśmy po drodze. Kłamstwo mogło wyjść na jaw po dokładniejszym zbadaniu, ale i tak zamierzaliśmy rozwalić

stację przed odlotem.

– Przesyłanie danych zakończone – oznajmił Bilby z podziwu godną zwięzłością. Nalegałem, by wyrażał się w ten sposób. Nie mogliśmy pozwolić, by cokolwiek nas rozpraszało.

– Dziękuję – powiedziałem. – Skippy, wyciągnij stamtąd Elma, żeby mógł dalej zabawiać grzeczne dziewczynki i chłopców.

– Przyjąłem – mruknął. – Ha. A to...

Stacja eksplodowała bez ostrzeżenia. A przynajmniej ja nie zauważyłem, aby się na to zanosilo.

– Tarcze! – warknąłem zupełnie niepotrzebnie. Bilby automatycznie uruchomił osłony. Mimo to okręt zakołysał się lekko i usłyszałem ciche uderzenia odłamków obsypujących grubo pancerz. – Cholera, Skippy, co poszło nie tak?

– Daj mi chwilę – poprosił. – Tunel nie zapadł się dość szybko. Oberwałem trochę sprzężeniem zwrotnym po eksplozji. To bolało!

– Jesteś cały?

– Nie bój nic, jakoś to rozchodzę.

– Łykniesz jakieś prochy, popijesz wodą i jakoś to będzie.

– To nic nie da! Najlepiej skoczmy od razu, a ja po drodze dojdę do siebie.

Skoczyliśmy. Skippy potrzebował zaledwie pięciu minut, żeby się ogarnąć. Podejrzywałem, że trochę dramatyzował, żeby naciągnąć nas na współczucie.

A skoro o współczuciu mowa, szczerze żał mi było Elma.

– Bilby, mówiłeś już Bertowi i Erniemu, co się stało?

– Nie, ziom. A powinienem?

– Nie, sam im powiem. – Elmo zginął na mojej warcie, na mój rozkaz. Powinienem spojrzeć Maxolhxom prosto w oczy i powiedzieć im o śmierci kolegi. – Skippy?

– U mnie już wszystko gra – powiedział blaszak

roztrzęsionym głosem. – Obym nigdy nie musiał tego powtarzać!

– Proszę, powiedz, że mamy potrzebne informacje.

– Mamy. Niestety, to jedyna dobra wiadomość. Klienci Maxolhxów rzeczywiście zauważyli przebudzenie uspiionych tuneli. Kocury wysłały okręty, aby to zbadać. Najbardziej ciekawi ich, że nowe korytarze otwierają się w miejscach, gdzie nigdy wcześniej nie było tuneli czasoprzestrzennych.

– Cholera. Wiedzą, że przesuwaliśmy tunele?

– Nie. Nie wiedzą, że to w ogóle możliwe. Sam nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki pewna małpa nie wyskoczyła z głupim pytaniem. Maxolhxowie zakładają, że to całkiem nowe tunele.

– Wykryli już Miotłę?

– Nie ma jej na liście, ale ten wykaz ma już osiem dni – podkreślił Skippy. – Musimy być gotowi na to, że kociaki albo ich klienci niedługo zauważą Miotłę. Joe, to cię może zainteresować. Jednym z okrętów prowadzących śledztwo dowodzi nasza stara znajoma.

– Znajoma? – Wymieniłem z Simms zdziwione spojrzenia. – Niby kto?

– Komandor Illiath z „Vortana”, patrolowca Hegemonii Maxolhxów. Sprawdziała miejsce, w którym zniszczyliśmy dwa maxolhxańskie krążowniki, i odkryła, że podrzuciliśmy lipne dowody, pamiętasz?

– No tak. Niech ją diabli, uparta z niej kocica. Myślałem, że dała sobie z nami spokój.

– Nie ma pojęcia, że ściga właśnie nas.

– Wiesz, o co mi chodzi. Znasz trasę lotu okrętu tej całej Illiath?

– Niezupełnie, a co?

- Może powinniśmy go przechwycić? Załatwić Illiath, zanim narobi więcej szkód?
- Sir? – Simms uniosła brew.
- Wiecznie stwarza nam problemy – wyjaśniłem. – Jest bystra i zdeterminowana, a to nie znaczy dla nas nic dobrego. Stanowi wyraźne zagrożenie dla naszej misji – oznajmiłem, wiedząc, że oficer wykonawcza oczekuje usprawiedliwienia dla walki z kolejnym okrętem. „Vortan” był jednostką nieprzyjaciela, co czyniło go uzasadnionym celem w naszej niewypowiedzianej wojnie. Nie potrzebowałem pozwolenia na rozpoczęcie bitwy, musiałem jednak wytłumaczyć, dlaczego warto ryzykować. Simms wydeła wargi.
- Teraz już i tak jej nie powstrzymamy – powiedziała. – Jeżeli weźmiemy ją na cel, jedynie potwierdzimy, że wpadła na właściwy trop.
- Racja – przyznałem. – Ale to akurat najgorszy scenariusz. Kiedy dotrzemy do Ziemi, wróg może deptać nam po piętach. Sądzę, że powinniśmy spotkać się z „Holendrem”, a potem wyruszyć do Łapacza.
- Jestem jeszcze tu potrzebna? – zapytała Simms, odpinając pasy i wstając z fotela.
- Nie. Dokąd się pani wybiera?
- Trzeba rozplanować więcej miejsca dla pasażerów. Jeśli spędzimy na Ziemi niewiele czasu, musimy być gotowi na przyjęcie jak największej liczby ludzi.
- Zdecydowanie – przytaknąłem. – Gdyby czegoś pani potrzebowała, proszę dać znać. Pilot, skaczymy z powrotem do „Holendra”.
- *
- Sukces? – zapytał Chang, unosząc kciuk skierowany w bok.
- Sukces – odparłem. Kong uśmiechnął się i przekręcił dłoń

kciukiem do góry. – Ale nie stuprocentowy. Straciliśmy Anastację.

– Na pewno jesteście zdruzgotani.

– Nie tak bardzo, jak myślisz. – Odwzajemniłem uśmiech, który jednak szybko stopniał. – Elmo też zginął.

– Co się stało? – Chang również spoważniał.

– Na razie nie wiem. Skippy?

– To moja wina. Ale i tak nie mogłem nic na to poradzić.

Stacja przekazała szereg poleceń do implantów nerwowych Elma. Kocur miał przesłać potwierdzenie, a potem opuścić stację zgodnie z instrukcjami. Kiedy nie odpowiedział jak trzeba, stacja przerwała transfer danych i dokonała autodestrukcji. Nie musicie obawiać się o bezpieczeństwo łączności. Skutecznie zablokowaliśmy wszelkie transmisje wychodzące. Kocury będą wiedzieć tylko, że doszło do wybuchu.

– Być może – zaczął Chang po chwili namysłu – powinniśmy dać znać nieprzyjacielowi, że ktoś się włamał? I przez to zmusić go do ponownej zmiany procedur?

– Hmm... – Zastanowiłem się. – Dobry pomysł. Ale żeby to zrobić, musielibyśmy odwiedzić kolejną stację przekaźnikową. Nie wiem, czy mamy na to czas. Poza tym miałbym wyrzuty sumienia, gdybym naraził Berta albo Erniego. Skippy, skoro zhakowałeś jedną stację, mógłbyś udać, że uzyskaliśmy dostęp do innych, mimo że nikogo tam nie nasyłaliśmy?

– Nic z tego – odparł blaszak z niesmakiem. – Kocury mają łeb na karku. Każda stacja przekaźnikowa posiada unikalny zestaw procedur dostępu, które zmieniają się co dwadzieścia sześć dni. Maxolhxowie świrują na punkcie bezpieczeństwa, odkąd jakiś wredny sukinsyn rozpracował ich wróżki, hi, hi. To kolejny przykład sytuacji, kiedy prawo niezamierzonych

konsekwencji okazuje się wrzodem na dupie. Ujawniając, że okręt widmo włamał się do sieci wrózek, poważnie osłabiliśmy dowodzenie, kontrolę i łączność nieprzyjaciela, ale przy okazji sami wdepnęliśmy w niezłe gówno. Teraz trudniej nam śledzić poczynania kocurów.

– Cóż, wcześniej wydawało się to dobrym pomysłem. – Nie zamierzałem szukać winowajców. Sam uznałem, że dobrze będzie zniweczyć wiarę, jaką nieprzyjaciel pokładał w bezpieczeństwie sieci wrózek.

– To był dobry pomysł, Joe – zapewnił Kong. – Gdyby Maxolhxowie zdążyli rzucić na nas okręty, moglibyśmy utknąć nad Rikers, kiedy „Walkiria” przestała działać.

– Dzięki. Grunt, że stacja przekazała nam złe nowiny, zanim się wysadziła. Kocury wiedzą, że w Galaktyce otwierają się uśpione tunele, i prowadzą dochodzenie. Niedługo dowiedzą się o Miotle. Musimy dotrzeć do Ziemi przed nimi.

*

– Jakies pytania? – upewniłem się, spoglądając na stojącą na biurku szklankę szkockiej. Whisky ledwo zakrywała kostki lodu, zresztą i tak nie miałem zbytnej ochoty na drinka. Nalałem go, bo stało się to już czymś w rodzaju tradycji, gdy Chang odwiedzał „Walkirię”, a poza tym była ku temu okazja. Tak naprawdę mógł to być dla nas pretekst do zalania się w pestkę, ale obaj mieliśmy jeszcze robotę do wykonania. Wszyscy cywile przebywali u mnie na pokładzie, a pocziwym „Holendrem” podróżowali żołnierze STAR.

– Nie – powiedział Chang. – Wszystko jasne.

Zasadniczo miał rację. Musiał jedynie czekać przy Łapaczu, kiedy ja zabiorę „Walkirię” w rejs. Sprawą priorytetową było przeprowadzenie rozpoznania i ustalenie, co obcy wiedzą na temat ruchów tuneli. Przede wszystkim, czy Esselginowie lub

jakiegokolwiek inne istoty zauważyły promienie gamma wychodzące z punktu, w którym już wkrótce miało się otworzyć wyjście z Miotły. Po uzyskaniu tych informacji „Walkiria” miała udać się na Avalon i odstawić cywili, a potem wrócić, zanim Łapacz zdąży się ustabilizować. Nasi pasażerowie nie byli zadowoleni ze zmiany planu. Pozwoliłem im wyrazić swoje obawy. Znaczyło to, że musiałem przecierpieć niekończące się inwektywy. Rozumiałem jednak ich gniew, wolałem też, żeby wyżyli się na mnie niż na załodze. Wysłuchiwałem ich przez godzinę ze spokojem godnym zawodowca, po czym udałem się na siłownię, żeby wyładować się na worku treningowym. Cholera, przecież staraliśmy się pomóc tym ludziom najlepiej jak potrafiliśmy!

Tak czy inaczej, plan obejmował wycieczkę do Bazy Beta. Wszechświat nie zdradził jeszcze, czy zamierza mnie znowu obić po gębie, ale mógłby się wreszcie zlitować. Po szokujących wieściach o otwarciu jeszcze jednego tunelu obok Ziemi miałem niespodzianek powyżej uszu.

– Wróćcie, zanim tunel się ustabilizuje? – zapytał Chang, sącząc drinka.

– O ile wszystko pójdzie dobrze. I oby tak było!

Wznieśliśmy toast.

– Wątpię, że tak będzie – stwierdził Chang.

– Wszechświat wisi nam przysługę.

– To nie wszechświat mnie martwi.

– Nie?

Potrząsnął głową.

– Wobec niego jesteśmy bezsilni. Obawiam się o ludzi.

Wiedziałem, do czego zmierza.

– Zostaw to rządowi na naszej planecie – poradziłem.

– Joe, w grę wchodzi los ludzi nie tylko na Ziemi... –

Odruchowo zerknął na otwarte drzwi gabinetu. – Ale także naszych załóg! Wszyscy będą chcieli wziąć bliskich na pokład. Sam chcę zabrać z Ziemi swoją rodzinę.

– No tak...

Do tej pory unikaliśmy tego niewygodnego tematu jak ognia. Przestrzeń na obu okrętach była mocno ograniczona. Upychając ludzi na „Sztylecie” i „Quishan”, moglibyśmy znacznie zwiększyć liczbę uchodźców do Bazy Beta, ale i tak byłaby to kropla w morzu. Na Ziemi żyły miliardy ludzi, a my mogliśmy jednorazowo przewieźć kilka tysięcy. W najgorszym przypadku, jeżeli Maxolxowie przelecą przez Miotłę zaraz po jej otwarciu, nie będziemy mieli czasu, żeby zmodyfikować dwa krystaliczne transportowce i załadować zapasy. „Walkiria” i „Holender” uciekną do Bazy Beta, przewożąc góra czterystu, czy pięciuset ludzi.

Pięciuset...

Bez względu na to, czy miało ich być pięciuset, czy pięćset tysięcy, pozostawało pytanie, kto przeżyje, podczas gdy reszta zginie? Kto miał prawo o tym decydować? Nie mieliśmy czasu na takie rozterki. Trzeba było myśleć praktycznie. Kto byłby w stanie podjąć taką decyzję, a potem wprowadzić myśl w czyn?

– Liczyłem, że unikniemy tej dyskusji – przyznałem, choć nie była to do końca prawda. Rozmowa na ten temat była nieodzowna. Nie tyle chciałem jej uniknąć, co nie wyczekiwałem jej z przesadnym utęsknieniem.

– Ja z kolei miałem nadzieję, że taka dyskusja nie będzie konieczna – powiedział Chang. – Jeżeli przejdziemy wspólnie przez Łapacza, pozostaniesz dowódcą. Jeśli mam zostać sam, muszę znać twoje zamiary.

Brzmiało to, jakby chciał zrzucić na mnie odpowiedzialność. Tak naprawdę jednak po prostu trzymał się protokołu.

Ze wszystkich rozmów, które przez lata odbyłem z Changiem, ta była najważniejsza. Sam fakt, że ją prowadziliśmy, zakrawał niemal na zdradę. Flagi na mundurach przypominały, że ja jestem winny lojalność Stanom Zjednoczonym, a on Chinom. Interesy poszczególnych państw nigdy nie stanowiły problemu dla naszej międzynarodowej załogi, ponieważ ziemską polityka nic nie znaczyła w obliczu zagrożenia dla całego naszego rodzaju.

Teraz te interesy mogły stanąć w bezpośrednim konflikcie z nadchodzącą misją. Nawet gdybyśmy latami wykonywali rejsy tam i z powrotem, nie zdołalibyśmy przewieźć wszystkich na Avalon. Zwłaszcza że gdy otworzy się Miotła, zostanie nam parę miesięcy, a może i tygodni. Albo jeszcze mniej. Różne państwa będą walczyć o miejsca na okrętach dla swoich obywateli.

Myśl, że Chang i ja możemy znaleźć się po przeciwnych stronach barykady, była okropna, ale nie dało się jej wykluczyć. Jak postąpi Kong, jeśli Chiny rozkażą mu zarezerwować „Latającego Holendra” dla jego rodaków?

My sami mogliśmy okazać się najgroźniejszymi wrogami Wesołej Bandy Piratów.

– Dobra, Kong. – Dyskretnie śledziłem jego mowę ciała. Kiedy Chang wróci na „Holendra”, Skippy opowie mi o jego reakcji na podstawie subtelnych sygnałów, których nie dostrzegałem. Perfidne, ale konieczne zagranie. – Omówiłem nasze opcje ze Skippym i Agadą. Nie miej do niej pretensji, że ci o tym nie powiedziała. Taki wydałem jej rozkaz. Wówczas wszystko opierało się na teoriach. Teraz jednak zwróciłeś uwagę na kluczową sprawę. Członkowie naszej załogi to przede wszystkim ludzie. W pierwszej kolejności będą chcieli ocalić najbliższych. Niechętnie to mówię, ale może trzeba będzie

spełnić ich oczekiwania.

– W przeciwnym razie nie zostanie nam żadna załoga?

– To też, ale musimy myśleć praktycznie. Zamierzamy ogłosić, że możemy zabrać ze sobą ograniczoną liczbę ludzi, a wszystkich, którzy zostaną, czeka zguba. Skippy wpadł na taki durny pomysł... – Odczekałem, aby sprawdzić, czy blaszak wtrąci się do rozmowy. Na szczęście okazał dość rozsądku, by milczeć. – Reality show, w którym zwycięzcy otrzymają bilety do Bazy Beta. Jednak ewakuacja nie będzie tak dobrze zorganizowana. Mało tego, na Ziemi zapanuje kompletny chaos i upadek porządku społecznego. – O tym także rozmawiałem ze Skippym i Agadą. – Rządzący nie będą decydować o tym, kto z nami poleci, bo same rządy przestaną istnieć. Każdy będzie musiał sam walczyć o swoje. Możliwe, że trzeba będzie wysłać lądowniki, aby zebrać, kogo tylko się da, bez żadnego porządku ani pomocy ze strony władz cywilnych i wojskowych. Cholera, należy się przygotować na zbrojny opór. Ludzie zaczną ostrzeliwać lądowniki podczas odlotu. A także przy lądowaniu, bo przecież będą wiedzieli, że nie starczy miejsca dla wszystkich. Okręty zostaną na orbicie. Będzie trzeba weryfikować każdy przylatujący lądownik, aby upewnić się, że na pokładzie nie ma bomby. – Spojrzałem na butelkę szkockiej. Nabrałem ochoty, aby nalać sobie do pełna i wszystko wychylić. – Ależ przyjemna rozmowa – zażartowałem ponuro, patrząc Changowi w oczy. – Wybacz, że zwałam ci to wszystko na głowę.

– Joe, sam o tym rozmyślałem. – Wbił wzrok w blat, po czym spojrzał na mnie. Obaj obserwowaliśmy nawzajem swoje reakcje. – Prawdę mówiąc, twój scenariusz jest nieco bardziej optymistyczny od moich najgorszych obaw.

– O kurde. – Ciekawe, o czym myślał. – Co mogłoby być

gorszego od kompletnego bajzlu na Ziemi?

– Ziemskie rządy wiedzą, że „Holender” już dawno powinien wrócić. Wiedzą też, kto należy do załogi. Zdziwiłbym się, gdyby władze nie przetrzymywały naszych bliskich. Oczywiście „dla ich własnego bezpieczeństwa” – dodał, nakreślając w powietrzu cudzysłów.

– Ja pierdolę! O tym nie pomyślałem!

– Możliwe, że będziemy musieli walczyć, aby zabrać rodziny z Ziemi.

– Pewnie tak.

– To nie będzie taka prosta sprawa. Co zrobisz, jeśli ktoś z FBI przystawi pistolet do głowy twojej matce? Czy jesteś gotowy, żeby sprzeciwić się rozkazom swoich przełożonych?

– A ty?

– Nie wiem. Dowiem się zapewne dopiero, gdy będę musiał podjąć decyzję – stwierdził.

Wziąłem głęboki oddech, po czym zadałem kluczowe pytanie:

– Powiedz mi, czy byłbyś w stanie zignorować rozkazy własnego rządu?

– A ty? – zapytał, mrużąc oczy.

– Kong, ja... – Położyłem dłonie na blacie. – Nie wiem. Nigdy nie byłem zbyt dobry w wypełnianiu rozkazów, zwłaszcza tych kretyńskich. – Uśmiechnąłem się z przymusem.

Chang nie odwzajemnił uśmiechu.

– Joe, kiedy ostatnio zignorowałeś rozkazy, wykradłeś okręt kosmiczny i wyruszyłeś na misję, która przysłużyła się wszystkim narodom. Teraz jest inaczej. Skład grupy ludzi, którzy wsiądą na pokład, zadecyduje o przetrwaniu całych kultur. Do naszej załogi należą obecnie przedstawiciele osiemnastu nacji, nie tylko pięciu krajów SEONZ. Osiemnastu! Nawet gdybyśmy sprowadzili tu rodziny wszystkich

załogantów, na Ziemi pozostanie większość ludzkości. Nie mamy tu żadnych Włochów, Hiszpanów, Malezyjczyków ani...

– Rozumiem. – Sam wykonałem podobne obliczenia.

– Te wszystkie kultury przepadną bezpowrotnie, jeżeli nikt z tych krajów nie trafi do Bazy Beta.

– Wiem – powiedziałem z rosnącą irytacją. Na niego i na siebie, ponieważ pozwalałem się ponieść emocjom. Ten temat i tak był dobijający. Nie powinienem pogarszać sprawy. – Nie możemy wybrać na chybił trafił pary ludzi z każdego kraju, i tak wszyscy się nie zmieszczą. Naszym okrętom daleko do arki Noego. – Kiedy po raz pierwszy rozważaliśmy pomysł Bazy Beta, ktoś powiedział, że dla utrzymania różnorodności genetycznej i zdrowej populacji potrzebujemy trzech tysięcy ludzi. Nasza kosmiczna arka musiałaby przewieźć nie dwójkę, ale trzy tysiące przedstawicieli każdej grupy etnicznej, aby dana kultura nie zginęła. Byłoby to niewykonalne, nawet gdybyśmy mieli całą flotę transportowców. – Po prostu nie mam pojęcia, co zrobić.

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie – naciskał Kong. – Co zrobisz, jeżeli Stany Zjednoczone każą ci zarezerwować wszystkie miejsca na okrętach dla Amerykanów?

Skippy wtrącił się do rozmowy, wybawiając mnie z opresji:

– Panowie, pragnę podkreślić, że nie pozwolę, aby naszych jednostek użyto w taki sposób. Wasze narody będą musiały współpracować, aby przeprowadzić ewakuację uczciwie. W przeciwnym razie sam podejmę decyzję.

Wkurzyłem się, choć jednocześnie mi ulżyło. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Chang zwrócił się do gadającej puszkii:

– W tym cały problem...

– Mianowicie w czym? – nie zrozumiał Skippy.

– Co rozumiesz przez „uczciwość”? Wszyscy zainteresowani,

choćby kierowali się najlepszymi pobudkami, będą mieli różne definicje tego pojęcia.

– Cóż, hmm, tego... – motał się blaszak.

– Skippy – zacząłem powoli. Nie byłem pewien, co właściwie chciałem powiedzieć. – Jeżeli ostateczny wybór ma należeć do ciebie, musisz to porządnie przemyśleć. I jeśli zamierzasz chrzanić o tym, że umiesz podejmować lepsze decyzje, bo nie jesteś rozemocjonowanym workiem mięsa, daruj sobie. Kto nie wejdzie na pokład, ten zginie. Kogo jesteś gotów skazać na śmierć?

– Niech to szlag... – Westchnął ze znużeniem. – Ciężka sprawa.

– Dlatego już teraz musisz się nad tym zastanowić – powiedziałem łagodnie.

– Jak? – zapytał. – Jak miałbym dokonać takiego wyboru?

– Dam ci przykład. Lubisz kapitan Frey, prawda?

– No... Tak, nie przeczę – odparł ostrożnie. Uczucia, jakie żywił do Kanadyjki ze służb specjalnych, nie były dla nikogo tajemnicą.

– Jeżeli poprosi cię o sprowadzenie na okręt jej najbliższych, zrobisz to?

– Kurczę... Trudno byłoby odmówić. Zwłaszcza że Frey ryzykowała życie.

– Właśnie. A Fal Desai? – pytałem dalej ze ściśniętym gardłem. – Ona poświęciła życie, aby ocalić ludzkość. A co z jej rodziną?

– Ha... Na pewno jesteście jej to winni.

– Zgadzam się. Ale gdzie leży granica? Jak zdefiniujesz rodzinę? Siostra Fal ma męża. Czy jego też weźmiemy na pokład? A jego rodziców?

– Joe... – szepnął z żalem. – Musisz mi w tym pomóc.

- Skippy – Chang pochylił się nad biurkiem, zapominając o drinku – jeśli chcesz przesądzać o tym, kto przeżyje, a kto umrze, nie uciekniesz od takich decyzji.
- Kong, żałuję, że wcześniej nie włączyłem cię w tę dyskusję. – Odsunąłem swoją szklankę.
- I tak teraz o tym rozmawiamy. – Chang wzruszył ramionami. – Do przejścia przez Łapacza został nam miesiąc. Musimy wykorzystać ten czas, żeby powiedzieć o wszystkim załodze. Nie możemy wyskoczyć z czymś takim w ostatniej chwili.
- No nie wiem. Ludzie zaczną panikować. Powinni się skupić na zadaniach. Rozprawianie o apokalipsie nie sprzyja porządkowi i dyscyplinie.
- Nie są głupi, Joe – upomniał mnie. – Możesz mi wierzyć, już teraz o tym myślą. Jeśli nie postawimy sprawy jasno, będziemy musieli realizować bardzo niebezpieczny i stresujący plan bez przygotowania i przeszkolenia. Wojsko amerykańskie rozumuje tak samo jak chińskie. Ćwiczymy tak, jak walczyliśmy. Załoga i tak zacznie panikować, kiedy spróbujemy ściągnąć z Ziemi garstkę ludzi. Powinna doświadczyć tej paniki i przywyknąć do niej, ćwicząc przed ewakuacją.
- Trochę jak z plastrem?
- Słucham? – Kong nie zrozumiał porównania.
- Lepiej go zerwać raz a dobrze i mieć spokój. Powolne odklejanie tylko przedłuża cierpienie.
- Racja.
- Kong... – Potrząsnąłem głową. – Omówiliśmy nie jeden straszny temat, ale to już szczyt wszystkiego.
- Być może – przyznał po namyśle. – Z pewnością to jedna z najbardziej bolesnych kwestii. Żołnierze STAR to zdyscyplinowani profesjonaliści, ale nigdy jeszcze nie szkolili

się z myślą o takiej sytuacji. Musimy wtajemniczyć Smythe'a w nasz plan.

– Masz rację. Nie chciałbym też, aby cywile stresowali się jeszcze bardziej niż my. Poinformuję załogę w drodze powrotnej z Avalonu. Ty powiedz o wszystkim Smythe'owi i swoim ludziom już dziś, po południu, kiedy „Walkiria” wykona skok. Będzie to dla nich ogromny wstrząs, ale trzeba to przyjąć na klatę.

– Istnieje pięć etapów żałoby, prawda? – zapytał Kong. – Mam nadzieję, że załoga przejdzie od zaprzeczania do akceptacji jeszcze przed otwarciem Łapacza.

– Jasne. My, piraci, powinniśmy dorzucić do tego jeszcze dwa etapy. Po pierwsze, determinację, aby walczyć do samego końca.

– A siódmy etap? – zapytał, przekrzywiając głowę.

– Odwet!

Kong uniósł butelkę i nalał nam bursztynowego płynu.

– Chętnie za to wypiję – oznajmił.

ROZDZIAŁ 29

Po tym, jak „Walkiria” skoczyła w kierunku Bazy Beta, wezwałem Simms. Tym razem zamknąłem gabinet. Przyszła pora na rozmowę, której obawiałem się od czasu konwersacji z Changiem.

Okazało się, że Simms zdążyła mnie ubiec. W sumie żadna niespodzianka. Mało tego, omawiała już tę sprawę ze Smythe'em, zanim dowódca STAR wrócił na „Holendra”.

– Dlaczego nic pani nie mówiła? – zapytałem, lekko sfrustrowany.

– Skippy powiedział, że i tak ma pan dość na głowie. –

Wzruszyła ramionami. – I że porozmawia pan o tym ze mną we właściwym czasie.

- Blaszak miał nikomu o tym nie mówić!
- Simms spojrzała na mnie z politowaniem.
- No tak, ma pani rację – przyznałem, starając się uspokoić nerwy.
- Nie wspomniał pan o jeszcze jednym aspekcie ewakuacji. Będziemy musieli podjąć bezpośrednie działania ofensywne.
- Ofen... Wiem, że trzeba bronić ludzi i łądowników, ale...
- Na Ziemi zrobi się paskudnie – ostrzegła z ponurą miną. – Kiedy różne kraje zrozumieją, że walczą o niewielką liczbę miejsc na pokładach, w ruch pójdą głowice jądrowe.
- Szlag...
- Już pan rozumie?
- Pewnie. Trudno, jeśli ktoś odpali atomówkę, przechwycimy ją w locie.
- W porządku, ale żeby to zrobić, musielibyśmy stale nadzorować sytuację na planecie, mając do dyspozycji tylko dwa okręty.
- Przez chwilę myślałem o tym, wpatrując się w sufit.
- Wystarczy skupić się na półkuli północnej, prawda?
- Wszystkie kraje posiadające broń jądrową leżą nad równikiem.
- Zapomniał pan o okrętach podwodnych przenoszących pociski balistyczne – odparła. – I o pociskach manewrujących. Nie możemy strzec tylko jednej pół kuli. Jeśli umieścimy okręty na orbicie geosynchronicznej, jeden nad Brazylią, drugi nad Indonezją, powinniśmy przechwycić każdy pocisk.
- A co z manewrującymi?
- To już trudniejsza sprawa. Będziemy musieli korzystać z czujników aktywnych. Jeśli Skippy’emu uda się zablokować transmisję kodów odpalania, problem będzie chyba rozwiązany. Aby zapobiec totalnej wojnie, nasze okręty musiałyby jednak pozostawać na orbicie. Kto wie, może po

powrocie z Bazy Beta zamiast Ziemi zastaniemy radioaktywne pustkowia, zanim dotrą tam obcy?

– Niech to diabli. Martwimy się kosmitami, a musimy też pilnować, żeby mały same nie zatłukły się kijami. Simms, chciałem porozmawiać o czymś jeszcze. To delikatny temat.

– Przed chwilą rozmawialiśmy o końcu świata, a pan przejmuję się moimi uczuciami?

– W tym wypadku tak. Nie wróci pani z Avalonu. Zostanie tam pani z Frankiem.

– Nie zgadzam się, do cholery! – Spojrzała na mnie gniewnie.

– Nie. To nie podlega dyskusji. Simms, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, sprowadzimy na Avalon setki, a może i tysiące ludzi. Trzeba przygotować dla nich miejsce, w przeciwnym razie cały trud pójdzie na marne. Frank Muller, jako cywil, na pewno zostanie w Bazie Beta.

– Będzie pan potrzebował mnie na „Walkirii”.

– Ale jeszcze bardziej na Avalonie.

– Frank ma na Ziemi córkę. A ja matkę, brata, siostrę i...

– Wiem. Sprowadzimy kogo tylko się da. Wasza obecność na pokładzie niczego nie zmieni, ale zajmiecie dwa miejsca potencjalnym uchodźcom. Proszę pamiętać, że zasoby tlenu na okrętach mogą się wyczerpać. Na Avalon dotrzemy najwcześniej za pięć dni. Niech pani to przemyśli. Mój gabinet zawsze stoi otworem. – Wskazałem na drzwi, jak na ironię zaryglowane na cztery spusty. – Wiem, że to beznadziejna wiadomość.

– Mało powiedziane. Ale wiedziałam, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

– Myślałem, że mamy mnóstwo czasu. Kilkaset lat. Albo co najmniej sześćdziesiąt.

– Czasem tak bywa, że wszystko się spieszy.

- Nam wszystko spieprzyła Emily Perkins.
- Nie miała o tym pojęcia. Postąpiła jak należy, opierając się na własnej wiedzy. Ale teraz nie ma sensu się o to spierać. W porządku, zastanowię się nad tym.
- Proszę pamiętać o dzieciach. Ktoś musi ogarnąć sprawy organizacyjne na Avalonie. Hans na pewno się stara, ale nie wie jeszcze, jaką rozpierduchę mu szykujemy.
- Powtarzam, zastanowię się.

*

Smythe stanął u wejścia do gabinetu Changa.

- Chciał pan ze mną porozmawiać, sir?
- Tak – wymamrotał Chang, w pośpiechu przeżuając kanapkę z mesy. Ostatnio nie miał wiele czasu na jedzenie. – Proszę siadać. „Walkiria” skoczyła do Bazy Beta. Dzisiejszego wieczoru zamierzam przemówić do załogi. Kiedy dotrzemy do Ziemi, może tam zapanować polityczny chaos. – Dowódca STAR nie był durniem. Musiał podejrzewać, że ewakuacja nie przebiegnie w pokojowej atmosferze. Poza tym rozmawiał z Agadą o potencjalnym oporze Ziemian przeciwko operacji. – Potrzebny nam plan przejęcia kontroli nad ewakuacją. – Chang spojrział Smythe’owi prosto w oczy. – Niezależnie od władz na planecie.

To była kluczowa chwila. Jeżeli Smythe sprzeciwi się ignorowaniu rozkazów brytyjskiego rządu, będzie musiał spędzić misję zamknięty w swojej kwaterze. Problem w tym, że Chang sam nie był pewien, co zrobiłby po powrocie na ojczystą planetę, gdyby chiński rząd uwięził jego rodzinę i zagroził śmiercią jego żonie.

Szkoda czasu na gdybanie. Najpierw należało się rozeznać w sytuacji.

Smythe skinął zdawkowo głową, jak gdyby temat ten był

rutynową kwestią, którą już omawiał.

– Tak jest. W pierwszej kolejności trzeba utrzymać kontrolę nad „Sztyletem” i „Yu Quishan”. Zarówno aby zapewnić ich dostępność jako środków transportu, jak i odmówić dostępu wrogim elementom. – Patrzył na dowódcę bez mrugnięcia okiem. Obaj wiedzieli, że „wrogim elementem” były w tym wypadku rządy ich krajów.

– Najpierw będziemy musieli zebrać wywiad – sprostował Chang. – Dowiedzieć się, gdzie są te okręty.

– No... tak. – Dla Smythe’a było to oczywiste. – Czy mogę pokazać panu wstępny plan, który opracowałem? Nie rozmawiałem o nim z nikim oprócz Agady, która dostarczyła dane nawigacyjne.

Chang wiedział o tym wszystkim. Jednak dopiero teraz nabrał pewności co do tego, po czyjej stronie opowiedział się Smythe.

– Proszę pokazać.

Smythe położył tablet na biurku i obrócił się w fotelu, aby obaj mogli patrzeć na ekran.

– Jeśli jeden albo oba transportowce są w pobliżu tunelu, należy je szybko dezaktywować, a potem przeprowadzić abordaż i przejąć kontrolę – wyjaśniał Smythe. – Skippy zainstalował furtkę w oprogramowaniu obu jednostek, a Agada posiada kody dostępu wyłączające ich systemy główne.

– Doprawdy? – Chang uniósł wzrok. – Agado, kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

– We właściwej chwili, pułkowniku – odparła nerwowo.

Chang wypuścił powietrze.

– Porozmawiamy o tym później. Smythe, proszę mówić dalej.

– Jeżeli przy tunelu nie będzie okrętów... – Anglik stuknął w tablet. Na ekranie ukazał się schemat rodzimego układu słonecznego ludzi. – Wskoczmy po drugiej stronie Saturna.

Nasz napęd może skierować większość promieni gamma z dala od Ziemi, uważam jednak, że warto zachować jak największą dyskrecję.

– Saturna? Nie Marsa albo Jowisza?

– Mars znajduje się obecnie po drugiej stronie Słońca, a wokół Jowisza orbituje zbyt wiele sztucznych satelitów. NASA, ESA, a także chiński rząd wysłały tam aktywne sondy. W pobliżu Saturna jest tylko jedno takie urządzenie, krążące wokół Tytana. Możemy zaplanować czas przybycia tak, aby w tym czasie sonda znalazła się za księżycem. Wskoczymy, uruchomimy pole maskujące i powoli wysuniemy się zza Saturna, aby sprawdzić sytuację na Ziemi. Gdy poznamy lokalizację i status wojsk na planecie i wokół niej, będzie pan miał kilka opcji.

– A jeśli i „Sztylet”, i „Quishan” będą na orbicie okołozemskiej?

Smythe pokazał kolejny schemat na tablecie.

– Wówczas wskoczymy blisko pierwszego transportowca, prześlemy kod dezaktywujący, a następnie wyślemy lądowniki z grupą abordażową. Po skończonej akcji skoczymy do drugiej jednostki.

Dowódca STAR pokazał wstępny plan przejęcia kontroli nad dawnymi krystańskimi okrętami do przewozu żołnierzy. Chang zadał jeszcze kilka pytań, wiedząc, że plan awaryjny jest dopiero w powijakach.

– Musimy się zająć jeszcze jedną komplikacją – dodał Smythe.

– Wie pan, że nie cierpię komplikacji. – Chang zmarszczył brwi. – O co chodzi tym razem?

– Agada powiedziała, że podczas otwarcia i stabilizacji tunel będzie emitował silniejsze promieniowanie gamma niż

zazwyczaj. Okres stabilizacji potrwa przeszło osiem dni.

– Wiem. Nasze okręty pozostaną w bezpiecznej odległości, z włączonymi tarczami. Jeśli osłony padną albo nie wytrzymają promieniowania, wykonamy skok.

– W porządku, sir, ale ten koniec tunelu to akurat żaden problem. Drugi horyzont zdarzeń również będzie wytwarzał wyraźnie widoczne promienie... które zostaną wykryte w pobliżu Ziemi!

– Ooo... – Chang osunął się z rezygnacją w fotelu. – Rzeczywiście.

– Ziemskie władze nie będą wiedziały, dlaczego korytarz się otwiera, powinny jednak rozpoznać sygnaturę promieni. Zrozumieją, że to tunel Pradawnych. Jeśli „Yu Quishan” bądź „Sztylet” będą dostępne, rządzący wyślą któryś z nich, aby zbadał tę sprawę.

– Hmm... – Chang się zamyślił. – Zapewne tak właśnie będzie. Cóż, a zatem, kiedy wydostaniemy się z tunelu, czeka nas huczne powitanie.

– Możliwe, że coś więcej. – Smythe uniósł brew. – Do czasu, aż tunel się ustabilizuje, jego punkt otwarcia pozostanie statyczny. Zacznie wędrować standardową trasą dopiero, gdy utrzyma się w pierwszej lokalizacji przez ponad trzynaście godzin. Tak twierdzi Agada. Jeśli SEONZ mają dość rozumu, a trzeba założyć, że mają, obstawią drugi horyzont zdarzeń polem minowym z głowicami wyposażonymi w zapalniki zbliżeniowe.

– Szlag! – Chang uderzył w blat. Dowódca STAR miał rację. – Oczywiście! Możemy... – Urwał, by się zastanowić. – Możemy przesłać kody identyfikacyjne jeszcze przed przelotem.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Zasięgnąłem w tej sprawie informacji. Agado?

– Pułkownik Chang, ze względu na zaburzenia kanału tunelu, przesłanie spójnej wiadomości za pomocą fotonów byłoby możliwe dopiero około trzech dni po tym, jak horyzonty zdarzeń ustabilizują się na tyle, aby okręt mógł przez nie przelecieć. Zakładam, że będzie pan chciał wyruszyć jak najszybciej?

– Pewnie, cholera. Nie możemy siedzieć i czekać przez trzy dni!

– Istnieje pewne rozwiązanie – odpowiedział Smythe. – Możemy przesłać przez tunel osłoniętą sondę.

– Zgadza się – potwierdziła Agada. – Żadna z sond, które mamy na pokładzie, nie przetrwa przelotu przez tunel czasoprzestrzenny, można jednak zmodyfikować pocisk i zapewnić mu odpowiednie tarcze. Rakieta wydostanie się z tunelu i przekaże nasze kody.

Chang myślał nad tym, stukając palcem w biurko.

– Wszystko pięknie, ale to nie rozwiązuje naszego problemu – powiedział wreszcie.

– Jak to, sir? – Smythe spojrzał na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Jeśli po drugiej stronie będzie czekał okręt, nie zdoła on potwierdzić naszego sygnału identyfikacyjnego. Nie dowiemy się, czy nasza wiadomość dotarła i czy pole minowe przestało działać. A skoro już o tym mowa... – Potrząsnął głową. – Nuklearne pole minowe nie jest najgorszym, co może tam na nas czyhać. Jeżeli Maxolhxowie użyli już Miotły, aby dostać się do Ziemi, na pewno zauważą źródło promieni gamma na krańcu Układu Słonecznego. Wówczas po wyjściu z tunelu wpadniemy prosto na grupę zadaniową nieprzyjaciela.

– Jeżeli będzie z nami Skippy, wyśle zapytanie do sieci tuneli i sprawdzi, co jest po drugiej stronie – powiedziała Agada z

przekonaniem.

– Zakładamy, że jednak go z nami nie będzie – upomniał ją Chang. – Agado, plany awaryjne tworzy się na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Wstępnie musimy przygotować się na przeprowadzenie ewakuacji bez pomocy „Walkirii”.

– W porządku, pułkowniku Chang. Przypominam jednak, że bez Skippy’ego nie otworzymy supertunele do galaktyki Karła Rzeźbiarza ani nie dotrzemy do Klubu Skippy’ego.

– Racja. Jak już wspominał Bishop, nie mamy planu C.

*

„Vortan” unosił się w ciszy w przestrzeni międzygwiazdnej, nieruchomy przed budzącym się do życia tunelem czasoprzestrzennym. Horyzont zdarzeń na przemian gasł i rozjarzał się światłem, emitując potężne rozbłyski gamma. Tunel był na wcześniejszym etapie stabilizacji niż poprzedni korytarz, na który natrafił krążownik. Minie jeszcze kilka dni, zanim okręt będzie mógł bezpiecznie przeprowić się na drugi koniec.

Aby przesłać sondę, nie trzeba było czekać aż tak długo. Na podstawie wzorca prezentowanego przez tunel okrętowa SI oceniła, że będzie to możliwe za dwa dni, mierząc według obrotów ojczystej planety Maxolhxów.

Do tego czasu „Vortan” miał prowadzić obserwację, rejestrować wszelkie dane i spróbować zrozumieć, co działo się z siecią lokalną. Jak dotąd nikt na pokładzie nie wiedział, dlaczego prastary system zaczął zachowywać się inaczej, po raz pierwszy od zarania dziejów.

Dwa dni później „Vortan” wypuścił sondę w kierunku chwilowo stabilnego horyzontu zdarzeń. Należało precyzyjnie wybrać czas wysłania urządzenia. Poza tym w drodze powrotnej sonda nie mogła korzystać z naprowadzania przez SI

okrętu macierzystego.

Przy pierwszej próbie sonda roztrzaskała się o gwałtownie migoczący horyzont zdarzeń. Obliczenia czasu zawiodły z powodu zaburzeń czasoprzestrzennych przed tunelem. Kolejne trzy podejścia również skończyły się niepowodzeniem, choć wyglądały bardziej obiecująco. Następne dwa okazały się jeszcze większymi porażkami. Sondy znacząco chybiły celu. Upokorzona pokładowa SI skorygowała algorytm naprowadzania i w końcu siódma sonda wślizgnęła się do tunelu, zanim zapadł się horyzont zdarzeń.

Sonda nie nadała komunikatu w wyznaczonym czasie. Tak samo jak kolejna. I jeszcze kolejna. Na rozkaz Illiath okręt wysłał zbędne sondy z lekko zmodyfikowanymi, ciężkimi osłonami. Urządzenia od ósmego do piętnastego zdołały przynajmniej przebyć drogę przez tunel. „Vortan” nie otrzymał jednak żadnych wiadomości. Piekielne warunki wewnątrz tunelu zakłócały spójne sygnały.

W końcu SI „Vortana” ucieszyła się dyskretnie, gdy sonda numer dwanaście wróciła. Urządzenie miało uszkodzone tarcze i procesor, zdołało jednak przesłać jedną informację o kluczowym znaczeniu.

– Komandor Illiath – SI skontaktowała się z dowódczynią – wiemy już, dokąd prowadzi ten tunel. Do planety nazywanej przez ludzi Ziemią.

*

– Joe! Hej, Joe! – Skippy zagadnął mnie, kiedy szedłem na salę gimnastyczną porzucać do kosza. Dzień wcześniej trafiłem aż dwadzieścia siedem razy na trzydzieści trzy próby. Był to dla mnie spory postęp. – Mam dla ciebie porcję apetycznych wieści!

– Apetycznych? – Przystanąłem w bocznym korytarzu. –

Chodzi ci o plotki?

- Tak, ale tym razem nie dotyczą ciebie.
- To... Chwila, ludzie plotkują na mój temat?
- Ha! – parsknął. – I to bez przerwy! A co myślałeś?
- Czemu mieliby gadać akurat o mnie?
- Dajesz im całą masę powodów do plotkowania. Weźmy choćby twoje życie uczuciowe, czy raczej jego brak. Ciągłe spekulacje o tobie i Margaret...
- Nie mieszaj w to Adams!
- To nie ja rozsiewam te plotki. Znaczący... od czasu do czasu się przyłączam, aby sprostować to i owo. Albo jeśli trzeba przekazać wieści gdzieś dalej...
- Pograżasz się coraz bardziej, blaszaku!
- Ludzie gadają też o twoim dziwnym żarciu z Nowej Anglii. Chlebie z puszki i...
- Dobra, już rozumiem.
- Prawdę mówiąc, wszystkie najlepsze plotki dotyczą właśnie ciebie. Co jest dziwne, biorąc pod uwagę, że wiesz smętny i żaloszny żywot.
- Naprawdę doceniam twój...
- Służysz też za inspirację do najciekawszych zakładów.
- Ludzie stawiają na mnie? W jakich sprawach?
- Hi, hi, nie powinienem o tym mówić.
- Uznaj to za rozkaz, wredna puszeko!
- Skoro muszę... Obecnie najpopularniejszy zakład dotyczy tego, czy bot czyszczący twój prysznic dozna załamania nerwowego i będzie musiał trafić do recyklingu. Może też chcesz obstawić? Kadet Fangiu daje pięć do jednego...
- Jeraptha rozmyśla o tym, co robię pod prysznicem?
- Oj tam, przecież to stały temat rozmów na pokładzie, Joe.
- Co za życie! Ale mówiłeś, że ta wiadomość nie dotyczy

mnie.

– Racja. Chodzi o Jennifer...

– Milcz, Skippy! Nie chcę tego słuchać.

– Ale...

– Nie! – Uniosłem palec. – Nie zamierzam obgadywać ludzi za ich plecami.

– Joe, przecież na tym polega plotkowanie. Jeśli powiesz to komuś w twarz, to...

– Dziękuję, ale nie chcę o tym słyszeć.

– Kurczę, plotki o tym, że straszny z ciebie nudziarz, okazały się prawdziwe.

– Na razie, Skippy.

*

W miarę jak zbliżaliśmy się do Bazy Beta, kurczyły się zapasy żywności. Musieliśmy zachować jedzenie dla cywili nie tylko na czas lotu, ale także na pierwsze chwile na Avalonie. Aby dać przykład załodze, na śniadanie wypijałem szlam smakowy, na lunch jadłem batona energetycznego, a na kolację kanapkę albo kolejnego batona. Dla cywilów nadal gotowaliśmy ciepłe posiłki, ale nawet oni mogli zapomnieć o sytych ucztach. Kiedy „Latający Holender” odleciał na poszukiwanie Bazy Beta, niektóre ładownie były puste, bo miała to być stosunkowo krótka misja. Dostałem ważną nauczkę na przyszłość.

Tego wieczoru pracowałem w kambuzie. Przynajmniej dla cywili kurczaka po francusku. Pasażerowie pewnie mieli już dość kurczaka, a nas nużyło przygotowywanie go w coraz to nowych odsłonach, musieliśmy jednak zadowolić się tym, co zostało w magazynach. Po sprzątnięciu przygotowałem dodatki do kanapek i poszedłem do kabiny, żeby się przebrać. Gdy wróciłem, spodziewałem się, że jako jedyny będę miał chęć na Fluffernuttera, więc skierowałem się prosto do słoika z masłem

orzechowym, zostawiając innym ser i zimną płytę.

Wtedy zobaczyłem coś przerażającego...

– Co to jest?!

Porucznik DeShawn Ray obrócił się do mnie, zaskoczony.

– O co chodzi, sir?

– O to... – Wskazałem roztrzęsionym palcem. – O tę abominację!

– Przecież to Fluffernutter. – Ray spojrzał na talerz.

– Wcale nie! Co pan z nim zrobił?

Porucznik dotknął ohydnej kanapki nieczystymi rękami i wyszczerzył zęby.

– Użyłem brioszek zamiast chleba i nutelli zamiast masła orzechowego. Dodałem też pokrojonego banana i kawałki czekolady.

– Ray – oznajmiłem z grobową powagą – to jest jakaś podróba, a nie Fluffernutter!

– Po prostu staram się przekraczać granice technologii Fluff – wyjaśnił, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Proszę zejść mi z oczu – rozkazałem, drżąc z obrzydzenia.

– A co pan przygotowuje?

Ray zaciekawił się, widząc, jak smaruję każdą kromkę masłem.

– Grillowanego Fluffernutera. To dopiero nowa technologia! Zgiń, przepadnij, niewierny!

Kiedy grillowałem własny specjał, który swoją drogą był nieopisanie pyszny, Ray siedział i przeżuwał obrazoburczą imitację kanapki piankowo-orzechowej. Kiedy skończył, wstawił talerz do zmywarki. Odprowadzałem porucznika wzrokiem, gdy wychodził. Potem chwyciłem jego talerz przez brudny ręcznik. Opuściłem mesę, skręciłem w lewo i zszedłem poziom niżej, ku lewej burcie. Kiedy dotarłem do najbliższej

śluzy, wrzuciłem do niej talerz i ręcznik, zamknąłem drzwi i podwyższyłem ciśnienie w śluzie.

– Mostek, mówi Bishop – zakomunikowałem. – Czy ktoś jest teraz poza pokładem?

– Yyy, nie, sir – usłyszałem. – Dlaczego pan pyta?

– Zamierzam otworzyć lewą śluzę D-7. Nie ma powodów do niepokoju.

Wcisnąłem przycisk awaryjny. Drzwi zewnętrzne stały się otworem, a nieczyste talerz i ręcznik wyleciały w przestrzeń międzygwiazdną.

Ktoś mógłby powiedzieć, że grubo przesadziłem, ale po co ryzykować?

*

– Sir? – Simms stanęła w drzwiach mojego gabinetu.

– Proszę wejść. – Wskazałem jej krzesło.

Nie była to pora na codzienne spotkanie, a moja oficer wykonawcza nie zgłaszała żadnego problemu. Czego mogła chcieć?

– Słucham.

– To sprawa osobista.

– Aha...

Wcisnąłem guzik pod ogromnym blatem, aby zamknąć drzwi. Miałem nadzieję, że chodzi o samą Simms, a nie o kogoś z załogi. Na obu okrętach mieliśmy elitarnych żołnierzy... no, może z paroma wyjątkami, wliczając w to mnie. Rzadko zdarzały nam się problemy z dyscypliną, a jeśli już, to wynikały one ze znudzenia po służbie i patrzenia wciąż na te same twarze. Przyjęcie cywilów na pokład miało zbawienny wpływ na morale. Zespół nie tylko odniósł wielki sukces, ale miał co robić po godzinach dzięki obecności dzieci. Interakcja z ciężko doświadczonymi maluchami służyła chyba nawet bardziej

piratom niż samym dzieciom.

Motywacja spadła, kiedy przenieśliśmy wszystkich cywilów na „Walkirię”, aby zabrać ich na Avalon. Pasażerowie znowu zaczęli okazywać lęk, gniew i zmęczenie ciągłym przrzucaniem z okrętu na okręt.

Właśnie o tym myślałem, gdy Simms usiadła naprzeciwko mnie. Wzięła głęboki oddech i złożyła ręce na kolanach.

Wyglądałoby to jak oznaka kłopotów, gdyby nie to, że podpułkownik wyglądała na szczęśliwą.

– Frank i ja...

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Czyżby zerwali zaręczyny?

– Chcemy się pobrać – dokończyła.

– Och... – odetchnąłem z ulgą. – No jasne, w końcu po to się zaręczyliście – rzuciłem.

– Chcielibyśmy wziąć ślub już teraz – wyjaśniła, widząc, że nic nie rozumiem. – Tutaj, na okręcie. Jeszcze zanim dotrzemy na Avalon. Po lądowaniu nie będzie na to czasu. – Westchnęła.

– Mogliśmy podjąć tę decyzję, kiedy jeszcze „Holender” był w pobliżu, żeby wszyscy mogli przy tym być, ale tyle się wtedy działo...

– Świetnie! Gratuluję wam! – W końcu doznałem olśnienia.

Wiedziałem już, z czym przyszła do mnie Simms. I jakie plotki chciał mi wcześniej przekazać Skippy. – Na pewno wiadomo pani, że kapitanowie okrętów mają prawo udzielać ślubów.

Będę zaszczycony...

– Znaleźliśmy już kogoś innego. Alvareza, od komandosów.

Przed wylotem z Ziemi był pastorem.

– Duchowny i komandos?

– Twierdzi, że Bóg powołał go do zabijania jaszczurów –

odparła z uśmiechem. – Żartowałam, sir. Posługa pastora była dla niego dodatkowym zajęciem. Zgodził się przewodniczyć

ceremonii.

- Jasne. – Staralem się ukryć zawód. – Simms, panna młoda zwykle ma druhnę, ale z chęcią zostanie pani družbą.
- Moją druhną będzie Reed.
- Aha. Cóż, niezbyt dobrze znam Franka, ale...
- Jego družbą zostanie Friedlander.
- No dobrze... – Coś mi mówiło, że byłem ostatnią osobą na pokładzie, która dowiadywała się o nadchodzących zaślubinach. – Mam zorganizować Frankowi wieczór kawalerski?
- Tym też zajmuje się Friedlander. Będzie to skromna impreza w gronie najbliższych przyjaciół.
- Może mam upiec tort? Nigdy nie...
- To także już załatwiłam.
- Okej... Czy do czegokolwiek wam się przydam?
- Owszem – westchnęła. Widać miała wrażenie, że ta rozmowa robi się niezręczna. – Proszę powiedzieć Skippy'emu, że nie wolno mu śpiewać na weselu.
- Kurde... I tylko o to pani chodzi?
- Sir, naprawdę, nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego prezentu ślubnego.
- Jasna sprawa. – Uśmiechnąłem się, z trudem maskując rozczarowanie. – Dla pani wszystko, Simms. Czy planujecie ślub wojskowy?
- Nie. Raz w życiu chciałabym założyć ładną sukienkę. Byłam druhną już z pół tuzina razy. Teraz moja kolej.
- W porządku. A ja mogę założyć mundur galowy?
- Oczywiście, sir.
- To wszystko?
- Nie... Potrzebujemy jeszcze didżeja na wesele.
- Ciężka sprawa. Jeżeli Skippy nim zostanie, na pewno będzie

chciał śpiewać.

– Nie, nie – zaśmiała się. – Myślałam raczej o panu.

– O mnie?

– Ma pan w tym doświadczenie.

– No tak. – Nie miałem pojęcia, że komukolwiek podobało się, kiedy stałem za konsolą. Sądziłem, że ludzie po prostu zachowują się uprzejmie wobec dowódcy. Od razu poweselałem. – Byłoby świetnie! Jaką muzykę lubi Frank?

– Może omówimy listę utworów wieczorem przy kolacji? Mam nadzieję, że ślub odbędzie się pojutrze.

Udałem, że sprawdzam kalendarz.

– O rany, będę wtedy bardzo zajęty, ale dla pani zawsze znajdę czas.

Skippy oczywiście wszystko słyszał. Gdy tylko Simms wyszła, jego awatar pojawił się nad biurkiem.

– Żadnego śpiewania, tak? – zapytał, krzyżując ramiona. – Mój występ miał być prezentem dla pary młodej! Czuję się znieważony!

Czasami mój mózg pracuje nadzwyczaj szybko. To była jedna z tych chwil.

– Skippy, posłuchaj – ściszyłem głos do konspiracyjnego szeptu. – To żadna zniewaga!

– Na pewno? Odniosłem wręcz przeciwne wrażenie.

– Na pewno – skłamałem. – Dla Simms to będzie wielki dzień. Jako panna młoda, powinna być w centrum uwagi. Jeżeli zaczniesz śpiewać, zaabsorbujesz swoją osobą wszystkich obecnych!

– Ha... – Odchylił głowę w zamyśleniu. – No tak, to zrozumiałe. Ale Simms i tak zachowała się egoistycznie, pozbawiając gości mojego niewiarygodnego talentu.

– Tylko jeden dzień... To dla niej wyjątkowa okazja, chyba to

rozumiesz.

- Niech będzie. Znasz mnie, zawsze chcę czynić innym jak najlepiej.
- Wszyscy tak o tobie mówią. – Musiałem się wysilić, żeby nie przewrócić oczami.
- A zatem pora na plan B. Pomogę ci w obowiązkach didżeja.
- W sumie liczyłem, że sam się tym zajmę...
- Ty?! No dobrze, możesz być główną gwiazdą, ale przyda ci się pomoc. Podrzuciłem ci na laptopa kolekcję utworów.
- Ekhm... – Spojrzałem na nowy plik. – Nie.
- Jak to nie?
- Skippy, szwedzki death metal nie pasuje na wesele.
- To ty tak sądzisz.
- Wszyscy tak sądzą!
- Ale...
- Death metal odpada. Tak samo jak tybetańskie śpiewy gardłowe i... – Sprawdziłem listę. – Klingońska opera? Serio?
- Jest bardzo popularna, Joe.
- Chyba podziękuję.
- Dlaczego tylko ty masz się dobrze bawić?
- Skippy, źle do tego podchodzisz. Nikt nie zwraca uwagi na faceta za konsolę. Ja będę tylko stał w tle i puszczał piosenki. Ty zajmiesz się czymś, o czym będą mówić wszyscy!
- To znaczy?
- Skąd, twoim zdaniem, Simms wytrzaśnie suknię ślubną? A Frankowi potrzebny będzie smoking.
- O... O rany – zachwycił się. – Miałbym zaprojektować suknię? – Jego hologram aż zadrżał. – Już nie mogę się doczekać. To będzie coś naprawdę magicznego, Joe.
- Spoko, jeśli Simms właśnie tego chce...
- Daj spokój, panna młoda sama nie wie, co dla niej dobre.

Zaprojektuję...

– Zaprojektujesz taką suknię, jakiej zażyczy sobie Simms.

– Oczywiście, będę otwarty na jej sugestie. Może skontaktuję się z nią od razu i zacznę już teraz?

– Daj jej chwilę, Skippy. Musi wiele przemyśleć.

– Że co? Nie ma czasu, Joe! Ech, po co jeszcze z tobą gadam?

Awatar zniknął.

*

Frank Muller, jak każdy na pokładzie okrętów pirackiej floty, miał wiele okazji, aby pogadać ze Skippym. Być może aż za wiele. Poza tym Skippy najczęściej po prostu mówił do Mullera, zamiast nawiązywać rozmowę.

Frank nie był więc zdziwiony, gdy SI odezwała się do niego.

Tyle tylko, że mężczyzna był akurat w łazience w samej bieliźnie i próbował się golić.

– Frank! Frank, Frank, Frank, Frank...

– Ski... – Muller połknął kulkę pianki do golenia. Wykaszłał ją do umywalki. – Skippy? Skąd ten alarm?

– No nie żaden alarm. Mam wspaniałe wieści! Aha, gratuluję ślubu i w ogóle...

– Dziękuję... chyba.

– I fajnie. Skoro już mamy za sobą tę uprzejmą gadkę szmatkę, oznajmiam ci, że dostałeś niezwykle zaszczytu. Otóż zaprojektuję i uszyję twój smoking.

– To... – Frank zastanawiał się, co ma na to odpowiedzieć. – To bardzo miło z twojej strony.

– „Miło” to za mało powiedziane, ale później będziesz mi dziękował jak należy. Do roboty, nie mamy czasu. Pierwsza opcja to...

– Skippy, właśnie się golę. – Muller przejrzał się w lustrze. – Nie jestem nawet w połowie.

- Spokojnie, nikt tego nie zauważy. Spłucz wszystko i po krzyku.
- Hej! – zaprotestował Frank, kiedy lustro zamigotało i pojawił się na nim krzykliwy strój. – Nie widzę swojego odbicia... – Przyjrzał się bliżej. – Czy to ekran?
- Oczywiście. Zwykle jest ustawiony na tryb lustrzany. Wy, małpy, lubicie się mizdrzyć.
- A czy ten ekran działa... w obie strony?
- Pewnie. Jak inaczej miałbym cię obserwować?
- Wprowadziłem
twoje wymiary do...
- Stop! – Frank przykucnął przy niskiej umywalce. Ściągnął z wieszaka ręcznik, którym następnie się owinał. – Podglądasz mnie?
- Tylko po to, żeby wziąć miarę. I sprawdzać parametry życiowe. Powinieneś przystopować z przetworzonym żarciem.
- Innego tu nie mamy!
- Mówię tylko, że nie umrzesz, jeśli od czasu do czasu zjesz sałatkę.
- Jennifer mówi to samo. – Frank westchnął. – Jeśli przejrzę z tobą te smokingi, czy dasz mi potem spokój?
- Zgoda. To nie potrwa długo. Na początek mój osobisty faworyt. Drapieżna kreacja z imitacji skóry aligatora! Zobacz sam! Niezłe, co?
- No... nie bardzo.
- Jesteś pewien, że chcesz przepuścić taką okazję? – naciskał blaszak.
- Skippy. – Muller parsknął śmiechem. – Jeśli zjawię się na ślubie w czymś takim, nie będzie to dobry początek mojego małżeństwa.
- Ale dlaczego? Spójrz na to z innej strony. Jeśli Jennifer

uzna, że wygładasz okropnie, a mimo to i tak za ciebie wyjdzie, będzie to znaczyło, że jesteście dla siebie stworzeni.

– Wolałbym nie ryzykować.

– No dobrze – burknął Skippy. – Po co zadaję się z ta ki mi barbarzyńcami? Propozycja numer dwa. Ta jest z imitacji skóry rekina.

– Też odpada.

– Hmm... Domyślam się, że wolisz coś bardziej tradycyjnego. Może klasyczny smoking w kolorze jasnego błękitu?

– Może nie. Czarny, Skippy. Po prostu czarny.

– Nuda! Bierzesz ślub na kradzionym okręcie kosmicznym. Nie chciałbyś, żeby było bardziej wstrząsająco?

– Wolałbym oszczędzić wstrząsu swojej narzeczonej.

– Racja. Poczekaj, poprawię jeszcze parę rzeczy i... gotowe!

– Wygląda... – Frank przekrzywił głowę w lewo, a potem w prawo. – Ciekawie.

– Prawda? Klasyczna czerń plus przebojowy wygląd! Zwykle, nudne smokingi mogą się schować.

– Czy to strój ninja?

– Jasne. Czarny, wedle twojego życzenia. Do tego lśniące, skrzyżowane katany na plecach i odrobina blichtru, bez zbędnego kiczu. Będziesz miał osłoniętą głowę, więc tego dnia możesz zrezygnować z golenia.

– Mnie się podoba!

– Wspaniale. Ju-huu! Będzie...

– Ale Jennifer na pewno się nie spodoba. Więc też odpada.

– Frank, to będzie także twój ślub.

– Widać, że nigdy się nie żeniłeś.

– Ależ to niesprawiedliwe! W ogóle nie masz nic do gadania?

– Po pierwsze, jest mi to obojętne. Po drugie... mam to gdzieś. Jeśli Jennifer będzie zadowolona, to ja też.

- Nie masz zdania o własnym stroju na ślub?
- Ano nie mam. Hmm... Jak się nazywał ten film z panem Darcym?
- Chodzi ci o „Dumę i uprzedzenie” czy „Dziennik Bridget Jones”?
- Ten, gdzie ludzie chodzili w staromodnych strojach, a Darcy wpadł do jeziora.
- Czyli pierwszy tytuł. I co z nim?
- Jen uwielbia ten film. Mógłbyś mi przygotować takie ciuchy, jakie miał Darcy?
- Wiesz chyba, że nie zdołam cię do niego upodobnić, prawda?
- Daj z siebie wszystko.
- Niech będzie! Nie pożałujesz.

*

Skippy, jak to Skippy, obudził mnie o drugiej siedemnaście nad ranem.

- Joe! Hej, hej, Joe! Śpisz?
- Śpię.
- To super. Słuchaj, chciałem cię prosić o przysługę.
- Nie możesz poczekać z tym do rana? – wymamrotałem, nie otwierając oczu.
- Nie! To sprawa krytycznej wagi!
- O kurwa! – Zerwałem się z łóżka, poszukując stopami butów. – Co jest?
- Simms nie może albo nie chce się zdecydować!
- Chyba żartujesz... Chodzi o ślub?
- Naturalnie. Jak mógłbym w takiej chwili myśleć o czymś innym? Czas ucieka, Joe! Chcę, żebyś wkroczył do akcji i kazał jej wybrać suknię!
- Mowy, kurwa, nie ma!

– Ale...

– Skippy, wolałbym pocałować kobrę z języczkiem. Już to byłoby bezpieczniejsze. Nie mogę powiedzieć kobiecie, jaką sukienkę ma założyć. Wybór należy do niej.

– Zgadzam się, sęk w tym, że powinna wybrać choć jedną. Obojętnie którą. Może poza tymi okropnymi projektami, które mi pokazała. Uch! – stęknął z obrzydzeniem. – Co ona sobie myślała? Sądziłem, że znam ją na wylot, a ona...

– Dobranoc, Skippy. – Klapnąłem na łóżko i zakryłem głowę poduszką.

– Nie pomożesz mi? – zaskrzeczał blaszak z oburzeniem. W odpowiedzi uniosłem środkowy palec.

– Jak chcesz. To ty poniesiesz winę za tę farsę! Ja umyвам rękę.

*

Ślub był magiczny. Oczywiście na tyle, na ile pozwalały warunki w pustej ładowni, którą przerobiliśmy na świetlicę. Wcześniej pochowaliśmy sprzęty do zabawy albo poustawialiśmy je pod ścianami i zakryliśmy plandekami. Przyznam, że Skippy przeszedł samego siebie. Co prawda, jako dowódca Simms, nie powinienem zwracać uwagi na jej wygląd, pozwolę sobie jednak nadmienić, że w eleganckiej sukni od Skippy’ego wyglądała olśniewająco. Blaszak napracował się też, produkując dekoracje i drobne podarunki dla gości. Każdy z cywilów dostał nowe, eleganckie ubrania. Jak można się spodziewać, dziewczyny były wniebowzięte, a chłopcy czuli się nieswojo. Frank w swoim smokingu nie wyglądał na bardziej skrzępowanego niż zazwyczaj. Słyszałem, że wybił Skippy’emu z puszki pomysł na strój ze sztucznej skóry aligatora.

Prawdę mówiąc, na miejscu Franka skorzystałbym z tej

oferty, ale w końcu to jego ślub.

Ja założyłem mundur galowy. Nowy, ciemnozielony, nie granatowy, który od niepamiętnych czasów wisiał w mojej szafie. Uniform był na mnie za duży, a Skippy musiał przerobić spodnie, żeby dobrze leżały w talii. Nie odzyskałem jeszcze kilogramów, które straciłem na Rikers... ale może to i lepiej? Na weselu oczywiście było sporo jedzenia. Może nawet trochę zbyt ekstrawaganckiego, zważywszy na nasze skromne zapasy. Co prawda nie przygotowałem tortu, ale upiekłem czternaście tuzinów babeczek, które zniknęły tak szybko, jak gdyby na wesele wpadła ławica babeczkożernych piranii.

Najlepszy momentem... przynajmniej dla mnie... Tak, wiem, powinienem powiedzieć, że najmilej było mi widzieć, że Jennifer i Frank są szczęśliwi. To też było super. Ale wszyscy cieszyli się razem z nimi. A tylko ja miałem szansę zabłysnąć jako didżej.

Wiem, wiem, takie gadanie nie najlepiej o mnie świadczy. Trudno, co zrobić?

Tak czy inaczej, puszczałem przebój za przebojem, a wszyscy ruszyli w tany. Dzieci tańczyły tak, jakby nikt ich nie widział. Czyli tak, jak powinno się to robić. Obserwowałem gości i najpierw zarzucałem energiczne kawałki do tańca, by potem dać im chwilę wytchnienia przy wolniejszych utworach. Nie ograniczałem się do zwykłego odtwarzania piosenek i dorzuciłem co nieco od siebie.

Na początku jednego ze spokojniejszych utworów Skippy krzyknął do mnie przez słuchawkę:

– Joe! Co to miało być, u licha?

– Jak to co? Po prostu odtworzyłem piosenkę.

– Wcale nie! Zepsułeś ją! Powtarzałeś fragmenty, jakby plik się zaciął. A potem zatrzymałeś utwór i wydałeś odgłos, jakbyś

skrobał paznokciami po tablicy.

– To był kawałek hip-hopowy, palancie! A ta technika to backspin i scratching! Goście byli zachwyceni!

– Poważnie? Mnie to brzmiało raczej jak usterka zasilania. Nawet wysłałem bota, żeby ją naprawił.

– Jedynym problemem jest to, że nie doceniasz dobrej muzyki.

– To miała być muzyka? Dobrze sobie. Powinieneś występować jako DJ Debil bez Prądu.

– Wystarczy DJ Joey B.

– Jasne – prychnął. – Pod warunkiem że B oznacza barana.

– Pogadamy później, Skippy.

ROZDZIAŁ 30

– Hej, Joe... – zagadnął mnie Skippy.

W mojej głowie od razu zapaliła się czerwona lampka. Nie było to „heeej, Joe”, którym blaszak zapowiadał, że zaraz zwali mi na głowę tonę gówna. Mówił jeszcze bardziej niepokojącym tonem, oznaczającym, że coś przeskrobał i chce, by mu się upiekło. Trochę jak dzieciak, chcący zapytać mamę, czy mógłby pożyczyć piłę łańcuchową i puszkę oleju spożywczego, a przy okazji czy gdzieś w garażu jest może miotacz ognia.

– Co tym razem knujesz, Skippy?

Udało nam się przedostać przez supertunel do galaktyki Karła Rzeźbiarza, a następnie przez chroniony hasłem korytarz do Bazy Beta. Za trzy godziny mieliśmy zbliżyć się do Avalonu. Siedziałem akurat w gabinecie, przeglądając listę zapasów, które trzeba będzie przesłać na powierzchnię jeszcze przed lądowaniem pasażerów.

– Jak śmiesz? – obruszył się Skippy. – Teraz to chyba nic ci nie powiem.

– Punkt dla mały – mruknąłem.

– Ach tak? – prychnął. – Dobrze, sam tego chciałeś!

– Pewnie, że chciałem.

Błaszak milczał zawzięcie przez całe dwadzieścia sekund.

Musiała być to dla niego prawdziwa męczarnia.

– Joe – powiedział w końcu – jakkolwiek uwłaczają mi twoje niesprawiedliwe insynuacje, sądzę, że musimy omówić sytuację przed przylotem na Avalon. Robię to dla ciebie.

– Nie, dziękuję.

– Ale...

– Naprawdę, nie musisz zawracać sobie puszki.

– Niestety, Joe... – westchnął teatralnie. – Moja niewypowiedziana wspaniałość nakłada na mnie obowiązek działania nawet, gdy twoim zdaniem nie ma takiej konieczności. Najwyraźniej nie zamierzał przyjąć odmowy. Mogłem albo wysłuchać go i mieć to z głowy, albo dokończyć rozmowę, kiedy znowu obudzi mnie w środku nocy.

– Przyjmij moje przeprosiny, Wasza Wspaniałość. Przed jakim to straszliwym zagrożeniem musisz uchronić biedne małpy?

– Problem w tym, że nie wiem.

Zaciekawiłem się. Cokolwiek wymyślił, sprawa była ważna.

– Czego nie wiesz?

– Nie wiem, czy to potencjalne zagrożenie jest rzeczywiście niebezpieczne.

– Powiedz, o co ci chodzi.

– O Maris.

– Cholera, znowu?

W Pułapce na Karaluchy znajdowała się planeta, której Skippy nie widział, ale którą zlokalizował, obserwując wpływ jej przyciągania na inne okoliczne światy. Nazwaliśmy tę niewidzialną planetę Verą, od wiecznie nieobecnej żony Norma

Petersona z serialu „Zdrówko”. Skippy podejrzewał, że przy Bazie Beta również istnieje podobny, niewidoczny świat. Idąc za ciosem, nazwaliśmy go Maris, od imienia małżonki Nilesa Crane’a z sitcomu „Frasier”, która podobnie jak Vera, nigdy nie pojawiła się na ekranie.

- Znowu – potwierdził.
- Mówiliśmy o niej już wczoraj.
- Może ty. Ja zgłaszałem uzasadnione wątpliwości, a ty mnie olałeś.
- Owszem i zamierzam robić to dalej.
- Joe, mógłbyś przez chwilę zachowywać się poważnie?
- No nie wiem. A ty?
- Postaram się. A więc słuchaj, tępą pałą...
- To ma być powaga?
- A co? Nie jesteś tępą pałą?
- Dobra, wyrzuć to z siebie.
- Musimy sprawdzić sprawę Maris.
- Skippy, wiem, że aż palisz się, żeby sprawdzić, dlaczego Pradawni ukryli całą planetę. Powiem ci to samo, co powiedziałem na temat Very. Nie. Nie będziemy ryzykować przebudzenia tego, co może się tam ukrywać.
- Z Verą było inaczej, Joe.
- Niby z jakiej racji?
- Pradawni nie chcieli, aby ktokolwiek zapuszczał się do Pułapki na Karaluchy. Z kolei przy Maris nie rozstawili Opiekunów, Strażników ani innych zabezpieczeń.
- Nie musieli, bo żeby się tam dostać, trzeba było najpierw obudzić supertunel, a potem podać właściwe hasło przy kolejnym tunelu. Moja odpowiedź w dalszym ciągu brzmi nie.
- Zastanów się. Stawiasz wszystko na jedną kartę. Już

wkrótce Avalon może stać się ostatnim miejscem we wszechświecie zamieszkanym przez ludzi. Maris stanowi niewiadomą. Nieznane ryzyko.

– Szlag.

– Mam rację?

– Może.

– Czy mam to uznać za tak?

– Powiedziałem „może”.

– Ale brzmiało to jak tak.

– Kurwa... – jęknąłem.

– O, to zdecydowanie była odpowiedź twierdząca.

– Pokaż, co wiesz o tej planecie.

*

Maris była najprawdopodobniej gazowym olbrzymem, mniej więcej wielkości Saturna. Skippy oszacował jej ogólną masę, rozmiar i inne cechy na podstawie przyciągania innych ciał niebieskich, a nawet drgań, w jakie planeta wprowadzała gwiazdę. Dlaczego więc nie potrafił wskazać jej dokładnego położenia? Ponieważ Pradawni dysponowali technologią mogącą rozpraszać pole grawitacyjne planety. Grawitacja Maris nie tworzyła pojedynczego zagłębienia w strukturze czasoprzestrzeni, ale raczej coś na kształt płytkiego rowu wokół orbity. Przemierzając miliony kilometrów w nieznanym kierunku, Maris przypominała raczej rząd głazów o masie planety. Skąd pewność, że świat ten nie został zniszczony i że rzeczywiście nie zmienił się w długi i wąski pas asteroid? Stąd, że pole maskujące było mniejsze niż studnia grawitacyjna, czy raczej rów grawitacyjny. Gdzieś tam była prawdziwa planeta. Pytanie tylko, dlaczego była aż tak ważna, że Pradawni zamaskowali ją w niedostępnym układzie gwiazdnym poza Drogą Mleczną?

– Przykro mi, Skippy. – Potrząsnąłem głową. – Maris na razie milczy. Jeśli damy jej spokój, pewnie odpłaci nam tym samym.

– A jeśli ta planeta jest jak drzemiący niedźwiedź?

– Wiem tyle, że lepiej nie drażnić śpiącego zwierza.

Przyznaję, że podejmujemy nieznane ryzyko. Uważam jednak, że w tej chwili poznanie prawdy jest bardziej ryzykowne niż trwanie w niewiedzy.

– Jesteś pewien, Joe? Jeśli coś pójdzie nie tak, ponieważ nie ustaliłeś, czy Maris stanowi zagrożenie, cała wina spadnie na ciebie.

– SEONZ mogą mi to dopisać do rachunku. – Westchnąłem ze znużeniem. – Posłuchaj, zdaję sobie sprawę z powagi problemu. Nic nam jednak nie przyjdzie z myśzkowania na planecie, którą Pradawni chcieli pozostawić w ukryciu. Dajmy jej spokój.

– Ale...

– Żadnych ale, Skippy. Cokolwiek znajduje się na Maris, nie zareagowało na naszą obecność na Avalonie. Nie będę kusił losu. Gdybyśmy mieli inną Bazę Beta, bez ukrytej planety, skierowałbym nas do niej. Ale że mamy tylko jedną, nie możemy pozwolić sobie na głupie decyzje. Koniec dyskusji.

*

Cywile z jednej strony odczuwali lęk na myśl, że już na zawsze zostaną na Avalonie. Z drugiej jednak, byli bardzo ciekawi nowego świata, i to jeszcze w innej galaktyce! Udałem się na planetę na pokładzie pierwszego lądownika, zawałonego sprzętami niezbędnymi do postawienia tymczasowych kwater, zanim sprowadzimy z „Walkirii” tłum ludzi. W głównym obozie były puste szalasy, pozostałe po pierwszym badaniu Avalonu jako potencjalnej Bazy Beta.

Kiedy wskoczyliśmy na orbitę, z radością zauważyłem rozległe pola uprawne otaczające główną osadę, a także oznaki,

że niewielka grupka ludzkich kolonistów miała pełne ręce roboty. Obóz rozrósł się do rozmiarów wioski, z jednym dużym szałasem pośrodku i chatami mieszkalnymi wokół. Na północnej równinie, niegdyś służącej za lotnisko, stały opuszczone jednostki latające, zakryte plandekami. Wszystko wyglądało na uporządkowane. Musiałem pamiętać, że wciąż trwają badania nad możliwością uprawy określonych roślin na nowej planecie i trzeba będzie jeszcze wiele pracy, zanim farmy na Avalonie zaczną dostarczać żywność coraz większej populacji.

Patrząc na kilka akrów zadbanych upraw, przypomniałem sobie, że będziemy musieli sprowadzić z Ziemi całe tony żywności.

Kiedy lądownik spoczął na lotnisku, a pył opadł, przecisnąłem się między skrzyniami w głównej kabine, aby wyjść drzwiami bocznymi. Hans Chotek wyszedł mi na powitanie. Rozmawiałem z nim już wcześniej, gdy byłem na „Walkirii”, aby przedstawić mu sytuację. Dyplomata nie był szczególnie zadowolony, doceniałem jednak, że zdołał choć na chwilę utrzymać innych komisarzy ONZ z dala ode mnie. Ta trójka będzie miała dość czasu, żeby na mnie nawrzeszczyć, zanim zabiorę „Walkirię” na spotkanie z „Holendrem”, a potem, miejmy nadzieję, dostanę się Łapaczem na Ziemię.

– *Guten Tag*, Joe – powiedział Hans z wymuszonym uśmiechem. – Czy od naszej ostatniej rozmowy zdarzył się jakiś cud?

– Niestety nie. – Pokręciłem głową. Chotek wyciągnął rękę na przywitanie, ja jednak miałem w nosie takie uprzejmości. Objąłem go w niedźwiedzim uścisku.

– Uch! – stęknął. – Od wczoraj bolą mnie plecy. – Skrzywił się, gdy się rozdzieliliśmy. – Codziennie pracujemy w polu.

- Nic ci nie jest?
- Doktor Skippy zdążył już zdiagnozować u mnie naciągnięty mięsień. Podobno macie na pokładzie jakieś tabletki.
- Jeśli skieruje cię na dalsze badania, koniecznie odmów. Nadlatywał kolejny lądownik. Dałem drugiemu pilotowi znak, aby zabezpieczył naszą jednostkę. Hans poprowadził mnie daleko od lądowiska.
- Zespół STAR Smythe’a jest na „Holendrze”. – Nie wyjaśniłem dlaczego. Chotek był dość inteligentny, by samemu się domyślić. – Z kolei my na pokładzie mamy paru nowych ludzi. Komandosów z Paradise. Spojrzał na mnie pytająco.
- To długa historia – krygowałem się. – Połowa tych ludzi jest u nas. Wykorzystają pancerze wspomagane przy rozładunku lądowników, aby praca szła szybciej. Nie zabawimy tu długo. „Walkiria” wystartuje, gdy tylko Simms upewni się, że oddaliśmy wam wszystko, co mogliśmy.
- Wciąż zamierza tu pozostać?
- Tak.
- Nie wróżę jej przyjemnego miesiąca miodowego w takim miejscu. – Wskazał na zbieraninę chat.
- Myślę, że jej to nie przeszkadza. Hans, wszyscy martwimy się o cywilów, zwłaszcza dzieci. Na Rikers ci ludzie przeszli przez piekło, a my raczej im nie pomogliśmy. Przerzucaliśmy ich z okrętu na okręt, potem trafili na Klub Skippy’ego, a teraz tutaj. Trzeba im zapewnić jak największą stabilność.
- Dzieci potrafią być zaskakująco wytrzymałe – zauważył Chotek.
- Każdy ma jakieś granice. Trzy godziny później trwał już rozładunek mojego lądownika. Niedługo miałem wrócić na orbitę. Miałem ostatnią szansę,

żeby pomówić na osobności z Simms. Chciałem zasięgnąć jej rady w sprawie, która nie dawała mi spokoju.

– Skippy, muszę pogadać z Simms.

– Daj jej sygnał, tępaku! Wszystko muszę za was robić?

– To sprawa osobista. Dla niej, nie dla mnie. Nie chciałaby, żeby ktoś nas podsłuchiwał. Zostawiam telefon w obozie.

– Hmm, zachowujesz się co najmniej dziwnie, Joe.

– To ważne. Chcesz, aby Simms dowiedziała się, że uparłeś się, żeby nas słuchać?

– Mowy nie ma. Bawcie się dobrze i uważajcie na niedźwiedzie.

– Na tej planecie nie ma groźnych drapieżników.

Wyciągnąłem słuchawkę i schowałem ją do plecaka wraz z zFonem. Simms pracowała na laptopie, siedząc na rozkładanym krześle w cieniu płóciennego dachu. Podszedłem do niej, udając, że wyciągam coś z ucha.

– Oficerze wykonawczy, chciała pani porozmawiać...

– O czym, sir?

– No, wie pani... – Na migi poleciłem jej zostawić telefon. Spojrzała na mnie niepewnie, unosząc brwi.

– Ach, no tak, już sobie przypominam.

Odeszliśmy od obozu, najpierw ścieżką, a potem polami.

Rozgarnialiśmy ogromne paprocie, aż w końcu dotarliśmy do strumienia. Przysiadłem na omszałej skale. Simms wybrała sobie taką, która nie zieleniła się od mchu.

– Jesteśmy wystarczająco daleko od obozu – uznałem.

– Powie mi pan w końcu, o co chodzi?

– O Skippy’ego. Możemy mieć poważny problem.

– Gorszy od wszystkich naszych aktualnych kłopotów?

– Tak. Ich rozwiązanie zależy od Skippy’ego. Jeśli nam nie pomoże albo będzie przeciwko nam, nasze działania przestaną

mieć znaczenie.

– Zaczynam się bać. Skąd pomysł, że Skippy miałby zwrócić się przeciw nam?

– Nie zrobiłby tego umyślnie, ale mógłby nie mieć innego wyboru. – Potem opowiedziałem jej o podejrzeniach Skippy’ego

co do powodów kapitulacji SI nad Newark.

– Może mieć w sobie bombę zegarową? – zapytała Simms.

– To jedna z możliwości. Ale wcale nie najgorsza.

– Jak to?

– Najgorzej byłoby, gdyby blaszak dyskretnie, ale nieświadomie utrudniał nam pracę. Powiedział, że sieć tuneli wywiodła go w pole. Nie wiedział, że nastąpi przesunięcie innych tuneli i otwarcie uszpionych przejść. Może to prawda. A może jakaś ukryta część Skippy’ego od zawsze o tym wiedziała?

– O rany...

– Jeśli chodzi o następstwa rozmów z siecią, musimy wierzyć Skippy’emu na słowo. Równie dobrze mógł kazać sieci przenieść i otworzyć Miotłę.

– Sir, proszę tego nie robić.

– Ale czego?

– Proszę nie drażnić tego tematu. Nawet jeśli Skippy podświadomie działa wbrew nam, nie wiemy, czy nas zdradził. On sam tego nie wie. Nie ma sensu zadręczać się rzeczami, na które nie mamy wpływu. Sam pan mówił, że nie mamy wyboru. Bez Skippy’ego równie dobrze możemy od razu się poddać.

– Racja. Przepraszam, że zrzucam to pani na głowę.

– Sir, jestem pańskim oficerem wykonawczym. Po tylu latach wspólnej służby mam nadzieję, że wie pan także, że ma pan we

mnie przyjaciółkę. – Ścisnęła moją dłoń. – Jeśli coś pana martwi, proszę przyjść z tym do mnie. Musi pan z kimś o tym porozmawiać. Cieszę się, że miał pan odwagę mi o tym powiedzieć.

– Dziękuję za wsparcie. – Przestałem trzymać ją za rękę, zanim zrobiło się niezręcznie... Cholera, teraz miałem wyrzuty sumienia, że nie powiedziałem jej, dlaczego Skippy tak naprawdę zostawił nas nad Rikers.

Kiedys na pewno jej o tym powiem.

– Rozumiem już, dlaczego nie chciał pan, żeby Skippy nas podsłuchiwał – powiedziała Simms.

– No tak, przecież on...

– To był błąd, sir.

– Naprawdę?

– Tak. Skippy musi wiedzieć, że jego podświadomość może już teraz zwracać się przeciwko niemu. Powinien wypatrywać wszelkich oznak. W przeciwnym razie ta rozmowa do niczego nie doprowadzi.

– Nie mówiłem mu o tym, bo i tak boi się tej bomby, którą może skrywać. Ale ma pani rację, musi się o tym dowiedzieć.

– Zwykle mam rację. A pan musi ufać swoim ludziom.

– Fakt. Wracajmy.

*

Już w obozie wyciągnąłem telefon i umieściłem słuchawkę w uchu. Skippy od razu do mnie zadzwonił.

– Cześć, Joe. Miło się gadało z Simms? Nie chodziło o jakiś, hmmm, samiczy problem?

– Simms to kobieta, a nie żadna samica. Ale nie, nie chodziło o nią. Rozmawialiśmy o tobie.

– O mnie? Dlaczego nie...

Wyjaśniłem mu.

- Oż... – skwitował to nieobecny głosem. – No dobra. Z jednej strony wkurzyłem się, że nie powiedziałeś mi o tym wprost. Z drugiej muszę ci chyba podziękować, skoro pomyślałeś o moich uczuciach.
- Cóż, staram się...
- Mimo że wykazałeś się całkowitą niekompetencją w tym temacie.
- Robię, co mogę.
- Przykładaj się bardziej, Joe. Ale o tym porozmawiamy kiedy indziej. Teraz muszę przemyśleć twoje słowa... Kurde, żeby dowiedzieć się prawdy, muszę zapytać sieć tuneli o polecenia, jakie jej wydałem.
- Możesz to zrobić z tego miejsca?
- Nie. Będę to w stanie omówić jedynie z siecią lokalną blisko Ziemi. Chcesz usłyszeć radosną nowinę?
- Jasne, obojętnie jaką!
- Choć istnieje możliwość, że jakaś podświadoma część mnie przekazała sieci błędne instrukcje, wątpię, by się to zdarzyło. Protokół wymagał, aby sieć powtórzyła przyjęte polecenia. W ten sposób upewniałem się, że mnie zrozumiała. A dlaczego? Bo nie ufam tej durnej płataninie! Problem w tym, że i tak miałem do niej zbyt wiele zaufania.
- To rzeczywiście dobra wiadomość. Pracuj dalej.
- Jasne, Joe!

*

Kiedy cywile, chcąc nie chcąc, osiedlali się w szalasach na Avalonie, my upychaliśmy na ładownikach wszelkie możliwe zapasy. Zostawiliśmy sobie tyle żywności i innych zasobów, by starczyło ich na powrót na Ziemię plus dwa tygodnie ewentualnego opóźnienia. Rozładunek okrętu to cholernie ciężka robota. „Walkiria” była krążownikiem liniowym, nie

statkiem towarowym. Krążowniki miały podróżować z eskortą i jednostkami pomocniczymi, nie projektowano ich więc z myślą o długotrwałej samowystarczalności.

Szedłem pomiędzy dokami, gdy natknąłem się na doktora Friedlandera. Wyglądał przez okno. Na pokładzie nie mieliśmy wielu okien. Aby zobaczyć, co jest na zewnątrz, zwykle korzystaliśmy z ekranów. Oczywiście dużo bardziej naturalnie było oglądać wszystko bez pomocy zaawansowanej technologii.

– Co jest, doktoru? – zagałem.

Friedlander uśmiechnął się, jednak szybko spoważniał.

– To nasz nowy dom. – Stuknął w szybę, wykonaną z jakiegoś rodzaju elastycznego diamentu. – Aż trudno uwierzyć, że spróbujemy tu założyć cywilizację.

– Taką przynajmniej mamy nadzieję. – Nie najlepiej to zabrzmiało. – Na razie jest ciężko, ale kiedyś staną tam szkoły, kościoły i sale koncertowe.

– To za mało. Musimy stworzyć zaplecze przemysłowe na planecie i nad nią.

– Tak, jasne, to...

– Budować okręty! Flotę bojową!

– Ekhm... – Zdziwiłem się, słysząc od niego takie słowa. –

Założyliśmy Bazę Beta w tym miejscu, ponieważ szukaliśmy schronienia przed wrogimi kosmitami. Jeśli kiedykolwiek zaczniemy potrzebować jednostek bojowych, będzie to oznaczać kłopoty.

– To nie tak. – Znowu wyjrzał przez okno. Spoglądając nad jego ramieniem, widziałem powierzchnię Avalonu. W polu widzenia znajdowała się głównie woda poznaczona wyspami. Całkiem przyjemny widok. –

Okręty nie będą nas broniły.

Posłużą nam jako narzędzie zemsty!

– Doktorze, rozumiem pana. „Walkiria” jest potężna, ale

nawet cała flota podobnych jednostek nic nie zdziała przeciwko...

- Nie mówię o takim okręcie. – Zastukał w przepierzenie. – Tylko o czymś lepszym. Opartym na technologii Pradawnych.
- Chwileczkę! Nie mamy...
- Skippy zna tę technologię – upierał się naukowiec. – Uda nam się zbudować okręt Pradawnych, albo przynajmniej coś na jego poziomie.
- Doktorze, doceniam entuzjazm, ale potrwa to...
- Bardzo długo, wiem. Rozmawiałem już o tym ze Skippym. Powiedział, że potrzeba tysięcy lat i zasobów z kilku układów gwiazdnych, aby choć rozpocząć produkcję materiałów do budowy jednostki Pradawnych. Odpowiedziałem mu... – zawiesił głos, wpatrując się w niemal pustą planetę pod nami – że mamy czas. I właściwie nic poza nim – dodał szeptem.
- Chyba o czymś pan zapomniał – powiedziałem łagodnie.
- Pułkowniku, jeśli zamierza mnie pan pouczać, że odwet za zniszczenie Ziemi jest moralnie...
- Pieprzyć to! – rzuciłem. – Maxolhxowie zdecydowanie zasłużyli na manto. W dupie ich mam! Problem polega na tym, że pański plan ma jedną poważną wadę.
- Doprawdy? Jaka?
- Nie możemy wykorzystać technologii Pradawnych. Kocury też jej użyły, pamięta pan? Zaatakowały pająki bronią Pradawnych. Wtedy Strażnicy przybyli, żeby zmiażdżyć obie walczące strony. Jeżeli zaczniemy budować jednostki z taką bronią, starożytne maszyny mogą zniszczyć Avalon.
- Kurwa! – zaklął. Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy usłyszałem, jak nasz miły pan doktor używa wulgaryzmu. – Może Skippy zdoła to jakoś obejść?
- Na razie to czysto akademicka dyskusja. – Położyłem mu

rękę na ramieniu. – To już pytanie, nad którym będą głowiły się nasze wnuki.

– Chciałbym doczekać się wnuków. – Friedlander uśmiechnął się i obejrzał na planetę. – Nie podejrzewałem, że mogłyby dorastać w innej galaktyce.

– E tam, to tylko galaktyka karłowata. Trochę jak przedmieścia Drogi Mlecznej.

Naukowiec parsknął, rozbawiony.

– Jak na przedmieścia, za mało tu pól golfowych.

– Zawsze może pan to zmienić – zasugerowałem.

– Najpierw powinienem wybudować dom.

– W pierwszej kolejności trzeba go zaprojektować – poprawiłem go, pamiętając, że rozmawiam z inżynierem.

– No tak... Chyba tym właśnie się zajmę.

ROZDZIAŁ 31

– Skippy... – Opadłem na zbyt duży fotel biurowy. Zawsze czułem się w nim jak dzieciak, który odwiedził tatę w pracy i zasiadł za jego biurkiem. Tyle tylko, że mój ojciec nigdy nie pracował w biurze. – Proszę o jakiegokolwiek dobre wieści.

– Przykro mi, Joe. – Jego awatar wyglądał na szczerze strapionego. – Zajrzałem do worka z dobrymi wiadomościami, ale znalazłem tylko parę okruchów na samym dnie.

– Dobrze i to.

– Hmm... Prawdę mówiąc, szczur zdążył zjeść te okruchy i... zostawić coś po sobie.

– Dobra, nieważne.

– Wierz mi, żałuję, że nie mam dla ciebie żadnych dobrych nowin. Mogłem cię ostrzec, że tak będzie.

Wyprostowałem się gwałtownie.

– Jak to? Ty dupku! Czyli wiedziałeś, że sieć tuneli się przesunie i...

- Wyhamuj trochę, kowboju! Nie, o tym akurat nie wiedziałem. Miałem jednak świadomość, że za bardzo kusimy los i już wkrótce wyczerpiemy zapas szczęścia.
- Myślałem, że szczęście nie istnieje.
- Bo nie istnieje. Przynajmniej według małpiej koncepcji szczęścia. Przetrawanie waszego gatunku od samego początku było nieprawdopodobne. Po każdej niemożliwej sztuczce, która pozwoliła uratować świat, kurczył się zbiór opcji do wykorzystania w przyszłości.
- Że co?
- Jak by ci to wyjaśnić? Czy w ogóle wolno mi o tym mówić? Spróbujmy... Wszechświat nie przepada za nieprawdopodobnymi zdarzeniami, a my doprowadziliśmy do niejednego takiego zjawiska. Nieprawdopodobnym było, by klan Białego Wiatru nie zniewolił ani nie eksterminował wszystkich ludzi na Ziemi. A kiedy podczas drugiej misji nasza kosmiczna ciężarówka powstrzymała Thuranów? To dopiero był ewenement! Rozumiesz już, o co chodzi?
- Tak mi się wydaje. To jak rzut kostką. Za każdym razem ma się szansę jedną na sześć, że wypadnie szóstka. A gdy to się stanie, równie dobrze może wypaść za drugim razem. Jeśli jednak rzuci się kostką sto razy, wyrzucenie szóstki za każdym razem jest mało prawdopodobne. Dobrze myślę?
- No, mniej więcej. Joe, dokonaliście już tylu nieprawdopodobnych czynów, że zakres prawdopodobnych zdarzeń prowadzących do ocalenia ludzkości bardzo zmaleł. Margines błędu jest już prawie zerowy.
- Czy nie mówiłeś jeszcze przed chwilą, że mamy szansę znowu ocalić świat? – zapytałem powoli. – Jak mielibyśmy to zrobić?
- Ech. Niepotrzebnie próbuję ci wyjaśnić tak zawiłą sprawę.

Robisz sobie złudne nadzieje. Odpowiedź brzmi po pierwsze: tak, a po drugie: nie wiem. Tak, co do zasady, zbiór prawdopodobieństw nie jest jeszcze pusty, ale nie ma w nim już zbyt wielu elementów.

– Mówisz, że potrafisz przewidywać przyszłość?

– Nie w sposób, o którym myślisz. Mogę jedynie prognozować, nic poza tym. To problem matematyczny, którego i tak byś nie zrozumiał, nawet gdyby wolno mi było o tym opowiedzieć.

– Wiesz, że nie lubię, kiedy rzucasz takimi niedopowiedzeniami. Mógłbyś chociaż podać mi przykład.

– Jasne. Podczas misji renegatów zbiór prawdopodobieństw był prawie tak samo ograniczony jak teraz. Musieliśmy dokonać niemożliwego. Powstrzymać okręty Maxolhxów przed dotarciem do Ziemi. I to tak, aby kocury sądziły, że ekspedycja wykonała zadanie, ale nie znalazła niczego ciekawego. I by zniknięcie tych jednostek nie wzbudziło podejrzeń. No i trzeba było jeszcze wyjaśnić, skąd wzięły się promienie gamma wygenerowane przez Bramę. Wyzwanie było niemożliwe, ale mu podołaliśmy. Ty mu podołałeś. Później zakres prawdopodobnych opcji znacznie się rozszerzył, choć nie tak bardzo, jak oczekiwałem. Byłem w stanie zrozumieć dane dopiero, gdy usłyszeliśmy o Perkins i jej przygodach.

– Niech cię cholera. Wiedziałeś, że coś nie gra, i nic nie mówiłeś? – Rąbnąłem pięścią w stół.

– Nie wiedziałem. Po prostu znalazłem w obliczeniach coś, czego nie potrafiłem wyjaśnić. Traktowałem to jak matematyczną ciekawostkę dla kujonów.

Jego tłumaczenie brzmiało dla mnie jak zwykły kit, ale nie miałem dowodów na poparcie swoich podejrzeń. Poza tym i tak

nie wierzyłem, że Skippy potrafiłby przewidzieć przyszłość. Czy taka technologia była możliwa? Oglądałem mnóstwo filmów science fiction o podróżach w czasie, miałem jednak pewność, że Skippy nie posiada takiego talentu. Gdyby było inaczej, ten nadęty buc z pewnością przechwalałby się tym przy każdej okazji. Już nieraz doznał upokorzenia, kiedy banda mięsuchów sprytnie rozwiązała problem, który jego zdaniem był nie do przejścia. Mimo wszystko blaszak nadal coś przede mną ukrywał. Bardzo mi się to nie podobało.

– Zostawmy matkę. Wszechświat twierdzi, że istnieje możliwość, by atak na Ziemię został powstrzymany, a ludzkość przetrwała?

– Cóż, wszechświat wcale tak nie twierdzi... Ale rozumiem, skąd ta myśl. Według obliczeń nie jest to bezwzględnie niemożliwe. Musisz jednak zrozumieć, jakie macie szanse. Jakbyście byli drużyną, która przegrała wszystkie mecze w pierwszej połowie sezonu, a najlepsi gracze w waszej lidze wygrywali za każdym razem. Z matematycznego punktu widzenia, wy moglibyście zwyciężyć, a oni przegrać we wszystkich pozostałych meczach. Wówczas dostalibyście się do play-offów i wygrali Super Bowl. Ale bądźmy poważni, nigdy do tego nie dojdzie.

– Czyli mówisz, że są jakieś szanse.

– Ech... Tak naprawdę nie ma. Żałuję, że w ogóle poruszyłem ten temat.

– Skippy, kojarzysz pojęcie Hail Mary?

– W sensie „Zdrowaś Mario”? Cóż, nie jestem katolikiem, więc jeśli proponujesz modlitwę...

– Chodziło mi o termin sportowy. To takie zagranie.

– Ach, już sobie przypominam. Rozstawia się zawodników na końcu boiska i rzuca im piłkę.

– Właśnie. Można też przerzucić piłkę na boki do czasu, aż ktoś ją przejmie i zdobędzie przyłożenie. Możesz mi wierzyć, wiele razy widziałem coś takiego na własne oczy. I zawsze to tej drugiej drużynie dopisywało szczęście. Coś takiego jest możliwe. – Zamknąłem laptopa i wstałem. – Gdzie jest Simms?
– W doku Trzy Alfa.
– Daj jej znać, że już do niej idę.

*

Simms nie wyczekiwała mnie z niecierpliwością. Była zbyt zajęta nadzorowaniem załadunku lądownika. W przeciwieństwie do warunków bojowych, kiedy najpotrzebniejsze rzeczy załadowuje się na samym końcu, tym razem postawiliśmy na szybkość i upychaliśmy na lądownikach co się dało, by ograniczyć liczbę kursów do niezbędnego minimum. Chcieliśmy jak najszybciej opróżnić „Walkirię” i ruszyć na spotkanie z „Holendrem”. Musieliśmy pozbyć się wszystkiego, trochę jak przy likwidacji sklepu. Ludzie na planecie potrzebowali naszych zapasów, my z kolei musieliśmy przygotować miejsce na pokładzie na nowe zasoby z Ziemi. Ponieważ spodziewaliśmy się, że zastaniemy naszą planetę w stanie całkowitego upadku społecznego, byliśmy gotowi wykraść potrzebne rzeczy.

Simms przeznaczyła jeden obszar na żywność dla załogi na czas podróży do Łapacza. Sporo ryzykowaliśmy. Jeżeli tunel się nie otworzy, nasi ludzie będą musieli żywić się szlamami i batonami energetycznymi domowej roboty, dopóki nie znajdziemy czegoś innego do jedzenia.

Podpułkownik odgarnęła niesforną grzywkę i stuknęła w tablet.

– Chciał pan ze mną rozmawiać? – zapytała, gdy wkroczyłem do doku. Jej spojrzenie mówiło, że ma mnóstwo pracy i nie

powiniennem marnować jej czasu.

Skinałem głową i wskazałem na nieliczne skrzynie i pudła stojące pod ścianą. Dwa ładowniki prawie pękały w szwach. Widziałem, że ich podwozia uginają się pod ciężarem.

– To już wszystko? – zapytałem.

Simms pokręciła głową.

– Pracujemy też w dwóch innych dokach. Poza tym po całym pokładzie walają się różne potrzebne zapasy. Zagoniłam boty Skippy’ego do zbierania resztek. Bez obaw, trzymamy się grafiku. Ostatni ładownik wyleci za... – Rzuciła okiem na tablet. – Dziewięć i pół godziny.

– Cieszę się – powiedziałem, choć daleko mi było do radości. Ładownik, o którym mówiła, miał zabrać ją na Avalon. Potem być może już nigdy jej nie zobaczę. Co prawda nie żałowałem, że ominą mnie kolejne „warzywne niespodzianki” w mesie... ale myśl o pożegnaniu sprawiała mi wręcz fizyczny ból. Czulem ukłucie w sercu, a żołądek jakby mi się kurczył. Simms dołączyła do Wesołej Bandy Piratów jeszcze na Paradise. Od tego czasu była zawsze przy mnie, choć nie zawsze wykazywała taki sam entuzjazm.

– Może zainteresuje panią ostatnia przejażdżka?

– Słucham? – Uniosła brwi i zmrużyła podejrzliwie oczy.

Odruchowo spojrzałem na jej obrączkę. – Sir, mówił pan, że mam zostać na Avalonie. Po co była ta cała przemowa?

– Racja, tak właśnie mówiłem. – Wzruszyłem ramionami z zażenowaniem. – To będzie szybki lot rozpoznawczy. Mam nadzieję, że krótki.

– Krótki? Przecież tu nie ma czego oglądać.

– Właśnie o to chodzi. Mimo wszystko musimy się upewnić, zanim ogłosimy tę planetę nowym domem ludzi.

Simms wzięła się pod boki i zmierzyła mnie wzrokiem.

- Trochę już na to za późno, sir.
- Wie pani, o czym mówię, prawda?
- O Maris? – Przewróciła oczami. Nie podobały jej się dowcipne nazwy, które nadawaliśmy planetom, zwłaszcza jeśli opierały się na żartach zrozumiałych tylko dla wtajemniczonych.
- Właśnie. Skippy uważa, że cokolwiek się tam znajduje, może nam zagrażać.
- Jak dotąd nic się nie działo – przypomniała.
- Wiem.
- Niech zgadnę. Skippy chce szturchnąć kijem śpiącą bestię?
- Niezupełnie. Oczekuje, że sami to zrobimy.
- Powiedział mu pan, że chyba pomylił pana z Darrylem?
- Jasne – odparłem ze śmiechem. Simms wiedziała, że ja i Skippy zwykliśmy nazywać tym imieniem gościa, którego zawsze wysyła się, żeby odwalił za nas jakąś krzywą akcję.
- Kolejny idiotyczny pomysł Skippy’ego. Co mogłoby pójść nie tak?
- Chce się pani przekonać? – Wyszczrzyłem zęby.
- Pan i tak się na to pisze, prawda?
- Hmm, raczej tak. Lepiej byłoby jednak, żeby pilnował mnie ktoś dorosły.
- Nawet jeśli każe panu trzymać się z dala od gniazda szerszeni?
- Możemy chociaż porzucać w nie kamieniami?
- Udam, że tego nie słyszałam. Proste rozpoznanie, tak?
- Tak. Obiecuję. Ustalimy kurs i prędkość zgodnie z najbardziej prawdopodobną lokalizacją planety, a potem skoczemy. Wpuścimy pod pole maskujące kilka sond, zbierzemy dane i wrócimy. Chyba że odkryjemy jakieś ukryte zagrożenie dla Avalonu. Wszystko według reguł – zapewniłem.

– Reguł? – Simms nie była przekonana. – Czy w armii mają instrukcję postępowania w razie badania zakamuflowanych planet?

– Armia ma instrukcje na każdą okazję, Simms – zażartowałem, choć może nie minąłem się z prawdą. Po powrocie na Ziemię z długiej misji, podczas której spędziliśmy mnóstwo czasu w Pułapce na Karaluchy, armia dopytywała, dlaczego nie zbadaliśmy ukrytej planety. Odpowiedziałem, że Hans Chotek dowodził misją i kazał mi zostawić tajemniczy świat w spokoju. Taka odpowiedź nie zadowalała dowódców ani z armii, ani z SEONZ. Nie wykorzystaliśmy szansy, jaka nadarzyła nam się w Pułapce, i ktoś poza Hansem Chotekiem musiał ponieść konsekwencje. Nie wiem, czy armia miała stałe rozkazy dotyczące eksplorowania niewidzialnych planet. Ja w każdym razie nic o tym nie słyszałem. Może dowódcy założyli, że podejmę takie działanie z własnej inicjatywy.

– Leci pani z nami?

Oczywiście zawsze mogłem przestać prosić, a zacząć rozkazywać. Simms wiedziała jednak, że nie zrobiłbym czegoś takiego.

– A jeśli na Maris odkryjemy niebezpieczeństwo, przez które będzie trzeba zabrać wszystkich z Avalonu? Jaki mamy plan? Dokąd się udamy?

– Jeszcze nie przemyślałem wszystkich szczegółów – przyznałem. Tak naprawdę nie miałem zielonego pojęcia, co zrobimy w takiej sytuacji.

– Mhm... – Simms skrzyżowała ramiona. Dobrze wiedziała, że nie mieliśmy dokąd pójść. Po odnalezieniu Avalonu przerwaliśmy dalsze poszukiwania. Zamierzaliśmy po prostu

wrócić na Ziemię i zameldować o znalezisku. Następnie
SEONZ

mogłyby zdecydować, czy szukać lepszego miejsca, czy też sprowadzić na Avalon większą grupę badaczy, a może jedno i drugie. Nic z tego jednak nie wyszło.

– Mam propozycję – powiedziałem. – Jeżeli na Maris czyha jakieś straszidło, przewieziemy wszystkich na Klub Skippy’ego.

Tymczasowo, dopóki nie znajdziemy schronienia na dłuższy okres.

– Na pewno nie będziemy mogli tam zostać. – Simms nieco rozluźniła ramiona. – Obcy rzucą się na Klub Skippy’ego już po najbliższym przesunięciu tuneli. Może dojść do tego jeszcze szybciej, niż podejrzewa Skippy, bo przecież majstrował przy tej cholernej sieci.

Dostrzegłem ukryty sens jej wypowiedzi.

– Czyli ustalone.

Westchnęła ciężko.

– Polecę z wami. Ale Frank tu zostaje.

– Jak najbardziej. Wróci pani najszybciej jak to możliwe.

Obiecuję.

– Może pan obiecywać, martwi mnie jednak to „możliwe”.

– Simms, jeśli wszystko się posypie, obarczę winą panią i pani pesymizm!

– Dziękuję za ostrzeżenie.

*

– Joe? – zagadnął Skippy, kiedy wróciłem do gabinetu. – Zechciałbyś wyjaśnić, skąd ta zmiana decyzji co do Maris? O ile mi wiadomo, żadne fakty nie uległy zmianie.

– Rzeczywiście.

– Więc dlaczego...

– Powiem tylko tyle, że nasza rozmowa o malejącym zbiorze prawdopodobieństw dała mi do myślenia. Chcę, żeby Maris przestała być dla nas kolejną niewiadomą.

– Aha...

Istniał jeszcze jeden powód, ale nie chciałem o tym wspominać. Skoro ludzie i tak mieli uznać mnie za durnia, wolałem nie dostarczać im więcej amunicji, którą mogliby wykorzystać przeciwko mnie.

*

„Walkiria” potrzebowała szesnastu godzin, aby dostosować kurs i prędkość do Maris, dzięki czemu mieliśmy stale podążać równo z planetą. Nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie znajduje się Maris, musieliśmy więc polegać na najlepszych szacunkach Skippy’ego. Skok wykonaliśmy bez problemów. Żadne pole ochronne nie rozerwało krążownika na pół, nie wpadliśmy w pole wytłumiające ani w sam środek roju Strażników. Dobrze, że Skippy przesłał swój identyfikator i kody uwierzytelniające z wystarczającym wyprzedzeniem, by wiadomość dotarła do ukrytego świata. SI Pradawnych powtórzyła komunikat, gdy tylko wyszliśmy ze skoku, i usiłowała zmusić potencjalnego odbiorcę do odpowiedzi.

– Masz coś? – dopytywałem, wpatrując się niecierpliwie w wyświetlacz holograficzny.

– Nic, Joe – mruknął blaszak. – Nikt nie potwierdza mojej obecności.

– Ale też nikt nie otworzył ognia – zauważyłem. – Zawsze to jakaś odpowiedź.

– Pewnie tak – odparł Skippy bez przekonania.

– Skąd możemy wiedzieć, że ktoś jest w domu? – spytała Simms.

– Ktoś musi tam być! – upierał się Skippy. – Pradawni nie

zostawiliby pola maskującego i systemu rozpraszania grawitacji w układzie niemającym znaczenia. Gdzieś tam musi znajdować się jakaś wyższa inteligencja.

– Na pewno nie sztuczna, taka jak ty... prawda? – Na samą myśl włosy stanęły mi dęba.

– W życiu! – Skippy parsknął, rozbawiony głupim pytaniem. – Pradawni nie powierzaliby swojej SI tak prostego zadania. Jesteśmy dla nich zbyt cenni. Nawet oni dysponowali ograniczonymi zasobami.

– W porządku. Udało ci się lepiej zlokalizować planetę?

– Mniej więcej. Jak podejrzewałem, jest poza środkiem ciężkości. Inaczej nie byłoby sensu rozpraszać grawitacji. Współrzędne są już zaprogramowane w systemie naprowadzania dronów z sondami.

– Wypuść jednego – poleciłem. Na ekranie ukazał się pojedynczy symbol, oddalający się łagodnie od okrętu. Ktokolwiek mieszkał na Maris, nie chcieliśmy, by wziął nas za wrogów.

Dron nie wybuchł po zbliżeniu do pola maskującego. W ogóle nie wywołał żadnej reakcji. Poruszał się z prędkością pół kilometra na sekundę, zetknął się z rozmytą zasłoną, a potem zniknął. Sonda miała odczekać dziesięć minut, a następnie wykorzystać system samodzielnego naprowadzania i wydostać się poza pole. Minęło dziesięć minut, potem dwanaście. Urządzenie powinno już być widoczne, albo przynajmniej nadać wykrywalny sygnał.

Piętnaście minut.

Dwadzieścia.

– Kurde. – Spojrzałem na Simms. – No to kłapa.

– Kłapa jak się patrzy, Joe – przyznał Skippy. – Totalna porażka. Całkowita...

– Jak myślicie? – zwróciłem się i do Skippy’ego, i do Simms. –
Warto spróbować z kolejną sondą? Może tym razem wyślemy
dwie?

– Sir, chce pan zrobić to samo i oczekiwać odmiennych
rezultatów? – zdziwiła się Simms.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy – powiedziałem. –
Przebyliśmy długą drogę. Oczekuję odpowiedzi.

– Może właśnie to jest odpowiedź? – Wskazała na ekran. –
Maris każe nam się wynosić.

– Albo sonda nawaliła – nie ustępowałem. – Możliwe, że
wystarczy wybrać inną lokalizację. Spróbujmy raz jeszcze, ale
tym razem wyślijmy drona od drugiej strony pola
rozpraszającego.

– Nie zaszkodzi spróbować – zgodził się Skippy. –
Moglibyśmy... Oho! Jest!

Na wyświetlaczu migał symbol sondy.

– Daj mi pogadać z tą głupią maszynką – powiedział
blaszak. – Hmm... Ciekawe.

– Co się stało.

– Mówiąc w skrócie, nie wiadomo. Sonda była przekonana,
że postępuje według instrukcji, ale najwyraźniej się pogubiła.
Opuściła pole maskujące osiem tysięcy kilometrów od miejsca,
w którym powinna się znaleźć.

– Jak to możliwe? Nie było jej tylko przez dwadzieścia minut i
nie poruszała się aż tak szybko.

– Dobrze pytanie, Joe. Niestety, aktualnie nie jestem w stanie
udzielić na nie odpowiedzi.

Wymądrzał się, bo był zdenerwowany. W wojsku nauczyłem
się, że „nie wiem” to wystarczająca odpowiedź na proste
pytanie w stylu „gdzie twój karabin?”. Przyznawanie się do
niewiedzy było lepsze od udawanej pewności i przysparzania

innym problemów przez własną głupotę.

– Czy w końcu będziesz mógł jej udzielić? – zapytałem.

– No... Nie.

– Zechcesz rozwinąć temat?

– Sonda nie zarejestrowała żadnych przydatnych danych.

Błądziła na oślep. Dlatego się zgubiła.

– Nawet jeśli nie miała zewnętrznych punktów odniesienia, jej system naprowadzania powinien być samowystarczalny na tak krótkim dystansie. Jak mogła zabłądzić?

– Problem w tym, że sama nie uważa, by zabłądziła. Założyła, że pole maskujące się rozszerzyło. Ruszyła przed siebie, oczekując, że w końcu znajdzie się poza polem. Nie wie, jak udało jej się przemieścić tak daleko.

– Po prostu pięknie. Masz może jakąś teorię na ten temat?

– Aby ją sformułować, będę potrzebował więcej danych.

Wysłaliśmy kolejne sondy, łącznie dwadzieścia sześć.

Wszystkie się zgubiły, ale dwadzieścia trzy ukazały się ponownie, choć daleko od wyznaczonej trasy. Trzy przepadły w niewyjaśnionych okolicznościach. Skippy stopniowo zdołał rozgryźć, co działo się wewnątrz pola maskującego.

Manipulacje przy studni grawitacyjnej wywołały dziwne efekty w postaci prądów grawitacyjnych wewnątrz pola, działających jak ziemskie prądy strumieniowe. Sondy, które wpadły w te prądy, były niesione z wielką prędkością, dopóki się nie uwolniły. Systemy naprowadzające nie przewidywały ruchów w otaczającej przestrzeni, dlatego urządzenia sądziły, że trzymają kurs.

Nie uzyskaliśmy prawie żadnych wartościowych informacji.

Mimo to cała ta sytuacja miała pewien plus. Istota wewnątrz pola nie okazywała wrogości. Właściwie w ogóle nie reagowała, co uznałem za dobry znak. Skoro Maris nie przejmowała się

sondami we własnym polu maskującym, być może nie zainteresują jej także nędzne worki mięsa zamieszkujące Avalon?

Dodatkowo Skippy twierdził, że uda mu się prześledzić prądy grawitacyjne i ustalić, gdzie znajduje się planeta.

Kolejnym punktem planu, który zatwierdziłem przed opuszczeniem Bazy Beta, było wypuszczenie sond przenoszących jeden koniec mikrotunelu. Aby efekty rozproszenia grawitacji nie przeniknęły przez tunel i nie wywołały zamętu na pokładzie, drugie wyjście umieściliśmy na innej sondzie, a koniec kolejnego mikrotunelu jeszcze na innej. Druga i trzecia sonda szybowwały zaledwie parę kilometrów od siebie, zapewniając niemal natychmiastową łączność pomiędzy okrętem a pierwszą sondą. Kiedy urządzenia numer dwa i trzy oddaliły się sześć tysięcy kilometrów od nas, poleciliśmy pierwszej sondzie odpalić pędniki i zanurzyć się w polu maskującym. Sonda zawisła tuż nad miejscem, gdzie według Skippy'ego miała znajdować się Maris. Blaszak liczył, że w końcu zdobędziemy jakieś konkretne dane.

Sonda wślizgnęła się w pole, a na ekranie zamiast czerni poznaczonej gwiazdami ujrzeliśmy całkowitą nicłość.

– Skippy, widzisz tam cokolwiek? – zapytałem.

– Na razie nie. Hmm, a to ciekawe. Całe widmo elektromagnetyczne jest puste... No, może nie do końca. Ale otrzymuję nonsensowne dane. To pole maskujące najwyższej klasy.

– Powinieneś coś zobaczyć, kiedy sonda zbliży się do planety, prawda?

– Możliwe, ale nie liczylibym na to. Wychwytyję efekty zaburzeń przestrzennych. Trudno powiedzieć, gdzie znajduje się sonda w stosunku do Maris.

- Nie liczyłybyś na to? – Wymieniłem z Simms oburzone spojrzenia. – To po jaką cholere wysyłaliśmy tam sondę?
- Dlatego że a nuż uda nam się coś zobaczyć, a na razie nie mamy żadnych przydatnych informacji. Głównie jednak spodziewam się, że istota w tym polu zareaguje na mikrotunel.
- Do kur... Jaja sobie robisz?! – wybuchłem. Simms aż pacnęła się w czoło. – W tej chwili wyciągnij stamtąd te sondę, kretynie!
- Joe, nie bądź takim tchórzem – zganił mnie blaszak. – Sonda jest już na miejscu, więc równie dobrze możemy... Okręt zadrżał.
- Co to było?! – krzyknąłem. Potem mój żołądek fikał koziółka, kiedy sztuczna grawitacja na chwilę osłabła.
- Kuźwa, no nie! Znowu?! – wrzasnęła Simms, bardziej ze złości niż ze strachu.
- Skippy, co się dzieje? – zapytałem.
- Nie wiem, co i dlaczego... O cholera! Coś ściąga okręt w kierunku planety!
- Pilot! Skok w opcji...
- Nic z tego, Joe! Napęd nie działa – ostrzegł Skippy. Jeden z pilotów machnął ręką i wskazał lampkę statusu napędu skokowego. Świeciła na czerwono. Rzeczywiście nie mogliśmy skoczyć.
- Kulo Ognia, gaz do dechy i spieprzamy stąd!
- Pułkownik – odpowiedziała Reed, nie oglądając się na mnie – lecimy na pełnym ciągu, ale nie możemy uciec. Zanim zadałem oczywiste pytanie, odezwał się Skippy:
- Silniki działają bez zarzutu i z pełną mocą. Nie napotykają żadnego oporu.
- To dlaczego...
- W tym miejscu nie działają prawa fizyki! – zaskrzeczał

blaszak. – Jak tak dalej pójdzie, przepalimy silniki na próżno. Podjąłem błyskawiczną decyzję.

– Pilot, wyłącz zasilanie. Silniki manewrowe działają?
– Główne nie. – Reed potrząsnęła głową. – Rezerwowe niewiele pomagają. To na nic, sir. Nie pokonamy tego promienia ściąającego czy cokolwiek to jest.

Widoczna na ekranie krawędź pola maskującego zbliżała się do nas w zastraszającym tempie. Nie, raczej to my pędziliśmy w jej kierunku.

– Skippy, czy to promień ściąający? Możemy namierzyć i zniszczyć jego źródło?

– Nie, to nie promień. Pochwycił nas prąd grawitacyjny.

– Możemy... możesz cokolwiek zrobić?

– Nie. Nawet ja nie rozumiem, jak to wszystko działa – załkał.

– Dobra, pieprzyć to. Opuszczamy okręt. Wszyscy do lądownika! – rozkazałem. Przemilczałem, że sam postanowiłem zostać na „Walkirii”, gotowy „zatonąć” wraz z nią.

Zamierzałem

trwać w nadziei do samego końca, dopóki...

– Nic z tego, Joe – jęknął blaszak. – Lądownicy mogą startować, ale je także porwie prąd. To samo, jeśli chodzi o kapsuły ratunkowe.

Byliśmy bezradni.

– Skippy, zrób coś!

– Próbuję, Joe. Nie, tak naprawdę nie wiem, co zrobić! Może ty mi powiesz?!

Co moglibyśmy zrobić? Nie byliśmy w stanie skoczyć ani w ogóle się poruszyć. Ani strzelać, bo nie widzieliśmy celu.

Zresztą nawet potężne działa „Walkirii” nie dałyby rady całej planecie. Załoga nie miała też szans na ewakuację.

Załoga nie, ale może...

- Może działa elektromagnetyczne? – wypaliłem.
- Działa? – Simms spojrzała na mnie z niedowierzaniem. – Nie namierzyliśmy celu!
- Joe – dodał Skippy – odrzut po wystrzale nie wystarczy, żeby...
- Nie ocalimy okrętu, ale moglibyśmy załadować cię do działa i wystrzelić w kierunku Avalonu. W końcu tam trafisz, choć czeka cię twarde lądowanie.
- Ku...kurde, J...Joe – wyjąkała SI. – To nic nie da. Prąd grawitacyjny znieś mnie z kursu. I tak nie mamy już czasu, bo zaraz... Ups!
- „Walkiria” zanurzyła się w polu maskującym. Czujniki przestały działać i znaleźliśmy się w nieprzeniknionych ciemnościach.
- Skippy, co tam widzisz?
- Tylko pola magnetyczne i grawitacyjne – wymamrotał, wyraźnie skupiając się na czymś. – Daj mi chwilę.
- Nie mamy czasu!
- Teraz pozostał nam tylko czas – odparł. Jego awatar znieruchomiał. Nie zniknął ani nie zbladł, po prostu stał się nieruchomym obrazem, bo Skippy przestał zwracać na niego uwagę. – Z tego, co widzę – podjął, gdy hologram wrócił do życia – coś ściąga nas w kierunku planety. Tak jak przewidywałem, to gazowy olbrzym, mniejszy od Saturna, ale większy od Neptuna. Za dwie minuty wejdziemy w górną warstwę atmosfery. Na pocieszenie dodam, że zwalniamy. Okręt powinien wyjść cało z pierwszego kontaktu z atmosferą. Pole grawitacyjne przybiera jednak na sile. Nawet gdyby nasze silniki miały z czym walczyć, nie zdołalibyśmy uciec.
- Co teraz? Dlaczego to coś nas przyciąga? Chce porozmawiać? Zbadać nas?

- Nic z tych rzeczy. W ogóle nie odpowiada i nie widzę, by działały tu aktywne czujniki. Podejrzewam, że ktokolwiek to jest, zamierza przyciągnąć „Walkirię” do jądra planety.
- Do jądra? – Astronomia, podobnie jak każda inna gałąź nauki, nie należała do moich specjalności. Z Wikipedii dowiedziałem się, że jądrem gazowego giganta była zazwyczaj zwarta kula niklu i żelaza pośrodku supergęstej atmosfery. – Tam chce się spotkać?
- Nie. Nawet jeśli okręt dotrze aż tam, do tego czasu wszyscy zginą. Ciśnienie na takiej głębokości wystarczy, żeby wytworzyć metaliczny wodór.
- Dobra, dobra... – rzuciłem, myśląc gorączkowo. – Możesz wykonać tę sztuczkę z rozszerzeniem tarcz, żeby zwiększyć siłę wyporu i ochronić nas przed upadkiem?
- Nie. – Awatar pokręcił smętnie głową. – Osłony mają awarię. Generatory pompują gigawaty mocy, ale tarcze wpadły w pętlę. Zalecam odcięcie zasilania, zanim generatory się przegrzeją.
- Simms dała znak odpowiedniemu członkowi załogi, który wystukał komendę na konsoli. Właśnie w tej chwili okręt zatrzęsł się ponownie i rozległ się głośny ryk.
- Weszliśmy w atmosferę – oznajmił Skippy ponuro. „Walkiria” zawirowała. Na wyświetlaczu widzieliśmy, jak kadłub szamocze się, by w końcu odzyskać stabilność, z dziobem skierowanym w dół, prosto w piekielne serce planety. – Pancierz cały – dodał Skippy.
- Jak długo wytrzyma? – zapytałem, choć nie chciałem znać odpowiedzi.
- Ma świetną odporność na temperaturę. Problemem nie jest ciepło, Joe. Ciśnieniowa część kadłuba jest zaprojektowana, by wytrzymać jedną atmosferę. Jeśli nie zwolnimy, zostaniemy

zmiażdżeni za dziesięć minut i czterdzieści trzy sekundy.
To wszystko moja wina.

Oczywiście to Skippy wpadł na pomysł, żeby użyć mikrotunelu, aby sprowokować mieszkańca Maris, i nikomu nie powiedział, dlaczego tak naprawdę wysłał sondę w pole maskujące.

Ale to ja zawiniłem. Wiedziałem, że ten roztargniony zasraniec jest niewart zaufania i nie ma za grosz odpowiedzialności, a mimo to nie zadałem wszystkich istotnych pytań.

– Nie możesz nic zrobić? – zapytałem.

– Nie – odparł. – Nic nie przychodzi mi na myśl. Próbowałem już wszystkiego. Mam wielkie moce, ale nie stworzono mnie z myślą o takiej sytuacji. Pradawni chcieli chronić to miejsce nawet przed swoimi sztucznymi inteligencjami. Przykro mi. Pokład wibrował z taką siłą, że dzwoniły mi zęby. Nie mogłem zmusić się do koncentracji. Zresztą żaden sprytny pomysł i tak nie chciał mi zaświtać.

– Skippy, uciekaj! – krzyknąłem.

– Co?! – zapytali blaszak i Simms jednocześnie.

Zignorowałem gniewne spojrzenie oficer wykonawczej i wyjaśniłem:

– Wykonaj znowu tę sztuczkę ze znikaniem. Musisz przetrwać!

– Nie, Joe.

– Ktoś musi wyjść z tego cało. Ty, jako jedyny, masz choć cień szansy na ucieczkę, zanim okręt zostanie zmiażdżony. Dopóki żyjesz, jest jeszcze nadzieja dla ludzkości.

– To tak nie działa. – Hologram potrząsnął rozpaczliwie głową.

– Sztuczkę ze znikaniem? Znowu? – Simms domagała się

uwagi. – Jak to znowu, sir?

Szlag... Równie dobrze mogłem wyznać prawdę.

– Kiedy dostałem się do niewoli, a mikrotunele nad Rikers zniknęły, nie stało się tak dlatego, że Skippy przestraszył się ataku robaka komputerowego. Po prostu zdezerterował. Po odzyskaniu wspomnień uznał, że pomagając bandzie małą, marnuje swoje talenty, więc odszedł, aby skontaktować się z Rindhalu. Puf! – Machnąłem rękami, imitując wybuch. – Jego puszka fizycznie zniknęła.

Simms gapiła się to na mnie, to na Skippy'ego.

– Naprawdę potrafi to zrobić? – zapytała.

– Na to wygląda.

– Choć nie powinienem – mruknął Skippy.

– Masz rację – wycedziła Simms przez zęby. – Nie powinieneś nas zostawiać!

– Simms. – Uniosłem rękę.

– Kiedy zamierzał nam pan powiedzieć prawdę? I dla czego ją pan ukrywał? – dopytywała się, urażona. Roz gniewałem ją, a poza tym... zwyczajnie było jej przykro.

– Nie chciałem nikogo niepokoić. Najważniejsze, że Skippy wrócił.

– I po tym wszystkim dalej pan mu ufał?

– Raczej nie mieliśmy wyboru. – Wzruszyłem ramionami.

– Pan miał wybór. Mógł pan powiedzieć nam o tym. Zaufać nam!

– Wiem. Działalem w oparciu o swój osąd.

– Ostatnio ten osąd okazuje się całkiem do dupy!

– Wystarczy, podpułkowniku! – Odwróciłem się od niej, skupiając się na Skippym. I na wskaźniku, według którego już za siedem minut okręt miał ulec zniszczeniu. – Skippy, musisz się stąd wydostać. W tej chwili! To rozkaz!

– Joe... – westchnął. Nie, raczej zaszło chał. – Jeśli to zrobię, być może nie uda mi się znowu połączyć z tą warstwą czasoprzestrzeni.

– Ale przeżyjesz.

– Śmierć akurat mi nie grozi. Nawet ciśnienie i temperatura w jądrze planety nie może mnie zabić.

– Owszem, ale może zrobić coś gorszego. Jeśli tu utkniesz, staniesz się bezużyteczny. Samotny na wieki. Proszę, uciekaj! Obiecuj tylko, że zrobisz, co w twojej mocy, żeby pomóc ludziom.

– Nie podoba mi się to! – Jego słowa były ledwie słyszalne wśród ryków i wstrząsów, gdy okręt opadał na zabójczą głębokość.

– Mnie też nie – odpowiedziałem tylko.

– Żegnaj Joe, Jennifer... Żegnajcie wszyscy. – Jego awatar już zniknął.

Nie mogąc wydusić słowa, pokazałem mu tylko uniesiony kciuk.

Kątem oka zauważyłem, że Simms mi się przygląda. Jej gniew i ból zniknęły, ustępując miejsca rozczarowaniu.

Zaufała mi. A ja sprowadziłem śmierć na wszystkich.

ROZDZIAŁ 32

– Tak, admirał Denoth. – Illiath potwierdziła przyjęcie rozkazu i wydała polecenie, aby jej okręt opuścił tyły formacji. Wykonując stały rozkaz, komandor oparła się pokusie, by polecieć samotnie w stronę Ziemi. Zamiast tego „Vortan” przeleciał przez cztery tunele czasoprzestrzenne do najbliższej większej bazy floty, aby zameldować o odkryciu skrótu do planety ludzi. Illiath liczyła, że nie zastanie grupy bojowej, która będzie w tym czasie zajęta poszukiwaniem okrętu widma lub przynajmniej manewrami. Gdy jednak krążownik

zakończył skok, okazało się, że w części serwisowej bazy aż roi się od okrętów. Komandor jeszcze przez chwilę nie traciła nadziei, gdy czujniki poinformowały o licznych jednostkach wymagających intensywnej naprawy, ponieważ ich silniki zużyły się po niekończących się pogoniach za okrętem widmem. Admirał dowodzący mógł odprawić Illiath i pozwolić jej na powrót do nowego tunelu. Do tego czasu przelot powinien być już bezpieczny.

Niestety, szczęście jej nie dopisało. Admirał należał do przeciwników wysyłania wzmocnionej grupy bojowej w długi rejs do tunelu najbliższej Ziemi. Uważał taką misję za bezsensowne marnotrawstwo zasobów. Chciał dowieść, że Maxolhxowie nie dowiedzą się niczego ważnego, badając anomalię, oznajmił więc, że będzie towarzyszył Illiath. Czy raczej że to komandor będzie towarzyszyła jemu. Jej lekkozbrojny krążownik patrolowy trafił na niezbyt chwalebne miejsce na pokładzie lotniskowca, dołączając do krążownika admirała, trzech ciężkich krążowników i dwóch eskadr niszczycieli.

Teraz gdy tunel osiągnął tymczasową stabilność, to Illiath przypadł wątpliwy honor lotu na przedzie, podczas gdy grupa bojowa czekała w bezpiecznej odległości.

Czasu było niewiele, a przy podejściu nie można sobie było pozwolić na większe błędy. Zgłoszony poziom pewności wynosił osiemdziesiąt dziewięć procent, czyli poniżej normalnych procedur bezpieczeństwa. Ponieważ jednak ta sytuacja nie należała do normalnych, a Denoth chciał jak najszybciej rozwikłać zagadkę i wrócić do bazy, Illiath otrzymała rozkaz startu. Admirał obiecał, że nie obarczy jej winą, jeżeli „Vortan” ulegnie zniszczeniu lub uszkodzeniu

podczas przelotu. Dla załogi krążownika było to niewielkie pocieszenie.

Tak czy inaczej, okręt radził sobie znakomicie. Wskoczył punktualnie, z prędkością i w kierunku, dzięki którym mógł bezpiecznie minąć horyzont zdarzeń, chyba że odpaliłby silniki w niewłaściwym momencie i zboczył z trasy. Silniki również zadziałały precyzyjnie, a krążownik rozpoczął przelot przez tunel. Przeprawa wywołała osobliwy atak mdłości u całej załogi.

Przy najbliższej okazji Illiath powróciła, aby zameldować, że tunel nie stwarza zagrożenia. Admirał Denoth wyprawiał w drogę swoje okręty, jeden po drugim.

Gdy ostatni z nich, czyli cenny lotniskowiec, znalazł się po drugiej stronie, Denoth zaczął zastanawiać się, co dalej. Lecieć na Ziemię? Na pewno nie czekało tam nic ważnego. Misja polegała na zbadaniu dziwnego zachowania tunelu przy planecie ludzi. Admirał zamierzał udowodnić, że również to nie jest niczym wartym uwagi.

Tak naprawdę Denoth chciał zostawić przy tunelu zautomatyzowane boje. Kiedy grupa bojowa z posiłkami dotrze wreszcie w to miejsce, po długim i wyczerpującym locie, usłyszy wiadomość od Denotha, który oznajmi, że był tam już wcześniej i że dzięki niemu powrotny lot grupy potrwa stosunkowo krótko.

„Vortan” zadokował na lotniskowcu jako ostatni. Na stęp nie Maxolhxowie wykonali skok.

*

Horyzont zdarzeń przed „Latającym Holendrem” zamigotał, świecił stale przez krótką chwilę, aż wreszcie zniknął w jaskrawym rozblęsku.

– Ile tym razem trwało otwarcie? – zapytał Chang.

– Jedną i dwadzieścia trzy setne sekundy – zameldowała Agada.

– Tunel był stabilny aż tak długo? Mogliśmy przelecieć?

– Teoretycznie tak, pułkowniku. Muszę jednak ostrzec, że czas nie będzie nam sprzyjał.

– Czy może nam się udać? Potrafisz określić, kiedy tunel znowu się ustabilizuje?

Kiedy Łapacz zakotwiczył się w lokalnej czasoprzestrzeni, błyskał i gasł w sposób, który może nie był losowy, ale też nie dość regularny, by dawać pewność co do przelotu. Agada z wyprzedzeniem ustaliła czas pojawienia się horyzontu zdarzeń w oparciu o zaburzenia czasoprzestrzenne – siedem minut, zanim prawdziwa wyrwa zaleje okolice promieniami gamma. Jeśli wzorzec się nie zmieni, następne krótkie otwarcie powinno nastąpić w ciągu kolejnych osiemdziesięciu minut. Problem w tym, że mogło się to wydarzyć w dowolnej chwili w tym przedziale czasowym.

– Według moich najlepszych szacunków zaburzenia staną się ponownie wykrywalne w ciągu czterdziestu trzech minut. Musimy jednak dopuścić osiemnastominutowy margines błędu – poinformowała Agada.

– Rzeczywiście, krucho będzie z czasem. A kiedy już wykryjesz zaburzenia, z jaką dokładnością będziesz mogła przewidzieć okno stabilności?

– Liczyłam, że nie padnie takie pytanie. Jeżeli zamierza pan przelecieć przez tunel, będziemy mieć na to zaledwie trzydzieści cztery tysięczne sekundy.

– Trochę ponad trzy setne sekundy... – Chang się zamyślił. – Co wy na to? – zwrócił się do pilotów.

– Proszę dać nam chwilę na obliczenia – poprosił Ray.

Pochylił się ku drugiemu pilotowi. Obaj rozmawiali ściszymi

głosami.

– Pułkownik Chang – odezwała się Agada – naniesienie kursu jest względnie łatwe, mogę...

– Agado, wiem, że poradzisz sobie z liczbami, ale to piloci muszą zająć się sterami. I powiedzcie mi, czy to w ogóle wykonalne.

– Proszę o wybaczenie, nie pomyślałam o tym. Czy wolno mi zweryfikować plan lotu?

– Tak, poproszę – odparł Ray, oglądając się na Changa. – Sir, chcielibyśmy wykonać kilka lotów na próbę. Wybierzemy taki punkt w przestrzeni, aby zasymulować dotarcie do horyzontu zdarzeń w odpowiedniej chwili.

– Róbcie, co uważacie za słuszne – polecił Chang. – Nie ja steruję tym okrętem.

Po trzech próbach piloci nabrali pewności, że uda im się przeprowadzić „Holendra” przez chwilowo stabilny horyzont zdarzeń. Mówiąc dokładniej, upewnili się po ostatnich dwóch lotach. Pierwszy mógłby skończyć się katastrofą, gdyby nie były

to tylko ćwiczenia. Chang zarządził przerwę na sprawdzenie sprzętu, ciepły posiłek i odpoczynek.

– Pańscy ludzie są gotowi? – zapytał Smythe’a.

– Będą. Pułkownik, na pewno nie powinniśmy poczekać na „Walkirię”?

Chang potrząsnął głową.

– Spóźnia się już cztery dni. Nie wiemy czemu, ale nie wróży to nic dobrego. Nie możemy czekać.

– Moglibyśmy polecieć do Miotły – zaproponował Anglik. – Jeśli się otworzy, będzie można z niej skorzystać.

– Podróż w tamtą stronę zajmie dwa dni i dziewiętnaście godzin – wyrecytował Chang z pamięci. – To za długo. Jeżeli

tunel jest stabilny, musimy założyć, że obcy już przez niego przelecieli. Migotał jak stroboskop i jest blisko innego, aktywnego korytarza. Nie, wyruszmy stąd, gotowi do walki.

– Walki z kosmitami czy z ludźmi?

– I z jednymi, i z drugimi, jeśli będzie to konieczne.

– Zgoda – oznajmił Smythe z wyraźną ulgą. Nie chciał tracić czasu na lot do innego tunelu. – Mój zespół będzie w gotowości.

– Wiem. Mam jednak nadzieję, że nie będziecie potrzebni.

– Gdyby liczył pan, że wszystko pójdzie dobrze, nie brałby pan na pokład żołnierzy STAR.

*

Przez nadal migoczącego Łapacza przeleciało pięć ciężko opancerzonych pocisków. Cztery trafiły w horyzont zdarzeń w odpowiednim czasie, by przedostać się przez tunel przed jego zamknięciem. Nie dało się stwierdzić, ile z nich ocalało, by przekazać kody uwierzytelniające „Latającego Holendra”. Changowi nie uśmiechało się zużywanie aż pięciu rakiet, przeznaczonych do bombardowania z orbity, wołał jednak nie natknąć się na pole minowe po drugiej stronie tunelu.

– Pilot... – Pułkownik zacisnął mocniej pas bezpieczeństwa. – Przelatujemy.

„Holender” skoczył z precyzją, o której Agada mogłaby jedynie pomarzyć, gdyby korzystała z oryginalnego, thurańskiego napędu. Okręt wyłonił się w minimalnej bezpiecznej odległości od wciąż niestabilnego horyzontu zdarzeń. Wystarczyło kilka dodatkowych podmuchów z silników manewrowych, aby skorygować kurs. Potem ludzie wyruszyli na spotkanie z przeznaczeniem. Chang wstrzymał oddech, gdy horyzont pulsował nienaturalnym błękitnym światłem. W ostatniej sekundzie silniki zadziały z połowicznym ciągiem, a „Holender” zanurzył się w tunelu tuż

przed tym, jak korytarz znowu zniknął.

Przelot tak naprawdę nie był dla załogi najgorszym doświadczeniem. W końcu żaden inny okręt w Galaktyce nie mógłby się poszczycić uszkodzeniem tunelu Pradawnych. Takiego czynu dokonała nigdy tylko Wesoła Banda Piratów. Kong przełknął ślinę, walcząc ze wzbierającymi nudnościami, i powstrzymał się przed wydawaniem bezsensownych rozkazów, gdy okręt i ludzie na pokładzie powoli dochodzili do siebie po, jak się wydawało, natychmiastowym przemieszczeniu z jednego punktu do drugiego.

Nagle dało się słyszeć głuchy, odległy łomot.

– Pułkownik Chang, właśnie zderzyliśmy się z pociskiem nuklearnym – poinformowała Agada. – Nie doznaliśmy uszkodzeń, osłony zdołały odbić pocisk, zanim uderzył w przednią kopułę czujnikową. Musiał zostać rozbrojony. A może to niewypał?

– Nie możemy ryzykować. Pilot, skok w opcji Charlie, kiedy tylko...

– Jednostka SEONZ zasypuje nas sygnałami! – przerwała mu Agada.

– Zignorować rozkaz. – Chang odczekał, aż piloci potwierdzą przyjęcie komendy. – Co to za jednostka?

– „Yu Quishan”. Niejaki admirał Patel chce rozmawiać bezpośrednio z panem.

Podczas resetu czujników ekran główny zapełniał się danymi. Niecałe sto tysięcy kilometrów dalej znajdował się dawny krystański transportowiec wojskowy. Nową nazwę otrzymał na cześć chińskiego sierżanta, który poświęcił życie, aby powstrzymać jaszczura przed wysadzeniem pierwszego okrętu przejętego przez Wesołą Bandę Piratów. Chang był przy tym. Wydawało mu się, jakby było to wczoraj, a jednocześnie

niezwykle dawno temu.

– Agado, nie mamy czasu na sprzeczki o władzę. – Pułkownik nie zamierzał oddawać kontroli nad okrętem admirałowi, który w ogóle nie orientował się w sytuacji. – Włam się do banków danych „Quishan”. Daj znać, czy jest tam coś, o czym powinniśmy wiedzieć.

– Hmm... – Agadzie nie podobało się, że musi zgadnąć, jakie informacje będą ważne dla ludzkiej załogi. – Nasze spóźnienie wywołało na Ziemi znaczne napięcia i niepokoje. Na razie nie przerodziły się one w faktyczny konflikt pomiędzy państwami SEONZ. „Quishan” został tu przysłany, gdy na planecie wykryto

promieniowanie gamma z Łapacza. Ludzie podejrzewają, że to nieznany wcześniej tunel Pradawnych, nikt jednak nie domyśla się, że może być robotą Skippy’ego.

– Nic nie wskazuje, żeby wykryto okręty obcych? – Chang obawiał się nie tylko Maxolxów nadlatujących od strony Miotły. Do tego dochodził bosphuracki krążownik, który zniknął w tajemniczych okolicznościach po ziemskiej stronie Bramy, a także ewentualne niespodzianki, jakie mogli zostawić Kristangowie.

– Nie, pułkowniku. Admirał Patel nalega na rozmowę z panem. Czy właściwie z Bishopem. Chce wiedzieć, gdzie byliśmy.

– Poleć „Quishan”, żeby jak najszybciej wrócił nad Ziemię. Potem wszystko wyjaśnimy. Hmm, powiedz też Patelowi, że niedługo mogą zjawić się tu okręty Maxolxów.

– Już.

– Znakomicie. Pilot, skok w opcji Sierra, powtarzam, Sierra. Startujcie, gdy będziecie gotowi.

„Latający Holender” zakończył skok po drugiej stronie

Saturna. W oczekiwaniu na reset czujników Chang kontemplował coraz wyraźniejszy widok planety otoczonej pierścieniem.

– To takie dziwne... Przebyliśmy pół Galaktyki, a jednak nigdy wcześniej nie byliśmy tutaj. Zawsze chciałem zobaczyć Saturna.

Westchnął, gdy na ekranie zobaczył zjawiskowy pierścień, podświetlony promieniami lokalnej gwiazdy... starego, dobrego Słońca.

Niesiony siłą pędu, „Holender” zatoczył łuk wokół planety i otoczył się polem maskującym, zanim znalazł się naprzeciwko Ziemi. Chang w milczeniu podziwiał widoki, podczas gdy czujniki pasywne zbierały informacje o ojczystym świecie ludzkości. Dane pochodziły sprzed siedmiu minut. Kong żywił nadzieję, że niepotrzebnie zachowuje ostrożność i że nie będzie musiał przeprowadzić rozpoznania z ukrycia, zanim wyruszy na Ziemię. Nikt jednak nie płacił mu za nadzieję.

– Pułkownik Chang. – Agada odchrząknęła. – Zlokalizowałam „Mroźny Sztylet Prosto w Serce”. Jest na niskiej orbicie. Pozostaje pod kontrolą SEONZ. Tylko jeden z jego reaktorów jest aktywny. Nie wiem jeszcze dlaczego... Ojej.

– Co się dzieje?

– Proszę dać mi chwilę na weryfikację. Te dane z czujników są bardzo niewyraźne.

Chang w tym czasie skontaktował się ze Smythe’em, którego zespół czekał już w lądownikach.

– Smythe, bądźcie w gotowości. „Sztylet” nie wygląda na zagrożony ani wrogi. Nie chcę nastawiać ziemskich władz przeciwko nam. Wzięcie „Sztyletu” siłą byłoby zbyt pochopnym posunięciem.

– Wówczas przekroczylibyśmy Rubikon – przyznał Smythe. –

Nie widziałem jeszcze żadnych danych o... – ściszył głos mimo szczelnie zamkniętego hełmu – o rodzinach członków załogi.

– Pracujemy nad tym. – Chang zajrzał przez szybę do BCI.

Załoga śledziła czujniki, nie chcąc zostawiać całej pracy

Agadzie. – Gdy tylko...

– Och, pułkowniku Chang – odezwała się pokładowa SI drżącym głosem. – Obawiam się, że mam straszne wieści. Dane z czujników są tak niejasne, że muszę zawierzyć szczątkowym efektom cząsteczek wiatru słonecznego.

– Jakim znowu efektem?

Agada nie odpowiedziała od razu. Wydała odgłos, jakby brała wdech przed ogłoszeniem złych wiadomości.

– Efektem, jakie pozostawił napęd skokowy obcych niecałe cztery minuty świetlne od Ziemi. Pułkowniku, tej sygnatury nie da się pomylić z żadną inną. – Zawiesiła głos. – Maxolhxowie już tu są.

Chang słyszał czyjś głos. Musiał potrząsnąć głową, aby się skupić.

– Chwileczkę, Smythe – powiedział ze spokojem, który wynikał raczej z szoku niż z profesjonalizmu. – Agado, wyjaśnij proszę, z jakich danych korzystasz i jaką masz pewność co do odczytów.

– Przepraszam, pułkowniku, powinnam powiedzieć o tym wcześniej. Jak panu wiadomo, maxolhxańskie jednostki potrafią skupiać promienie gamma po skoku przychodzącym, aby fotony były trudne do wykrycia, chyba że ich wiązka będzie skierowana prosto na nas. Jeszcze innym efektem takiego skupienia jest ślad ze zjonizowanych cząsteczek, wytwarzany przez wiązkę przechodzącą przez wiatr słoneczny. Taka jonizacja jest słaba, ale widoczna. Tylko Maxolhxowie i Rindhalu potrafiliby dokonać czegoś takiego. Sądząc po

unikalnych cechach jonizacji, mogę stwierdzić z dziewięćdziesięciodziewięcioprocentową pewnością, że ślad ten zostawiły okręty Maxolhxów. Mówiąc ściślej, jeden krążownik liniowy klasy Zemsta, trzy ciężkie krążowniki i od dziesięciu do dwunastu innych jednostek, lekkich krążowników bądź niszczycieli.

– Dziękuję. – Chang poprosił o informacje między innymi po to, aby otrząsnąć się z szoku na wieść, że nieprzyjaciel dotarł już do Układu Słonecznego. – Kolejne pytanie. – Miał wrażenie, że ktoś inny wypowiada te słowa. W jego głosie pobrzmiwał wręcz nienaturalny spokój. – Czy potrafisz oszacować, jak dawno temu mogły wskoczyć tu te okręty?

– Tak. Stopień osłabienia efektu jonizacji świadczy niezbicie, że do skoków doszło jedenaście godzin i osiemnaście minut temu. Margines błędu wynosi siedem minut.

– Rozumiem. Pułkownikowi Smythe, słyszał pan?

– Tak jest – potwierdził dowódca STAR. – Maxolhxowie są tu od ponad jedenastu godzin.

– Właśnie. Nie rozumiem, dlaczego nie zorganizowali zasadzki przy Łapaczu – zastanawiał się Chang. – Na pewno zauważyli pojawienie się nowego tunelu tuż przy krańcu Układu Słonecznego.

– Mogli być przy Łapaczu jeszcze przed naszym przybyciem – powiedziała Agada. – Zagęszczenie cząsteczek jest tam o wiele słabsze niż przy Ziemi. Ślad jonowy byłby bardzo trudny do wykrycia w czasie, jaki mieliśmy przed skokiem. Muszę przyznać... – ciągnęła łamiącym się głosem – że nie poszukiwałam oznak wrogich okrętów. Skupiłam się na „Yu Quishan”. To moja wina.

– Agado, zrobiłaś to, co poleciłem. Sam ponoszę za to odpowiedzialność. Maxolhxowie na pewno widzieli nowy tunel

i trzeba założyć, że go zbadali. Wówczas powinni znaleźć „Quishan” i przekonać się, że sterują nim ludzie. A mimo to nie przejęli tego okrętu. To zastanawiające.

– Sir. – Smythe przerwał rozmyślenia dowódcy. – Kocury zjawily się nad Ziemią już dawno temu. Co teraz robią?

– Sądzę, że obserwują. Próbują zrozumieć dane, które do nich docierają. Na pewno są w szoku. – Dopiero teraz Kong zdał sobie sprawę, że nieprzyjaciel również musi być oszołomiony. – Okazało się, że Kristangowie wcale nie rządzą Ziemią i nie ma ich na planecie. Został po nich transportowiec, będący w posiadaniu ludzi.

– To nie wszystko – dodała Agada. – Jest mało prawdopodobne, aby czujniki na Ziemi lub na „Sztylecie” wykryły nieprzyjaciela. Maxolhxowie niemal na pewno wiedzą już o Skippym. SEONZ dbają o bezpieczeństwo łączności, ale istnienie Skippy’ego wyszło na jaw, gdy nas nie było. Rządzący jeszcze oficjalnie nie ujawnili faktów, jednak w mediach społecznościowych krążą spekulacje bardzo bliskie prawdy.

– Zastanawiają się, co robić – stwierdził Chang. – Mam na myśli Maxolhxów. Zapewne wiedzą, że „Quishan” jest w rękach

ludzi, ale postanowili nie ingerować. Woleli zbliżyć się do Ziemi i zebrać więcej informacji. Widać ich flotą dowodzi ktoś bardzo ostrożny... Po wyjściu z nowego tunelu natrafili na coś zupełnie nieoczekiwanego. Dowiedzieli się, że ludziom pomaga SI Pradawnych, której aktualnie nie ma w pobliżu. I że Ziemianie nie wiedzą, dokąd odeszła ta sztuczna inteligencja.

– Kocury chcą dostać Skippy’ego w swoje łapska – powiedział Smythe.

– Otóż to – zgodził się Chang. – Powinna to być dla nich sprawa o najwyższym priorytecie.

– Nie będą się ociągać – ostrzegł dowódca STAR. – Na pewno podejrzewają, że ktoś na Ziemi zna lokalizację Skippy’ego. W dalszej kolejności zagrożą zbombardowaniem Ziemi. Kto wie, może już to zrobili? Nasze dane pochodzą sprzed kilku minut.

– My mamy jeden okręt, wróg ma ich ponad tuzin. Jakies sugestie?

– Nie wygramy bezpośredniego starcia. – Smythe po prostu stwierdził fakt. – Sir... – Wziął oddech. – Moglibyśmy przeprowadzić strategiczny odwrót. – Anglik użył eufemizmu na najzwyczajszą ucieczkę. – Polecieć na Paradise i wziąć na pokład tyłu ludzi, ilu zdołamy unieść.

– Moglibyśmy... – Chang rozważał tę możliwość. – Ale po co? Jeśli nie znajdziemy „Walkirii”, nie otworzymy tunelu do Bazy Beta. Nie dostaniemy się nawet do Klubu Skippy’ego.

– To rzeczywiście nie najlepsze wyjście – przyznał Smythe. – Ale w tej chwili nie widzę żadnych dobrych opcji.

– Bo ich nie mamy. „Walkiria” tu nie dotarła. Bishop dołączyłby do nas, gdyby mógł. Trzeba założyć, że nasz krążownik został obezwładniony albo zniszczony. Cokolwiek zrobimy, jesteśmy zdani na siebie... Smythe, to już koniec. – Chang spojrział na pilotów i na ludzi w BCI. Patrzyli na niego, czekając, aż podejmie decyzję. Aż powie im, co robić. – Mieliśmy nadzieję, że unikniemy tej walki. Ziemia jest bezbronna. – Zwrócił się w kierunku BCI. – Wesoła Banda Piratów nie ucieknie przed wrogiem. Będziemy walczyć! Na twarzach członków załogi malował się lęk, szok, zgroza i coś jeszcze... Niezłomna determinacja.

– Lećmy utrzyć nosa kocurom. Co wy na to?

W BCI rozległy się rwane okrzyki uznania. Załoga zasalutowała Changowi, który odwzajemnił się tym samym.

– Smythe? Ma pan jakieś zastrzeżenia? – upewnił się.

- Nie, sir. Sprzeciwiałbym się tylko, gdybyśmy mieli stchórzyć. Jesteśmy gotowi.
- Agado, zaprogramuj skok na orbitę okołoziemską.
- Tak jest, pułkowniku – odparła SI. – Przypominam, że nie wiemy, gdzie dokładnie przebywa nieprzyjaciel.
- Nie musimy tego wiedzieć. – Chang wduśił przyciski dostępu do broni. – Na pewno sam do nas przyjdzie.

*

„Latający Holender” wskoczył pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od ojczyzostego świata ludzi. Jeżeli niektórzy członkowie załogi na chwilę porzucili zajęcia, by spojrzeć na piękną, błękitno-białą kulę unoszącą się za nimi, było to całkowicie zrozumiałe. W końcu nie widzieli jej już od bardzo dawna, a komandosi z Paradise od wielu lat.

– Agado... – Chang nie odrywał wzroku od mapy taktycznej, wypełniającej się danymi po resecie sensorów – prześlij kody uwierzytelniające SEONZ i poleć „Sztyletowi” skoczyć jak najszybciej na maksymalną odległość. Niech czeka... – No właśnie, na co? – Na rozstrzygnięcie nadchodzącej bitwy albo na sygnał do odwrotu. – Pułkownik nie zazdrościł kapitanowi i załodze krystańskiego transportowca. Maxolhxowie bez wątpienia namierzą i zniszczą ten okręt. – Wyjaśnij, że spodziewamy się ataku przytłaczających sił wroga w każdejchwili.

Nadaj tę samą wiadomość do dowództwa SEONZ.

– Tak jest, pułkowniku. Przeskanowałam „Sztylet”. Jego napęd skokowy nie działa. Obawiam się, że zanim cewki się naładują, będzie już po bitwie. Dowódcy właśnie się z nami kontaktują. Chcą z panem rozmawiać.

– Powiedz, że jestem zajęty. Wkrótce zrozumieją, o co mi chodzi.

Na ekranie taktycznym ukazał się „Mroźny Sztylet Prosto w Serce”, otoczony ładownikami i prawdopodobnie sprzętem konserwacyjnym. A także satelity orbitujące nad Ziemią i pod nią. Oraz krążące wokół Księżyca. Żaden z tych obiektów nie miał znaczenia.

Lokalizacja nieprzyjaciela nadal pozostawała nieznana. Chang zastanawiał się nad wyemitowaniem aktywnego impulsu. Wróg mógłby odebrać to jako rzucenie wyzwania. Całkiem słusznie.

– Agado, przeprowadź skanowanie aktywne. Wybierz najbardziej prawdopodobne miejsce, w którym może być teraz flota Maxolhxów.

*

Admirał Denoth, przebywający na pokładzie swego okrętu flagowego, krążownika klasy Zemsta o nazwie „Arvoxita”, patrzył z niedowierzaniem na nowe dane napływające do czujników. Niedaleko planety wskoczył przed chwilą jakiś okręt, wymieniający wiadomości z użyciem ludzkiego schematu szyfrowania. Również i tę jednostkę kontrolowali ludzie. Te prymitywne istoty jakimś cudem zdołały przejąć co najmniej trzy okręty kosmiczne! Jednak podczas gdy dwa z nich były nędznymi krystańskimi transportowcami, nowa jednostka całkowicie się od nich różniła. Przód kadłuba zdradzał konfigurację thurańskiego lotniskowca, choć znacznie zmodyfikowanego... I to z użyciem maxolhxańskich komponentów! To samo zresztą dotyczyło całej części rufowej. Mimo wszystko admirał nie był przesadnie zdumiony najnowszym odkryciem. Odkąd komandor Illiath zameldowała o istnieniu nieznanego przedtem tunelu Pradawnych, Denoth widział już tyle niespodziewanych czy nawet niemożliwych rzeczy, że chyba zobojętniał i uodpornił się na zaskoczenia.

Nie powstrzymało go to przed gniewem i chęcią okazania dominacji.

– Jak ludziom udało się wykraść układy napędowe z naszego okrętu? – Przesłał tę myśl z mocą przez kanał dla dowództwa. Załoganci na mostku zdrygnęli się, gdy oburzenie Denotha zagrzmiało w ich implantach. – Analiza!

– Admirale – odpowiedziała pokładowa SI – elementy te pochodzą z rozmaitych jednostek wielu różnych ras. Główne części wywodzą się z krążownika liniowego klasy Zagłada.

– Jaką siłę ma nieprzyjaciel?

– Jego okręt, najwyraźniej nazwany na cześć postaci z ludzkiej mitologii, mógłby zwyciężyć w starciu z jednym z naszych niszczycieli. Jednak wobec naszego krążownika będzie bez szans – oświadczyła sztuczna inteligencja z nutką dumy, niebezpiecznie bliskiej emocji zakazanej wśród maxolhxańskich komputerów.

– Skaczemy na mój znak. Formacja bojowa numer trzy. Dokonamy abordażu i pochwycimy ten okręt.

– Wszystkie jednostki w gotowości.

– Skakać!

*

Chang odchylił się instynktownie, gdy przed „Latającym Holendrem” pojawiło się kilka rozbłysków gamma.

Nieprzyjaciel nie próbował ukryć swojego przybycia.

Zrezygnował nawet z pól maskujących. Chciał być widziany i wzbudzać lęk.

„Udało mu się” – przyznał Chang w duchu, wołał jednak zachować tę myśl dla siebie.

– Nieprzyjacielski dowódca nadaje komunikat – zameldowała Agada. – Domaga się naszej kapitulacji i przygotowania na abordaż.

W odpowiedzi pułkownik uniósł, a potem opuścił pokrywę mechanizmu samozniszczenia.

– Czy wróg może wyłączyć nasze głowice autodestrukcyjne? – zapytał.

– Owszem, z małej odległości – potwierdziła SI. – Ostrzeżę pana, jeżeli dojdzie do zakłóceń w mojej komunikacji wewnętrznej.

– Prześlę odpowiedź z obrazem i dźwiękiem – postanowił Chang. Niech wróg go zobaczy. Zapewne uznawał ludzi za prymitywnych i słabych. – Mówi pułkownik Chang Kong z „Latającego Holendra”, okrętu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Mam wiadomość dla waszego dowódcy. Skapitulujcie i oddajcie nam wasze okręty!

– Głupcze!!! – ryk Maxolhxa rozległ się na mostku, zanim Agada zdążyła zmniejszyć głośność. – Ośmielasz się nam grozić?!

– Jam jest straszny pirat Roberts! – oznajmił Chang. Ludzie z BCI gapili się na niego z niedowierzaniem. – Nikt się nie ostanie!

Kong sam się sobie dziwił. Dlaczego akurat teraz sięgnął po nawiązanie do popkultury? Większość ludzi na pokładzie i tak nie wiedziała, skąd pochodzi ten cytat. A już Maxolhxowie z pewnością nie oglądali „Narzeczonej dla księcia”.

Odpowiedź była prosta – tak właśnie postąpiłby Joe Bishop. Może Chang powinien sprawić sobie zapas koszulek z napisem: „Co zrobiłby Bishop?”.

Nie, takie numery uchodziły na sucho tylko samemu Joemu. „Holender” zadrżał.

– Pułkowniku, nie możemy odlecieć – zgłosiła Aga da. – Nieprzyjaciel emituje pole blokujące pracę silników do lotu w normalnej przestrzeni.

– I tak nigdzie się nie wybieramy – mruknął Chang.
Co zrobiłby Bishop w takiej sytuacji? Nie mając szans i nie mogąc się ruszyć?

Chang w mgnieniu oka odpowiedział sobie na to pytanie. Bishop nie pozwoliłby, aby „Holender” wpadł w ręce wroga, który następnie dowiedziałby się o „Walkirii”. Kong nie miał pewności, czy krążownik rzeczywiście uległ zniszczeniu. „Walkiria” była ostatnią nadzieją ludzkości. Dni „Latającego Holendra” jako pirackiego okrętu dobiegły końca. Teraz nie pozostawało nic innego prócz niesamowicie głupiego i bezsensownego aktu oporu wobec wroga.

– Agado, czy otacza nas pole wytłumiające?

– Tak. Wytwarzają je tylko trzy jednostki nieprzyjaciela, jednak na tym dystansie działa bardzo skutecznie.

– Nie skoczmy, ale ciekawe, czy udałoby nam się zrobić coś innego. Zdarzało się, że okręt, zamiast tworzyć tunel, „przekopywał się” przez czasoprzestrzeń, jak by to ujął Skippy. Używaliśmy napędu skokowego, aby prześlizgnąć się w bok przez normalną przestrzeń. Czy tym razem też mamy taką możliwość?

– Och, pułkowniku, szkoda, że zadał pan to pytanie. Dla Skippy’ego byłoby to możliwe. Ja, choć rozumiem teorię, nie umiem wykorzystać jej w praktyce. Moglibyśmy wyjść cało z takiego manewru, ale tylko gdyby był z nami Skippy. Próbując samodzielnie zakrzywić czasoprzestrzeń, zgodnie z pańską sugestią, niechybnie zniszczyłabym „Holendra”.

– Rozumiem – odparł Chang, czując na sobie spojrzenia załogi. – A czy taki manewr doprowadziłby do kolizji z maxolhxańskim okrętem dowodzącym?

– O... – Agada nagle wszystko zrozumiała. Na mostku zaległa

głucha cisza. Piloci wstrzymali oddech. – Tak – westchnęła SI.

–

Tak mi się wydaje. Pułkowniku, niszczyciele wroga lecą, aby nas otoczyć, a dowódca domaga się odpowiedzi.

– Kiedy będziemy mogli zacząć zakrzywianie?

– Jesteśmy gotowi już teraz.

– Poinformuj zatem dowódcę Maxolhxów, że mamy dla nich odpowiedź... – Uniósł zaciśniętą pięść. – Oto i ona! Słuchajcie wszyscy... – Chang wstał z fotela i spojrzał w stronę BCI. – Służba z wami była dla mnie zaszczytem.

Członkowie załogi salutowali, mamrocząc coś w odpowiedzi.

Chang Kong odsalutował, po czym zajął swoje miejsce.

– Pilot, przygotuj napęd skokowy do zakrzywienia czasoprzestrzeni. Trzy, dwa...

ROZDZIAŁ 33

– Jeden...

Gdy Chang odliczył ostatnią sekundę przed desperackim manewrem, „Walkiria” pojawiła się w oślepiającym rozbłysku promieniowania, o wiele silniejszym niż po zwykłym skoku. Krążownik z rozgrzаныmi radiatorami ustawił się pomiędzy „Holendrem” a siłami zadaniowymi nieprzyjaciela.

– Zignorować rozkaz! – warknął Chang. Piloci przewidzieli to i unieśli ręce nad konsolami. – „Walkiria”? Joe?

– Cześć, Kong – rozległ się znajomy głos. Na ekranie ukazała się uśmiechnięta twarz Bishopa. – Przepraszamy za spóźnienie, ale musieliśmy załatwić... sprawunki.

– Sprawunki?!

– Długa historia. Przeszkadziliśmy w czymś? Nie chciałbym...

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za to najście – zapewnił Chang pospiesznie.

– Na pewno? Bo możemy wrócić później, jeśli...

– Na pewno! Liczę, że macie plan. Wróg wciąż jest liczniejszy i silniejszy od nas.

– Liczniejszy? Owszem. Ale silniejszy? Chyba na pewno nie... Chang spojrział na Bishopa podejrzliwie.

– Czyżbyście mieli coś...

– Zaufaj mi.

*

– Skippy, mamy łączność z okrętami nieprzyjaciela? – zapytałem.

– Tak. – Błaszak parsknął. – Kocury krzyczą „poddajcie się w tej chwili” i straszą, że spalą waszą planetę na popiół, a tobie zgotują powolną, bolesną śmierć... Nic nowego. Mogłyby się postarać, zamiast rzucać oklepane pogroźki. Czuję się zawiedziony.

Zaśmiałem się.

– Włącz kamerę, jestem gotowy na prezentację.

– O rany... Twoja paskudna gęba powinna ich wystarczająco nastraszyć.

– Do dzieła. – Wstałem, zerkając na tablet. Na ekranie mostka pojawiła się twarz Maxolhxa, zapewne dowódcy sił zadaniowych. Na tablecie miałem przygotowaną przemowę. Krótki, zwięzły komunikat sformułowany i zatwierdzony głównie przez Hansa Choteka i Troje Pachółków. Tekst objaśniał stanowisko ludzkości, oferował kompromis o obopólnych korzyściach i otwierał drogę do negocjacji. Choć nie przepadałem za przesadnie uprzejmym dyplomatycznym bełkotem, sam musiałem przyznać, że wiadomość jest wyważona, stanowcza i profesjonalna.

Rzuciłem tablet przez ramię. Urządzenie zagrzechotało na pokładzie.

– Hej, zasańcu! Tak, do ciebie mówię, futrzaku!

Kosmita dosłownie zapluł się ze złości.

– Co jest? – Udałem, że nasłuchuję. – Kłaczek utknał ci w gardle? Dobrze, dam ci chwilę.

– Joe... – ostrzegł Skippy – oni otwierają wyrzutnie pocisków.

– Joe! Bishop! – krzyknął Chang przez słuchawkę. – Co ty wyprawiasz?!

– Czeka cię śmierć! – Maxolhx wycelował we mnie szpon.

– Jeszcze zobaczymy – odparłem, pstrykając palcami.

*

Denoth odwrócił się od wyświetlacza, manipulując przy kontrolkach holograficznych, aby uruchomić broń okrętu. Po namyśle przejął kontrolę nad uzbrojeniem całej grupy zadaniowej i wziął na cel okręt widmo... pilotowany przez żalosnych ludzi! Gdy jednostka zjawiała się znikąd, nawet admirał przeżył chwilę przerażenia. Lęku przed nieznanym. Teraz gdy dowiedział się, kto steruje postrachem Galaktyki, odczuwał raczej gniew i oburzenie. Okręt widmo już wcześniej wyrwał się z pola wytłumiającego, ale nie na tak małym dystansie. Teraz nie mógł uciec, ukryć się ani wywalczyć sobie wolności. Zwłaszcza że mierzył się z całą grupą zadaniową.

– Do wszystkich okrętów – oznajmił zupełnie niepotrzebnie, skoro miał władzę nad bronią na każdej jednostce, nawet na „Vortanie”, krążowniku Illiath. – Celujcie w okręt widmo i... – Znieruchomiał, przebierając palcami.

Czujniki okrętu przesłały na ekran i do implantów ocznych dowódcy informacje o czymś niezwykłym i zupełnie nieoczekiwanym. Czymś tak szokującym, że wyrwało to admirała z odrętwienia i wprawiło go w zdumienie.

Okręt widmo otwierał drzwi doków i wysuwał wiele różnych rodzajów broni. Denoth rozpoznawał te urządzenia.

To była broń Pradawnych.

*

Aha, kurczę, chyba zapomniałem wam o czymś opowiedzieć. Ostatnio bywam zapominalski. Już wyjaśniam.

Kiedy „Walkiria” spadała w kierunku jądra planety, awatar Skippy’ego stał się bladym punktem światła, tańczącym przed moimi oczami w rytm coraz gwałtowniejszych wstrząsów okrętu. Na ekranie głównym symbol krążownika zbliżał się do linii wyznaczającej głębokość, na której dojdzie do zmiążdżenia. Pancierz dziobowy „Walkirii” rozgrzewał się do białości.

Zamknąłem oczy i akurat wtedy hologram wrócił do życia, rozbłyskając oślepiającym blaskiem.

– Nie! – wrzasnął Skippy. – Nie tym razem. Pierdołę to!

Ośloniłem oczy przed nieznośnie jasnym awatarem i spojrzałem na niego, mrużąc oczy.

– Skippy! Uciekaj stąd!

– Nie, Joe! Mam to gdzieś, nie zamierzam po raz kolejny opuścić przyjaciół. Nigdy więcej! Przejdziemy przez to razem! Nie mieliśmy czasu na takie bzdury.

– To miło z twojej strony, Skippy, ale nic to...

– Joe – wciąż się blaszak – masz może płaski śrubokręt?

– Śrubo... Po co ci...

– Otóż, Joe... – W jego ręce pojawił się lśniący pojemnik, przypominający puszkę z farbą. – Mam tu puszkę pełną świeżego, soczystego mordobicia i muszę ją otworzyć.

A co mi tam? Wyciągnąłem rękę, udając, że coś rzucam.

W drugiej dłoni Skippy’ego ukazał się holograficzny śrubokręt. Blaszak podważył nim wieko puszeki, mamrocząc do siebie:

– Starasz się być porządnym, uprzejmym i rozsądnym

gościem, przestrzegać zasad i co z tego masz? Nic! Nic a nic! – W końcu wieko odpadło, a z pojemnika wydobyło się jaskrawe światło. – Niech będzie. Dosyć tego dobrego!

Awatar zniknął. Okręt przechylił się na bok. Gdyby nie pole lewitacyjne wokół fotela, skrzyłbym kark. Ekran przełączył się na schemat okrętu, z podświetloną częścią rufową.

– Sir! – krzyknęła Chen. – Uszkodzenie kadłuba na lewej burcie, między wręgą trzydziestą siódmą i czterdziestą drugą. To... – Odwróciła się do mnie z przerażoną miną. – To tam znajduje się kapsuła Skippy’ego.

Cholera. Już po nim. Cokolwiek próbował osiągnąć, nie udało mu się.

Okręt, wytracony z równowagi, przekreślił się na bok i zawirował. Teraz spadaliśmy dnem do dołu. Na schemacie odpadały kolejne płyty pancerza, jakby jakiś olbrzym otwierał suwak biegnący wzdłuż podwozia.

Potem było jeszcze gorzej.

Przestałem nadążać za rozwojem wydarzeń. Mój mózg doznał tyłu wstrząsów, że nie byłem w stanie uporządkować myśli. W którymś momencie „Walkiria” przewróciła się do góry dnem, a potem ogonem do dołu. Straciliśmy nad nią kontrolę. Piloci nie wiedzieli, co się dzieje. Zresztą wszystkie silniki manewrowe wysiadły.

Potem okręt się zatrzymał. Znieruchomiał, tak po prostu. Jeśli wierzyć ekranowi, wisielśmy poniżej punktu, w którym „Walkiria” powinna ulec zniszczeniu. Mimo to była nienaruszona... No dobrze, to akurat gruba przesada. Z przodu, na lewej burcie ziała dziura, którą zajmowały się automaty naprawcze.

– Co... – wydyszałem, zdezorientowany – co się dzieje?

– Może pan pytać mnie, a ja pana – rzuciła Reed z fotela

pilota. Cokolwiek powstrzymało upadek, nie była to zasługa pilotów.

– Tarcze? – dopytywałem się, mrużąc oczy i wpatrując się w wyświetlacz.

– Nie działają, ziom – zameldował Bilby. – Wyłączyliśmy generatory, pamiętasz?

– No tak – odparłem, choć nie byłem pewien, czy rzeczywiście przypominałem sobie coś takiego. – Możemy je włączyć ponownie?

– No nie wiem. Dajemy radę bez nich. Nie lepiej będzie użyć energii do czegoś innego? Dwa reaktory oberwały tak ostro, że odciąłem dopływ paliwa. Pewnie będą gotowe, kiedy skończę szukać usterek. A, właśnie. Myślisz, że powinniśmy spróbować odpalić silniki?

– Jeszcze nie teraz – powiedziałem. – Nie rób nic, dopóki nie ustalimy, co się dzieje. A co się właściwie dzieje?

– Sam nie wiem, ziom. Co za przypał!

Zacisnąłem pięści, starając się zachować spokój.

– Bilby, powiedz mi, co wiesz.

– Spoko. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jesteśmy w jakiejś bańce niskiego ciśnienia. Powietrze na zewnątrz ma ten sam skład co w całej atmosferze planety, ale jest go tak jakby... mniej.

– Dlaczego nie spadliśmy? Wpadliśmy w prąd antygravitacyjny?

– Nie no, to raczej jakieś pole lewitacyjne. Nie podciąga nas od góry ani nie wypycha od dołu. Jest wszędzie wokół. Trochę jak jakaś magia. Nie podoba mi się to. Aha, jeszcze jedno. Kiedy się zatrzymaliśmy, w ładowni dwunastej mocno skoczyło promieniowanie.

– Masz pojęcie, co mogło być powodem?

- Ni cholery. Nic tam nie widzę. Kijowa sprawa.
- Rzeczywiście, kijowa – zgodziłem się. – Bilby, możesz wysłać jakieś boty i sprawdzić, co stało się z kapsułą Skippy’ego? Albo nadać sygnał?
- Próbowałem, ale nie odpowiada. Nie dostałem też odpowiedzi od szefa tej meliny, ale to chyba dobrze, co?
- Możliwe. – Czasami zapominałem, że pod fasadą zblazowanego surfera, jaką prezentował Bilby, kryła się arcymądra sztuczna inteligencja.
- Sir? – odezwała się Simms. – Nie możemy tu siedzieć w nieskończoność.
- Racja. Hmm, lądownicy odpadają. Zostaną zgniecione, kiedy tylko wydostaną się poza bańkę. Bilby, jak duża jest ta bańka?
- Ma średnicę jakichś siedmiu kilometrów. To idealna sfera. Spodziewałbym się, że ciśnienie będzie ją płaszczyć na górze i dole, ale tak nie jest. Poza tym ma ściany grube na jakieś sto sześćdziesiąt metrów.
- Simms i ja popatrzyliśmy po sobie, rozważając opcje. Oficer wykonawcza przemówiła pierwsza:
- Możemy wypuścić drona sondującego?
- Łoo... – odparł Bilby. – Nie wiem, czy to dobry pomysł. Co będzie, jak dron przebije bańkę?
- Coś trzeba zrobić. – Zgadzałem się z Simms. – Wyślij sondę, ale każ jej lecieć w żółtym tempie. Zawróć ją, jeśli zacznie uszkadzać bańkę.
- Jasne, ziom. Daj mi chwilę, muszę znaleźć sondę godną zaufania. Kiedy spadaliśmy, wszystko się popierdoliło.
- Włączając w to moją głowę. – Simms potarła skronie. – Sir, na razie powinniśmy zrezygnować z używania silników okrętowych, ale główne silniki manewrowe wykorzystują tę

samą technologię. Proponuję przesunąć „Walkirię” o parę metrów i sprawdzić, czy bańka przemieści się razem z nią.

– Dobry pomysł. Bilby, masz coś przeciwko wypróbowaniu silników manewrowych?

– Nie, ale bądźcie delikatni. One też swoje przeszły.

– Pilot, przenieś nas...

– Ej! – Powrócił awatar Skippy’ego, błądy i rozmazany. Wielki admiralski kapelusz był brudny, powgniatany i podarty. Ba, nawet podziurawiony kulami! – Nie róbcie tego – poprosił Skippy cichym głosem, z którego przebijało wyczerpanie.

– Skippy! – Chciałem zerwać się z fotela, ale zapomniałem, że wciąż przytrzymują mnie pasy. – Ty żyjesz!

– Żyję i wciąż rządzę, złotko – wymamrotał, jakby nałykał się tabletek nasennych. – Błagam, nie majstrujcie przy bańce. Nadal przejmuję kontrolę nad tutejszymi systemami.

– Tutejszymi? Gdzie w ogóle jesteś? Twoja kanciapa eksplodowała!

– No tak, przykro mi. Trochę się rozszczelniłem, ale obyło się bez katastrofy. O nie! Właśnie zdałem sobie sprawę, że przepadła cała moja kolekcja dzieł sztuki... I pas Elvisa! – zaszlochał.

– A twój kanister? – zapytałem lękliwie.

– Jest uszkodzony, ale jakoś się trzyma. Teraz turla się po podłodze w ładowni dwunastej. Nagrzał się jak diabli. Ma jakieś cztery tysiące stopni. A poza tym promieniuje. Uff, lepiej tam nie wchodzić bez wielkiej puszki odświeżacza powietrza, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nikt nie powinien na razie zapuszczać się na rufę, za wręgę sto osiemnastą. Nie martwcie się, kanister nie wytopi dziury w pokładzie i cały czas stygnie.

Promieniowanie ma krótki okres rozpadu połowicznego i wkrótce się rozproszy. Ta część okrętu i tak nie jest nam teraz

potrzebna, więc to żadna strata.

– Zrobimy to, co uważasz za słuszne. – Zobaczyłem, że Simms stuka w panel kontrolny, aby odciąć dostęp do części okrętu, o której mówił blaszak. – Skippy, co się właściwie stało?

Przekonałeś istotę z tej planety do współpracy?

– Nie. Chociaż próbowałem. Grzeczność na nic się nie zdała.

Wywiązała się między nami długa i zażarta walka. Mówiąc oględnie, zatłukłem tę francę na śmierć. Nie było łatwo.

Potrzebuję kilku tygodni, żeby dojść do siebie. I to licząc według małpiej rachuby.

– Pokonałeś... Ale jak?

– Pewnie, że nie pięściami, tłumoku! – parsknął. Do brze było słyszeć, że stary, dobry blaszak pozostał sobą. – Spaliłem ją, przelewając do jej macierzy niekontrolowaną energię.

Usmażyła się, Joe. Teraz muszę sam kontrolować systemy podrzędne... I tu zaczynają się schody.

– Dlaczego?

– Nie będę mógł stąd odejść, dopóki nie ustabilizuję albo nie wycofam pola rozpraszającego grawitację. A jeżeli nie będę go wycofywał powoli i ostrożnie, może zaburzyć orbity wszystkich planet w układzie. Wówczas Avalon mógłby przestać nadawać się do zamieszkania.

– Szlag. Czy...

– Jestem przekonany, że system sterujący polem rozpraszającym wkrótce zyska zdolność samodzielnego działania, ale bezpieczniej będzie pozwolić mu się wycofać i deaktywować. Powtarzam, powoli i ostrożnie.

– Ty znasz się na tym najlepiej. Co rozumiesz przez „wkrótce”? Nie możemy tu czekać, trzeba wrócić na Ziemię i zacząć ewakuację.

– Hmm, a skoro już o tym mowa... ha, ha...

Na twarzach wszystkich na mostku odmalowała się zgroza. Sam nie mogłem wydusić słowa. Simms zebrała się na odwagę i zadała pytanie:

– Avalon nie może być naszą Bazą Beta?

– Że co? Nie. Znaczy tak, może... Nie ma powodów, by nie uważać go za całkiem miłe miejsce, jeśli ktoś lubi izolację, nudę i biedę z nędzą.

– Lepsze to od wyginięcia całego gatunku – odgryzła się Simms. Nie cierpiała, gdy Skippy podchodził do poważnych tematów tak niefrasobliwie.

– Ależ oczywiście. Jak najbardziej – wyjąkał blaszak nerwowo.

– Jeśli to miejsce nie zagraża Avalonowi, dlaczego nie możemy rozpocząć ewakuacji? – zapytałem, gdy wróciła mi mowa.

– Cóż, Joe, możecie, jeśli chcecie. Chodzi o to, że znalazłem tu coś ciekawego.

Wymieniłem kolejne sceptyczne spojrzenie z Simms. W przypadku Wesolej Bandy Piratów „ciekawe” rzadko oznaczało „dobre”.

– Co to za miejsce? Dlaczego Pradawni je ukryli? – dopytywałem się.

– Ponieważ to arsenał, Joe. Wielki magazyn pełen broni Pradawnych!

Po mostku rozeszły się westchnienia szoku. Ja zareagowałem inaczej. Uniosłem pięść i wziąłem oddech.

– Punkt dla nas! – zawołałem.

– O chole... – Simms spojrzała na mnie z niedowierzaniem. – Spodziewał się pan znaleźć tu tę broń?

– Cóż... – Wzruszyłem ramionami, siląc się na nonszalancję. – Raczej miałem nadzieję, że tu będzie. Nie przychodził mi na

myśl żaden inny powód, dla którego Pradawni mieliby zakamuflować całą planetę. I jeszcze zabezpieczyć tunel hasłem.

– Ty sukin... – Simms sztyletowała mnie wzrokiem. – I nic nie powie... Nic pan nie powiedział? Dlaczego?

– Sądziłem, że nie zgodzi się pani, żeby tu lecieć – wyjaśniłem.

– Słucham? Pewnie, cholera, że bym się zgodziła!

– Eee...

– Nie podobało mi się myszkowanie na oślep. Gdybym wiedziała, że czeka tu arsenał superbroni, przyszłabym piechotą, gdyby było trzeba.

– Eee... – powtórzyłem.

– Sir, musi pan nabrać zaufania do załogi – skarciła mnie z pretensją w głosie.

– Przepraszam. – Zwiesiłem głowę. – Po prostu nie byłem tego pewien. Skippy, a ty o tym wiedziałaś? Albo chociaż podejrzywałaś, że trafimy na coś takiego?

– Nie miałem pojęcia – przyznał. – Właśnie po to tu przybyliśmy?

– Tak. Mówiłeś, że zbiór naszych szans na przetrwanie maleje. Masz rację. Sprowadzenie kilku setek ludzi na Avalon, zanim Ziemia zostanie unicestwiona, to żaden plan. Wtedy po prostu dalibyśmy za wygraną. Pieprzyć to! Potrzebujemy naszej zagrywki Hail Mary. Niewiele mamy do stracenia, więc uznałem, że warto zaryzykować. Powiedz mi dwie rzeczy. Nie, właściwie trzy.

– Wal śmiało – zachęcił mnie Skippy. Jego sfatygowany kapeluszek zakołysał się w przód i w tył.

– Czy okręt może się stąd wydostać? I polecieć dalej?

– Dwa razy tak. Czy to były dwa pytania?

- Tak naprawdę to jedno. A czy potrafiłbyś nas stąd unieść w tej bańce?
- Jak najbardziej.
- Dobra, to teraz pytanie drugie. Czy jesteśmy w stanie uzyskać dostęp do broni Pradawnych?
- Uff... Na pewno tego chcesz, Joe?
- Jasne!
- Odpowiedź brzmi tak. Mogę nawet dostarczyć ją na niską orbitę. Jeśli masz konto na Pradawnym Amazonie, przesyłka będzie darmowa.
- A może wykupię trzymiesięczną subskrypcję na broń masowego rażenia?
- Niech będzie – zaśmiał się ku mojej uldze. – A trzecie pytanie?
- Wciągnąłem powietrze, wiedząc, że oczy wszystkich są zwrócone na mnie.
- Czy możemy użyć tej broni?
- Gościu, wyhamuj trochę... Mówisz poważnie?
- Jak nigdy.
- Hmm... No tak. Broń ma wbudowane mechanizmy uruchamiające, a ja posiadam kody uwierzytelniające. O rany... Może teraz ja o coś zapytam?
- Słucham.
- Czyś ty do reszty ochujał?! Zdajesz sobie sprawę, że jeśli użyjesz tej broni, Strażnicy rozdepczą Ziemię na miazgę?
- Wiem o tym, Skippy. Co więcej, wręcz liczę na to.
- Niech to szlag. Widać twój mózg jest uszkodzony jeszcze gorzej niż...
- Mój mózg działa bez zarzutu. Nigdy nie był w lepszej formie. Możesz przemieszczać bańkę i okręt, kiedy twój kanister jest na pokładzie?

– Nie, ale udało mi się to obejść. Powiązałem układ sterowania bańką z konsolą pilota. Jeśli wydacie polecenie, bańka wyniesie was w miejsce, gdzie silniki „Walkirii” zajmą się resztą.

– Świetnie. Kulo Ognia, ruszamy.

– Okej... – odparła Reed. – Już widzę. Muszę tylko nacisnąć guzik? – zwróciła się do Skippy’ego.

– Nie inaczej.

Na ekranie bańka zaczęła się unosić. Nie miałem wrażenia ruchu, pomijając słabe drgania pod stopami.

– Skippy, przenieś na niską orbitę tyle broni, ile tylko zmieści się na „Walkirii”. Resztę zostaw w „zbrojowni”.

– Lecimy na Ziemię, sir? – zapytała Simms.

– Tak. – Rozsiadłem się wygodniej w fotelu. Po raz pierwszy od Dnia Kolumba czułem niczym niezmałony spokój. – Ale po drodze do domu załatwimy parę sprawunków.

*

Obskoczyliśmy wszystkie ważne miejsca najszybciej jak się dało. Nie zatrzymaliśmy się nawet w sklepiku z pamiątkami. Obiecałem załodze, że jeśli przeżyjemy, każdy dostanie po jakimś miłym upominku. Po ostatnim przystanku skierowaliśmy dziób „Walkirii” w kierunku Ziemi i skoczyliśmy.

Choć technicznie rzecz biorąc, zmierzaliśmy w przeciwnym kierunku, bo właśnie tam był najbliższy tunel.

– Joe – szepnął Skippy przez słuchawkę, kiedy siedziałem w fotelu dowódcy – musimy pogadać.

– O co chodzi? – zapytałem głośno. – Proszę, mów przez głośniki na mostku.

– Jak chcesz. – Jego głos ryknął z systemu nagłośnieniowego. Członkowie załogi wystraszyli się i obrzucili mnie

podejrzliwymi spojrzzeniami. Słyszeli rozmowę, która była już w toku. – Chodzi o silniki skokowe – ciągnął blaszak. – Ciągłe skakanie bardzo je nadwyreżyło. Musimy zwolnić.

– Nie możemy! Cholera, kto wie czy już nie jest za późno? – Wcześniej musieliśmy wykonać parę innych zadań, ale może to nie wystarczyło? A jeśli za bardzo się ociągaliśmy? Teraz, w drodze do domu, zacząłem zmagać się z wątpliwościami. Czy po powrocie w miejscu naszej planety zastaniemy kupkę radioaktywnego popiołu?

– Silniki wymagają napraw.

– Wykonuj je w locie.

– Już to robię. Ale to na nic. Czuleś drgania, kiedy skakaliśmy?

– Tak.

– Będzie tylko gorzej. Cewki, reaktory, wszystkie elementy przegrzewają się i zużywają. „Walkiria” to krążownik, nie lotniskowiec. Nie została zaprojektowana, żeby skakać bez przerwy przez tak długi czas.

– Sam ją przebudowywałeś i modyfikowałeś napęd. Na pewno jeszcze trochę wytrzyma.

– Joe, w ogóle mnie nie słuchasz. Okręt może się rozlecieć!

– To niech się rozleci! – Grzotnąłem pięścią w podłokietnik. – Skippy, ja nie żartuję. Zapomnij o maskowaniu, tarczach i wszystkim innym. Liczy się szybkość. Musimy czym prędzej dotrzeć do domu!

– Zrobię, co w mojej mocy – westchnął. – Więcej nie mogę obiecać.

– A ja nie proszę o więcej. Czy reaktory mogą wyciągnąć sto siedem procent?

– Działają na sto dwanaście procent, odkąd odlecieliśmy z Avalonu – przypomniał Skippy. – Jeśli nagrzej się jeszcze

bardziej, radiatory zaczną się topić.

– Rozumiem. Możesz spuścić plazmę z reaktorów, żeby zmniejszyć temperaturę.

– Hmm... Kurczę, możemy to zrobić, ale zużyjemy wtedy ogromne ilości paliwa.

– Paliwa akurat nam nie brakuje. Działaj!

Wiedziałem, że jeśli nie dotrzemy do Ziemi na czas, cały nasz trud okaże się daremny.

ROZDZIAŁ 34

– Widzą tę broń, Skippy? – zapytałem, wiedząc, że urządzenia z arsenału Pradawnych wystają poza kadłub „Walkirii” i powinny być wyraźnie widoczne dla maxolhxańskiej grupy zadaniowej.

– Na pewno, o ile nie są ślepi jak krety.

– Maxolhxowie wiedzą, co to za sprzęt?

– Sądząc po historycznej wymianie komunikatów między ich okrętami, powiedziałbym, że tak. – Parsknął śmiechem. – Hi, hi,

lepiej dla kocurów, żeby miały przy sobie majtki na zmianę.

– Świetnie. – Włączyłem z powrotem mikrofon i pomachałem do dowódcy Maxolhxów. – Niespodzianka, sukinkocie!

*

Na pokładzie „Latającego Holendra” pułkownik Chang tkwił nieruchomo w fotelu, do głębi wstrząśnięty. Wypuścił powietrze, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że wstrzymywał oddech.

– Co on robi? Nie może...

– Sir? – zawołała Adams z BCI, uśmiechając się od ucha do ucha. – Przecież to Joe Bishop. Jest w swoim żywiole. Możemy być spokojni.

Chang pokręcił głową.

– Jeśli sytuacja wymaga głupiego i bezsensownego gestu, zawsze można liczyć na Bishopa – mruknął.

*

Admirał Denoth w pierwszej kolejności uniósł roztrzęsione ręce, aby zabezpieczyć i zablokować wszelką broń na każdym okręcie grupy zadaniowej. Prawdę mówiąc, była to jego druga reakcja na widok urządzeń Pradawnych. Pierwsza była dość krępująca i Maxolhx najchętniej by o niej zapomniał. Teraz musiał skupić się na nieoczekiwanym kryzysie, najgorszym w dziejach jego ludu.

Już fakt, iż Rindhalu posiadali broń Pradawnych, był wystarczająco ponury. Pająki użyły tego oręża przeciwko Maxolhxom, na których potem kłamliwie zrzuciły winę, gdy Strażnicy pojawili się znikąd i prawie cofnęli obie rasy do prehistorii. Rindhalu dostali nauczkę. Ani oni, ani Maxolhxowie nigdy więcej nie sięgnęli po arsenał Pradawnych. Żadna ze stron nie musiała nawet grozić drugiej, że użyje wykradzionej broni. Jedni i drudzy wiedzieli, że taki czyn byłby porównywalny ze strzeleniem sobie w głowę.

Jeśli chodzi o Rindhalu, można było przynajmniej ufać, że nie skorzystają ze swojej kolekcji piekielnego uzbrojenia. Ludzie to co innego. Byli młodzi, prymitywni, głupi i...

Denoth uśmiechnął się, wpatrzony w istotę wygadującą niezrozumiałe słowa z pokładu okrętu widma.

– Do wszystkich okrętów. – Admirał wydał komendę przez implant skroniowy. – Na mój znak, rozproście się z maksymalną prędkością. Oddalcie się na odpowiednią odległość i wykonajcie maksymalne skoki. Spotkamy się w punkcie zbiórki numer trzy.

Następnie przełączył się na prymitywny syntezytor mowy.

*

Maxolhxański dowódca uparcie mnie ignorował, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Dopóki był zajęty, przynajmniej nie otwierał ognia.

– Hmm, Joe – powiedział Skippy nerwowo – on chyba myśli, że blefujesz.

Zakryłem usta, rzuciłem pod nosem „kurwa mać” dla odstresowania, po czym się wyprostowałem. Obcy dowódca spojrzał na mnie i przemówił:

– Człowieku, nie wiem, jak udało ci się przejąć jeden z naszych okrętów, zapewniam jednak, że go odzyskamy.

– Możemy z tego zrezygnować i udać, że wam go oddałem?

– Nie! – Twarz Maxolhxa wykrzywiła się w wyrazie gniewu. – Nie będziesz zwracał się do mnie w tak impertynencki sposób!

– Cóż, i tak już zacząłem, więc...

– Zapłacisz za swe zbrodnie! Zarówno za krzywdy wyrządzone mojemu ludowi, jak i pozyskanie zakazanej broni. Jest ona bardzo niebezpieczna, a twój gatunek nie powinien wchodzić w jej posiadanie. Poddaj się w tej chwili!

– Kolego, na wypadek gdybyś nie nadażał, przypomnę ci, że to ja mam broń Pradawnych. I to ja będę stawiał żądania.

– A jeśli cię nie wysłucham? – Tym razem to kosmita się uśmiechnął. – I tak nie możecie wykorzystać tej broni. Jest dla was bezużyteczna... Choć może niezupełnie. Pozwolę wam jej użyć, jeśli chcecie położyć na szali własne życie.

Zmarszczyłem brwi, pewien, że Maxolhx dysponuje oprogramowaniem interpretującym ludzką mowę ciała.

– Ta broń z pewnością jest niebezpieczna – przyznałem.

– To śmiercionośne zabawki, nieprzeznaczone dla prymitywnych głupców twojego pokroju.

– Kurczę, masz rację. Nikt nie powinien się nimi bawić.

Dobrze więc, że zanim tu przybyliśmy... – zrobiłem pauzę na

oddech – rozmieściliśmy broń Pradawnych w kilku ważnych układach gwiazdnych, należących do was i do Rindhalu. Skippy, prześlij pliki z danymi. Udowodnijmy, że rzeczywiście tam byliśmy.

– Co takiego?! – ryknął mój wróg. – Nie możecie...

– Sierściuchu, zamknij paszczę i daj mi mówić. Dobrze słyszałeś. Broń o niewyobrażalnej, niszczycielskiej mocy znajduje się teraz w siedmiu waszych układach i sześciu na terytorium Rindhalu. Jej uruchomienie sprowadzi tu jeszcze potężniejsze maszyny, które unicestwią i was, i pająki. Umieściliśmy masę krytyczną uzbrojenia w strategicznych lokalizacjach, aby żadna część Galaktyki nie była bezpieczna. Uprzedzam, że broń jest zamaskowana, na wypadek gdybyście chcieli jej szukać. Ma też czujniki zbliżeniowe, więc lepiej przy niej nie majstrować. No... – Wzięłam kolejny oddech. – Jakies pytania?

– Wykorzystując tę broń, sprowadziłbyś śmierć także na swój lud! – podkreślił Maxolhx.

– No tak. Trochę kiepsko, ale co poradzisz? – Wzruszyłem ramionami. – Zasada, o której mówię, to wzajemnie zagwarantowane zniszczenie. Poszukaj definicji, jeśli nie rozumiesz, co to takiego. To właśnie ta reguła pozwoliła utrzymać pokój między wami a pająkami. Teraz może go zaprowadzić pomiędzy naszą trójką.

– Nie możesz tego zrobić!

– Ależ już to zrobiłem. Aha! – Pstryknąłem palcami, ot tak, dla dramaturgii. – Cholerka, ha, ha, ale wstyd. Zapomniałem powiedzieć ci o jednej rzeczy. Ta broń w układach Maxolhxów i Rindhalu... dostała już pozwolenie na strzał i ma ustawiony zegar. Kiedy czas minie... – Złożyłem ręce, a potem machnąłem nimi na boki. – Bum! Rozumiesz? Aby zresetować zegary,

będziemy musieli wykonywać regularne loty. Ale żeby to zrobić, musimy przeżyć, jakbyś jeszcze się nie domyślił. Wytlumaczę ci to jak Barney dzieciom. – Ciekawe, jak to wyrażenie brzmiało po maxolhxańsku. – Od teraz przetrwanie twojego żalosego gatunku jest uzależnione od losu mojej rasy. – Klepnałem się w pierś. – Zrozumiano? Kocur wpatrywał się we mnie tępo, jakby w jego mózgu przepalił się jakiś kabelek. – Pytałem o coś, zasańcu! – Nie miałem ochoty na dalsze gierki. – Czy. Rozumiesz. Tę. Sytuację? Obcy dowódca przez chwilę stał nieruchomo. Myślałem, że transmisja wideo się zawiesiła. – Tak... – odpowiedział wolno, zanim powtórzyłem pytanie. – Ale co „tak”? Rozumiesz, że masz wycofać okręty i nigdy tu nie wracać? – Tak – powtórzył z takim samym ociąganiem. Ciekawe, czy inne kocury zagadywały go przez implant. I czy dowódca mógł zmusić podkomendnych, aby się zamknęli i dali mu pomyśleć. – Proponuję przeprowadzenie dalszych rozmów w tej sprawie. Powinniśmy... ustalić protokoły przyszłych interakcji, aby zapobiec niefortunnym wypadkom, a co za tym idzie, szeroko zakrojonej zagładzie. – To akurat dobry pomysł, sir – szepnęła Simms, stojąca za mną. – Zgadza się. – Skinąłem głową. – Skontaktujemy się z wami, żeby zorganizować spotkanie. – Jak... – Może to dla ciebie nowość, ale rozpracowaliśmy wasz system wymienników kwantowych i procedury ręcznego dostępu do stacji przekaźnikowych, więc w każdej chwili możemy wam zostawić wiadomość. A także czytać wasze

komunikaty, kiedy tylko zechcemy – zełgałem. – To tak na wypadek, gdybyście próbowali nas wykiwać. Rozumiesz? Sądząc po wyrazie twarzy Maxolhxa, miał on przynajmniej nadzieję, że uda mu się wyciąć jakiś podstępny numer, nawet jeśli nie wiedział jeszcze, jak to zrobić.

– Rozumiem – powiedział.

– Wyśmienicie. – Machnąłem w jego stronę, jakbym chciał go odpędzić. – A teraz, kociaki, uciekajcie. Na pewno niecierpliwicie się przed wesołą podróżą do domu. Przykro mi, że nie zdążyliście zajrzeć do ziemskich sklepów z pamiątkami, ale jeśli spotkamy się znowu, postaram się przywieźć pudło kul śnieżnych albo jakiś ładny kosz owoców. – Uśmiechnąłem się paskudnie. – Chyba że życzysz sobie głowicę taktyczną? Taką, która zmieści się w twoim kudłatym zadzie?

Kiedy dwadzieścia pięć sekund później maxolhxańska grupa zadaniowa skoczyła i zniknęła, ledwie trzymałem się na nogach. Simms musiała nawet wstać z miejsca, żeby mnie podtrzymać, zdołałem jednak dowlec się do fotela i uniknąć niepotrzebnej kompromitacji. Niedługo potem na ekranie pojawiła się twarz Changa.

– Zechcesz wyjaśnić, co to, u licha, było?! – Jego głos był o oktawę wyższy niż zwykle. – Czy to naprawdę broń Pradawnych?

– Tak, to autentyk.

– Gdzie ją znaleźliście? I jak?

– To długa historia – odparłem. Nagle poczułem się zbyt zmęczony, żeby mówić.

– Joe, ja też jestem piratem. Długie historie to nasza specjalność.

– Ta akurat jest bardzo długa. Skippy przesyła już Agadzie wszystkie nasze dane.

- Dobrze, sprawdzę to później. – Potrząsnął głową. – Czy w tej opowieści zapłaciłeś za broń zapasem kart podarunkowych do Taco Bell?
- Nie – zaśmiałem się i ożywiłem.
- A te zegary i wszystko inne? To prawda czy tylko wciskałeś kit?
- To wszystko prawda. Przepraszam za spóźnienie, ale musieliśmy oblecieć całą Drogę Mleczną i porozstawiać broń Pradawnych. Z polami maskującymi, zegarami i czujnikami zbliżeniowymi, dokładnie tak, jak powiedziałem.
- Ja pierdzielę, Joe.
- Z ust mi to wyjąłeś, Kong.
- Wzajemnie zagwarantowane zniszczenie. – Wydał wargi i pokiwał głową w zamyśleniu. – To niebezpieczna gra.
- Nie widziałem lepszej alternatywy.
- Może się nam udać – stwierdził. – A raczej musi.
- Taką mam nadzieję. Pomysł podsunął mi Friedlander. Zaproponował, abyśmy na Avalonie zbudowali flotę okrętów wyposażonych w technologię Pradawnych i wzięli odwet za Ziemię. Powiedziałem mu, że to nie wypali, bo wówczas ściągnęlibyśmy na siebie Strażników.
- Koniecznie muszę poznać całą tę historię. Co teraz?
- Hmmm... Wy zostaniecie tutaj. Pilnujcie, żeby nikomu na Ziemi nie strzeliło do głowy nic głupiego. Na przykład wszczynanie walk. Nie oddawaj nikomu kontroli nad „Holendrem”, dopóki nie wrócimy. Aha, przysłemy wam Berta i Erniego. Zabierzcie ich na Ziemię, żeby nasi psychologowie mieli jakieś zajęcie. Powiedz SEONZ, że nadal możemy przewozić ludzi do Bazy Beta. Tak czy inaczej, dobrze będzie mieć ją w odwodzie. Ale nie trzeba już się spieszyć.
- Joe – wtrącił się Skippy – a może...

– Jeśli chciałeś zapytać o tę twoją głupią grę o przetrwanie, odpowiedź brzmi nie, wredny gnojku. Chociaż... – westchnąłem. – A co mi tam? Jeśli małpom na Ziemi spodoba się taki pomysł, możesz go zrealizować.

– Ha! Zobaczysz, to dopiero będzie hit! Jakie są szanse, że durnym małpiszonom nie spodoba się taki teleturniej?

– Cholera... Masz rację.

– Joe? – odezwał się Chang. – Rozumiem, że mam tu zostać. A wy dokąd się wybieracie?

– Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Obiecuję, że tym razem to nie potrwa długo.

– To coś ważnego? Twojej załodze przydałby się urlop w domu.

– To bardzo ważne. Skippy, przekaż szczegóły Agadzie. Z drugiej strony, masz rację, Kong. Popytam wśród załogi. Jeśli ktoś zechce opuścić „Walkirię”, będzie mógł zejść na powierzchnię.

Obraz Changa zniknął z ekranu. Kapitan „Holendra” miał sporo pracy i niewiele czasu.

– Sir? – Simms spojrzała na mnie, unosząc brwi. – Można na słowo?

Wstałem i wskazałem kciukiem fotel dowódcy.

– Reed, proszę zostać na łączach.

Gdy weszliśmy do mojego gabinetu, Simms zamknęła drzwi.

– Oficerze wykonawczy... – zacząłem, spodziewając się całkiem uzasadnionego ochrzczu – powinienem powiedzieć pani...

– O tym pomówimy później – ucięła, dając do zrozumienia, że sprawa nie jest jeszcze zamknięta. – Nie wiem, czy zdaje pan sobie z tego sprawę, ale właśnie dowiedzieliśmy się czegoś ważnego.

- To znaczy? – Wskazałem jej krzesło.
- Jeżeli Skippy ma w sobie bombę zegarową, to nie zadziałała.
- Skąd ten wniosek? – Awatar blaszaka pojawił się jak na zawołanie, spoglądając gniewnie na Simms.
- Rozmieściliśmy sprzęt Pradawnych w całej Galaktyce, w tym także na naszym pokładzie. Mimo to bomba nadal nie wybuchła. Pomyślcie o tym... – Podpułkownik spojrzała na Skippy'ego, a potem na mnie. – Jeżeli złe SI nadal chcą unicestwić wszystkie rozumne formy życia, wystarczyłoby, żebyś podświadomie nacisnął spust. Wtedy Strażnicy pozabijaliby wszystkich. Tak się jednak nie stało.
- O rany... – Skippy zdjął kapelusz i podrapał się po głowie. – Nie mogę się z tym spierać. Joe?
- Ja też nie – przyznałem. Teraz wściekałem się na Simms. Skoro bała się, że podświadomość Skippy'ego uruchomi broń, dlaczego nic mi nie powiedziała? Cóż, sam zachowywałem się jak palant, więc odpłaciła mi pięknym za nadobne. Spojrzałem na telefon. – Czas nas goni – przypominałem. – Co do wydarzeń nad Rikers, krótko mówiąc, Skippy dał wtedy nogę, bo uznał, że powinien samodzielnie ruszyć do walki z łotrami, zamiast tracić czas wśród małp.
- Ale wróciłem...
- Powstrzymałem Skippy'ego gestem, zanim przeszedł do rozwlekłych wyjaśnień, i pokiwałem głową.
- Nadal uważa, że jest odpowiedzialny za całą Drogę Mleczną, ale z drugiej strony nie potrafił odwrócić się od przyjaciół. Resztę opowie sam Skippy, ale później. Wystarczy?
- Sir, teraz interesuje mnie tylko, czy ukrywa pan przed nami jeszcze jakieś sekrety.
- Potrzebowałem chwili, żeby sięgnąć myślami w przeszłość.

Przez lata nazbierało się wiele takich tajemnic, jednak prawie wszystkie zostały już „zweryfikowane przez wydarzenia”.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Nie wydaje mi się.

– W porządku. Ale z tobą jeszcze sobie porozmawiam. – Simms pogroziła palcem Skippy’emu.

– Kurczę, no... Musimy?

– Tak – odpowiedziałem. – Im szybciej się z tym uporasz, tym lepiej.

– Ech... Bez-na-dzie-ja – jęknął.

– Żebyś wiedział. Bo kiedy już wyznasz Simms całą prawdę, będziesz musiał opowiedzieć o tym całej reszcie. W tym także Margaret Adams.

– Błagam, wszystko, tylko nie to!

– Trzeba było o tym pomyśleć, kiedy zachciało ci się bawić w superbohatera.

– Dobrze już, dobrze. Teraz marzę o tym, żeby mieć w sobie bombę... A teraz idźcie zająć się jakimiś małpimi sprawami, a ja...

– Chwileczkę. Simms... – powiedziałem, gdy już wstawała z krzesła. – Jeszcze jedno. Nie możemy zatrzymać na „Walkirii” broni Pradawnych.

– Jak to? – Simms wydawała się jeszcze bardziej zaskoczona niż Skippy.

– Przecież nie możemy jej użyć. Dopóki znajduje się na pokładzie, „Walkiria” będzie najbardziej kuszącym celem w całej Galaktyce.

– Szczytowe rasy nie odważą się nas atakować – odparła Simms. – Poza tym same mają już broń Pradawnych.

– O Maxolhxów i Rindhalu akurat się nie martwię. Ale drugorzędni kosmici, na przykład Thuranie, mogliby rzucić na nas całą flotę, żeby dorwać się do tej broni. Potem w Drodze

Mlecznej byłyby już cztery grupy z bronią masowego rażenia. A nasze szanse na przetrwanie zależałyby od najbardziej niestabilnego gracza. Nie możemy ryzykować.

Simms i Skippy popatrzyli po sobie, a potem na mnie.

– Gdzie mielibyśmy ją ukryć? – zapytała oficer wykonawcza. – Na Ziemi?

– Nie. Nie powinna wpaść w łapy chciwych małp – powiedziałem z nerwowym uśmiechem. – Skippy, masz jakieś propozycje?

– A pewnie! Najlepiej będzie schować tę broń w czarnej dupie... Och, przepraszam, chciałem powiedzieć: czarnej dziurze. – Blaszak zarechotał, zadowolony z własnego żartu.

– Boki zrywać – burknąłem.

– Oj tam, przejeździć się nie można?

– Dobra, zrobimy po mojemu. Chcę skoczyć do Obłoku Oorta, rozproszonego dysku Pasa Kuipera albo w inne podobne miejsce. Takie, gdzie będzie sporo bezimiennych brył lodu i skał. Tam wypuścimy broń z okrętu, a ty, Skippy, naprowadzisz ją i ukryjesz w jakiejś komecie czy czymś w tym guście. Nie chcę wiedzieć gdzie. Gdybym jeszcze kiedyś dostał się do niewoli, nie będę mógł wyjawić czegoś, o czym nie wiem.

– Mądra myśl – pochwaliła mnie Simms. – Możesz tak zrobić, Skippy?

– No nie wiem... Chcesz, żebym tylko ja znał lokalizację broni? – zapytał blaszak. – Jeśli tak, broń będzie musiała lecieć samoczynnie, trasą zaprogramowaną jeszcze przed skokiem. W przeciwnym razie Bilby również będzie wiedział, gdzie jest ten sprzęt.

– Luz, ziom – wtrącił się Bilby. – Mnie to tam lata.

Po raz kolejny pożałowałem, że pokładowa SI sprawia wrażenie tego obiboka.

– Nie chodzi o to, że ci nie ufamy – wyjaśniłem mu. – Nie powinieneś...

– Nie, pułkowniku ziomal. Chodziło mi o to, że nie muszę znać miejsca, gdzie pochowamy te graty. Przerażają mnie. Najchętniej wywaliłbym stąd te piekielne maszynki.

– Wiem, Bilby. A zatem postanowione?

Simms westchnęła ciężko.

– Dowództwu SEONZ nie spodoba się niemożność kontrolowania tej broni.

– Trudno. – Odchyliłem się na oparciu fotela. – Kiedy wrócimy na Ziemię, będzie wiele spraw, które nie spodobają się dowódcom SEONZ i Armii Stanów Zjednoczonych. Ale jakoś sobie poradzimy. Pierwsze bomby za płoty.

Simms spojrzała podejrzliwie. Nie wiedziała, czy przekręciłem to powiedzenie przypadkowo, czy może chciałem zażartować.

– Bez obaw, oficerze wykonawczy – pocieszyłem ją. – W moich rozkazach nie ma mowy o broni Pradawnych, więc jeśli nie oddam kluczyków do niej, nie będzie to z mojej strony akt niesubordynacji. Przynajmniej na razie. Hmm, a czy pani rozkazy mówią cokolwiek...

– Nic a nic. Czy to już wszystko, sir? – zapytała, przesuwając się na krawędź krzesła.

– Ostatnia sprawa – poprosił Skippy. – Joe, nie chcesz wiedzieć, gdzie zamierzam ukryć broń. Chciałbyś jednak, żebym ci to zdradził, jeżeli mnie zapytasz?

– To znaczy... później?

– Tak.

– Hmm, chyba tak. Gdyby była nam potrzebna.

– Świetnie. Ale skąd będę wiedział, czy ktoś przypadkiem nie zmusił cię do zapytania o ten sprzęt?

- Poznasz to po spluwie wycelowanej w moją głowę.
 - Mówię poważnie, Joe.
 - Przepraszam. Może ustalimy jakieś hasło? Jeśli je wypowiem, ty ujawnisz lokalizację broni, przywołasz ją na pokład czy co tam będziesz chciał. Mogłoby tak być?
 - Pewnie. Fajny pomysł. Nigdy wcześniej nie bawiłem się w tajnego agenta.
 - Nie podniecaj się tak. – Pogroziłem mu palcem.
 - Co to za hasło?
- Simms wstała z miejsca.
- Zaczekam na zewnątrz, sir – oznajmiła.
 - Nie, Simms. Nie mogę być jedynym człowiekiem z dostępem do tej broni. Pani i Chang również musicie znać hasło.
- Oficer wykonawcza pobladła i wyglądała, jakby zbierało jej się na wymioty.
- A jeśli nie chcę przyjmować na siebie takiej odpowiedzialności?
 - Trzeba było o tym pomyśleć, zanim przypięła sobie pani te liście dębu. – Wskazałem na srebrne oznaczenia rangi podpułkownika na jej mundurze.
 - Niech to szlag... – westchnęła. – To jakie będzie hasło?
 - Hmm... Może... Fluffernutter?
- Simms spojrzała na mnie znacząco.
- Los Galaktyki ma zależeć od tego, czy któreś z nas powie „Fluffernutter”?
 - Cóż, gdy tak to pani ujmuje, rzeczywiście brzmi to głupio. Nie odrywała ode mnie wzroku.
 - No dobrze – ciągnąłem. – Niech pomyślę... Musi to być słowo, którego nikt z nas nie użyłby podczas zwyczajnej rozmowy.

– W takim razie Fluffernutter nada się idealnie. – Wzruszyła ramionami. – Może mi pan wierzyć, to słowo nie przeszłoby przez gardło ani mnie, ani Changowi.

– Zgoda – powiedziałem, zanim zmieniła zdanie. – Skippy, potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Nie, ale wcześniej zamierzaliśmy skoczyć prosto do Łapacza. Teraz trzeba powiedzieć pilotom, żeby wybrali inną opcję. Oznaczyłem ją jako Oscar, czyli O jak „O cholera, nie wierzę, że to robimy”.

– Powiem ci, Skippy, że sam w to nie wierzę.

*

Spośród naszej niewielkiej załogi jedynie bosman Schmidt i sierżant sztabowa Giselle Montand poprosili o pozwolenie na opuszczenie okrętu. Oboje ledwie zdążyli się ustatkować i założyć rodziny na Ziemi, a już musieli ruszyć w rzekomo krótką podróż w poszukiwaniu Bazy Beta. Polecieli lądownikami na „Holendra” z moim najszczerzym błogosławieństwem. „Walkiria” miała do wykonania ważne zadanie, ale nie potrzebowaliśmy do niego wszystkich naszych ludzi. Prawdę mówiąc, nawet lepiej, że mieliśmy dwie dodatkowe wolne kabiny. Dokonaliśmy jeszcze kilku rozładunków pomiędzy okrętami i ostatecznie skład załogi krążownika zmniejszył się o trzy osoby, nawet gdy wrócił do nas Smythe z piątką żołnierzy STAR. A także z kilkoma skrzyniami żywności z „Holendra”, który sam wkrótce miał uzupełnić zapasy na Ziemi. Berta i Erniego przenieśliśmy na okręt Changa, skąd mieli potem trafić na Ziemię.

Aha, jakby ktoś pytał, starsza sierżant sztabowa Adams również wróciła na mój krążownik. Nie żeby jakoś szczególnie mi na tym zależało. Pomyślałem po prostu, że warto o tym nadmienić.

„Walkiria” zabawiła w Układzie Słonecznym jakieś dziewięćdziesiąt minut. Przez ten czas konsekwentnie ignorowałem napływające coraz ostrzejsze wiadomości od SEONZ. W końcu skoczyliśmy, by załatwić jeszcze jedną pilną sprawę.

Obyśmy nie przybyli za późno.

ROZDZIAŁ 35

– Surgunie Jates? – Głos Emily Perkins lekko drżał.

Żołnierz Verd-Kris miał na sobie zielonkawy mundur galowy z błękitnymi i złotymi lamówkami. Taki ubiór mógł wydawać się krzykliwy według ludzkich standardów, przynajmniej tych obowiązujących w wojsku amerykańskim. Perkins nosiła zwykły polowy mundur Armii Stanów Zjednoczonych, uszyty według wzoru aktualnego w chwili, gdy Siły Ekspedycyjne opuściły Ziemię. Uniform był już mocno zużyty. Plamy i zagniecenia całkiem nieźle wpasowywały się w barwy moro. Nie było czasu na pranie, zresztą i tak nie miało to znaczenia. Być może sztab SEONZ wolałby, aby Perkins również wystąpiła na galowo. Miała wszak reprezentować całą ludzkość. Niestety, jej elegancki mundur został na „Pewniaku”, który skoczył do punktu ucieczki przy pierwszych oznakach problemów.

Nie, taka myśl była niesprawiedliwa. Załoga jerapthańskiego okrętu postanowiła skoczyć, gdy zauważyła kłopoty, z którymi nie miała prawa sobie poradzić. „Pewniak” był przestarzałym lotniskowcem z minimalną ilością uzbrojenia ofensywnego. Perkins nie miała pretensji do kapitana Gumbano. Jeraptha zachował się rozsądnie. Nawet gdyby „Pewniak” wciąż był dostępny, Emily nie mogłaby wejść na pokład i uciec przed zagrożeniem czyhającym na Legię Pozaziemską.

To ona ponosiła za wszystko odpowiedzialność. Nie

zamierzała uciekać i zostawiać swoich żołnierzy na lodzie.

– Dziękuję, że zechciał pan nas odprowadzić – powiedziała.

– Nie przyszedłem tu, by was pożegnać – odparł Jates sztynnym tonem. – Lecę z wami.

– Jak to? Nie musi pan! Na liście są tylko Mavericks.

Członkowie mojego zespołu.

– Czyż ja do niego nie należę?

– Oczywiście, ale... – Spojrzała na Verd-Krisa. Mimo że był przedstawicielem obcej rasy, dostrzegła zawód w jego oczach. – Tylko ja tak to widzę. Lista nie obejmuje...

– A powinna – nie ustępował Jates. – Kadet Dandurf też będzie wam towarzyszył.

– Jego nazwisko było na liście. – Perkins skrzywiła się, gdy do oczu napłynęły jej piekące łzy. – Pańskie nie, nie wiedzieć dlaczego. Surgunie, nie musi pan do nas dołączać.

– Istotnie, nie muszę – zgodził się. – Pułkownik Perkins. – Verd-Kris stanął na baczność i zasalutował. – Proszę o pozwolenie na dołączenie do pani grupy. Będę zaszczycony, mogąc reprezentować swój lud.

Kristangowie słynęli z uporu, a Verd-Krisowie byli jeszcze bardziej nieugięci niż ich bardziej agresywni kuzyni.

Doświadczenie Emily Perkins, jakkolwiek ograniczone, mówiło jej, że surgun Jates jest szczególnym przypadkiem. Nie

założyłby galowego munduru i nie zwrócił się do

podpułkownik, gdyby wcześniej nie otrzymał pozwolenia od swoich rodaków. Odmowa przyniosłaby hańbę wszystkim Verd-Krisom i poważnie nadszarpnęła ich relacje z ludźmi. Choć w tej chwili nie było to najważniejsze.

– Pani pułkownik, proszę – szepnął Jates. – Los nas

wszystkich i tak jest już przesądzony. Wolałbym zginąć w walce, tam – ciągnął, unosząc szponiasty palec ku niebu – niż czekać, aż broń nieprzyjaciela spadnie nam na głowy.

Perkins skinęła głową i wyprostowała się.

– Surgunie, pańskie towarzystwo będzie dla nas zaszczytem.

Skóra wokół oczu Verd-Krisa wygładziła się, gdy ten rozciągnął wargi w uśmiechu i obnażył końce kłów.

– Miło byłoby zabrać na tamten świat paru drani – powiedział.

– Racja – przyznała Emily. – Może później.

Surgun spowaźniał i skinął głową. Oboje wiedzieli, że dla nich nie będzie żadnego „później”.

*

Irene Striebich uniosła dłonie nad konsolą, gdy dodo opuścił atmosferę.

– Gotowe, ma’am – zameldowała. Dłonie lekko jej drżały.

Derek Bonsu, siedzący po jej prawej, ścisnął ją za rękę. – Od teraz to oni mają kontrolę.

– Nie dotykajcie sterów – poleciła Perkins, zupełnie niepotrzebnie. Po prostu czuła, że musi coś powiedzieć.

– I tak są zablokowane. – Derek wskazał na nieaktywne konsole.

Perkins odpięła pasy, aby wyswobodzić się z siedzenia przy tylnym przepierzeniu kokpitu. Na przednich ekranach widać było krzywiznę planety i dwa z trzech niewielkich księżyców. Wylatując na orbitę, lądownik znalazł się po nocnej stronie globu. Światło na horyzoncie zwiastowało nadchodzący świt. Pole gwiazd połyskiwało. Ludzie nie znali tych konstelacji, bo byli ponad trzy tysiące lat świetlnych od Ziemi. Żaden punkt świetlny nie był oznaką okrętu kosmicznego. Ruharska flota skoczyła, gdy tylko dostała pozwolenie. Ruharowie nie mu sieli

brać udziału w tej walce. A gdyby stawili opór, bitwa szybko przeistoczyłaby się w rzeź.

*

Szkoda, że tak wyszło. Operacja Legii Pozaziemskiej na planecie Tohmaran rozpoczęła się niemal bezbłędnie, ku zaskoczeniu wszystkich zainteresowanych. W ramach akcji Legia działała na polecenie krystańskiego klanu Prędkiej Strzały, aby odbić strategicznie istotną planetę z rąk rywali z klanu Lśniących Szponów. Na początku wojny domowej Prędkie Strzały znalazły się w niekorzystnej pozycji, ze znacząco ograniczonymi zasobami wojskowymi i finansowymi. W latach poprzedzających wybuch najnowszego konfliktu wewnętrznego Strzały wykazywały się przesadną ambicją, przejmując lub próbując przejąć światy takie jak Paradise. Na papierze klan zbudował szeroką sieć silnych sojuszków, jednak gdy tylko zaczęły się walki, większość sprzymierzeńców dostrzegła słabość Prędkiej Strzały i zerwała umowy. Strzały straciły także kilka ważnych podklanów ze swojej koalicji. Gdy klan skontaktował się z Legią Pozaziemską, był już w poważnych tarapatkach i prowadził negocjacje z Czarnymi Drzewami, pragnąc zawrzeć z nimi sojusz, który bez wątpienia zwiększyłby potęgę Drzew, ale mógł także skrócić wojnę. Właśnie dlatego Emily Perkins zaproponowała operację na Tohmaran, aprobowaną przez ruharski rząd. Uzyskawszy dostęp do nowych sił bojowych, Prędkie Strzały zakończyły negocjacje z Czarnymi Drzewami i uderzyły na klan Lśniących Szponów. Zajęcie Tohmaran miało być pierwszym krokiem trójfazowego planu, dzięki któremu Strzały zamierzały wrócić na szczyt klanowej hierarchii i sprawić, że walki będą ciągnęły się jeszcze przez wiele lat.

Wszystko szło jak po maśle, dopóki na orbitę nie wskoczyły

dwa maxolhxańskie krążowniki. Perkins uczestniczyła akurat w konferencji z wodzem Prędkich Strzał, generałem Legii Rossem oraz dowódczynią ruharskiej Trzeciej Floty, gdy rozległy się alarmy. Dwa okręty szczytowej rasy zawisły im nad głowami. Wyłoniły się spośród formacji Ruharów i roztoczyły silne pola wytłumiające, by odciąć przeciwnikom drogę ucieczki. Admirał Lokash od razu podjęła jedyną sensowną decyzję. Rozkazała wszystkim okrętom wstrzymać ogień i nie prowokować Maxolhxów.

Teraz Lokash i jej Trzecia Flota zniknęły po skoku. Jedynymi jednostkami w pobliżu Tohmaran były dwa masywne krążowniki Hegemonii Maxolhxów i ewentualnie jeden czy dwa zamaskowane okręty Jeraptha, śledzące rozwój wydarzeń ze zdumieniem i niepokojem. Trzy jerapthańskie okręty zrzuciły kamuflaż i skoczyły kilka minut po przybyciu Maxolhxów. Perkins nie uważała takiego zachowania za akt tchórzostwa czy obojętności. Niewielkie siły Etyki i Zgodności pod wodzą kapitana Scoranduma postąpiły tak etycznie, jak tylko mogły. Zbędna przemoc do niczego nie prowadziła. Maxolhxowie wyraźnie dali do zrozumienia, że nie będą tolerować sprzeciwu wobec swoich żądań. Siły Legii Pozaziemskiej na Tohmaran, łącznie z Verd-Krisami, miały słono zapłacić za wszelkie oznaki opieszałości.

Po pierwsze, Maxolhxowie zażądali natychmiastowego zawieszenia broni od wszystkich walczących na planecie i wokół niej, w tym także Prędkich Strzał, a nawet Lśniących Szponów, do których przecież należał ten świat.

Po drugie, Emily Perkins i jej zespół otrzymali rozkaz, by udać się na dowodzący okręt nieprzyjaciela i odpowiedzieć za zbrodnie przeciwko koalicji Maxolhxów. Mavericks mieli posłużyć za przykład dla wszystkich innych, a gdyby okazali

nieposłuszeństwo, mogliby sprowadzić śmierć na setki, a może i tysiące żołnierzy Legii.

– Tak mi przykro – szepnęła Perkins ochryplym głosem.

– To nie twoja wina. – Dave przysunął ją do siebie i objął.

– Właśnie że moja. – Emily otarła łzę, zanim ta uniosła się w stanie nieważkości. Krople wody nie powinny dryfować w kabinie, ponieważ mogły uszkodzić urządzenia elektroniczne... Tak jakby teraz miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– Ma'am. – Oczy Shauny Jarrett również były zaczerwienione od płaczu, bardziej z gniewu niż z żalu. – Wszyscy liczyliśmy się z ryzykiem.

– Tak, ale zachowałam się jak idiotka – nie ustępowałam Perkins. – Działalam za szybko i za ostro. Przez bunt Bosphuraqów i ataki okrętu widma Maxolhxowie wyszli na słabeuszy i tak też się czuli. Nie mogli pozwolić nam wygrać. Dla ich koalicji byłby to zbyt ciężki cios. Powinnam o tym pomyśleć. Powinnam posłuchać innych!

Tuż przed pospiesznie zaplanowaną operacją Jeraptha ostrzegali, że należy się spodziewać, iż Maxolhxowie przypuszczą kontratak, aby nie dać Rindhalu szansy na wykorzystanie chwilowego osłabienia nieprzyjaciela.

– Nawet chrząszcze nie podejrzewały, że Maxolhxowie włączą się do akcji – przypomniał Jesse. – Wiedziały, że kocury w końcu uderzą... Ale nie tutaj.

– Istniało takie ryzyko. – Perkins ścisnęła dłoń Dave'a na swoim ramieniu.

– Jerapthański wywiad obstawiał siedemnaście do jednego, że Maxolhxowie nie zainterweniują – powiedział Czajka. – Innymi słowy, nie widział większych szans na takie rozwiązanie.

Było to jakieś pocieszenie. Perkins wiedziała, że jej pod władni

szczerze uważali, że mogli podołać ryzyku na Thomaran. Problem w tym, że po udanej misji podpułkownik zamierzała przeć dalej, wykorzystując siłę przebiccia Legii Pozaziemskiej. W którymś momencie i tak prze ciągnęłaby strunę. Była lekkomyślna i upojona własnym sukcesem. A teraz straciła wszystko. Jak mogła zachować się tak arogancko? Ludzie nie powinni odgrywać żadnej roli w konflikcie, który od tysiącleci toczył się w Galaktyce.

– To oni – zawołała Irene. Wszyscy wstali z miejsc, tłocząc się przy otwartych drzwiach kokpitu.

– Możesz przybliżyć? – zapytał Jesse. Dwa okręty szczytowej rasy wypełniały jedną czwartą ekranu. Widać było ich kontury, ale niewiele poza tym.

– Konsole nie działają – przypomniał Derek, unosząc bezradnie rękę.

– To nic. – Colter zmrużył oczy, wpatrując się w dwa okręty obcych. – Jak myślicie, jak duże są te łajby?

– Mniej więcej wielkości jerapthańskiego pancernika – odparła Striebich.

– O kurde – westchnął Jesse. – A przecież to tylko krążowniki!

– Na to wygląda – przyznała Irene. – Tak przynajmniej oznaczono je w ruharskiej bazie danych.

– A co mogą wiedzieć Ruharowie? – Jates parsknął nad ramieniem Coltera.

– Dostali dane od chrząszczy. – Perkins obróciła się, patrząc po zebranych. Mogła się jedynie pocieszać, że dzięki Mavericks inni ludzie ujdą z życiem.

– Kiedy będziemy na miejscu? – zapytała Shauna.

– Za jakieś dwadzieścia siedem minut – odparł Derek. – O ile Maxolhxowie nie zmienili planów. Teraz to oni sterują tym lądownikiem.

– Co robimy, ma'am? – Jesse spojrział na Perkins, stojącą tuż obok niego.

– Reprezentujemy ludzkość. I Ruharów. – Podpułkownik spojrziała na Nerta. – A także Verd-Krisów. – Skinęła głową Jatesowi. – Mamy zachowywać się, jak na zdyscyplinowanych żołnierzach przystało. Nie okażemy strachu. Nie damy tym gnojkom takiej satysfakcji.

– Czy mogę komuś przywalić, jeśli nadarzy się okazja? – Jesse potrząsnął pięścią.

– Nie, nie możesz. – Perkins pokręciła głową. – Okazując opór, ściągniemy zgubę na wszystkich na planecie. Nie możemy...

– O cholera! – krzyknęła Irene. Dwa maxolhxańskie okręty zniknęły w świetlnym rozbłysku. – Co tu się...

Konsole przed nią i Derekiem przebudziły się do życia. Bonsu bez wahania przejął stery i wykonał tak ostry skręt, że pasażerowie uderzyli w ścianę kabiny.

– Trzymajcie się! – stęknął pilot, uruchamiając główne silniki i podwyższając ciąg do jednej czwartej przyciągania ziemskiego. – Lepiej zapnijcie pasy. Zwiększam moc do maksimum!

– Czeka! – zawołała Perkins. Kręciła głową, aby dojść do siebie po zderzeniu z szafką. – Dlaczego...

– Derek ma rację, ma'am. Musimy uciekać. – Irene obejrzała się na Perkins. – Proszę w tej chwili zapiąć pasy!

– Ale...

– Pani pułkownik, o ile się nie mylę, okręt widmo właśnie wprosił się na imprezę!

Perkins szarpnęła pasy, zapięła się z pomocą Dave'a i wdusiła przycisk na podłokietniku, aby powtórzyć trans misję na ekranie.

– O mój Bo... – zaczął Jesse.

Shauna uciszyła go syknięciem. Wszyscy w pełnym zdumienia milczeniu oglądali bitwę. Sześć sekund później Derek skręcił ogon ładownika, który pomknął przed siebie z siłą co najmniej pięciokrotnie wyższą od przyciągania ziemskiego. Zmagając się ze zwięzonym polem widzenia, Emily starała się śledzić wydarzenia na ekranie, a przy tym oddychać spokojnie pomimo ciężaru przygniatającego jej pierś.

*

Walka rozpoczęła się, gdy pomiędzy dwoma maxolhxańskimi krążownikami nieoczekiwanie rozblęśły promienie gamma.

Fotony z ładunkiem ponad miliona elektronowoltów uderzyły w osłony nieprzygotowanych na to jednostek. Pomimo takiej dawki energii promieniowanie jedynie oświetliło krążowniki i zostało szybko wchłonięte przez pola siłowe.

Potem nie było już tak łatwo. Okręt widmo, masywny nawet w porównaniu z jednostkami wroga, odpalił działa burtowe z małej odległości. Dystans pomiędzy okrętami mógł wynosić najwyżej czterysta kilometrów. Perkins początkowo widziała pociski energetyczne i elektromagnetyczne dopiero, gdy uderzały w tarcze nieprzyjaciela. Potem przestrzeń wokół trzech jednostek wypełniła się wyładowaniami i chmurami cząsteczek, odpadających od poszycia dwóch maxolhxańskich krążowników. Wiązki maserowe i cząsteczkowe stały się widoczne, a strzałki ciągnęły za sobą smugi, pędząc w obu kierunkach. Maxolhxowie strzelali wszystkim co mieli w okręt widmo, który rewanżował się...

Emily przestała widzieć okręty, gdy światło emitowane w bitwie stało się zbyt mocne dla ludzkich oczu.

Potem nastąpił wybuch. Derek krzyknął coś niezrozumiałego, a Perkins poczuła jeszcze bardziej miazdzącą siłę grawitacji.

*

– Em... – szepnął ktoś do jej ucha. – Emily, obudź się!
Perkins rozpoznała głos Davida Czajki. Zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy. Dave patrzył na nią z troską. Emily sama zaczęła się o niego martwić, widząc, że dostał krwotoku z nosa, a w kącie prawego oka pękło mu naczynko.
– Żyjesz? – Czajka pogładził Perkins po policzku i podłożył jej chustkę pod nos.
– Czuję się... – Wzięła rwany oddech. – Chujowo.
– Ja tak samo. – Dave uśmiechnął się szeroko. – Przytrzymaj to tutaj. – Docisnął chustkę do górnej wargi Emily. – Poszła ci krew z nosa. Przez parę sekund wyciągaliśmy osiem g.
– Osiem? – zdumiała się podpułkownik. Wskaźnik przyspieszenia na przepierzeniu wskazywał jeden przecinek dwadzieścia pięć. Nadal uciekali... Ale dokąd? Albo od czego?
– Przepraszam – rzucił Derek z kokpitu rozedrganym głosem. – Zrobiło się gorąco, więc musieliśmy wiać.
– Dave, ty też krwawisz – przypomniała Perkins, rozglądając się wokół. Jesse i Shauna udzielali sobie nawzajem pomocy. Jates siedział spokojnie, gestem dając znać, że nic mu nie jest. Nert podał Dave’owi chustkę i niepewnie uniósł kciuk. Podpułkownik widziała przez drzwi kokpitu, jak Irene obsługuje stery dodo. Wydawało się, że nikt nie odniósł cięższych obrażeń po gwałtownym przyspieszeniu. – Bonsu, co się dzieje?
– Wiem tyle co i pani – odparł pilot. – Coś wybuchło, a czujniki padły. Teraz się resetują. Powinniśmy mieć aktualny obraz za... – Sprawdził konsolę. – Dziesięć, może piętnaście sekund.
Na ekranach nie było widać nic poza mrugającym ruharskim symbolem oznaczającym przerwanie transmisji danych z

sensorów zewnętrznych. Gdy ekrany odzyskały sprawność, na obrazie wciąż znajdowały się puste miejsca, wypełniające się stopniowo, gdy komputer przetwarzał informacje przekazywane przez czujniki.

– Gdzie są te okręty? – dopytywała się Perkins, na zmianę przybliżając i oddalając obraz. – Widzę tylko...

– To czoło fali odłamków – wyjaśniła Irene. – Z czasem się przeredzi i wtedy zobaczymy... O-o.

Wewnątrz chmury szczątków majaczył ciemny, ruchliwy kształt.

– Szlag! – warknął Derek. – Trzymajcie się, przyspieszam.

– Nie rób tego – poleciła Perkins.

– Ma'am, jeżeli nie...

– Bonsu – ucięła Emily łagodnie – dodatkowy tysiąc kilometrów i tak nas nie zbawi.

– To prawda – zgodziła się Irene z rezygnacją.

Derek wziął głęboki oddech.

– W porządku, utrzymuję ciąg bez zmian. – Dobrze przynajmniej, że przy takiej prędkości pasażerowie będą siedzieć w kabinie, zamiast wystawać pod drzwiami i zadręczać pilotów. – Teraz widać już wyraźniej... O kurwa.

Chmura odłamków rozrzedzała się i bledła, gdy drobiny pozbywały się nadmiaru energii. Z obłoku wynurzył się uszkodzony maxolhxański krążownik. Płonął, a po osmalonym kadłubie przeskakiwały łuki wyładowań.

– Mieliliśmy pięćdziesiąt procent szans – stwierdził Jesse kwaśno.

Dave pomyślał, że jego przyjaciel jest na bakier z matką. W bitwie dwa maxolhxańskie krążowniki walczyły z jednym okrętem widmem. Teraz wiadomo było, że przynajmniej jeden okręt nieprzyjaciela ocalał z eksplozji.

– Nawet jeśli okręt widmo załatwił Maxolhxów, nie możemy być pewni, że jego załoga potraktuje nas przyjaźnie – ostrzegł Ski.

– Dlaczego tak myślisz? – Jesse obrócił się w fotelu.

– Tym okrętem podobno latają Bosphuraqowie, nie?

Zapomniałeś już o Planecie Kałamarnic? Najechaliśmy świat Wurgalanów i rozwaliliśmy okręt ptasich mózdzków działem plazmowym. Bosphuraqowie raczej nie przylecą do nas ze świątecznymi podarkami. Możemy w najlepszym razie liczyć, że nas zignorują.

Perkins machnęła ręką, ucinając dalsze spekulacje.

– Nie wiemy, co tu robi okręt widmo – stwierdziła.

– Nietrudno się domyślić – powiedział Jates. – Poluje na Maxolhxów. A dzięki nam załoga wiedziała, że znajdzie tu kocury.

– Dobra wiadomość, krążownik nie leci w naszą stronę – oznajmił Derek. – Ledwie zwiększa prędkość, o jakieś dziesięć procent g.

– Cud, że w ogóle może jeszcze przyspieszać – dodała Irene, przybliżając obraz. – Patrzcie, jak oberwał!

Jedna burta była całkiem pokiereszowana. Płyty pancerza zostały mocno uszkodzone albo odpadły, odsłaniając wewnętrzny szkielet. Poczerniały kadłub oświetlały białobłękitne wyładowania z zerwanych przewodów. Gdy wroga jednostka wlokła się coraz dalej, zaczęła uwalniać gaz i plazmę, aby dać sterom strumieniowym szansę na stabilizację lotu.

– Patrzcie! Osłony im wysiadły! – Irene wskazała na światło wokół dziobu, w miejscu gdzie odsłonięty kadłub przedzierał się przez chmurę cząsteczek. Dziób uderzył w coś tak dużego, że wywołało to rozbłysk i zostawiło krater w kadłubie. –

Cholera, szkoda, że Ruharowie skoczyli. Taki wrak byłby łatwym celem nawet dla nich. Ma'am, sądzi pani, że chrząszcze są gdzieś w pobliżu i mogły zauważyć...

– Krażownik wystrzelił pocisk! – przerwał jej Derek.

– Tylko jeden – upewniła się Perkins, próbując wywołać te dane na swoim ekranie.

– Na to wygląda. Rakieta wyleciała od drugiej strony, więc nie możemy... O nie. Nie, nie, nie! Leci prosto na nas! – zawołał Derek, przekrzykując alarm w kokpicie. – Pani pułkownik, mam przyspieszyć?

– Nie. – Perkins ścisnęła mocno dłoń Dave'a. – Koniec z ucieczkami.

– I tak nie zdążymy – stwierdziła Irene głosem wypranym z emocji. – Pocisk uderzy za osiemnaście sekund. Słuchajcie... – Spojrzała na pasażerów przez drzwi kokpitu. – To była naprawdę zwariowana przygoda.

Derek wziął ją za rękę. Właśnie wtedy rakieta eksplodowała w jaskrawym blasku.

– A to skąd się wzięło? – zdziwił się Bonsu.

Spomiędzy szczątków wychynął kolejny, lśniący kształt, rozgarniający cząsteczki na boki. W przeciwieństwie do maxolhxańskiego wraku ten okręt miał aktywne osłony i sunął gładko przed siebie, odbijając wszelkie obiekty od kadłuba.

– To okręt widmo! – Irene uniosła pięść, a wszyscy pozostali wzniesli okrzyk.

– Bonsu, teraz mądrze będzie zwiększyć ciąg do trzech g – poleciała Perkins. – Nie chcemy znaleźć się w samym środku strefy walki.

– Jasne. Przyspieszamy za pięć, cztery...

– Odwołuję rozkaz! – Perkins odruchowo osłoniła oczy, gdy świetlisty pocisk wystrzelił z okrętu widma i uderzył w sam

środek wrogiego krążownika, rozcinając go na pół. Wiązka energii zgasła gwałtownie, a następnie krótsze salwy uderzyły w pozostałości z okrętu, niszcząc silniki, wyrzutnie, generatory osłon i wszystko inne, co mogło stanowić potencjalne zagrożenie. – Bonsu, zmniejsz ciąg!

– Na pewno? – zapytał pilot. – Ten krążownik może wybuchnąć, a wtedy...

– Już po bitwie. Nie wiem, co teraz będzie, ale chcę to zobaczyć – powiedziała Perkins spokojnie.

– Ja też – zgodziła się Irene, gładząc dłoń Dereka. – Skarbie – szepnęła – to i tak bez znaczenia. Wobec tego okrętu jesteśmy bez szans.

Derek wcisnął odpowiedni guzik, a dodo zaczął dryfować w zerowej grawitacji.

– Okręt widmo skręca w naszą stronę – ostrzegł Bonsu, unosząc palec nad przyciskiem sterowania silnikiem.

Emily Perkins zadrżała na widok masywnej jednostki.

Wywiad określił ją jako znacznie zmodyfikowany maxolhxański krążownik liniowy, sądząc po konfiguracji kadłuba. Podejrzewano, że zbuntowani Bosphuraqowie zdołali w jakiś sposób przejąć ten krążownik, co było wyczynem jeszcze trudniejszym niż rozwalenie takiej jednostki na kawałki. Istoty sterujące okrętem widmem opracowały technologię przewyższającą osiągnięcia najlepiej rozwiniętych ras Drogi Mlecznej. O buntownikach wiadomo było niewiele poza tym, że nienawidzili maxolhxańskich ciemnych. Gdyby ci rebelianci stali się sprzymierzeńcami Legii Pozaziemskiej lub przynajmniej zachowali wobec niej neutralność...

– Możemy się z nimi skontaktować? – zapytała Perkins, machinalnie odgarniając grzywkę sprzed oczu. W stanie nieważkości był to daremny trud, a obcych i tak nie interesował

wygląd ludzi.

– Okręt widmo nadaje sygnał – powiedziała Irene. – Ale tylko wizualny... Co to?

Na wszystkich ekranach pojawiło się to samo, okrągłe, błękitno-złote logo z napisem „Siły Ekspedycyjne ONZ” u góry i „Wesoła Banda Piratów” na dole.

– SEONZ? – Dave zacisnął dłoń na ręce Emily tak mocno, że kobieta aż się skrzywiła z bólu. – To nasi!

– Przecież Siły Ekspedycyjne nie mają własnych okrętów – powiedziała Perkins, mimo że miała przed sobą dowód, że jest inaczej.

– Wesoła Banda Piratów? – Jesse spochmurniał. – A kto to, u licha, jest? Ma’am? – Popatrzył na dowódczynię Mavericks. – Czy to jakaś tajna jednostka?

– Jeśli to tajemnica, nic mi o tym nie wiadomo – mruknęła Perkins.

– Em, daj spokój – upierał się Dave. – Mają ludzkie logo. To na pewno...

– Dave – Shauna starała się pohamować entuzjazm kolegi – może pokazują nam je, bo uważają, że to nasz symbol? Bosphuraqowie mogli natrafić na siły specjalne SEONZ i uznać, że do nich należymy.

– Mnie bardziej ciekawi ten dziwoląg pośrodku logo – powiedział Derek. – Co to takiego?

– Wygląda jak... ziemniak? – zgadywała Irene. – Ale kto wybrałby ziemniaka jako...

– Hmm, nie. – Perkins przekrzywiła głowę, jakby oglądanie obrazu pod innym kątem miało cokolwiek wyjaśnić. – To raczej jakiś jednokomórkowiec, ale na pewno nie...

Symbol zniknął, a na ekranie pojawił się człowiek.

Mężczyzna, siedzący w ogromnym fotelu, prawdopodobnie na

mostku lub w centrum dowodzenia okrętu.

Facet, którego wszyscy rozpoznali. Albo ze zdjęć, albo dlatego, że mieli już z nim do czynienia.

– Cześć wszystkim! – powiedział. – Jak się macie?

Emily cieszyła się, że dodo jest w stanie nieważkości. W przeciwnym razie przewróciłaby się z wrażenia na pokład.

– B...Bishop?!

– Bish! – Jesse i Dave wzniesli wspólny okrzyk radości.

– Wszyscy... – Emily musiała zaczerpnąć tchu. – Wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz!

Bishop uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Cóż, lubię powtarzać, że pogłoski o moim smutnym końcu są mocno przesadzone.

– Bish, czy to twój okręt? – nie dowierzał Dave.

– Ta stara krypa? – Joe wzruszył teatralnie ramionami. – Poskładaliśmy ją z używanych części...

– Taa, jasne – wtrącił się kolejny, niewidoczny rozmówca.

Mówił uszczypliwym tonem, ze snobistycznym, lekko brytyjskim akcentem. – Wy ją poskładaliście? Przecież to ja zbudowałem „Walkirię”, bez pomocy mał...

– Skippy! – Bishop pogroził pięścią komuś nad sobą. – Ustaliliśmy, że będziemy działać powoli. Nie chcemy przestraszyć...

– Obiecałeś też, że będę mógł przedstawić zespołowi Mavericks podsumowanie naszych akcji w formie epickiej opery!

– Zaraz! – Jesse machnął ręką. – Opery? Znaczący... Takij ze śpiwającymi ludźmi w rogatyk hełmak? – dopytywał z południowym akcentem. – Bish, daj spokój, nie chce nam się tego oglądać!

– Placek... – Bishop zakrył oczy i potrząsnął głową. – Fakt,

obiecałem puszcze, że będzie mogła zaśpiewać, ale...

– Puszcze?! – Shauna wpatrywała się w mężczyznę, którego ostatni raz widziała na Obozie Alfa. – Co to za śpiewająca puszcza?

– O rany... – Bishop opuścił rękę. – Shauna, chłopaki, wierzcie mi, to długa historia. Przepraszam, jeśli was nastraszyliśmy. Przechwyciliśmy wiadomość od Maxolhxów do Thuranów. Kocury zamierzały tu wpaść i zepsuć wam zabawę.

Przylecieliśmy najszybciej jak się dało. Zamierzaliśmy wskoczyć i unieszkodliwić krążowniki, ale jeden z nich tak wkurzył Skippy’ego, że...

– Skippy’ego? – odezwał się kolejny bezcielesny głos, przywodzący na myśl upalonego surfera. – Ziom, przecież to ja obsługiwałem działa, nie?

– Zamknijcie się obaj! – warknął Bishop. – To rozkaz! Perkins zmrużyła oczy, spoglądając na oznaczenia jego rangi.

– Pułkownik Bishop, zechciałby pan wyjaśnić, co tu się wyprawia?

– Jak już mówiłem... – Joseph Bishop sprawiał raczej wrażenie opiekuna żłobka pełnego malców naładowanych kofeiną niż kapitana najpotężniejszego okrętu w Galaktyce. – To długa historia.

ROZDZIAŁ 36

Piloci Mavericks precyzyjnie wprowadzili dodo w odpowiedni dok, z którego usunęliśmy inne lądowniki. Wcześniej widziałem Irene Striebich i Dereka Bonsu tylko, gdy szpiegowałem ich na Paradise. Prawdę mówiąc w ogóle ich nie znałem, tak samo jak Jatesa i Dandurfa. Z Shauną Jarrett nie miałem kontaktu od czasu Obozu Alfa. Wydawało się, że upłynęła cała wieczność. A Emily Perkins? Zaczniemy od tego, że nawet w myślach

nigdy nie nazywałem jej Emily. Gdy widzieliśmy się po raz ostatni, była majorem, a ja świeżo upieczonym pułkownikiem. Wypracowaliśmy całkiem niezłe relacje zawodowe, a poza tym zwyczajnie ją lubiłem. Choć pracowała w wywiadzie, ufałem jej samej, a nie tylko jej osądowi. Spodziewałem się, że będzie postępować słusznie dla dobra armii i swoich ludzi. Sukcesy, jakie odnosiła z Mavericks, oraz jej troska o podkomendnych jedynie utwierdzały mnie w tym przekonaniu.

Tyle tylko, że właśnie te cholerne sukcesy były jednym ze źródeł naszych problemów!

Oglądaliście kiedyś film „Star Trek II: Gniew Khana”? Jestem pewien, że tak. A jeśli nie, powinniście poważnie zastanowić się nad swoim życiem. W każdym razie w jednej ze scen kapitan Kirk znajduje się pod powierzchnią asteroidy, a Khan, jego śmiertelny wróg, nie tylko wykrada wynalazek istotny dla całej fabuły, ale więzi Kirka, możliwe, że na zawsze. Kirk unosi komunikator z typową dla Williama Shatnera dramaturgią i krzyczy: „Khaaaaaan!”.

Dlaczego o tym mówię? Ponieważ gdy wchodziliśmy do doków, w mojej głowie rozlegał się okrzyk: „Peeerkiiiiins!”.

– Musi pan pamiętać, że to nie jej wina – szepnęła sierżant Adams, idąca po mojej lewej.

– Szlag – odparłem cicho. – Powiedziałem to na głos?

– Tak – syknęła Simms z prawej. – Proszę się przez chwilę nie ruszać, ma pan coś na ramieniu. – Strząsnęła z mojego munduru galowego jakiś paproch. – Już.

– Dziękuję paniom – powiedziałem.

Wziąłem głęboki oddech i ruszyłem środkiem czerwonego dywanu, prowadzącego do bocznych drzwi dodo. Lądownik miał zimny kadłub, rozgrzane rury wydechowe, a z silników manewrowych wciąż ulatniał się gaz, gdy wyrównywaliśmy

ciśnienie. Po obu stronach dywanu stali żołnierze STAR, komandosi i członkowie załogi, którzy nie pełnili wachty na mostku. Nie zmyślam, naprawdę rozwinęliśmy czerwony dywan w oczekiwaniu na gości. Simms zaskoczyła mnie, gdy zaproponowała użycie go i wystawienie gwardii honorowej. Nie wiedziałem, że mamy taki dywan na pokładzie.

Podpułkownik, rzecz jasna, przezornie postanowiła zabrać go z Ziemi. Jeszcze jeden powód, dla którego mogłem być dumny ze swojej oficer wykonawczej. Oczywiście boty Skippy'ego musiały doczyścić dywan, który zdążył się zakurzyć w magazynie.

Za moimi plecami z sufitu zwieszały się trzy flagi. Pośrodku – flaga SEONZ, jeszcze według starego wzoru, z czasów gdy Siły Ekspedycyjne opuściły Ziemię. Chciałem, by Mavericks ją rozpoznali. Do tego po jednej stronie wisiała flaga z logo Wesołej Bandy Piratów, a po drugiej z symbolem ludzkiej części Legii Pozaziemskiej. Niektórzy z naszych załogantów uważali, że logo Legii, opatrzone mottem: „W każdym miejscu. W każdym czasie. W każdym boju”, wyglądało jak podpatrzone u jakiejś podrzędnej drużyny hokejowej, ja jednak sądziłem, że jest kozackie. Żałowałem, że piraci nie mają równie przebojowej dewizy. Ale nie, szczytem inwencji Skippy'ego był slogan: „Dążymy do profesjonalizmu”. Co za dupek...

Tak czy inaczej, fabrykatory okrętowe wyprodukowały flagi i teraz czekaliśmy, aż dodo otrzyma od kontrolera lotu potwierdzenie, że wszystko gra. Tak się najwyraźniej stało, bo lampka na ścianie zmieniła kolor z żółtego na zielony, a drzwi ładownika stanęły otworem.

Emily Perkins nie wyszła jako pierwsza. Zaszczyt ten przypadł sierżantowi sztabowemu Jessemu Colterowi, znanemu także jako Placek Kukurydziany. Jesse uśmiechał się tak samo

szeroko jak ja. Zamrugałem, bo, nie wiedzieć czemu, oczy zaczęły mi łzawić. Na pewno przez jakąś alergię albo...

No co? Wzruszyć się nie można?

Colter stanął na lewo od schodów, po których następnie zeszli Shauna i Dave. Potem zobaczyliśmy dwóch przedstawicieli obcych ras. Ruharskiego kadeta i Kristanga... nie, Verd-Krisa w randze surguna. Musiałem się pilnować, by nie określać Jatesa mianem Kristanga, ani tym bardziej jaszczura. Kolejną parą ludzi musieli być piloci, Bonsu i Striebich. W końcu w drzwiach stanęła Perkins. Zeszła po stopniach, zatrzymała się i zasalutowała.

– Proszę o pozwolenie wejścia na pokład, sir – zwróciła się do mnie.

– Zezwalam z przyjemnością, pułkownik Perkins – odparłem. Zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej, Perkins otworzyła usta z niedowierzaniem.

– *Commandant* Fabron? – zapytała, wpatrując się w dowódcę komandosów. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Perkins musiała znać Fabrona albo przynajmniej o nim słyszeć. Jak to... Jest pan z nimi?

– Od niedawna. – Fabron wzruszył ramionami z galijską nonszalancją. – I nie powiedziałbym, że jesteśmy z nimi... – Zerknął na mnie z powątpiewaniem.

– Fabron – powiedziałem – pańscy komandosowie z pewnością są jednymi z nas, o ile podoba wam się służba w szeregach żądnych krwi piratów. Stanowimy jeden zespół.

Służba wojskowa ma wiele beznadziejnych aspektów. Prawdę mówiąc, w większości jest kompletnie do bani. Nawet jeśli chodzi o proste sprawy, jak choćby próba wypełnienia formularza w internecie. Aby uzyskać do niego dostęp, trzeba uaktualnić dane z dowodu tożsamości. Sęk w tym, że to

niemożliwe, bo przeglądarka na rządowym laptopie blokuje oficjalną stronę Departamentu Obrony, na którą musimy wejść. Informatycy mówią, że aktualizacja przeglądarki wymaga ściągnięcia na laptop nowej wersji antywirusa, co również jest niemożliwe, bo nasze dane są nieaktualne! Koniec końców, trzeba poświęcić cały dzień na problem, który powinno się rozwiązać w pięć minut. A potem w armii zachodzą w głowę, dlaczego żołnierze rezygnują ze służby.

Zdarzają się jednak momenty, gdy człowiek stwierdza, że to wszystko jest warte zachodu. Dla mnie czymś takim był błysk dumy w oczach Fabrona po tym, jak zapewniłem go, że komandosi należą do zespołu. Stojący naprzeciwko Francuza Smythe skłonił się ledwie zauważalnie. Nawet nieprzeciętna dyscyplina komandosów nie mogła powstrzymać uśmiechów na ich twarzach.

– Żądni krwi piraci? – zapytała Emily Perkins, unosząc brew. – Niech zgadnę, to kolejna długa historia?

– Owszem – przyznał Fabron. – Ale chyba nie tak długa jak historie, które mogliby opowiedzieć inni.

– Bishop? Sir, mógłby mi pan wyjaśnić, jak...

– Musieliśmy wynająć Legię Pozaziemską – wytłumaczyłem. – Ale nie całą. Tylko jedną drużynę komandosów. Nie mieliśmy czasu na długi proces rekrutacyjny, więc... – Wzruszyłem ramionami. – Darowaliśmy sobie papierkową robotę. Ten oto niecny i zuchwały osobnik to podpułkownik Smythe, dowódca zespołu STAR.

– STAR?

– Special Tactics Assault Regiment. Specjalny Pułk Taktyczno-Uderzeniowy – wyjaśnił Smythe rzeczowo. – Wcześniej służyłem w Dwudziestym Drugim Pułku Special Air Services.

– Mhmm... – Perkins się uśmiechnęła. – Miewałam już do

czynienia z ludźmi z SAS.

Przedstawiłem pozostałych najwyższych rangą oficerów. Wiedziałem, że Jesse, Dave, czy nawet Shauna czekają z niecierpliwością, aż ceremonia dobiegnie końca i będą mogli zasypać mnie pytaniami.

– Sir... – szepnęła Simms, trącając mnie lekko. Poza tym Skippy ciągle pokrzykiwał przez słuchawkę.

– Ekhm, no tak – wydukałem. – Resztę przedstawię później. Perkins, proszę zebrać zespół i pójść za mną. Czas na spotkanie ze starym znajomym.

Mavericks popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

– Jakim starym znajomym? – zapytała Perkins.

– Jeszcze z Paradise... Tylko wasza szóstka – dodałem, widząc, że Verd i Ruhar występują naprzód. – Ludzie, którzy aktywowali działa maserowe. Kadecie Dandurf, surgunie Jates, to nie potrwa długo. Potem zapoznam was z naszą gwiazdą wieczoru. – Przewróciłem oczami. Skippy uparł się, by tak go nazywać.

*

Być może was to zaskoczy, ale Skippy zachowuje się trochę jak primadonna. No właśnie, trochę. Zazwyczaj wystarczająco panuje nad swoim ego, by oszczędzić nam naprawdę koszmarnych przeżyć. Tym razem było inaczej. Skippy zażądał, by przygotować mu gwiazdorski występ przed nową publicznością. Przystąpiłem na to, bo lepiej było się zgodzić, niż zgotować nam wszystkim piekło. Poza tym nie było to nic wielkiego, biorąc pod uwagę, ile blaszak zrobił dla niegodnych małą. Uznałem także, że może być zabawnie.

– Bish. – Jesse zadręczał mnie, gdy szliśmy korytarzem. – Nie bądź taki skryty. Co się dzieje? Gdzie byłeś przez cały ten czas?

– Placek, obiecuję, że o wszystkim opowiem. – Skręciłem do

sali konferencyjnej, gdzie czekała kawa i przekąski. Wybór był niewielki, ale nie mieliśmy nic lepszego. Gdy do pokoju weszła szóstka zniecierpliwionych i zdezorientowanych Mavericks, stanąłem przy stole. – Jak już mówiłem, na pokładzie tego okrętu przebywa wasz stary znajomy.

– Kto? – dopytywała się Perkins. Jej cierpliwość wyraźnie się kończyła.

– Znacie go jako Enigmatycznego Dobroczyńcę.

– Endo? – zdumieli się wszyscy.

– Bish, Endo to ty?! – Dave był lekko wkurzony. – Dlaczego nie nie...

– Nie, to nie ja. – Potrząsnąłem głową. Potem wskazałem na blat. – Przed państwem jedyny, niepowtarzalny, najwspanialszy z najwspanialszych...

Wierzcie mi, i tak musiałem mocno skrócić całą litanię przesłodzonych pochwał, której początkowo domagał się Skippy.

– Jego Wysokość Wielki Admirał Floty, Skippy Wspaniały! Nic się nie wydarzyło.

W tym momencie awatar powinien pojawić się w efektownym błysku światła.

– Skippy? – Skrzywiłem się, gdy Mavericks gapili się na mnie, jakbym postradał rozum.

– Wszystko pomieszałeś, Joe – burknął blaszak z głośnika na suficie.

– Na litość... Nie dałem rady wszystkiego spamiętać, Skippy. – Miałem ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. – Odpuść, co?

– Nic z tego! Masz to powiedzieć jak należy! Ech, może wymagam zbyt wiele od takiej obłeśnej małpy?

– Sir? – Perkins skrzyżowała ramiona. – Czy to jakiś żart?

– Jeśli już, to moim kosztem. Skippy, daj spokój. Przepraszam,

że zepsułem ci twoje wejście. Może wynagrodzę ci to, słuchając którejś z twoich arii?

– Hmmff... Możemy umówić się na jedną arię i jeden przebój z mojego nadchodzącego broadwayowskiego musicalu!

– Zgoda.

– Patrzcie i podziwiajcie! – ryknął Skippy, gdy jego hologram zaczął materializować się w kłębach dymu. – Oto ja, Skippy Wspaniały!

Gdy sztuczny dym się rozwiął, awatar stanął przed publicznością w całej krasie. Miał na sobie olśniewający admiralski mundur. Zauważyłem, że błyszczało na nim trochę więcej kiczowatych odznaczeń niż zwykle. Może blaszak sam sobie przyznał medal za frekwencję albo coś w tym guście? Przez chwilę trwała cisza, po czym Dave zadał całkiem trafne pytanie:

– Ten cały Endo to jakiś gość z kreskówki?

– Ja ci dam kreskówkę, ignorancie jeden! – oburzył się Skippy. – To, czym jestem, przechodzi pojęcie...

– Skąd wzięłeś te ciuchy? – Jesse pochylił się, oglądając holograficzny mundur. – Wyglądasz jak maskotka sieci fast foodów!

– No, nie da się ukryć – zaśmiałem się.

– Nie okazujecie mi należnego szacunku, małpy! – Skippy aż się zagotował ze złości i zaczął skakać po stole.

– Wręcz przeciwnie – powiedziałem.

– Nie wiedziałam, że Endo to taki dupek. – Striebach zmierzyła Skippy'ego krytycznym spojrzeniem.

– Oż ty... – zaskrzeczał blaszak. – Niech no tylko...

– Wszyscy jesteśmy takiego zdania – zwróciłem się do lotniczki. – Znam go już od dawna. I od samego początku był palantem.

– Bishop, proszę wyjaśnić... – wtrąciła się Perkins, na chwilę zapomniawszy, że przewyższam ją stopniem. – Nasz Enigmatyczny Dobroczyńca to po prostu program komputerowy?

– Nie jestem żadnym...

– Skippy, wyluzuj. – Uniosłem rękę. – Perkins, byliśmy na Paradise, kiedy aktywowaliście działa. Wybaczcie. –

Powiodłem

wzrokiem po zebranych. – Nie mogliśmy wam zdradzić naszej prawdziwej tożsamości, więc Skippy odgrywał rolę Endo. Nie jest programem, a prawdziwą osobą – podkreśliłem, by podbudować urażone ego blaszaka. – Istota, którą nazywamy Skippym, to sztuczna inteligencja Pradawnych, dysponująca niewyobrażalną mocą.

– Pradawnych? – zapytała Shauna. – Ale to nie... Joe, jesteś pewien?

– Tak. Długo by opowiadać. Na razie musicie wiedzieć, że przykro mi, że was wykorzystaliśmy. Chomiki zamierzały zwrócić Paradise jaszczurom. Wówczas SEONZ miałyby przerabane. Nie mogliśmy na to pozwolić, ani też wyjawić obcym, że garstka Ziemiaków podróżuje przez Galaktykę kradzionym thurańskim okrętem. Dlatego...

– Thurańskim? – zdziwił się Jesse. – Bish, przecież okręt widmo to maxolhxański...

– Krążownik liniowy, rzeczywiście. W dodatku odpicowany przez Skippy'ego. Z kolei nasz drugi okręt to...

– Macie ich więcej? – Perkins wytrzeszczyła na mnie oczy.

– No... Tak. Aktualnie cztery. Thurańska jednostka to lotniskowiec, który nazwaliśmy „Latającym Ho len drem”. Mamy też dwa krystańskie transportowce wojskowe. Wcześniej posiadaliśmy też krystańską fregatę. To był pierwszy przejęty przez nas okręt. Musieliśmy ją rozłożyć na części, aby

„Holender” mógł dalej latać. Po drodze zdobywaliśmy na chwilę także inne jednostki. Powtarzam, przykro mi, że nie mogliśmy zdradzić, kim jest Enigmatyczny Dobroczyńca.

– To zrozumiałe ze względów bezpieczeństwa. – Perkins pokiwała wolno głową, wciąż usiłując przyswoić wszystkie rewelacje. – Ale nic z tego nie wyszło. Mówię o działach maserowych. Jaszczury nie dały za wygraną, a Ruharowie i tak zamierzali prehandlować planetę. Ale wtedy... ktoś – ciągnęła, patrząc na mnie znacząco – jakimś cudem odnalazł linię mocy Pradawnych i jeszcze parę innych gadżetów.

– Tak, to również nasza sprawka.

Wszyscy Mavericks zakłęli bezgłośnie.

– Podłożyliście... – podjęła Perkins.

– Owszem, tyle tylko, że nie byliśmy w posiadaniu prawdziwej linii Pradawnych. – Odwzajemniłem badawcze spojrzenie. – W przeciwieństwie do niektórych...

– Wie pan o tym?

– O linii mocy, którą podrzuciliście na Planetę Kałamarnic? Domyśliłem się, że byliście w to zamieszani. Ale skąd mieliście takie cacko?

– To dopiero długa historia!

– W porządku, porozmawiamy o tym później.

– Sir, możemy wrócić do poprzedniego tematu? Po wie dział pan, że zostawiliście na Paradise fałszywą linię mocy Pradawnych? – Sądząc po minie, żałowała, że sama nie wpadła na podobny chytry pomysł.

– Mówiąc w telegraficznym skrócie, musieliśmy przekonać chomiki, że warto zatrzymać Paradise. Udało się, więc... O nie.

– Co jest? – spytał Dave.

– Burmistrzynie będzie wściekła, kiedy dowie się, że zmusiłem jej lud do zatrzymania niechcianej planety.

- Jakoś to przełknie. – Perkins wzruszyła ramionami.
- A jak nie, to niech się goni – warknęła Striebich.
- Podejrzewam raczej, że ta historia ją zachwyci – powiedziała Perkins, uśmiechając się. – Pułkownik, przez długi czas sądziłam, że Endo jest powiązany z Baturah Loghellią.
- Taka była jedna z oficjalnych wersji – przyznałem. – Zostawialiśmy mnóstwo mylnych tropów. Będzie jeszcze czas, żeby o tym porozmawiać. Przyprowadziłem was tu, żebyście poznali Endo. Jak już mówiłem, tak naprawdę nazywa się Skippy. I jest dupkiem.
- No dobra. – Skippy westchnął z rezygnacją. – Nie mogę zaprzeczyć. Ale spisuję się na medal!
- Zazwyczaj, choć nie zawsze. – Pogroziłem mu palcem. – Poza tym, jakkolwiek niechętnie to przyznaję, Skippy jest moim... przyjacielem.
- A twój przyjaciel jest moim – zapewnił Jesse, mimo wszystko zerkając podejrzliwie na awatara.
- Skoro tak... – Skippy skłonił się oszczędnie. – Miło mi pana poznać, sierżancie sztabowy Colter. Pana i całą resztę Mavericks. Śledziliśmy wasze dokonania, czytając raporty i korzystając z wszelkich innych źródeł danych, które zdołałem zhakować. Niezmiernie żałuję, że nie mogliśmy pomóc wam na Obozie Alfa. Gdy dowiedziałem się o tym incydencie, było już za późno, zresztą i tak musieliśmy przeszkodzić jaszczurom, które zamierzały zaatakować Paradise śmiertelnośnym patogenem.
- To także wasza zasługa? – Dave zamrugał z niedowierzaniem.
- Nasza, ale przede wszystkim Skippy'ego. – Nie zamierzałem umniejszać osiągnięć SI Pradawnych. – Opracował również

szczepionkę. A, właśnie. – Pstryknąłem palcami. – Jaszczury planowały rozmieścić na Paradise bandę kretynów ze Stróżów Wiary. Tyle już wiecie, prawda? – Pokiwali głowami. – Przechwyciliśmy ładowniki i pojaliśmy Stróżów. Odwieźliśmy tych zjebów na Ziemię. Skippy, czy nadal... – Jeśli wierzyć dowództwu SEONZ, Stróże wciąż przebywają na Georgii Południowej, w południowej części Atlantyku... – Skippy spojrział na Perkins, podśmiewającą się pod nosem. – Co panią tak bawi?

Podpułkownik spojrzała na mnie z sympatią. – Nazwał pan Stróżów zjebami. – Parsknęła śmiechem. – Przebył pan daleką drogę, pułkowniku Bishop, ale gdzieś w głębi serca wciąż pozostaje pan zahukanym sierżantem. Dobrze wiedzieć.

– Aha... – Zarumieniłem się. – Dzięki.

– Bish – wtrącił się Dave – będziesz musiał się gęsto tłumaczyć... sir – dodał.

– Wiem, wiem. Zaraz wrócimy i poznacie resztę załogi. Chciałem, żebyście najpierw zobaczyli się ze Skippym. Bez niego większość naszych osiągnięć byłaby niemożliwa.

– Sir. – Shauna unikała mojego wzroku. Musiała być skrępowana. W końcu łączyła nas wspólna przeszłość. – Mówiłeś... Mówił pan, że macie nad Ziemią inne okręty... Byliście tam? Niedawno? – dopytywała się, odruchowo chwytając dłoń Jessego. – Możemy tam wrócić? Do domu?

– Możemy. Po drodze będzie trzeba zrobić parę postojów, ale jeśli chcecie...

Perkins zakryła usta dłonią. Wyglądała, jakby nagle zrobiło jej się słabo.

– Pułkowniku, ten okręt jest potężny, ale jeśli wy możecie dotrzeć na Ziemię, to obcy też!

– Owszem, Perkins. Wiem, o czym pani myśli, ale to już nie problem. Przez lata staraliśmy się nie dopuścić obcych do Ziemi, gdzie odkryliby naszą tajemnicę. Maxolhxowie już tam dotarli. Prawdę mówiąc, wróciliśmy właśnie z konfrontacji z maxolhxańską grupą zadaniową. – Uniosłem pięść. – Pogoniliśmy im kota! Uciekali z podkulonymi ogonami. Nie będą nas więcej niepokoić.

– Podejmujecie ogromne ryzyko – zauważyła Perkins.

– Niekoniecznie, bo tak się składa, że mamy teraz arsenał broni Pradawnych. – Siliłem się na niefrasobliwy ton, ale i tak brzmiało to jak przechwałki.

– Broń Pradawnych? O kurde. – Perkins o mało nie spadła z krzesła. – Trzeba było tak od razu!

– Sporo się jeszcze nagadam. – Westchnąłem ciężko.

*

Nert spojrzał po sobie. Miał standardowy ruharski ubiór i sprzęt do podróży lądownikiem, w tym pikowaną kamizelkę z licznymi kieszeniami, zbiornik tlenu i osobiste grzejniki. Żałował, że nie zostawił kamizelki w dodo, ale było już za późno. Na znak od pułkownika Bishopa młody Ruhar wyprężył się i wkroczył do sali konferencyjnej.

– Kadet Nert Dandurf – przedstawił się, prezentując dowódcy Wesołej Bandy Piratów bezbłędny ludzki salut. – Bardzo mi...

– Czekał! – krzyknął holograficzny awatar stojący na stole i gorączkowo machający rękami. – Nic nie mów, sam zgadnę. Ta kamizelka... Już wiem! Jesteś z młodzieżówki straży przybrzeżnej i przyszedłeś wysepić ode mnie forszę!

Nie wiedzieć czemu, pułkownik Bishop wydawał się szczerze ubawiony. Nert stał z rozdziawionymi ustami.

– Kadecie... – powiedział Bishop, gdy już przestał się śmiać. – Przepraszam, śmiałem się z blaszaka. Miło nam cię poznać.

- Hmm – burknął Skippy, mierząc Dandurfa wzrokiem. – Nie jesteś trochę za niski?
- A ty trochę za tępy? – wypalił Nert bez zastanowienia.
- Ejże! – oburzył się hologram.
- Ale cię zgasił, Skippy! – Bishop aż klasnął z radości. – Brawo.
- Uniósł rękę, a kadet przybił z nim piątkę, tak jak uczyli go Jesse i Dave.
- Ty jesteś Skippy? – zwrócił się Nert do awatara.
- Skippy Wspaniały, do usług. – Hologram skłonił się szyderczo. – No, z tymi usługami to był żart. W końcu jestem Lordem Dowódcą Floty, a ty ledwie kadetem.
- Dlaczego masz taki wielki kapelusz?
- Podoba ci się? Imponujący, prawda?
- Raczej obciachowy – stwierdził Ruhar bez ogródek.
- Jak śmiesz?! – warknął Skippy. – Joe, już go nie cierpię!
- A ja już go lubię – oznajmił Bishop z szerokim uśmiechem. – Kadecie Dandurf, mając do czynienia ze Skippym, trzeba pamiętać, że to buc.
- Racja, ale przynajmniej supermądry, nie, wręcz nieopisanie i powalająco mądry buc! – oświadczył Skippy wyniośle.
- Nert pochylił się, by przyjrzeć się awatarowi.
- Zdajesz sobie sprawę, że nawet najmądrzejszy buc i tak pozostaje bucem?
- Och ty... – Skippy potrząsnął małymi pięściami. – Poczekaj tylko...
- Skippy – Bishop mrugnął porozumiewawczo do Nerta – mianuję kadeta Dandurfa oficjalnym łącznikiem pomiędzy nami a Ruharami. Będziesz z nim współpracował. Bardzo blisko.
- Joe, zlituj się – jęknął Skippy.

– Sam sobie na to zasłużyłeś. – Pułkownik pogroził mu palcem. – Mogłeś być bardziej uprzejmy dla naszego gościa.

*

Gdy występ przed Mavericks, a potem przed Nertem nie poszedł zgodnie z planem, Skippy spróbował innej taktyki wobec surguna Verd-Kris. O Jatesie wiedziałem tylko tyle, ile wyczytałem w raportach, nie sprawiał jednak wrażenia faceta, który traci czas na bzdury. Uprzedziłem o tym blaszaka... który, rzecz jasna, kompletnie mnie zignorował.

Na prośbę Skippy'ego eskortowałem Jatesa do nowej, tymczasowej siedziby blaszaka. Nie była ona tak luksusowa jak poprzednia, a poza tym brakowało w niej dekoracji, co tylko dawało Skippy'emu pretekst do ciągłych narzekania. Gdy tylko zaczynał rozpaczać za pamiątkami po Elvisie albo oryginalnymi obrazami, przypominałem mu, że może winić wyłącznie siebie i własną głupotę.

Dziwne, ale wcale nie poprawiało mu to humoru.

Osobiście nie opłakiwałem utraty pasa z „tłustych lat”

Presleya, ale szkoda mi było autentycznego obrazu z psami grającymi w pokera. Malowidło to było powszechnie uważane za klasyczne arcydzieło. Przynajmniej przez gości, którzy lubią pogawędzić przy piwku, a nie nadętych snobów, którzy mają się za lepszych od innych. Kto wie, może autor obrazu spodziewał się, że jego dzieło kiedyś zaginie lub spłonie w pożarze. Na pewno nie podejrzewał jednak, że ulegnie zniszczeniu we wnętrzu gazowego olbrzyma, i to jeszcze w innej galaktyce. O ile mi wiadomo, był to jedyny obraz namalowany ręką ludzką, który dokonał żywota poza Drogą Mleczną. To dopiero coś! Właśnie o takich sprawach rozmyślałem, zmierzając z Jatesem do kwatery Skippy'ego. Surgun nie przepadał za rozmowami o niczym, więc przez większość drogi panowało

milczenie. Nie mówię o chwili przyjemnego spokoju, jak podczas wspólnych posiadów z kumplami. Była to raczej niezręczna cisza, jak przy pierwszym spotkaniu z ojcem twojej dziewczyny, z którym nie ma się żadnych wspólnych tematów i który wie o tobie tylko tyle, że jesteś żalosnym zbokiem, bałamucącym jego małą księżniczkę. I tak siedzicie, a potencjalny teść zastanawia się, gdzie będzie mógł bezpiecznie zakopać twoje zwłoki.

Kiedy weszliśmy do windy, nie mogłem dłużej wytrzymać napięcia.

– Słyszałem, że służył pan z Davidem Czajką – wypaplałem. Verd-Kris odwrócił się powoli i spojrział na mnie z góry.

– Tak – oznajmił po jeszcze bardziej krępującej chwili ciszy. Pożałowałem, że nie trzymałem języka na wodzy. Kor ciło mnie, żeby dopytać o więcej szczegółów, ale nie zamierzałem ciągnąć tematu. Niestety, moja gęba nie odebrała wiadomości od mózgu, bo znowu zacząłem gadać.

– Dave, Jesse i ja byliśmy w jednej jednostce, jeszcze na Ziemi. Nie raz pakowaliśmy się w tarapaty – dorzuciłem, jak na patentowanego durnia przystało.

Jates znowu otaksował mnie wzrokiem, gdy wychodziliśmy z windy. Może zaczął mi współczuć, a może także miał dość tej niezręcznej atmosfery.

– Ja i Dave Czajka również miewaliśmy liczne kłopoty. Głównie przez działania lub zaniechania Czajki. Wy, ludzie, nazwalibyście go idiotą.

– No tak. – Pokręciłem smutno głową. – Cały Dave.

– Mimo to zawierzyłbym mu własne życie – oznajmił nieoczekiwanie Verd. – Jest dobrym żołnierzem i porządnym człowiekiem. – Twarz surguna przybrała trudny do odczytania wyraz. – Może to dziwne, ale uważam Czajkę za swego

najlepszego przyjaciela.

– O rany... – zdumiałem się, słysząc te słowa. – No tak, to...

– Jeśli piśniesz mu o tym choć słówko, nędzny człowieczku – zagroził, nachylając się nade mną – złamię ci kark jak zeszlą gałązkę... sir.

– Yyy, jasne. – Akurat dotarliśmy do kanciapy Skippy’ego. – Miło się rozmawiało.

Jates tylko burknął coś pod nosem.

– To, eee, tego... – wyjąkałem, wskazując na wejście. – Pan przodem.

Skippy nalegał na spotkanie z Jatesem w kapsule, ponieważ Verd-Kris musiał się schylić, aby wejść, mimo że jednostkę zaprojektowano z myślą o Maxolhxach. Blaszak spodziewał się, że wewnątrz kanciapy Jates poczuje się skrępowany i przytłoczony. Mówiłem Skippy’emu, że bredzi, ale on nie chciał mnie słuchać. Przystałem więc na jego plan i niecierpliwie wyczekiwałem nadciągającej katastrofy.

Verd ze stoickim spokojem usiadł w kapsule, obrzucił wzrokiem skromne wnętrze, po czym skupił się na jedynym nietypowym obiekcie.

– Pułkownikowi Bishop. – Wskazał srebrny cylinder, spoczywający w piankowym uchwycie. – Prowadził mnie pan aż tutaj, żebym obejrzał jakąś puszkę?

– Cóż, niektórzy rzeczywiście nazywają mnie puszką po piwie – odezwał się Skippy. Jego kanister zaświecił na niebiesko. Gdy blaszak sprawił sobie awatara, rzadziej bawił się w zmiany kolorów. O ile mnie pamięć nie myliła, błękit oznaczał dobry humor. – Piwo to taki napój dla ludzi.

– Wiem, czym jest piwo – oświadczył Jates z kamienną twarzą. – David Czajka jest współwłaścicielem wytwórni piwa na Pradassis.

- Taki zakład nazywa się browarem, a poprawna nazwa planety to Gethanu albo Paradise. – Skippy poprawiał naszego gościa, bo przecież każdy lubi, gdy wytyka mu się błędy.
- Dziękuję za wyjaśnienie – odparł Jates. Zachowywał obojętną minę, ale jakaś żyłka na jego czole zaczęła niebezpiecznie pulsować.
- Ależ proszę bardzo. – Skippy wciąż pulsował łagodnym błękitem. – Pomaganie wybrakowanym istotom żywym w lepszym wykorzystaniu ich ograniczonych zdolności umysłowych to dla mnie nie tylko przyjemność, ale wręcz powinność.
- Doceniam to. – Jates zacisnął zęby. Nie jestem specem od mowy ciała Verd-Krisów, ale nie mogło to wróżyć nic dobrego.
- Nie jestem byle pojemnikiem na alkohol – ciągnął Skippy, rozochocony. – Jestem sztuczną inteligencją Pradawnych. Choć pojęcie sztuczności samo w sobie stanowi jedynie sztuczny konstrukt.
- Sztuczna inteligencja Pradawnych? – Verd tym razem wyraźnie się ożywił.
- Tak. Wiem, że onieśmiela cię moja obecność. Nie musisz czuć się bardziej niegodny niż inni. Wszystkie stworzenia biologiczne reagują w ten sposób na moją wspaniałość. Nie bój się. Choć nie jesteś tego godzien, jestem tu, by ci pomóc i...
- A zatem to ty ponosisz winę za aktualną sytuację w Galaktyce – warknął surgun.
- Ale... że... co? – wybełkotał Skippy. Jego kanister zamigotał kilkoma kolorami.
- Jates pochylił się w fotelu.
- Pradawni porzucili Galaktykę, ale nie zabezpieczyli swoich groźnych zabawek. Nie wzięli na siebie odpowiedzialności za tych, którzy przyszli po nich, a mimo to pozostawili po sobie

aktywne maszyny do zabijania, by karać tych, którzy spróbują wspiąć się na wyżyny technologii.

– To nie do końca... Joe, ty mu powiedz!

– Mnie w to nie mieszaj. – Uniosłem rękę. – W zupełności zgadzam się z Jatesem.

– Ale... ale przecież nic o mnie nie wiesz. Jestem najwyższym...

– Ty i tobie podobni wykazaliście się najwyższą nieodpowiedzialnością! – Jates wycelował szpon w Skippy’ego.

– Ta wojna trwa od niepamiętnych czasów i przyniosła śmierć lub cierpienie bilionom rozumnych istot. Pradawni ze swoimi błyskotkami mogliby zapobiec konfliktowi, ale w ogóle ich to nie obchodziło!

– Hej! Miałeś się mną zachwycać! Doświadczać cudu, napawać się moją chwałą!

– Mogę ci zaoferować jedynie obrzydzenie. Co ty na to, żałosny, przerośnięty tosterze?

– Tosterze?! – Pisk Skippy’ego świdrował mi uszy. – Nie pozwolę się obrażać śmierdzącemu, łuskowatemu jaszczurowi! Jates zerwał się z miejsca i chwycił kanister Skippy’ego. Spróbował go odkręcić.

– Hej! Co ty wyprawiasz! Łapy precz! Joe, nie wolno mu mnie dotykać!

– Za późno. – Wzruszyłem ramionami.

– Jak to się otwiera? – zwrócił się do mnie Jates.

Nim odpowiedziałem, zagłuszył mnie wrzask Skippy’ego:

– Postaw mnie w tej chwili! Żądam...

– Wiesz, co teraz zrobię? – wydyszał surgun. – Otworzę tę twoją puszkę i postawię w niej wielkiego, śmierdzącego, jaszczurzego kloca!

– Ej! Joe, zabierz go ode mnie!

Zacząłem powoli wycofywać się przez właz.

– To był twój pomysł – rzuciłem na pożegnanie. – Bawcie się dobrze, dzieciaki. Tylko nie zniszczcie mebli!

Odszedłem, pogwizdując wesoło i słysząc za sobą odgłosy szamotaniny pomiędzy nieprzeciętnie inteligentną, a jednocześnie niedomyślną istotą a nieprzeciętnie wkurwionym jaszczurem. Stawiałem na Jatesa.

ROZDZIAŁ 37

Emily Perkins zakryła usta, zszokowana. Potrzebowała chwili, żeby wydusić choć słowo. Była blada i roztrzęsiona.

Siedzieliśmy w moim gabinecie i przed chwilą powiedziałem Perkins, że nieświadomie przeszkadzała w naszych operacjach.

– Pułkownikowi Bishop – szepnęła – tak mi przykro.

Zniszczyłam wasze plany. Mogłam... mogłam wszystko zrujnować!

– Źle się z tym czujesz? Całkiem słusznie! – prychnął Skippy. –

Joe rzadko zadaje sobie trud, żeby cokolwiek zaplanować.

Najczęściej idzie na żywioł i liczy, że wszystko się jakoś ułoży.

– Skippy... – Machnąłem ręką, starając się go uciszyć.

Bezskutecznie.

– Tym razem Joe miał nie tylko plan mający zażegnać bezpośrednie zagrożenie – ciągnął – ale także długofalową strategię. Zazwyczaj reaguje dopiero, kiedy problem siedzi mu na karku i beka prosto do ucha. Słowo daję...

– Dzięki za te pokrzepiające słowa, Skippy. Perkins, naprawdę, nie musi pani...

– O nie, Joe. Daruj sobie skromność – nie ustępował Skippy. –

To nie był taki sobie zwykły plan. Nawet ja uważałem go za Najlepszy Plan w Historii. Pomyśl tylko, udało ci się zrobić na mnie wrażenie! To niebywałe!

– Dobrze, zrozumieliśmy. Przestań ją już dręczyć. – Uniosłem

rękę, powstrzymując kolejną tyradę blaszaka, i nachyliłem się nad biurkiem. – Perkins – powiedziałem łagodnie – podjęła pani najlepszą decyzję, na podstawie posiadanych wówczas informacji. Cholera, sam byłbym z siebie zadowolony, gdybym zaproponował grupie chrząszczy wycieczkę na Ziemię okrętem Maxolhxów. Całkiem niezły pomysł!

– Dziękuję, sir. – Perkins nie uśmiechała się, ale przynajmniej się uspokoiła.

– Mam jednak pytanie. Właściwie to wiele pytań, ale na razie zadam jedno. Co planowaliście zrobić, gdy Jeraptha wróci z Ziemi? Wprawiłem ją w zakłopotanie, nie tylko ze względu na nieprzyjemny temat. Podejrzywałem, że nie miała planu. Znałem ją na tyle, by wiedzieć, że spodziewała się po sobie czegoś lepszego.

– To już zależałoby od ich meldunków – powiedziała.

– Nie mieliście szerzej zakrojonego planu wyzwolenia Ziemi spod władzy Kristangów? – zapytałem z nadzieją. Nie dlatego, że liczyłem, iż wyjawi mi swój plan. Wolałbym, aby go nie miała. Przez lata sam się nad tym zastanawiałem, ale nic nie wymyśliłem, dopóki nie natrafiliśmy na skarbiec pełen broni z piekła rodem. Gdyby Perkins wpadła na genialny, a przy tym oczywisty pomysł, czułbym się jak ostatni kretyn.

– Nie. Chodziło jedynie o to, by rozeznać się w sytuacji na Ziemi. Pomyślałam, że gdyby klan Białego Wiatru zachowywał się podle, nawet jak na standardy Maxolhxów, patroni mogliby przywołać swoich klientów do porządku.

– Jasne. Przykładowo, ludzie mogliby trafić do niewoli, zamiast wyginąć.

– Tak czy inaczej, nie byłby to optymalny rezultat.

– Znalazłaby się pani w bardzo niewygodnym położeniu.

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Gdyby przywrócono łączność z Ziemią i okazało się, że ludzie są podwładnymi Białego Wiatru, ziemscy rządzący rozkazaliby SEONZ na Paradise stawić opór Ruharom. Pani założyła Legię Pozaziemską, aby walczyć dla chomików. Wasze działania zostałyby uznane za zbrodnię i zdradę wobec rodzaju ludzkiego.

– Raczej zdradę wobec jaszczurów – poprawiła mnie. – Myślałam o tym, sir. Niczego by to nie zmieniło. Ludzie w Legii

wkrótce staliby się jak Verd-Krisowie. Uznani za zdrajców przez

własny lud, ale wierni swoim korzeniom. W tej chwili to jednak akademicka dyskusja. Nie ma sensu rozważać, co by było, gdyby...

– W porządku. Byłem po prostu ciekaw.

– Co dalej, sir?

– Przed powrotem na Ziemię musimy załatwić jeszcze parę spraw. Zatrzymamy się na Paradise.

– Żeby sprowadzić ludzi do domu?

– Ostatecznie pewnie tak. Na „Walkirii” nie pomieścimy zbyt wielu pasażerów, więc powrót żołnierzy z Paradise będzie musiał poczekać, dopóki nie zapewnimy odpowiedniego transportu. Podejrzewam, że uda nam się załatwić loty czarterowe – powiedziałem, jakby to była bułka z masłem. Może Perkins mnie w tym wesprze? Sam miałem na ten temat raczej mgliste pojęcie. – Moglibyśmy też rozbudować nasze siły na Paradise.

– Rozbudować? – Perkins uniosła brew.

– Tak. Wielu ludzi będzie chciało wrócić do domu – wyjaśniałem, przyglądając się jej uważnie. Wiedziałem, że

niektórzy całkiem nieźle się urządzili na Paradise. Wzięli ślub, założyli rodzinę. Prowadzili firmę, wybudowali dom. A mowa tu tylko o tych, którzy odeszli do cywila. – Wielu, ale nie wszyscy.

– Racja – zgodziła się. Nie wiedziałem, do której grupy zaliczała siebie i Dave’a Czajkę. Może ona sama tego nie wiedziała? Raczej nie miała czasu z nim tego przedyskutować.

– SEONZ na Ziemi zapewne zechcą kontynuować wysyłanie żołnierzy na Paradise. Rotacja batalionów nie będzie łatwa, bo czeka je cholernie daleka droga, ale akcja już trwa.

– Akcja?

– Mam na myśli działania Legii. Chyba tego nie zaniechacie? Zostało jeszcze mnóstwo jaszczurów do zabicia. Nie można oczekiwać, że Kristangowie sami się wykończą.

– Cóż, nikt nie wykańcza jaszczurów skuteczniej niż one same. Mamy szczęście, że akurat wybuchła u nich wojna domowa. W przeciwnym razie Kristangowie mogliby skupić swoje zasoby na... O co chodzi? – zapytała, widząc, że kręcę się w fotelu.

– Ta wojna domowa nie wybuchła przez przypadek. To my tak jakby ją... rozpętaliśmy.

– Wy? Pułkowniku, nie przestaje mnie pan zaskakiwać.

– Jeszcze niejednym panią zaskoczę. – Zerknąłem na telefon. – Wkrótce w mesie podadzą lunch. Powinniśmy się zbierać.

– Mogę przedtem zadać jeszcze jedno pytanie?

Czasami takie słowa oznaczają, że ktoś chce po prostu wyciągnąć więcej informacji. Bywa też, że daje nam w ten sposób do zrozumienia, że jego zdaniem robimy coś nie tak. Podejrzywałem, że Perkins chodziło o to drugie.

– Słucham – powiedziałem.

- Wzajemnie zagwarantowane zniszczenie?
 - Wiem, wiem. To niebezpieczna gra.
 - Zdaje pan sobie sprawę, że broń Pradawnych to miecz obosieczny? – upewniła się, unosząc brew.
 - Perkins... – Znowu wyciągnąłem telefon. – Jestem głodny, a ludzie czekają na nas w mesie. Proszę przejść do rzeczy.
 - Dwie szczytowe rasy przez tysiąclecia utrzymywały układ sił, ale nie powstrzymało to konfliktu. Wojna toczyła się dalej, z coraz większą zaciekłością, właśnie dlatego, że czołowi gracze nie mogą się zaangażować w niczym nieskrępowane zbrojne działania.
 - Rozumiem. – Pokiwałem głową. – Wywołaliśmy zamęt w Galaktyce. Zanim będzie lepiej, musi najpierw być gorzej.
 - To prawda. Musimy postępować ostrożnie. Sytuacja strategiczna uległa zmianie. Teraz zarówno Rindhalu, jak i Maxolhxowie będą się obawiać, że sprzymierzymy się z wrogiem.
 - Ha... – O tym nie pomyślałem.
- Na swoją obronę powiem, że wciąż musiałem oswajać się z myślą, że ludzie mają dostęp do broni Pradawnych. Jednak dla Perkins była to zupełna nowość, a mimo to podpułkownik rozumiała strategiczne znaczenie tych informacji. Może to ona powinna dostać kluczyki do tej broni?
- Musielibyśmy udowodnić, że nie damy się urobić? Jak Nixon przed wizytą w Chinach?
 - Tak, ale... Jeśli któraś ze szczytowych ras zostanie w którymś momencie przyparta do muru, może uznać, że najlepszym rozwiązaniem będzie ogólny reset.
 - Jak to reset? – Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi.
 - Przykładowo, Maxolhxowie mogliby zahibernować niewielką liczbę przedstawicieli swojej rasy, a następnie

zaatakować Rindhalu bronią Pradawnych. Strażnicy co prawda zdewastowaliby Galaktykę, ale za sto tysięcy lat Maxolhxowie mieliby szansę wyjść z ukrycia i rządzić niepodzielnie.

– Pozwoliliby na unicestwienie całej swojej cywilizacji?

Komu mogłoby przyjść do głowy coś takiego?

– Komuś, kto chciałby, by jego cywilizacja ostatecznie przetrwała. Jako jedyna.

– Nie wierzę, że ktoś mógłby się do tego posunąć.

– Wystarczy niewielka grupa fanatyków oddanych sprawie i posiadających dostęp do niebezpiecznej technologii.

– Cholera... – Nagle przestałem być głodny. – Słowo „fanatycy” trafnie opisuje Maxolhxów. Może pająki również? Nie mieliśmy z nimi jeszcze do czynienia. Perkins, dlaczego przychodzą pani do głowy tak okropne pomysły?

– Ktoś po naszej stronie musi o tym myśleć. Wrogowie z całą pewnością mają takie rzeczy na uwadze. Czytał pan kiedyś powieść „Silos” Hugh Howeya?

– Hmm, chyba nie.

– Warto to nadrobić. Zmierzam do tego, że nie możemy wywołać u żadnego z głównych graczy poczucia, że nie mają nic do stracenia.

– Niech to szlag! – Spojrzałem na nią gniewnie, choć była tylko posłańcem, a nie przyczyną złych wieści. – Skippy bez przerwy przypomina, że najgroźniejszą siłą w Galaktyce jest prawo niezamierzonych konsekwencji.

– Wypada się z nim zgodzić – przytaknęła. – Pora na lunch? – zapytała, choć domyślałem się, że jej zegar biologiczny wskazuje mniej więcej północ. Tak bywało, gdy człowiek leciał okrętem kosmicznym z jednej planety na inną, gdzie lokalne słońce nie tylko wschodziło o innej porze, ale dzień na obcym globie mógł trwać o wiele dłużej lub krócej niż na świecie

ojczystym. To jeszcze gorsze niż przeskok między ziemskimi strefami czasowymi.

– Teraz kiedy odebrała mi pani apetyt? – odburknąłem.

– Może spróbujemy któregoś z tych pysznych szlamów, o których tyle słyszałam?

– Ha! Ciężko przełknąć myśl, że ktoś mógłby celowo wezwać Strażników, ale jeszcze trudniej będzie przełknąć bananowy szlam przygotowany przez Skippy’ego. – Skrzywiłem się z obrzydzeniem.

– Dlaczego akurat bananowy? – zaciekawiła się Perkins.

– Skippy jest przekonany, że każda małpa przepada za bananami. – Przewróciłem oczami z rezygnacją.

Podpułkownik wstała i posłała mi uśmiech pełen matczynej troski, ale i czegoś jeszcze. Szacunku. Oczywiście odwzajemnionego. Dobrze się rozumieliśmy. Możliwe, że kiedyś

będziemy tworzyć zgrany zespół.

Oczywiście pod warunkiem, że Galaktyka wcześniej nie wybuchnie.

– Macie na tej krypie coś mocniejszego od oranżady? – zapytała Perkins. – Nie wiem jak pan, ale ja chętnie się czegoś napiję.

KONIEC TOMU DZIESIĄTEGO

① E-4 – przedział płacowy dla kaprali i specjalistów w wojsku amerykańskim (przyp. tłum.).

- ② W Stanach Zjednoczonych mianem „Karen” określa się stereotyp roszczeniowej pani w średnim wieku, skłonnej do wszczynania dzikich awantur z powodu drobnych niedogodności (przyt. tłum.).
- ③ Powiedzenie oznaczające mniej więcej tyle co polskie „nie chwał dnia przed zachodem słońca” lub „nie dziel skóry na niedźwiedziu” (przyt. tłum.).
- ④ Scones – popularne w Wielkiej Brytanii kruche wypieki, najczęściej podawane do herbaty (przyt. tłum.).